

Robert Masello

Krew i Lód

Blood and Ice

Przełożył z angielskiego

Paweł Korombel



Laurie
poświęcam

PROLOG

Na pokładzie brygu JKM „Coventry”

Ocean Południowy

65° 28' szer. geogr. pd.

120° 13' dł. geogr. zach.

28 grudnia 1856 r.

Sinclair nisko się pochylił nad drewnianą koją, na której spoczywała Eleanor. Chociaż była szczelnie otulona szynelem i przykryta wszystkimi kocami i derkami, jakie udało mu się znaleźć, szczękała zębami. Obłoczki pary wydobywające się przy każdym oddechu z ich ust kłębiły się w wilgotnym lodowatym powietrzu. Mimo że Eleanor zamknęła powieki, w migotliwym świetle lampy naftowej Sinclair widział, że rusza oczami. Twarz miała białą i zimną niczym lód, który od tygodni skuwał statek.

Zgrabiła dłońią pogładził czoło leżącej, odgarniając jej z oczu pasmo ciemnokasztanowych włosów. Skóra kobiety wydawała się tak martwa i sztywna jak ostrze szabli, ale wyczuł pod nią sennie krążącą krew. Eleanor będzie żyła, ale trzeba o nią zadbać, i to natychmiast. Nie dało się inaczej tego zrobić, już nie; musiał opuścić kabinę i zejść do ładowni.

- Odpoczywaj - rzekł łagodnie. - Wróć, ani się obejrzysz. - Westchnęła w proteście, ledwo rozchyliwszy zbiegłe wargi. - Postaraj się zasnąć.

Nasunął jej głębiej na głowę wełnianą czapkę, ucałował w policzek i wyprostował się na tyle, na ile pozwalał niski sufit ciasnej kabiny. Z lampą w ręce - sadza zasnuła szkiełko, a nafta zakrywała dno ledwo na palec, nie więcej - chwilę nasłuchiwał przy drzwiach, zanim je uchylił i spojrzał w ciemne przejście. Słyszał dobiegające z głębi ładowni pomruki załogi. Nie rozróżniał słów, ale łatwo je zgadywał. Od kiedy nieustępliwe sztormy i wiatry zepchnęły statek z kursu, ciskając go dalej i dalej w kierunku bieguna południowego, przekleństwa marynarzy obijały mu się o uszy i widział rosnącą w ich oczach wrogość. Pokładowa brać to przesądny ludek, nawet gdy wiatr przyjaźnie gra na wantach, i Sinclair zdawał sobie sprawę, że za winnych mizerii, w której się znalazła, uznała tajemniczych pasażerów - Eleanor i jego

samego. Zastanawiał się tylko, co w związku z tym ma uczynić? Był nierad, że musi zostawić Eleanor samą - nawet na kilka minut.

Dawno temu uwolnił się od ostróg, ale skrzypiącym korytarzem nie dało się przejść bezszelestnie. Sinclair robił krok tylko wtedy, gdy lód szczególnie hałaśliwie atakował kadłub lub gdy żagle załopotwały w podmuchu zmiennego nocnego wiatru, lecz gdy mijał kubryk, światło lampy wydobyło z mroku pochylonych nad butelką rumu Burtona i Farrowa. Statek położył się na burtę i Sinclair musiał się wesprzeć o ścianę.

- Dokąd to? - warknął Burton. W siwej brodzie marynarza kryształki lodu lśniły jak brylanty. Ciężki złoty kolczyk błyszczał w uchu.

- Do ładowni.

- Po co?

- Nie twój interes.

- Się zobaczy - zamruczał Farrow, gdy statek wyprostował się ze stęknieniem głośnym jak huk gromu.

Sinclair podszedł do drabiny prowadzącej w dół, do ładowni. Szron okrył szczeble. Kiedy mężczyzna schodził coraz niżej, nafta w lampie chlupotała, przelewając się z boku na bok; migające cienie biegały po prawie pustych beczułkach z soloną wieprzowiną, suszonym dorszem, stwardniałą mąką i chilijskim rumem, do którego załoga już się dobrała. Bagaż pasażerów umieszczono kawałek dalej, w wielkiej skrzyni zabezpieczonej ciężkimi kłódkami i łańcuchami. Na pierwszy rzut oka wyglądała na nietkniętą.

Jednak gdy Sinclair się pochylił i wąty blask oświetlił pokrywę, ukazały się zadrapania i niewielkie wgłębienia, jakby ktoś próbował otworzyć zamek wytrychem, a nawet łomem. Nie było niczego zaskakującego w tych usiłowaniach. Więcej, Sinclair znajdował tylko jeden powód, dzięki któremu go nie ograbiono: załoga nie tylko darzyła go nienawiścią, ale i się go bała. Spojrzenia marynarzy zdradzały respekt, jaki czuli przed weteranem kampanii krymskiej, uznanym mistrzem pistoletu, lancy i szabli. Postawił kołnierz wojskowej kurtki i z kieszeni na piersiach dobył klucze do skrzyni.

Jeszcze się obejrzał, upewniając się, że jest zupełnie sam i nikt go nie podgląda, po czym otworzył kłódkę, rozpiął mokry łańcuch i uniósł wieko. W środku pod uprzężą, mundurami i kilkoma książkami - dziełami Coleridge'a, Chattertona i lorda George'a Gordona Byrona - znalazł to, po co przyszedł. Dwa tuziny starannie owiniętych i zapakowanych butelek opatrzonych naklejką MADEIRA - CASA DEL SOL, SAN CRISTOBAL. Bryczesami otarł do sucha flaszę, wsadził ją pod pachę i zabezpieczył kufer.

Powrót po drabinie, gdy dzierżył w ręce lampę, a pod pachą butelkę, był nie lada wyczynem, zwłaszcza pod czujnym wzrokiem gapiącego się z góry Burtona.

- Znalazł pan, czego pan szukał, poruczniku?

Sinclair nie odpowiedział.

- Pomóc? - ciągnął dalej Burton, podając rękę w bezpalcej rękawicy.

- Nie ma potrzeby.

Ale marynarz już wypatrzył butelkę.

- Gorzałka, nie? No, wszystkim zdałby się kubek na rozgrzewkę.

- Już żeście się dość rozgrzali.

Wyszedł na górę, minął Burtona i Farrowa - ten drugi rozgrzewał się, zabijając rękę - i zaraz zniknął im z oczu, wchodząc do kambuza. Ogrzał butelkę przy piecu, w którym nadal tlił się żar, po czym wrócił do kabiny, modląc się, by stan Eleanor się nie pogorszył.

Okazało się, że nie jest sama. Spod drzwi padało słabe światło, a w kabinie nad kobietą pochylał się lekarz okrętowy, doktor Ludlow. Był to obrzydliwy, niemal garbaty obdartus, jednocześnie służalczy i arogancki; Sinclair nie wierzył nawet w jego umiejętności fryzjerskie (zaczny doktor zajmował się również fryzurami załogi), a szczególną nieufność żołnierza budziła jego krzątanina przy Eleanor, którą darzył niezwykłym zainteresowaniem, od kiedy tylko weszła na pokład. W tej chwili lekarz trzymał ją za przegub i potrząsał głową.

- Puls bardzo słaby, panie poruczniku, zaiste bardzo słaby. Trwożę się o życie biednej dziewczyny.

- A ja nie - oświadczył Sinclair, tyleż przez wzgląd na Eleanor, co i na paskudnego medyka. Uwolnił z uścisku doktora jej dłoń i wsunął ją pod koce. Eleanor ani drgnęła.

- Lękam się, bo nawet moje pijawki zdechły.

Przynajmniej jedna dobra wiadomość. Sinclair wiedział choć tyle, że Eleanor nie powinna stracić więcej ani kropli krwi.

- Co za szkoda - mruknął, dobrze wiedząc, że łajdaczyna był wniebowzięty, gdy miał okazję przykładać śliskie paskudztwo do nóg i łona Eleanor. - Może pan nas zostawić. Radzę sobie całkiem nieźle bez pomocy.

Ludlow skłonił się niedbale, ale jeszcze dorzucił:

- Mam wiadomość od kapitana. Pragnie porozmawiać z panem na pokładzie.

- Przyjdę, kiedy będę mógł.

- Przykro mi, panie poruczniku, ale dość mu spieszno.

- Im szybciej pan się stąd wyniesie, tym prędzej będę mógł z nim porozmawiać.

Lekarz chwilę się ociągał, jakby chciał zaznaczyć, że nie został odprawiony, tylko sam zdecydował, że opuści pomieszczenie, po czym wyszedł. Ledwo zniknął, Sinclair zaparł drzwi stołkiem i szkockim sztyletem, który miał pod kurtką. Otworzył butelkę.

- Zaczekaj - powiedział, chociaż nie był pewien, czy Eleanor go słyszy - zaczekaj na mnie.

Uniósł głowę nieprzytomnej z udającego poduszkę żołnierskiego plecaka wypchanego szmatami i przyłożył butelkę do jej ust.

- Pij - rzekł, ale nie zareagowała. Przechylił butelkę, aż płyn spłynął na wargi. Zaróżowiły się, ożyły. - Pij.

Czuł na grzbiecie ręki jej oddech. Bardziej przechylił butelkę. Różowy strumyczek spłynął na podbródek Eleanor i zwilżył spinającą kołnierzyk broszkę z kości słoniowej. Kobieta wysunęła koniuszek języka, jakby goniła nieposłuszne kropelki. Sinclair się uśmiechnął.

- Tak, dobrze - zachęcił ją. - Pij. Pij.

I piła. Po dłuższej chwili uchyliła powieki. Spojrzała na niego z wyrazem pomieszania w oczach, w których głęboki żal łączył się z jeszcze głębszym pragnieniem. Trzymał butelkę bez drgnienia, podczas gdy Eleanor wsysała się w szyjkę. Spojrzenie jeszcze chwilę temu nieprzytomnej niewiasty trzeźwiało, oddech nabierał regularności. Kiedy poczuł, że dość wypila - zbyt wiele i mogła wszystko zwrócić - położył ją na poduszce. Butelkę zakorkował i ukrył pod posłaniem.

- Muszę zamienić dwa słowa z kapitanem - oznajmił. - To nie potrwa długo.

- Nie - zaprotestowała ledwo słyszalnie. - Zostań.

Uściskał jej rękę. Była cieplejsza, czy mu się wydawało?

- Mów do mnie - poprosiła.

- Ależ będę, będę... O palmach kokosowych wysokich jak katedra Świętego Pawła...

Najsłabszy uśmiech rozchylił jej wargi.

- I piasku bielutkim jak Dover.

To było jedno z ich powiedzonek, zapożyczone z popularnej piosenki, i często je sobie szeptali w chwilach daleko mniej wyczerpujących niż ta.

Sinclair odstawił stołek, zgasił lampę - każda kropla nafty była bezcenna - i wyszedł z kabiny. Z pokładu docierał jedynie pojedynczy wąty promień, ale wystarczający, aby Sinclair odnalazł drogę do stopni.

Na dole panował straszny ziąb, lecz na górze było znacznie gorzej, gdy wiatr z siłą fabrycznych miechów wysysał z płuc oddech, w zamian napełniając je lodowatym oparem.

Kapitan Addison stał przy kole sterowym, okryty kilkoma warstwami odzieży i kawałkiem porwanego żagla. Sinclair miał go za gorszego od korsarza. Żeglarz zażądał potrójnej zapłaty za przewóz; z dala wyczuwał desperację i nie miał żadnych skrupułów, by ją wykorzystać.

- Ach, porucznik Copley - rzucił na przywitanie. - Miałem nadzieję, że się pan zjawi, i czas milej mi zleci.

Sinclair wiedział, że chodzi o coś więcej. Rozejrzał się wkoło - po wzburzonym szarym morzu zarzuconym wielkimi płytami lodu, po nocnym niebie, które na tych południowych szerokościach niezmiennie lśniło grafitową barwą. Dwóch marynarzy trzymało wachtę przy burtach, wypatrując szczególnie zjezonych lub wyniosłych gór lodowych; trzeci przycupnął wysoko, na bocianim gnieździe. Statek płynął wolno i niepewnie, a zmienne wiatry targały żaglami - tymi, które jeszcze dało się rozwinąć - tak że płótna łopotały z hukiem gromu.

- Jak się miewa pańska żona?

Sinclair podszedł bliżej. Wysokie buty kawalerzysty ślizgały się na zdradzieckim pokładzie.

- Zacny doktor - ciągnął Addison - rzekł mi, że jej zły stan się utrzymuje.

Zawiązana pod brodą postrzępiona szkarłatna szarfa przytrzymywała na głowie marynarza trójgraniasty kapelusz.

Sinclair wiedział, że jeśli kapitan i on mają wspólne zdanie w jakiejś sprawie, to na pewno zgadzają się co do tego, że słowo okrętowego medyka nie jest warte złamanego szeląga. Prawdę mówiąc, na takim statku żaden lekarz nie zasługiwał na zaufanie, ale Sinclair nie miał wyboru. Tylko Addison był gotów zabrać go na pokład natychmiast i bez pytań.

- Miewa się lepiej - odparł - i nabiera sił.

Kapitan z zastanowieniem pokiwał głową, jakby był autentycznie zatroskany, i spojrzał w zaciągnięte chmurami, bezgwiazdne niebo.

- Wiatry nadal są nam przeciwne - powiedział. - Jeśli niebawem nie zmienimy kursu, wylądujemy na samym biegunie. Jak żyję, nie widziałem takich szkwałów.

Sinclair wyczytał w uwadze kapitana dokładnie to, co tamten niewątpliwie miał na myśli - że zła pogoda to wina tajemniczych pasażerów. Już sama obecność kobiety na pokładzie źle wróżyła statkowi, a fakt, że niedomagała - że była blada jak duch - jeszcze pogarszał sprawę. Początkowo Sinclair robił wszystko co w jego mocy, aby załoga uznała go za swojego chłopca, ale potem po prostu nie miał na to czasu. Obowiązki wobec Eleanor i własne ukryte niedomogi absorbowały go całkowicie. Nawet wachtowi - Jones i Jeffries, jeśli się nie mylił - zerkali na niego z wyraźną wrogością. Nie mogły jej ukryć naciągnięte na oczy wełniane czapy i spowijające gęby szmaty.

- Proszę mi jeszcze raz przypomnieć, poruczniku - spytał kapitan - jakie to sprawy miał pan w Lizbonie?

Sinclair wykupił przejazd w Portugalii.

- Dyplomatycznej natury - odparł. - Niezwykle delikatnej. Nawet w tych okolicznościach nie mogę zdradzić nic więcej.

Wiatr jeszcze przybrał na sile, szarpiąc porwany strzęp żagla spowijający nogi kapitana, lecz ten stał prosto, trzymając obie ręce na kole sterowym. W dziwnym półświecie nocnego nieba wydawał się postacią z dagerotypu, odsączoną z barw, składającą się wyłącznie z cienistych zarysów i szarych plam.

- I to tam pańska żona zachorowała?

Sinclair wiedział, że zaledwie kilka lat wcześniej nawiedziła Lizbonę dżuma.

- Moja żona nie zapadła na żadną zarazę, mogę pana o tym zapewnić. Cierpi na zamęt wewnętrznej harmonii, którą doprowadzimy do ładu, gdy dotrzemy do Christchurch¹.

Zauważył, że jeden z marynarzy - Jones - rzucił drugiemu spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Jeśli dotrzemy do Christchurch...”. Ta wątpliwość dręczyła również Sinclaira. Czy było im sądzone dotrzeć tak daleko i w takim pośpiechu, aby zginąć w zlodowaciałym oceanie?

Następne słowa Addisona połknął nagły powiew wiatru, który wzwał żagle, zaskrzypiał masztami i przyniósł ze sobą zaiste rzadkiego przybysza - wielkiego szybującego ptaka. Albatrosa. Sinclair nigdy dotąd nie oglądał króla nadoceanicznych przestworzy, chociaż ukochwszy wersy cudownego poematu Coleridge'a, rozpoznał stworzenie. Zawisło w górze, ukazując biały brzuch, ciemnoróżowy długi dziób. Czarne lotki obramowały skrzydła - w ocenie Sinclaira mające dziesięć, dwanaście stóp rozpiętości. Ptak zachowywał całkowity spokój nawet w kotłującym się powietrzu, nurkując i okrążając maszty. Bez najmniejszego wysiłku wznosił się na niewidzialnych prądach, jedynie nieznacznie sterując nogami.

- Albatros - rzekł Jones, a Jeffries skinął z podziwem głową; ptak był dobrym znakiem i sprowadzał nieszczęście tylko na tych, którzy próbowali go skrzywdzić.

Statek wspiął się na falę, szorując kadłubem o krę, i Sinclair musiał się uchwycić obiema rękami liny, jeśli nie chciał stracić równowagi. Albatros opadł, zatoczył łuk nad dziobem i znów się wzbił, by usiąść na rozedrganym noku rei. Pozostał tam, zwinąwszy skrzydła i zacisnąwszy szpony na śliskim drewnie. Sinclair spoglądał na niego z zachwytem, zadając sobie pytanie, jak taki wielki ptak zdołał przeżyć w tych warunkach, przelatując niezliczone

¹ Miejscowość w Nowej Zelandii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

mile nad pustkowiec rozkołysanego morza i wielkimi płatami lodu, pod niegościnnym niebem?

- Kapitanie! Dowódcu!

Sinclair odwrócił głowę i zobaczył wychodzącego z brzucha statku Burtona. Zmrożona broda marynarza była sztywna jak deska pokładowa. Tuż za nim podążał Farrow, niosąc coś pod czarną kurtą z foczego futra. Burton szedł, szeroko rozstawiając nogi, by nie stracić równowagi. Nie spojrzał na Sinclaira.

- Raport, kapitanie! - zahuczał. - W sprawie wielkiej wagi!

Sinclair wykręcił szyję, usiłując dojrzeć, co przyniesiono, gdy przybyli marynarze starali się mu zasłonić widok. Coś tam błysnęło - szkło? - i rozległ się cichy jazgot, gdy gadali jeden przez drugiego. Addison uniósł rękę, każąc im się uspokoić, po czym obejrzał dostarczone znalezisko. Teraz Sinclair też je dojrzał i z niepokojem stwierdził, że to butelka oznaczona napisem MADEIRA.

Kapitan wyglądał na zaskoczonego, a potem zagniewanego, jakby chciał powiedzieć, że nie z nim takie żarty.

- Niech kapitan sam się przekona! - nalegał Burton, lecz Addison nadal się opierał.

Farrow zębami zerwał z dłoni rękawicę i nagimi palcami wyszarpnął korek. Podsunął kapitanowi pod sam nos otwartą butelkę. Odrzucił rękawicę na pokład i rzekł:

- Powąchajcie! A jeszcze lepiej posmakujcie, kapitanie!

Addison niechętnie zniżył nos, po czym gwałtownie się wyprostował, pełen obrzydzenia, jakby odrzucony paskudną wonią. Lecz dopiero gdy doktor Ludlow wypełził na pokład i bez słowa skinął potwierdzająco głową, kapitan odwrócił się ku Sinclairowi. Miał na twarzy grozę.

- Czy to prawda? - spytał, biorąc od Farrowa butelkę.

- To prawda - odparł Sinclair - że trzyma pan lekarstwo mojej żony. Niewątpliwie ukradzione z naszej kabiny.

- Lekarstwo...?! - wrzasnął Burton.

- Niech mnie pokręci, jak to lekarstwo! - wtrącił się Farrow.

- Żem nie mówił, że to oni przynieśli nieszczęście? - krzyknął Burton do wachtowych, którzy nie pojmowali, co się dzieje, ale byli skorzy do każdego mordobicia, jakie się szykowało.

- Znalazłem w pościeli, nikt inny tylko ja! - krzyknął Farrow, usiłując zgarnąć całą chwałę. - Nikt nie zaprzeczy!

- I spytajcie go, co się zdarzyło Bromleyowi! - ciągnął dalej Burton. Broda latała mu w furii. - Spytajcie, jak taki człek, jak taki chwacki marynarz, co dwa razy opłynął Przylądek Dobrej Nadziei, wypadł za burzę, stojąc na wachcie!

Nagle wszyscy się rozkrzyczeli i następni marynarze wypadli na pokład. Czterech z nich dźwigało dopiero co zamknięty kufer Sinclaira. Cisnęli go do góry dnem. Ostrogi zadźwięczały o resztę butelek. Zanim Sinclair zdążył sięgnąć po szablę, przyciśnięto mu do boków ręce i owinięto przeguby liną, wiążąc ją mocno. Przyparto go do głównego masztu. Głośno protestował, ale Burton i Farrow nawet na niego nie zważali. Rzucili się pod pokład.

- Nie! - zawołał przeraźliwie. - Zostawcie ją!

Jednak był zupełnie bezsilny; nie mógł nawet kiwnąć palcem. Kapitan rozkazał jednemu z marynarzy przejąć ster, po czym wielkimi krokami podszedł do Sinclaira. Patrząc mu prosto w oczy, powiedział:

- Nie jestem przesądny, poruczniku. - Mówił cicho, jakby zawierzał mu sekret. - Ale przez to - uniósł butelkę i wskazał ją głową - nie zostawia mi pan żadnego wyboru.

Trzymający Sinclaira marynarze wzmocnili uścisk.

- Załoga wini pana za śmierć Bromleya i ja też już nie mam wątpliwości. - Wążąc butelkę w ręce, szepnął: - Jak tego nie zrobię, będę miał bunt na pokładzie.

- Jak czego pan nie robi?

Lecz Addison nie odpowiedział, tylko spojrział na luk, w którym grzebali się Burton i Farrow, niosąc w kocu jak na huśtawce Eleanor. Otwierając szeroko oczy, wyciągała rękę do Sinclaira; zgubiła udające czepek okrycie głowy i jej kasztanowe włosy, kiedyś jakże gęste i lśniące, rozsypały się i utworzyły szeroką koronę wokół głowy.

Farrow zakręcił w powietrzu zardzewiałym łańcuchem, a kapitan nie kiwając głową na znak przyzwolenia, ani nie potrząsając nią na znak zakazu, odwrócił się. Powrócił do steru i nawet nie patrząc, cisnął butelkę za burzę.

- Sinclair! - zawołała Eleanor. Jej przerażony głos niemal ginął w tumulcie. - Co się dzieje?

Lecz dla niego wszystko było aż nazbyt jasne; szarpał więzy i próbował utorować sobie drogę kopnięciami, ale jeździeckie buty ślizgały się na oblodzonym pokładzie. Na dodatek Jeffries zniecka przyłożył mu w brzuch. Sinclair zgiął się wpół, łapiąc oddech. Przez chwilę widział tylko buty, liny i łańcuchy. Powleczono go do niej. Ledwo trzymała się na nogach, wspierana przez Burtona. Ustawiono ich plecami do siebie. Jakże pragnął ucisnąć ją jeszcze jeden raz. Ale mógł tylko wyszeptać:

- Nie bój się. Będziemy razem.

- Gdzie? Co ty mówisz?

Jej niewysłowiony lęk przechodził w delirium.

Farrow trzymał w urękawiczonej łapie łańcuch i zanosząc się skrzekliwym śmiechem okrążył ich po wielokroć, krępując kolana, biodra, ramiona. Szyje. Gdy lodowaty metal dotykał nagich skrawków ciał, parzył jak niegaszone wapno. Choć Sinclair był odwrócony tyłem do Eleanor, słyszał jej rwany oddech i czuł jej rosnącą panikę.

- Sinclair? - wyrzeźbiła. - Dlaczego?

Jones i Jeffries zeszli z posterunku i powlekli ich do burty, złączonych jak kłody drewna. Sinclair instynktownie wbijał buty w pokład, ale ktoś kopnięciem podciął mu nogi i mężczyzna stracił oparcie. Wnet ujrzał pod sobą spienione wody oceanu. Dziwne, ale był rad, że Eleanor spogląda w niebo. Miał nadzieję, że biały albatros nadal trzyma się rei, i że ona go widzi.

- Nie należałoby się pomodlić? - spytał drżącym głosem Ludlow. - To takie... barbarzyńskie.

- Ja się za nich pomodłę - wrzasnął Burton. Pochylił się i rozwścieczony spojrzał w twarz Sinclairowi. - Niech Bóg zlituje się nad waszymi duszami!

Sinclair poczuł, jak wiele rąk przenosi ich za burtę.

- Ostatni przegrywa!

Ktoś ryknął śmiechem i zaraz potem Sinclair runął głową w dół, do wtóru krzyku zgrozy Eleanor, w dół, w dół, do wody. Trwało to dłużej niż się spodziewał, aż wreszcie roztrzaskali cienką lodową skorupę. Krzyk Eleanor nagle się urwał, całkowicie, zapanowała wszechwładna cisza i łańcuchy ściągały ich w dół, a oni opadali szybko, szeroką spiralą, w lodowatej czarnej wodzie. Wstrzymywał oddech przez wiele sekund, lecz wtem, chociaż mógłby go jeszcze wstrzymać przez kilkanaście następnych, za jednym zamachem wypuścił z płuc całe powietrze... oddając się śmierci i temu wszystkiemu, co czekało na nich na dnie oceanu.

CZĘŚĆ I

WYPRAWA

I wtem nadleciał sztorm,
Mocarny, tyraniczny,
I gnał nas na południe, gnał,
Wszechpan o skrzydłach silnych.

Skłoniwszy maszty, dziobem ryjąc fale,
Jak ten co klątwą i kułakiem
Cień wroga śledzi stale, stale,
Chyląc uparcie głowę,
Statek żwawo pędził, sztorm ryczał zawzięcie,
W głąb południowej strony.

Rymy sędziwego marynarza

Samuel Taylor Coleridge, 1798

ROZDZIAŁ 1

Czasy współczesne

19 listopada, południe

Dzwonił dzwonek przy drzwiach i chociaż Michael go słyszał, nie chciał się obudzić; utknął w zbyt przyjemnym śnie. Była w nim Kristin i jechali dżipem górską drogą. Oparła gołe stopy o tablicę rozdzielczą, radio grało na cały regulator, a Kristin zanosila się od śmiechu, odchylając głowę. Powiew z okna unosił jej blond włosy.

Dzwonek znów zaalarmował serią krótkich dźwięków. Ten, kto stał za drzwiami, nie zamierzał tylko pocałować klamki.

Michael podniósł głowę z poduszki - co to leżało obok jego twarzy, pusta torebka po chrupkach? - i popatrzył na podświetlone cyfry budzika. 11.59. Michael przetarł oczy i w tej samej chwili zegar pokazał dwunastą.

Dzwonek.

Michael odrzucił przykrycie, opuścił nogi na podłogę.

- Dobra, dobra, weź sobie na wstrzymanie - wymamrotał. Włożył wiszący na drzwiach szlafrok i poczłapał do drzwi sypialni. Przez mleczną szybę drzwi wejściowych widział sylwetkę stojącego na stopniach człowieka w kurtce z kapturem. Podeszedł bliżej.

- Też cię widzę, Michael. Otwórz te drzwi, na dworze można zamarznąć.

To był Joe Gillespie, jego szef w „Eco-Travel Magazine”. Michael zwołnił zasuwę i otworzył drzwi. Kiedy gość przestępował próg, zimny deszcz zrosił gołe nogi gospodarza.

- Przypomnij mi, żebym następnym razem wziął robotę w „Miami Herald” - powiedział Gillespie, przytupując.

Michael zabrał ze schodków przemoczony egzemplarz „Tacoma News Tribune” i jeszcze spojrzał na odległą, spowitą chmurami grań Cascades. To przede wszystkim z tego powodu kupił ten dom. Z powodu tego widoku. Teraz był tylko koszmarnym przypomnieniem. Strzepnął gazetę i zamknął drzwi.

Gillespie stał na wytartym bieżniku, utkanym przez Kristin. Woda ściekała z jego kurtki. Odrzucił kaptur i resztki włosów opadły mu wokół głowy.

- Sprawdzasz jeszcze w ogóle maile? - spytał. - Albo automatyczną sekretarkę?

- Tylko jak muszę.

Gillespie westchnął z frustracją i rozejrzał się po zaśmieconym pokoju.

- Jezu, Michael, masz akcje Domino's Pizza? Tak to wygląda.

Michael ogarnął wzrokiem pudełka po pizzy i puste butelki po piwie leżące na niskim stoliku i wokół kominka.

- Ubieraj się - zarządził Gillespie. - Idziemy na lunch.

Nadal nieprzytomny Michael stał jak kołek, z mokrą gazetą w dłoni.

- Rusz się, ja stawiam.

- Daj mi pięć minut - powiedział Michael, rzucił Gillespiemu gazetę i ruszył się z miejsca.

- Masz dziesięć! - krzyknął za nim szef. - Dorzuć golenie i prysznic.

Michael skorzystał z rady. W łazience włączył bojler i grzejnik. Dom był zawsze zimny, pełen przeciągów i chociaż Michael często sobie przysięgał, że któregoś dnia go uszczelni i przeprowadzi podstawowy remont, ten dzień nigdy nie nastąpił. Woda zaraz powinna się zagrzać. Kryta lustrem szafka z lekarstwami była otwarta. Stało w niej kilkanaście buteleczek ze środkami dostępnymi tylko na receptę. Sięgnął na dolną półkę po ostatni przeciwdepresant przepisany przez terapeutkę i połknął tabletkę, popijając ją letnią już wodą.

Potem, chociaż wzdrygał się na tę perspektywę, zamknął szafkę i spojrzął w lustro. Tego dnia jego zmierzwione czarne włosy były w jeszcze większym nieładzie niż zwykle, po jednej stronie poskręcane w kędziory, po drugiej zupełnie przyklepane. Ciemne oczy miały czerwone obwódki i były zmętniałe. Nie golił się od kilku dni i chociaż przysięgłby - czy to możliwe? - że dopiero co stuknęła mu trzydziestka, kilka włosów na brodzie mu posiwiało. Uskrzydłony Rydwan Czasu...² niech to szlag. Założył nową żyletkę i ogolił się na łapu-capu.

Po letnim prysznicu wskoczył w dzinsy, dzinsową roboczą koszulę i najczystsza, najbardziej suchą parę butów, jaką udało mu się znaleźć przy drzwiach frontowych. Gillespie rozłożył się na wygniecionym skórzanym fotelu i ostrożnie odklejał kolejne strony gazety.

- Pozwoliłem sobie podnieść rolety i wpuścić trochę światła. Mógłbyś czasem tego spróbować.

Wsiedli do samochodu Gillespiego - oczywiście japońskiej hybrydy - i pojechali do Olympic, tej samej co zawsze taniej restauracji. Chociaż wystrój nie rzucał na kolana - łoże wyłożone sztuczną skórą, linoleum na podłodze i karuzelki z ciastkami podświetlone upiorną bielą - Michael lubił w niej jadać. Olympic od sieciowej restauracji lub, nie daj Boże,

² Zwrot wszedł do języka potocznego z wiersza Andrew Marvella *Do cnotliwej kochanki*

Starbucks, dzieliło niemal wszystko. Ale śniadania serwowano tam do północy. Michael zamówił Smakołyk Drwala, Gillespie - grecką sałatkę, twarożek i ziołową herbatę.

- No, proszę, proszę - powiedział Michael. - Nie przesadzasz?

Gillespie się uśmiechnął, wsypując do herbaty połówkę torebki słodziku.

- A co mi tam... gazeta płaci.

- No, to biorę deser.

- Dobry pomysł - pochwalił go Gillespie. - Ośmielę się zaryzykować porcję bezy cytrynowej.

To był ich odwieczny dowcip. Podejrzewali, że tort na szczycie karuzelki nie był ruszany, co dopiero wymieniany, od czasu gdy odwiedzili ten lokal po raz pierwszy. Miało to miejsce pięć lat temu.

Zabrali się do jedzenia i Michael odruchowo zarejestrował, że Gillespie położył na ławce kopertę z naklejką „Polecony”. Od czasu od czasu dotykał jej, jakby chciał się upewnić, że nie zniknęła. Michael uznał, że musi być w niej coś ważnego, skoro szef nie zostawił jej w samochodzie, i zapewne musi mieć jakiś związek z nim.

Rozmawiali o gazecie - zatrudniono nowego grafika, sprzedaż wzrosła, odeszła ładna recepcjonistka - i Seattle Mariners. Czasem chodzili razem na mecze na Safeco Stadium. Nie rozmawiali o Kristin - Michael wyczuwał, że Gillespie omija ten temat dużym łukiem - ani też o kopercie, aż Michael zebrawszy bułeczką żółtko z talerza, w końcu poruszył tę sprawę.

- Dobra, nie mogę się doczekać - powiedział, wskazując kopertę bułką. - To napięcie mnie zabije.

Gillespie przez chwilę udawał, że nie jest pewien, o czym mowa.

- To makieta mojego materiału o Yellowstone?

Gillespie spojrział na kopertę, zaciskając usta, jakby się zastanawiał.

- Nie, tamto poszło miesiąc temu. Wygląda na to, że nawet nie czytasz swojej gazety.

To była prawda i Michael poczuł się przyłapany na gorącym uczynku. W ciągu ostatnich kilku miesięcy rzadko zaglądał do poczty elektronicznej, rzadko sprawdzał stan rachunku bankowego, nie oddzwaniał. Wszyscy go rozumieli, ale w coraz większym stopniu wyczuwał, że świat zaczyna tracić do niego cierpliwość.

- Myślę, że to coś, na co powinieneś rzucić okiem - powiedział Gillespie, przesuważając kopertę po blacie.

Michael wytarł palce w serwetkę, otworzył pękatą kopertę i wyjął z niej stos kartek. Były tam zdjęcia - niektóre czarno-białe, zapewne satelitarne - i dokumenty opatrzone logo i pieczęcią National Science Foundation. Na wielu widniała nazwa „Cypel Adeli”.

- Co to jest Cypel Adeli?

- Stacja badawcza i nic poza tym. Badają wszystko od zmian klimatu po lokalną biosferę.

- Gdzie to? - spytał Michael, sięgając po kubek z kawą.

- Biegun południowy. A przynajmniej najbliższej bieguna jak to możliwe. Lęgowisko pingwinów Adeli.

Michael zastygł z kubkiem w rękę i poczuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach.

- Załatwienie tego wszystkiego i uzyskanie pozwoleń zajęło mi dobre kilka miesięcy - mówił dalej Gillespie. - Nie masz pojęcia, ile podań musisz złożyć i jakie biurokratyczne barykady pokonać, żeby wysłać dziennikarza na stację na biegunie. Przy National Science Foundation CIA to najbardziej otwarci ludzie na świecie. Ale w końcu dostaliśmy, co trzeba. Pozwolenie na miesięczny pobyt jednego reportera na Cyplu Adeli. Planuję artykuł na osiem do dziesięciu stron. Cztery kolorowe fotografie. Trzy, cztery tysiące słów. Duży materiał.

Michael łyknął kawy. Chciał zyskać na czasie i przemyśleć propozycję.

- Uprzedzę twoje zasadnicze pytanie - powiedział Gillespie. - Zwykła stawka za tekst, dodatkowa za zdjęcia. Plus koszty. Oczywiście w granicach rozsądku.

Michael nie wiedział, co powiedzieć ani co myśleć. Zbyt wiele rzeczy wirowało mu w głowie. Nie pracował - nawet nie myślał o pracy - od czasu katastrofy w Cascades i nie był pewien, czy jest gotów wrócić do dawnego życia. Lecz jednocześnie czuł się urażony. Przedsięwzięcie realizowano od miesiąca, a Gillespie mówi mu o nim dopiero teraz?

- Na kiedy to potrzebujesz? - spytał, nadal grając na czas.

Gillespie rozsiadł się wygodnie. Sprawiał wrażenie zadowolonego rybaka, który poczuł szarpnięcie żyłki.

- W tym sęk. Musiałbyś wylecieć w piątek.

- Ten piątek?

- Tak. Tam nie ma rejsowych połączeń. Będziesz musiał lecieć do Chile - do Santiago - a potem do Puerto Williams. Stamtąd najdalej, na ile lody pozwolą, zabierze cię kuter Straży Przybrzeżnej, a potem już śmigłowiec. Więc widzisz, że możliwości komunikacyjne są bardzo ograniczone i w każdej chwili mogą być przekreślone przez pogodę. W tej chwili jest tam lato, więc można liczyć na plusową temperaturę.

Michael w końcu musiał zadać to pytanie:

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś?

- Wiedziałem, że obecnie nie jesteś zainteresowany pracą.

- A kto był?

- Kto był co?

- Daj spokój, Joe. Jak organizowałeś tę robotę od miesiący, musiałeś kogoś do niej ustawić. Więc kto to był?

- Crabtree.

Znowu Crabtree - ten facet zawsze dyszał mu w kark.

- No to czemu nie leci?

Gillespie wzruszył ramionami.

- Kanał.

- Jaki kanał?

- Chory kanał korzenia zęba, a tam nie puszczają nikogo, kto nie ma świadectwa zdrowia bez skazy i zmazy. Ponieważ na biegunie nie ma stomatologa na zawołanie, to żeby w ogóle marzyć o tym, aby się tam dostać, musisz dostarczyć zaświadczenie od dentysty, że masz wszystkie zęby w porządku.

Michael nie wierzył własnym uszom. Crabtree został skreślony, bo miał problem z dziąsłem?

- Więc powiedz mi, proszę - rzekł Gillespie, kładąc ręce na stole - że nie masz żadnych dziur, i że żadna plomba ci się nie rusza.

Michael odruchowo przejechał językiem po zębach.

- O ile mi wiadomo to nie.

- Dobrze. Tak więc zostaje nam pytanie zasadnicze. Jak myślisz, Michael? Jesteś gotów wrócić do zaprzęgu?

Tak, to było pytanie za milion. Gdyby usłyszał je wczoraj wieczorem, powiedziałby: nie i nie dzwoń więcej w tej sprawie. Ale czuł jakieś wiercenie w brzuchu, coś, czego istnieniu nie mógł zaprzeczyć - płomyk starego podniecenia. Całe życie był pierwszy do każdego wyzwania, do wspinaczki na nagą skałę, skoku na bungee, zejścia na dno rafy koralowej. I chociaż od miesiący hamował w sobie to uczucie, znów w nim wzbierało. Zerknął na zdjęcie satelitarne na górze kupki - stacja przypominała kilka byle jak rozstawionych wagonów towarowych. Wokół lodowa równina nad kamienistym, nagim wybrzeżem, najbardziej ponure miejsce na świecie. Ale w jego oczach żadna brazylijska plaża nie mogła się z nim równać.

Gillespie nie spuszczał z niego oka, czekał. Zimny deszcz zacinał w okna restauracji.

W głowie Michaela zaczęła zachodzić jakaś zmiana. Nie potrafił oderwać palców od ziarnistej fotografii. Chociaż... zawsze mógł powiedzieć „nie”. Zawsze mógł wrócić do siebie i... co? Wypić kolejne piwo? Dalej bić się w piersi? Zmarnować kolejny kawałek życia, by

wyrównać to, co spotkało Kristin? (Chociaż nawet nie miał pojęcia, czy można to było jakoś wyrównać).

Albo mógł przyjąć propozycję. Popatrzył na kolejne zdjęcie. Zrobiono je z ziemi. Szopa na pustakach. Wokół kilka wylęgających się fok, jakby się opalały.

- A dałoby się wcześniej zjeść jeszcze kawałek tortu? - spytał, na co Gillespie triumfalnym gestem uderzył w stół i zawołał do kelnerki:

- Tort bezowy! Dla wszystkich!

ROZDZIAŁ 2

20-23 listopada

Kolejne dni, podczas których Michael gromadził cały niezbędny ekwipunek na wyprawę na Antarktydę, minęły jak z bicza strzelił. Większość ciepłych rzeczy miał w domu. Zakupił je przy okazji poprzednich wypraw, na Syberię i Alaskę, ale były inne sprawy, już nie tak proste. Na pierwszy ogień poszedł dentysta, u którego, jak Michael chwilę się obawiał, jego wyprawa mogła się przedwcześnie zakończyć.

- Wiesz, że masz ten niezalutowany ząb mądrości z prawej strony - powiedział doktor Edwards. - Za jakiś czas może dać ci dobrze do wiwatu.

- Ale teraz jest bardzo grzeczny.

- Jednak na twoim miejscu...

- Nie mogę go teraz usunąć. Nie mam czasu na czekanie, aż dziąsło się zagoi.

- Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegałem - powiedział lekarz.

- Nie będę mówił, przysięgam. Potrzebuję tylko pańskiego podpisu na formularzu dopuszczającym NSF.

Doktor Edwards poprawił trójogniskowe szkła i spojrzał na formularz. Michael nadal leżał na fotelu dentystycznym.

- Dwadzieścia lat praktyki i wiesz, nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Ja też nie. - Michael czekał na podpis jak na zbawienie.

- Antarktyda, co? - Stomatolog nie mógł oderwać wzroku od kartki papieru.

- Uhm.

- Zazdroszczę ci. Żebyś to ja miał tyle czasu, żeby sobie pozwolić na taki wypad.

Zabrzmiało to tak, jakby mówił o weekendowym wysokoju do Acapulco. Michael wciąż myślał o nieszczęsnym Crabtree i jego zaropiałym dziąśle.

Dentysta spojrzał jeszcze na zdjęcia rentgenowskie, które właśnie zrobił, nadal przypięte do negatoskopu.

- Ale nie widzę niczego nie w porządku poza tym cholernym zębem mądrości...

W końcu wyjął z kieszonki na piersiach długopis i podpisał się w wykropkowanym miejscu. Michael był na nogach, zanim lekarz zdążył go uwolnić od papierowej serwetki.

Następne przeszkody do wzięcia to: internista, kolejna seria badań i kolejna ryza papieru do wypełnienia. Przez lata Michael zaliczył więcej urazów niż przeciętny śmiertelnik - zwichnięcie barku, naderwania ścięgien, złamania kości - ale biorąc pod uwagę charakter pracy, podczas której często musiał docierać do miejsc niezalecanych reszcie ludzkości, można było powiedzieć, że do tej pory mu się upiekło. Internista nie znalazł żadnych powodów do niepokoju. Przed podpisaniem formularzy miał tylko jedno pytanie.

- A jak sobie radzisz pod względem psychicznym? Chodzisz do tej terapeutki, do której cię skierowałem?

Michael słusznie się obawiał. To pytanie musiało paść.

- Już wszystko gra - odpowiedział. - Jadę na lexapro. Działa jak marzenie. - Tak naprawdę nie potrafił powiedzieć, czy środek w ogóle poskutkował; po prostu nie chciał żadnej rysy na świadectwie zdrowia. - Najlepiej zrobiłoby mi - dodał z tak jasnym błyskiem w oku, na jaki tylko było go stać - wyrwanie się z miasta i powrót do pracy.

Internista kupił to.

- Zgadzam się - rzekł, składając podpis u dołu formularza.

- Żałuję, że sam nie mogę tam lecieć.

Michael nigdy się nie spodziewał, że tak wielu ludzi marzy i śni o Antarktydzie.

Ale pozostawała jeszcze jedna przeszkoda. Najtrudniejsza.

Od lanczu z Gillespiem wiedział, co go czeka, i robił wszystko, co mógł, by odwlec tę chwilę. Pełną parą szykował się do wyjazdu. Zawiadomił pocztę, by jakiś czas nie doręczała mu korespondencji i prasy, poprosił sąsiada o przypilnowanie domu i okresowe włączanie ogrzewania w razie silniejszych mrozów. Spędził kilka godzin w sklepie ze sprzętem fotograficznym, kupując wszystkie baterie, filmy, statywy i karty pamięci, które mogły mu się przydać. Oczywiście dysponował wszystkim co trzeba, i nie tylko, ale chciał mieć sto procent pewności, że na tego rodzaju wyprawie, w miejscu, w którym nie było co marzyć o kupnie nowego światłomierza po padnięciu starego, ani w ogóle czegokolwiek, niczego mu nie zabraknie. Po części był zadowolony, że wciąż jest zajęty; w końcu uwolnił się od własnych myśli, wyszedł poza błędny krąg poczucia winy i samopiętnowania. Mógł się skupić na innych rzeczach, na przyszłości, na czymś, co miało szybko nadejść.

Ale gdzieś na dnie pamięci żyła świadomość istnienia ostatniej przeszkody i wiedział, że nie może dłużej odsuwać jej na bok. Musiał złożyć wizytę w szpitalu miejskim w Tacomie.

Na oddziale dla pacjentów w stanie śpiączki, gdzie nie był mile widziany i o tym wiedział.

Po drodze wyobrażał sobie wszelkie możliwe nieprzyjemności, które mogły go spotkać, i zbierał siły. Rodzice Kristin przebywali w szpitalu prawie na okrągło, przynajmniej jedno z nich. Ale w porze kolacji mogli wyjść coś zjeść. Wszedł na oddział i wpisał się na listę gości.

Dyżurna pielęgniarka przywitała go słowami:

- Miło pana znów widzieć, panie Wilde. Kristin na pewno się ucieszy, że pan przyszedł.

Jednak gdy szedł korytarzem, zastanawiał się, jaki tak naprawdę był sens tych słów.

Kristin od kilku miesięcy leżała w śpiączce. Z tego wszystkiego co powiedzieli mu lekarze (choć nie był członkiem rodziny i formalnie biorąc, nie powinni mu nic mówić) wynikało, że miała w niej pozostać na zawsze. Spadła ze zbyt dużej wysokości, zbyt wiele czasu upłynęło przed dowiezieniem do szpitala, doznała zbyt rozległych uszkodzeń mózgu. Na dobrą sprawę była już martwa.

Pozostało z niej tylko to, co widział - nieruchoma postać tak szczupła, że jej kontur ledwo się rysował pod bladoniebieską kołdrą, spoczywająca wśród płataniny rurek i otoczona mrugającymi, popiskującymi monitorami. Czekał na zewnątrz, za szybą, patrząc przez pióra żaluzji. I gdyby sobie na to pozwolił, uwierzyłby, że Kristin nie jest. Jasne włosy (które jej matka regularnie myła) rozsypane na poduszce, na twarzy wyraz spokoju, oczy zamknięte. Tylko cera - kiedyś spalona słońcem - była teraz blada i podrażniona, szczególnie w okolicach ust i nosa. Zbyt wiele rurek i urządzeń podłączano i odłączano.

Ale nie spostrzegł jej rodziców i odetchnął z ulgą. Rozpiął kurtkę, wszedł do pokoju i stanął jak wryty, słysząc:

- Witaj, nieznajomy.

Przeżył krótki szok. Miał wrażenie, że to Kristin znów do niego przemówiła, ale gdy się odwrócił, zobaczył jej siostrę. Karen siedziała z podwiniętymi nogami na fotelu w kącie.

- Nie chciałam cię nastraszyć - przeprosiła. Miała na kolanach potężnych rozmiarów księgę, zapewne jeden z podręczników prawa, i jak zawsze, ku smutkowi Michaela, przypominała mu starszą siostrę. Były jak dwie krople wody - te same przenikliwie patrzące niebieskie oczy, te same proste białe zęby i zmierzwione blond włosy. Miały nawet podobny timbre głosu. Kiedy mówiły, w ich głosach pobrzmiwał kpiący, przemądrzały ton.

- Cześć, Karen.

Nigdy nie wiedział, co jej powiedzieć; czuł się kompletnie bezradny. Kristin była tą ruchliwszą siostrą, nigdy nie potrafiła usiedzieć w domu, Karen z kolei - cichą, sumienną studentką, która zawsze ślęczała nad książkami i notatkami rozłożonymi na jadalnianym stole. Michael niezmiennie zamieniał z nią kilka słów, kiedy przychodził po Kristin, ale miał równie niezmiennie uczucie, że przeszkadza w czymś ważniejszym.

- No, jak ona się czuje? - Wiedział, że to głupie pytanie, ale nie było go stać na nic innego.

Karen się uśmiechnęła - uśmiechem Kristin, podnoszącym prawy kącik ust - i powiedziała kpiąco:

- Tak samo, jak zawsze. - W jej głosie nie było rezygnacji.

- Ktoś od nas zawsze tu jest, a rodzice prawie cały czas, więc im powiedziałam, żeby poszli do Applebee na wczesną kolację.

Michael skinął głową i spojrzał na rękę Kristin leżącą na pościeli. Palce miała szczuplejsze i węższe niż kiedyś, a do serdecznego przyczepiono czarny napastrzek, czujnik.

- Przez cały tydzień nie miała żadnego ataku ani nic - powiedziała Karen. - Nie wiem, czy to dobry sygnał czy nie.

A jaki byłby dobry sygnał? zadał sobie w duchu pytanie Michael. Wiedział, że Kristin - prawdziwa Kristin, żywa Kristin, ta, która chciała wejść z nim na każdy szczyt i zbadać każdą puszcę - nigdy nie wróci. Więc na co mieli nadzieję? Na sygnał, że w końcu traci siły? Na znak, że nawet maszyny nie mogą wiecznie utrzymać przy życiu ciała w tym czyszcowym stanie?

- Nie masz nic przeciwko, żebym siadł na łóżku? - spytał.

- Ależ proszę.

Przysiadł ostrożnie na krawędzi, kładąc dłoń na ręce Kristin. Wyczuwał kości tak delikatne jak skrzydło ptaka.

- Uczysz się? - spytał, głową wskazując książkę nadal leżącą na kolanach Karen.

- System uzyskiwania odszkodowań i jego reforma. - Zamknęła z hukiem książkę. - Tylko patrzeć, jak zrobią z tego film.

- Z Tomem Cruise'em?

- Raczej z Wilfordem Brimleyem.

Bez pukania weszła salowa, oczyściła kosz z plastikowych torebek, które wrzuciła do stojącego na zewnątrz wielkiego pojemnika na odpadki. Kiedy wyszła, Karen powiedziała:

- Miło cię znów zobaczyć. Co porabiałeś?

- Niewiele. - Prawdziwsze słowa nie padły. Karen wiedziała - a kto nie? - że po wypadku się zagubił. - Ale chciałem wpaść - dodał - zanim w piątek wyjadę.

- Ach. Dokąd to?

- Na Antarktydę. - Sam jeszcze się z tym nie oswoił.

- Rany. To zlecenie, zakładam?

- „Eco-Travel”. Dopiero co zdobyli dla mnie pozwolenie; przez miesiąc będę siedział w małej stacji badawczej koło bieguna.

Karen odłożyła książkę na podłogę.

- Kristin by ci zazdrościła.

Michael odruchowo się obejrzał. Ale oczywiście twarz Kristin nic nie wyrażała, nie było w niej życia, niczego. Przebywając w tym pokoju, zawsze czuł się rozdarty - nie wiedział, czy powinien mówić, tak jakby Kristin była w jakiś sposób obecna, jakby mogła go usłyszeć i nadążała za tym, co się wokół niej dzieje (choć wiedział, że to niemożliwe), czy też zachowywać się, jakby jej nie było? Pierwsza opcja wydawała się zakłamaną, druga okrutną.

- Wiesz, Kristin miała kilka książek o Antarktydzie - powiedziała Karen. - Wciąż stoją na jej półce. Wyprawa Ernesta Shackletona, takie tam. Jakbyś chciał, to ci je przywiozę.

A teraz rozdzielali jej rzeczy. W jej obecności. A może nie. Gdzie ona jest? Spytał się w duchu. Czy to możliwe, że coś się tam zachowało, jakiś cień świadomości szybujący gdzieś w kosmicznej pustce, o którym nie wiedzieli?

- Dzięki. Zastanowię się nad tym.

- Tylko nie mów nic przy rodzicach. Wciąż im się zdaje, że Kristin wróci do domu i znów wszystko będzie dobrze.

Michael skinął głową. On i Karen mieli na temat Kristin takie samo zdanie, chociaż w gruncie rzeczy nigdy o tym nie rozmawiali. Kiedy poznali diagnozę, przyjęli ją do wiadomości. Karen nawet obejrzała skan mózgu, na którym widniał - w postaci czarnej plamy, jakże stosownie - rozległy fragment już uległy atrofii. Opisując go Michaelowi, powiedziała, że wyglądał jak „ciemna wioska, w której oknach domów przeblyskują tylko jedno czy dwa światełka”. Ale nawet one przygasaly. Wcześniej czy później ciemność miała pochłonać również je.

Michael usłyszał z korytarza donośny głos głowy rodziny. Pan Nelson był największym dealerem samochodów w Tacomie i traktował wszystkich jak potencjalnych klientów. Teraz witał się z pielęgniarkami w recepcji. Michael wstał, wymieniając spojrzenia z Karen; oboje wiedzieli, co się święci, i zdawali sobie sprawę, że nie da się tego uniknąć.

Kiedy Nelson wszedł i zobaczył Michaela przy łóżku, zatrzymał się tak nagle, że żona na niego wpadła. Karen również wstała, w razie konieczności gotowa bronić Michaela.

- Chyba mówiłem, żebyś tu więcej nie przychodził - powiedział Nelson.

- Michael tylko chciał się pożegnać - wtrąciła Karen, stając między dwoma mężczyznami.

- Wyjeżdża.

Pani Nelson obeszła męża. W ręce miała papierową torebkę z resztą kolacji. Michael nigdy nie był pewien, czyją stronę trzyma ta kobieta. Co do Nelsona nie miał żadnych złudzeń, doskonale zdawał sobie sprawę, że wini go za wypadek. Zresztą wiedział już wcześniej, że nie jest przez niego lubiany - tak jak każdy chłopak, który pozbawił ojca uczuć córki. Jednak pani Nelson rzadko miewała okazję wypowiedzieć trzy słowa, zwykle mąż jej przerywał, tak więc stan jej uczuć pozostawał nieznanym.

Michael wiedział jedno. Jego jedynym sojusznikiem jest Karen.

- Dopiero co przyszedł - mówiła teraz. - Kristin byłaby zadowolona.

- Nikt nie wie, czego chce Kristin...

Michael zauważył, że mówiąc o córce, ojciec odruchowo używa czasu teraźniejszego.

- ...ale wiem, czego ja chcę - ciągnął dalej ojciec. - I czego chce jej matka. Chcemy, żeby odpoczywała, dochodziła do zdrowia i nie myślała o tym, co się stało. Rozpamiętywanie przeszłości może tylko cofnąć cały proces.

- Przykro mi, że pan tak uważa - wydukał Michael. - Nie będę więcej pana denerwował. Pożegnałem się z Kristin, więc już pójdę.

Odwrócił się, po raz ostatni spoglądając na Kristin, nieruchomą i milczącą jak posąg, po czym minął jej ojca, który nie ruszył się nawet o cal, by ułatwić mu przejście. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że pani Nelson patrzy na niego przyjaźnie.

Był w połowie korytarza, gdy usłyszał za plecami szybkie, coraz bliższe kroki. To była Karen. Dlaczego musiała tak bardzo przypominać mu siostrę? Mówiąc, złapała go za rękaw.

- Wiem, że Kristin tu nie ma, ty wiesz, że jej nie ma, ale rodzice wciąż myślą...

- Wiem, co myślą.

- Gdybyś chciał obejrzeć te książki...

- Dzięki, zastanowię się nad tym - obiecał, wiedząc, że tego nie zrobi. I wiedząc, że nie chodzi jej o książki.

Przeszła salową, hałasując pojemnikiem na śmieci.

- Ale gdyby była, nie wiem, może gdyby jakaś jej część wciąż tu była - powiedziała Karen - to na pewno cieszyłaby się, że przyszedłeś.

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Z trudem dobierała słowa.

- Wiem, że naprawdę ją kochałeś, i ja też ją kochałam, może tylko raz nie, kiedy ukradła mi łyżwy i złamała ostrze - roześmiała się i puściła go - i wiem tylko, że chciałaby, abym ci powiedział, żebyś na siebie uważał na tej wyprawie.

Michael się uśmiechnął.

- Będę na siebie uważał.

- Nie, naprawdę - powiedziała z naciskiem. - Poważnie. Uważaj tam na siebie.

Objął ją ramieniem.

- Święcie przysięgam nie zgubić rękawiczek, zawsze nosić czapkę i nie odmrozić sobie uszu.

Łagodnie go odepchnęła.

- Bo inaczej Krissy byłaby na ciebie wściekła... i ja też będę.

- Tego bym się bał.

- A bój się, bój.

- Karen! - krzyknął pan Nelson, wystawiając głowę z pokoju.

- Twoja matka ma do ciebie słowo.

Dziewczyna zagryzła wargę.

- Karen, już...!!!

Michael pogładził ją po ramieniu, odwrócił się i minął stanowisko pielęgniarek. Tym razem żadna nawet się do niego nie odezwała.

ROZDZIAŁ 3

1889 rok

Zieleń... głęboka, lśniąca, szmaragdowa zieleń.

O tymże śniła.

Zieleń traw na pastwiskach hrabstwa York.

Zieleń liści w słoneczny dzień w Regent's Park.

Zielone sukno na bilardowych stołach w klubie przy Pall Mall. (Paniom nie wolno było wchodzić na górę, ale Sinclair znalazł sposób, aby ją przemycić obok łoży portiera i tylnymi schodami dla służby).

Zielone wody Bosforu...

Póty była kontenta, póki mogła się nurzać w zieloności. Wspomniła zapach pól, pośród których dorastała... wilgotną trawę kładącą się w letnim powiewie, stojące na jej tle białoczarne krowy... falujące zielone wzgórza o zmierzchu, słońce lśniące jak złoty kieszonkowy zegarek ojca...

Czuła fakturę liści, gładkich, równych i jakby woskowanych, gdy podczas południowej przerwy w pracy w szpitalu szła miejskim parkiem. To było tylko pół godziny, ale w tym czasie - i jeśli wiatr wiał ku Tamizie - mogła zaczerpnąć świeżego powietrza wyzbytego woni krwi, morfiny czy eteru. Czasem przed powrotem na sale napychała kieszenie fartucha liśćmi i słodko pachnącymi kwiatami...

Zieleń morza... nigdy przed wyruszeniem do Turcji nie była na morzu. Zawsze sobie wyobrażała, że jest niebieskie, a może szare - jak prawie na każdym obrazie, który widziała - lecz patrząc z pokładu na zmierzwione fale, ze zdziwieniem dostrzegła zielony odcień przypominający zgaszoną patynę na posągach w Royal Museum (Sinclair ją tam zabrał na krótko przed wyruszeniem na wojnę)...

Ale na tym kończyły się marzenia... jak zawsze... i zimna dłoń spoczywała na jej sercu. Znow musiała walczyć, jeśli chciała się zanurzyć w zieloności, zanurzyć w altanie wyobrażeń... rozgrzać lodowatą dłoń, która zakradła się pod jej gorset i mroziła szpik w kościach, tysiąc razy przeszła tę drogę i obawiała się, że będzie musiała ją pokonać następne tysiące, zanim się ocknie... zanim się ocknie z tego dziwnego snu, który nadal ją więził...

ROZDZIAŁ 4

24 listopada, 10.25

Wychodząc z samolotu w Santiago, Michael zauważył rudego facecika i od razu się zorientował, że to naukowiec. W tych gościach po prostu było coś takiego, że z miejsca wiedziało się, że to oni, chociaż Michael za diabła nie umiałby powiedzieć, co to jest. Nie chodziło o nic rzucającego się w oczy, o smród formaldehydu czy sterczący z kieszeni kątomierz, nie, to była raczej sprawa zachowania. Mieli w sobie coś takiego - a Michael naoglądał się ich na kopy, fotografując i opisując świat natury - że potrafili być jednocześnie kompletnie roztargnieni i bardzo skupieni. Potrafili jednocześnie być w grupie i poza grupą. I chociaż niektórzy z nich wyłazili ze skóry, by się dopasować, nigdy naprawdę im się to nie udawało. Pod tym względem mieli kompletnie przegwizdane. Jak niektóre osobniki z ogromnej ławicy samogłówów, którą Michael fotografował na Bahamach. Wszystkie szukały bezpieczeństwa i parły do środka stada, ale nie wiedzieć czemu niektóre pozostawały na obrzeżach, nigdy niedopuszczane do centrum.

I oczywiście pierwsze padały łupem drapieżników.

Czekając na samolot lecący do Puerto Williams, Michael zawlókł torbę do zatłoczonej poczekalni. Rudy siedział przy stoliku w kącie, sam, pochylony nad laptopem. Michael przepchał się na tyle blisko, że dojrzał skomplikowany diagram pełen kresek, strzałek i przecinających się linii, jakby topograficzny wykres. Przystanął nad facetem zaledwie na sekundę czy dwie, ale tamten zaraz się odwrócił, nie wstając z krzesła. Miał wąską twarz i również rude jak włosy jasne brwi. Zmierzył wzrokiem natręta i mruknął:

- Coś taki ciekawy? To nie twoja sprawa.

- Zdziwiłbyś się - odparł Michael i podszedł bliżej. - Ale nie chciałem przeszkadzać.

Czekam na samolot do Puerto Williams.

Zamilkł, sprawdzając, czy ten tekst zadziała. Udało się.

- Ja też - powiedział rudy.

- Można? - spytał Michael, dosiadając się do stolika i zajmując ostatnie wolne miejsce w całej poczekalni.

Postawił torbę na podłodze, wkładając nogę w uchwyt (ten zwyczaj wszedł mu w krew podczas wielu nocnych lotów w obcych krajach), wyciągnął rękę i się przedstawił:

- Michael Wilde.

- Darryl Hirsch.

- Do Puerto Williams, co? To twój ostatni przystanek?

Hirsch kilka razy stuknął w klawiaturę, po czym zamknął laptopa. Popatrzył na rozmówcę takim wzrokiem, jakby nie wiedział, co o nim sądzić.

- Nie pracujesz dla żadnej rządowej agencji wywiadowczej czy czegoś podobnego, co? Bo jeśli tak, to strasznie marnie ci to wychodzi.

Michael roześmiał się serdecznie.

- Skąd to podejrzenie?

- Jestem naukowcem i żyjemy w epoce kretynów. Zakładam, że mnie śledzisz, bo chcesz się upewnić, czy nie szukam dowodów na globalne ocieplenie - chociaż wystarczy się rozejrzeć, żeby zobaczyć, że następuje. Czapy lodowe na biegunach maleją, niedźwiedzie polarne wymierają, a teoria inteligentnego projektu idealnie spełnia zapotrzebowanie osłów na pseudomyślenie. A więc śmiało, aresztuj mnie.

- Wyluzuj. Wybacz, ale mówisz trochę jak paranoik.

- To, że jestem paranoikiem - zauważył Darryl - to jeszcze nie znaczy, że nie mogę być śledzony.

- Masz całkowitą rację - odparł Michael. - Ale lubię sobie wyobrazać, że jestem pozytywnym bohaterem. Pracuję dla „Eco-Travel Magazine”. Piszę i fotografuję. Lecę na Antarktydę zebrać materiał o życiu na stacji badawczej.

- Której? Masa krajów zbudowała stacje na biegunie. To taki sygnał, że roszczą sobie pretensje do tych terenów.

- Cypel Adeli. Najbliżej bieguna jak tylko się dało.

- Och - mruknął Hirsch, przeżuując tę informację. - Ja też się tam wybieram. No, proszę. - Mruczał takim tonem, jakby jeszcze nie zrezygnował z teorii spiskowej. - Proszę, proszę. - Postukiwał palcami po obudowie laptopa. - A więc dziennikarz.

Michael dojrzał w oku Hirscha znany mu błysk. Widział go już miliony razy. Na wieść, że mają do czynienia z dziennikarzem, ludzie okazywali zdziwienie, uznanie, a potem - zaledwie ułamek sekundy później - uświadamiali sobie, że są o krok od sławy. A przynajmniej od zostania bohaterami artykułu. Tak wyglądali, jakby w głowach zapalała się im żaróweczka.

- Wspaniale - ciągnął dalej Hirsch. - Co za zbieg okoliczności. - Z wystudiowaną nonszalancją otworzył laptopa i zaczął stukać w klawisze. - Pozwól, że ci coś pokażę. - Odwrócił ekran do Michaela. Był na nim ten sam diagram co poprzednio. - Widzisz dno morskie pod szelfem kontynentalnym, pod lodem wokół Cypla Adeli. Tu kończy się szelf, a tu - wskazał palcem z obgryzionym paznokciem - opada gwałtownie, tworząc, jak to nazywamy, grzbiet podmorski. Zamierzam tam zejść może na kilkaset metrów. Przy okazji. Jestem biologiem morskim. Wood Hole Oceanographic. Szczególnie interesuję się nototeniowcami żyjącymi w strefie przydennej Antarktydy, ślimakami morskimi, rybami węgorzycowatymi i buławikowatymi. Wiesz, o czym mówię, nie?

Michael przytaknął, chociaż w duchu musiał przyznać, że jego wiedza na ten temat była niezwykle pobieżna.

- I tym, jak ich metabolizm funkcjonuje w tak niewiarygodnie nieprzyjaznym środowisku. Jak pomyśleć, to wiele z tego, w czym teraz siedzę, to fantastyczny materiał zdjęciowy. Te stworzenia niesamowicie przystosowały się do swoich nisz ekologicznych i są absolutnie, fenomenalnie piękne. Przynajmniej moim zdaniem. Chociaż pewnie niektórym ludziom trudno byłoby to zauważyć. Ale też to, że na pierwszy rzut oka wydają się tak dziwne...

Nie było sposobu, aby zatrzymać ten potok słów. Hirsch nawet nie nabierał oddechu. Michael zerknął na stojącą przy komputerze filiżaneczkę po espresso i zadał sobie w duchu pytanie, ile kofeiny już wchłonął jego nowy towarzysz podróży.

- ...i wiele z tych stworzeń, nawet najmniejszych i najprościej zbudowanych, dźwiga w każdym zakątku ciała, od gruczołów potowych odbytu po kanaliki łzowe, całe światy pasożytów.

Mówił to tak, jakby opisywał wachlarz najwspanialszych uciech w parku rozrywki.

- Na pewno wiesz, jaka jest największa szansa przeżycia takiego pasożyta. Musi się postarać, żeby ten, którego podżera, został pożarty przez coś innego.

Michael się zastanawiał, czy facet zawsze, wszędzie i wszystkim funduje takie gadki.

- Wiesz na przykład, że larwa *acanthocephalan* celowo doprowadza do szału swojego żywiciela, obunoga?

- Nie - przyznał Michael. - Czemu miałyby to robić?

- Żeby żywiciel opuścił kryjówkę, zwykle miejsce pod kamieniem, i rzucając się wściekle, wypłynął na otwartą wodę, gdzie już czeka na niego ryba.

- Nie mów.

- Nie martw się, jak będziemy na miejscu, pokażę ci wiele takich okazów - pocieszył go Darryl. - To niesamowite.

Michael przeczuwał, że zanoszą się na kolejny pean na cześć oczekujących go na morskim dnie wspaniałości, gdy mały głośnik wyskrzeczwał komunikat - najpierw po hiszpańsku, potem po angielsku - że pasażerowie udający się do Puerto Williams mogą przechodzić do samolotu.

Podczas marszu przez zimną, wietrzną płytę lotniska i wchodzenia dostawionymi do małego samolotu krótkimi schodkami Hirschowi nie zamykały się usta. Wkroczył do środka, nawet się nie pochylając w drzwiach, podczas gdy Michael musiał się złożyć wpół, ratując głowę przed guzem. Było tylko dziesięć miejsc, w dwóch rzędkach z każdej strony przejścia, a że wszyscy mieli na sobie grube kurtki czy futra, ciężkie buty, ciepłe rękawice i czapy, zrobiło się bardzo ciasno. Wszyscy poza Michaeliem i Darrylem rozprawiali z zapalem po hiszpańsku i portugalsku. Hirsch zajął siedzenie obok Michaela. Gdy tylko samolot zaczął kołować na pas, skrzypiąc podwoziem i wyjąc silnikami, rozmowy ustały. Przejście było wąskie, ale aby nawzajem się słyszeć, pasażerowie musieli nadwyręzać gardła.

Michael zapiął pas i wyjrzał przez okrągłe okienko. Samolot z trudem startował, przypierany do pasa silnym przeciwnym wiatrem, ale gdy tylko oderwał się od podłoża, szybko zatoczył łuk nad poszarpanym klifem i skierował się na południe, wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Żołądek Michaela uspokoił się dopiero po dobrej chwili. W dole silne nieustające wiatry mierzwiły wysokie spienione fale. Michael wiedział, że zmierza do najbardziej wietrznego - a na dodatek najzimniejszego i zupełnie pozbawionego roślinności - miejsca na Ziemi. Lecieli wczesnym popołudniem, ale pora dnia czy nocy nie miała tu znaczenia. Światło było identyczne przez całą dobę. Latem słońce nigdy nie zachodziło. Wystawało nad północnym horyzontem niczym matowa srebrna moneta, obmywając wszystko przygaszonym blaskiem, podkreślanym przeblaskami przeraźliwej jasności lub pojawieniem się burzowych cieni. W nadchodzących tygodniach i miesiącach miało powoli podróżować po niebie, by 21 grudnia, podczas letniego zrównania dnia z nocą, osiągnąć zenit, po czym z końcem marca zniknąć, oddając niepodzielne rządy księżycowi.

Chociaż Michael chciał czuć przez cały lot, by zapamiętać każdą chwilę, przychodziło mu to coraz trudniej. Miał wrażenie, że podróżuje już wiele dni, z Tacomy do Los Angeles, z Los Angeles do Santiago i teraz z Santiago do Puerto Williams, najdalej na południe wysuniętego miasta na świecie. Opuścił zasłonkę i zamknął oczy. W samolocie było ciepło, tak naprawdę za ciepło, i nogi mu puchły w butach do wspinaczki. Ale był zbyt zmęczony, by się schylić i rozwiązać sznurowadła. Rozsiadł się w niewygodnym fotelu - kolana pasażera z tyłu wbijały mu się w krzyż - ale i tak zasnął. Nieustanny huk silników, ciasnota kabiny, stałe światło...

Jak zwykle zaczął śnić o Kristin - o wspólnie spędzonych szczęśliwych chwilach, kiedy pływali kajakiem w Oregonie albo uprawiali *parasailing* w Meksyku - ale im głębiej zasypiał, tym mroczniejszy i bardziej niepokojący stawał się sen. Aż nazbyt często przeżywał ten sam dziwny stan - śnił, mając świadomość, że śni - i choć usilnie starał się zebrać myśli i nadać im inny kierunek, wszystko na próżno. Ni stąd, ni zowąd znów siedział na kamiennej półce w Cascades, kulił się z zimna i obejmował Kristin. Ścisnął ją tak, że aż ramiona go bolały i tak mocno wbijał nogi w skałę, że tracił czucie poniżej kostek. Mówił do niej, mówił, jak wściekły będzie jej ojciec, a siostra będzie się śmiała z własnej hysterii. Ale gdy się obudził, potrząsany przez stewardesę, która kazała mu usiąść prosto przed lądowaniem, okazało się, że ścisnął plecak, a nogi utknęły mu między rurkami fotela.

Darryl był wesolutki jak szczygiełek - skutek paru espresso - i szczyrzył się od ucha do ucha.

- Wyjrzyj przez okno! - zawołał. - Jest po twojej stronie!

Michael się wyprostował, trąc zarost na podbródku, i podniósł zasłonę. Znów uderzyło go dziwne światło. Wolałby zamknąć oczy albo uciec wzrokiem, lecz dużo dalej i dużo niżej widniał koniuszek Ameryki Południowej, jakby ostry nosek buta zwężający się w miejscu złączenia Pacyfiku i Atlantyku. Na tym nosku dostrzegł drobną czarną smużkę.

- Puerto Williams! - wykrzyknął z uniesieniem Darryl. - Widzisz?

Michael musiał się uśmiechnąć - facet zaczynał mu się podobać, chociaż nie ulegało wątpliwości, że niełatwo było się do niego przyzwyczaić. Uniósł kciuk.

Pilot wydał po hiszpańsku jakieś instrukcje. Michael uznał, że należy z powrotem ustawić pionowo oparcie fotela. Samolot położył się na skrzydło i ostro zakręcił ku długiej linii najeżonych brązowych skał. Lecąc równoległe do nich, zapewne chroniony przed wschodnimi wiatrami, szybko tracił wysokość - Michael usłyszał, jak bębny w uszach mu strzelają niczym otwierane butelki szampana - i pilot zmniejszył obroty silników. Przez chwilę wydawało się, że spadają, ale Michael usłyszał huk opadającego podwozia i poczuł, że nos maszyny lekko się unosi. Silniki przestały hałasować i samolot szybował niczym ptak, schodząc w kierunku ziemnego pasa startowego. Podskoczył i potoczył się gładko w kierunku zardzewiałych hangarów, udającej terminal budy i wieży kontrolnej.

Michael przysiągłby, że ta ostatnia budowla odchyła się od pionu o dziesięć stopni.

Kilkoro pasażerów zgotowało pilotowi owację, na co ten powiedział:

- *Muchas gracias, señoras y señores, y bienvenidos al fine de la tierra.*

Michael zrozumiał bez tłumacza. Witajcie na krańcu Ziemi.

ROZDZIAŁ 5

24 listopada, 16.15

Kapitan Benjamin Purcell, dowódca lodolamacza „Constellation” zaczynał się niecierpliwić. Ze swojej kabiny słyszał przylot samolotu transportującego jego dwóch ostatnich pasażerów, ale to było dobrą godzinę temu. Gdzie do diabła się podziewali? Ile mogło trwać dotarcie z lotniska do portu? Puerto Williams (2512 mieszkańców według ostatniego spisu ludności) nie oferował zbyt wiele atrakcji turystycznych. Poza „Proa del Escampavia Yelcho” - kilem kutra, który w tysiąc dziewięćset szesnastym roku uratował z Wyspy Słoniowej głodującą załogę Ernesta Shackletona - niewiele było do zwiedzania. Purcell niemal dziesięć lat pływał między położonymi najdalej na południu portami Chile i Argentyny i nadal nie dostrzegał większej współpracy czy przyjaźni między tymi krajami niż wtedy, gdy zaczynał. Do tej pory nie było stałej łączności promowej między północnym brzegiem Isla Navarino, czyli Puerto Williams, i jego argentyńskim odpowiednikiem, Ushuaia.

Wszedł na mostek, gdzie podczas cumowania w porcie wachtę pełnił chorąży Galio. Poza wyrastającą na czterdzieści pięć stóp wieżą dowodzenia, z której wypatrywano gór lodowych, mostek oferował najlepszy widok na port i to, co szumnie nazywano miastem. Kilkaset jardów dalej, przy Muelle Guardian Brito, czyli głównym nabrzeżu, cumował norweski statek wycieczkowy, z którego salonów dobiegało dudnienie starego hitu Abby. *Dancing Queen*?

- Podaj mi ją - polecił chorążemu, wskazując lornetkę leżącą obok koła sterowego. Spojrzał w górę, w kierunku Centro Commercial - kilku sklepów z wyrobami rzemiosła, domu towarowego i poczty - wypatrując każdego, kto wyglądałby na fotografa-dziennikarza lub biologa morskiego. Udało mu się dojrzeć tylko kilku starszych turystów starannie pozujących do zdjęć na tle dalekich, wielkich granitowych igieł, znanych jako Zęby Navarino. No, ale to oczywiste, że kiedy już zadali sobie ten trud i udali się w podróż do jednego z najbardziej odległych miejsc na Ziemi, to chcieli przywieźć do domów niekwestionowane dowody udziału w wyprawie.

- Jak tam zainstalowała się ta lekarka? - spytał.

- Świetnie, panie kapitanie - odparł Galio. - Nie narzeka.

- Gdzie ją umieściliście?

- Mat Klauber zaproponowała, że odda doktor Barnes własną kabinę.

Szczęśliwie się złożyło, pomyślał Purcell. Z kojami było krucho. Lekarka - jedna z trzech osób, które NSF przysłała na Cypel Adeli - okazała się słusznych rozmiarów Murzynką (ma dobrą wyściółkę na Antarktydę, pomyślał), dysponującą imponującą siłą. Kiedy dzień wcześniej pojawiła się na pokładzie i uściśniła mu dłoń, ledwo uratował palce przed zmiążdżeniem. Na podbiegunową stację badawczą pasowała jak ulał. Antarktyda nie była kontynentem dla mięczaków.

Purcell jeszcze raz omiół wzrokiem miasto i wreszcie dostrzegł dwóch mężczyzn spoglądających na port. Jeden z nich - mały rudzielec - pytał o coś chilijskiego rybaka. Ten skinął głową i unosząc rękę, z której nie wypuścił wiadra z przynętą, wskazał „Constellation”. Drugi facet był wysoki i kiedy obracał głowę, jego ciemne włosy fruwały w powietrzu (jak się niebawem okazało, były to koraliki na kapeluszu). Dźwigał wielką długą torbę i niebieski nylonowy plecak z czymś kanciastym w środku, zapewne laptopem.

Purcell spostrzegł, że zanim mężczyźni ruszyli do portu, rudzielec najął miejscowego chłopaka z taczka, by zawiózł jego bagaże.

- Są - powiedział. - Popędź ich.

Chorąży kilka razy nacisnął gwizdek okrętowy.

- Zebrać cumy - polecił jeszcze kapitan. - Zaraz odbijamy.

*

Kiedy Michael dźwigał torbę wzdłuż żelbetonowego nabrzeża, zobaczył schodzącego z trapu ubranego na biało marynarza. Statek był większy, niż oczekiwał, miał może czterysta stóp długości. Na pokładzie rufowym pod ogromną płachtą stał zabezpieczony śmigłowiec. Burty statku pomalowano na czerwono, jedynie bliżej dziobu biegły skośne, szerokie białe pasy. W rufie osadzono gigantyczne, wyglądające jak śmigła śruby. Michael uznał, że miążdżą lód, rozłupywany kadłubem. Krótko mówiąc, statek był wielką pływającą kostką.

- Doktor Hirsch? - spytał marynarz. - I pan Wilde?

- Jak najbardziej - odpowiedział Darryl, a Michael skinął głową.

- Chorąży Kazinski. Witam na pokładzie „Constellation”.

Kazinski zabrał rzeczy z taczki i gdy Hirsch wręczał młodemu bagażowemu kilka banknotów, odwrócił się na pięcie i szybko wspiął po trapie.

- Dowódcą jest kapitan Purcell - rzucił przez ramię. - Zaprasza na dzisiejszą kolację do mesy oficerskiej. O siódmej. Proszę się stosownie ubrać.

To znaczy jak? zastanowił się po cichu Michael. Zapomniał smokingu (zresztą i tak go nie miał).

Po wejściu na pokład rozejrzył się. Wznoszący się na dobre pięćdziesiąt stóp mostek zajmował całą szerokość pokładu. Wyżej było coś w rodzaju bocianiego gniazda zamontowanego na czymś podobnym do komina. Ten punkt obserwacyjny z pewnością zapewniał nie lada widoki. Michael postanowił zrobić z niego kilka szerokokątnych ujęć.

- Macie wspólną kabinę na rufie - rzekł Kazinski. - Proszę za mną, pokażę gdzie.

Kiedy szli do wąskich schodów, minęło ich biegiem kilku marynarzy; Michael usłyszał też tupot innych, zbiegających z mostka. Padło kilka zwięzłych komentarzy na temat cum, przełączenia zbiorników paliwowych i dowcip na temat technika sonaru, zupełnie niezrozumiały dla szczura lądowego, lecz wzbudzający ryk śmiechu załogi. Statek wyraźnie szykował się do wypłynięcia.

- Ilu macie chłopów na pokładzie? - spytał Michael.

- Załoga składa się ze stu dwóch mężczyzn i kobiet, proszę pana.

Michael usłyszał ton przygany w tej uwadze. Do tej pory nie dostrzegł żadnej kobiety, ale zapewne kręciły się tu jakieś. Jakby na potwierdzenie słów chorążego z luku wysunęła się wysoka, szczupła umundurowana kobieta. Pod pachą trzymała podkładkę do notowania. Kazinski natychmiast się wyprężył i zaszalutował.

Odpowiedziała mu tym samym, po czym wyciągnęła rękę do Hirscha.

- Z pewnością doktor Hirsch. Porucznik komandor Healey - Kathleen - pokładowy oficer operacyjny. - Otaczała ją aura rzeczowości; nawet wymykające się spod czapki krótkie kasztanowe włosy wydawały się przystrzyżone po to, by w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały w pełnieniu obowiązków. - A pan jest dziennikarzem? - spytała Michaela. - Proszę wybaczyć, widziałam pańskie nazwisko w porannym raporcie, ale nie zapamiętałam go.

Michael się przedstawił i powiedział:

- Miło mi, że tu trafiłem.

- Tak, czekaliśmy.

Michael zaczął odnosić wrażenie, że gdyby nie on i Hirsch statek już dawno byłby w drodze.

- Jesteście ostatni z grupy NSF - dodała Healey.

- A są inni? - spytał Hirsch.

- Tylko jedna osoba. Doktor Charlotte Barnes. Przyleciała dwa dni temu.

Z wysoka rozległ się kolejny długi gwizdek, od którego niemal pękały bębenki w uszach. Przebiegło trzech marynarzy. Pokład zadygotał, gdy obudził się prawy silnik.

- Panowie wybaczą...

Michael skinął głową i porucznik komandor odeszła, wydając liczne rozkazy.

- Tędy - powiedział Kazinski, znikając w luku.

Michael przepuścił Hirscha i ruszył za nim. Przejście było tak wąskie, że manewrowanie wielką torbą sprawiało trudność, zwłaszcza że była ciężka jak diabli. Dźwigał w niej sprzęt fotograficzny, starannie zabezpieczony przed zniszczeniem metalowymi futerałami i dodatkowo owinięty ubraniami.

- „Constellation” - mówił Kazinski - to jeden z największych kutrów floty Straży Przybrzeżnej. Waży ponad trzysta tysięcy ton, jest napędzany sześcioma silnikami diesla i trzema turbinami benzynowymi. Wieziemy ponad milion galonów paliwa. Pełna moc wynosi siedemdziesiąt pięć tysięcy koni mechanicznych, a na otwartych wodach prędkość sięga siedemnastu węzłów. Maksymalny kąt przechyłu podczas sztormu to dziewiętnaście stopni.

Ciekawe, jak wtedy czują się ludzie na pokładzie? - pomyślał Michael. Widział sztormy w Nowej Szkocji i przeżył szkwały na Bahamach, ale nigdy nie był na lodołamaczu podczas podbiegunowego sztormu.

- Mamy na to jakaś szansę? - spytał Hirsch. - Na dziewiętnastopniowe bujanie? - Powiedział to takim tonem, jakby wolał nie kosztować tej przyjemności.

- Nigdy nie wiadomo - odparł Kazinski i wchodząc do kolejnego luku, ostrzegł ich: - Tutaj ostrożnie. Latem morze nie bywa tak wzburzone jak zimą, ale zawsze to przyłodek Horn. W każdej chwili może coś wyskoczyć. Znowu ostrożnie.

Poprowadził ich kolejnymi krótkimi metalowymi schodami - iluminatory nagle zniknęły. Michael zdał sobie sprawę, że zeszli poniżej poziomu wody. Było duszno, wilgotno. Kiedy szli w kierunku rufy, migały jarzeniówki, rosły wibracje podłogi i wzrastał się hałas.

- No i jesteśmy - obwieścił Kazinski, pochylając głowę i wchodząc do kabiny. - Nie ma jak w domu.

Kiedy Michael i Darryl weszli za nim, ledwo się wszyscy pomieścili. Po każdej stronie pomieszczenia była wąska koja, z wojskową precyzją okryta kocami w paski; między nimi umieszczono składany metalowy blat. Na suficie jasno świeciła lampa z kloszem z mlecznego szkła, a w ścianie zamontowano sklejkowe drzwi do toalety; Michael poczuł zapach pleśni.

- Czy to kabina pierwszej klasy? - zażartował i Kazinski się roześmiał.

- Tak, proszę pana. Trzymamy ją tylko dla odwiedzających nas dygnitarzy.

- Bierzemy.

- Mądra decyzja. Ostatnie dwie koje na pokładzie, proszę pana.

Na szczęście wyglądało na to, że spartańskie warunki nie przeszkadzają również Darrylowi. Kiedy Kazinski wyszedł, naukowiec rozpiął zamek jednej ze swoich toreb i zaczął z niej wyrzucać ubrania na koję po prawej stronie kabiny. W pewnej chwili przerwał i spytał Michaela:

- Słuchaj, a może wolisz tę?

Michael potrząsnął głową.

- Bierz, którą chcesz. - Zsunął plecak na koję. - Ale gdy wieczorem będą kłaść czekoladki na poduszki, dostaniesz po łapach, jak tkniesz moją.

*

Podczas gdy Darryl nadal się rozpakowywał, Michael wyjął jeden ze swoich aparatów cyfrowych, dobrego do zwykłych szerokokątnych ujęć canona S80, i wyszedł na pokład. „Constellation” odbił od brzegu i wolno płynął kanałem Beagle’a, nazwanym na cześć HMS „Beagle”, którym Karol Darwin przybył na te wody w tysiąc osiemset trzydziestym czwartym roku. Temperatura powietrza była całkiem znośna, kilka stopni powyżej zera, i póki statek pozostawał w stosunkowo nieźle osłoniętym kanale, nie czuło się wiatru. Michael zrobił kilka ujęć, nie musząc wkładać rękawiczek i nie tracąc czucia w palcach. Zdjęcia zapewne nie miały się przydać do artykułu, ale lubił dysponować pełną dokumentacją fotograficzną wyprawy. Kiedy zaczynał pisać, przypominały mu poszczególne etapy podróży i za każdym razem przeżywał identyczne zdziwienie, że to co utrwaliło się w głowie, na fotografiach wygląda zupełnie inaczej. Już wiedział, że pamięć lubi płatać figle.

Port znikał w oddali. Bładozielone mchy i porosty okrywały linię brzegową. Dawniej tę chłostaną wiatrami krainę zamieszkiwali patagońscy Indianie. Kiedy szukający w 1520 roku bezpiecznej drogi na zachód Ferdynand Magellan zobaczył płonące na nagich wzgórzach i wybrzeżach ogniska, nazwał te terytoria Tierra del Fuego, Ziemią Ognistą. Teraz nie było tu ani ognia, ani ciepła, a już na pewno pierwotnych mieszkańców. Patagończyków zdziesiątkowały choroby i wyparli europejscy zdobywcy. Żyły tu jedynie stada petreli śnieżnych. Ptaki śmigały między nagimi klifami, opiekując się gniazdami i karmiąc młode. Kiedy Michaelowi palce zbyt przemarzły, by mógł utrzymać aparat, włożył go z powrotem do kieszeni kurtki, zasunął zamek błyskawiczny i po prostu patrzył, wsparty o reling.

Woda w dole była granatowa, mętna i niezmiennie skłębiona przy burtach. Od kiedy Gillespie przydzielił mu to zlecenie, Michael czytał o Antarktyce i wiedział, że wolny od lodów obszar wkrótce się skończy. Zaraz po tym jak miną kanał i opływając przylądek Horn, wejdą do cieśniny Drake’a, znajdą się na najbardziej burzliwych wodach świata. Michael nie

mógł się doczekać, kiedy zobaczy góry lodowe. Nawet teraz, latem, stanowiły zagrożenie. Fotografowanie tych pływających mas lodu, wydobywanie delikatnych odcieni, od oślepiającej bieli do ciemnej lawendy, było wielkim wyzwaniem - artystycznym i technicznym. Ale Michael lubił wyzwania.

Stał jakiś czas na pokładzie, aż zdał sobie sprawę z obecności jeszcze jednej osoby przy relingu - Murzynki z warkoczykami, otulonej w długą ciemnozieloną kurtkę. Nie wiedział, jak długo już tu jest. Stała może dwadzieścia stóp dalej, majstrując przy swoim aparacie. Był to chyba nikon z obiektywem 35 mm. Wycelowała aparat w wodę - właśnie wynurzyła się para lwów morskich, których gładkie czarne łby lśniły jak kule do kręgli. Michael zagaił:

- Niełatwo pstrykać z pływającego statku, co?

Podniosła wzrok. Miała szeroką twarz, wydatne kości policzkowe i wysokie brwi.

- Nigdy nie jest łatwo - odparła. - Nawet nie wiem, po co się staram.

Michael podszedł do niej, trzymając się relingu - morze było raczej spokojne, niemniej jednak statek wspinał się i opadał razem z długą falą.

- Pewnie jesteś tym fotografem, na którego czekaliśmy - powiedziała.

- Zgadza się. - Zaczynał się czuć jak klasowa oferma. - A ty pewnie jesteś tą lekarką, która przyleciała przed czasem.

- No tak, kiedy chcesz się tu dostać ze Środkowego Zachodu, jesteś zdany na takie połączenia, jakie są.

Dokonali wzajemnej prezentacji, po czym Michael spojrzał na jej aparat.

- Używasz filmów - zauważył.

- Mam ten aparat od dziesięciu lat i korzystałam z niego może dwa razy. Co takiego niedobrego jest w używaniu filmu?

- W tej chwili nic. Ale jak uderzy prawdziwy mróz, możesz mieć kłopoty. W ekstremalnie niskich temperaturach pęka błona.

Spojrzała na aparat, jakby ją zdradził.

- Zabrałam go tylko dlatego, że mama i siostra powiedziały, iż muszę przywieźć jakieś zdjęcia. - Rozjaśniła się. - Może po prostu pożyczylbyś mi któregoś ze swoich. Nie poznają się.

- Śmiało wybieraj.

Lwy morskie zaryczały i schowały łby w falach.

- Pracujesz dla National Science Foundation? - spytał Michael.

- Jak najbardziej - powiedziała. - Mam do spłacenia tysiące pożyczek na studia medyczne.

- Michael ocenił, że skończyła je nie dawniej niż pięć, sześć lat temu. - Poza tym szpital w

Chicago, w którym haruję, jest w tej chwili pod lupą sześciu różnych agencji. Pomyślałam, że to może dobra chwila, by się wynieść.

- Na Antarktydę? - Michael już robił w pamięci notatki. Miał pierwszą znakomitą postać do artykułu.

- Wiesz, ile płacą, jak ktoś na tyle zwariuje, żeby podpisać półroczny kontrakt? - Nagły powiew wiatru podniósł jej warkoczyki. Część miała jasne pasemka. - Jedno mogę ci powiedzieć, dyżury na oddziale ratunkowym to przy tym pikuś. Dowiedziałam się o tej pracy od kolegi, który wziął ją jakiś rok temu.

- I przeżył, żeby ci o tym opowiedzieć?

- Powiedział, że to zmieniło jego życie.

- Więc o to ci chodzi? - spytał Michael. - Żeby zmienić swoje życie?

To pytanie jakby trochę ją zamurowało. Po chwili powiedziała:

- Nie, jak do tej pory moje całkiem mi się podobało. - Spojrzała na niego z pewną ostrożnością. - Ciekawski jesteś.

- Przepraszam. Zły zwyczaj. Wina pracy.

- Fotografą?

- Piszę też teksty, nie da się ukryć.

- Dobra, niech będzie... przynajmniej teraz wiem, z kim mam do czynienia. Ale nie musimy z tym gnać. Myślę, że mamy masę czasu na poznanie się.

- Święta racja - powiedział, myśląc przy tym, że jego umiejętność prowadzenia wywiadów trochę zardzewiała. - Może wrócimy do pogadanki na temat robienia zdjęć i zaczniemy od początku?

Szybko dał jej kilka wskazówek, jak robić zdjęcia na morzu, zwłaszcza w tak specyficznym oświetleniu, jakie występowało na tych dalekich południowych szerokościach, po czym wrócił do siebie. Nie śpiesz się, napomniął sam siebie, niech twój rozmówca sam się otworzy. Przy drzwiach kabiny przypomniał sobie, że kazano mu odpowiednio się ubrać do kolacji. Oznaczało to, że musi wykopać najmniej pogniecioną koszulę, wsunąć ją pod materac i chwilę na niej poleżeć.

ROZDZIAŁ 6

20 czerwca 1854 roku, 18.00

Dla Sinclaira Archibalda Copleya, porucznika XVII Regimentu Lansjerów, byłby to zupełnie typowy wieczór, gdyby nie jego nieoczekiwane zakończenie.

Rozpoczął się około szóstej kilkoma rundkami *écarté* w koszarach, podczas których Sinclair stracił całe dwadzieścia funtów. Ojca młodego porucznika, czwartego earla Hawtonu, nie ucieszyłaby kolejna prośba o pieniądze. Po tym jak ostatnio kupił synowi patent oficerski, poprzysiągł, że nigdy więcej mu nie pomoże. Atoli miast narażać na szwank dobre imię rodziny, już po cichu zapłacił za niego niemały rachunek u krawca, potem drugi u orientalnego właściciela podejrzanego lokalu przy Bluegate Fields, gdzie synalek pozwolił sobie trawić czas na, jak to określił earl, „występnych uciechach”. Niewyobrażalne, by odmówił jeszcze jednej prośbeczce, szczególnie z ust potomka, który lada dzień mógł być wysłany przeciwko Rosjanom na Krym.

- Co powiedzielibyście na kolację w moim klubie? - zaproponował Rutheford, zgarniając wygraną. - Oczywiście stawiam.

- Dla ciebie to fraszka - rzekł Le Maître, drugi przegrany tego wieczoru. Z racji nazwiska przyjaciele ochrzcili go mianem „Francuzik”. - Zapłacisz moimi pieniędzmi.

- Dobrze, dobrze - powiedział Rutheford, gładząc bujne bokobrody - nie kłóćmy się o drobiazgi. Co powiesz, Sinclair?

Zapytany również nie palił się do pójścia do Athenaeum. Wisiał drobne sumki kilku członkom klubu.

- Jeśli chodzi o mnie, wolałbym się wybrać Pod Żółwia.

- W takim razie Pod Żółwia - zgodził się z kolegą Rutheford, podnosząc się ciężko z krzesła (w czasie gry sporo wypili) - a potem może nocna wizyta u madame Eugenie? - Puścił oko do Sinclaira i Le Maître'a, pakując funtowe banknoty do kieszeni szkarłatnej, bramowanej futrem kurtki. Był w dobrym humorze i miał do tego prawo.

Trzech zuchów wytoczyło się na Oxford Street, budząc popłoch nielicznych cywilów, i rozbryzgując kałuże na głównych londyńskich ulicach, ruszyło przed siebie. Na rogu Harley Street, gdzie panna Florence Nightingale niedawno otworzyła szpital dla chorych ubogich pań

z dobrych domów, Sinclair przystanął, podziwiając śliczną młodą istotę w białym czepeczku, która wychylała się z okna, zamykając okiennice na trzecim piętrze. Ona też go spostrzegła - epolety i złote guziki błyszcząły w mroku - więc posłał jej uśmiech. Schowała główkę i zniknęła za okiennicami, ale wcześniej, tak mu się przynajmniej wydało, odpowiedziała mu uśmiechem.

- Żwawiej! - przywołał go stojący dalej Rutheford. - Kiszki mi marsza grają.

Sinclair zrównał się z kompanami i razem dotarli pod zapraszającą kulę tawerny Pod Żółwiem. Malowany na drewnie nieprawdopodobnie wielki żółw, stojący na tylnych łapach, kołysał się nad drzwiami, a ze środka dobiegał gwar wielu głosów, brzęk talerzy i sztucców.

Drzwi otworzyły się z łomotem przed opasłym jegomościem w cylindrze na głowie, gdy na miękkich nogach wytoczył się ze środka. Rutheford przytrzymał drzwi, zapraszając Sinclaira i Le Maître'a.

Długie stoły na kozłach ciągnęły się przez niską salę, na wielkim kamiennym kominku trzeszczał ogień. Kelnerzy w poplamionych tłuszczem kamizelkach uwijali się między gośćmi, dźwigając drewniane tace, na których piętrzyły się pieczone kurczaki i grube płyty krwistej połówicy. Spragnieni jegomości tłucli pustymi kufłami o błaty, domagając się następnej kolejki. Jednakże Sinclair nie miał chętki ani na jedzenie, ani na napitek.

- Rutheford, oddaj mi piątkę.

- Po co? Już mówiłem, że ja stawiam.

- Idę na tyły.

Z tyłu prawie wszystkich tawern były ringi dla psów. Nigdzie nie gromadziły tak licznej publiki jak Pod Żółwiem. Przy odrobinie szczęścia Sinclair mógł sobie odbić wcześniejszą przegraną.

- Jesteś niepoprawny - westchnął Rutheford, jednak uprzejmie wręczył Sinclairowi pięćofuntowy banknot.

- Dołączę do ciebie - powiedział Le Maître.

Rutheford był wstrząśnięty.

- Zostawiacie mnie, żebym jadł sam?

- Nie na długo - uspokoił go Sinclair i pociągnął za ramię Le Maître'a, kierując się na zaplecze. - Wrócimy z wygranymi.

Za tawerną ciągnął się zapluty zaułek pokryty kośćmi i odpadkami. Dalej wznosiła się stara stajnia, przemieniona w miejsce rozrywki. Można było w niej skonać od gorąca i smrodu. Na żelaznych słupkach płonęły lampy gazowe, oświetlając tłum otaczający psi ring - jamę w ziemi długą i szeroką na piętnaście, a głęboką na cztery stopy.

Na razie stał w niej zapowiadacz, dumnie obnoszący na plecach wytatuowaną flagę Zjednoczonego Królestwa. Ogłaszał następną konkurencję. Piasek wokół jego stóp był mokry od krwi, śliny i pokryty strzępami porośniętej sierścią skóry.

- Mamy czarno-brązowego Księcia - krzyczał półnagi mężczyzna - i mamy Białasa! Jeśli będziecie łaskawi zrobić przejście, zacni panowie, zostaniecie nagrodzeni widokiem tych wspaniałych stworzeń, nim zaczniecie obstawiać!

Tłum się rozstał, tworząc kręte przejście - szło nim dwóch ludzi trzymających na krótkich smyczach dwa pitbullteriery. Zwierzętom obwiązano pyski, ale z każdym krokiem ogarniał je większy szal, tak że treserzy musieli dać z siebie wszystko, aby nie rzuciły się na siebie albo do dołu.

- Księżę to dziecię Rosemary Lane - ogłosił zapowiadacz - a Białas jest dumą Ludgate Hill. Dwaj świetni czempioni, wielmożni panowie, i godni siebie zawodnicy. Więc róbcie zakłady! - wykrzyknął. - Obstawiajcie, proszę!

Wylaź z dołu i przytoczył do krawędzi beczkę.

- Widziałeś któregoś w walce? - spytał Francuzik, pochylając się do ucha Sinclaira, aby przekrzyczeć tłum.

- Tak, postawiłem na Białasa i wygrałem - odparł Sinclair, uniesieniem ręki przyzywając bukmachera. - Pięc na Białasa!

- Niech będzie dziesięć! - dorzucił Francuzik.

Bukmacher lekko uchylił kapelusza - jako że niewątpliwie miał do czynienia z dżentelmenami, więc nie wypadało mu żądać od nich z góry pieniędzy - odwrócił się do zapijaczonego starucha i szarpnął go za rękaw.

- Ostatnie wezwanie, szanowni panowie - dał się zapowiadacz, wałąc pięścią w zadeklowaną beczkę. - Obstawiać!

Wrzawa jeszcze się wzmogła i wiele rąk uniosło się w powietrze, gdy treserzy zdjęli pitbullom kagańce. Psy szczekały jak szalone, piana leciała im z pysków. Zabrzmiał dzwonek, zapowiadacz wrzasnął: - Koniec zakładów! - i oczy całego tłumu skierowały się na beczkę. Zapowiadacz jednym ruchem zerwał dekiel i kopnięciem przewrócił beczkę.

Runęła z niej lawina szcurów - czarnych, brązowych, szarych - i rozszalałym potokiem spadła do jamy. Błyskawicznie stanęły na nogach i rozbiegły się we wszystkich kierunkach, niektóre obwąchując się nawzajem, inne drapiąc drewniane oszalowanie psiego ringu. Kilka nawet zdołało wyskoczyć, ale rozbawieni widzowie kopnięciami odesłali je tam, skąd się wy dostały.

Na widok szczurów psy wpadły w stan krańcowego rozjuszenia i ledwo spuszczo je ze smyczy, wpadły do jamy, obnażając kły i wysuwając pazury. Biały pierwszy dopadł ofiary - tłustego popielatego gryzonia - i przegryzł ją na pół.

Sinclair triumfalnie zacisnął pięść, a Francuzik krzyknął:

- Dobra robota, Białas!

Czarno-brązowy Księżę szybko wyrównał stan pojedynku, potrząsając brązowym gryzoniem jak szmatą, aż przetrącił mu kark. Szczury biegały pod ścianami, wspinały się jeden na drugiego, szukając drogi ucieczki. Białas runął na szczyt szczurzej piramidy i wyrzucił w powietrze gryzonia. Kiedy ten spadł na plecy, pies jednym ruchem szczęki rozpruł mu brzuch.

Zwolennicy Białasa wydali okrzyk zadowolenia.

I tak ciągnęło się to przez całe pięć minut. Krew, kości i kawałki szczurzego mięsa fruwały we wszystkich kierunkach - Sinclair chronił mundur, odsuwając się na tyle daleko, by go nie uwałać - ale w pewnym momencie Białas jakby stracił entuzjazm do jatki i uznał, że czas przystąpić do kolacji. Sinclair wziął to za dowód złej treserki. Pies przed pojedynkiem winien być przegłodzony, żeby czuł żądzę krwi, jednakże nie na tyle, aby poniechał mordy.

- Dalej, Białas! - krzyczał Francuzik pospołu z wieloma kibicami, ale pies pochylił łeb i żarł najbliższe ofiary. Tymczasem Księżę dalej odwalał swoją robotę.

Jeszcze zanim odezwał się dzwonek i zapowiadacz krzyknął:

- Czas, szanowni! - Sinclair wiedział, że jego pieniądze szlag trafił. Właściciele psów wskoczyli do jamy, między psy i resztki czołgających się, okaleczonych, półżywych szczurów.

Zapowiadacz zerknął na drugiego sędziego, usmolonego wyrostka, który trzymał mosiężny dzwonek, i obwieścił:

- Księżę, wielmożni panowie! Księżę z Rosemary Lane zwyciężył o dobry tuzin szczurów!

Zwolennicy Księcia wydali wrzask triumfu. Banknoty i monety zmieniały właścicieli. Przed Sinclairem wyrósł bukmacher w kapeluszu. Oficer niechętnie dał mu pięć funtów. Francuzik również.

- To Rutheford się uraduje - zauważył ten ostatni.

Sinclair zgadzał się z nim w duchu, ale nie roztrząsał przegranej.

Najważniejsze to nie rozpamiętywać razów losu. I jak zwykle pobiegł myślami ku przyjemniejszym tematom. Kiedy dołączył do rozochoconej cizby wracającej do tawerny, już marzył o uroczej młodej niewieście w białym czepeczku, zamykającej szpitalne okiennice.

ROZDZIAŁ 7

30 listopada

Dzień za dniem stada ptaków podążały za zmiernym ku kręgowi polarnemu „Constellation”. Michael ustawiał swojego monopoda manfrotto z pistoletowym uchwytem na pomoście nawigacyjnym, skąd najłatwiej było fotografować ptaki. Wieczorami uzupełniał wiadomości o tym, co zobaczył za dnia.

Potrafił już rozróżnić poszczególne gatunki, chociaż czasem miewał z tym problemy.

Niemal wszystkie okazy należały do rzędu rurkonosów, miały w nozdrzach organ, którym pozbywały się nadmiaru soli, tak więc ich budowa niewiele mu mówiła. Również nie mogło mu pomóc ubarwienie, gdyż niemal wszystkie były biało-czarne. Lecz inaczej fruwały, a także inaczej zdobywały pokarm, co już w jakimś mierze ułatwiało mu zadanie.

Na przykład drobne pękate nurce wyskakiwały nad powierzchnię, szybko bijąc skrzydłami, po czym opadały krótkim ślizgiem; często przebijały zwieńczenie fali, zanim zanurkowały głębiej, porywając kryła.

Warcabniki tańczyły na błoniastych łapach, dotykając wody.

Metalicznie szare fulmary zawisały w powietrzu, składały razem nogi i opadały na nie jak bojaźliwy nurek, skaczący z wysoka do wody.

Petrelki antarktyczne zbierały plankton, przeczesując powierzchnię wody szerokimi jak łopatkę dziobami. Ich kuzyni - petrelki cienkodziobe - fruwały płynniej, opadając i zręcznie wychwytyjąc pokarm z samego wierzchu oceanu.

Białe petrele śnieżne - najtrudniejsze do obserwacji na tle piany i bryzgów niespokojnego oceanu - zataczały się jak kulki w automatach do gry, śmigały to tu, to tam i muskając lodowatą wodę ostro wykończonymi skrzydłami, oceniały kształt i kierunek fal.

Ale panem antarktycznych przestworzy był największy z morskich ptaków: albatros wędrowny. Oceniał z wysoka świat jak władca lustrujący ze spokojem swoje królestwo. Kiedy Michael zmieniając obiektyw, grzebał w nieprzemakalnej torbie, jeden z albatrosów opadł na pokrowiec śmigłowca, a kilka pozostałych towarzyszyło statkowi, unosząc się na wysokości mostka. Michael nigdy nie widział, by jakiegokolwiek inne stworzenie równie pięknie fruwało, prezentując przy tym taką oszczędność ruchu. Te popielato-białe ptaki o

jasnoróżowych dziobach, ciemno upierzonych łbach i ponadtrzymetrowych skrzydłach jakby zupełnie się nie wysilały. Michael już wiedział, że ich pierzaste kończyny to cud aerodynamicznego projektowania. Wrażliwe na najmniejszą zmianę prądów powietrznych, nieustannie pracowały całą muskulaturą, zmieniając kąt nachylenia i kierunek ruchu każdego pióra. Ich kości ważyły niemal tyle co nic i w niektórych miejscach wypełniało je powietrze. Poza krótkimi przerwami, gdy budowały gniazdo lub łączyły się w pary na wyspach Antarktyki, spędzały życie w powietrzu, korzystając ze zmiennych wiatrów, i dzięki jakiejś niezbadanej, cudownej umiejętności nawigacji raz za razem okrążały ziemski glob.

Nic dziwnego, że marynarze darzyli je czcią i podziwem. Pewnego wieczoru kapitan Purcell wyjaśnił:

- Uważają je za symbol powodzenia. Te ptaki mają lepszy system globalnej nawigacji, niż my na mostku.

- Kilka z nich dotrzyzymało mi dziś towarzystwa - powiedział Michael - kiedy byłem na pomoście nawigacyjnym.

Purcell skinął głową i sięgnął po butelkę pieniacego się cydru.

- Potrafią dostosować opadanie i prędkość do tempa statku, za którym podążają.

Dolał cydru doktor Barnes. Michael pierwszego wieczoru jakby nigdy nic poprosił o piwo i dowiedział się, że na pokładach jednostek marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych i Straży Przybrzeżnej alkohol jest zabroniony.

- Mój znajomy, ornitolog z uniwersytetu Tulane - rzekł Hirsch - założył elektroniczny znacznik albatrosowi na Oceanie Indyjskim i przez miesiąc śledził go przez satelity. W tym czasie ptak pokonał piętnaście tysięcy kilometrów. To była tylko jedna wyprawa w poszukiwaniu żywności. Albatros z wysokości kilkuset metrów widzi świecące ławice mątw i ośmiornic. Kiedy jakiś głowonóg pod pływa pod powierzchnię, szukając pokarmu, albatros nurkuje.

Charlotte sięgała po jedną z salatek stojących na gumowanej ladzie. Zastygła i spytała:

- To nie ośmiornice, co? - Wszyscy się roześmieli. - Mówię poważnie, nie chciałabym pozbawić głodnego albatrosa kolacji.

- Nie, nie, to jedna ze specjalności naszego kuka, podsmażana cukinia.

Charlotte nałożyła sobie cukinii i podała salaterkę Kathleen Healey.

- Kiedy płyniemy w kierunku bieguna, przede wszystkim jemy świeże owoce i warzywa - wyjaśnił kapitan. - Kiedy wracamy, co trwa dłużej, jesteśmy skazani na puszki i mrożonki.

Statek nagle się przechylił, jakby robił krok w bok, po czym równie gwałtownie powrócił do poprzedniej pozycji. Michael oparł się o gumowy pas obiegający blat i sięgnął po szklanekę cydru. Nie mógł się przyzwyczać do stałego kołysania.

- Nasz statek ma kształt wielkiego jaja - powiedziała Kathleen, całkowicie obojętna na ruchy oceanu. - Tak naprawdę nie zaprojektowano go na spokojne wody, nawet jest pozbawiony kilu. Ma za zadanie gładko sunąć przez skruszony lód i między górami lodowymi. To się wam dopiero spodoba.

- Jak do tej pory mieliśmy szczęście - dodał kapitan. - Otacza nas strefa wysokiego ciśnienia, co oznacza niską falę i dobrą widoczność, dzięki czemu znacznie się zbliżyliśmy do Cypla Adeli.

Ale Michael i pozostali wyczuli w głosie dowódcy wahanie. Trzymająca widelec z cukinią dłoń Charlotte zastygła w powietrzu.

- Ale...? - spytała.

- Ale wygląda na to, że dobre warunki się kończą - dokończył kapitan. - W tych rejonach pogoda zmienia się bardzo szybko.

- Stopniowo pokonujemy obszar konwergencji antarktycznej - wtrąciła komandor porucznik Healey. - To miejsce, w którym zimne wody spod bieguna opadają poniżej ciepłych wód z Oceanów Indyjskiego, Atlantyckiego i Spokojnego. Wpływamy na nieprzewidywalne pogodowo obszary, gdzie występują mniej umiarkowane temperatury.

- Dzisiaj panowała umiarkowana? - zapytała Charlotte, pochłaniając cukinię. - Warkoczyki mi pozamarzały. Czułam się, jakbym miała na głowie kabanosy. - Mówiła ze śmiechem, ale wszyscy wiedzieli, że to nie żart.

- Zanim skończymy kolację, nastąpi gwałtowna zmiana; w porównaniu z tą, jaka będzie niedługo, dotychczasowa pogoda wyda nam się tropikalna - powiedział kapitan, unosząc misę spaghetti ze świeżymi warzywami. - Ktoś ma ochotę na dokładkę?

Darryl, który zrezygnował z zakąski - koktajlu z krewetkami - natychmiast wyciągnął rękę. Już wszyscy się przekonali, że mimo drobnej figury miał największy apetyt.

- Nie straszę, tylko staram się was przygotować na to, co nadejdzie - dodał kapitan.

*

Ostrzeżenie dowódcy sprawdziło się szybciej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Wiatr równomiernie przybierał na sile, a kawały lodu przerosły rozmiarami tiry i były coraz większe. Po jakimś czasie wydawało się, że statek nie znajdzie między nimi szczeliny, ale „Constellation” robił to, do czego go stworzono, i torował sobie drogę. Po kolacji Michael skorzystał z promieni słońca, które jak zwykle wisiało bez ruchu nad horyzontem, i wyszedł

na dziób, by obejrzeć ciężki pojedynek nadpływających gór lodowych i dumy floty Straży Przybrzeżnej.

Darryl Hirsch już tam był, tak opatulony, że tylko okulary wystawały mu z czerwonej narciarskiej kominiarki zakrywającej głowę i twarz.

- Musisz to obejrzeć - powiedział, gdy Michael dołączył do niego przy relingu. - To wręcz hipnotyczne.

Przed sobą mieli płytę lodową wielkości boiska i Michael poczuł, jak „Constellation” nabiera prędkości i uderza prosto w środek okrytej śniegiem gigantycznej tafli. Początkowo lód nie ustąpił ani na cal i Michael zaczął się zastanawiać, jaką może mieć grubość. Silniki stękały i jęczały, podczas gdy specjalnie zaokrąglony kadłub wjechał na powierzchnię lodowca i przycisnął go swoim ciężarem, trzydziestoma tysiącami ton. W lodzie pojawiła się zygzakowata szczelina, potem druga. Rozbiegły się w przeciwnych kierunkach. Lodołamacz posuwał się nieustępliwie, cały czas ciążąc w dół. Nagle lód straszliwie zatrzeszczał i popękał z hukiem. Potężne iglice wyrosły przy dziobie, nieomalże dosięgając pokładu, na którym stali Michael i Darryl. Instynktownie się cofnęli, po czym zaraz rzucili się do relingu, gdyż groziło im, że stoczą się w tył, na rufę.

Kiedy iglice opadły, Michael wyjrzał za burtę i zobaczył, że wielkie odłamki przesuwają się w tył, wsysane pod kadłub, zdążając do trzech śrub gigantycznych rozmiarów - o średnicy szesnastu stóp - które miały pociąć i zmiażdżyć je do przyzwoitej wielkości i pozostawić w kilwaterze statku.

Michaela najbardziej zdumiał jednak widok spodniej strony kry. Dziewiczo biały lodowiec, pokruszony i odwrócony do góry brzuchem, całkowicie zmienił wygląd. Prezentował się dużo mniej pięknie, demonstrując obrzydliwie bladożółtą barwę przypominającą psi mocz na śniegu.

- Te zabarwienia są spowodowane algami - powiedział Darryl, zgadując myśli towarzysza. Musiał podnieść głos, ponieważ tłumity go huk miażdżonego lodu i rosnące zawodzenie wiatru. - Góry lodowe to niezestalony materiał poprzecinany kanałami słonej wody, zamieszkany przez algi, okrzemki i bakterie.

- Więc to wszystko żyje pod lodem? - krzyknął Michael.

- Nie, w lodzie - odkrzyknął Darryl, nie wiedząc czemu dumny z zaradności ukochanych organizmów. Statek znów stanął dęba, po czym opadł. Nawet w dziwnym podbiegunowym świetle Michael dostrzegł, że Darryl, który tymczasem zsunął kominiarkę z twarzy, nieco pozieleniał.

Po tym jak biolog pośpiesznie zbiegł pod pokład, Michael znudził się samotną obserwacją i zszedł do mesy oficerskiej, gdzie zwykle o tej porze wrzało jak w ulu: członkowie załogi grali w karty i oglądali filmy na DVD (wybór był szeroki, od Bruce'a Lee przez Jackiego Chana i wrestling po koncerty rockowe). Ale tego wieczoru w mesie zionęło pustką; wyglądało na to, że wszyscy pełnili służbę. Zajrzał do salki gimnastycznej - ciasnego pomieszczenia na rufie, oddzielonego tylko grodziami od lodowatego oceanu. Ubrany w szorty i podkoszulek z napisem: „Straż Przybrzeżna - Pocałuj!” chorąży Kazinski korzystał z ruchomej bieżni.

- Jak utrzymujesz równowagę? - spytał Michael, gdy statek znów się położył na burtę.

- Nie ma lepszych warunków! - odparł Kazinski, ściskając uchwyty i utrzymując szalone tempo. - To jak jazda na byku!

Monitor pod sufitem pokazywał, co się dzieje na rufie. Między kroplami wody i piany, zakrywającymi obiektyw, przebijał ziarnisty, czarno-biały obraz sfalowanego morza, po którym sunęły wielkie lodowe tafle.

- Robi się niewesoło - zauważył Michael.

Kazinski nie gubiąc rytmu, zerknął na monitor.

- To pestka, następny sztorm będzie dużo gorszy, możesz być pewien.

Michael cieszył się, że Darryl tego nie słyszy. Ale sam był zadowolony. Pokonać najbardziej zdradliwe wody świata i nie napotkać sztormu to byłoby jak pojechać do Paryża i nie zobaczyć wieży Eiffla.

Opierając się o ściany, wrócił do kabiny i otworzył drzwi. Nie zobaczył Darryla. Drzwi toalety były zamknięte. Dobiegały zza nich odgłosy torsji. Biolog zwracał całą kolację.

Michael położył się na koi. „Zapnijcie pasy, zapowiada się burzliwa noc”, powtórzył w myślach. Kristin często cytowała tę kwestię Bette Davies, kiedy zachód słońca zaskoczył ich w ciężkich warunkach w bezludnej okolicy. Ile by dał, żeby znów z nią być, i jeszcze raz usłyszeć z jej ust tamten zgrany cytat.

Drzwi toalety się otworzyły. Do kabiny wtoczył się zgięty wpół Darryl i padł na koję. Na widok Michaela wymamrotał:

- Lepiej tam nie wchodzić. Spudłowałem.

Michael byłby zdziwiony, gdyby trafił.

- Naprawdę musiałeś się rzucić na dokładkę? - spytał.

Ubrany tylko w podkoszulek z długimi rękawami i kalesony Darryl słabo się uśmiechnął.

- Przy stole to wydawało się dobrym pomysłem.

- Przejdzie ci?

Statek znów się zatoczył, tym razem tak gwałtownie, że Michael musiał się złapać przymocowanej do podłogi ramy koi.

Darryl pozieleniał jeszcze bardziej, zamknął oczy.

Michael wsparł się plecami o ścianę, nie puszczając ramy. Tak, niewątpliwie czekała ich burzliwa noc. Na dodatek nie wiedział, jak długo potrwa sztorm. Kilka dni? I o ile wzrośnie jego siła? Czy raczej o ile m o ż e wzrosnąć?

Sięgnął po jedną z książek Audubona³, ale statek skakał jak szalony w górę i w dół, w lewo i w prawo. O czytaniu nie było mowy. Wystarczyło, że Michael skupił wzrok na kartce, i od razu robiło mu się niedobrze. Wsunął książkę pod materac. Na dodatek silniki i śruby ryczały głośniej niż kiedykolwiek. Darryl leżał bez ruchu jak mumia, tylko dyszał i sapał.

- Co wzięłeś? - spytał go Michael. - Skopolaminę?

Darryl wymruczał, że tak.

- Coś jeszcze?

Biolog podniósł rękę. Na przegubie miał elastyczną opaskę, grubszą wersję aptekarskiej gumki.

- A to co?

- Akupresura. Niby pomaga.

Michael nigdy w życiu nie słyszał o czymś podobnym, nie wyglądało też na to, by Darryl był przekonany do tej metody.

- Mam skoczyć po Charlotte, żeby ci dała coś mocniejszego?

- Nie wychodź - wyszeptał Darryl. - Zginiesz.

- Wyjdę tylko na korytarz. Zaraz wracam.

Michael odczekał, aż nastąpi chwila spokoju. Wstał i wyszedł. Długi, kładący się na boki korytarz, wyglądał jak żywcem wyjęty z pałacu duchów w wesołym miasteczku. Jarzeniówki migotały i brzęczały. Kabina Charlotte znajdowała się mniej więcej pośrodku statku, może sto stóp od kabiny dwóch mężczyzn, ale nie było mowy o szybkim pokonaniu tego dystansu - Michael musiał szeroko stawiać nogi.

Spod drzwi kabiny lekarki biło światło zdradzające obecność lokatorki. Michael uznał, że nie śpi, i zapukał.

- To ja, Michael! - zawołał. - Wygląda na to, że Darrylowi przydałaby się pomoc.

Charlotte otworzyła drzwi. Miała na sobie pikowany szlafrok w chińskie wzory - ziejące ogniem zielone i złote smoki - i wełniane kapcie. Warkoczyki zebrała w palemkę.

³ Jon James Audubon (1785-1851) - amerykański ornitolog i malarz.

- Nie mów mi - burknęła, natychmiast sięgając po czarną lekarską torbę - że ma chorobę morską.

Kiedy wrócili do kabiny mężczyzn, Darryl leżał zwinięty w kłębek. Jako że miał zaledwie pięć stóp cztery cale wzrostu i był chudy jak patyk, wyglądał niczym chłopak z bolącym brzuchem, czekający na mamę.

Charlotte usiadła na krawędzi koi i spytała go, co już wziął. Kiedy pokazał opaskę do akupresury, westchnęła:

- Niesamowite, w co ludzie potrafią wierzyć. - Wyjęła z torby strzykawkę i butelkę. - Słyszałeś kiedyś o fenytoinie?

- Inaczej dylantin.

- Och, znamy się na lekarstwach. Brałeś ją?

- Raz przed nurkowaniem.

- Mam nadzieję, że odpowiednio wcześniej. - Przygotowała strzykawkę. - Jakież nieprzyjemne reakcje?

Darryl chciał odruchowo potrząsnąć przecząco głową, ale się zreflektował. Potrząsanie czymkolwiek nie mogło mu przynieść nic dobrego.

- Nie - wymamrotał.

- Co to za środek? - spytał Michael, gdy lekarka podwinęła rękaw podkoszulka Darryla.

- Hamuje potencjał czynnościowy komórek. Stosuje się go w przypadku zaburzeń żołądkowo-jelitowych i napadów częściowych. Technicznie biorąc, nigdy nie był podawany na chorobę morską. - Przetarła przedramię Darryla spirytusem. - Ale nurkowie chwala go sobie. - Przygotowała strzykawkę, po czym musiała zaczekać. Statek się zataczał jak przyjmujący serię ciosów bokser.

- Za skarby świata się nie ruszaj - rozkazała Darrylowi i wbiła igłę w jego piegowate ramię, po czym dodała: - Za jakieś dziesięć minut zaczniesz działać.

Włożyła igłę do pomarańczowego plastikowego opakowania, a butelkę z powrotem do torby. Po raz pierwszy rozejrzała się po otoczeniu, oceniając je.

- Rany, wygląda na to, że dostałam najlepszą kabinę na statku. A nie uwierzyłam Kathleen. Teraz zmieniam zdanie. - Dotarł do niej nagły powiew z toalety i zmarszczyła nos. - Nigdy, chłopaki, nie słyszeliście o czymś takim jak lizo!

Michael wybuchnął śmiechem i nawet Darryl nieco uniośł kąciki ust. Gdy lekarka wyszła, Michael zaczął się ubierać. Nałożył kurtkę z kapturem, buty i rękawice. Sytuacja na zewnątrz zbyt go nęciła, aby wytrzymał w kabinie, zwłaszcza zasmrodzonej i dusznej.

Darryl przekręcił na bok głowę, zmierzył go wojowniczym spojrzeniem i wyskrzecztał:

- A ty dokąd?

- Do roboty - odparł Michael, wsuwając głęboko do kieszeni cyfrowy aparat fotograficzny; na mrozie baterie mogły się szybko wyczerpać. - Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

- Nie. Tylko zadzwoń do żony i powiedz jej i dzieciom, że ich kochałem.

Michael do tej pory nigdy nie pytał go o rodzinę.

- Ile masz dzieci?

- Nie teraz - powiedział Darryl, opędzając się od pytań. - Nie pamiętam.

Może środek działał szybciej, niż sądzili lekarze.

Michael zostawił światło w kabinie i ostrożnie poszedł korytarzem, a potem w górę przez luk wyjściowy. Już miał ruszyć na mostek - skąd zapewne mógłby zrobić kilka niezłych ujęć, wychylając się przez iluminatory albo przez drzwi - gdy za przesuwanymi drzwiami ujrzał jednolite szare morze i niebo, pozbawioną horyzontu panoramę, świat zredukowany do płaskiej, przytłaczającej, wyzbytej śladu człowieka monotonii.

Nawet wyobraził sobie wykończone ujęcie.

Naciągnął kaptur, wyjął aparat i zawiesił go na szyi. Musiał użyć obu rąk, by odciągnąć drzwi, i chociaż powstała szpara miała tylko kilka cali, wiatr z całą mocą wdarł się do wnętrza i porwał go za kołnierz. Zdawał sobie sprawę, że wychodzenie na zewnątrz to chyba nie najlepszy pomysł, ale czasem najdoskonalsze ujęcia wychodziły, gdy realizował właśnie najgorsze pomysły. Szarpnął drzwi i przecisnął się przez szparę - ledwo wyszedł, natychmiast się za nim zasunęły.

Był tuż pod mostkiem. Lodowata woda opływała mu buty, wiatr napierał z taką mocą, że wyciskał łzy z oczu i palił czoło. Opasał ramieniem metalowy wspornik, zębami zdarł rękawicę, ale statek kołysał się tak mocno, że nie był w stanie zrobić porządnego ujęcia. Ciągłe jakaś część statku pakowała się w kadr. Diabli go brali. Nie chciał, by cokolwiek identyfikowalnego, konkretnego zepsuło zdjęcie. Chciał mieć niczym nie skażony, niemal abstrakcyjny obraz pustej, obojętnej, wszechpotężnej natury.

Odczekał, aż statek znów się położy na fali, po czym znalazł następny chwyt, stalowe gniazdo jednej z łodzi ratunkowych. Teraz wyglądając za reling, mógł się niczym nie przejmować - pomijając lodowate słone bryzgi, które leciały mu w twarz i zalewały szkło obiektywu. Jak poprzednio zahaczył ramieniem o słupek nadburcia i uniósł aparat. Ale statek akurat stanął dęba pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W wizjerze widział tylko burzliwe niebo. Michaelowi zeszywniały palce i nawet nie mógł wciągnąć powietrza w płuca. Wiatr

dławił mu oddech. Zrobił próbne zdjęcie - nadal pod zbyt dużym kątem - i miał ponownie strzelić migawką, gdy z głośnika dokładnie nad jego głową padł głośny rozkaz:

- Pan Wilde! Opuścić pokład! Już!

Nawet w wyjąłym wietrze Michael rozpoznał głos komandora porucznika Healey.

- Natychmiast! I zgłosić się do kapitana!

Zanim zdołał się odwrócić, zobaczył, że drzwi się odsuwają. Kazinski w nieprzemakalnej kurtce, spod której wystawały sportowe szorty, podał mu żółtą kamizelkę ratunkową.

- Złap się! - krzyknął. Michael schował aparat do kieszeni, wrócił do wspornika i sięgnął po kamizelkę ratunkową; w drugiej ręce prawie całkowicie stracił czucie.

Kiedy tylko dosięgnął kamizelki, Kazinski ściągnął go jak rybak złapaną na wędkę rybę, zatrzasnął i zablokował drzwi, po czym otrząsnął się z lodowatej wody i pokręcił głową z naganą.

- Z całym szacunkiem, proszę pana, ale strasznie głupią rzecz pan zrobił. - Michael nie zamierzał dyskutować. - Kapitan jest na mostku. Dobierze się panu do tyłka. Bez dwóch zdań.

Michael na razie chciał tylko odzyskać czucie w palcach. Tarł ręką o spodnie, ale były tak przemoczone, że niewiele to pomagało. Rozpiął częściowo kurtkę i wsadził rękę pod pachę.

Kazinski wskazał schodki mostku, jakby to była droga na szafot.

Może i była.

Michael powoli wszedł na górę. Gdy tylko wkroczył do jasno oświetlonego pomieszczenia, kapitan Purcell odwrócił się wraz z fotelem i fuknął:

- Po kiego diabła żeś pan wychodził na pokład? Zwariował pan, do cholery?

Michael wzruszył ramionami i całkiem rozpiął kurtkę, rozchylając poły.

- Pewnie to nie najlepszy pomysł - rzekł cichym głosem, zdając sobie sprawę, że to żadne wytłumaczenie - ale wydawało mi się, że mógłbym zrobić kilka świetnych ujęć do czasopisma.

Dwaj oficerowie siedzący przed urządzeniami nawigacyjnymi musieli opanować rozbawienie.

- Przywykłem do bezmózgich zachowań naukowców, których muszę wozić - powiedział Purcell - ale myślę, że to ludzie tak mądrzy, że od czasu do czasu mają prawo do jakiejś głupoty. Myślę też, że pan się nie zalicza do tego grona. Nie jest pan naukowcem, a marynarz z pana taki jak z koziej dupy trąba.

Choraży Galio, stojący przy srebrzystym kole sterowym umocowanym do wolno stojącej konsoli, zameldował:

- Barometr znów spada, panie kapitanie.

- Do ilu? - warknął Purcell, odwracając się z powrotem do przyrządów i poprawiając na głowie słuchawki, które przekrzywił, rugając Michaela.

- Do dziewięciuset osiemdziesięciu pięciu, panie kapitanie.

- Jezu, w nocy będzie niezły bal. - Kapitan omiół wzrokiem ekrany i zegary, sonar, radar, GPS, echosondę. Wszystkie urządzenia pokazywały stale się zmieniający, wielokolorowy strumień danych.

Kanonada zamarzającego deszczu uderzyła w kwadratowe okno po zachodniej stronie i statek legł na bok jak po uderzeniu wielką dłonią. Michael mocno złapał jedną ze skórzanych pętli zwisających z sufitu; znał opowieści o marynarzach, którzy rzućeni z jednej strony mostku na drugą łamali ręce i nogi. Nie wiedział, czy to koniec publicznej chłosty czy też powinien jeszcze pozostać na miejscu.

Mimo ryku oceanu, uderzeń deszczu i wycia wiatrów, które zdawały się dąć jednocześnie ze wszystkich stron, na mostku szybko znów zapanowała atmosfera sali operacyjnej, w której wszystko jest pod kontrolą. Sufitowe świetlne panele rzucały biały, chłodny blask na niebieskie ściany, a oficerowie rozmawiali ze sobą cichym, rzeczowym tonem, nie spuszczać oczu ze wskaźników.

- Lewy cała naprzód - rozkazał kapitan i porucznik komandor Ramsey, którego Michael spotkał kilka razy, sięgnął do krótkiej czerwonej dźwigni przepustnicy. Powtórzył słowa kapitana, wykonując polecenie.

Następnie dyskretnie skinął głową Michaelowi - który nadal stał jak chłopak przed biurkiem dyrektora szkoły - i rzucił niedbale w kierunku Purcella:

- Jeśli pan Wilde nie jest nam dłużej potrzebny, panie kapitanie, może dołączyłby do oficera operacyjnego w wieży dowodzenia? Stamtąd nie zleci, a może chciałby się dowiedzieć, jak prowadzi się statek podczas sztormu?

Purcell parsknął z obrzydzeniem i nie odwracając się, powiedział:

- Jak zleci, to niech wie, że prędzej morze samo wyrzuci go na wybrzeże Chile, nim zrobię zwrot, żeby się po niego pofatygować.

Michael nie wątpił w szczerść tych słów. Uznał je również za znak, że może podejść do spiralnych schodków, które Ramsey wskazał ruchem głowy. Szybko zaczął się wspinać. Usłyszał jeszcze pytanie życzliwego oficera rzucone do mikrofonu: - Co powiesz na towarzystwo, Kathleen? - ale się nie zatrzymał. Nie obchodziło go, czy zostanie przywitany mile czy nie. Wspinał się dalej, aż dotarł poza mostek, na platformę w czarnym jak noc kominie - dalej wiodła pionowa stalowa drabinka. Statek zadygotał i Michael grzmotnął barkami o okrągłą ścianę; poczuł się tak, jakby wylądował w kominie z *Czarnoksiężnika z Oz*,

porwanym przez tornado i wirującym wokół swojej osi. Z wysokości dwudziestu, trzydziestu stóp padał niebieski telewizorowy blask, docierały popiskiwanie i szum urządzeń nawigacyjnych.

Postawił stopę na pierwszym szczeblu drabinki i powoli ruszył wyżej. Kiedy dziób szedł w górę, Michael padał na plecy, kiedy kładł się w dole, leciał na brzuch; w pewnej chwili mało nie stracił przednich zębów i już miał wizję kolejnej wizyty u dentysty. Szczeble były zimne i mokre, a do tego umocowane w dużych odstępach. Kiedy dotarł do ostatnich, ujrzał czarne buty z gumową podeszwą i niebieskie spodnie. Wciągnął się na stanowisko dowodzenia i gdy statek przez krótką chwilę płynął względnie równo, dotarł do Kathleen.

Mocno trzymała koło sterowe, mniejsze niż na mostku. Miała zacięty wyraz twarzy, dobrze widoczny w świetle ekranu GPS i innych urządzeń, o których zastosowaniu Michael nie miał pojęcia. Patrzyła prosto przed siebie, zaciskając usta; na krótkich kasztanowych włosach tkwił pałak słuchawek połączonych z mikrofonem. Samo stanowisko dowodzenia - nowoczesny odpowiednik bocianiego gniazda - ledwo mieściło dwoje ludzi i Michael starał się nie dyszeć w kark Kathleen.

- Wychodzenie na pokład to był bardzo niedobry pomysł - powiedziała, przypominając mi, że to ona go stamtąd ściągnęła.

- W tej chwili dmucha sto mil na godzinę.

- Rozumiem - powiedział. - Kapitan też mnie nie chwalił. - Chcąc zmienić temat, rzekł: - Więc co, sama w fotelu kierowcy?

Wokół wszędzie były wzmocnione iluminatory, wyposażone w ekrany Kenta - wirujące dyski, strącające wodę i zapewniające widok na rozszalałą kipieli. Na pokładzie rufowym oderwała się płachta śmigłowca i trzepotała jak ogromny ciemnozielony nietoperz.

Gdyby tylko dało się zrobić przyzwoite ujęcia tego całego piekła...

- Kiedy widzialność jest ograniczona jak teraz, podczas wysokiej fali - powiedziała Kathleen - stanowisko dowodzenia często przejmuje prowadzenie jednostki.

Michael rozumiał dlaczego. Jak okiem sięgnąć, cały świat był w gwałtownym ruchu, szare morze falowało w nieskończoność. Spowite bryzgami, potężne, ostro najeżone bloki lodu wyskakiwały na powierzchnię, nikiły i zderzały się ze sobą. Niewyobrażalnej wielkości fale pędziły ku dziobowi i roztrzaskiwały się na przednim pokładzie, wybuchając fontannami, które dosięgały iluminatorów tego orlego gniazda.

A wszystko to - oszalałe, wzburzone morze, zwały chmur, czarne kropki ptaków jak pędzone wyjąłym wiatrem liście - było przeniknięte nienaturalnym światłem słońca południowej półkuli, wielkiej gałki oczonej barwy zgaszonej miedzi, uparcie wiszącej nad

północnym horyzontem. Miało się wrażenie, że całą tę rozwichrzoną scenerię podświetla od spodu gigantyczna lampa, w której płoną ostatnie krople oliwy.

- Witaj na ryczących pięćdziesiątkach - dodała przyjaźniejszym tonem Kathleen. - Kiedy miniesz pięćdziesiąty stopień szerokości południowej, pogoda pokazuje, na co ją stać.

Dziób lodołamacza bez wysiłku skoczył wyżej, jakby unoszony od dołu, aż niemal osiągnął pion, wskazując porwane sztormowe chmury pędzące po niebie południa. Kathleen mocno trzymała ster, rozstawiwszy szeroko nogi, podczas gdy Michael starał się zachować równowagę, zaciskając ręce na poręczy. Wiedział, na co się zanosi, bo wszystko co znalazło się w górze, musi... spaść w dół.

W chwilę potem przeszła pod nimi fala - czuł jej grzbiet łaskoczący go w stopy - i statek kolejny raz zadygotał, po czym opadł jak kamień ześlizgujący się stromym stokiem. Za frontowym oknem wieży dowodzenia otwierało się niezgłębione koryto, mroczna, gigantyczna, ziejąca pustką szpara, której dno uciekało przed spadającym dziobem statku.

- Tak jest, panie kapitanie - powiedziała do mikrofonu Kathleen i delikatnie przełożyła ster na prawo. Michael poczuł w ustach smak spaghetti z kolacji. - Głębokość tysiąc pięćset metrów - potwierdziła.

Statek spadał, spadał, zatrzymał się, po czym się wyprostował i zwrócił w prawo.

- Jeśli się czasem modlisz - powiedziała Kathleen, po raz pierwszy spoglądając na Michaela - to teraz masz okazję. - Znów obróciła ster w prawo. - Przeływasz nad wrakami co najmniej ośmiu tysięcy statków i trupami dziesięciu tysięcy marynarzy.

Statek zaszarżował na górę lodową, która nagle się przed nimi wynurzyła jak tryton.

- Cholerny świat, czemu wcześniej jej nie zobaczyłam - mruknęła Kathleen i chwilę potem powiedziała do mikrofonu: - Tak jest, panie kapitanie. Rozumiem, oczywiście - dodała, kręcąc kołem sterowym.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłem - powiedział Michael, przekrzykując łoskot marznącego deszczu bijącego o szybę i wycie wiatru. - Jeśli to cię pocieszy, to też jej wcześniej nie zauważyłem.

- To nie twoja robota, tylko moja.

Michael zamilkł, nie zwracając jej dalej głowy. Myślał o cmentarzu, który się pod nim rozciągał, o setkach statków - szkunerów i słupów, brygów i fregat, trawlerów i statków wielorybicznych - pokiereszowanych lodem, połamanych falami, rozszarpanych przeszywającymi wiatrami. I myślał o tysiącach ludzi, którzy wpadli w tę rozszalałą, pustą, niezgłębioną paszczę i których ostatnim widokiem przed śmiercią były pękające jak gałązki

maszty, tafle lśniącego lodu wirujące nad nimi i spychające ich w dół - ile powiedziała, tysiąc pięćset metrów...? - tak głęboko, że światło tam nigdy nie dotarło.

Co dokładnie leżało pod nimi, wiele sążni pod kadłubem „Constellation”, przymarznięte na całą wieczność do dna oceanu?

Statek nagle przewalił się z boku na bok. Kathleen przekręciła koło sterowe w prawo i przekazała na dół: - Prawo na burzę, panie kapitanie! - Michael też zobaczył rosnącą i walącą się na nich jak ściana falę. Rozpościerała skrzydła, unosząc kawały lodu wielkości domów i zasłaniając światło wiecznego słońca.

- Trzymaj się mocno! - warknęła Kathleen i Michael przywarł do ściany. Nogi trzymał prosto w kolanach, szeroko rozstawione. Nigdy nie widział, by coś równie wielkiego poruszało się z taką szybkością i mocą, niosąc wszystko - cały świat - przed sobą.

Kathleen próbowała obrócić statek, uciec z miejsca największego nacisku fali, ale było za późno, a sama fala okazała się zbyt wielka. Miała co najmniej sto stóp wysokości. Kiedy szarżowała na lodołamacz - ściana rozjuszonych szarej wody, z każdą sekundą wyższa i szersza - coś innego - coś białego, nie, czarnego - coś bezwolnego, pochwyconego w stalowy uścisk sztormu - runęło ku nim jeszcze szybciej. Okno rozleciało się z takim hukiem, jakby ktoś strzelił z dubeltówki, i kawałki lodu jak fruujące igły zaatakowały niewielkie pomieszczenie. Kathleen krzyknęła przeraźliwie, odrzucona od koła sterowego. Wpadła na Michaela - próbował ją złapać, gdy sunęła po podłodze. Lodowata woda siekła go po twarzy. Kiedy się otrząsnął, zobaczył skrzeczącego albatrosa z zakrwawionym łbem na kole sterowym. Utknął w wybitym oknie, bezradnie rozkładając nogi. Fala w dalszym ciągu przelewała się przez statek, gdy ptak klekotał zmiażdżonym dziobem, splaszczonym jak nos boksera. Czarne ślepie nieruchomiały.

Kathleen kulila się na podłodze.

Niebieska konsola zamrugła i przestała działać.

Fala przeszła, statek zastękał, przetoczył się na bok, na drugi i w końcu stanął prosto.

Albatros jeszcze raz otworzył zmasakrowany dziób, wydając jedynie głuchy pisk i gdy Michael usiłował złapać oddech, a Kathleen na podłodze jęczała z bólu, światło w oczach stworzenia zgasło jak zdmuchnięta świeca.

ROZDZIAŁ 8

20 czerwca 1854 r., 21.00

Salon Afrodyty, znany stałej klienteli po prostu jako salon madame Eugenie, był usytuowany przy ruchliwej części Strandu, ale nie przy samej ulicy. W przejeździe bramnym wisiały latarnie. Kiedy się paliły, przybytek uciech funkcjonował.

Sinclair nigdy nie widział, by się nie świeciły.

Wyszedł z kabrioletu pierwszy, za nim Le Maître i Rutheford. Ten ostatni zapłacił za przejazd. Dzięki Bogu był na tyle bogaty z domu i przy tym szczodry - a teraz po prostu pijany - że miał również zapłacić za usługi w salonie. Madame okazjonalnie udzielała kredytu, lecz zdzieraa lichwiarski procent, a nikt nie chciał być ciągnany po sądach za długi wobec Salonu Afrodyty.

Kiedy trójka dżentelmenów pokonała schody, John-O, wielgachny Jamajczyk z dwoma złotymi zębami z przodu, otworzył drzwi i stanął z boku. Wiedział, z kim ma do czynienia, ale był opłacany i za to, by nigdy i w żaden sposób nie dać tego po sobie poznać.

- Dobry wieczór - wybełkotał Rutheford takim tonem, jakby składał wizytę znajomej damie - czy zastaliśmy madame?

John-O skinieniem głowy wskazał salon, częściowo zasłonięty czerwoną aksamitną portierą; dobiegały stamtąd dźwięki pianina i młody damski głos śpiewający *The Beautiful Banks of Tweed*. Sinclair jako pierwszy z trójki świeżo przybyłych ruszył ku światłu i wesołości. Francuzik uniósł brzeg portierę i madame Eugenie skierowała na nich wzrok z kanapy, na której królowała, siedząc między dwójką pracownic.

- *Bienvenue, mes amis!* - rzekła, szybko się podnosząc. Wyglądała jak stare ptaszysko, któremu jakimś cudem wyrosło świeżutkie upierzenie; jej skóra miała wygląd wiekowej, sfatygowanej torby podróźnej, suknię z szykownego zielonego brokatu zdobiły sztuczne brylanty. Podeszła, wyciągając rękę. Na każdym jej palcu skrzył się jarmarczny pierścionek. - Tak się cieszę z wizyty panów.

Podczas gdy Le Maître śmiał się pod nosem, Sinclair z ulgą opadł na przepaścistą kanapę; nie czuł się pewniej na nogach niż jego towarzysze. Salon był rozległy - kiedyś mieściła się tu sala wystawowa towarzystwa bibliofilskiego, ale że nie dostawało bibliofilów, których byłoby

stać na utrzymanie tak rozległej rezydencji, madame Eugenie upatrzyła ją sobie i wykupiła za kilka pensów. Na półkach stały bibeloty - popiersia Kupidyna i pełne sztucznych kwiatów podróbki chińskich waz. Nad kominkiem wisiała marna kopia *Ledy uwiedzionej przez Zeusa*.

Dawne gabinety i pracownie na piętrach przeznaczono na rozrywki, których charakter całkowicie wyczerpywał sens określenia „intymne”.

Sinclair naliczył jakieś pół tuzina *femmes galantes*. Krążyły po salonie, ubrane w podkreślające kształty bądź odsłaniające negligé. Taka sama ilość klientów rozsiadła się na kanapkach i fotelach. Pokojówka zapytała Sinclaira, czy ma ochotę się czegoś napić.

- Tak, dzin proszę - odparł. - I dla moich przyjaciół też.

- Dla mnie whisky - poprawił go Rutheford, rzucając ostrzegawcze spojrzenie mówiące: „Ja wykładam forszę na tę hecę, więc będę pił, na co mam ochotę, do cholery”.

Sinclair wiedział, że coraz bardziej się pogrąża, wpadając w coraz większe długi, lecz uznał, że czasem gdy się tonie, jedynym ratunkiem jest zejść na samo dno - pocieszał się myślą, że jeszcze ma kilka stóp wody pod kilem.

Zauważył, że Francuzik już się zajął kurtyzaną o kruczoczarnych lokach, noszącą zdobione błyszczącymi kamykami pantofelki.

- To ty, Sinclair? - padło głośne pytanie i młody porucznik rozpoznał głos ciekawskiego klienta. Należał do Daltona-Jamesa Fitzroya, durnia pierwszej wody, którego rodzinna posiadłość sąsiadowała z ziemiami rodziny Sinclaira. - Mój Boże, a co ty tu robisz?

Sinclair się odwrócił i ujrzał Fitzroya upychającego swój wielki zad na taborecie, obok śpiewającej dziewczyny. Kiedy się obejrzała, Sinclair spostrzegł, że chociaż była wyrosnięta, liczyła sobie nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat. Okrągła pospolita twarzyczka zdradzała wiejskie pochodzenie.

- Myślałem, że twoi wierzyciele wyszczuli cię z miasta - zarechotał Fitzroy. Pulchne policzki lśniły mu od potu i Sinclair zebrał się w sobie, aby się nie dać sprowokować.

- Bry wieczór - rzekł po prostu.

Ale Fitzroy nie spuszczał z tonu.

- Jak się wypłacisz aptekarzowi, jak coś złapiesz?

W sukurs Sinclairowi, a właściwie swoim interesom, pośpieszyła madame Eugenie. Sfrunęła między obu mężczyzn, gdacząc:

- *Messieurs*, damy, które wam towarzyszą, są czyste jak łąza! Doktor Evans dogląda ich *régulièrement*. Co miesiąc! A nasi goście - oświadczyła, wskazując dłonią na obecnych w salonie - to *crème de la société*. Tylko najdoskonalsi dżentelmeni, jak sami widzicie. - Grożąc figlarnie, ale znacząco Fitzroyowi, dodała:

- Wstyd, sir, za tak nietaktowne słowa w obliczu tych miłych dam.

Fitzroy przyjął z ironią reprimendę, nisko skłaniając głowę nad klawiaturą fortepianu i prosząc o wybaczenie.

- Być może najlepiej uczynię, wkładając miecz do pochwy i opuszczając pole walki - powiedział.

Sinclair uznał te słowa za wielce przesadne, zważywszy, że padły z ust takiego tchórza jak Fitzroy - zawsze chętnego do bufonady, póki wojenna sposobność nie miała obnażyć jego słabości.

Tamten wstał, narażając szwy kamizelki na nielichą próbę. Włokąc dziewczynę za rękę, niepewnym krokiem skierował się ku głównym schodom.

- Johnie-O - zawołała madame - proszę, wskaż naszemu gościowi *Suite des Dieux*⁴.

Tak się złożyło, że wzrok przestraszonej dziewczyny padł akurat na Sinclaira. Porucznik widział, że mimo warstwy różu i pudru, jest jeszcze młoda i niedoświadczona. I nie mógł się powstrzymać od jeszcze jednego prztyczka.

- Czemu nie weźmiesz kobiety?

Dwaj obecni w salonie dżentelmeni wybuchnęli śmiechem.

Fitzroy przystanął, chwiejąc się na nogach, ale się nie odwrócił.

- *Chacun à son goût*⁵, Sinclair. Kto jak kto, ale ty powinienesz to wiedzieć.

Kiedy Fitzroy i niechętna mu jego wybranka opuścili salon, madame Eugenie cmokając, zwróciła uwagę Sinclairowi:

- Skąd taki kłótniwy nastrój? To do pana niepodobne, milordzie. - Sinclair nie był lordem, jeszcze nie, ale znał madame Eugenie i wiedział, że lubi pochlebiać klientom. - To niegrzecznie, a poza tym pan Fitzroy dobrze zapłacił za swój przywilej.

- Jaki przywilej?

Madame Eugenie odchyliła się, jakby zdziwiona jego głupotą.

- Ta dziewczyna to niezerwany kwiatek.

Dziewica? Nawet w stanie podchmienia Sinclair zdawał sobie sprawę, że handel dziewczynami to najstarsza sztuczka w stręczycielskim fachu. Nieznające mężczyzny podlotki szły za wysokie stawki, nie tylko dlatego, że z definicji były absolutnie bezpieczne, ale i dlatego, że energicznie używane ponoć leczyły całą gamę chorób, na które zapadali amatorzy płatnych cielesnych uciech. Oczywiście, wszystko to były banialuki i innego dnia Sinclair już

⁴ Apartament Bogów (fr.).

⁵ Każdy kieruje się własnym smakiem (fr.).

zapomniałby o całym zdarzeniu - w gruncie rzeczy to przecież nie była jego sprawa, prawda? - gdyby nie przygnębienie na twarzy wleczonej niemal siłą dziewczyny. Albo była tak świetną aktorką, że powinna występować na głównej scenie Covent Garden, albo... była naprawdę nieszczęśliwa. Prawo nie zabraniało prostytucji, a dopuszczalny wiek pracownic zakładów tylko dla panów wynosił dwanaście lat; dziewczęta w tak młodziutkim wieku legalnie sprowadzano na złą drogę każdego dnia. Fitzroy niewątpliwie wyłożył dwadzieścia pięć albo trzydzieści funtów za swój przywilej.

- Daj spokój - uspokajał Sinclaira Rutheford. - Ten tłusty drań będzie twoim sąsiadem po wsze czasy. Nie zaczynaj teraz z nim kłótni.

Madame Eugenie mrugnęła na jedną z kobiet. Miała jasnorude włosy rozrzucone na kremowych, umiejętnie wyeksponowanych ramionach. Zręcznie przeprowadziła Sinclaira z otomany na ciasną sofkę pod wizerunkiem ściganej przez satyra nimfy. Pojawiła się pokojówka z dzinem.

Francuzik zastąpił przy fortepianie wiejską dziewczuchę i tak dobrze, jak na to pozwalał stan jego obniżonej sprawności, zagrał smętną wersję utworu *Herr* Mozarta.

Ruda przedstawiła się jako Marybeth i próbowała zająć Sinclaira rozmową, pytając wprawdzie o brygadę, a potem o miejsce przydziału, zanim wyraziła głębokie zaniepokojenie - w mniemaniu porucznika zbyt przedwcześnie - o jego bezpieczeństwo w przyszłości. Lecz on przez całą tę paplaninę widział tylko dziewczynę o wystraszonych oczach, nieporadną jak młoda sarna, wleczoną po schodach za złotozębym Johnem-O.

Sęk w tym, że Sinclair miał kiedyś siostrę. Umarła mniej więcej w wieku tamtej, na suchoty.

- Dość tego! - zawołał do Le Maître'a jeden z klientów.

- Zagraj coś skoczniejszego. Gdybym chciał się wybrać na koncert, poszedłbym z żoną.

Wzbudziło to śmiechy i oklaski, na co Francuzik, ulegając żądaniom ogółu, odbębnił rzewną wersję *My Heart's in the Highlands*.

Kiedy skończył i przystąpił do maltretowania kolejnego numeru modnego na Strandzie, Sinclair usłyszał krzyk z góry.

Wszyscy pozostali go zignorowali - chociaż Francuzik przerwał w pół taktu, a Marybeth ze szczególną troską zajęła się poprawianiem zapięcia koszuli i kołnierzyka Sinclaira. Podstarzały dżentelmen, któremu towarzyszyła dostojnie wyglądająca brunetka, nie zatrzymał się, wchodząc po schodach. Kiedy Le Maître przestał grać, Sinclair wyteżył słuch - chociaż *Suite des Dieux* był piętro wyżej, doleciał stamtąd drugi przytłumiony krzyk i stukot czegoś spadającego na podłogę.

- Właśnie uzupełniono *table d'hôte* - oznajmiła madame Eugenie, klaszcząc w dłonie. - Drodzy panowie, zechciejcie spróbować otwartych ostryg.

Kilku gości wstało - wśród nich Rutheford - i poszło do bufetu w drugim pokoju. Tymczasem Sinclair zręcznie uwolnił się z opiekuńczych rąk rudej dziewczyny i ruszył do schodów. Szczęśliwym trafem John-O właśnie witał trzech podochoconych hulaków, odbierając od nich peleryny i cylindry, i Sinclair mógł udać się na górę niezauważony.

Suite des Dieux mieścił się na drugim piętrze, tuż powyżej portyku; Sinclair sam korzystał z niego kilka razy. Wiedział też, że drzwi tego pomieszczenia - jak wszystkie drzwi Salonu Afrodyty - nie były zamykane na klucz, gdy przebywali za nimi klienci. Madame Eugenie dawno odkryła, że w jej przybytku ona sama bądź John-O muszą mieć natychmiastowy - chociaż, ma się rozumieć, uzasadniony - dostęp do każdego zakątka.

Sinclair celowo szedł po bieżniku. Kiedy dotarł do drzwi, bezszelestnie przyłożył do nich ucho. Wiedział, że cały apartament to zaledwie dwa pomieszczenia - przedpokój z kilkoma mebelkami z klonowego drewna i sypialnia z potężnym łóżem z baldachimem. Z głębi doleciał Sinclaira tubalny głos Fitzroya, a po nim ciche dziewczęce łkanie.

- Będziesz słuchała - wyskandował Fitzroy.

Dziewczyna znów załkała, zwracając się do niego „szanowny panie”, i sądząc z odgłosów powoli, z lękiem cofała się w najdalszy kąt. Waza lub butelka rozbiła się na podłodze.

- Nie zapłacę za to! - powiedział Fitzroy.

Sinclair usłyszał świst bata i krzyk.

Otworzył z rozmachem drzwi i przebiegł do sypialni. Fitzroy świecił nagą pierś, ale spodnie jeszcze miał na sobie. Jedną szelkę już zdjął, drugą trzymał w ręce.

- Sinclair, niech mnie szlag...!

Rozebrana dziewczyna okrywała nagość zakrwawionym prześcieradłem. Łzy zmyły z twarzy puder i róż.

- Masz, cholera, czelność się tu wdziarać! - ryczał Fitzroy, ruszając do swoich ubrań rzuconych na kanapkę. - Gdzie John-O?

- Wkładaj łachy i wynoś się.

- To ty się stąd wyniesiesz - parsknął Fitzroy. Brzuch zwisał mu jak poleć słoniny.

Sięgnął do kieszeni i dobył derringera ze srebrnymi okładzinami, broń szulera. Sinclair nie był zbyt zaskoczony. Dziewczyna ujrzała dla siebie szansę i przebiegła między mężczyznami, po czym zniknęła w korytarzu.

Widok broni nie zmniejszył determinacji Sinclaira. Przeciwnie, rozplomieniał go.

- Ty cholerny, tchórzliwy wieprzu. Jak chcesz mi grozić pistoletem, lepiej bądź gotów go użyć.

Zrobił krok naprzód. Fitzroy cofnął się do okna.

- Użyję - wrzasnął. - Użyję go!

- Dawaj - warknął Sinclair, wyciągając rękę.

Kolejny krok. Fitzroy zamknął oczy i strzelił. Sinclair usłyszał głośny trzask i zobaczył, że ma rozdarty rękaw kurtki. Zaraz potem poczuł, jak coś mokrego - krew - spływa mu w dół ramienia.

Rzucił się na Fitzroya. Szkło zatrzeszczało mu pod butami. Przeciwnik chciał go uderzyć pistoletem, ale wyrwał mu go z ręki. Fitzroy odwrócił się, szukając drogi ucieczki, ale dokąd miał uciec?

Sinclair usłyszał ciężki tupot nóg biegnącego na górę Johna-O. Fitzroy też musiał go usłyszeć.

- John-O! - krzyknął. - Tutaj!

Pewny zwycięstwa uśmiechnął się szyderczo do Sinclaira, a ten w ślepych szale odwrócił go w miejscu jak kukłę, złapał za kark i siedzenie spodni, przepchnął trzy kroki do zamkniętego okna i cisnął przez szybę. Wrzeszczący z przerażenia Fitzroy wywinął w powietrzu kozła i z hukiem, w ulewie odłamków szkła, wylądował kilka stóp niżej, na dachu przejazdu bramnego. Stojące pod nim konie zarżały przerażone.

John-O utknął ogłupiały w drzwiach sypialni. Sinclair odwrócił się na pięcie. Z lewego rękawa kurtki zwisał mu zakrwawiony kawałek materiału.

- Rachunek od szklarza - rzekł, mijając Jamajczyka - proszę przesłać na mój adres.

U stóp schodów ujrzał Rutheforda, Le Maître'a i kilku innych gości. Byli zaniepokojeni.

- Dobry Boże, postrzelił cię? - wykrzyknął Rutheford, gdy Sinclair zszedł na dół.

- Kto? - spytał Francuzik. - Ten łajdak Fitzroy?

- Zabierzcie mnie do tego szpitala, który mijaliśmy - powiedział Sinclair. - Przy Harley Street.

Rutheford i Francuzik wyglądali na zaskoczonych.

- Ale to szpital dla ubogich niewiast - bąknął pierwszy z nich.

- W sztormie każdy port dobry - odparł Sinclair.

Może nie cały wieczór był stracony.

ROZDZIAŁ 9

1 grudnia, 11. 45

Burza nadal szalała; przycichła dopiero koło południa następnego dnia. Zniszczoną wieżę dowodzenia zabezpieczono i zamknięto na dalszą część podróży.

Doktor Barnes pomogła lekarzowi okrętowemu usunąć odłamki lodu i szkła z twarzy porucznik Kathleen Healey. Oczy rannej były jednak w znacznie gorszym stanie i Charlotte uznała, że należy ją przetransportować na ląd - do dobrego okulisty - najszybciej jak się da.

- Może na zawsze stracić wzrok w jednym oku lub nawet w obu
- oznajmiła kapitanowi w jego kabinie.

Purcell nie odpowiedział, tylko głęboko zamyślony wpatrywał się w czubki butów, po czym podniósł głowę i zarządził:

- Bierzcie się do pakowania.
- Proszę...?
- Planowałem podwieźć was możliwie najbliżej Cypla Adeli, ale chyba dacie radę dolecieć śmigłowcem stąd.

Charlotte naprawdę nie spodobało się to „chyba”.

- Wystarczy tylko trochę zmniejszyć wagę sprzętu. Okroi się prowiant. Zapakujemy na śmigłowiec panią, panów Hirscha, Wilde’a, wasze rzeczy i możecie startować. Śmigłowiec ma dość paliwa, by podrzucić was na miejsce i wrócić. W tym czasie my już będziemy płynąć na północ. Poruczniku Ramsey! - zawołał przechodzącego korytarzem oficera.

- Tak, panie kapitanie?
- Przygotować śmigłowiec. Kto go pilotuje podczas tego rejsu?
- Chorąży Diaz i chorąży Jarvis.
- Niech zatankują paliwo i czekają w gotowości. Mają dostarczyć naszych trzech pasażerów na Cypel Adeli najszybciej, jak to możliwe.
- Stąd, panie kapitanie? Czy nie...

Ale kapitan przerwał porucznikowi, uzupełnił rozkazy i odesłał go. Poprosił też Charlotte, by zawiadomiła Wilde’a i Hirscha.

- Na którą mają być gotowi?

Spojrzał na zegarek i powiedział:

- Powiedzmy na trzynastą zero zero.

Charlotte szybko policzyła. Miała około pięćdziesięciu pięciu minut.

Wiedziała, gdzie szukać Darryla - nadal leżał na koi. Co prawda już nie był tak zielony jak wczorajszego wieczoru, ale kolorami nadal bardziej przypominał zjawę niż człowieka. Kiedy przekazała mu wieści, zamknął oczy, wyraźnie zbierając siły, by wstać. Podołał zadaniu.

- Wszystko w porządku? - spytała, przyglądając się mu, gdy ruszył jak lunatyk do swoich toreb.

- Uhm - wymamrotał. - Idź po Michaela.

- Wiesz, gdzie jest?

- A gdzie by? Na pokładzie.

Charlotte nie miała czasu na długie poszukiwania - sama musiała się spakować - ale szybko poszła na główny pokład. Na dziobie nie było nikogo, a na rufie kilku marynarzy walczyło z brezentowym okryciem śmigłowca przymocowanego do wyrastającej nad pokład platformy lądowiska. Nadal wiał mocny wiatr i brezent łopotał jak monstrualna peleryna. Michael fotografował wysiłki marynarzy.

- Wiesz, że za niecałą godzinę mamy siedzieć w tym ptaszku? - spytała.

- Wiem - odparł, nie wstając z klęczek i szukając zadowolającego ujęcia. - Od załogi. Większość rzeczy mam w torbie. Mogę startować za trzy minuty.

- Spryciarz z szanownego pana - powiedziała. - No, ja mam jeszcze to i owo do zrobienia. Kiedy pójdziesz po bagaże, dopilnuj Darryla. Chłopak wciąż ledwo trzyma się na nogach.

*

Kiedy Charlotte zeszła pod pokład, Michael zrobił jeszcze kilka zdjęć i szybko zebrał sprzęt. W końcu zdobył marynarskie doświadczenie. Już potrafił przewidzieć, na którą burzę poleci statek i czy dziób czy rufa pójdzie w górę. Ale nie żałował, że musi zejść z pokładu. Od pamiętnej sesji zdjęciowej, a tym bardziej od fatalnie zakończonej wizyty na wieży dowodzenia czuł się osobą niepożądaną i starannie unikał spotkania twarzą w twarz z wyższymi oficerami. Nawet mat Kazinski patrzył na niego jak na zwiastuna nieszczęścia. Po wypadku najlepiej jak umiał zaopiekował się porucznik Healey. Pomógł jej zejść po drabince, stosując technikę strażacką - idąc szczebel niżej zabezpieczał ranną przed upadkiem. Potem wrócił na stanowisko dowodzenia. Spróbował usunąć zdechłego albatrosa i jakoś zabezpieczyć okno, ale na dobrą sprawę był bezradny. Ptak zbyt mocno utknął - szkło jak

skalpel wbiło mu się pierś. W tej sytuacji Michael zdecydował, że najlepiej zrobi, zostawiając go tam, gdzie był. Przynajmniej fale miały utrudniony dostęp do środka.

Nie, nie zamierzał żałować, że musi opuścić lodołamacz i lecieć na Cypel Adeli. Tam czekała go prawdziwa praca.

Po tym jak zdjęto płachtę, Michael, który już widział niejednego helikopter, rozpoznał jednostkę klasy Delfin, mocny jednośmigłowy dwusilnikowiec rutynowo używany do operacji antynarkotykowych, patroli nad lodowcami, akcji poszukiwawczych i ratunkowych. Pomalowano go na czerwono, jak statek. Taka była standardowa procedura bezpieczeństwa w mroźnym klimacie, gdzie wybór koloru decydował o odnalezieniu lub nie poszukiwanych - a więc o ich życiu lub śmierci. Na oczach Michaela kilku marynarzy podłączyło węże z paliwem i szykowało jednostkę do startu, inni wyładowali jakieś skrzynie. Przypominali mu zespoły w pit-stopach podczas wyścigów NASCAR, gdzie każdy sprawnie i prawie bez słów robi swoje. Schował aparat, zebrał swój sprzęt i zszedł do kabiny.

Zgarbiony Darryl siedział na koi i żuł baton proteinowy.

- Czemu nie pójdziesz do mesy - spytał Michael, wpychając do torby zestaw do golenia - i nie zjesz czegoś ciepłego? Serwują *sloppy joes*⁶.

- Odpada - odparł Darryl.

- Odpadasz? - zapytał Michael. - Mogę ci przynieść.

- *Sloppy joes* odpadają. Nie jem mięsa.

Michael przerwał pakowanie.

- Nie zauważyłeś? - powiedział Darryl.

Teraz, gdy Michael się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że Darryl faktycznie nie jadł mięsa. Fury owoców i warzyw, tony chleba, sera, krakersów, tłuczonych ziemniaków, ciasta z wiśniami, sufletów szpinakowych - tak. Ale żadnych buł z mielonymi, schabowych ani pieczonych kurczaków.

- Od jak dawna?

- Od college'u, od kiedy wybrałem biologię.

- A co biologia tu ma do rzeczy? - spytał Michael.

- Wszystko - odparł Darryl, zdzierając kolejny kawałek opakowania batonu. - Kiedy na serio wziąłem się do badania życia - we wszystkich jego odmianach i objawach - zobaczyłem,

⁶ Rodzaj sosu bolońskiego (na bazie słodkich pomidorów lub keczupu) z cebulą, podawane w hamburgerowej bułce.

że bez względu na to jakie jest, duże czy małe, ma jedną wspólną cechę, nie miałem serca w to ingerować.

Michael miał wrażenie, że rozumie, o czym mowa.

- Masz na myśli pragnienie życia?

Darryl skinął głową.

- Każdy gatunek, od niebieskiego wieloryba po muszkę owocówkę, każdą komórką walczy o przetrwanie. I im bardziej się wgłębiałem w ten mechanizm, nawet badając jednokomórkowe okrzemki, tym piękniejszy mi się wydawał. Życie to cud - cholera! absolutny cud - w każdej formie, którą przybierze - i już nie potrafię uzurpować sobie prawa do tego, by odbierać je bez potrzeby.

Chociaż Michael nie zamierzał zrezygnować ani z ulubionych chrupiących żeberek, ani schabowych wielkości talerza, rozumiał punkt widzenia Darryla. Jednego nie pojmował.

- Ale czemu wcześniej o tym nie powiedziałeś? W mesie czy w świetlicy? Mogliby ci przygotować dania wegetariańskie.

Darryl spojrzał na niego przeciągle.

- Wiesz co marynarze, a wojskowi w ogólności myślą o wegetarianach? - Darryl zdał sobie sprawę, że Michael nigdy nie dostrzegł tego problemu. - Już lepiej byłoby im powiedzieć, że jestem pedofilem.

Michael musiał się roześmiać.

- Co będziesz robił na Cyplu Adeli? Czy to też tajemnica?

Darryl wzruszył ramionami, skończył baton i zwinął folię w kulkę.

- Skreślałam to świństwo. Gorsze od parówki. - Wstał z koi i zaczął wciągać sweter. - Naukowcy w bazie niczego nie zauważają, zresztą nasza obecność w ogóle ich nie obejdzie. - Wystawił głowę ze swetra. - Daj glaciologowi kawałek świeżego lodu do analizy, a będzie najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi. Tak długo jak nie wsadzasz nosa w ich eksperymenty, naukowcy mają kompletnie gdzieś, co robisz.

Michael musiał się z tym zgodzić. Opisał kilku gości tego pokroju - prymatologa z Brazylii, herpetologa z południowego zachodu Stanów - i faktycznie żyli całkowicie pochłonięci swoimi małymi przedziwnymi światami. Na Cyplu Adeli z pewnością natrafiają na cały zbiór nie tyle jakich dziwaków.

Kiedy Darryl skończył pakowanie, zawlekli torby na pokład rufowy, gdzie piloci już wsiedli do śmigłowca i przeprowadzali rutynowe kontrole instrumentów pokładowych. Bagażę doktor Barnes przyniósł mat Kazinski - Charlotte szła zaraz za nim w swojej zielonej kurtce; warkoczyki zebrała w gruby węzeł.

Zanim weszli na pokład śmigłowca, podszedł do nich kapitan Purcell. Zwracał się tylko do Charlotte i Darryla, całkowicie ignorując Michaela.

- W imieniu Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych chciałbym życzyć państwu dobrej podróży na Cypel Adeli. Miło nam, że mogliśmy się do czegoś przydać, i mamy nadzieję, że będziemy mogli służyć państwu pomocą, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba.

Charlotte i Darryl podziękowali mu wylewnie i uściśnęli mu dłoń. W końcu kapitan spojrzał na Michaela.

- Pan, panie Wilde, niech na razie spróbuje nie pakować się w żadne kłopoty.

- Mam nadzieję, że porucznik Healey miewa się lepiej. Czy mógłby mnie pan informować o postępach jej rekonwalescencji?

- Postaram się - powiedział kapitan. Jego ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że prędzej obetnie sobie rękę, niż powiadomi Michaela o stanie zdrowia porucznik komandor Kathleen Healey.

Dwóch marynarzy zaczęło przerzucać bagaże pasażerów do ładowni. Kapitan spojrzał w kierunku zachodnim i dodał:

- Lepiej się pospieszcie. Po drodze czekają nas dalsze przyjemności pogodowe. - Zasalutował pilotom, odwrócił się i poszedł na mostek.

Michael poszedł za Charlotte i Darrylem do drzwi z boku śmigłowca, schylił głowę i opadł na fotel najdalszy od wejścia, przy dużym kwadratowym oknie. Ten typ maszyn zaprojektowano z myślą o maksymalnej widoczności, tak że Michael miał zapewniony znakomity widok przez całą drogę. Darryl być może celowo usiadł w środku, obok Charlotte. Kabina była nagrzana. Michael szybko zdjął kurtkę i rękawice, zapiął pasy bezpieczeństwa i nałożył tłumiące hałas słuchawki połączone z mikrofonem. Pilot włączył silnik, śmigłowiec zaczął wibrować i szumieć. Marynarz zasunął i zabezpieczył drzwi. Usytuowane między kokpitem i przedziałem pasażerskim krótkie przejście umożliwiało obserwację pilotów - od zdejmujących brezent marynarzy Michael dowiedział się, że nazywają się Diaz i Jarvis. Pstrykali przełącznikami górnych paneli sterowniczych, sprawdzali zegary i ekrany. Ich część śmigłowca wyglądała jak pomniejszona wersja mostku.

Helikopter zadygotał jak nastolatka na szpilkach, po czym nagle nabrał pewności siebie - i mocy - wznosząc się prosto w górę, nosem ku rufie. Kiedy statek przesunął się pod nim, położył się na bok i ruszył na południowy zachód, oddalając się od „Constellation”. Ostatnią rzeczą, którą Michael dostrzegł, było zniszczone okno wieży dowodzenia. Usunięto martwego albatrosa i tymczasowo zabezpieczono je deskami, wzmocnionymi aluminiowymi pasami. Brzegi oklejono grubą taśmą izolacyjną.

Pod sobą Michael miał Morze Weddella - nazwane tak na cześć szkockiego łowcy fok, Jamesa Weddella, jednego z pierwszych, którzy zapuścili się tu w latach 20. XIX wieku. Woda była gęsta od kry i ogromnych, pozornie nieruchomych gór lodowych. Z góry Michael widział poszarpane szczeliny. Kiedy światło sięgało ich wnętrza, płonęły niczym niebieskie neony, a gdy przesunęło się dalej, odnosiło się wrażenie, jakby nagle wyłączono prąd, i szczelina znów stawała się przerażającą szramą, czarnym szwem na martwej białej twarzy.

W słuchawkach rozległy się trzaski, po czym przedstawił się chorąży Diaz i zapowiedział, że podróż zajmie około godziny.

- Liczymy na spokojny lot - powiedział - ale wiecie, co się dzieje w dole.

Michael nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na Darryla, który miał już dość turbulencji na całe życie, ale naukowiec wyłączył słuchawki i zapadł w błogi sen. Otworzył usta i oparł głowę o ramię Charlotte. Lekarka nałożyła wielkie okrągłe okulary i zamyślona patrzyła w dół, na morze.

Michael zgadywał przynajmniej część jej myśli. Lecąc nad rozległymi nagimi obszarami Antarktyki, pozbawionymi śladów człowieka, trudno było się opędzić od pewnych konstatacji - poczucia, że wąty ogienek czyjegoś życia nie ma znaczenia, świadomości, że w każdej chwili jedna drobna awaria, jeden przypadek może doprowadzić do serii zdarzeń kończących się śmiercią lub katastrofą. Mimo że wielu badaczy, łowców wielorybów i fok przez stulecia penetrowało te niebezpieczne wody, kontynent antarktyczny pozostał w dużej mierze niezbadany. Po prostu uratowały go niesłychanie surowe warunki, odstrasające człowieka. Kiedy rachunek ekonomiczny przesądził o nieopłacalności zabijania ostatnich żyjących wielorybów, trzebionych dla tranu i fiszbinu, przemysł wielorybniczy zamarł. Kiedy na skutek bezlitosnych polowań - setki tysięcy zwierząt bezsensownie zamordowano, wybito matki, a młode zginęły z głodu - zmalała ilość foczych skór, również ten koszmarny interes stopniowo podupadł. Gdzie tylko człowiek postawił stopę, rzeź była tak brutalna, tak niebywałych rozmiarów i tak błyskawiczna, że źródło bogactwa oprawców wyczerpało się niemal całkowicie w ciągu jednego stulecia.

Kurę znoszącą złote jaja zabijano raz za razem, raz za razem i raz za razem.

Lecz lodowate przestrzenie bieguna południowego w końcu zmogły najeźdźców i odmówiły dostępu intruzom. Zostali tylko najbardziej wytrwali. Na całym wybrzeżu Oceanu Południowego utworzono bazy naukowe i stacje badawcze, takie jak na Cyplu Adeli. Były one jednak niczym czarne kamyczki na rozległej białej plaży, ciemne kropeczki w świetle błękitnego morza i krystalicznych szczytów. Większość z nich, jak dowiedział się Michael podczas kolacji w mesie oficerskiej, powstała nie w celu poszukiwania wiedzy, ale w imię

pretensji do tego ładu - i niezliczonych bogactw mineralnych prawdopodobnie kryjących się w jego głębi.

- Antarktyda to jedyny kontynent na Ziemi, na którym nie ma żadnego państwa - zauważyła pewnego wieczoru Kathleen Healey - i chcąc utrzymać ten stan, stworzono w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku Traktat Antarktyczny. Stanowi on, że Antarktyka - to znaczy każdy ocean i ląd na południe od sześćdziesiątego równoleżnika - jest strefą międzynarodową. Bezatomową. Podpisały go czterdzieści cztery państwa.

- Ale to nie powstrzymało dzikich lokatorów - wtrącił Darryl, ładując na talerz piramidę ziemniaków *au gratin*. - Wystarczył jeden, żeby znalazła się ich cała fura.

Porucznik Healey uśmiechnęła się smutno.

- Racja. Wiele krajów, w tym takie egzotyczne jak Chiny i Peru, stworzyło tak zwane stacje badawcze. To ich sposób zmanifestowania światu, że przyznają sobie prawo do współdecydowania w każdej sprawie związanej z Antarktyką - lub też do eksploatacji każdego surowca, który może być znaleziony.

- Innymi słowy po prostu ustawiają się w kolejce jak my - powiedział Darryl - wyciągając łapy po wszystko, co może w nie darmo wpaść. - Włożył do ust kolejny widelec ziemniaków i nie zdążył jeszcze przełknąć, gdy dodał: - I wpadnie.

Michael nie wątpił, że naukowiec ma rację, chociaż spoglądając przez okno na zamrożoną panoramę i na słońce dotykające horyzontu jak wielka kula z brązu, z trudnością wyobrażał sobie nadchodzący kataklizm. Niekończący się lód i sfalowane morze wydawały się zarówno niedostępne, jak i wieczne.

Na zachodzie pokazały się pierwsze oznaki sztormu, o którym wspomniał kapitan. Postrzępione szare chmury wypełniły niebo i ruszyły w kierunku helikoptera. Miały wygląd porwanych niewidzialnymi palcami strzępków całunu. Ocean się podniósł, jeszcze niedawno łagodne fale urosły i nastroszyły białe grzywy. Wzmagający się wiatr pędził przed sobą stada morskich ptaków.

Darryl już się obudził i siedział wyprostowany; chyba w końcu uwolnił się od choroby morskiej i chociaż skórę miał białą jak każdy rudzielec, to przynajmniej utracił zielony odcień. Uśmiechnął się do Michaela i uniósł kciuk. Charlotte badała rozłożoną na kolanach mapę.

Diaz i Jarvis rozmawiali, spoglądając na wskaźniki i monitory. Po chwili śmigłowiec podniósł się wyżej i chyba przyspieszył. Niełatwo było to ocenić, mając pod sobą jedynie rozległą, jednolitą lodową płaszczyznę. Przez jakieś dwadzieścia minut śmigłowiec leciał z

maksymalną prędkością do miejsca przeznaczenia. Michael zastanawiał się, czy sztorm nie nadciąga prędzej, niż się tego wcześniej spodziewano.

Odchylił głowę i zamknął oczy. Też był bardzo wyczerpany; spanie na lodołamaczu nie należało do przyjemności. Silniki i śruby miażdżące kawały lodu wielkości autobusów nieustannie łomotały, kajuta była wilgotna (woń pleśni na stałe przywarła do ubrań), rzadko przespał kilka godzin bez gwałtownej pobudki i nieraz wypadł z koi na podłogę. Bez względu na to jaka kwatery czekała na niego na Cyplu Adeli, cieszył się na myśl, że będzie spał w łóżku, które nie miota się jak narowisty koń, i które nie będzie stało w odległości zaledwie kilku stóp od szalejącego oceanu, usiłującego zgarnąć je w swoje otchłanie.

Zastanawiał się, czy stan Kristin się zmienił. Dziwnie się czuł, tak radykalnie pozbawiony zwykłych kontaktów, tak daleko odsunięty, w każdym sensie, od wszystkich kłopotów codziennego życia.

To prawda, że po wypadku wziął jakby urlop od przyjaciół, rodziny, pracy, zaszył się ze swoją nędzą i rozpaczą, pozostawiając automatycznej sekretarce przyjmowanie telefonów, a serwerom AOL - e-maili. Ale wiedział, że gdyby wydarzyło się coś tragicznego, dowie się o tym; świat - a przynajmniej młodsza siostra Kristin - przebije mury, które wzniosł, i takim czy innym sposobem przekaże mu wiadomość. Lecz tam dokąd leciał, trudno było o regularną łączność i w razie czego nie mógłby zareagować stosownie do okoliczności. Nie dało się pomknąć raz-dwa z najbardziej niedostępnego, odległego o tysiące mil od domu miejsca na Ziemi do szpitalnego łóżka, czy w gorszym wypadku na cmentarz.

Jednak gdyby miał być ze sobą całkiem szczery, to musiałby przyznać, że prawdziwa potworność obecnej sytuacji polega na tym, że przyniosła mu ulgę. Od kiedy zabrał się do przygotowań do podróży, jego uczuciowy bagaż stał się lżejszy, a on sam przestał się wpatrywać w telefon jak królik w jadowitego węża. Do tej pory żył w zawieszaniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę w gotowości, niezdolny ruszyć w przód, by nie oglądać się do tyłu.

Wiatr rzucał śmigłowcem i Michael nie odwracając głowy, otworzył oko i zerknął na zewnątrz. Sceneria całkowicie się zmieniła. Postrzępione chmury mknęły po niebie jak armia upiórów. Wirujące tumany mgły zakryły nawet ocean daleko w dole. Podział na morze i niebo, lód i powietrze zacierał się z każdą chwilą. Michael wiedział, że to jedno z największych zagrożeń Antarktyki. Tu podczas sztormu świat w ciągu kilku minut stawał się jedną lśniąca, świetlistą białą zupą. Statki gubiły kurs, a badacze wpadali w niewidoczne szczeliny. Pozbawieni punktów orientacyjnych piloci roztrzaskiwali samoloty o szczyty gór lodowych lub pikowali prosto w twardy lód.

- Coś mi się zdaje - powiedział przez interkom chorąży Diaz - że zaraz dopadną nas przeciwnie wiatry. - Michael się wyprostował i spojrzął na towarzyszy podróży. Charlotte odkładała złożoną mapę, a Darryl wykręcał szyję, patrząc przez okno. - Ale jesteśmy prawie nad Cyplem Adeli. Lecimy z północnego zachodu wzdłuż wybrzeża. Jeśli mgła się rozwieje, powinniście zobaczyć starą norweską stację wielorybniczą, a może nawet kolonię pingwinów Adeli.

- Pilot wyłączył interkom, ale zaraz znów go włączył. - Chorąży Jarvis prosił, żebym wam powiedział, że wylądujemy tylko na chwilę, na ziemi będziemy najkrócej, jak to możliwe, więc proszę, abyście byli gotowi opuścić maszynę, kiedy tylko usłyszycie pozwolenie. Nie czekajcie na bagaże i sprzęt, rozładunek to nie wasza broszka.

- Rozłączył się na dobre.

Michael mocniej zaciągnął sznurówki, położył na kolanach kurtkę, czapkę i rękawiczki, chociaż nie mógł się ubrać, nie rozpiąwszy wpierw pasów bezpieczeństwa. Śmigłowiec z wolna zmniejszał wysokość - Michael poczuł to, choć nic nie widział - i rozpraszał mgłę. Chwilami prześwitywał kawałek skalistego wybrzeża i raz czy dwa pokazała się wielka, czarna masa pingwinów, kotłująca się na śnieżnej równinie. Potem wyrosła mozaika porzuconych drewnianych chatek barwy sadzy i rdzy; z mgły wyskoczył nagi maszt flagowy. Ale nie dało się określić, czy to prawda czy złudzenie, gdyż śmigłowiec przelatywał za szybko; wznosił się i opadał na potężnych prądach powietrznych; chwiało się na boki. Zaraz potem przelecieli nad niskim górskim grzbieciem, zwolnili i odwrócili się w powietrzu; wirniki pracowały głośniejsz niż kiedykolwiek do tej pory. Michael przykleił się do szyby, patrząc w dół; łopaty wirników nośnych miały mgłę. Dostrzegł człowieka w pomarańczowej kurtce z kapturem, wymachującego szaleńczo rękami i ślizgającego się po lodzie. Otaczały go szare i brązowe plamy, niektóre ruchome. Ślizgały się po śniegu i lodzie, czasem znikwały, jakby nagle parując. Helikopter - zawisł w powietrzu, ale uderzony silnym powiewem rozchwiało się nad ziemią. Diaz i Jarvis garbili się nad panelami kontrolnymi; pierwszy z nich mówił coś szybko do mikrofonu.

Człowiek w dole zniknął z pola widzenia Michaela; potem znów się pojawił. Biegł, nie przestając machać rękami. Śmigłowiec znów się zakotłosał; rozległa się syrena i maszyna powoli zeszła w dół. Kiedy dotknęła płozami śniegu, rozległ się potężny chrzęst, który przypomniał Michaelowi otwieranie staromodnych tacek na lód. Przez te hałasy przebiły się krzyki człowieka w kurtce. Przebiegł za oknem - Michael dostrzegł pod ciemnymi goglami brodatą, spaloną słońcem, pomarszczoną twarz. Huk wirników znacznie się zmniejszył. Piloci przesunęli wyłączniki na pozycję „stop” i wyswobodzili się z pasów bezpieczeństwa.

Michael też rozpiął pas. Diaz się odwrócił i zawołał:

- Przystanek końcowy!

Jarvis już wysiadł i szarpał za blokadę kabiny pasażerskiej. Drzwi się przesunęły i antarktyczne powietrze niczym tornado wtargnęło do środka. Charlotte nadal walczyła z pasami, a Darryl pomagał jej, jak umiał.

- Cały ładunek na ląd! - krzyknął Jarvis, wyciągając rękę do Charlotte, która w końcu się uwolniła i niepewnym krokiem wyszła na lód. Darryl równie zgrabnie poszedł w jej ślady. Michael opuściłabinę ostatni.

Facet w pomarańczowej kurtce krzychał coś do pilotów o fokach, fokach Weddella i nowo narodzonych. Michael był wciąż ogłuszony po huku helikoptera, a wiatr porywał większość słów, które tamten wypowiadał, zanim dało się je zrozumieć.

Michael oddalał się od śmigłowca, gdy kilku innych ludzi w kurtkach z kapturem i goglach pobiegło do ogona maszyny, gdzie Jarvis otworzył ładownię. Michael zobaczył wysuwające się palety z dostawami, ale ponieważ w tej samej chwili prawie stracił równowagę, musiał się skupić na tym, co było przed nim. Tylko dokąd miał iść? Nie widział stacji; nagle odkrył w lodzie dziury o średnicy kilku stóp. Zatrzymał się i coś zobaczył, coś czerwonego, miękkiego i mokrego. Mężczyzna w pomarańczowej kurtce znów krzychał i tym razem Michael zdołał co nieco zrozumieć.

- Foki Weddella teraz rodzą! Dosłownie teraz! Patrzcie pod nogi! - Charlotte i Darryl zastygli w miejscu, ramię w ramię. - Dziury w lodzie! - krzychał, wskazując kilka wokół nich. - Wygryzają dziury w lodzie, żeby oddychać!

Kilka jardów dalej Michael dostrzegł nowo narodzoną foczkę. Prawie nie odróżniała się od lodu. Potem dwie kolejne. Białe, usmarowane krwią, z czarnymi otwartymi oczami. Za nimi leżała matka, szara baryłka.

Pokazała się kolejna foka - większa, ciemniejsza, zupełnie dorosła - wsadziła łeb w przerębę i jakoś wydostała się na lód.

- Dalej, dalej! - darł się facet w pomarańczowej kurtce.

- Zejdźcie z lodu!

Ktoś ze stacji, mężczyzna o wielkich, podkreconych do góry wąsach, poprowadził Charlotte i Darryla. Michael krok za krokiem szedł za nimi, ale we mgle czasem nawet nie widział swoich butów. A lód, śliski nawet w najlepszych warunkach, pokryty krwią i śluzem był jeszcze trudniejszy do pokonania. Kiedy Michael w końcu poczuł pod nogami chropowatą skałę i porosty, odetchnął z ulgą. Wiatr rozwiął mgłę i na niewielkim wzniesieniu, nie dalej niż kilkadziesiąt jardów dalej, zobaczył kilka szarawych domków z prefabrykatów,

wyrastających parę stóp nad wieczną zmarzliną. Tuliły się do siebie, otaczając najbrzydszy na świecie szkolny dziedziniec. Stał na nim okryty lodem maszt sztandarowy. Amerykańska flaga łopotała na zimnym wietrze.

Facet w pomarańczowej kurtce podszedł do niego z tyłu i powiedział:

- Nazywamy to ogrodem Antarktydy. - Michael przestępował z nogi na nogę w zimnych, pobrudzonych krwią butach. Mężczyzna mówił dalej z wyraźnym bostońskim akcentem: - Ale muszę cię ostrzec. Nie zawsze tu tak pięknie.

CZĘŚĆ II

CYPEL ADELI

Baksztag z południa zacny wzrósł;

Albatros się pojawił

I co dzień chętny żeru, igr,

Na zew z pokładu stawał!

Czy w mgle, czy w mroku, na szmacie i na noku

Czekał wieczornej chwalby Pana,

Gdy poprzez noc, przez opar biały

Miesiąca biel jaśniała.

Niech Bóg cię broni, morski wygo!

Przed Złym, co tak cię kasa! -

Czemu żeś zbladł? - Pocisk mej kuszy

Zrył piersi ALBATROSA!

Rymy sędziwego marynarza

Samuel Taylor Coleridge, 1798

ROZDZIAŁ 10

2-5 grudnia

Na początku trudno było rozróżnić poszczególne dni na Cyplu Adeli. Nie dlatego, że tak wiele się działo, ale dlatego że nie czuło się upływu czasu. Kiedy słońce świeci bez przerwy, kiedy jego promienie nocą przebijają pióra żaluzji, czas można ustalić tylko w jeden sposób - patrząc na zegarek. A jeśli jest się zbyt skołowanym, pozostaje zapytać, czy to wpół do dwunastej w dzień czy w nocy. I jednym tchem dodać: „Którego dnia tygodnia?”. Nie można sobie poradzić, sprawdzając datę porannej gazety czy wieczorny program telewizyjny. Wszystkie wyznaczniki, według których reguluje się życie - pory chodzenia spać i wstawania, zajęcia na siłowni lub ćwiczenia jogi, wyjścia do pracy i powroty do domu - diabli wzięli. Nie ma znaczenia, czy to weekend czy dzień roboczy, bo z nikim nie można się umówić, wyjść do kina, spędzić nocy poza domem i zabrać dzieciaków na trening piłki nożnej. Wszystko odpadło. W tym miejscu zwykle codzienne sprawy nie mają żadnego znaczenia, bo ich po prostu nie ma. Na Antarktydzie czas się rozplynął i albo samemu wszystko się uporządkuje - jak? - twoja sprawa - albo powoli dostaje się świra.

- Nazywamy to syndromem wielkich gał - dowiedział się Michael podczas pierwszej kolacji w stołówce (szkolna gwara stała się oficjalną nomenklaturą stacji). Facet w goglach i pomarańczowej kurtce, jak się okazało kierownik Murphy O'Connor, jadał z nowo przybyłymi. Dzięki temu mógł ich zapoznać z wieloma rzeczami, a przede wszystkim z obowiązującymi na stacji nakazami i zakazami. - Kiedy pracujecie za ciężko, za długo, całkowicie tracicie poczucie czasu i ani się obejrzyście, a zaczniecie mieć wielkie gały. - Wytrzeszczył oczy i wciągnął policzki, przybierając wygląd umęczonego obłąkańca.

Charlotte była tylko lekko rozbawiona, ale Darryl wybuchnął serdecznym śmiechem, ładując na talerz kolejną porcję gorącej fasoli.

- Nie będzie wam do śmiechu, jak sami dostaniecie wielkich gał.

Darryl odłożył łyżkę do miski z fasolą.

- Jak na mikrusa, masz niewąski spust - zauważył Murphy.

Ta uwaga mogła się wydać niezbyt miła, ale Murphy był tak prostoduszny i szczerzy, że naukowiec nie wziął jej sobie do serca.

- A więc - podsumował Murphy - jak tu jesteście, próbujcie trzymać się jakiegoś harmonogramu. Ułóżcie go sobie sami, ale traktujcie go poważnie. Kuchnia jest stale otwarta - zawsze możecie zrobić sobie kanapkę - ale jak ześwirujecie, nie mamy psychiatryka. - Spojrzał na Charlotte. - Chyba że doktor Barnes planuje coś otworzyć.

- Póki się da, to nie - odparła.

Następnie zaprezentował długą listę zasad obowiązujących na Cyplu Adeli, w tym najświętszą ze świętych.

- Nigdy nie wychodźcie z bazy sami - rzekł, po kolei patrząc im w oczy; jego oczy były duże i piwne, zobaczyli je dopiero wtedy, gdy zdjął wielkie odbłaskowe okulary przeciwsłoneczne, kryjące pół zarośniętej twarzy. - Rok temu mieliśmy zlewkę... przepraszam... geologa z Kansas, który tylko chciał na chybcika zebrać kilka próbek. Wyszedł sam, nie mówiąc nikomu, dokąd lezie i - podniósł ostrzegawczo palec - znaleźliśmy go dopiero po trzech dniach.

- Co się stało? - spytał Michael.

- Wpadł do szczeliny i zamarzył na śmierć. - Smutno pokręcił głową i pociągnął kawy z ozdobionego rysunkiem pingwina kubka. - Czasem choćbyś się zesrał, nie zobaczysz takiej szczeliny.

- Wskazał w kierunku swojego biura. - To dlatego macie w korytarzu tablicę ogłoszeń: jak wychodzicie z bazy, zapisujecie, kto wychodzi, dokąd wychodzi i kiedy planuje wrócić.

Michael już zwrócił na nią uwagę. Ostatni zapis mówił coś o badaniu powierzchni Suchej Doliny nr 1.

- A kiedy wróćcie... w jednym kawałku... odfajkowujecie to na tablicy. Nie przepadam za wieczornymi obchodami i sprawdzaniem, czy wszyscy leżą grzecznie z rączkami na kołderkach. - Przerwał i uśmiechnął się jakby do swoich myśli. - To byście się zdziwili, gdybym wam powiedział, na co już wpadłem.

Ale Michael nie potrafił sobie wyobrazić niczego zdrożnego. Rozglądając się po stołówce, przekonał się, że nie była zbyt pełna. Kilka stolików zajmował personel techniczny - sami młodzi mężczyźni w niebieskich kombinezonach roboczych - kilka innych okupowali naukowcy. Rzucali się w oczy jak Darryl na lotnisku w Santiago: grupa ekscentrycznie wyglądających osobników. Mężczyzna z siwawym końskim ogonem i w drucianych okularach zjeżdżających do połowy nosa oraz dwie rozrośnięte, masywnie zbudowane blondynki, istne operowe Walkirie. Murphy pewnie śledził wzrok Michaela, gdyż powiedział:

- Na naukowców mówimy zlewki.

Michael skojarzył. Zlewki, naczynia laboratoryjne.

- Ale im to nie przeszkadza. Ochrzcili nas: trepy.

- A wam to nie przeszkadza?

- Pewnie, jak jasna cholera - rzekł z udawanym oburzeniem Murphy - ale wolno kumamy.

- Zmieniając ton, dodał: - Tu musimy polegać jedni na drugich i wszyscy o tym wiemy. Bez nas, trepów, nie chodziłyby generatory, nie byłoby prądu, nie byłoby ciepłego zarcia, nie byłoby nikogo do opróżniania szamba... Wszystko co ludzie zostawiają w kłopotach, musi być składowane i wywożone poza Antarktydę. Zlewki bez nas byłyby ugotowane. A my bez nich... - przerwał, jakby nie wiedział, czym zakończyć myśl. - O tak, my bez nich nie musielibyśmy tkwić tu, na największym zadupiu wszystkich zadupiów.

- To mi wygląda na idealny układ - zauważył Darryl.

- Mówisz jak prawdziwa zlewka - odparł kierownik. - Teraz się rozpakujcie i lulu. Jutro czeka was ciężki dzień w śnieżnej szkole. - Trójka przybyłych wymieniła zdziwione spojrzenia. - I nie zapomnijcie włożyć ciepłych rękawic.

Murphy podszedł do trepów. Kilku z nich się odwróciło i zlustrowało nowych. Michael, Charlotte i Darryl zostali sami jak nowi... w licealnej stołówce. Zlewki rozmawiały w swoim gronie lub jadły, pochyliwszy głowy nad talerzami z parówkami, fasolą i chlebem z kukurydzianej mąki (jeden naukowiec ślęczał nad wstęgą wydruku komputerowego, zajmującą całą szerokość stołu).

- Niesamowite, co? - powiedział Michael, wskazując naukowców. - Jesteśmy w zakątku świata opanowanym przez rozgarnięte dzieciaki.

Darryl wybuchnął śmiechem i powiedział:

- Czekałem na to całe życie. - Wstał. - Wybaczcie, ale chyba ktoś tam użył słowa „równonogi”.

Charlotte i Michael patrzyli, jak Darryl nieustraszenie kroczy po przykrytej linoleum podłodze i zajmuje miejsce przy metalowym rozstawianym stoliku, przy którym zawzięcie dyskutowały blondynki w wyrzucanych na spodnie flanelowych koszulach. Konwersacja chyba na chwilę utknęła i Michael już zaczął się zastanawiać, czy nie powinien pośpieszyć koledze na ratunek, lecz Darryl powiedział coś, czego z dystansu nie dało się zrozumieć. Nastąpiły uściski dłoni, wymieniono tytuły i osiągnięcia naukowe. Przeszedłszy tajną inicjację, został dopuszczony do ścisłego kręgu. Michael i Charlotte dali mu kwadrans na zapoznanie się z nowymi kumplami i kumpelkami, po czym wstali i odnieśli tace. Oczy Michaela i Darryla spotkały się. Ten szybko wyrecytował jakąś zabawną anegdotę o nicieniach - przywitana wybuchem śmiechu - i dołączył do nich.

- Kapitalni ludzie - powiedział, gdy cała trójka ubierała się przed spacerkiem do swoich kwater.

- Chyba odniosłeś sukces - ocenił Michael.

- Pierwszy raz mnie słuchali - odparł Darryl, skromnie wzruszając ramionami - więc miałem okazję poczęstować ich moimi najlepszymi kawałami.

Po wyjściu ze wspólnego modułu, w którym było również biuro kierownika stacji, musieli pokonać długą na piętnaście stóp ścieżkę. Poszczególne części stacji przypominały ustawione w wielki kwadrat wagony kolejowe. Łączące je przejścia obrzeżono czerwonymi nylonowymi linami. Michael wiedział, że służą do czegoś więcej niż do utrzymywania równowagi; podczas zadymki - a już się w takiej znalazł - tylko one zapewniały dotarcie do bezpiecznego miejsca; nawet gdy znajdowało się ono w odległości zaledwie stopy czy dwóch, łatwo było się zgubić. Ludzie umierali w polarnych temperaturach, zamarzając kilka jardów przed namiotami, bo ich nie widzieli.

W następnym module, w którym urządzono gabinet lekarski i izbę chorych, czekała na Charlotte prawdziwa gratka, pojedynczy pokój, jeśli w ogóle zasługiwał na to miano, celka o wymiarach osiem stóp na pięć. Do przylotu śmigłowca mieszkał tam poprzedni lekarz. Sądząc po wiszących na ścianach posterach był fanem surfing, żeglarstwa i Jessiki Alby. Teraz wracał do świata, korzystając z lodolamacza Straży Przybrzeżnej. Rzeczy Charlotte na razie leżały na pryczy.

- To się nazywa wystrój - zakpił Michael, wsadzając głowę do środka.

- Nigdy nie wpadłoby mi do głowy zabranie swoich posterów.

- Następnym razem zabierzesz - dorzucił Darryl.

- Następnym razem - odparła Charlotte - mnie tu nie będzie.

Michael i Darryl dostali pomieszczenie w następnym module, zarezerwowanym dla zlewek oraz innych przyjezdnych - musieli dzielić się pokojem niewiele większym od tego, który dostała Charlotte. Miał jedno wąskie okno, czy raczej szczelinę wentylacyjną, i stała w nim piętrowa prycza z lekkimi zasłonkami; podłogę pokrywała gęsta, kasztanowo-żółta wykładzina, jakiej można by się spodziewać w hotelowej sali bankietowej. Ale niewielka szafa ścienna z żaluzjowymi sklejkowymi drzwiami, które ledwie trzymały się na zawiasach, kryła zadziwiające skarby.

- Rany, tylko spójrz - powiedział Michael. Darryl się obejrzał. - Albo poprzedni lokatorzy zostawili nam furę prezentów, albo...

- ...NSF bardzo się postarała, żebyśmy mieli co włożyć na grzbiet. - Pomacał rękawy pomarańczowych anoraków wiszących na wygiętym drążku. - Tylko po co dręczyli mnie w formularzach zgłoszeniowych pytaniami o rozmiary.

Poza anorakami, których kaptury wyłożono futrem kojota, znaleźli kurtki wypchane gęsim puchem, wełniane koszule i również wełniane sportowe spodnie z taką ilością kieszeni, że zmieściłby się w nich cały asortyment sklepu żelaznego. Na półce Michael odkrył oddychającą syntetyczną bieliznę, futrzane rękawice tak wielkie, że pod nie dało się włożyć inne, wełniane skarpety, rękawiczki skórzane, ocieplane kamizelki, skórzane kominiarki z wełnianą podszewką, okrywające głowę, szyję i większość twarzy.

- To jak Boże Narodzenie! - powiedział Darryl, oglądając rozliczne elementy ubioru polarnika, przekazywane mu przez Michaela.

- I to jeszcze nie wszystko.

Na podłodze stały rzędkiem według rozmiaru przeróżne buty. Były tam bunny boots - komicznie wyglądające obuwie, składające się z dwóch warstw gumy oddzielonej grubą na cal wełną; miękkie, wzorowane na eskimoskich mukluksy i buty strażackie, wysokie, czarne, przeznaczone do pracy w wodzie i na zalanym terenie.

- Wygląda na to, że pomyśleli o wszystkim - powiedział Darryl.

- No - zgodził się z nim Michael, oceniając wzrokiem znalezione skarby. - Zastanawiam się tylko, gdzie zaparkowali nasze skutery śnieżne.

Wspólna łazienka była w głębi modułu. Michael wziął gorący prysznic - napis ostrzegwał „Ogranicz kąpiel do trzech minut!” - rozkoszując się samotnością, po czym wrócił boso do pokoju. Korytarz wyłożono taką samą wykładziną, jak pokoje. Michael uznał, że kupiono ją na wyprzedazy po plażcie jakiegoś Holiday Inn.

Kiedy tylko wrócił do pokoju i zamknął drzwi, usłyszał głośnie chrapanie dobiegające zza kurtyнки dolnej pryczy, którą zajął Darryl. Podłogę zaścielały ich nowe polarne ubrania. Michael opuścił żaluzję na szparze w ścianie udającej okno, zgasił światło i wdrapał się na swoje łóżko. Ułożył poduszki wypchane pianką. Promień zimnego słońca nadal przenikał do pokoju. Michael zasunął kurtynkę i zapadł w półsen, zanim przyłożył głowę do poduszki. Po ośmiu godzinach obudził się w tej samej pozycji, w której zasnął, i po raz pierwszy od miesiący nie pamiętał, o czym śnił. Wreszcie.

*

Śnieżna szkoła obowiązywała wszystkich nowych. Prowadził ją długonogi i długoręki młody człowiek, Bill Lawson, noszący na głowie piracką chustkę. Michael uznał, że facet o jeden raz za dużo obejrzał *Piratów z Karaibów*. Bill, cywilny pracownik Marynarki Wojennej

Stanów Zjednoczonych, traktował kurs jak ćwiczenia w nabywaniu asertywności. Kiedy Michael po raz pierwszy zademonstrował swoją umiejętność rozpalania ogniska, Lawson ocenił jego wysiłki:

- I o to chodzi, Michael!

Kiedy z kolei Darryl rozbił namiot w czasie poniżej dziesięciu minut, Lawson pozwolił sobie na pochwałę: - Szacun, Darryl! - i kolejne pochlebne komentarze, gdy Darryl złożył i umieścił namiot na sankach w jeszcze krótszym czasie.

Charlotte, której nie udało się wygrać w żadnym z testów survivalowych, wyglądała na coraz bardziej niezadowoloną. Niewątpliwie przywykła do roli prymuski i teraz nie była zachwycona wysłuchiowaniem wykładów poświęconych hipotermii czy odmrożeniom. Te tematy opanowała już do perfekcji i słuchała Lawsona, patrząc w siną dal, na otaczające z trzech stron stację lodowate równiny i poszarpane szczyty Gór Transantarktycznych. Gdziekolwiek nieustępliwe wiatry zwiały z nich śnieg, odsłaniając brudnobrązowe łąty. Zrobiła jeszcze nieszczęśliwszą minę, gdy Lawson ogłosił, że spędzą noc poza stacją.

- W namiocie? - spytała. - Serdeczne dzięki. Mój pokój to nic wielkiego, ale przynajmniej ma łóżko.

Wyglądało na to, że Lawson przyjmuje tego rodzaju odmowy z humorem - albo, jak pomyślał Michael, był na nie całkowicie uodporniony - gdyż wyjaśnił:

- Nie ma mowy o żadnych namiotach! Zbudujemy sobie igloo!

Chyba niewiele brakowało, by zaklaskał z radości.

- No, jeśli tak trzeba na biegunie południowym... - zaczął Darryl, ale Lawson go poprawił:

- Na biegunie. Mów po prostu „na biegunie”.

Cała grupa zrobiła niezbyt mądre miny.

- Tu nikt nie mówi „biegun południowy” - wytłumaczył. - To od razu świadczy, że jesteś nowy albo turysta. Za to jak rzucisz: „W przyszłym tygodniu suniemy na biegun”, od razu wiadomo, że jesteś stary wyjadacz.

Podczas gdy cała trójka bezgłośnie przyswajała to określenie ze slangu polarników, Lawson wyjął z plecaka cztery piły do lodu, rozdał je i zademonstrował, jak się wycina śnieżno-lodowe bloki. Nieco przypominało to krojenie weselnego tortu. Pokazywał, jak się je układa jeden na drugim pod odpowiednim kątem, by zbudować niezbyt zgrabną kopułę. Chociaż temperatura spadła sporo poniżej zera, Lawson mocno się spocił, zanim skończył. Cofnął się trochę, by podziwiać swój mały Tadz Mahal.

- Nie zapomniałeś o czymś? - spytała Charlotte.

- Pewnie chodzi ci o drzwi - powiedział szeroko uśmiechnięty Lawson. Zęby miał białe jak dziewiczy lód.

Piłą, szpadlem i rękami zaczął się wkopywać w ziemię. Rył jak bóbr, kuł jak dziecko. Odłamki lodu, śnieg i czasem kamyki tylko fruwały. Podczas gdy Michael patrzył z podziwem, Bill wydrążył płytki, wąski tunel do środka igloo. Odrzucił szpadel, opadł na brzuch i czołgając się, stopniowo zniknął. Michael przykucnął u początku tunelu i zawołał:

- Wszystko gra?

Dobiegł go głos Lawsons, zdyszany i głuchy niczym z grobowca:

- Jak u Pana Boga za piecem.

Charlotte miała taką minę, jakby chciała ten piec rozwalić.

Ale gdy Lawson wyszedł, potrafił ich na tyle ułagodzić, że zabrali się do budowy swojej śnieżnej kopuły. Uparł się, by wzniesli wszystko własnymi rękami, przy czym pilnował każdego ich ruchu.

- Musicie w i e d z i e ć, jak się to robi, i u w i e r z y ć, że dacie sobie radę - perorował, stojąc nad nimi, gdy wycinali śnieżne bloki. - Czasami to kwestia życia lub śmierci.

Michael doszedł do wniosku, że miła perspektywa bliskiego zgonu to stały refren na Cyplu Adeli.

Tego wieczoru nie zjedli kolacji w stołówce. Skulili się za lodowym murkiem wzniesionym z resztek po śnieżnych blokach i dziękowali Bogu za ubrania, o które zadbała NSF. Zjedli racje polowe przywiezione przez Lawsons. Nie miały oznaczeń „Własność Armii USA”, ale Michael i tak uznał, że dostarczyło je wojsko. Napis na jego puszcze informował, że w środku jest mielona wołowina, ale gdyby nie ta etykieta, w życiu by tego nie zgodził. Kiedy skończyli jeść - kolacja była na zimno, więc mieli czym się rozkoszować - Lawson puścił w obieg plastikowy worek, do którego wrzucili opakowania i resztki.

- Na biegunie nie zostawiamy po sobie nawet okruszka - powiedział Lawson. - Wszystko co przyjedzie z zewnątrz, musi wyjechać na zewnątrz.

Baza rozciągała się w odległości może pół mili, w dole; ostre białe światła, pracujące nawet mimo niegasnącego słońca, jarzyły się na wybrzeżu Morza Weddella. Charlotte patrzyła na nie tak, jakby to były światła Paryża. Wiejący od morza wiatr niósł dalekie poszczekiwanie psów pociągowych, zamkniętych w psiarni.

- Nie możemy dać sobie z tym siana? - zapytała Lawsons. - Przecież już umiemy budować igloo. Musimy w nich jeszcze spać?

Lawson skłonił głowę na ramię i wyjaśnił:

- Obawiam się, że musicie. Po prostu takie są rozkazy kierownika bazy. Od kiedy tamta zlewka... przepraszam, naukowiec z Kansas... zgubił się i umarł, Murphy wymaga, żeby każdy, kto przyjedzie po raz pierwszy, zaliczył całą dobę w śnieżnej szkole.

Darryl wstał i zaczął się rozgrzewać, poklepując się po ciele.

- Więc jak śpimy? - spytał. - Wygląda na to, że jedno igloo będzie koedukacyjne.

- Racja - potwierdził Lawson. Nieustępliwie trzymał się reguły, że nowicjuszy należy chwalić za wszystko, choćby za odkrycie, że Ziemia jest okrągła. - Michael, może ty ze mną? Mam przewidzianą dodatkową powierzchnię dla długonogich.

Wzięli z sań wypełnione syntetykiem śpiwory, w których można było spać w ujemnych temperaturach, i powiedzieli sobie „dobranoc”. Michael przyglądał się, jak Lawson trzymając latarkę wpełza do środka, a otulona wielką zieloną kurtką Charlotte czekała, aż Darryl wgramoli się do drugiego igloo.

- Tu przynajmniej nie dostanie choroby morskiej - zauważył Michael. Charlotte tylko skinęła głową. Pod pachą trzymała zrolowany śpiwór, oczy wbiła w dziurę w śniegu. Michael doznał nagłego olśnienia. Rzekł: - Nawet nie kombinuj, żeby wracać do bazy. To niebezpieczne.

Spojrzała na niego. Był pewien, że odgadł jej myśli, a przynajmniej chęci.

- Zapraszam! - zawołał przytłumionym głosem Lawson.

- Do zobaczenia rano - pożegnał się Michael, zanim ukląkł i pchając przed sobą śpiwór, zaczął wędrówkę na brzuchu.

Tunel nie był długi, ale piekielnie ciasny. Lawson był wysoki podobnie jak Michael, ale giętki jak gumowy wąż, i Michael żałował, że instruktor nie zbudował przejścia z myślą o nieco pokaźniejszym współlokatorze. Czołgając się, szorował głową o sufit; musiał wbijać w śnieg czubki butów, po czym podciągać się na łokciach. Nie cierpiał na klaustrofobię, ale w tych koszmarnych warunkach nie było o nią trudno. Zewsząd napierał na niego śnieg, miał go nawet w ustach, a śpiwór prawie całkiem zasłaniał światło latarki Lawsons. Instruktor przesunął go na bok i pomógł Michaelowi wpełznąć do środka.

- Najlepsze w tym wszystkim jest to - rzekł - że nie potrzebujesz lodówki.

Michael w końcu mógł stanąć na czworakach; dach wznosił się zaledwie kilka stóp nad podłożem, ale ściany - mocne i już śliskie od lodu, który powstał z ich oddechów - były rozstawione na tyle daleko, że schowawszy nogi w tunelu, dało się rozwinąć śpiwór na całą długość. Lawson przykrył niemal całe podłoże wodoszczelnymi matami do spania.

W środku najbardziej zaskakujące było światło. Skierowana w górę latarka sprawiła, że ściany zdawały się promieniować niebiesko-białym blaskiem. Odpadające od sufitu nieliczne

płatki wolno wirowały, lśniąc jak brylanty na wystawie jubilera. Michael miał wrażenie, że wylądował w ogromnej śnieżynce.

- Z sufitu będzie trochę kapać - ostrzegł Lawson, wsuwając się do śpiwora - zwłaszcza ze spoin. Nie ma się czym przejmować, ale lepiej, żebyś zakrył twarz brzegiem śpiwora. Jest wodoodporny.

- Położył się i zademonstrował, co należy zrobić. - W ten sposób - powiedział. Jego oddech podnosił małą klapkę.

Michael rozwinął śpiwór i chociaż nabił sobie kilka guzów, rozłożył go jak należy. Zdjął buty, zostawiając wełniane skarpety i wkładki, po czym za przykładem Lawsona złożył kurtkę, by służyła mu za poduszkę. Ale że nadal miał na sobie liczne warstwy odzieży, wciśnięcie do śpiwora okazało się bardzo trudne. Mocno się spocił w ciasnej przestrzeni i wydzielał niezbyt przyjemny zapach. Cał po cał wbił się w syntetyczny kokon, aż palcami stóp dotknął jego dna. Lawson już ułożył koniec swojego śpiwora w tunelu, ale zostawił Michaelowi dość miejsca, by ten nie musiał mu deptać po odciskach. Dziennikarz złożył głowę na kurtce i patrzył na krzywy sufit, zastanawiając się, kiedy cała konstrukcja się zawali. Ale spadła tylko jedna wielka kropla wody, trafiając na jego zarośnięty podbródek. Ostatnio golił się coraz rzadziej, przewidując, że w takich sytuacjach jak dzisiejsze, każda ochrona przed zimnem, nawet zarost, może się przydać. Starł kroplę grzbietem rękawiczki i wymacał klapkę śpiwora.

- Gasimy światła? - wymamrotał Lawson.

- Jasne - odparł Michael i poszukał leżącej między nimi latarki. Znalazł ją, zgasił i oślepiająca śnieżna półkula zniknęła w mgnieniu oka, zastąpiona ciemnością tak głęboką, że choć nie chciał, to poczuł się jak w grobie.

ROZDZIAŁ 11

21 czerwca 1854 r., 1.15

Eleanor Ames była zatrudniona dopiero niecały rok w Instytucie Dla Chorych Szlachetnie Urodzonych Pań, mieszczącym się w budynku pod numerem drugim przy Harley Street, ale że panna Nightingale już darzyła młodą adeptkę wielkim zaufaniem, powierzyła jej funkcję nocnej pielęgniarki. Chociaż oznaczało to, że Eleanor nie będzie mogła zmrzyć oka do świtu, odebrała to jako zaszczyt i wyróżnienie. Zresztą po prawdzie i tak lubiła względną ciszę i spokój nocnej pory. Poza tym że od czasu do czasu musiała wydać medykament lub zmienić kompres, jej obowiązki były przede wszystkim duchowej natury; niektóre pacjentki, nawet te w najlepszej formie, pobudzone i niespokojne, po zmroku miały gorszy nastrój. Prywatne demony nawiedzały je wraz z nadejściem nocy, tak więc Eleanor musiała je uspokajać.

Już zajrzała do panny Baillet, guwernantki, która utraciła zatrudnienie w Belgravii po tym, jak nawiedził ją gwałtowny atak padaczki, i panny Swann, modystki skarżącej się na wysoką i do tego zupełnie nieznaną proweniencją gorączkę. Przez resztę nocy tylko patrolowała sale, sprawdzając, czy wszystko jest jak należy, i doglądając porządku w ambulatorium. Panna Nightingale, superintendentka, dała jasno do zrozumienia, że szpital ma lśnić czystością i służyć jako wzór schludności. Sale zawsze powinny być przewietrzone (choć między Bogiem a prawdą czystego powietrza w Londynie było jak na lekarstwo), zwłaszcza nocą; równie uparcie żądała, by wszystkie łóżka prześcielano codziennie, opatrunki zmieniano sumiennie, a posiłki podawano smaczne i syte. Wprowadzanie tych zasad spotykało się ze sceptycyzmem, a w wielu kręgach wręcz z ironią - nawet ci lekarze, którzy się troszczyli o pacjentów, uważali je za pozbawione znaczenia, chociaż nieszkodliwe. Jednakże Eleanor szybko zgłębiła poglądy przełożonej i była dumna, mogąc się zaliczyć do tych młodych niewiast - a jako dziewiętnastolatka należała do najmłodszych - które przyjęto na szkolenie szpitalne.

Zamykając ambulatorium (przede wszystkim upewniła się, że nie zabraknie laudanum, niezwykle potrzebnego zwłaszcza nocą, gdyż niektóre pacjentki nie potrafiły bez niego zasnąć), sprawdziła w szklanych drzwiczkach szafki, czy prezentuje się jak należy. Ciemne,

rano starannie ukryte pod białym czepkiem włosy zaczęły się uwalniać i musiała je upiąć. Gdyby panna Nightingale zeszła z najwyższego piętra, gdzie miała swój kąt do pracy i prywatne pokoje, i przekonała się, że nocna pielęgniarka chodzi rozczochrana, nie byłaby zadowolona. Pacjentki zawsze mogły liczyć na delikatność i współczucie superintendentki, ale pielęgniarki unikały jej reprimend jak ognia.

Eleanor zgasła gazową lampę i wyszła na korytarz. Zamierzała udać się na górę i sprzątnąć przeszkloną galerię, w której panie zażywały kąpiele słonecznych - panna Nightingale gorąco wierzyła w ozdrowieńczą moc słońca - gdy jej spojrzenie przypadkiem omiotło frontowe drzwi. Za szybą zobaczyła powóz zatrzymujący się dokładnie przed wejściowymi schodami. Wyszło z niego trzech panów i ku jej zaskoczeniu ruszyli w górę. Czyżby nie byli świadomi, że odwiedziny ograniczono do godzin popołudniowych?

Najwyraźniej tak było, gdyż kiedy podeszła do wejścia, by zapobiec wszelkim hałasom - nie chciała, by którakolwiek z pacjentek niepotrzebnie się obudziła - usłyszała dzwoneczek przy drzwiach i łomot pięści o drewnianą ramę. Za szybą pojawiła się twarz z bokobrodami i rozległo się wołanie:

- Jest tu jakaś pomoc? Możemy prosić o pomoc?

Pięść znów się uniosła. W tej samej chwili Eleanor przekręciła klucz i szeroko otworzyła drzwi. Wielgachny mężczyzna o rumianym obliczu, który przed chwilą prosił o ratunek, zrobił skruszoną minę i wymamrotał:

- Proszę wybaczyć najście, panienko, ale nasz towarzysz potrzebuje opieki lekarskiej.

Wymieniony dżentelmen nosił czerwony strój kawalerzysty, podobnie jak pozostali dwaj. Zakrywał ramię ręką. Trzeci oficer podtrzymywał go pod łokieć, jakby tamten potrzebował oparcia.

- To szpital dla niewiast - wyjaśniła Eleanor - i obawiam się, że...

- Zdajemy sobie z tego sprawę - powiedział rumiany wojak.

- Ale sprawa jest naglącej natury i nie wiemy, do kogo jeszcze moglibyśmy się zwrócić.

Z rany jasnowłosego żołnierza sączyła się krew. Nagle wydał się jej znajomy. Ależ to był tenże pan, który zaledwie przed kilkoma godzinami wpatrywał się w nią, gdy zamykała okiennice!

- W budynku nie przebywa obecnie żaden medyk - powiedziała. - I nie pojawi się do rana.

Potężny mężczyzna obejrzał się na stojących kilka stopni niżej towarzyszy, jakby nie bardzo wiedział, co zrobić. Poszkodowany dżentelmen rzekł:

- Jestem porucznik Sinclair Copley. Raniono mnie, gdy stawiałem czoła indywiduum, które napastowało pewną kobietę.

Eleanor się zawahała. Czego w tej sytuacji oczekiwalaby od niej panna Nightingale? Nie śmiała jej budzić - czyż to nie Eleanor była nocną pielęgniarzką i nie ona odpowiadała za szpital? - i zarazem czuła, że powinna udzielić pomocy rannemu.

- Krótko mówiąc - dorzucił porucznik - postrzelono mnie i potrzebuję kogoś, kto by mi opatrzył ranę. - Podszedł wyżej. Nawet w słabym blasku latarni widziała jego proszące spojrzenie.

- Czy nie mogłaby pani przynajmniej obejrzeć mojego ramienia? Może dałoby się założyć tymczasowy opatrunek, póki chirurg nie obejrzy tego jutro? Jak pani widzi - opuścił zdrową rękę i odsłonił zlany krwią rękaw munduru - trzeba coś zrobić, żeby zatamować krew.

Stała niezdecydowana w drzwiach, aż najpotężniejszy wojskowy, wyraźnie zdeprymowany, rzekł:

- Sinclair, Francuzik, fora ze dwora. Znam jednego pigularza przy High Street. Ma wobec mnie dług wdzięczności.

Odwrócił się i zbiegł na dół, ale blondyn ani myślał się ruszać. Eleanor miała mgliste przecucie - wywołało ono rumieniec na jej policzkach - że zjawił się, licząc na to, że to właśnie ona się nim zajmie.

Odsunęła się na bok i uchyliła wielkie drzwi.

- Proszę się pilnować i nie hałasować. Pacjentki śpią. Zamknęła drzwi na klucz i pierwsza poszła szerokim, wietrznym korytarzem - wszystkie okna były otwarte - do izby przyjęć. Pomieszczenie wyglądało jak połączenie salonu i sali operacyjnej. Fotele, lampy z frędzlowymi abażurami, biurko przy drzwiach, w alkowie w głębi tapicerowany skórą stół do badań, wypchany końskim włosiem, obok parawan z białego płótna i zamykana na klucz szafka z lekarskimi narzędziami i medykamentami.

- Przy okazji, jestem kapitan Rutheford - przedstawił się wielki oficer. - Ten znakomity dżentelmen to porucznik Le Maître, ogólnie znany jako Francuzik. Wszyscy z XVII Lansjerów.

- Miło mi panów poznać - odrzekła Eleanor. Epolety i sposób bycia przybyłych świadczyły, że są dobrze urodzeni i majątni.

- Lecz muszę ponowić moją prośbę o ciche zachowanie.

Rutheford kiwnął głową, przykładając palec do ust na znak, że zastosuje się do jej polecenia, i usiadł na fotelu. Podkręcił lampę, poprawił knot, po czym wyjął z kieszeni paczkę

cygaretek, poczęstował Le Maître'a i potarł długą zapalną o podeszwę buta. Obaj mężczyźni rozsiedli się wygodnie, zadowoleni z życia, ćmiąc tytoń.

- Do dzieła - szepnął Rutheford, wskazując Eleanor alkowę.

- Oby nam tu nie kipnął; Rosjanie mają na niego chrapkę. Francuzik parsknął śmiechem i zaraz zakrył usta dłonią.

- Proszę nie zwracać na nich uwagi - rzekł cicho Sinclair. - Dobre maniery zostawili w koszarach.

Podszedł do stołu i zaczął zdejmować kurtkę. Ale krew przykleiła ją do skóry i na obliczu oficera natychmiast pojawił się grymas bólu. Eleanor do tej chwili nie ogarnęła w pełni tego, co zrobiła, a przecież złamała co najmniej kilka zasad szpitalnego regulaminu. Jednak widząc bezradność młodego mężczyzny, nagle się ocknęła.

- Niech pan zostawi - rzekła. - Ja to zrobię.

Szybko otworzyła szafkę, wyjęła krawieckie nożyce i rozcięła cały rękaw, dzięki czemu łatwiej mogła go oderwać. Delikatnie uwolniła oficera ze zniszczonej kurtki.

Przez chwilę nie wiedziała, co z nią zrobić.

Porucznik roześmiał się, widząc jej bezradność, i rzucił kurtkę na stojący za nią wieszak, o którym kompletnie zapomniała. Następnie usiadł na krawędzi stołu.

Luźną białą koszulę również miał rozerwaną i pokrwawioną, ale nie chciała, by całkiem się przy niej odsłaniał, więc tylko rozcięła rękaw od mankietu do górnego wszycia. Koszula była ze znakomitego materiału i Eleanor zniszczyła ją z przykrością. Ale jeszcze trudniej znosiła uparte spojrzenie rannego oficera; podczas gdy ona starała się skupić uwagę na ranie, on oceniał ją całą, od zielonych oczu do ciemnokasztanowych loków, znów niesfornie umykających spod czepka. Czuła, że kolejny raz się rumieni, i chociaż chciała się opanować, była bezsilna.

Kiedy tylko rękaw opadł, okazało się, że kula nie roztrzaskała kości ani nawet nie naruszyła głębszych warstw mięśnia. Eleanor nie potrafiła fachowo ocenić urazu, gdyż w jej szpitalu nigdy nie pojawiali się ranni, a nawet gdy zdarzyły się wyjątki - na przykład przywieziono pewną leciwą damę, która wskutek fatalnego zbiegu wypadków nadziała się na pogrzebacz - chirurg rzadko, jeśli w ogóle, pozwalał, by pielęgniarka brała udział w przeprowadzanym przez niego zabiegu.

- Jak pani myśli? - spytał porucznik. - Czy dożyję następnego dnia i będę mógł walczyć?

Eleanor nie przywykła do wysłuchiwania takich żartobliwych uwag, tym bardziej z ust mężczyzny stojącego tak blisko niej... i którego zakrwawione ramię było obnażone. Nie dość tego, którego ramię ona obnażyła.

Tak więc nie zareagowała na tę zaczepkę. Energicznie sięgnęła do szafki, wyjęła czystą bawełnianą szmatkę, butelkę kwasu karbolowego i przystąpiła do oczyszczania rany. Zaschła krew odpadała płatkami. Eleanor składała je do emaliowanego naczynia chirurgicznego, stojącego na szafce. Rana ukazała się w całej okazałości.

Skóra się rozeszła i konieczne było założenie szwów, gdyż inaczej mogłaby się nie zrosnąć.

- Tak - oznajmiła w końcu Eleanor - będzie pan żył, ale mam nadzieję, że nie po to, aby się bić. - Sięgnęła po świeży gałganek. - Jednak musi pan odwiedzić chirurga.

- Dlaczego? - Spojrzał na ramię. - Moim zdaniem to wcale nie wygląda źle.

- Trzeba zamknąć ranę, a to wymaga założenia szwów... im wcześniej, tym lepiej.

Uśmiechnął się. Poczula, że pochyła głowę, aby zajrzeć jej w oczy, i odwróciła wzrok.

- Czy teraz na to za wcześnie? - spytał.

- Jak powiedziałam, w nocnej porze nie ma tu lekarza.

- Miałem na myśli panią, panno...?

- Ames - przedstawiła się. - Pielęgniarka Eleanor Ames.

- Miałem na myśli panią, panno Ames.

Eleanor zupełnie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Do tej pory nikt nigdy nie proponował, by podjęła się takiego zabiegu. Kobieta - choćby nawet pielęgniarka - samodzielnie opatrująca rannego żołnierza? Poczula, że twarz ma tak szkarłatną jak jego mundur.

Porucznik Copley wybuchnął śmiechem.

- To moje ramię i jestem przekonany, że pani zdoła się nim zająć, więc skąd te opory?

Podniosła wzrok i zobaczyła jego szeroki uśmiech, błysk w oku, rozrzucone blond włosy i delikatny wąsik młodego mężczyzny, który chciał dodać sobie nieco lat.

- Ale ja jestem tylko pielęgniarką i nawet jeszcze nie skończyłam szkolenia wstępnego.

- Zszywała pani kiedyś rozdarte ubranie?

- Po wielokroć. Ale to jest...

- Czy może się pani gorzej spisać niż nasz chirurg, którego jedyną umiejętnością jest wrywanie zębów? Przynajmniej w przeciwieństwie do naszego zacnego doktora Phillipsa nie jest pani podchmielona. - Musnął jej rękę i spytał konspiracyjnie: - Bo nie jest pani, prawda?

Mimo wszystko musiała się uśmiechnąć.

- Nie. Jestem całkiem trzeźwa.

- W takim razie świetnie. I z pewnością nie chcielibyśmy, aby rana zaogniła się przez noc. Więc od czego zaczniemy?

Eleanor był głęboko rozdarta. Z jednej strony miała poczucie, że wykracza poza swoje obowiązki, z drugiej, z każdą chwilą rosło w niej pragnienie, by zrobić coś, co bynajmniej nie wykraczało poza jej możliwości. Czuła to całym sercem. Mimo że operujący chirurgzy zwykle przepędzali pielęgniarki, dość napatrzyła się na ich pracę - często byle jaką - aby dojść do przekonania, że potrafi im dorównać. Ale co powiedziałaby panna Nightingale na tak rażące wykroczenie przeciw regulaminowi?

Porucznik musiał czytać w jej myślach, gdyż obiecał:

- Nikt nigdy się nie dowie.

- Słowo lansjera jest warte tyle co jego przysięga! - krzyknął z fotela Rutheford. Francuzik niezwłocznie osadził go gestem.

Pełen nadziei Sinclair czekał z obnażonym ramieniem. Lekki uśmiech wyginał mu wargi, a gdy Eleanor nalała wody do miednicy i zaczęła mydlić ręce, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wiedział, że wygrał.

Rutheford wstał, wyjął spod kurtki srebrną manierkę i podał ją Sinclairowi.

- My używamy chloroformu i eteru - rzekła na to Eleanor. Tak naprawdę myśl, że ma sięgnąć po te środki, bardzo ją niepokoiła. Nigdy wcześniej ich nie podawała i bała się, że może przedawkować. Ale Rutheford wybawił ją z ambarasu słowami:

- Też mi coś! Koniaczek to jest sposób. Żołnierz chlapnie ile trzeba i tylko zachrapie, choćby mu nogę odejmowano. Widziałem na własne oczy.

Sinclair wziął manierkę i przepił do Rutheforda, pociągając zdrowy łyk.

- Jeszcze - powiedział kapitan.

Sinclair zastosował się do rozkazu.

- No i proszę - rzekł Rutheford i poklepał kolegę po ramieniu. Odwrócił się do Eleanor i obwieścił: - Pacjent czeka.

Podkreśliła kinkiety, wyjęła z szafki niezbędne rzeczy - katgut i igły - po czym poprosiła Sinclaira o położenie się na łóżku, aby mogła lepiej widzieć ranę. Ręce się jej trzęsły, gdy przeciągała nić przez ucho igły.

Sinclair na moment przykrył jej dłonie swoją i rzekł uspokajająco:

- Proszę się nie denerwować.

Przełknęła ślinę i skinęła parokroć głową, po czym kontynuowała zabieg powoli i starannie. Pochyliła się i wybrała plan działania: zacznie od dołu, tam gdzie skóra rozeszła się najbardziej. Zbierze ją palcami, przebije igłą, a potem pójdzie wyżej. Oceniała, że trzeba

będzie założyć nie więcej niż osiem szwów... chociaż nawet ta ilość miała przyprawić porucznika o niemały ból. Będzie musiała pracować najszybciej, jak zdoła.

- Jest pan gotów? - spytała.

Założył ramię pod głowę, jakby odpoczywał latem na brzegu rzeczki.

- Jak najbardziej.

Przyłożyła igłę do ciała i przez kilka długich sekund zbierała siły, zanim się zdobyła na przebicie skóry. Poczula, że mężczyzna napina mięśnie, ujrzała, jak nabrzmiwają, ale nie odezwał się słowem. Wiedziała, że zachowanie stoickiej postawy w obecności towarzyszy... lub jej... to dla niego sprawa honoru. Zsunęła fragmenty skóry, przeszła igłą na drugą stronę i zaciskając brzegi, jakby trzymała w palcach nie ludzkie ciało, ale szczyptę soli, poprowadziła igłę w odwrotnym kierunku. Widziała, jak pacjentki podczas bolesnych zabiegów często patrzą w dal, jakby skupione na jakiejś idyllicznej, odległej wizji, ale była przekonana, że ten pacjent patrzy - w taki sam sposób - na nią.

Przekłuła skórę jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, a rana stopniowo się zamykała, aż zamieniła się w wybrzuszoną, pokiereszowaną bliznę, biegnącą kilka cali wzdłuż ramienia. Skończywszy, Eleanor zrobiła węzełek, ale miast odgryźć resztę, jak zrobiłaby w przypadku zwykłej nici, tę odcięła nożycami. W końcu spojrzała na niego; czoło lśniło mu potem i nie uśmiechał się tak chwacko jak przed zabiegiem, jednak ani drgnął.

- Szwy powinny trzymać - oświadczyła. Schowała resztki nici i delikatnie przemyła zszycie kwasem karbolowym. Czystym bandażem, który wzięła z szafki, mocno owinęła ramię. - Może pan usiąść, jeśli ma pan ochotę.

Oficer głęboko odetchnął i oszczędzając prawe ramię, usiadł. Zachwiał się wskutek zabiegu lub wypitego koniaku, albo jednego i drugiego. Francuzik i Rutheford szybko odłożyli cygaretki i podeszli, by go podtrzymać.

Tak zastała ich panna Florence Nightingale.

Stała w długiej szerokiej sukni jak filar prawości, długie czarne włosy miała rozdzielone idealnym przedziałkiem na środku głowy, blade dłonie krzyżowała na piersiach. Jej ciemne oczy pod wysokimi brwiami wędrowały od oficerów, którzy niewątpliwie byli podchmieleni, do nocnej pielęgniarki w przekrzywionym czepku, z rękami mokrymi od wody i kwasu karbolowego, i z powrotem. Patrzyła tak, jakby ujrzała w swojej izbie zabiegowej słonia i usiłowała pojąć, skąd się wziął.

- Panno Ames - rzekła w końcu - oczekuję wyjaśnienia.

Zanim Eleanor zdołała przywołać na spierzchnięte usta choćby słowo, Rutheford wystąpił przed garstkę winowajców i szeroko gestykułując, przedstawił się jako kapitan XVII Regimentu Lansjerów.

- Mój obecny tu przyjaciel - rzekł, wskazując Sinclaira - został ranny, gdy stanął w obronie honoru pewnej damy.

- Niedaleko stąd - wtrącił Francuzik.

- I potrzebowaliśmy natychmiastowej pomocy. Pani podwładna udzieliła jej, i to w niezwykle profesjonalny sposób.

- Ocena tego to moja rzecz - rzekła lodowato panna Nightingale. - Panowie nie zdawaliście sobie sprawy, że ta instytucja jest przeznaczona wyłącznie do opieki nad szlachetnie urodzonymi paniami?

Rutheford spojrział na Francuzika i Sinclaira, jakby nie bardzo wiedział, co ma na to odpowiedzieć.

- Ależ zdawaliśmy sobie z tego sprawę - odparł Sinclair, z trudem stając na podłodze. - Lecz jako że moja brygada wyrusza rankiem w pole, nie mieliśmy czasu na szukanie innego miejsca.

Rutheford i Francuzik wydawali się zadowoleni z tej improwizacji.

Nawet panna Nightingale chyba nieco złagodniała. Energicznym krokiem weszła do alkowy i dokładnie oceniła świeżo zszytą ranę.

Eleanor dygotała z lęku, ale gdy spojrzała na Sinclaira, ten mrugnął do niej.

- Czy jest pan zadowolony z wyniku tego... nieortodoksyjnego zabiegu? - spytała go panna Nightingale.

- Jestem.

Wyprostowała się i nie patrząc na Eleanor, oznajmiła:

- Jak i ja. - Odwróciła się do dziewczyny i powiedziała: - To wygląda na znakomitą robotę.

Eleanor pierwszy raz od dobrych kilku minut głęboko odetchnęła.

- Ale nie możemy tu sobie pozwolić na takie eksperymenty. Reputacja i pozycja szpitala są poddawane nieustannej publicznej weryfikacji. Do godziny ósmej rano żądam szczegółowego raportu na piśmie, panno Ames.

Eleanor skłoniła ulegle głowę.

- I jeśli otrzymaliście, panowie, pomoc, o którą zabiegaliście, to proszę was o opuszczenie tego miejsca.

Rutheford i Francuzik szybko sięgnęli po niedopałki cygaretek i wzięwszy między siebie Sinclaira, ruszyli na korytarz. Panna Nightingale otworzyła im drzwi wyjściowe, a Eleanor pozostała nieco w tyle. Gdy trójka oficerów znalazła się na chodniku, panna Nightingale wyszła za próg, falując długą suknią i rzekła:

- Uważajcie na siebie, młodzieńcy, i wracajcie szczęśliwie.

Eleanor miała ograniczony widok, ale widziała porucznika Copleya, jasne włosy lśniące w świetle latarni, zarzuconą na ramiona szkarłatną kurtkę. Uśmiechał się do niej. Poczowała nagły niepokój - nieoczekiwany i zaskakująco mocny - na myśl, że niebawem wyrusza na wojnę.

ROZDZIAŁ 12

6 grudnia, 15. 00

Widok laboratorium biologii morskiej na Cyplu Adeli sprawiłby ponure wrażenie na każdym o zdrowych zmysłach, ale nie na Darrylu Hirschu. Nie posiadał się z radości. Podłogi były z gołego betonu, ściany z potrójnie izolowanych plastikiem prefabrykatów, sufit wisiał nisko, a całość cuchnęła pleśnią, gnijącymi wodorostami, zaśmierdłymi rybami i chemikaliami.

Ale należało tylko do niego i nikt nie patrzył mu przez ramię, gdy prowadził takie eksperymenty i badania, jakie chciał. W końcu nie musiał znosić doktora Edgara Montgomery'ego, wysoko opłacanego padalca i rzecznika prasowego, który nieraz podłożył mu nogę i ograniczył budżet. To laboratorium wraz z bulgoczącymi zbiornikami i doprowadzającymi powietrze, syczącymi rurami było jego prywatnym królestwem.

Jeśli chodzi o niezbędne wyposażenie, to National Science Foundation zadbała niemal o wszystko co konieczne, od mikroskopów, płytek Petriego i pipet po respirometry i centryfugi plazmy. Duży, okrągły otwarty zbiornik na środku, nazywany akwariem, miał cztery stopy głębokości, szerokości tyle, że dało się w nim pływać szalupą i dzielił się na trzy przedziały. To rozgraniczenie było niezwykle istotne, gdyż wiele morskich gatunków miało nieszczęsną skłonność do wzajemnej konsumpcji. W tym momencie w zbiorniku pływał ogromny dorsz i ktoś zawiesił na brzegu tabliczkę z napisem: „Na miłość morską, przygarnijcie mnie!”. Darryl wiedział, że dowcip jest głupi i groźny. Dorsz był bardzo agresywną rybą. Mógł wyskoczyć nad powierzchnię i równie dobrze ugryźć obiektyw, jak rękę. Zdjął tabliczkę i wyrzucił ją do kosza.

Pod dwoma ścianami stały długie metalowe stoły sekcyjne, a nad nimi wisiały rzędy półek z mniejszymi zbiornikami, rozjaśnionymi bladopurpurowym blaskiem. Przebywały w nich dziwne stworzenia: pająki morskie, jeżowce, ukwiały, pierścienice. Pełzały lub przysysały się do szkła jak rozgwiazdy.

Darryl przez większość tygodnia tylko przeprowadzał inwentaryzację tego, czym dysponował, organizował pracownię, przeglądał zasoby, rozważając plan działania. Najbardziej zależało mu na szybkim zanurkowaniu. Chciał złowić potrzebne okazy -

zwłaszcza ryby białokrwiste, *Channichthyidae* - i dostarczyć je na powierzchnię żywe. Często była to najtrudniejsza część zadania, gdyż stworzenia żyjące w głębinach, zwłaszcza w niskich temperaturach, były niezwykle wrażliwe na zmianę ciśnienia, temperatury, nawet światła. Darryl już zawiadomił Murphy'ego O'Connora o swoich potrzebach i kierownik bazy zapewnił go, że wszystko będzie dostarczone i na chodzie, od świdra po kabinę nad otworem nurkowym. Darryl musiał tylko wcześniej wypełnić niezbędne formularze NSF. Kierownik był trochę nieokrzesany i przestrzegał regulaminu jak przykazań, ale Darryl miał wrażenie, że to równy gość, z którym się dogada.

Na stole przy drzwiach znalazł combo Bose'a, lepsze niż jego własne, i eklektyczny zbiór płyt kompaktowych. Nie wiedział, komu to zawdzięcza - NSF, poprzedniemu biologowi? - ale był wdzięczny losowi. Właśnie słuchał partity e-dur Bacha - dawno temu ustalił, że Bach i Mozart najlepiej służą skupieniu - i może dlatego nie usłyszał pukania do drzwi. Poczul za to podmuch zimnego powietrza i gdy podniósł wzrok znad preparatu, zobaczył Michaela. Właśnie ściągał podbity futrem kaptur i rozpinął zamek błyskawiczny kurtki. Na szyi miał aparat na szerokiej taśmie.

- Co fotografowałeś?

- Pojechaliśmy z Lawsonem do tej starej norweskiej stacji wielorybniczej. Myślałem, że zrobię kilka nastrojowych zdjęć.

- I zrobiłeś? - spytał Darryl, kładąc na szkiełku cienki jak papier preparat algi i wsuwając go pod mikroskop.

- Nie bardzo. Było aż za nastrojowo. Światło iskrzy we mgle i nie da się ustawić odległości.

- Daj mi znać, jak będziesz znów wychodził. Dołączyłbym się.

Michael się roześmiał.

- Pewnie, już cię znam. - Ruchem głowy wskazał zbiorniki z rybami i pojemniki z innymi okazami. - To twój raj. Nigdy cię stąd nie wywlokę.

Darryl wruszył ramionami, jakby przyznawał koledze rację, zanim powiedział:

- To nie do końca prawda. Jak pogoda pozwoli - ta rytualna fraza poprzedzała zapowiedź niemal wszystkich badań terenowych na Antarktydzie - wyjdę jutro przed południem.

Michael usiadł się na kręconym stołku i strzepnął z rękawa świeży śnieg.

- Co ty powiesz? Dokąd się wybierasz?

- Do skarbcza Davy'ego Jonesa - obwieścił Darryl, wskazując teatralnym gestem w dół.

- Nurkujesz?

- Pewnie tak - rzekł Darryl. - Nie widziałeś tu żadnej kieszonkowej łodzi podwodnej, co?

- Czego będziesz szukał?

To było pytanie zasadnicze i Darryl nie miał na nie gotowej odpowiedzi. Przebył całą tę drogę na biegun, by ją znaleźć.

- Istnieje około piętnastu rodzajów antarktycznych ryb - powiedział, celowo nie wymieniając łacińskich nazw - zdolnych przetrwać w warunkach zabójczych dla wszystkich innych gatunków. Potrafią żyć w lodowatych wodach w zupełnej ciemności nawet do czterech miesięcy. Nie mają łusek ani hemoglobiny we krwi.

- Więc innymi słowy ich krew jest...?

- Bezbarwna. Właśnie tak. Nawet ich skrzela są białe i przezroczyste. Co więcej, we krwi mają rodzaj naturalnego odmrażacza, glikoproteinę, która zapobiega powstawaniu kryształków lodu w układzie krążenia.

- I zamierzasz złapać parę takich ryb? - Ton Michaela wyraźnie wskazywał, że wszystko co słyszy, wydaje mu się co najmniej dziwne.

Ale Darryl był do tego jak najbardziej przyzwyczajony.

- Złapanie ich to żaden problem. Pływają bardzo powoli i większość czasu spędzają przy dnie, czekając na jakiegoś nieszczęsnego kryla czy rybkę, która przepłynie w pobliżu.

- A co byś powiedział na to, żebym ja sobie popływał w ich pobliżu?

- Masz ochotę się ze mną wybrać? - Uśmiech Michaela mówił jednoznacznie, że tak. - Umiesz nurkować?

- Potwierdzone na trzech kontynentach - rzekł Michael.

- Muszę to obgadać z Murphym, może mieć jakieś zastrzeżenia.

- Nie zwracaj sobie głowy - uspokoił go Michael, zrywając się ze stołka. - Sam się tym zajmę.

Był za drzwiami, jeszcze zanim skończył zapinać kurtkę, i Darryl zadał sobie pytanie, czy właśnie zrobił sensowny ruch czy wprost przeciwnie. Czy Michael wiedział, w co się pakuje?

*

Ale Michael wiedział. Kiedy tylko pojawiło się nowe wyzwanie i poczuł najlżejszy przejaw wahania - w przypadku innych osobników mylnie utożsamiany z instynktem samozachowawczym - natychmiast go odrzucał. Jeśli żył dla czegoś, to dla uderzenia adrenaliny - a obecnie nie znał lepszego sposobu na depresję, która uparcie szła za nim krok w krok, gotowa szarpnąć go za rękaw. Jeśli tylko pofolgował myślom, niezmiennie znajdowały drogę wstecz do Cascades... i Kristin. Toczyły się jakimś krętymi drózkami, ich kierunku nigdy nie umiał przewidzieć. Prawdziwy spokój znajdował tylko wtedy, gdy zatracał

się bez reszty w jakimś ekstremalnym wyzwaniu lub gdy całym wysiłkiem woli, wykorzystując całą swoją przebiegłość, zdołał narzucić myślom jakiś cel.

Upředniej nocy, gdy dręczyło go wrażenie, że leci w bezdenną przepaść, zebrał całą odwagę i zadzwonił do młodszej siostry Kristin. Chociaż baza była usytuowana na końcu świata, dzięki Armii Stanów Zjednoczonych miała znakomitą łączność satelitarną i pomijając chwilowe wyładowania elektryczne i zrozumiałe opóźnienie przekazu, połączenie miało świetną jakość. Karen wydawała się zdumiona.

- Serio mówisz z bieguna południowego? - spytała.
- Nie jestem na samym biegunie, ale cholernie blisko.
- Marzniesz na śmierć?
- Tylko jak wieje wiatr... czyli zawsze.

Zapadła cisza, podczas której słowa pokonywały drogę do niej - i oboje się zastanawiali, co dalej powiedzieć.

W końcu Michael przerwał impas, pytając:

- Gdzie w tej chwili jesteś?

Karen się roześmiała. Niech to szlag, śmieje się zupełnie jak Kristin, pomyślał.

- Nie uwierzysz - powiedziała - ale na lodowisku.

Michael natychmiast je sobie wyobraził.

- Przy Skate and Bake? - To była sąsiednia kawiarnia.

Łączność się urwała i ponownie została nawiązana. Karen mówiła:

- ...gorącą czekoladę i drożdżówkę z masą migdałową i rodzynkami.

Zobaczył w wyobraźni, jak ubrana w obwisły włóczkowy sweter siedzi w jednej z ciasnych łóż.

- Sama czy z jakimś ciachem?
- Chciałabym. Przytargałam książkę o Williamie Renhquicie⁷. On jest moim ciachem.

Michaela to nie zaskoczyło. Karen, równie mądra i śliczna jak jej starsza siostra, zawsze była odludkiem. I chociaż wielu chłopaków zapraszało ją na randki - czasem przyjmowała ich zaproszenia - to nigdy nie chodziła z nikim długo. Schowała się za murem z książek, unikając emocjonalnych uwikłań.

Porozmawiali trochę o jej zajęciach, o tym, czy będzie miała czas pracować w bezpłatnej poradni prawnej, po czym odwróciła kierunek pytań i Michael zdał relacje z wydarzeń w trakcie podróży na Cypel Adeli; opowiedział o rejsie na „Constellation”, o Darrylu Hirschu i

⁷ William Renhquist (1924-2005) - Sędzia Sądu najwyższego USA w latach 1986-2005

doktor Barnes. Kiedy opisał zdarzenie z albatrosem rozbijającym okno na wieży dowodzenia, wykrzyknęła: - O, nie! Biedny ptak! - i Michael musiał się smutno roześmiać. Tak samo zareagowałyby Kristin - dużo bardziej zatroszczyłaby się o ptaka niż o ludzi.

- Nie obchodzi cię, co mi się stało? - spytał z udawanym wzburzeniem.

- O tak, oczywiście. Nic ci nie jest?

- Przeżyłem, ale oficer operacyjny doznała obrażeń i musiała zostać przetransportowana na ląd.

- Coś strasznego. - Zapadła cisza, a może było to tylko opóźnienie przekazu. - Ale ja naprawdę się o ciebie martwię, Michael. Nie ładuj się w niebezpieczeństwo.

- Nigdy się w żadne nie wpakuję - powiedział i natychmiast pożałował tych słów, bo one w końcu doprowadziły ich do tej jednej, jedynej rzeczy, której do tej pory unikali w rozmowie... i jedyne go zdarzenia, gdy beztrąsko wpakował się w naprawdę niebezpieczną sytuację.

Karen musiała wyczuć, co myśli, bo powiedziała:

- Niestety, z Krissy bez zmian. - Michael się tego spodziewał. - Ale rodzice strasznie uwierzyli w taki nowy program stymulacyjno-przebudzeniowy. Tłuką drewnianymi klockami przy jej uszach, świecą jej w oczy latarką, na okrągło ją włączają i wyłączają. Najgorsze, że nalali jej tabasco na język... dobrze wiem, że Krissy nie cierpiała tabasco... żeby sprawdzić, czy je przełknie, czy wypluje.

- I co?

- Nic... i chociaż wszyscy lekarze i pielęgniarki zachęcają rodziców, żeby dalej próbowali, wydaje mi się, że to wszystko ma tylko jeden plus. Daje im poczucie, że coś robią.

Mimo tysięcy mil dzielącej ich odległości Michael słyszał w jej głosie ton rezygnacji i smutku. Kristin nie popadała w sentymentalizm ani nie kierowała się wiarą. Państwo Nelsonowie byli luteranami i regularnie chodzili na nabożeństwa, ale ich córki dawno odeszły od Kościoła. Kristin wprost sprzeciwiła się oczekiwaniom rodziców i robiła wszystko, by każdej niedzieli wyskoczyć na kajak czy górską wspinaczkę, ale Karen wybrała taktowniejsze rozwiązanie i za każdym razem wymyślała usprawiedliwienia, aż pewnego dnia rodzice przestali ją pytać, czy idzie z nimi do kościoła. To odmienne podejście młodszej siostry uwidoczniło się po wypadku.

Rodzice bili głową w mur, podczas gdy Karen dokładnie oceniła wyniki tomografii, omówiła z lekarzami - szczerze i dogłębnie - ich opinie, po czym doszła do własnych konkluzji.

Michael je znał. I gdy skończyli rozmowę, poczuł, że nie potrafi usiedzieć na miejscu - to był jego zwykły problem - czy nawet pozostać w bazie. Nałożył polarne ubranie, ciemnozielone gogle i wyszedł samotnie na dwór. Kierownik bezwzględnie wymagał, aby wychodzili dwójkami: nie wolno daleko wybierać się w pojedynkę, a jeśli już, to należy napisać na tablicy dokąd, po co i na jak długo się opuszcza bazę. Ale Michael nie zamierzał daleko odchodzić i... na pewno nie chciał towarzystwa.

Wiał silny wiatr; łopot flagi przypominał odgłosy strzałów z broni palnej. Michael obszedł nierówny kwadrat bazy - moduły administracji, stołówki, sypialni i izby chorych - po czym ruszył w górę stoku, ku zewnętrznym zabudowaniom. Były to pracownie - biologii morza, glaciologii, geologii i botaniki - oraz magazyny ze sprzętem. W bazie były skutery śnieżne, łodzie, spychacze, łaziki nazywane Spryte, które wyglądały jak dzipty na gąsienicach, i Bóg wie co jeszcze, wszystko w blaszanych budach z podwójnymi drzwiami, na których wisiały niezamknięte kłódki. Kto miałby tu kraść? Gdzie by z tym uciekł? W osobnej budzie z ziemną, zarzuconą słomą podłogą trzymano tuzin husky o gęstej szarej sierści i lodowato błękitnych ślepiach. Czasem nocą ich wycie mieszało się ze świstem wiatru i opływało ściany sypialń jak wołanie zagubionych dusz.

Kiedy Michael mijał wąskie okno sali klubowej, usłyszał dźwięki pianina. Zajrzał do środka i zobaczył jednego z trepów - facet chyba nazywał się Franklin - walczącego z jakimś ragtime'owym numerem, podczas gdy umięśnione geolożki, Betty i Tina, z regularnością metronomu tłukły w ping-ponga. Dowiedział się, że obie zimowały - co znaczyło, że przeżyły w bazie długą, ciemną biegunową zimę, gdy słońce nigdy nie świeci, świeże dostawy są rzadkością, a zewnętrzny świat jest równie daleko jak inna planeta. Za taki wyczyn dostawało się medal i Michael widział go w klapie Murphy'ego. Była to honorowa oznaka, dowód uznania środowiska. Tak trepy, jak i zlewki darzyli szacunkiem tych, którzy ją otrzymali.

Gdy minął róg sali klubowej, wiatr nagle uderzył go w twarz z całą siłą, tak mocno, że musiał się skłonić, niemal złożyć jak scyzoryk. Szarpał na nim ubranie, gdy szedł ostrożnie po luźnym rumowisku, kierując się do pokrytego lodem wybrzeża. Nie dało się wyznaczyć granicy ziemi i lodu. Podłoże wszędzie miało konsystencję skały i było równie twarde. W oddali stadko pingwinów ślizgając się na brzuchach, sunęło po zlodowaciałym stoku i wpadało do lodowatej wody. Michael dłonią w rękawicy ściągnął tasiemki kaptura tak mocno, że tylko gogle pozostały niezakryte. Słońce zimne i srebrne jak lodowe sople wisiało na niebie, o włos wyżej niż tydzień wcześniej, powoli, ale nieuchronnie zmierzając ku południowemu horyzontowi i niebytowi. Kiedy ostatni raz sprawdzał, termometr pokazywał

dwadzieścia stopni poniżej zera... ale zależna od wiatru niesławna odczuwalna temperatura była jeszcze niższa.

Szarobiały, zamazany kształt przemknął mu przed twarzą - instynktownie osłonił się dłonią. Po chwili znów się pojawił. To był wydrzyk, jeden z drapieżnych ptaków Antarktydy i Michael zdał sobie sprawę, że musiał dotrzeć w pobliże gniazda. Wiedząc, że te ptaki zawsze celują w głowę intruza, najwyższy punkt ciała, uniósł ramię nad kaptur i gdy ptak przeleciał nad rękawicą, rozejrzał się wokoło. Nie chciał niczego rozdeptać. Kilka jardów dalej wznosił się niewielki wzgórek zapewniający ochronę przed szalejącymi wiatrami. Tam samica wydrzyka opiekowała się dwoma pisklętami. W dziobie trzymała żywego kryla, którego musiała porwać z wody. Nadal rozpaczliwie wymachiwał odnóżami. Michael cofnął się kilka kroków i wydrzyk, najwidoczniej usatysfakcjonowany odwrotem intruza, wrócił do gniazda.

Oba pisklęta krzykiem domagały się pokarmu. Po każdym ćwierknięciu mniejszego większy odwracał się i dziobał brata. W wyniku tych ataków malec był coraz dalej wypychany poza ochronną strefę gniazda, ale rodzice zupełnie się tym nie przejmowali. Matka wypuściła kryla z zakrzywionego dzioba i podczas gdy mniejsze pisklę przyglądało się temu zrozpaczone, jego brat porwał pokarm i zżarł go błyskawicznie.

Michaelowi cisnęło się na usta: „Daj spokój, dziel po równo”, ale wiedział, że tu nie obowiązują takie reguły. Jeśli mniejsze pisklę samo nie potrafi dać sobie rady, rodzice po prostu dadzą mu zdechnąć z głodu. Walka o byt w najbrutalniejszym wydaniu.

Drobniejszy pisklak podjął ostatnią próbę powrotu do gniazda, ale większy wydrzyk znów odpędził go skrzydłami i dziobem, na co malec wycofał się z opuszczonym łebkiem, tuląc bladoszare skrzydła. Mamusia i tatuś obojętnie patrzyli w innym kierunku.

Michael wykorzystał sposobność, która się nadarzyła. Podszedł i zanim jeszcze nie całkiem opierzone pisklę zdołało uciec, pochylił się i wziął je na rękę. Z rękawicy wystawał tylko biały łebek i czarne guziki ślepków. Ojciec wydrzyk zaskrzeczał, ale Michael wiedział, że nie protestuje przeciwko porwaniu dziecka, ale przeciwko naruszeniu miru domowego i zagrożeniu tłustego następcy tronu.

- Spadaj - warknął, trzymając pisklę przy piersi. Odwrócił się plecami do wiatru i dał się zepchnąć do połowy stoku, bliżej ciepłej sali klubowej. Zastanawiał się, jak Kristin nazwałaby tę małą kulkę pierza w jego rękawicy?

ROZDZIAŁ 13

6 lipca 1854 r., 16.30

Ascot. W świadomości Eleanor to zawsze była tylko nazwa, oznaczenie miejsca, którego nigdy nie miała odwiedzić. Zbyt mało zarabiała i kto miałby jej towarzyszyć?

Lecz oto była tu, przy drewnianej barierce, podczas gdy konie - najpiękniejsze koniki, jakie kiedykolwiek widziała, o lśniącej sierści, w kolorowych jedwabnych czapkach i białych owijkach - szły z padoku na start. Wszędzie wokół i w majestatycznym pawilonie powyżej tysiące ludzi - więcej niż kiedykolwiek widziała w jednym miejscu - nie szczędziło gardel i przechadzało się z miejsca w miejsce, wachlując programami i głośno rozprawiając o źrebakach i klaczach, dżokejach i ciężkim torze. Panowie popijali z piersiówek i puszczały kłęby cygarowego dymu, podczas gdy panie - część z nich mocno wątpliwej konduity, takie przynajmniej odnosiła wrażenie - paradowały, demonstrując niebywałej urody kapelusze i kręcąc w słońcu różowymi lub żółtymi parasolkami. Wszyscy głośno się śmiali, klepali innych po plecach i w sumie tworzyli najweselszą, najhałaśliwszą scenerię, w jakiej Eleanor miała okazję przebywać.

Poczuła na sobie spojrzenie Sinclaira, zanim się odezwał.

- Dobrze się pani bawi?

Zarumieniła się. Zapewne czytał w niej jak w otwartej księdze.

- Tak - odpowiedziała. - Znakomicie.

To chyba sprawiło mu przyjemność. Miał na sobie cywilny strój: granatowy fraczek, śnieżnobiałą koszulę i czarny jedwabny fular. Jego jasne loki opadały aż do kołnierza.

- Czy mogę zaproponować poncz? A może zimną lemoniadę?

- Dziękuję, dziękuję - szybko odmówiła, nie chcąc go narażać na dodatkowe wydatki.

Już się wykosztował, opłacając powóz, który zabrał ich wszystkich do Ascot, i wejście na teren wyścigów dla całej trójki. Przez wzgląd na przyzwoitość Eleanor nie chciała jechać sama z młodym porucznikiem i ten okazał się tak szlachetny, że zaproponował pielęgniarce, z którą dzieliła pokój w pensjonacie - pannie Moirze Mulcahy - by dołączyła do nich na całe popołudnie. Moira, pucułowata irlandzka dziewczucha o szerokim uśmiechu i wylewnej, chociaż momentami prostackiej naturze, przyjęła zaproszenie bez chwili wahania.

Ze swobodą poprosiła o drinka.

- Och, sir, z rozkoszą wypiłabym lemoniadę! - zakwiliła, niemal nie odrywając wzroku od trybun, które mieli za sobą, gdzie zgromadził się niespokojny tłum oczekujący na najślawniejszą gonitwę popołudnia, o Złoty Puchar Ascot. - To słońce jest zaprawdę - urwała, szukając najbardziej arystokratycznego wyrażenia - spiekotliwe. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha, uradowana swoim wyborem.

Sinclair przeprosił i udał się po napitki. Gdy tylko się oddalił, Moira trąciła Eleanor łokciem w bok i powiedziała:

- Ten kurczaczek jest już w garnku.

Eleanor udała, że nie rozumie koleżanki, ale jak w przypadku większości powiedzonek Moiry, sens był jasny.

- Nie widziałeś, jak się w ciebie wgapia? - Moira wyduła wargi. - I w żadną inną nie? Taki dżentelmen! Pewnaś, że to nie lord?

Eleanor nie wiedziała niczego na pewno. Porucznik pod wieloma względami nadal pozostawał tajemnicą. Po tym jak zszyla mu ramię, następnego dnia dostarczono do szpitala bombonierkę malinowego marcepanu zaadresowaną: „Panna Eleanor Ames, Mój Słodki Anioł Miłosierdzia”. Panna Nightingale odebrała przesyłkę i gdy przekazywała ją adresatce, wyraziła swoją dezaprobatę:

- Takie są skutki nierozważnego postępowania - po czym bezzwłocznie wróciła do ogrodu, w którym pielęgnowała drzewka owocowe i warzywa.

Lecz Eleanor nie widziała w swoim zachowaniu niczego niewłaściwego, a Moirze nawet nie przyszło do głowy, by się nad tym zastanawiać. Zerwała z pudełka lawendową wstążkę, wepchnęła ją sobie do kieszeni i powiedziała: - To byłby grzech zmarnować takie śliczności, mogę? no, nie masz nic przeciwko? co, Ellie? - i czekała, podskakując na palcach, by Eleanor w końcu otworzyła bombonierę. Kiedy to uczyniła, Moira od razu rzuciła się na frykasy, podczas gdy Eleanor jedynie spoglądała z zachwytem na gładziutki, słodko pachnące słodycze. Pokrywą bombonierki, którą trzymała w dłoniach z takim nabożeństwem, jakby to było znakomite malowidło, zdobiła złota lilia francuskich królów i napis: SŁODKOŚCI OD MADAME DAUPIN, BELGRAVIA. Do tej pory nikt nigdy nie obdarował Eleanor łakociami.

Kilka dni potem porucznik przysłał gońca z liścikiem, w którym pytał, czy mógłby złożyć jej wizytę. Musiała odpowiedzieć, że poza sobotnim popołudniem i wieczorem nie dysponuje czasem wolnym; wracała do szpitalnych obowiązków w niedzielę, o godzinie wpół do siódmej. Na to odpisał, że w takim razie oczekuje jej towarzystwa w następną sobotę, w

południe. Dodał, że nie przyjmie do wiadomości żadnej odmowy. Moira, która zaglądając jej przez ramię, przeczytała list, doradziła, by za skarby świata nie odprawiała porucznika z kwitkiem.

Rozległ się głos trąbki i Moira zapiszczała: - Patrz, Ellie, patrz! - gdy konie ustawiły się za długą grubą liną, rozciągniętą między dwoma słupami po obu stronach owalnego toru.

- Czy ta gonitwa zaraz się zacznie?

- Jak najbardziej - potwierdził Sinclair. Przedał się przez tłum z dwoma szklankami. Wręczył je Moirze i Eleanor. - Pragnąc panie zabawić, pozwoliłem sobie w ich imieniu postawić na konia.

- Dał Eleanor blankiet z kilkoma cyframi i napisem „Pieśń Słowika⁸” na drugiej stronie. Eleanor nie bardzo wiedziała, co to jest.

- Imię konia - rzekł Sinclair, gdy Moira wsadziła nos między niego i Eleanor, zerkając na blankiet zakładu - wydało mi się, że wróży wyjątkowo szczęśliwie, nie sądzicie panie?

- Ile postawiliśmy? - spytała radośnie Moira, chociaż Eleanor wołała, aby ta sprawa nie była poruszana.

- Dziesięć funtów - odparł Sinclair - ...na wygraną.

Eleanor i Moira były wstrząśnięte samą myślą, że można postawić tak gigantyczną sumę na cokolwiek. Ich tygodniowe wynagrodzenie wynosiło piętnaście szylingów⁹ plus jeden posiłek dziennie opłacany z kieszeni komisarza szpitala. To że w ciągu paru minut można stracić dziesięć funtów na taką błahostkę, było dla nich wręcz niepojęte. Eleanor zdawała sobie sprawę, że w oczach jej rodziny - ledwo wiążącego koniec z końcem mleczarza, jego piątki dzieci i od lat niedomagającej żony - byłoby to jeszcze gorsze: grzeszne.

- A ile wygramy, jakby co? - zapytała słabym głosem Moira.

- Przy obecnych stawkach trzydzieści gwinei¹⁰.

Moira o mało nie upuściła szklanki z lemoniadą.

Korpulentny mężczyzna w czerwonym żakiecie przeszedł wzdłuż linii startowej i wdrapał się na podium sędziowskie okryte czerwonym i złotym grubym aksamitem. Za nim, na wysokim drzewcu, trzepotała flaga Wielkiej Brytanii.

- Panie i panowie - obwieścił stentorowym głosem przez przyłożoną do ust tubę - mamy zaszczyt przywitać was w Ascot na pierwszym Złotym Pucharze Jej Królewskiej Mości!

⁸ Słowik - *nightingale* (ang.).

⁹ 1 funt = 20 szylingów.

¹⁰ 1 gwinea = 21 szylingów.

Rozległy się wiwaty, oklaski i okrzyki, które na moment spłoszyły zarówno Moirę, jak i Eleanor. Sinclair pochylił się ku nim i rzekł:

- Tradycyjnie ten bieg był znany jako Wyścig o Carskie Trofeum, na cześć cara Rosji, Mikołaja. - Obie kobiety w mig skojarzyły, co sprawiło, że przyjęto inną nazwę, jednak Sinclair dodał na wszelki wypadek: - Zmieniono to z powodu sytuacji na Krymie, panie pojmują.

Wrzawa ucichła. Znów rozległa się trąbka. Seria okrągłych dźwięków wleciała z najwyższego balkonu pawilonu; konie niespokojnie drobiły w miejscu, jakby chciały wyciągnąć długie nogi i w końcu pobiec. Dżokeje stali w strzemionach, do ostatniej chwili pragnąc ulżyć wierzchowcom. Szpicruty trzymali pod pachami, rękawy jedwabnych koszul wydymały się w popołudniowym powiewie. Dżentelmen w czerwonym zakiecie wyjął zza szerokiego pasa pistolet i uniósł go w powietrze. Dwaj stajenni odwiązali linę startową i zwinawszy ją, odrzucili na trawę. Dżokeje starali się utrzymać konie na wodzy i nie przekroczyć wyznaczonej kredą na ziemi linii.

- Jeźdźcy, przygotować się! - zawołał sędzia. - Na trzy! Jeden... dwa... - i zamiast powiedzieć „trzy” wystrzelił z pistoletu, na co przepychające się konie mniej czy bardziej zwinnie runęły przed siebie. Przez chwilę trwało zamieszanie, gdy konie i dżokeje walczyli o lepszą pozycję, po czym cała stawka pognęła galopem.

- Który to nasz? - krzyknęła Moira, podskakując przy barierce. - Który to Pieśń Słowika? Sinclair wskazał na kasztanek, akurat biegnącą w środku stawki.

- Szkarłatny czaprak.

- Och, nie wygrywa! - krzyknęła w rozpacz Moira i Sinclair się uśmiechnął.

- Bieg jest na milę, a nie przebyły nawet jednej ósmej. Jest dużo czasu na objęcie prowadzenia.

Eleanor pociągnęła łyk lemoniady, mając nadzieję, że wygląda na opanowaną... ale w środku była równie podniecona jak Moira. Nigdy nie stawiała na konie i dotąd nie wiedziała, jakie to uczucie. Teraz czuła dziwne - cudowne - uniesienie. Na samą myśl, że w grę wchodzi trzydzieści gwinei - które w razie wygranej z pewnością zwróci Sinclairowi, prawowitemu właścicielowi - czuła zawrót głowy.

I kolejny raz odniosła wrażenie, że on jakimś sposobem jest świadom jej ekscytacji. Pod stopami nadal czuła wibracje, łomot kopyt, a z trybun dobiegał ją chór głosów - wiwaty, szyderstwa i instrukcje, których żaden dżokej nie mógł usłyszeć.

- Przy wewnętrznej!

- Batem, batem, do cholery!

- Na co czekasz, Waleczny!

- Ascot - rzekł półgłosem Sinclair - to trudny tor.

- Dlaczego? - Eleanor widziała tylko szeroki przyjazny owal z rozległym wysokim trawnikiem pośrodku.

- Jest mocno ubity. To zmusza konia do wielkiego wysiłku, inaczej niż w Epsom Doves czy Newmarket.

Ale w przeciwieństwie do tamtych torów, o których Eleanor nigdy nie słyszała, ten miał królewski patronat. Kiedy przechodziła wysoką bramą o skrzydłach z kutego czarnego żelaza, zauważyła umieszczoną na szczytowym reliefie złotą koronę i poczuła się tak, jakby wkraczała do samego pałacu Buckingham. Dalej ujrzała kramy oferujące wszystko, od napojów orzeźwiających po jabłuszka w cukrowej polewie, i ludzi wszelkiego autoramentu, od wykwintnie ubranych dżentelmenów, służących ramieniem towarzyszącym im damom, po obskurnych wyrostków, sprzedawców i naganiaczy. Raz przysięgłaby, że nawet dojrzała złodzieja okradającego stragan. Sinclair, prowadzący Eleanor wspartą na jednym jego ramieniu i Moirę na drugim, z absolutną pewnością siebie przebił się przez tłum i zabrał je do miejsca, z którego jego zdaniem miały najlepszy widok.

Eleanor była przekonana, że tak jest w istocie. Konie brały pierwszy zakręt i tworzyły zachwycającą, rozmytą plamę czerni, bieli i brązów, wzbogaconą barwnymi czaprakami i strojami dżokejów. Żar letniego słońca spływał na tor i Eleanor musiała się wachlować - i odganiać uparte muchy - programem, który kupił jej Sinclair. Stał blisko, bliżej niż jakikolwiek mężczyzna do tej pory, i chyba tylko w części było to spowodowane naporem tłumu. Moira pochylała się nad barierką, opierając na niej obfite ramiona i popędzając Pieśń Słowika.

- Dawaj! - krzyczała. - Ruszaj dupę!

Eleanor pozwoliła sobie zerknąć na Sinclaira i wymienili ukradkiem uśmiechy. Moira się zawstydzila i odwróciła do nich.

- Och, sir, niech mi pan wybaczy! Zapomniałam się.

- Ależ nie ma powodu przepraszać - odparł. - To nie pierwszy raz, gdy wielkie emocje znalazły tu ujście.

W rzeczy samej Eleanor słyszała o wiele gorsze wyrazy i praca w szpitalu - nawet w takim, do którego przyjmowano wyłącznie panie z dobrych domów - uodporniła ją zarówno na koszmarnie widoki, jak i rozpaczliwe zaklęcia. Poznała pacjentki, które w normalnych warunkach bez wątplenia zachowywały się szlachetnie i godnie, a które dały się owładnąć żądzy przemocy i wściekłości. Przekonała się, że fizyczne cierpienia, a czasem jedynie

umysłowe zaburzenia, zmieniają nie do poznania ludzki charakter. Potulna szwaczka wyła i wyla się tak, że musiano ją przywiązać do łóżka; guwernantka z jednego z najświetniejszych domów w mieście pewnego razu rozerwała na niej służbowy uniform i cisnęła w nią pełną kaczką. Modystka, której usunięto guz, podrapała ją po ramieniu ostrymi paznokciami i zwymyślała słowami, których wedle wyobrażeń Eleanor używali jedynie marynarze. Przekonała się, że udręka ma moc przeobrażania. Czasem wznosiła na duchowe wyżyny, ale częściej niż to ogólnie przyznawano, kiereszowała bezradne ofiary. Sama panna Florence Nightingale oświeciła ją w tym względzie:

- Ona po prostu nie jest sobą - mawiała, oceniając pacjentkę, w której zaszła podobna zmiana.

- Patrz! Patrz, Ellie! - wrzasnęła Moira. - Przyspiesza! Przyspiesza!

Eleanor spojrzała na tor. Tak, widziała błysk szkarłatu, z wolna lecz pewnie przesuwany się do przodu płomyczek. Na samo czoło. Teraz przed kasztanką były tylko dwa konie - kary i siwy. Nawet Sinclair zdawał się podniecony.

- Pięknie! - krzyknął. - Pieśń Słowika, dawaj! Dawaj!

Ścisnął łokieć Eleanor; miała wrażenie, że całe jej ramię - nie, całe ciało - przeszył niezwykle dreszcz. Ledwo potrafiła się skupić na gonitwie. Sinclair nie zwolnił uścisku, chociaż patrzył na konie mijające odleglejszy łuk.

- Siwy zwalnia! - zawołała z uciechą Moira.

- Kary też wygląda, jakby ledwo zipał - zauważył Sinclair, nerwowo tłukąc zwiniętym programem o barierkę. - Dawaj, Pieśń Słowika! Dasz radę!

W tym momencie był w nim jakiś chłopięcy czar, fascynujący entuzjazm, a oświetlony ostrym blaskiem słońca blade wąsik wydawał się prawie przezroczysty. Uwadze Eleanor nie uszło zainteresowanie innych kobiet, które wzbudzał jej towarzysz; gdy przechodzili przez tłum, parasolki wirowały energicznie, jakby ich właścicielki miały nadzieję przyciągnąć wzrok Sinclaira, a pewna młoda dama, wsparta na ramieniu leciwego adoratora, posunęła się tak daleko, że upuściła przed porucznikiem chusteczkę - on podniósł ją, wręczył właścicielce z lekkim uśmiechem i ruszył dalej. Eleanor coraz bardziej cierpiała, widząc skromność swego ubioru. Wolałaby mieć na sobie coś bardziej kolorowego, szykownego czy modnego, ale ta suknia z prążkowanej tafty barwy surowej, ciemnej zieleni, ze staromodnymi bufkami, była jej jedynym strojem wyjściowym. Zapięcie biegło pod samą szyję i Eleanor ubolewała, że ani troszeczkę nie odsłania szyi i ramion, chociaż w tej sytuacji byłoby to właściwe.

Moira bez ceregieli rozpięła kołnierzyk sukni - brzoskwiniowej szmatki, ładnie podkreślającej kolor jej włosów i jasną cerę - i nawet przyciskała do szyi zimną, pustą

szklankę po lemoniadzie. Wyglądała przy tym tak, jakby miała zemdleć z rosnącego podniecenia.

Konie pędziły po bliższym łuku i siwek naprawdę zwalniał. Dżokej bezlitośnie okładał go palcatem, ale koń z każdą chwilą zostawał w tyle. Kary, narowisty kilkulatek tylko trzymał tempo, jakby liczył, że minie linię mety bez znacznego wysiłku. Tymczasem Pieśń Słowika wcale nie była zmęczona; co więcej, wyglądało na to, że dopiero teraz zaczęła dawać z siebie wszystko. Eleanor widziała, jak każde ścięgno i każdy mięsień nóg klaczy nieznużenie pręży się i rozluźnia, a łeb pracuje w górę i w dół, podczas gdy stojący w strzemionach dżokej wisiał nad nim wychylony dziwacznie, daleko w przód, i poganiał zwierzę, smagany unoszoną pędem kasztanową grzywą.

- Mój Boże! - zawołał Sinclair - zaraz będzie pierwsza!

- Będzie, prawda, będzie? - nie posiadała się ze szczęścia Moira. - Wygra!

Ale kary ogier nie dał jeszcze za wygraną. Jak to często bywa z końmi wyścigowymi, nagle poczuł, że jest przeganiany - kątem oka dojrzał szarżującą konkurentkę - i wykrzesał z siebie zapas energii i zapału. Pokonywali ostatnią jedną ósmą trasy dosłownie łeb w łeb, ale coś w Pieśni Słowika, jakaś trzymana w odwodzie na ten krytyczny moment rezerwa uwolniła się i klacz wyskoczyła przed ogiera, jak niesiona nagłym powiewem wiatru. Szkarłatny czaprak falował płomieniem na jej bokach, gdy zлана potem przemknęła przez linię końcową, a sędzia na podium po kilkakroć pomachał złotą flagą.

Tłum zafalował, gracze, którzy obstawili przegrane konie, wydawali okrzyki zawodu, ale tu i tam rozległy się wiwaty, oznaki radości i zdumienia. Eleanor zrozumiała z tego, że Pieśń Słowika nie była faworytką, co z kolei dobrze wróżyło ich wygranej. Spojrzała na blankiet zakładu, który trzymała w ręce - podczas gdy Moira tańczyła w miejscu, skacząc z nogi na nogę, Sinclair wziął go od niej.

- Pozwoli pani, że pójde odebrać wygraną?

Eleanor skinęła głową, a Moira po prostu uśmiechnęła się od ucha do ucha. Potargane blankiety przegranych zakładów unosiły się jak konfetti z trybun i wirowały nad głowami stojących niżej. Eleanor i Moira przyglądały się, gdy trzech dżokeje przyprowadzili zziąjane konie do kręgu obok podium sędziego. Zdjęli swoje kasaki, barwne jedwabne kurtki, a jeden ze stajennych przywiązał je do linki masztu flagowego. Następnie wciągnięto kasaki na maszt - żółty na dole, purpurowy w środku, a na samej górze, tak aby wszyscy mogli poznać zwycięzcę, szkarłatny i biały: barwy Pieśni Słowika. Chociaż może było to głupie, Eleanor poczuła przyływ dumy; Moira wprost pękała ze szczęścia, mając przed oczami wizję zgarnięcia świeżo wygranej fortuny.

- Ani mi się śni mówić ojcu o tym wszystkim - rzekła. - Jak amen w pacierzu przyjechałby do miasta i dobrze wygarbował mi skórę. - Eleanor wiedziała, że jej ojciec nie zrobiłby niczego takiego. - Ale mamie wyznam, że nieco mi się poszczęściło, i poślę jej trochę forsy, niech ma lżej. Dobry Pan wie, że na to zasługuje.

Eleanor w dalszym ciągu trwała w zamiarze zwrócenia swego udziału Sinclairowi - przecież sama postawiła za ledwie sześć pensów z malej sumki, którą miała w wypelzłej welwetowej torebce. Kiedy Sinclair wrócił, wsunął garść monet i banknotów do torebki Moiry, po czym czekał, aż Eleanor otworzy swoją. Nie zrobiła tego.

- Ależ to pań! - powiedział. - To pań koń zwyciężył, i to w znakomitym stylu!

- Nie, to był pański koń - rzekła Eleanor - i pańskie pieniądze. - Widziała, że Moira ani myśli zachować się równie szlachetnie, i było jej przykro, że przyjaciółka może się poczuć niezręcznie.

Sinclair zastygł z pieniędzmi w ręku, po czym powiedział:

- Czy nieco paniom ulży, jeśli wyznam, że postawiłem też sam?

Eleanor się zawahała, a Sinclair sięgnął do kieszeni spodni, wyjął plik banknotów i żartobliwie pomachał nim w powietrzu.

- Obie panie - obwieścił, z galanterią pamiętając także o Moirze - przynoszą mi szczęście.

Eleanor musiała się roześmiać, jak wcześniej Moira, i już nie oponowała, gdy Sinclair otworzył jej torebkę i wsunął do niej wygraną. Nigdy nie posiadała równie okazałej sumki i była zadowolona, że ma przy sobie takiego stróża i obrońcę.

Kiedy szybkim krokiem wracali ku głównej bramie, ciemne chmury z zachodu zaćmiły dysk słońca. Właśnie przesuwały się nad nimi, gdy Eleanor usłyszała wołanie:

- Sinclair! Poszczęściło ci się dzisiaj?

Odwróciwszy się, ujrzała dwóch panów, którzy tamtej nocy towarzyszyli porucznikowi w szpitalu, tyle że teraz byli nie w mundurach, lecz w eleganckich cywilnych ubraniach.

- Na Jowisza, i to jak! - odparł Sinclair.

- Więc w takim razie... - powiedział potężnie zbudowany kapitan Rutheford, wyciągając otwartą rękę - nie masz nic przeciwko uregulowaniu rachunków?

- Na pewno nie wolałbyś pozostawić długu tam, gdzie spoczywa, by zamienić go w inwestycję, która przyniesie ci sowity zysk?

- Lepszy ptaszek w garści... - odparł, uśmiechając się Rutheford, i Sinclair posłusznie złożył na wyciągniętej dłoni część trzymanyh w kieszeni banknotów.

- Ale wybaczone mi - rzekł Sinclair, cofając się o krok i dokonując prezentacji. Towarzyszka Le Maître'a, niejaka panna Dolly Wilson, skinęła głową - twarz miała niemal

całkowicie zasłoniętą kapeluszem z szerokim rondem, obwieszonym burgundowymi i fioletowo-różowymi kwiatami. Następnie zapytał: - Wracacie do miasta? Zamierzałem nająć powóz, więc może odbylibyśmy podróż razem?

- Kapitalny pomysł - ucieszył się Rutheford - ale ekwipaż już mam. Czeka przy Regent's Circle. Zmieścimy się wszyscy.

Eleanor zerknęła na Moirę, która wydawała się jednocześnie wniebowzięta i przestraszona - ten dzień przyniósł im tyle nieoczekiwanych wrażeń, że poczuła się tak, jakby galopowała polami, unoszona przez dzikiego rumaka.

- W takim razie tędy proszę - zachęcił je Rutheford, muskając czubkami palców bokobrody - gdyż czas...

- Nie czeka na nikogo - zapiszczała Moira, zawsze chętna dokończyć powiedzonko, i Eleanor zauważyła, że Rutheford obdarzył ją pełnym uznania spojrzeniem, które co znamienne, zatoneło w kremowym dekolcie wynurzającym się z rozpiętego kołnierzyka sukni.

- Święta racja, panno Mulcahy - rzekł, podając jej ramię.

- Czy mogę służyć?

Moira przez chwilę stała jak kołek - taki pan jak Rutheford, odziany w perłowo-szary żakiet dżentelmen, był gotów służyć ramieniem dziewczynie jej pozycji...! - ale Eleanor dyskretnie dała jej sówkę w bok i dziewczyna ujęła kapitana pod ramię, po czym wszyscy ruszyli do ekwipażu.

Był to wykwintny powóz z rodowym herbem, przedstawiającym lwa wspartego na skrzyżowanych tarczach, ciągniony przez mocarną parkę gniadoszy z Shire. Do tej pory Eleanor nie była pewna, do jakiego świata wkroczyła, ale to - rodzinny powóz i swoboda, z jaką ci panowie obracali pieniędzmi (choć porucznik, żywiła podejrzenie, był nadmiernie rozrzutny) - wyjaśniło sprawę. Ona i Moira znalazły się w sferach, do których na co dzień nie miały wstępu.

Wnętrze powozu obito safianem, skórą o delikatnym licu, a w schowkach pod siedzeniami umieszczono pledy, również opatrzone rodzinnym herbem. Podłogę wyłożono polerowanym mahoniem; frontowa ścianka tuż za kozłem woźnicy miała niewielkie okienko przypominające drzwiczki do piwnicy, a także rączkę z frędzlami. Choć kapitan zapewnił, że będzie sporo miejsca, ledwo się zmieścili, co nikogo nie zdziwiło, jako że Rutheford był mężczyzną pokaźnej tuszy, a krągłości Moiry też zajęły sporą przestrzeń. Do ścisku przyczynił się również kapelusz panny Wilson. Sinclair bardzo uprzejmie zaoferował, że usiądzie między Eleanor i Moirą, aby mogły wyglądać przez otwarte okna i podziwiać pejzaż.

Jechali wiejskimi okolicami. Tor wyścigów konnych Ascot zbudowano w roku 1711 na obrzeżach Wielkiego Parku Windsorskiego, na polanie nieopodal wioski East Cote. Na zielonych polach pasły się owce i krowy, a zajęci pracą wieśniacy i ich rodziny często prostowali grzbiet, by pogapić się na majestatycznie sunący, imponujący ekwipaż kapitana. Chłopak z ciężkim wiadrem w każdej ręce stał jak wkopany w ziemię i patrzył na ruchome zjawisko - Eleanor z łatwością wyobraziła sobie jego zachwyty; kiedyś przeżywała to samo i zastanawiała się wtedy, niewątpliwie tak jak teraz ten chłopczyzna, jak mogą smakować podobne cuda... życie zamożnego dziedzica lub arystokraty, który podróżuje w wielkim stylu. Kiedy oczy Eleanor i osłupiałego chłopca się spotkały, poczuła falę wzruszenia i choć początkowo była gotowa najzwyczajniej mu wytłumaczyć, że tak naprawdę nie należy do garstki szczęśliwców, że z urodzenia jest prostą wiejską dziewczyną, której przeznaczono wieść żywot wielce podobny do jego egzystencji, to wydarzyło się coś dziwnego. Skłoniła lekko głowę, jak wedle jej wyobrażeń uczyniłaby arystokratka. Czuła przy tym w piersiach dreszcz rozkoszy, dumy i oszustwa. Zaznawała identycznych emocji, gdy jako mała dziewczynka wkładała kostium księżniczki i szła na wiejską zabawę z przekonaniem, że ludzie z okolicy wezmą ją za wielką panią.

- Wygrana zawsze zaostrza mi apetyt - oświadczył Sinclair.

- Co byście powiedzieli na zimną kolację w moim klubie?

Le Maître - nazywany Francuzikiem, jak przypomniawszy sobie Eleanor - powiedział:

- Może lepiej wpadlibyśmy do mojego klubu? Biorąc pod uwagę pewne zaszłości związane z panem Fitzroyem... - urwał, unosząc brew i spoglądając na Sinclaira; ten zbył jego obiekcje machnięciem ręki.

- Puf! Nie ma się czego obawiać z tego kierunku - oznajmił, chociaż Fitzroy żądał satysfakcji od momentu, kiedy został wyekspediowany przez okno w burdelu. - Co powiedzielibyście na wędliny, sery i porto o nieco lepsze niż wszelkie delikatesy, które mógłby nam zapewnić klub Francuzika?

Eleanor nie wiedziała, co odpowiedzieć - wydarzenia znów pędziły galopem, podczas gdy ona ledwo mogła utrzymać wodze.

Kiedy nikt nie zgłosił dalszych obiekcji, Rutheford obwieścił, że to znakomity pomysł, po czym mocno zastukał w okienko, które miał za sobą.

Otworzyło się i pojawiła się w nim twarz woźnicy.

- Pall Mall, Klub Longchamps - podał adres kapitan.

Woźnica skinął głową, okienko się zamknęło i powóz głośno załomotał na drewnianym moście.

Czując blisko siebie ramię porucznika Copleya, Eleanor ułożyła się wygodniej na miękkim siedzeniu, rozważając w duchu, jak też może się zakończyć ten cudowny sen.

ROZDZIAŁ 14

7 grudnia, 8. 00

Pierwsze co Michael zrobił rano zaraz po tym, jak się ubrał, jeszcze przed kawą, to popędził do swojego pisklaka, Olliego, ochrzczonego tak po innej nieszczęsnej sierotce, Oliverze Twiście.

Decyzja, co z nim (czy z nią, jako że na razie nie dało się ustalić płci) zrobić, nie była łatwa. Ale dorosłe wydrzyki to przebiegłe stworzenia i mają wredny zwyczaj atakowania słabszych - Michael widział, jak para ptaków tak długo odciągała matkę pingwina od dziecka, aż jeden z nich zdołał porwać malca, zawlec na bok i rozerwać na kawałki. Mogły zrobić to samo z Olliem, dopóki pisklę nie nauczy się latać.

Po konsultacjach z kilkoma osobami w bazie, Darrylem, Charlotte, Betty i Tiną, Michael postanowił, że Olliego trzeba umieścić w jakimś chronionym miejscu, ale na dworze.

- Jak go wychowasz pod dachem, nigdy nie będzie samodzielny - zawyrokowała Betty. Tina energicznie ją poparła. Z jasnymi warkoczami upiętymi na czubku głowy naprawdę wyglądały jak dwie Walkirie.

- Ale w składnicy rdzeni za naszą pracownią - zasugerowała Tina - zakosztujcie najlepszych stron cywilizacji i natury.

Składnica była ogrodzona. Trzymano w niej jeszcze niepocięte i niezbadane próbki lodu, długie cylindry pobrane z różnych głębokości. Spoczywały na metalowych stelażach jak kłody drewna.

- Dopiero co wyładowałam ze skrzyni mrożone osocze - powiedziała Charlotte - i moglibyśmy z niej zrobić schronienie dla malucha.

Narada coraz bardziej przypominała zebranie klasowe poświęcone projektowi z biologii.

Charlotte przywlokła skrzynię - postawili ją w kącie, za ogrodzeniem. Darryl przyniósł kawałki suszonego śledzia, którymi żywił swoją menażerię. Chociaż pisklę wyraźnie było wygłodzone, nie zaczęło jeść, jakby czekało na większego ptaka, który się zjawi nie wiedzieć skąd i odpędzi je dziobnięciami. Już zostało zaprogramowane na szybką śmierć.

- Chyba stoimy za blisko - powiedział Darryl i Charlotte przyznała mu rację.

- Zostawcie mięso koło skrzyni i chodźmy do środka - powiedziała, dygocąc z zimna.

Rozeszli się do swoich pokoi i zapadli w męczący sen ludzi, których noce i dni wyglądają identycznie. Michael dopiero rano zajrzał do wychowanka.

Śledź zniknął, ale czy to Ollie go zjadł? Michael rozejrzał się po zamarzniętym gruncie, na którym śnieżne jezory rozłożyły się jak białe pióra, ale nie dojrzał Olliego. Zsunął z twarzy wielkie zielone okulary, ukląkł i zajrzał do skrzyni. Charlotte zostawiła tam trochę wiórów, w które opakowano torebki z osoczem, ale śnieg i lód też się tam dostały. Michael już miał się podnieść, kiedy dojrzał w kącie coś czarnego i lśniącego jak rzeczny kamyczek. Było to otwarte ptasie ślepie; teraz, gdy Michael mocniej wyteżył wzrok, dojrzał drobną, szarobiałą puchatą kulkę. Skulone piskłę wyglądało niczym śnieżka z brudnego śniegu.

- Cześć, Ollie. - Ptaszek wpatrywał się w niego. Nie okazywał strachu, ale też nie dał żadnego znaku, że go rozpoznaje. - Dobry śledź?

Michael nie był zaskoczony brakiem odpowiedzi. Wyjął z kieszeni przeschumowane z kuchni plasterki bekonu.

- Mam nadzieję, że nie trzymasz się koszernej żarcia - powiedział, kładąc bekon przy skrzyni. Ślepka Olliego na moment pomknęły ku jedzeniu. Michael wstał i poszedł na śniadanie. Dziś miał nurkować i wiedział, jak ważne jest uzupełnienie paliwa przed „polarną kąpielką”, jak nazywały tę zabawę trepy i zlewki.

Kiedy Michael zasiadł do stolika, Darryl pochłonął już połowę stosu naleśników z jagodami, pływających w syropie klonowym, a czekała na niego jeszcze góra wegetariańskich parówek. Obok siedział Lawson. Wbrew obawom biologa jego wegetarianizm wcale mu nie zaszkodził, nawet wśród trepów, co więcej, nikt nawet nie zwrócił na to uwagi. Michael szybko się przekonał, że ekscentryczności są na Antarktydzie równie powszechne i równie lekceważone jak skrzeki pingwinów. Ludzie przyplływali na biegun - Michael stale musiał sobie przypominać, że powinien używać tej skróconej nazwy - i zajmowali się swoimi sprawami. W prawdziwym świecie nosili łatki samotników, dziwaków, świrów, ale tutaj nikt nie zwracał na nich uwagi. Każdy był dziwakiem na swoją modłę i wegetarianizm nikogo nie obchodził.

- Pierwszy rok siedzisz tu - rzekł Lawson, mając na myśli personel techniczny - żeby coś przeżyć.

Michael mógł się z tym zgodzić.

- Drugi - mówił dalej Lawson - dla forsy. A trzeci - uśmiechnął się szeroko - bo nie nadajesz się do niczego innego.

Rozległ się nieco wymuszony śmiech. Tylko jeden z trepów, grający zeszłego wieczoru ragtime'a Franklin, odwrócił się do nich i powiedział:

- Pięć lat, człowieku, jestem tu pięć lat pod rząd. O czym to do diabła świadczy?

- Że jesteś nie do naprawienia - powiedział Lawson i tym razem roześmiali się wszyscy, Franklin również. Kaśliwe uwagi były w bazie na porządku dziennym.

Michael pochłoniął spore śniadanie, ale wlał w siebie znacznie mniejszą ilość kawy niż zwykle.

- Jak już włożysz skafander, to ostatnią rzeczą, na którą miałbyś ochotę, jest sikanie - wcześniej doradził mu Lawson.

Ze stołówki poszedł do pokoju po aparat. Zdecydował się na uzbrojonego w Ikelite, wodoszczelną obudowę z poliwęglanu, olimpusa D-220L. Sprawdził, czy ma świeżą baterię, i pomodlił się w duchu do boga technicznych awarii. Sto stóp pod lodowym pancerzem nie ma miejsca na najdrobniejsze wpadki.

Jak wszystko na Antarktydzie nurkowanie było skomplikowanym przedsięwzięciem. Dzień wcześniej Murphy wysłał na lód brygadę z wielkim świdrem, zamontowanym na pojeździe gąsienicowym. Ekipa miała wywiercić dwie dziury. Pierwsza, zakryta typową kabiną nad otworem nurkowym, służyła nurkom do wchodzenia do wody i wychodzenia z niej. Druga, może pięćdziesiąt jardów dalej, pełniła funkcję wyjścia awaryjnego. Wszystko mogło się zdarzyć - od przesunięcia skorupy lodowej po wizytę foki Weddella w pierwszym przeręblu. (Foki Weddella bywały bardzo zaborcze, napotkawszy ładny, równy przerębel zapewniający dopływ powietrza).

Murphy niczym troskliwa matka dbająca o swoje pociechy uparł się również przy tym, by każdy nurkujący wpierw zaliczył badanie u doktor Barnes. Kiedy Michael wylądował na stole, lekarka zaglądnęła mu do gardła, przewodów nosowych, zrobiła płukanie uszu i zmierzyła ciśnienie. Dziwnie się czuł, traktowany jak zwykły pacjent przez kogoś, z kim do tej pory łączyły go tylko koleżeńskie stosunki. Żył jedynie nadzieję, że Charlotte nie będzie sprawdzać, czy nie ma przepukliny, łapiąc go za jądra i każąc zakaszleć. Na szczęście obyło się bez tego.

Charlotte nie wydawała się w najmniejszym stopniu zakłopotana swoją rolą. Jak prawdziwa profesjonalistka sprawnie wykonywała obowiązki. Gdy jednak skończyła badanie i orzekła, że jest zdrow jak ryba, profesjonalizm nie powstrzymał jej przed zapytaniem go, czy na pewno chce nurkować.

- Jak najbardziej.

Zdjęła z szyi stetoskop i schowała go do szuflady.

- Nałożą ci maskę, ten cały rynsztunek i wejdiesz w tym pod lód... Nie masz klaustrofobii?

Coś w jej głosie nagle nasunęło mu podejrzenie, że mówi nie o nim, ale o sobie.

- Nie. A ty?

Skłoniła na bok głowę, nie patrząc mu w oczy - Michaelowi przypomniała się śnieżna szkoła, gdy musieli spać pod wyciętymi w lodzie kopułami.

- Jak dałaś sobie radę w igloo? - spytał.

- Darryl ci nie powiedział?

- Co miał mi powiedzieć?

- Ten chłopak potrafi dochować tajemnicy - powiedziała z uznaniem. - W ogóle nie weszłam do żadnego igloo.

Michael był zaskoczony.

- Tylko błagam, nie mów mi, że sama wróciłaś do bazy. - Był wstrząśnięty na myśl o takiej lekkomyślności.

- Nie. Spałam w osiemnastu warstwach ubrania, w śpiworze, trzymając tylko nogi w tunelu. Miałam stracha, że gdybym się dalej wepchała, Darryl by się udusił.

Dowiedziawszy się o jej fobii i o tym, jak się z nią uporała, nie puszczał pary z ust, poczuł wielki podziw.

Darryl też zasługiwał na szacunek. Potrafił dochować sekretu.

- Będę miała przy sobie walkie-talkie - powiedziała - na wypadek gdybyś czegoś ode mnie potrzebował.

Dobre i to.

- Tylko zachowajcie ostrożność i nie róbcie niczego na ślepo. I nie pozwól Darrylowi zbyt często się szarogęścić.

- Podtopię go, jak będzie podskakiwał.

Nałożył na siebie wszystkie warstwy polarnego ubrania i wyszedł.

Żeby dotrzeć do kabiny otworu nurkowego, musiał skorzystać ze Spryte'a - swoistego połączenia traktora z hummerem, ciągnącego długie sanie towarowe, obciążone dodatkowym sprzętem do nurkowania. Darryl usiadł obok. Cieszył się jak dzieciak jadący do Disneylandu. Karawana sunęła wolno po lodzie i minęło dziesięć minut, zanim Michael dojrzał zbudowaną z prefabrykatów kabinę. Wyglądała jak typowy domek działkowy, tyle że stała na środku zupełnego pustkowia i miała biało-czarną flagę. Była upiornie różowa niczym błada letnia róża. Kilku trepów podsypywało ją świeżym śniegiem, chroniąc przed wiatrem. Podłoga spoczywała na pustakach, stopę nad lodem.

Kiedy się zbliżali, Darryl wystawił głowę ze Spryte'a i nerwowo bębnił palcami po kolanach. Mieli się rozebrać i przygotować do zanurzenia dopiero w kabinie, a nie w bazie,

bo po włożeniu wszystkich warstw utrzymujących ciepło - woda niezależnie od pogody i pory roku miała tę samą temperaturę: 0,5 stopnia Celsjusza - i skafandra groziło im uduszenie się z gorąca.

Jeśli wnioskować na podstawie wielkich, podkreślonych do góry wąsów, ledwo widocznych spod futrzanego kaptura, to polarny pojazd zatrzymał Franklin.

- Miły dzionek na pływanko - rzekł, otwierając z rozmachem odporne drzwi Spryte'a.

Darryl wytoczył się pierwszy i ruszył w stronę kabiny, ślizgając się na lodzie. Michael poszedł w jego ślady. Franklin wyładował sprzęt. W porównaniu z otoczeniem w kabinie było jak w piecu. Na metalowych wspornikach zamontowano dmuchawy gorącego powietrza, a na wszystkich ścianach wisiała imponująca ilość różnego sprzętu.

Jednak najbardziej w oczy rzucała się okrągła dziura, zajmująca środek podłogi kabiny niczym wielkie jacuzzi. Miała może sześć stóp średnicy. Przykryto ją stalową kratą zabezpieczającą przed przypadkowym czy przedwczesnym zanurzeniem. Michael nie mógł się powstrzymać przed spojrzeniem w dół, w niebieską głębię, w której niebawem miał się zanurzyć. Pływały w niej lśniąca cienkie odłamki lodu.

- Cześć, chłopcy, dzisiaj na czas zanurzenia będę wam ojcem i matką - Calloway, skwaszony facet, mówił z wyraźnym australijskim akcentem. Z tego co Michael usłyszał od Lawsons i innych, Calloway tak naprawdę nie był Australijczykiem, ale wiele lat temu uznał, że jako taki będzie miał większe powodzenie u kobiet, a potem zapomniał dać sobie z tym spokój. - No, to teraz gacie na wacie i zaczynamy. Czeka nas sporo roboty.

To oświadczenie okazało się niedopowiedzeniem roku. Michael wcześniej wielokrotnie nurkował i był przyzwyczajony do długiego procesu ubierania się, ale to co nastąpiło, przerosło wszystko, z czym się spotkał do tej pory. Idąc za instrukcjami Callowaya, Michael i Darryl założyli najpierw lekką polipropylenową, długą bieliznę, a na nią jednoczęściowy kombinezon z polartecu. Na nogi wsunęli skarpety używane w zimnej strefie klimatycznej przez Armię USA i wysokie buty z thinsulate'u. W tym momencie Darryl podejrzenie przypominał rudego hobbita.

Następnie Calloway wręczył im lekkie purpurowe ocieplacze pod skafander, jakby do tej pory mało na siebie włożyli.

- Ciepłuchno tu, nie? - powiedział, rozpinając flanelową koszulę.

- Co ty powiesz - rzucił Michael.

- Ciepłuchno tu, nie? - powtórzył Calloway.

Michael musiał się przyzwyczaić do szczeniackiego poczucia humoru, które przeważało na Cyplu Adeli, czy też jak się przekonał, w każdym obozie w każdym zakątku świata, w którym zebrała się grupka osobników płci męskiej.

Wreszcie przyszła kolej na sam suchy skafander. Calloway trzymał go jak kreator mody demonstrujący ostatnią kolekcję.

- Dzieło sztuki, chłopcy. Trylaminat TLS. O całe niebo lżejszy od neoprenowego i poza tym nie przyjmuje wilgoci.

Kiedy Michael z męką nakładał na siebie kolejną warstwę, trudno mu było uwierzyć, że jest lżejsza od czegokolwiek. Już się czuł jak postać z reklamy Michelina, a jeszcze czekało go założenie najbardziej krępującej ruchy części stroju - osłony głowy i twarzy.

Calloway pokopał w torbie przyniesionej przez Franklina i wyciągał dwie czarne, ściśle przylegające do skóry i zachodzące na twarz, polarne czapki Hendersona - pozostawiały wolną przestrzeń tylko wokół oczu i warg; cienki pasek neoprenu biegł nad ustami. Nakładając tę podwodną kominiarkę, Michael czuł się jak włamywacz. Wiedział, że na nią przyjdzie lateksowy kaptur. Calloway pomógł mu założyć go na głowę i dociągnąć do pomarańczowego skafandra, gdzie przykleił się jak przysawka, skutecznie zamieniając go w wielką ludzką parówkę z pomarańczową skórką.

- Możesz to wyłączyć? - poprosił Darryl, unosząc potężnych rozmiarów ramię w kierunku najbliższej dmuchawy. - Umieram.

- Nie ma sprawy, chłopie, trzeba było mi wcześniej powiedzieć.

- Wyłączył obie dmuchawy. - Jeszcze chwilka i was tu nie będzie - pocieszył ich.

Pomógł im włożyć miękkie, anatomicznie wyprofilowane rękawice z podszewką, jakich używają alpiniści, potem trójpalczaste gumowe suche rękawice i uprząż balastową (Michael wiedział, że bez właściwego obciążenia nurek może unosić się do góry nogami, aż utonie). W końcu na twarde noszaki założył im ScubaPro, stalowe butle o pojemności dziewięćdziesięciu pięciu stóp sześciennych, z podwójnymi regulatorami. Michael ledwo mógł się ruszać.

- Ostatnie słowo przed założeniem maski? - spytał Calloway.

- Szybciej - wycharczał Darryl.

- Pamiętajcie, żadnego grzebania się na dole. Godzina maks.

Michael wiedział, że czas przebywania w ekstremalnie niskich temperaturach ogranicza zapas powietrza w butlach i zwykła ludzka wytrzymałość - nawet wzmocniona wszystkimi warstwami stroju nurka.

- Sieci i pułapki już na dole? - spytał Darryl, zakładając szerokie płetwy.

- Sam je spuściłem. Niecałe dwie godziny temu. Są przywiązane do lin w otworze bezpieczeństwa. Dobrych połowów.

- Zanim zapomnimy - powiedział Michael. - To będzie mi potrzebne.

Wskazał na aparat do zdjęć podwodnych, leżący na kupce zdjętych ubrań.

- Proszę bardzo - rzekł Calloway, wręczając mu go. - Jak wpadniesz na jakąś nimfę wodną, strzel dla mnie fotkę.

Po założeniu masek, które szczelnie przylgnęły do twarzy, i sprawdzeniu regulatorów dopływu tlenu Calloway klepnął Darryla w plecy od Callowaya. Podczas gdy Michael wkładał płetwy i przypinał do pasa latarkę, Darryl podniósł kratę i po chwili już go nie było. Calloway klepnął Michaela i uniósł kciuk - dziennikarz skoczył na nogi do wąskiego otworu.

Pokrywa lodowa miała około ośmiu stóp - świder wywiercił zwiężającą się dziurę. Michael ześlizgnął się w dół leja i poczuł, że rozbija cienką warstwę lodu, już tężejącą po zanurzeniu Darryla. Opadł niżej, otoczony chmurą okruchów lodu i bąbelków powietrza. Dopiero po kilku sekundach woda uspokoiła się na tyle, że wyraźnie zobaczył otoczenie.

Zawisł kilkanaście stóp poniżej dziury, w niebieskim świetle, bezgranicznym i bezwymiarowym. Miał wrażenie, że jego pole widzenia ciągnie się w nieskończoność, i wiedział, że jest to spowodowane nieobecnością planktonu, którego zwłaszcza o tej porze roku było w tym miejscu globu wyjątkowo mało. Słońce niewyraźnie oświetlało lodową czapę, a otwór bezpieczeństwa wydawał się promieniującą w dół światłem latarnią. Trzy długie liny z plastikowymi pojemnikami opadały w nieprzeniknioną głębię.

Michael wcześniej przygotował się na wstrząs towarzyszący kontaktowi z lodową wodą, tymczasem nic takiego się nie stało. Strój nurka, w którym na górze czuł się nieznośnie niezgrabnie i pocił nie do wytrzymania, na dole okazał się całkiem wygodny. Woda nie tylko ułatwiała poruszanie się, ale także ochłodziła zewnętrzne warstwy - czuł wręcz ulgę; nic dziwnego, że Darryl tak szybko do niej wskoczył. Ale podejrzewał też, że miłe uczucie chłodu niebawem przejdzie w dokuczliwe zimno, a po godzinie będzie szczękał zębami. Przecież pływali w Morzu Antarktycznym.

Patrząc w dół, dostrzegł pracujące płetwy Darryla. Płynął w dół, ku przydennym rejonom. Wyraźnie nie zamierzał tracić czasu. Woda była spokojna, żadne prądy ani pływy nie mogły niepostrzeżenie odsunąć nurka od miejsca zanurzenia, inaczej niż w innych morzach. W tym wielkim, niebieskim spokojnym królestwie Michael początkowo słyszał jedynie natrętny klekot swojego aparatu oddechowego.

Dno morskie obniżało się od miejsca, nad którym postawiono kabinę. Michael rozpoczął schodzenie, trzymając się podłoża. Góry lodowe poszarpały ten obszar, zostawiając potężne

wyzłobienia i gubiąc bloki lodu, które niczym gigantyczne marmurowe kulki rozłożyły się na przestrzeni wielu mil. Kiedy Michael zbliżył się do dna, dostrzegł w tym pozornym pustkowiu miriady przejawów życia. W mule zobaczył wiele mówiące spirale i zawijasy zdradzające obecność mięczaków i skorupiaków, jeżowców i węzowideł; czareczki przylegały jak blade proporczyki do pokrytych algami skał, a ułożone jedna na drugiej rozgwiadzy oczekiwały w mule na kraby. Wielki jak ludzka dłoń pająk morski stanął na jednej z czterech par nóg, dostrzegłszy zbliżającego się Michaela. Stworzenie wydawało się pozbawione ciała. Miało tylko rdzawego koloru głowę i szyję z dwoma parami oczu. Dalsza segmentowa część uległa sporemu zredukowaniu, przechodziła w długie odnóża. Ale Michael wiedział, że trąbka pająka morskiego to mordercze urządzenie służące do poszukiwania ofiar w dennych osadach: gąbek i koralowców. Kiedy tylko pająk przeszył nią zdobycz, jednym długim, zabójczym pocałunkiem wysysał płyny ciała i samo ciało. Płetwy przepływającego Michaela wzbudziły prąd, który odrzucił pająka - ten powoli kilka razy przekoziółkował. Michael odwróciwszy się, zobaczył, że rozszerzone stworzenie w końcu stanęło na długich odnóżach, gotowe przekłuć tego niefortunnego mieszkańca dna, który się zabłąka w jego pobliże.

Darryl był niżej, w jednej ręce trzymał siatkę, a drugą opierał na kamieniu wielkości piłki do koszykówki. Kiedy Michael podpłynął bliżej, Darryl ruchem głowy i ręki poprosił o przechylenie kamienia. Dziennikarz wypuścił z rąk aparat (zawisł mu na szyi) i poruszył kamień najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Kiedy w końcu go przetoczył, wypłynęła spod niego chmurka obunogów rozmiarów paznokcia. Wiele z nich wylądowało w sieci - Darryl zręcznie odwrócił ją na drugą stronę, wrzucając zdobycz do przezroczystej torebki z zaciskowym brzegiem. Uniósł kciuk - na ile się dało to zrobić, biorąc pod uwagę grubość rękawic - i pomachał na pożegnanie. Michael zrozumiał ten gest. Biolog chciał mieć święty spokój, gdy zbierał próbki i prowadził obserwacje.

Michael też nie chciał czuć się skrępowany czyjąś obecnością. Miał robotę do wykonania, czekały go własne odkrycia. Zastygł nad pękiem stworzeń wyglądających jak jardowej długości robaki. Wiły się nad prawie oczyszczoną padliną. Zrobił kilka zdjęć, o których opisanie zamierzał poprosić Darryla. Opuścił się jeszcze niżej. Światło przygasło, a dno przybrało postać gigantycznej kartki zmiętego papieru. Było to pole zwałów lodowych. Z boku błyskawicznie wyskoczył jakiś ciemny kształt - Michael zobaczył długorzęsą, bacznie mu się przyglądającą parę wielkich perłowych oczu.

Należała do foki Weddella, poza płetwalem karłowatym najgłębiej nurkującego ssaka Morza Antarktycznego, i Michael wiedział, że stworzenie nie robi mu krzywdy. Kiedy

uniósł aparat, mrugająca membrana ochraniająca rogówkę gałki ocznej fokki skurczyła się, a wąsy wydłużyły, rozkładając wachlarzem. Dama gotowa do fotografii, pomyślał Michael, robiąc serię zdjęć.

Długa na pięć, sześć stóp fokka machnęła płetwą ogonową, przepłynęła obok niego, cały czas oglądając się za siebie, po czym zawisała w toni, jakby czekała na nowego dziwnego znajomego, aż do niej dołączy, a następnie znów popłynęła przed siebie.

W porządku, pomyślał Michael, już dołączam. Z tego spotkania mogły wynikać znakomite, nawet zabawne ilustracje artykułu. Pomachał energiczniej płetwami, by dogonić fokkę, a ona - młody osobnik, oceniając po szczupłym, gładkim ciele i nienaruszonych zębach - zanurzyła się głębiej. Zbiornik tlenu syczał i wypuszczał bąbelki, gdy Michael płynąc za fokką, okrążył podziurawioną górę lodową rozmiarów oceanicznej motorówki, a potem pokrytą brązowymi i czerwonymi algami skałę.

Pod nim otwierała się prawdziwa głębia i wyczuwał, że jeśli nie zachowa ostrożności, może się zapuścić zbyt daleko. Skupił wzrok na opadającym dnie i w słabym blasku z lodowej szczeliny zobaczył coś zupełnie niepasującego do otoczenia. Prostopadłościan o zbyt regularnych kształtach jak na twór natury. Nawet pokryty lodem przypominał skrzynię. Fokka zatoczyła wokół niej leniwy krąg, jakby celowo przyprowadziła Michaela w to miejsce.

O mój Boże, pomyślał, zatopiony skarb? Niemożliwe. Nie tu. Nie na biegunie południowym.

Pomachał płetwami i szybko się zbliżył do znaleziska. Mimo że pracował całym ciałem, zaczynał czuć przenikające wiele warstw ubrania zimno. Zatrzymał się dokładnie nad tym czymś, wolno poruszając ramionami w lodowatej wodzie. I rzeczywiście pod lodową skorupą, pod czareczkami, jeżowcami i rozgwiazdami, które okleiły boki - jedna z rozgwiazd barwy kości słoniowej rozłożyła się na górze i wyglądała jak szkielet dłoni - leżała skrzynia. Wieko dawno odpadło. Odruchowo sięgnął po aparat i zrobił kilka ujęć.

Fokka wykonała nad nim szybką *arabesque*.

Michael zszedł niżej, aby zajrzeć do środka skrzyni; spływała z niej zamrożona kaskada - przywodziła na myśl kryształowe monety - nagle zobaczył w niej coś ciemniejszego. Miało śliwkową barwę. Lśniło.

Przeszukał wzrokiem dno. Po jednej stronie opadało w bezdenną czerń, po drugiej, jakieś kilkaset jardów dalej, ściana lodu wyrastająca wysoko nad lodową skorupę schodziła do głębi, których nigdy nie zdołaliby spenetrować. W połowie odległości do ściany zobaczył jeszcze coś: również śliwkowego koloru, pokryte warstewką lodu. Leżało na dnie. Odpiął wiszącą u pasa latarkę i oświetlił kolejne znalezisko.

To była butelka... na pewno. Butelka wina.

Michael spłynął w dół i otarł osad z szyjki. Jeżowiec przyczepiony do spodu znaleziska otworzył i zamknął otwór gębowy - stworzenie właściwie składało się tylko z niego - wyczuwając ruch. Michael pozbył się go krawędzią latarki. Lód pokrywał całą butelkę, ale pod nią widniał kawałek naklejki, był jednak nieczytelny. Michael spróbował oderwać naczynie od dna, ale mu się nie udało. Musiał użyć obu rąk. Zanim podjął następną próbę, ostrożnie wcisnął latarkę między dwa spoczywające na dnie kawałki lodu, przy okazji niepokojąc pierścienicę - przypominała długą na kilka stóp, ponadrywaną gumkę - która falując, oddaliła się w poszukiwaniu spokojniejszego lokum. Musiał zachować ostrożność, odrywając butelkę od mułu i lodu. Nie chciał rozbić artefaktu spoczywającego w tym miejscu Bóg wie ile lat. W końcu ją wydobyl i z zachwytem obrócił w rękach. Czuł się, jakby wygrał przeciąganie liny z dnem oceanu.

Ale zaraz dostrzegł kolejną butelkę, kilkanaście jardów dalej, jeszcze bliżej lodowcowej ściany.

Może natrafił na prawdziwy skarb! Oczywiście wyobraził sobie bogactwa - jakżeby inaczej? - ale przede wszystkim liczył się sensacyjny temat! Niech no tylko Gillespie się o tym dowie! Dziennikarz i fotograf wysłany przez „Eco-Travel Magazine” w celu zebrania materiałów do artykułu popularnonaukowego odkrywa zatopiony skarbiec kilkaset stóp pod pokrywą lodową Antarktydy. Już widział, jak zdobywa niezależność i sławę!

Włożył butelkę do siatki przytroczonej od uprząży i podpłynął bliżej lodowego klifu. Foka nadal się go trzymała, płynąc na plecach. Obserwowała jego poczynania, przyciągając głowę do tułowia.

Bliżej lodowca woda nagle się oziębiła - to przypomniało Michaelowi o nieprawdopodobnie zimnych wiatrach spadających z góry wzdłuż lodowców i wiejących na polarnych równinach. Zadygotał i spojrzał na przypięty do nadgarstka zegarek. Wkrótce musi zawrócić. Przypłynie tu później.

Druga butelka utknęła pod skałą i postanowił ją tam zostawić. Aparat oddechowy syczał i Michael zdał sobie sprawę, że nie oddycha normalnie - był podekscytowany, na co do tej pory nie zwrócił uwagi. Przewieszony wielki lodowiec wyrastał nad nim jak biała skalna ściana niewiele różniąca się od tej, na którą się natknął tragicznego dnia w Cascades. Był poślubiony i poblźniony jak bokser, który wszedł na ring o wiele razy za dużo. Przeciągnął po nim ręką, nawet przez rękawicę wyczuwając niczym niezamaskowaną, wiekową moc mas lodu, które powoli, ale nieustępliwie potrafiłyby zmiażdżyć wszystko na swojej drodze.

Wtem zapało mu dech w piersiach.

W miejscu, w którym przeciągnął palcami, pojawiła się... twarz.

Cofnął się wstrząśnięty, zdumiony. Chmura pęcherzyków powietrza uleciała w górę.

Pracował lekko rękami i nogami, wisząc w wodzie. Foka wróciła, chętna do zabawy, ale Michael nie zwracał na nią uwagi.

Nie mógł zobaczyć tego, co właśnie zobaczył, co na pewno zobaczył. Rozejrzał się w poszukiwaniu Darryla, ale dojrzał tylko daleką pomarańczową kropkę. Biolog asekurował wciąganie pułapki przez otwór bezpieczeństwa.

Michael odwrócił się do ściany. Serce waliło mu w piersiach - musiał wziąć się w garść, inaczej mógł zrobić coś głupiego i utopić się, zanim w ogóle doniesie innym, co znalazł. Skierował latarkę na pocętkowany lód.

Z miejsca, w którym się unosił, widział bardzo niewiele.

Kiedy zdobył się na to, aby ponownie się zbliżyć do krystalicznej ściany, znów dojrzał coś prześwitującego przez lodową maskę... a gdy pokonał następnych kilka stóp, zobaczył to jeszcze wyraźniej.

Zastygła twarz w koronie kasztanowych włosów i łańcuch - z żelaza? - owinięty wokół szyi. Niżej chyba suknia, niebieskie i czarne smugi, a także prawdopodobnie druga postać, przytulona do pierwszej. Ale w tych głębszych, mętniejszych wodach rozpoznanie czy rozróżnienie czegokolwiek nie było łatwe.

Łagodnie - teraz nawet z czcią - przetaił lód i przytknął do niego szkło maski.

W blasku latarki patrzył na lód, w którym jak Śpiąca Królowa w lodowej fortecy była uwięziona młoda kobieta spoglądająca... nie, nie śpiąca.

W żadnym wypadku.

Miała szeroko otwarte zielone oczy o tak intensywnym blasku, że promieniował nawet w oceanie. Usta również otworzyła - w ostatnim krzyku. Michaeliem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Zbiornik tlenowy wysłał głośny sygnał ostrzegawczy. Dziennikarz ruszył z powrotem. Prawie nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Straszliwe znalezisko stawało się coraz mniej widoczne, aż w końcu zniknęło całkowicie.

ROZDZIAŁ 15

6 lipca 1854 r., wieczór

Kiedy ekwipaż przetoczył się przez Trafalgar Square i wjechał na eleganckie tereny Pall Mall, gdzie miały siedziby wszystkie najlepsze kluby, Sinclair nie rozkazał woźnicy zatrzymać się przed głównym wejściem do Klubu Longchamps, lecz wskazał róg St. James Street, przy którym były boczne drzwi, dużo skromniejsze niż główne i jedyne, z których mogły korzystać panie.

Woźnica zręcznie zeskoczył z kozła, rozłożył schodki i pomógł damom wyjść z powozu. Gazowe latarnie ustawione wzdłuż ulicy (Pall Mall był pierwszym obszarem w Londynie, na którym uruchomiono oświetlenie nowego typu - już w tysiąc osiemset siódmym roku) właśnie rozbłyskiwały, rozpraszając zapadający zmrok.

W wyłożonym marmurem westybulu czekał służący w liberii

- jeśli Sinclair dobrze pamiętał, człek zwał się Bentley - i gdy dostrzegł młodego porucznika, na jego obliczu zagościł wyraz niepewności.

- Bry wieczór, Bentley! - wykrzyknął Sinclair możliwe najbardziej przyjaznym tonem. - Szczęście uśmiechnęło się do nas dziś w Ascot.

- Miło to słyszeć, sir - odparł Bentley, ogarniając wzrokiem wchodzące towarzystwo.

- A teraz przydałoby się nam coś na ząb.

- Jakżeby nie, sir - odparł Bentley, lecz nie ruszył się z miejsca.

Sinclair wyczuł pismo nosem. Zapewne jego zadłużenie w tej instytucji osiągnęło taki poziom, że rada gubernatorów klubu zdecydowała o umieszczeniu jego nazwiska na liście dłużników i odebraniu mu przywilejów członka klubu.

Podczas gdy panie zajęte podziwianiem blasku zachodzącego słońca, padającego przez gomółkowe okno wykuszu, pozostawały nieświadome wszelkich przeszkód, Sinclair zgadł, że Rutheford i Francuzik już pojęli istotę problemu. Rutheford zgłosił nawet gotowość odeskortowania dam do powozu i następnie do Athenaeum.

- Bentley, na słówko... - rzekł Sinclair, odciągając na bok podenerwowanego służącego. Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu reszty, spytał: - Trafiłem na czarną listę? O to chodzi?

Bentley skinął głową.

- Omyłka księgowego - stwierdził Sinclair, potrząsając ze smutkiem głową - nic poza tym. Wyjaśnię to jutro do południa.

- Ale, sir, polecono mi...

Sinclair uniósł rękę i służący natychmiast zamilkł. Porucznik sięgnął do kieszeni, wyjął plik banknotów, odliczył kilka i wręczył je Bentleyowi.

- Dasz to rano panu Witherspoonowi i każesz zrobić porządek z moim rachunkiem. Jasne?

Bentley nie licząc pieniędzy ani nawet na nie nie patrząc, rzekł:

- Oczywiście, sir.

- Porządny chłop. A teraz moim towarzyszom i mnie przydałyby się zimne mięsa i jeszcze zimniejszy szampan. Mógłbyś coś zorganizować w saloniku dla gości?

Chociaż z pewnością nie dało się powiedzieć, aby wymieniony salonik był najmilszym pokojem w ogromnym starym klubie, w obecnych okolicznościach miał nie być jaką zaletą. Tylko w nim mogły gościć panie. Bentley zapewnił, że dołoży wszelkich starań. Sinclair odwrócił się do swoich gości.

- Proszę tędy - zaprosił ich, wskazując paniom krótki korytarz prowadzący do klubowego aneksu dołączonego, by pomieścić rosnącą liczbę członków. Salonik stał pusty, jednak szybko pojawił się lokaj i ściągnął długie zasłony z czerwonego aksamitu oraz zapalił kinkiety. W głębi był duży kominek z ciosanego kamienia, nad którym wisiał wypchany łeb łosia. Na gości czekały wysłużone skórzane fotele, sofy i dębowe stoły.

Panie konwersując z ożywieniem, usiadły pod głównym żyrandolem, stawiając utrudzone stopy na wyblakłym orientalnym dywanie.

- Czy kazać rozpalić na kominku? - spytał Sinclair, ale wszyscy wyrazili dezaprobatę wobec tego pomysłu.

- Dobry Boże, nie dość się dziś wysmażyłeś? - spytał retorycznie Rutheford, rozsiadając się przy Moirze, która nadal wachlowała gors programem z Ascot. - Modłę się o deszcz.

Burza wisiała nad nimi podczas całej jazdy, ale z nieba nie spadła jeszcze ani kropla dżdzu. Po długiej podróży w parny dzień również Sinclair rozkoszował się chłodem saloniku.

Wpadło dwóch lokai i niebawem na jednym z okrągłych stołów pojawiła się zastawa dla sześciu osób, zielone adamaszkowe serwetki, lśniące kryształły i błyszczący srebrny kandelabr. Kiedy wszystko było gotowe, Bentley skinieniem głowy dał znak Sinclairowi - ten usadził Eleanor po swojej prawej stronie, a Moirę po lewej. Kręgu dopełnili Francuzik i Dolly, która w końcu zdjęła z głowy kapelusz ogród, uwalniając kaskadę czarnych loków.

Była dorodną dziewczyną, dwudziesto-, najwyżej dwudziestojednoletnią, chociaż nosiła grubą warstwę różu skrywającą, jak się wydawało, blizny po ospie.

Kiedy rozlano szampana, Sinclair uniósł wąski wysoki kieliszek i rzekł:

- Za Pieśń Słowika, naszą szlachetną klaczkę i szczodrobliwego dobroczyńcę!

- Czemu ze mną zawsze dzielisz się tylko tymi przecuciami, która kończą się klapą? - powiedział Francuzik, puszczając oko. Niewątpliwie pił do pojedynku psów. Sinclair wybuchnął śmiechem.

- Może od tej pory będę miał szczęście - rzekł, nieznacznie odwracając się do Eleanor.

- W takim razie za szczęście - rzekł Rutheford znużony tą całą gadaniną i jednym haustem opróżnił kieliszek.

Eleanor szampana piła tylko raz w życiu, gdy burmistrz z dzierżawcami i kupcami świętował swój wybór. Była przekonana, że należy smakować go powoli. Uniosła kieliszek i ulatniający się z zimnego płynu gaz tak zakręcił jej nosie, że mało nie kichnęła. Również szkło było zimne, a rozlany na języku napój okazał się słodki i zaskakujący. Pociągnęła tylko łyżeczek, po czym patrzyła na kieliszek. Unoszące się bąbelki przypominały jej pęcherzyki powietrza czasem widoczne pod cienkim, okrywającym strugę lodem. Było w nich coś hipnotyzującego i gdy oderwała wzrok, ujrzała, że Sinclair jest rozbawiony skupieniem, z jakim wpatrywała się w szkło.

- To służy do picia - powiedział - nie do kontemplacji.

- Święta racja - rzekł Rutheford, zawładnąwszy butelką, by znów napełnić kieliszki swój i Moiry. Nalewając wina dziewczynie, zaborczo się nad nią pochylił, a ona usłużnie odgięła się w fotelu, stwarzając mu większe pole manewru.

Eleanor, która często się zastanawiała, jak wygląda wnętrze klubu, była nieco zawiedziona rzeczywistością. Wyobrażała sobie wystawniejsze otoczenie, pełne złocień i znakomitych francuskich mebli, pięknie tapicerowanych jedwabiami i satyną. Ten salonik, chociaż przestronny i o wysokim belkowanym suficie, przypominał raczej wygodną chatkę myśliwską niż pałac.

Pod uważnym nadzorem Bentleya przyniesiono kilka tac zimnych mięs - ozór wołowy, jagnięcinę z galaretką miętową, kaczkę w auszpiku - a panowie zabawiali swoje towarzyszek opowieściami o brygadzie i jej wyczynach. Wszyscy trzej należeli do XVII Regimentu

Lansjerów Diuka Cambridge, sformowanego w 1759 roku¹¹, i jak dumnie oświadczył Rutheford, unosząc na widelcu kawałek kaczki:

- Od tej pory zawsze chętnego powąchać prochu!
- Bez względu na cenę, jaką przyszło zapłacić za ten przywilej! - wtrącił Le Maître.
- I którą niebawem znów przyjdzie zapłacić - rzekł Sinclair, na co Eleanor kolejny raz poczuła w piersiach nieoczekiwane ukłucie.

Sytuacja na wschodzie coraz bardziej się pogarszała - Rosja pod pretekstem religijnego konfliktu w starożytnej Jerozolimie wypowiedziała wojnę imperium otomańskiemu i pobiła turecką flotę na Morzu Czarnym. Obawiano się, jak wytłumaczył damom Rutheford, że „jeśli nie zatrzymamy rosyjskiego niedźwiedzia na lądzie, wkrótce będzie się taplał w Morzu Śródziemnym”. Powszechnie uważano, że takie wyzwanie rzucone brytyjskiemu panowaniu na morzach musi zostać zduszone w zarodku.

Eleanor rozumiała z tego tylko część, gdyż posiadała jedynie pobieżną wiedzę na temat zagranicznych wydarzeń, a także geografii. Jej edukacja ograniczała się do kilku klas w lokalnej szkole dla dziewcząt, gdzie nacisk kładziono raczej na etykietę i maniery niż na sprawy intelektu. Jednakże potrafiła dostrzec zapał i entuzjazm, z jakimi ta grupka mężczyzn szykowała się do walki, i wielce podziwiała ich odwagę. Francuzik wyjął z kieszeni srebrną papierošnicę z wygrawerowanym emblematem regimentu: trupa czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami, z których zwieszała się wstęga ze słowami „Lub Sława”. Cenny przedmiot podawano sobie z ręki do ręki. Widząc emblemat, Eleanor instynktownie się wzdrygnęła i szybko przekazała papierošnicę Sinclairowi.

Podano sery, a potem ciasta i co najmniej trzecią - a może czwartą? - butelkę szampana. Eleanor dobrze zapamiętała kolejne wystrzały korków z serwowanych podczas kolacji butelek i gdy Sinclair zaproponował jej następny kieliszek, zakryła dłonią wysmukły kryształ.

- Nie, dziękuję. Obawiam się, że już uderzył mi do głowy.
- Może chciałaby pani zaczerpnąć nieco świeżego powietrza?
- Tak - odparła - to nie najgorszy pomysł.

Lecz gdy się wymówili od towarzystwa i podeszli do portykowych drzwi, ujrzeli, że deszcz w końcu przyszedł. W świetle gazowych lamp ulica lśniła wilgocią. Po przeciwnej

¹¹ XVII Regiment (ang. odpowiednik pułku, czasem o znacznie większym stanie osobowym) diuka Cambridge został sformowany, uzbrojony i umundurowany jako Regiment Dragonów. Dopiero w latach 1822-1823 przemianowano go i przebrojono (lanca zamiast karabinu, który wrócił po 60 latach) na Regiment Lansjerów (na wzór polskiej kawalerii).

stronie zatrzymał się zgrabny powozik. Wsiadło z niego dwóch dżentelmenów w cylindrach i czarnych pelerynach i weszło po schodach do równie wspaniałego jak Longchamps klubu.

- Te domy są zaiste piękne - stwierdziła Eleanor, odwracając głowę, aby rzucić okiem na fasadę klubu porucznika. Zdobily ją dwie wielkie okrągłe kolumny z kremowego wapienia, a nad imponującymi dwuskrzydłowymi drzwiami widniał wspaniały relief, przedstawiający greckiego boga lub rzymskiego cesarza.

- Zapewne ma pani rację - rzekł z pozorną nonszalancją Sinclair. - Tak się przyzwyczaiłem do tej budy, że ledwo zwracam na nią uwagę.

- Ale inni zwracają.

Zapalił papierosa i spojrzął w dal. Znużony koń pociągowy, ciągnący platformę z beczkami piwa, z wolna przeczłapał ulicą. Koła pojazdu załomotały na mokrych kocich łbach. Sinclair wydmuchnął dym i uderzony nagłą myślą, spytał:

- Czy chciałaby pani coś jeszcze obejrzeć?

Eleanor nie była pewna, czego dotyczy propozycja.

- Nie zabrałam parasolki, ale jeśli pan...

- Nie, myślałem o klubie.

Eleanor wiedziała, że to niedozwolone.

- Mamy w głównej sali naprawdę cudowne dywany ściennie, gobeliny, i najlepszą salę bilardową przy Pall Mall. - Widząc jej niepewność, pochylił się z szatańskim uśmieszkiem. - O tak, widzę pani zrozumiała niepewność - rzeczywiście, oprowadzanie pań po klubie jest zakazane. Ale na tym właśnie polega cała zabawa.

Czyżby? Eleanor przez cały dzień miała wrażenie, że przeszła na drugą stronę lustra i porusza się w świecie, którego w pełni nie pojmuje. Teraz to odczucie odezwało się ze wzmożoną siłą.

- Ruszajmy - ponaglił ją, biorąc za rękę jak dziecko zachęcające drugie do zabawy. - Znam drogę.

Zanim się opamiętała, wrócili do środka, przeszli obok saloniku dla gości i wspięli się tylnym schodami, zapewne przeznaczonymi dla służby. Sinclair ostrożnie uchylił drzwi i przyłożył palce do ust, gdy dwaj wyfraczeni panowie z koniakówkami w rękach przeszli obok nich.

- Nawet gdybyś dostał rozkaz od lorda admirała? - spytał jeden.

- Zwłaszcza gdybym dostał rozkaz od lorda admirała - odparł drugi i obaj zachichotali.

Kiedy przeszli, Sinclair szerzej uchylił drzwi i przeprowadził Eleanor przez próg. Znalazła się u początku długiego wąskiego półpiętra, z którego rozciągał się widok na

rozległy westybul, wykładany białym i czarnym marmurem. Po obu jego stronach biegły schody, a na ścianie wisiał ogromny wiekowy dywan przedstawiający polowanie na jelenie. Był wypłowiały, ale kiedyś musiał zachwycić roziskrzoną purpurą i błękitem; obrzeże obiegała postrzępiona złota nić.

- Belgijski - szepnął Sinclair - i stary jak diabli.

Nadal ściskając ją za rękę - nikt nigdy nie trzymał jej dłoni tak długo ani tak zaborczo, i wciąż nie miała pojęcia, jak zareagować na tego rodzaju zachowanie - ruszył dalej, pokazując pokój do gry w karty, w którym kilku panów było tak pochłoniętych swoim zajęciem, że żaden nawet nie podniósł głowy, gdy drzwi się otworzyły; bogato wyposażoną bibliotekę z wysokimi regałami z satynowego drzewa, pełnymi obłożonych skórą książek; salę trofeów, ze srebrnymi tacami, pucharami i istną galerią wypchanych zwierzęcych łbów, patrzących szklanymi oczami w wieczność. Kilka razy musieli się kryć w ciemnych, głębokich niszach lub za drzwiami, unikając przechodzącego służącego lub członka klubu. Przy jednej z takich okazji Sinclair szepnął:

- Ten brzuchaty bufon nazywa się Fitzroy. Kiedyś spuściłem mu lanie i obawiam się, że będę musiał je jeszcze powtórzyć.

Kiedy Fitzroy przeszedł, maskując uniesioną dłonią beknięcie, Sinclair znów wyprowadził ich z ukrycia.

- Tędy - rzekł. - Jeszcze tylko jedno miejsce.

Byli na trzecim piętrze. Usłyszała ostre, ale nic jej nie mówiące stuki. Sinclair poprowadził ją wąskimi, wyłożonymi dywanem schodami do zasłoniętej aksamitną portierą wnęki. Znów przyłożył palec do ust, po czym w końcu puścił jej rękę i rozsunął na kilka cali zasłony.

Stali na osłoniętym wybrzuszona, kutą w żelazie balustradką balkoniku. Poniżej Eleanor zobaczyła kilka stołów bilardowych - wyglądały jak puszyste zielone trawniki w długim wąskim pomieszczeniu wyłożonym boazerią. Gra toczyła się tylko na dwóch z nich, a przy jednym panowie byli tylko w koszulach i mieli opuszczone szelki. Na ten widok Eleanor się zarumieniła. Jeden z graczy uderzył białą bilę. Przetoczyła się gładko i stuknąwszy o czerwoną, łagodnie dotknęła brzegu.

- Dobre uderzenie - powiedział przeciwnik.

- Gdyby tylko życie było bilardowym stołem - odparł pierwszy, przerywając grę, by przetrzeć czymś koniec kija.

- Ależ jest. Nie powiedziano ci?

- Pewnie byłem tego dnia na przepustce.

- Jak większość - rzekł ze śmiechem pierwszy.

Czy tak rozmawiają mężczyźni? - pomyślała Eleanor. Czy tak się zachowują, kiedy są sami? Była tyleż zafascynowana, co zażenowana; nie powinna się tu znaleźć, nie powinna oglądać ani słyszeć niczego, co się tu działo. Lęk, że ktoś mógłby ją usłyszeć, nie pozwalał się jej odezwać, ale spojrzała na Sinclaira. Odwrócił się do niej. Na ciasnym balkoniku, za prawie zsuniętymi kurtynkami, czuła intensywność jego wzroku. Opuściła oczy - dlaczego pozwoliła sobie na drugi kieliszek szampana? - nadal kręciło jej się w głowie - ale zaraz poczuła jego palec na podbródku, podnoszący jej głowę, i uległa jego woli. Sinclair pochylał się nad nią; czuła muśnięcie jego wąsów. A potem, chociaż na pewno nie pozwoliła sobie na żadną niestosowną zachętę, jego usta dotknęły jej... i nie stawiała oporu. Nie wiedząc czemu zamknęła oczy. Czas jakby się zatrzymał i wszystko znieruchomiało - na długo. Dopiero gdy od jednego ze stołów na dole dobiegł triumfalny okrzyk: „Koniec, Reynolds!”, cofnęła się pół kroku, czując mrowienie warg, płomień na policzkach, i znów spojrzała na młodego porucznika.

ROZDZIAŁ 16

8 grudnia, 10.00

- Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe - powtarzał Murphy, idąc korytarzem i wpadając do swojego ciasnego pokoju w module administracji. Michael był tuż za nim, Darryl nieco dalej, w charakterze wsparcia.

- Nie tylko możliwe - nadal upierał się Michael - ale widziałem to na własne oczy. Dokładnie przed nosem!

Murphy się odwrócił, mówiąc z udawanym współczuciem i przejęciem:

- Słuchaj, to było twoje pierwsze zejście pod wodę w akwenie polarnym?

- Co to ma do rzeczy?

- To faktycznie niezwykle przeżycie i czasem trudno pozbierać myśli. Wielu ludzi dziwne reaguje, nie tylko ty. Temperatura wody, nad głową kawał lodu, obok nieznanne stworzenia - sam mówiłeś, że napotkałeś fokę Weddella.

- Sugerujesz, że wziąłem fokę za kobietę w lodzie?

Murphy odczekał chwilę, licząc na opadnięcie napięcia.

- Nie. - Po chwili dodał: - Może. Pewnie nie spoglądałeś na zegarek, nie sprawdzałeś poziomu tlenu. Na pewno słyszałeś o zachłyśnięciu się głębią - może tam w dole przeżyłeś coś takiego. Miałem faceta, który przysięgał, że widział łódź podwodną, a okazało się, że natknął się na niezwyklejszy zwał lodowy. Po prostu miałeś fart. Oprzytomniałeś i wypłynąłeś, kiedy jeszcze mogłeś. Ty natomiast - zwrócił się do Darryla - powinieneś go lepiej pilnować. Byliście parą nurkową, a to znaczy, że jeden drugiego miał mieć na oku i trzymać się blisko.

- Słuszna uwaga - przyznał Darryl. Miał skruszoną minę. - Ale fakt faktem, że przytargał stamtąd butelkę wina. Teraz taje w mojej pracowni. Nie możesz zaprzeczyć, że istnieje.

- Między zamrożoną butelką wina - powiedział Murphy, opadając na obracany fotel z wysokim oparciem - a kobietą... na dodatek owiniętą łańcuchem i tkwiącą w lodzie... jest spora różnica.

Michael miał jeszcze jedno do dodania i chociaż powiedzenie tego przychodziło mu z wielką trudnością, uważał, że musi to zrobić:

- I być może nie była sama.

- Co...?! - wybuchnął Murphy.

Nawet Darryl, który do tej pory tego nie słyszał, zrobił dziwną minę.

- Nie masz już nic więcej w zanadrzu? - spytał Murphy. - A może oni wszyscy wysiadali z autobusu i on też utknął w lodowcu.

Nastąpiła chwilowa pauza, podczas której Murphy wyjął tabletkę na żołądek i wsunął ją sobie do ust.

- Masz zdjęcia fokii?

- Tak - odparł Michael, zdając sobie sprawę, do czego prowadzi to pytanie.

- I pająka morskiego? I pierścienicy? I skrzyni, z której jest ta butelka?

- Tak.

- Więc czemu nie masz zdjęć tej lodowej księżniczki?

- Za bardzo się wystraszyłem.

Te słowa smakowały mu w ustach jak popiół, bo od chwili, w której wyciągnięto go z wody w kabinie, zastanawiał się, jak mógł nie zrobić zdjęcia w przełomowym momencie kariery zawodowej. Cóż, po prostu. Szok i obłędne pragnienie wydostania się na powierzchnię były zbyt wielkie. I chociaż wiedział, że ma bardzo dobrą wymówkę, nadal dręczyło go niedające spokoju poczucie zawodu, który sprawił samemu sobie - poczucie, które mogło wyleczyć ponowne zejście pod lód.

- Dlaczego nie rozwiążemy tego w najprostszy sposób? - spytał. - Pozwól mi wrócić na miejsce zbrodni.

- To nie takie proste.

- Dlaczego? - spytał Michael.

- Ja też zejść - wtrącił Darryl.

Murphy spoglądał to na jednego, to na do drugiego.

- Może sobie myślicie, że jak kiblujemy tu na tym pustkowiu, to nikt nie patrzy nam przez ramię, ale się grubo mylicie. Wszystko co tu robimy, każdą rzecz, muszę opisać w raporcie dla NSF, marynarki Stanów Zjednoczonych, straży przybrzeżnej i, wierzcie mi albo nie, NASA. Widzicie to? - wskazał stosy kartek i formularzy w ażurowych pojemnikach na biurku. - To tylko tygodniowa fura bzdur, które muszę wypełnić i wysłać. Muszę się wyliczyć z każdego wydanego dolara. Wiecie, ile kosztuje wysłanie na lód świdra, kabiny i przygotowanie całego sprzętu?

- Na pewno dużo - powiedział Michael - i dlatego musimy to zrobić szybko. Wszystko jest jeszcze na miejscu. Mogę zejść na dół jutro. Z małą pomocą Callowaya i z właściwym

sprzętem moglibyśmy jakoś wydostać to ciało z lodowca. Jezu - dodał z przejęciem - to byłoby wiekopomne odkrycie.

- Masz na myśli wiekopomną bombę dla twojego magazynu? - skontrował Murphy.

Przez chwilę nie padło ani słowo. Murphy ssał pastylkę na nadkwasotę, a Michael i Darryl wymieniali długie, pełne frustracji spojrzenia.

Murphy sapnął ze znużeniem.

- Gdzie Calloway?

- Widziałem go w sali klubowej - powiedział Darryl.

- Każ mu tu przylecieć - rozkazał kierownik bazy, zanurzając się w papierach, które miał przed sobą. - W podskokach.

Michael miał dość oleju w głowie, wiedział, że nie należy mówić nawet słówka więcej. I Darryl też.

*

Butelka wina spoczywała w małym zbiorniku letniej morskiej wody na ladzie w pracowni Darryla. Kiedy lodowa pokrywa zniknęła, odsłoniła naklejkę, ale atrament tak się rozmył, że pozostała tylko niewyraźna smuga. Darryl zaglądał do zbiornika, jakby przebywał w nim żywy okaz, który w każdej chwili może go czymś zaskoczyć, podczas gdy Michael chodził w tę i w tę, zastanawiając się, jakim jeszcze argumentem mógłby przekonać Murphy'ego.

- Daj sobie spokój - radził mu Darryl. - To urzędnik, ale niegłupi facet. Przejrzy na oczy, jeśli już nie przejrzał.

- A jak nie?

- Przejrzy, zaufaj mi. - Darryl usiadł wygodniej na stołku i spojrzał na Michaela. - Powiem mu, że muszę znów zejść na dół, zebrać więcej próbek - nie może odmówić zlewce - a wtedy co za różnica, jeśli też zejdziesz?

Michael zastanowił się nad tym rozwiązaniem, ale obawiał się, że to zbyt długo potrwa.

- Co będzie, jak ona zniknie?

- Zniknie? - powtórzył z niewiarą Darryl.

- To znaczy... a jak nie uda się nam jej znaleźć?

- Lodowiec takich rozmiarów nigdzie szybko nie odpłynie - odparł Darryl - i dokładnie wiem, gdzie był. Mamy punkty orientacyjne i dwie dziury w lodzie.

W głębi duszy Michael myślał podobnie. Coś mu mówiło, że bez względu na wszystko odnajdzie lodową dziewczynę.

Wrócił do stołu i uważnie przyjrzał się butelce.

- Jak myślisz, kiedy będziemy mogli ją wyjąć?

- Co? Musisz sobie golnąć?

Michael się roześmiał.

- Aż tak mnie nie suszy. Jak myślisz, co to jest?

- Chyba wino.

- Ale sherry czy porto? Z Francji, Włoch, czy z Hiszpanii? I z jakiego wieku - dziewiętnastego? Osiemnastego?

Mimo że się przyjaźnili - a może właśnie dlatego - Michael musiał zadać to pytanie:

- Nie wierzysz mi, no nie? Że widziałem ją w lodzie?

Darryl skinął głową.

- Jestem facetem, który bada gąbkę mającą tysiąc lat, rybę, która nie zamarza w lodowatej wodzie, i pasożyty, które celowo doprowadzają żywiciela do obłądu. Jeśli ja bym ci nie uwierzył, to kto?

*

Wsparcie Darryla i Charlotte, która zapewniła, że ręczy za jego zdrowie psychiczne, jako tako pocieszyło Michaela, ale niezależnie od postawy przyjaciół noc nie należała do przyjemnych. Zjadł obfitą kolację składającą się z kurczaka, czarnej fasoli i ryżu, jakby wciąż nie mógł na tyle rozgrzać swojego wewnętrznego pieca, by wypędzić z kości chłód polarnego morza, i próbował się rozerwać w sali klubowej. Franklin wkładał całą duszę w melodię Captaina i Tennille'a, aż Betty i Tina zmęczone wieczornym meczem ping-ponga postanowiły obejrzeć *To właśnie miłość*. Wzbudziło to jęki pracowników bazy grających w karcie w remika.

Później Michael wyszedł zajrzeć do małego Olliego. Światło było słabe, prześwitywało przez gęstniejące chmury, a wiatr zawiewał wyjątkowo mocno. Michael musiał butami odgarniać śnieg przed skrzynką i jak zawsze dobrze wypatrywać oczy, zanim dojrzał skulonego w głębi ptaszka. Wiedział, że Charlotte miała rację, ostrzegając go przed wychowaniem ptaka w domu. Nigdy nie zdołałby się znów przystosować do życia w naturze. Jednak Michaelowi niełatwo było zostawić go na dworze. Temperatura już spadła dobrze poniżej zera. Wyjął z kieszeni papierową serwetkę i wytrząsnął z niej resztki kurczaka i wielką kulkę ryżu, kolejny przemyt ze stołówki. Położył wszystko w skrzynce i ze słowami: „Do zobaczenia rano” pożegnał gapiący się na niego szary łebek. Wrócił do pokoju.

Darryl już spał, zaciągnąwszy kurtynki wokół łóżka. Michael przygotowując się do snu, wziął środek nasenny. Miał wystarczające problemy z zasypianiem w normalnych okolicznościach; obecnym było daleko do normalności. Nie chciał zamienić się w jednego z tych facetów, którzy błakali się po bazie jak zombie, wytrzeszczając gały. Wyłączył światło i

wspiął się na pryczę, ubrany w podkoszulek i bokserki. Zaciągnął kurtyнки, sprawdzivszy wpierv godzinę na fosforyzującej tarczy zegarka - była dokładnie dwudziesta druga - i próbował się rozluźnić, dając szansę pigułce na sen.

Ale nie było to łatwe. Gdy leżał tak w ciemności i materiał zamykał go jak trumna, myślał tylko o ostatnim zanurzeniu i... lodowej dziewczynie. Jej twarz nie dawała mu spokoju. Przetoczył się na bok i kilka razy poprawił poduszkę, licząc na to, że będzie mu wygodniej. Darryl chrapał. Michael zamknął oczy, próbując się skupić na oddechu, rozluźniał mięśnie. Starał się myśleć o czymś innym, radośniejszym, i oczywiście jego myśli wracały do Kristin... do Kristin przed wypadkiem. Wspominał czasy, gdy wzięli udział w zawodach dla par, w których chodziło o to, kto zje więcej makaronu z pikantnym sosem, i wygrali pierwszą nagrodę... gdy gliniarz przyłapał ich w samochodzie, zabierających się ostro do rzeczy, i groził mandatem... albo jak w ciągu trzech minut trzy razy przewrócili kajak na Willamette River. Wyglądało to tak, jakby zawsze podejmowali każde wyzwanie lub ładowali się w każde tarapaty. Byli zarówno przyjaciółmi, jak i kochankami, dlatego tak cierpiał bez niej.

Patrzył wstecz na wydarzenia, które doprowadziły do katastrofy. Wydawały się tak banalne, tak niegroźne. Wciąż powtarzał sobie w myślach, że gdyby tylko zmienić jeden drobiazg, skończyłoby się całkiem inaczej. Gdyby tylko nie uznali za oczywiste, że wspinaczka na Mount Washington to bułka z masłem, gdyby lepiej zaplanowali wyprawę. Gdyby trzymali się harmonogramu, a nie zjawili u początku trasy później, niż zamierzali, i nie pognali w górę na łeb na szyję. Gdyby poświęcili więcej czasu na przestudiowanie wariantów wejścia, nie wylądowaliby na zdradzieckiej części ściany, gdy właśnie zaczęło się zmierzchać. I gdyby tylko choć trochę ją przyhamował, troszeczkę, nie byłoby nieszczęścia.

Ale nie lubił jej hamować... i gdyby nawet próbował, nic by to nie dało.

Postanowili przeprowadzić atak w stylu alpejskim, więc ubrali się lekko i nieśli minimalną ilość sprzętu, tyle co na jedną noc w górach. Kristin była zdania, że znalazła idealną półkę, na której mogliby się przespąć. Płaski występ wielkości stolika do gry w karty, jakieś pięćdziesiąt jardów powyżej nich. Michael zgłosił się na pierwszego i zaproponował Kristin, by asekurowała go z dołu, ale jej zdaniem byłoby bezpieczniej, gdyby to on ją asekurował.

- Nie wiem, czy dam radę cię utrzymać, jakbyś dał nura w dół - powiedziała.

Ale Michael wiedział, że tak naprawdę nie w tym rzecz. Kristin zawsze chciała prowadzić, zawsze chciała pierwsza zatknąć flagę w miejscu, do którego potem inni będą chcieli dotrzeć.

Związali się liną i Michael wbił kilka nitów¹² i friendów¹³ w zygzakowatą szczelinę, która biegła do półki. Przewodnik wskazywał właśnie tę bruzdę w ścianie, chociaż Michael miał wrażenie, że w rzeczywistości biegła nieco dłuższą drogą niż na rysunku. Na dodatek ku swojej konsternacji stwierdził, że skała jest bardziej krucha niż powinna. Zbyt łatwo łuszczyła się pod młotkiem, zbyt szybko. Powiedział to Kristin, która jak pajak już szła w górę, ale zbyła te zastrzeżenia, a on nie naciskał. Jeszcze jedno zaniedbanie, którego później przyszło mu żałować.

Robiło się późno, ale widok był coraz bardziej niezwykły. Większa część podejścia biegła zwykłym sosnowym lasem, a potem łagodnymi stokami twardego pumeksu. Potem szlak zniknął pod zbitym śniegiem, a przez ostatnie kilka godzin pracowali na skale, szukając stopni, chwytów i na tyle szerokich szczelin, żeby dało się na kilka sekund przystanąć i złapać oddech. Chociaż aura nadal ich rozpieszczała, powietrze się przerzedziło i popołudniowe słońce posyłało długie, ukośne promienie nad sąsiednimi wzniesieniami, Mount Jefferson i Three-Fingered Jack. Daleko, daleko w dole rozciągało się Big Lake i parking, na którym zostawili dżipa.

Kamienista lawinka zagrzechotała po ścianie i Michael spojrzął w górę, osłaniając oczy dłonią. Widział nogi Kristin w streczowych szortach, szukające stopnia, aż trafiły na minimalny występ. Powodzenie wspinaczki zależało od takich niewielkich uśmiechów losu.

- Nic cię się nie stało? - krzyknął.

- Nie.

Rozdzwonił się młotek wbijający nit.

Poprawił centymetrowej średnicy linę obiegającą mu ramiona i zjadł kawałek wysokoproteinowego batonu. Prawie słyszał głos matki mówiący, że straci apetyt i nie zje kolacji.

- Jest szczelina i stary nit! - zawołała Kristin. Sprzęt za friko to miła rzecz.

- Myślisz, że jest pewny?

Usłyszał, że szarpie kotwę.

- No, pewnie dlatego go zostawili.

W głowie odezwał mu się kolejny dzwonek alarmowy; na ścianie był nieufny i nigdy nie polegał na robocie innych, zwłaszcza ludzi, których nie znal. Ale się nie uparł, nie kazał

¹² Kotwa z plakietką, punkt przelotowy.

¹³ Element asekuracyjny oparty na konstrukcji krzywkowej.

Kristin ominąć starego stanowiska asekuracyjnego. Też chciał jak najszybciej dotrzeć wyżej i przygotować biwak; zapowiadał się bardzo romantyczny zachód słońca.

Wbiła wyżej własny nit i podjęła powolną wspinaczkę. Upewnił się, że zostawił jej dość luzu, i widział, jak szuka chwytu, gdy nagle coś się schrzaniło.

- Do cholery! - zamruczała i w chwilę potem następna, większa lawinka kamiaków zleciała z góry, bębniąc po jego kasku. Pył wpadł mu w oczy i zanim zaczął coś widzieć, lina nagle stała się luźna, upiornie luźna. Usłyszał wibrujące dźwięki - nity, karabinki i friendly wyskakiwały ze skały - i krzyk spadającej Kristin. Instynktownie napiął mięśnie, zacisnął dłonie na linie, ale szarpnięcie było za silne - utworzone przed chwilą stanowiska asekuracyjne zawiodły, lina opięła mu barki jak wielka opaska uciskowa i błyskawicznie, z wielką siłą okręciła go na wpół oślepionego akurat w tym momencie, w którym spadająca głową w dół Kristin uderzyła jak kula wyburzająca o ścianę w dole. Krzyk nagle ucichł i w tej samej chwili poczuł błyskawicę bólu. Ramię wyskoczyło mu ze stawu, ale nie spadł. Nigdy nie zrozumiał, jakim cudem się to stało. Lina przeciągnęła go na samą krawędź wąskiej półki, na której wcześniej stał. Leżał płasko, trzymając się liny. Słyszał jej skrzypienie i zgrzyt podcinającej ją skały.

Nie potrafił ocenić, jak długo pozostał w tej pozycji. Pamiętał tylko mgliście, że zebrał linę i przeciągnął ją przez karabinek, który wbił zdrową ręką. Zawołał Kristin, ale nie odpowiedziała. Sięgnął do plecaka, znalazł gwizdek alarmowy i zagwizdał, jak potrafił najmocniej, ale odpowiedziało mu tylko echo odbite od otaczających ich stoków.

Zanim w ogóle mógł myśleć o ratowaniu Kristin, musiał się zająć swoim barkiem, a że nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc, musiał go nastawić sam. Zablokował linę i rozważył możliwości. Miał tylko jedną. Płaską skałę za plecami. Ustawił się do niej bokiem, głęboko odetchnął i uderzył w nią barkiem. Ramię odpowiedziało eksplozją bólu, ale nie wskoczyło w staw. Upadł na kolana i zwymiotował resztki batonu. Kiedy znów dał radę się podnieść, otarł usta grzbietem dłoni i jeszcze raz popatrzył na ścianę. W jednym miejscu miała występ jak brzuch ciężarnej. Gdyby wytrzymał ból, mógłby masując bark o ścianę, nastawić go z powrotem. Powłókł się do wybruszenia, oceniając, jak najlepiej się ustawić. Wiedział, że musi się spieszyć. Kristin wisiała w dole. Pod sobą miała tysiąc stóp pustki i wierzchołki sosen.

Oparł się barkiem o skałę i napał na nią mocno. Potem mocniej. Słyszał, jak staw i główka kości strzelają i zgrzytają, usiłując się dopasować, i chociaż ból był rozdzierający, myślał tylko o Kristin. Przesuwał ramię w górę. W dół. Na boki. Przy każdym ruchu czuł, że coś tam się przestawia, aż nagle wszystko dopasowało się jak puzzle i ramię z trzaskiem

wskoczyło na swoje miejsce. Przez chwilę tylko stał, dyszał, dygotał, czekał przerażony, niepewny, czy to naprawdę koniec męki... Tak. Był cały zlany potem.

Pociągnął łyk wody z butelki, którą miał w plecaku, i rozpoczął trudny proces windowania Kristin na skalną półkę. Cał po cał. Wołał do niej i wołał, ale nie odpowiadała. Zły znak. Modlił się, aby się okazało, że tylko straciła przytomność z powodu uderzenia, i szybko się ocknie. Ale gdy jej głowa pojawiła się nad krawędzią półki i zobaczył, że kask ma roztrzaskany - wyglądał jak zmiażdżony gigantycznym młotkiem - wiedział, że jest źle. Gorzej. Bardzo źle.

Wciągnął ją na półkę, rozpiął uprząż i zdjął plecak zupełnie rozdarty w czasie spadania. Wszystko, w tym telefon komórkowy, wyleciało. Sprawdził puls i oddech, rozwinął jej śpiwór i położył ją na nim. Poczuł, że dopada go opóźniony wstrząs, i przerwał zabiegi przy nieprzytomnej. Z apteczki pierwszej pomocy wyjął cztery tylenole i spróbował zjeść kolejny baton wysokoproteinowy - chciał podnieść poziom energii. Miał sucho w ustach i ledwo żuł. Musiał pokruszyć baton i popić go wodą. Rozważył, czy dać Kristin pić, ale bał się, że ją udławi. Tak więc tylko usypał stosik ze żwiru i kamyków, oparł na nim jej głowę i czekał.

Ostatnie promienie słońca zabarwiały Western Cascades bladym różem. Big Lake w dole czerniało jak obsydian. To był piękny widok i pomyślał, że Kristin powinna usiąść i rozkoszować się nim. Uwielbiała zachody słońca, szczególnie na łonie przyrody; mówiła, że pod gwiazdami śpi lepiej niż w czterogwiazdkowych hotelach, w których czasem zatrzymywała się jej rodzina. Tej nocy był wysyp gwiazd.

Ale temperatura spadała.

Zebrał odłamki skał, zrobił z nich osłonę przeciwwiatrową, złożył swoją nylonową kurtkę i ostrożnie położył na niej głowę Kristin, nie ruszając roztrzaskanego kasku. Jej twarz była pełna spokoju, nawet błogości. Bez śladu bólu. Poczuł minimalną ulgę. Musiał opanować lęk i zapewnić Kristin w tych warunkach możliwie najwięcej ciepła aż do pierwszego brzasku, gdy będzie mógł rozpocząć zejście. Na wszelki wypadek jeszcze raz dmuchnął w gwizdek alarmowy i kiedy ostre dźwięki gasły wśród okolicznych wierzchołków, wślizgnął się pod śpiwór obok Kristin i szeptał jej do ucha:

- Nie martw się, trafisz do domu. Już ja się o to postaram. Obiecuję.

ROZDZIAŁ 17

9 grudnia, 13. 00

Darryl czuł się jak astronauta, któremu właśnie zakomunikowano, że nie może lecieć w kosmos.

- Ale czuję się świetnie - powtarzał, patrząc, jak doktor Barnes robi kolejny zapis w jego karcie zdrowia.

- Twoja temperatura mówi co innego - odparła. - Po wczorajszym zanurzeniu wciąż masz hipotermię i za żadne skarby świata nie pozwolę ci dziś nurkować.

Zgodnie z przewidywaniami Darryla, którymi się podzielił z Michaeliem, kierownik stacji wydał pozwolenie na kolejne zejście pod wodę i wydobywanie zatopionej skrzyni. Powiedział również, że lodową księżniczkę też mogą wyciągać, tylko niech się wpierw spytają, czy ma na to ochotę.

- Ale Michaelowi pozwalasz - jęknął Darryl, po raz ostatni pukając do serca Charlotte.

- Michael jest zdrów jak ryba - odparła - a poza tym gdyby Michael skoczył z mostu na główkę, też byś za nim skoczył? - Roześmiała się, zrobiła jeszcze jeden dopisek i Darryl wiedział, że nic więcej nie wskóra.

Zapiął koszulę i zeskoczył ze stołu, na którym go badała. W głębi serca wiedział, że lekarka ma rację - nadal czuł skutki zanurzenia. Chociaż wypił galony gorącej herbaty i wrębał tony naleśników z masłem i syropem klonowym, głęboko w sobie czuł lodowaty sopel. Noc przespał pod wszystkimi nakryciami, które znalazł w pokoju, a i tak obudził się o trzeciej nad ranem, szcękając zębami.

- Zepsujesz każdą zabawę - burknął, wychodząc z ambulatorium. W korytarzu wpadł na Michaela. Właśnie wracał od Murphy'ego, któremu dostarczył pozwolenie od Charlotte.

- Idziesz? - spytał Darryla. Kiedy ten przekazał mu złe wieści, Michael był zaskoczony. - Mam iść powalczyć o ciebie? - spytał, wskazując głową gabinet Charlotte.

- Nic nie wywalczysz. Ta kobieta jest z kamienia. Trudno, dokonasz wielkiego odkrycia beze mnie. Będę siedział w laboratorium i trąbił twoje winko. Pewnie już odtajało.

Michael klepnął go w ramię i skocznym krokiem poszedł dalej. Darryl włożył kurtkę i czapkę - nawet najkrótsza droga między modułami stacji wymagała ochrony przed żywiołami - i zawiąawszy na momencik do kuchni, wrócił do pracowni biologii morskiej.

Miał dużo ważniejszych rzeczy do zrobienia, ale butelka wina czekała na wprost jego stołka - cholera było dziwnie intrygujące. Co prawda nie miało rozślawić jego nazwiska w sferach naukowych, ale ile razy ma się okazję zbadać historyczny artefakt? Czuł się jak ci faceci, którzy tylko po to zeskrobują osady z talerzy z „Titanica”, żeby jeszcze raz zobaczyć nazwę nieszczęsnego statku. A niewykluczone, że ta butelka miała więcej lat niż jakakolwiek jednostka linii żeglugowej White Star.

Sięgnął do wypełnionego wodą w temperaturze pokojowej zbiornika i wyjął znalezisko. Nieczytelne resztki naklejki pozostały w wodzie. Kiedy podniósł butelkę do światła i przechylił ją, zawartość przelewała się z boku na bok. Tak, nie zamieniła się w galaretkę. Było jej tyle - zapewne w idealnie dojrzałym stanie - że wieczorem będą mogli wzniesić toast za fantastyczne odkrycie. Do testów potrzebował zaledwie kilku kropeł. Miło będzie się dowiedzieć - gdyby w ogóle miał wysmarować jakiś artykuł do czasopisma naukowego - co za wino się im trafiło.

Korek wzmocniony błyskawicznie powstałą, trwałą pokrywą polarnego lodu, nie dał się łatwo wyjąć. Darryl miał przy sobie korkociąg dopiero co pożyczony z kuchni, ale bał się potraktować tę butelkę tak prostacko. Wolał zabrać się do niej powoli i nie zanieczyścić zawartości. Zaczął od umieszczenia butelki w imadle normalnie służącym do otwierania opornych małych. Szybko się rozejrzał po pracowni i wybrał świeżo wysterylizowany w autoklawie skalpel. Odciął nim resztki czerwonego wosku na czubku szyjki. Kiedy go nałożono i kto to zrobił? Francuski wieśniak w czasach Ludwika XVI? Włoski winiarz w epoce *risorgimento*? Może jakiś Hiszpan, rówieśnik Goi?

Złożył wosk na kupce z boku, wbił skalpel między korek i szyjkę butelki i ostrożnie zaczął oddzielać jedno od drugiego. Chciał rozszczepić spojenie przed użyciem korkociągu. Zatoczywszy krąg skalpelem, odłożył narzędzie i zrobił krótką przerwę, którą wykorzystał na puszczenie z radioodtwarzacza marsza triumfalnego z Aidy. Po wstępnych fanfarach przyłożył korkociąg do korka i zaczął nim obracać. Powierzchnia korka stawiała lekki opór, ale korkociąg niebawem wszedł gładko - tak gładko, że Darryl już zaczął podejrzewać, że jednak korek się rozleciał. Ale gdy szpic korkociągu przeszył krótki wałek i skrzydełka narzędzia zatoczyły łuk w dół, korek wyszedł w jednym kawałku, nawet wydając wyraźny odgłos puknięcia.

Sukces, pomyślał Darryl i pochylił się, by ocenić bukiet starego rocznika... natychmiast wyprostował się z obrzydzeniem.

Jeśli wcześniej zadawał sobie pytanie, czy wino będzie się nadawało do picia, to wszelkie wątpliwości zostały rozwiane. Poczul potężny smród. Odczekał chwilę, aż zaniknie, po czym tknięty ciekawością znów przystawił nos do szyjki. Nie chodziło tylko o odór - i rzecz nie w tym, że wino dawno temu zamieniło się w ocet. Śmierdziało czymś innym, na dodatek czymś, co było niepokojąco znajome biologowi. Zmarszczył brwi, wysunął szufladę stołu i zabrał się do przygotowywania próbki do zbadania pod mikroskopem.

*

- W porządziu, chłopcy - powiedział swoim spreparowanym australijskim akcentem Calloway - macie uważnie słuchać, co wam mówię, i potem dokładnie się tego trzymać.

Wpakowany kolejny raz w koszmary strój nurka Michael stał obok identycznie unieruchomionego Billa Lawsona i nie miał zamiaru nawet pisać. Chciał tylko jak najszybciej znaleźć się w wodzie.

- Dzisiaj dostajecie po dwie butle, ale to nadal daje wam tylko maks... maks, mówię... półtorej godziny. A jak się weźmie pod uwagę, że pijąc lód, będziecie potrzebowali sporo powietrza, to nawet sporo mniej. Jak podczas roboty coś wyskoczy, wyskakujecie z wody, i to gazem! Jasne?

Michael i Lawson skinęli głowami.

- Znaczący się byle rozdarcie skafandra, choćby najmniejsze, i od razu wyskok. Byle rozcięcie skóry... byle ranka i w podskokach ładujecie się na górę. Dzisiaj widzieliśmy w okolicy otworu nurkowego lamparta morskiego. Wiecie, że to niekoniecznie przyjaciel człowieka.

Michael zdawał sobie z tego sprawę - foki Weddella lubiły pobrykać, ale były nieszkodliwe; ich bliscy kuzyni, wyróżniający się wielkimi gadzimi łbami - wprost przeciwnie. Foka była gotowa się bawić, a lampart morski o potężnej, zakrzywionej gębie - gryźć.

- Jak zajdzie potrzeba, brońcie się piłami.

Każdy z nich dostał długą na pięćdziesiąt dwa cale piłę do lodu Nils Master; może nie było to marzenie zegarmistrza, ale dzięki solidnej budowie i ostrym jak brzytwa, krzywym zębom cięły podwodny lód szybciej niż cokolwiek innego.

- Michael, wiesz, dokąd macie płynąć, no nie? Więc schodzisz pierwszy i prowadzisz. Bill, ty bierzesz sieć, linę holowniczą i za nim.

Michael kiwał potakująco głową, cał po calu przesuwał płetwy do wabiącego go otworu. Miał wrażenie, że w przegrzanej kabinie czuje bijący z niego chłód; zauważył, że dziurę poszerzono.

- To tyle, chłopcy - powiedział Calloway, klepnawszy Michaela w ramię na znak, że czas się zanurzyć. - Maseczki na gębeczki i skok w mrok.

Michael usiadł na krawędzi przerębla i zsunął się lodowym lejem do morza. Nie musiał szukać zatopionej skrzyni; brygada nurkowa już zeszła na dół i wyciągnęła ją, a husky zaciągnęły na saniach do bazy. Maszerem, przewodnikiem zaprzęgu, był wielki chłop, Danzig. Mijając Michaela, pozdrowił go uniesieniem ręki. W bazie szybko rozeszła się wieść, że to dziennikarz dokonał absolutnie niezwykłego odkrycia i nawet gdyby teraz nie znalazł lodowej księżniczki, jego akcje niewątpliwie zyskały na wartości.

Michael wiedział, że ją znajdzie.

W wodzie najpierw ustalił swoje położenie i poczekał na Lawsona. Odwrócił się od otworów i popłynął w kierunku widocznej w oddali ściany lodowca. Chociaż bardzo tego żałował, nie miał aparatu fotograficznego; Murphy mu na to nie pozwolił.

- Nie ma mowy, żebyś zbijał tam baki, robiąc fotki - powiedział. - Czasu masz, ile masz, a jeśli faktycznie się nie mylisz i trafiłeś, na co niby trafiłeś - kierownik w dalszym ciągu miał wątpliwości - to będziesz miał roboty po uszy. Musisz pomóc Billowi przy lodzie.

Z piłą w jednej ręce i latarką w drugiej Michael płynął niczym foka, falując ciałem i mocno pracując płetwami. Samo dotarcie do lodowca zajęło wiele czasu i kosztowało go więcej sił, niż się spodziewał. Pod wodą ocena dystansu była trudniejsza niż na lądzie, zwłaszcza tam gdzie panował cień lodowej czapy. Od czasu do czasu szczelina w lodzie pozwalała promieniom słońca spenetrować głębiej i złota klinga docierała prosto do czarnych, przydennych warstw. Poza tym wody oceanu były bardzo blade, jasnoniebieskie jak poranne letnie niebo.

Na dodatek jedna z rękawic Michaela przeciekała - nie bardzo, nie na tyle, by było to niebezpieczne, ale już czuł wyraźny dyskomfort. Rękawice nie stanowiły części skafandra, stąd też bez względu na moc zacisku na przegubie zawsze przepuszczały wodę. Wsiąkała w wyściółkę i po jakimś czasie osiągała temperaturę ciała, ale początkowo mroziła i jak najdosłowniej chłodno przypominała o nieprzyjaznym środowisku.

Michael zwolnił i odwrócił się, sprawdzając, czy Lawson - wiecznie uśmiechnięty zastępowy - nadal za nim płynie. Dojrzał maskę migocącą w wodzie, ostrą końcówkę brzeszczotu piły i falującą linę holowniczą; była przyczepiona do uprzęży, a jej drugi koniec dochodził do stojącej za kabiną wyciągarki o mocy 200 koni mechanicznych. Lina zwykle

służyła do wyciągania beczulek nafty i szczątków wraków; miała dwa tysiące jardów długości i udźwig kilku tysięcy funtów. Michael znów się odwrócił, po czym popłynął dalej. Lodowiec wyrastał wysoko w górę i opadał daleko w dół. Michael poczuł wahanie, nawet lęk. Za pierwszym razem tego nie doświadczył. Ale wtedy nie wiedział, co się tu kryje. Teraz nie tylko wiedział, ale i przyplynał, by to ukraść. Tym razem ściany lodu wydawały się nieprzystępne niczym fortyfikacje wzniesione przez jakiegoś przedwiecznego boga morza i lodu. Michael poczuł się jak żołnierz szykujący się do ataku na mury.

Słyszał nawet ciche pomruki, trzaski i skrzypienia lodu. Poprzednio nie zwrócił na nie uwagi. Lecz potężny lodowiec się poruszał, zawsze się poruszał, chociaż tak powoli, że nie było to widoczne, i tylko rzadko dawało się usłyszeć. Michael przysunął się do ściany. Wiedział, że teraz zacznie się trudna część zadania. Ściana była rozległa i powodzenie misji zależało nie tylko od sprawnej oceny wysokości, ale i szerokości. Pamiętał z grubsza sekcję, w której tkwiło ciało, ale nie wiedział na jakiej głębokości. Czekwały go wędrówki zarówno w górę, jak i w dół, a to mogło zabrać wiele czasu. Wskazał obszerny fragment ściany i dał znak Lawsonowi, że powinien tam szukać. Sam przesunął się trzydzieści jardów dalej i chcąc ustalić swoje położenie, obejrzał się do tyłu, na tak zwaną linię kierunkową. Biegła od otworu bezpieczeństwa, daleko, daleko stąd. Aby była widoczna, przyczepiono do niej kolorowe proporce. Próbował sobie przypomnieć, czy wczoraj widział ją wiszącą pod tym samym kątem. Ale jego pamięć okazała się całkowicie bezsilna. Przeżył taki szok, że na nic nie patrzył. Ogarnięty paniką zawrócił w strumieniach pęcherzyków powietrza, zaciekle młóćąc wodę płetwami.

Zapamiętał tylko charakter światła i teraz uznał, że to będzie najlepsza wskazówka. Pogoda bardzo przypominała wczorajszą, a niezmiennające się światło mogło go naprowadzić na właściwe miejsce. Woda i światło nie były tam tak jasnoniebieskie jak tutaj, więc upuścił ze skafandra trochę powietrza i opadł kilkanaście jardów, trzymając się ściany. Jednostajnym ruchem zataczał łuk latarką, od lewej do prawej i z powrotem, oświetlał nierówną cętkowaną powierzchnię, szukając czegoś - szczeliny, nietypowej formacji lodu - co pobudziłoby pamięć. Ale nie znalazł niczego znajomego.

Poczuł pełznące zimno, nawet dotkliwsze niż chłód wody. Lodowiec wydawał mrozące tchnienie i gdy Michael zdał sobie z tego sprawę, zapragnął przetrzeć maskę. Nie wiedząc czemu zadał sobie pytanie, jak czułby się, będąc więźniem takich pokładów lodu przez dziesiątki, może nawet setki lat, co to znaczy być wchłoniętym, uwięzionym, unieruchomionym - jak jeden z okazów Darryla unoszących się w słoju z formaldehydem - na wieczność. Pozbawiony życia, a jednocześnie idealnie utrwalony. Martwy, ale obecny.

I pomyślał o Kristin, leżącej nieruchomo w szpitalnym łóżku w Tacomie.

Przesunął czubkiem piły po lodowcu i odłamki lodu natychmiast się oderwały. Wyglądały jak ziemniaczane obierki. Kolejne krople lodowatej wody przeciekły do środka rękawicy.

Zszedł jeszcze niżej - światło przygasło. Wreszcie było podobne do tego, jakie zapamiętał. Stopniowo opadał zygziem w zakresie szerokiego pasa, aż dostrzegł wyróżniające się miejsce w lodzie - światło latarki nie iskrzyło się tam tak jak gdzie indziej - i natychmiast ruszył w tym kierunku.

Im bardziej się zbliżał, tym ciemniejsza i zimniejsza stawała się woda, ale serce biło mu coraz szybciej. Pracował rękami i płetwami, utrzymując pozycję pionową i uważnie przyglądając się lodowej ścianie. Naprawdę coś było tam pogrzebane (choć nie przyznał się do tego nikomu, chwilami sam się zastanawiał, czy nie wymyślił sobie tego wszystkiego) i szybko poświecił latarką w kierunku Lawsona, który nadal pływał znacznie wyżej, by zwrócić jego uwagę. Podpłynął jeszcze bliżej, wyężając oczy... i ujrzał jej twarz. Patrzyła prosto na niego.

Była - i nie była - taka, jaką ją zapamiętał. Zachował w pamięci wyraz krańcowej zgrozy, wytrzeszczone oczy, szeroko rozwarte, krzyczące usta... ale nie tak teraz wyglądała. Choć było to niemożliwe - i wiedział, że nigdy nie spróbuje wytłumaczyć tego Murphy'emu O'Connorowi - teraz powieki miała opuszczone, a usta rozluźnione. Nie wyglądała jak osoba narażona na krańcowe zagrożenie, ale przeciwnie, była jakby pogrążona we śnie, który tylko w odległym stopniu budzi jej niepokój. Jak ktoś, kto wkrótce ma się obudzić.

Lawson podpłynął do niego, ciągnąc linę holowniczą. Zobaczywszy twarz w lodzie, on także znieruchomiał i wpatrywał się w nią z napięciem. Michael wcześniej zdawał sobie sprawę, że Lawson przez cały czas ma wątpliwości. Chciał wierzyć w opowieść o lodowej dziewczynie, jednak zdawał sobie sprawę, że podczas głębokiego nurkowania wyobraźnia płata figle. Ale to, co teraz miał przed sobą, nie było żadnym figlem zmaconego umysłu. Przekonał się o tym. Jeśli zamierzali ją wydobyć, musieli szybko brać się do pracy - co najmniej kilkanaście cali warstw lodu pokrywało ją i tego kogoś, kto znajdował się tuż za nią.

Lawson przytknął piłę do lodowej ściany pięć, sześć stóp poniżej Michaela i dał mu znak, że w tym miejscu poprowadzi pionowe cięcie. Uniósł czubek piły Michaela i pokazał, że powinien ciąć poziomo jakieś trzy cale nad głową kobiety. Chodziło o zachowanie marginesu bezpieczeństwa, ale niezbyt wielkiego - blok lodu obejmujący ciało ważył co najmniej tonę.

Michael z powrotem osadził latarkę przy pasie, przytknął piłę do lodu i wgryzł się w niego ruchem skrzypka ciągnącego smyczkiem po strunach. Powstał wąski rowek.

Poprowadził piłę w odwrotnym kierunku i rowek się poszerzył. Sypnęły się przezroczyście lodowe strużyny. Zapowiadała się ciężka robota, ale piła była skutecznym narzędziem. Najtrudniejsze okazało się utrzymanie w takiej pozycji, zwłaszcza uzbrojonych w płetwy nóg, aby nie wpaść w paradę pracującemu tuż poniżej Lawsonowi.

Michael musiał też pamiętać o tym, by patrzeć tylko na rosnący rowek i nie zerkać odruchowo na twarz w lodzie. Jej widok mroził krew w żyłach, w dodatku żelazny łańcuch na szyi kojarzył się z sennymi koszmarami. Michael starał się opanować oddech i nie słuchać swoich myśli, jedynie syku aparatu oddechowego i odgłosów lodu, który od czasu do czasu stękał i trzeszczał. Zdawał sobie sprawę, że ludzie mają dziwną skłonność antropomorfizowania wszystkiego, ale nawet ta świadomość nie uchroniła go od nagłej myśli, że lodowiec cierpi, że czuje wcinającą się w niego piłę i usiłuje zatrzymać zamrożoną w nim zdobycz.

Ale nie miał zwyciężyć. Michael pracował systematycznie i gdy uznał, że wgrzył się odpowiednio głęboko, zaczął pionowy rowek.

Stopniowo wycinali blok obejmujący postać kobiety i ten drugi kształt - ludzki czy też inny? - który się za nią ukrywał. Lawson sprawdził czas i podniósł rękę, dwa razy rozstawiając pogrubioną rękawicą dłoń. Pozostało jeszcze tylko dziesięć minut wycinania. Resztę załatwi wyciągarka.

Lawson odpiął od pasa narzędziowego ostry jak sztylet hak i regularnymi uderzeniami wbił go w wyciętą krawędź. Kolejno umieścił następne haki. Plan był prosty. Należało tak nadważyć lodowiec, by nagłe, potężne szarpnięcie oderwało częściowo wyodrębniony blok. Rozwinął sieć, najlepiej jak mógł owinął nią blok, po czym ją zabezpieczył kilkoma elementami wysokogórskiego ekwipunku - takimi samymi, jakich Michael używał podczas wspinaczek. Kiedy miał to za sobą, przypiął do haków niezrywalną linę holowniczą. Pociągnął ją mocno trzy razy, odczekał i zrobił jeszcze raz to samo, po czym wraz z Michałem odsunął się o kilka jardów.

Czekali na wyciągarkę. Pierwszą oznaką jej działania było nagłe napięcie liny - wyprostowała się jak struna. Woda przeniosła rytmiczny odgłos pracy bębna wyciągarki i po sekundzie, dwóch lodowy blok drgnął. Poruszył się o cal, po czym zamarł. Michael słyszał trzaski i zgrzytanie lodu. Przypominało to wyrwanie fragmentu ogromnej piramidy i nagle Michael wyobraził sobie straszliwy obraz - ściana lodu się rozpada, grzebiąc go pod gigantycznymi odłamkami. Odsunął się jeszcze dalej i napełnił skafander większą dawką powietrza, co pozwoliło mu unieść się kilka jardów.

Wyciągarka zapewne znów przystąpiła do pracy, bo lodowy blok poruszył się po jednej stronie, a potem po drugiej, niemal jak pingwin, który kolebie się na boki, drecząc po śniegu. Znów się zatrzymał, lgnąc chwiejnie do zamrożonej kolebki, zanim wydał przepotężne jęknięcie, pochylił się w dół i uwolnił od macierzystego podłoża, kołysząc nad bezdenną wodną czeluścią. Lawson szybko do niego podpłynął i gdy wyciągarka zaczęła holować blok w górę, do otworu nurkowego, przylgnął do niego jak mięczak do skały. Zabezpieczył go dodatkowo, zawiązując z tyłu siatkę. Oszołomiony Michael szybko pozostał z tyłu i tylko patrzył, jak blok lodu wielkości i kształtu gigantycznej lodówki odpływa z Lawsonem - pasażerem na gapę. Rękawica znów przepuszczała wodę i Michael miał wrażenie, że żelazna lodowata bransoleta zaciska się na jego przegubie. Zbiorniki powietrza dały sygnał alarmowy. Michael uniósł przed sobą piłę na wypadek ataku lamparta morskiego i popłynął z głębi za strumieniem bąbelków ku niebieskim, wierzchnim warstwom.

Z dołu lodowy blok przypominał kryształową ozdobę, gigantyczne choinkowe świecidelko, gdy wznosił się z pustki do świata żywych... wioząc swój dziwny, stężony ładunek.

ROZDZIAŁ 18

8 sierpnia 1854 r.

Wyprostowany jak struna Sinclair dosiadał swojego Ajaksa. Był w pełnym umundurowaniu i nosił wszystkie oznaki rangi, a jego czarna czapka, wymodelowana na wzór czapki polskich lansjerów, była fantazyjnie przekrzywiona i rzucała skąpy cień, chroniąc oczy przed niemiłosiernym słońcem. Po obu bokach miał innych lansjerów, tworzących na całej szerokości placu rząd równy jak od linijki. Naprzeciw - nie dalej niż kilkaset jardów - stał drugi, równie zgrabny rząd kawalerzystów, także w pełnym umundurowaniu, od lśniących złotych epoletów po ozdobione gęstymi kutasami rękojeści szabli. Sinclair wiedział równie dobrze jak inni, że z racji wymaganych przez dowódców bogatych strojów są często kpiąco nazywani dandysami, ale był także przekonany, że jeśli fortuna zdobędzie się na tę łaskawość, by posłać ich w bój, udowodnią swoją prawdziwą wartość.

Konie grzebały kopytami w porośniętej kępami trawy ziemi, przeczuwając z niepokojem, co je czeka. Całe przedpołudnie XVII Regiment ćwiczył szarżę z lancami i wymagające nie lada precyzji zwroty na zadzie przy równoczesnym utrzymaniu zwartej formacji. Lecz teraz lance odłożono i jeźdźcy na dźwięk kornetu mieli przystąpić do pojedynków na tępe drewniane szable. Sinclair grzbietem ręki zebrał pot z czoła i otarł go o kasztanową grzywę konia. Ajaks był z nim od źrebaka, wpierw w rodzinnym majątku w Hawton, potem w londyńskich stajniach regimentu. Dzięki temu między zwierzęciem i jego panem powstała więź, której mogli tylko zazdrościć inni żołnierze. Podczas gdy kawalerzyści przeważnie musieli wyłazić ze skóry, by nauczyć konie podstawowych komend i manewrów, Sinclair perfekcyjnie panował nad wierzchowcem i potrafił - czasem łagodnym ściągnięciem wodzy, czasem samym słowem - pokierować nim wedle swej woli.

Trębacz wdrapał się na ogrodzenie, podniósł do ust błyszczący instrument i odtrąbił trzykrotnie „Do ataku!”. Konie rżały i parskały, a klacz Winslowa, po prawej stronie Ajaksa, stanęła dęba, mało nie zrzucając z grzbietu jeźdźca.

Sinclair jak inni jednym płynnym, niemal bezgłośnym ruchem dobył drewnianej szabli, wyprostował w górę uzbrojone ramię, wykrzyknął: „Naprzód!” i trącił dzwoniącymi ostrogami boki Ajaksa. Ten runął przed siebie jak koń wyścigowy na torze w Ascot. Ziemia

zagrzmiała, gdy cały rząd kawalerzystów pognał na spotkanie przeciwnika. Gdzieś tam byli Le Maître i Rutheford, ale na Sinclaira pędził gniadosz dosiadany przez sierżanta Hacha. Ten znakomity, będący klasą dla siebie samego jeździec, weteran kampanii indyjskich trzymał nisko wodze, wyraźnie ufając wierzchowcowi. Szablę wznosił wysoko. Sinclair ocenił, że minie go z lewej strony, co oznaczało, że skrzyżują szable, obracając się w siodłach.

Mocno ścisnął konia udami, gdy grudy ziemi bryzgały spod kopyt. Już potrafił rozróżnić rysy twarzy Hacha. Spalony słońcem Pendżabu żołnierz szczerzył w uśmiechu białe zęby pod gęstym wąsem. Dowódcy, z których większość nigdy w życiu nie powąchała prochu, często pogardzali „hindusami” - żołnierzami zbyt ubogimi, aby kupić sobie patent oficerski, lecz którzy służyli podczas walk o Gwalior lub w Bengalskiej Lekkiej Kawalerii pod Punniarem i Ferozeshah - Sinclair jednak ich podziwiał, a nawet im zazdrościł. Przeżyć bitwę! Walczyć i zabijać żołnierzy wroga! Co może być wspanialszego?

Hatch nacierał na niego z radością weterana mającego udzielić lekcji czy dwóch męskiej sztuki wojowania wymuskanemu jak na paradę żółtodziobowi. Krzyknął: „Hurra!”, gdy dwa konie niemal się zderzyły, i jego drewniane ostrze zatoczyło łuk w powietrzu. Broń Sinclaira wzniosła się, parując cios, lecz siła uderzenia wiarusa była tak wielka, że szabla i ramię młodego oficera zadygotały. Trzask drewnianych kling sprawił, że konie zarżały i cofnęły się w panice, lecz Sinclair zachował kontrolę nad Ajaksem, pracując pewnie udami i wodzami. Koń Hacha odsonił zęby, jakby i on miał w zanadrzu jakieś niemiłe niespodzianki dla przeciwnika. Ajaks cofnął łeb. Hatch odchylił się w siodle i zadał kolejny cios. Tym razem jego broń z morderczym skrzypieniem zjechała wzdłuż szabli Sinclaira, aż zatrzymała się przy gardzie.

Konie zderzyły się bokami jak rozhuśtane okręty. Odskoczyły. Ale Hatch zajechał Sinclaira od tyłu i gdy ten wykręcił się w siodle, sierżant znów uderzył; Sinclair zrobił unik i poczuł, że czako zupełnie mu się przekrzywiło. Pasek nagle zsunął się z podbródka i paradna czapka spadła w wir końskich kopyt. Koń Hacha drobił w miejscu, a jego pan drażnił się z przeciwnikiem, trącając sztychem rapcie porucznika.

- Tańcz, mój rosyjski niedźwiedziu - powiedział, udając, że widzi w nim wroga. - Tańcz!

Ale Sinclair nie był w nastroju do żartów czy szyderstw. W ogólnym zamieszaniu trącił ostrogą lewy bok Ajaksa i koń ruszył przed siebie. Bez czaka oficer widział lepiej i gdy Hatch szykował się, by zaatakować go z prawej strony, młody porucznik ściągnął wodze i Ajaks natychmiast zmienił kierunek. Sinclair zadał cios i Hatch ledwo zdążył się zasłonić. Atakujący zamiast się cofnąć, wyprowadził drugie cięcie, odrzucając głownię Hacha i mało nie miażdżąc mu nosa. Gniadosz sierżanta parsknął i wierzgnął. Hatch odchylił się w siodle.

Stanął w strzemiionach, odsuwając się poza zasięg szabli Sinclaira, i gdy ten go mijał, skierował gniadego prosto w bok Ajaksa. Zanim wierzchowiec Sinclaira zdołał się odwrócić, czy też zanim Sinclair zdążył zmienić pozycję w siodle, Hatch rzucił wodze na łąk, wolną dłonią chwycił Sinclaira za futrzany kołnierz kurtki i zwłókł go z konia. Porucznik osunął się po końskim boku, dzwoniąc sprzączkami i gubiąc pas. Z łomotem wylądował na ziemi i przetoczył się jak najdalej, poza zasięg końskich kopyt. Nałykał się piachu. Z czaka zostały tylko strzępy.

Trębacz obwieścił koniec starcia. Przeciwnicy rozdzielili się, niektórzy śmiejąc się głośno, inni liżąc wyimaginowane rany. Sinclair rozejrzał się wkoło; kilku innych żołnierzy również leżało na ziemi; jeden z zakrwawionym, może złamanym nosem, inny z zadaną ostrogą raną w nodze. Żaden nie sprawiał wrażenia szczególnie zadowolonego z siebie. Kiedy Sinclair dźwigał się na czworaki - jego wiśniowe spodnie miały wielką dziurę na kolanie - zobaczył zbliżające się czarne wysokie buty i wyciągającą się do niego sękatą, zbrązowiałą dłoń.

- Nie zawsze można oczekiwać, że nieprzyjaciel będzie się bił fair - powiedział sierżant, pomagając Sinclairowi podnieść się z ziemi. Sięgnął po czarny otok jego czaka, otrzepał go z kurzu i ceremonialnie oddał właścicielowi. - Ale pokazał pan kawał jeździeckiej roboty, poruczniku. Świetne prowadzenie konia.

- Wygląda na to, że nie dość świetne.

Hatch roześmiał się serdecznie i chociaż zapewne nie był starszy od Sinclaira więcej niż o osiem, dziewięć lat, jego ciemna twarz pobruździła się tysiącem cieniutkich zmarszczek, przypominając pergaminową mapę. Ten uśmiech zmaszał wszelką urazę w sercu młodszego żołnierza.

- My, hindusi - kontynuował Hatch, śmiało używając określenia powszechnie uważanego za obelgę - tak żeśmy przywykli do łojenia łajdactwa, żeśmy nauczyli się walczyć po ichniemu. - Uśmiech zniknął mu z twarzy. - I dlatego wy, oficerowie, też musicie się tego nauczyć.

Sinclair był lekko zaskoczony. Tak przywykł do wzniosłych deklaracji na temat sztuki prowadzenia wojny, wypowiedzianych przez oficerów arystokratów, których doświadczenie bojowe było równe zeru, że samo słuchanie tego rodzaju porad wydało mu się zdradą. Wojnę uważano za dworską zabawę odgrywaną według kunsztownie sformułowanych i dobranych zasad, których wszyscy dżentelmeni się trzymali, nie bacząc na cenę, jaką przychodziło im za to zapłacić. Ale oto ten otrzaskany w bojach weteran głosił, że jest to walka z prostakami, gotowymi raczej zwlec wroga z konia, niż przystąpić do rycerskiego pojedynku na białą broń.

Kiedy odprowadzali konie z placu, sierżant Hatch zacytował kilka kolejnych zasad najnowszej teorii sztuki jeździeckiej, wyłożonej przez kapitana Nolana z XV Regimentu Huzarów:

- Jeśli twój koń reaguje kopnięciem na ostrogę, oznacza to, że zbyt blisko Igniesz do łąku, jeśli bryka, oznacza to, że siedzisz za blisko zadu...

Czekali w kolejce, by przejechać przez bramę, gdy na zmydlonym koniu przygnał kapral Cobb, machając plikiem papierów.

- Przyszły! - krzyknął. Jego koń stanął dęba. - Rozkazy z Urzędu Wojny!

Żołnierze zastygli.

Kapral opanował wierzchowca i unosząc się w siodle, aby być lepiej widzianym i słyszany, ogłosił:

- Z rozkazu lorda Raglana, głównodowodzącego Brytyjską Armią Wschodu, Siedemnasty Regiment Lansjerów diuka Cambridge wyruszy dziesiątego sierpnia na pokładzie okrętów Jej Królewskiej Mości „Neptune” i „Henry Wilson” do portu Konstantynopol; tam pod nadzorem i dowództwem porucznika generała lorda Lucana pospieszy na pomoc w zdobywaniu Sewastopola.

Rozkaz się na tym nie skończył i Cobb czytał dalej, ale Sinclair nie usłyszał niczego więcej. Wszystkie słowa kuriera pochłonęły okrzyki i wrzaski żołnierzy. Wielu wyrzucało w powietrze czapki, inni wymachiwali drewnianymi szablami; palba z pistoletów spłoszyła konie. Sinclair również poczuł uderzenie krwi do głowy. A więc w końcu się doczekali! Ruszają na wojnę. Wszystkie miesiące musztry, ćwiczeń i koszarowej nudy wreszcie się na coś przydadzą! Miał popłynąć na Krym i pomóc Turcji wydobyć się spod jarzma cara. Przypomniał sobie widzianą w porannej gazecie karykaturę - brytyjski lew w policyjnym hełmie trąca pałką ramię rozzuchwalonego rosyjskiego miśka, warcząc: „No, no, nie zniosę tego dłużej!”. Zdał sobie sprawę, że sam też krzyczy, i zobaczył, że Francuzik stoi na ogrodzeniu, dyrygując chórem kilkunastu żołnierzy wyśpiewujących *Rule, Britannia, Britannia, rule the waves*¹⁴! Odwrócił się do sierżanta Hacha, gotów klepnąć go w plecy, ale zastygł, widząc jego minę.

W przeciwieństwie do wszystkich wokół Hatch nie uległ uniesieniu. Chociaż daleki od strachu czy niechęci, nie był też skory do pustej wesołości. Kiedy spoglądał na to radosne pandemonium, miał na ustach półuśmiech, lecz w oczach powagę, nawet dystans, jakby mocą

¹⁴ Nieformalny hymn Wielkiej Brytanii.

wyobraźni widział miejsce pisane im wszystkim, a może nawet los, i Sinclair nagle otrzeźwiał. Jednakże rzekł:

- Wielki dzień, sierżancie, nieprawdaż?

Hatch skinął na to głową i położył mu dłoń na ramieniu.

- Nigdy go nie zapomnicie, panie poruczniku - potwierdził tonem daleko bliższym powagi niż uniesienia.

- *Bri-tons* - zawodził Francuzik i jego chórek - *never, never, never shall be slaves!*

Czyjaś ręka chwyciła Sinclaira za łokieć, a gdy się obejrzał, zobaczył Rutheforda. Kapitanowi aż bokobrody się zjeżyły na wieść o wypłynięciu. Twarz miał zarumienioną od krzyku i był tak zachwycony, że tylko potrząsał Sinclairem.

- Na Boga - wykrztusił w końcu. - Na Boga, pokażemy im, gdzie raki zimują!

I Sinclair natychmiast uległ jego nastrojowi. Porzucił Hacha i przyłączył się do radości i szaleństwa. Szybko odprowadził Ajaksa; chciał pozbyć się wszelkich wahań i wątpliwości. To był czas świętowania z towarzyszami broni i nie zamierzał wysłuchiwać żadnych ostrzeżeń czy napomnień. Hatch przypominał mu poemat napisany przez tamtego faceta, Coleridge'a, wersy o weselnym gościu zaczepionym przez starego marynarza, który się uparł opowiedzieć mu swoją smętną historię. Tego dnia Sinclair nie miał chęci na żadne smętki - łaknął glorii i możliwości wykazania się męstwem. I wyglądało na to, że w końcu jego marzeniu stanie się zadość!

Ale do dziesiątego sierpnia były tylko dwa dni, a pozostało jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Niewątpliwie należało przygotować umundurowanie, broń i oporządzenie, wypolerować wszystko, wyczyścić, przejrzeć, a także przyszykować konie do długiej podróży fregatami marynarki wojennej - a może dowództwo przydzieliło im parostatki, co znacznie skróciłoby czas podróży? - i dokończyć sprawy londyńskie.

Oznaczało to, że musiał rozważyć, jak przedstawi nowiny Eleanor. Tego popołudnia miał się pokazać w jej pensjonacie. Obiecał zabrać ją do Hyde Parku, gdzie niedawno postawiono Crystal Palace¹⁵. Wcześniej miał nadzieję, że dostarczy rozrywki Eleanor, pospacerują pod dostojnymi wiazami wypełniającymi park, ale jeśli się nie mylił, do czasu wyjazdu brygada miała pozostać w koszarach. Musi jak najspieszniej wyjść i liczyć na to, że powróci, zanim jego nieobecność zostanie zauważona.

¹⁵ Kryształowy Pałac, budynek (nie zachował się) ze stalowych i szklanych prefabrykatów, wzniesiony na Wielką Wystawę (1851).

Wziął Ajaksa do stajni i po wprowadzeniu go do boksu wydał mu podwójną rację owsa i siana. Gładząc białą gwiazdkę na chrapach konia, spytał:

- Czy okryjemy się chwałą?

Ajaks opuścił kasztanowy łeb, jakby potakiwał. Sinclair przetarł silną, umięśnioną szyję konia i wyszedł tylnymi drzwiami, licząc, że nikt tego nie zauważy.

Chciał zmienić koszulę lub przynajmniej opłukać twarz, ale ryzyko, że zostanie zatrzymany, było zbyt wielkie. Pospieszył do hotelu Savoy, spodziewając się, że tam na pewno znajdzie jakiś kabriolet; najął pierwszy, jaki zobaczył, i wskakując do niego, podał adres. Woźnica strzelił z bata i jednokonny powozik szybko pomknął ruchliwymi brudnymi ulicami, podczas gdy Sinclair po raz pierwszy od ogłoszenia wymarszu głęboko odetchnął i zaczął się zastanawiać, jak przekaze wieści Eleanor.

Jego ojciec, earl, z pewnością będzie uradowany; syn znajdzie się z dala od jaskini hazardu, teatrzyków muzycznych i innych kosztownych londyńskich atrakcji, a jeśli nie da sobie rozwalić łba, powróci do Londynu, zamieniwszy reputację nicponia na żołnierską chwałę. Lecz gdyby tylko earl wiedział, dokąd obecnie Sinclair podąża - do skromnych pokojów na najwyższym piętrze obskurnego pensjonaciku, gdzie zamieszkała para ubożuchnych pielęgniarek...! - z pewnością by zadygotał. Jeśli Sinclair miałby być ze sobą całkowicie szczery, musiałby przyznać, że ta chwila cierpienia ojca przysporzyłaby mu nieliczej uciechy. Papa od zawsze przeprowadzał mu przed nosem istne korowody beznadziejnie mdłych, arystokratycznych dam, licząc na to, że uzna którąś z nich za dość ponętą, ale on był mężczyzną, który zawsze, od pierwszego rzutu okiem, wiedział, czego chce. A teraz chciał Eleanor Ames. Wiedział to od chwili, w której zobaczył ją zamykającą szpitalne okiennice.

Kiedy kabriolet wjechał na ulicę Eleanor, Sinclair wskazał woźnicy pensjonat i stawiając nogę na jezdni, rzucił mu monetę i zawołał:

- Jak zaczekasz, dostaniesz tyle samo!

Frontowe stopnie skrzypiały, a wejście do sieni było pozbawione zamka. Sinclair usłyszał smutne szczekanie psa zza marnych drzwi i ryczącego mężczyznę w końcu korytarza. Na schodach królowała woń stęchlizny, coraz mocniejsza z każdym stopniem, a że na każdym podejściu wprawiono tylko jedno niewielkie okienko, stawało się też coraz ciemniej. Deski trzeszczały pod butami kawalerzysty. Gdy się zbliżał do drzwi Eleanor i Moiry, dojrzał mętne słoneczne światło wlewające się do wąskiego korytarza. Moira uchyliła drzwi na szerokość kilku cali, sprawdzając, kto nadchodzi, lecz gdy tylko się upewniła, że to Sinclair, wykręciła szyję, usiłując spojrzeć za niego.

- Dobry wieczór - powiedziała z wyraźnym zawodem. - No, sam żeś pan przyszedł?

Pewnie miała nadzieję, że przyprowdzi ze sobą kapitana Rutheforda; Sinclair orientował się, że tych dwoje spotkało się kilka razy, chociaż było mu też wiadome, że Moira obiecywała sobie po tej znajomości o wiele więcej niż kapitan.

- Eleanor jest w saloniku.

Z poprzednich wizyt Sinclair wiedział, że salonik to tylko mała część pokoju - okna wychodziły z niej na ulicę - dla przyzwoitości oddzielona od reszty zasłonką ukrywającą łóżko, które Eleanor i Moira musiały dzielić. Eleanor stała przy oknie ubrana w nową bladożółtą suknię - czyżby spoglądała na ulicę, oczekując jego przybycia? Niełatwo było ją nakłonić do przyjęcia tej kreacji, mimo usilnych zapewnienień, że nie ma w tym niczego niestosownego. Podczas każdego ich spotkania nosiła tę samą prostą sukienkę i mimo że wyglądała w niej powabnie, chciał ujrzeć ją w czymś weselszym i modniejszym. Chociaż zupełnie się nie znał na damskiej modzie, zauważył, że góra nowych sukni jest dużo hojniej wycięta, odsłania szyję i gors, i nie ma pufek, tak że nic nie ukrywałoby delikatnej linii jej ramion. Pewnego popołudnia spacerował z Eleanor po Marylebone Street i dostrzegł, że jej wzrok zatrzymał się dłużej na tej właśnie sukni, wystawionej w witrynie. Następnego dnia skierował w to miejsce posłańca, każąc mu ją zakupić i dostarczyć do szpitala.

Teraz Eleanor odwróciła się do niego zarumieniona, lecz zadowolona, że może mu się pokazać w nowym stroju. Nawet w zakopconym londyńskim powietrzu jej uroda promieniała.

- Nie mam pojęcia, skąd wiedziałeś - powiedziała, wskazując sukienkę. Obramowanie z białej jak świeży śnieg koronki okrywało jej łono.

- I musiałyśmy ją zwięzić tylko o cal czy dwa - dodała Moira, kręcąc się za zasłonką. - Z niej to akuratna krawcowa, słowo daję.

- Pojawiła się z szalem na pełnych ramionach i siatką na zakupy.

- Idem na targ - powiedziała - i nie wrócem, chyba że za pół godziny. - Prawie do nich mrugnęła, zanim zamknęła za sobą drzwi.

Sinclair i Eleanor zostali sami. Czuli się nieco niezręcznie. On pragnął wziąć ją w ramiona i nie bacząc na urodę sukni, uwolnić od niej najszybciej, jak się dało... ale nie zamierzał tego uczynić. Mimo że nie należała do socjety, traktował ją tak, jak jedną z dobrze urodzonych młodych dam, które poznawał na balach w wiejskich rezydencjach lub na uroczystych kolacjach w mieście. Przyziemniejsze zachcianki zawsze mógł zaspokoić w Salonie Afrodyty.

Lecz zamiast do niego podejść, Eleanor pozostała przy oknie, z dystansu pilnie obserwując jego oblicze.

- Obawiam się, że jeszcze ci nie podziękowałam za suknię - rzekła w końcu. - Jest naprawdę bardzo piękna.

- Dzięki tobie - powiedział Sinclair.

- Może chciałbyś usiąść - zaproponowała, wskazując dwa krzesła zajmujące całą wydzieloną na salonik przestrzeń - a może wyjdziemy?

- Obawiam się, że nie mam czasu ani na jedno, ani na drugie - rzekł, przestępując z nogi na nogę. - Sama moja tu obecność jest wykroczeniem.

Na to wyznanie ciekawość Eleanor natychmiast przeszła w zatroskanie. Już wcześniej zauważyła, że coś niemal go roznosi, chociaż nie wiedziała, co to może być. Nie wyglądał najświetniej, miał ubłocone buty, a do tego był mocno wyczerpany.

Czyżby złamał jakiś wojskowy przepis? W ciągu ostatnich tygodni zdążyła się zorientować, że młody porucznik nie trzyma się kurczowo zasad (czy nie pokazał jej, kobiecie, sanktuarium Klubu Longchamps?), lecz nie wyobrażała sobie, aby był zdolny do popełnienia jakiegoś groźnego przestępstwa. Szeroki uśmiech, który błąkał się na jego wargach, rozwiał jej obawy.

- Co to znaczy? O jakim wykroczeniu mowa?

Sinclair nie mógł dłużej utrzymać języka za zębami i jednym tchem przekazał jej wieść - radosną wieść - że jego regiment otrzymał rozkaz wyruszenia na front.

Eleanor poczuła, że sama też się uśmiecha, zarażona jego podnieceniem. Od jakiegoś czasu ulice miasta wypełniały demonstracje, niektóre protestujące przeciwko udziałowi w wojnie, inne głośno go popierające. Gazety prześcigały się w relacjach o okrucieństwach wyrządzanych bezbronnym Turkom i przestrzegały przed niebezpieczeństwem wtargnięcia rosyjskiej floty wojennej na Morze Śródziemne, co zagroziłoby wiekowej brytyjskiej supremacji na morzach. Werbownicy przeczesywali zaułki i tylne uliczki, zgarniając wszelkich sprawnych - a czasem niesprawnych - mężczyzn i wcielając ich do piechoty Jej Królewskiej Mości. Nawet szpitalny węglarczyk i palacz trafili do wojska.

- Kiedy wyruszasz? - spytała Eleanor i gdy jej powiedział, w jednej chwili pojęła cały druzgocący sens wiadomości.

Jeśli wyjeżdżał pojutrze i już złamał rozkazy nakazujące żołnierzom pozostać w koszarach, to było ich ostatnie spotkanie, ich ostatnie wspólnie chwile przed wypłynięciem armii na Krym. Mimo wszystkiego co wydarzyło się między nimi w trakcie ostatnich tygodni, mimo więzi, jaka między nimi powstała, nagle poraziła ją myśl, że może nigdy więcej go nie ujrzeć. I przerażała ją nie tylko wizja wojny, nieunikniona groźba śmierci, ale także świadomość, która prześladowała ją od pierwszej nocy, kiedy opatrzyła jego zranione ramię,

świadomość, że zamieszkują całkowicie różne światy i że gdyby nie tamto nieprawdopodobne spotkanie, ich ścieżki nigdy by się nie skrzyżowały. Spędziwszy jakiś czas daleko, Sinclair może wcale nie wrócić do Londynu - równie dobrze mógłby pojechać wprost do rodzinnej posiadłości w Nottinghamshire. (Chociaż nadal nader skąpo wypowiadał się o swojej rodzinie, usłyszała dość komentarzy Le Maître'a i kapitana Rutheforda, by zdać sobie sprawę, że jest ona wielce majątna i ma wysoką pozycję). A nawet gdyby powrócił do Londynu, to czy nadal patrzyłby przychylnie na pielęgniarkę bez pensa przy duszy, zamiast poświęcić uwagę którejś z wielkich dam obracających się w jego kręgach? Czy ta jego awanturka - a tak w najciemniejszej nocnej porze myślała o ich znajomości, gdy nieustannie przewracająca się z boku na bok Moira nie pozwalała jej spać - nadal będzie go na tyle nęcić, że porzuci wszelkie praktyczne względy i zasady obowiązujące w dobrym towarzystwie?

- Napiszę do ciebie, kiedy tylko będę mógł - obiecał, jakby czytając jej w myślach.

Nagle Eleanor wyobraziła sobie, że siedzi na krześle przy zakopconym oknie, trzymając wymięty, zniszczony list, który przebył długą drogę ze wschodu.

- I ja będę do ciebie pisać - odparła. - Każdego dnia.

Sinclair zrobił pół kroku, ona także i nagle spleli się w uścisku, jej policzek na szorstkim złotym sznurze zdobiącym jego kurtkę. Czowała woń ziemi, potu i jego ukochanego Ajaksa; kiedyś Sinclair zaprowadził ją do koszarowych stajni i pozwolił, by podała koniowi kostkę cukru. Długą chwilę Ignęła do niego. Milczeli. Nie musieli nic mówić, a ich pocałunek miał gorzko-słodki, pożegnalny smak.

- Muszę iść - rzekł Sinclair, łagodnie uwalniając się z jej objęć.

Otworzyła mu drzwi i patrzyła za nim, gdy zbiegał w dół, nie oglądając się za siebie. Zostało tylko echo kawaleryjskich butów. Szkoda, że się nie dało, pomyślała, szkoda, że nie miał trochę więcej czasu, a tak by było miło, gdybyśmy mogli wyjść. Jest jeszcze jasno, zobaczyłby, jak ładnie wyglądam w tej nowej żółtej sukni.

ROZDZIAŁ 19

9 grudnia, 17.00

Ponieważ można było oczekiwać, że wieści o zdumiewającym odkryciu pod wodą rozejdą się po stacji jak pożar prerii, Murphy - po odebraniu przez walkie-talkie meldunku z kabiny - natychmiast wydał całą serię rozkazów. Michael słyszał, jak ostrym tonem polecił Callowayowi, by nie wpuszczał nikogo na lód ani w pobliże kabiny. Rozkazał również wszystkim trzymać gęby na kłódkę. Zanim skończył, rzucił jeszcze:

- Zaczekajcie, aż Danzig dojedzie z psami.

Maszer i jego zaprzęg zatrzymali się w odległości pięćdziesięciu stóp od kabiny. Husky legły na śniegu, czujnie obserwując ludzi ładujących lodowy blok na sanie.

- Jezu Chryste i wszyscy święci! - wykrzyknął Danzig, długim krokiem podchodząc do sań i bez śladu zażenowania wybałuszając oczy na to coś - zamrożoną kobietę - ukryte w lodzie. Powoli okrążył kawał lodu; Michael zgadywał, że już ocenia, jak najwygodniej będzie go przetransportować.

- Macie tu, chłopcy - obwieścił Calloway - najdziwniejsze dziwo, na jakie udało mi się trafić, a możecie mi wierzyć, że trafiłem na naprawdę dziwne.

- Dobrze prawisz, facet - potwierdził Franklin, który asekurował zanurzenie.

Michael ledwo mógł uwierzyć w to, czego dokonali. Pośpiesznie zdarł z siebie skafander, nałożył więcej warstw suchej odzieży, niż kiedykolwiek miał na sobie, i popijał z termosu gorącą herbatę, ale i tak od czasu do czasu miał dreszcze i wiedział, że nabawił się łatwej do przewidzenia hipotermii.

Lawson spytał Danziga, czy powinni ściągnąć Spryte'a, czy też jego zdaniem psy zdołają dociągnąć blok do stacji.

Danzig, który zawsze nosił na szyi amulet z kłów morsa, oparł wielką łapę o lodowy blok, a drugą potarł podbródek.

- Żadna sprawa, byle tylko sanie ruszyły z miejsca - oświadczył.

W jego mniemaniu nie było takiego wyzwania, któremu jego psy nie potrafiły sprostać, i zawsze starał się udowodnić, że nowoczesna technologia w niczym nie dorównuje godnym zaufania, staromodnym sposobom, stosowanym już przez Amundsena i Scotta.

Zajął się przepinaniem zaprzęgu z jednych sań do drugich. Michael w tym czasie rozmasowywał przemarznięty przegub. Doskwierał mu tak, jakby został mocno naciągnięty. Franklin i Calloway nadal gapili się na kobietę w lodzie, a gdy jeden z nich wybuchnął śmiechem i rzucił prostacką uwagę, że ma w zapasie takiego całusa, którego Śpiąca Królowa nigdy by nie zapomniała, Michael sięgnął po przywiezioną przez Callowaya plandekę i zarzucił ją na lodowy blok. Franklin łypnął na niego nieprzychylnie, gdy przerwał mu zabawę. Gdy dziennikarz zabezpieczył plandekę kilkoma hakami, Danzig spojrzął na niego porozumiewawczo i spytał:

- Szef ci powiedział, gdzie mamy ją zaciągnąć?

W jego głosie zadźwięczała ta sama nuta, co u przedsiębiorcy pogrzebowego pytającego zboląłego żałobnika o drogiego zmarłego.

- Nie.

Michaelowi wydało się dziwne, że Danzig się z nim konsultuje w tej sprawie. Nie był zlewką, nie był nawet trepem. Zajmował pośrednie miejsce, niezdefiniowane terytorium, a jednak już traktowano go jak pełnoprawnego przedstawiciela i obrońcę tej wydobytej z głębi kobiety.

- No, nie powinno się jej od razu wstawiać do środka - uznał Danzig - bo jak za szybko odtaje, to jeszcze się rozleci.

To było niegłupie spostrzeżenie.

- Może dobrze byłoby ją przetrzymać w magazynie odwiertów, za glaciologami. Betty i Tina mogłyby jeszcze okroić lód. Mają do tego narzędzia.

- No - przyznał mu rację Michael - to brzmi rozsądnie.

Poczuł się pewniej, mając obok siebie kogoś, kto myśli trzeźwiej od niego.

Wśród psów wybuchło zamieszanie, na co Danzig krzyknął: „Spokój!” i poszedł zaprowadzić porządek. Husky nie były aniołkami - Michael już nieraz widział je w akcji - ale zwykle zaraz reagowały na komendę. Jednak tym razem kilka z nich szarpało uprząż, cofając się od bryły lodu, a lider, Kodiak - mocno zbudowany pies o ślepiach jak niebieskie kulki - nawet szczekał i szczyrzył kły. Danzig przemawiał do nich zdecydowanym, ale pozbawionym gniewu tonem, dając im znaki rękami, co miało uspokoić psy, ale nawet on był zaskoczony ich buntem.

- Kodiak! - w końcu krzyknął, szarpiąc raz za razem uprząż. - Leżeć!

Pies ani myślał się podporządkować. Szczekał jak szalony.

- Leżeć! Kodiak... leżeć!

Danzig musiał przycisnąć psa do lodu. Kodiak rzucał łbem, ale uległ. Danzig przygwoździł go, narzucając swoją władzę. Chociaż inne psy nadal skowyczały, dotarło do nich, że maszer nie żartuje, i uspokoiły się. Danzig rozplątał uprząż, stanął na płozach i krzyknął:

- Naprzód!

Psy rzuciły się przed siebie, ale bez zwykłego zapалу, i sanie ledwo drgnęły. Kilkoro zwierząt nadal oglądało się za siebie, jakby bały się czegoś bliskiego, na co Danzig musiał zejść z płóz, potrząsnąć liną ciągową i ponownie wydać rozkaz.

Michael zastanawiał się, czy po prostu ciężar nie był zbyt wielki.

- Naprzód! Naprzód! - krzyczał Danzig i psy znów ruszyły, tym razem ciągnąc sanie. Kiedy te już zaczęły sunąć, tuzin husky zaczął biec - potężna bryła lodu z zamrożonym bagażem w środku rozpoczęła podróż do bazy. Calloway zamknął drzwi kabiny, a Michael dosiadł się na skuter Franklina i podążyli śladem psów.

*

Michael stał nie wiadomo jak długo z opuszczoną głową pod strumieniem gorącej wody, bijącym w czaszkę i spływającym po całym ciele, a jednak wciąż czuł, że głęboko w nim coś nadal drży. Kiedy para w kabine prysznicza zgęstniała do maksimum, tak że ledwo widział uniesioną przed twarzą dłoń, zakręcił kurki i szybko się wytarł świeżymi ręcznikami, których obfity zapas zawsze był pod ręką. Musiał uważać na bark zwichnięty w Cascades. Nadal od czasu do czasu dawał się mu we znaki, a nurkowanie w ciężkim ekwipunku w lodowatej wodzie bynajmniej nie polepszyło jego stanu. Przetarł ręcznikiem lustro, dłonią rozczesał czarną grzywę. Przed wyjazdem pomyślał niemal o wszystkim, tylko nie o wizycie u fryzjera. Tak więc włosy miał jeszcze bardziej skudłacone niż zwykle. Pewnie mógłby je przyciąć - jeden z pracowników stacji był dodatkowo fryzjerem - ale na Cyplu Adeli raczej nikt się nie przejmował swoim wyglądem. Betty i Tina paradowały w męskich ciuchach, związawszy włosy w luźne warkocze, a większość mężczyzn wyglądała tak, jakby właśnie opuścili jaskinię. Prawie wszyscy nosili brody, wąsy, nawet długie rzadkie bokobrody, jakich nie widziało się od czasu wojny secesyjnej. Końskie ogony też były popularne, zwłaszcza wśród takich łysiejących zlewów jak Ackerley, botanik tak rzadko widywany poza swoją pracownią, że dorobił się ksywki „Zjawa”. Danzig poza tym, że nosił kły morsa, szczycił się też bransoletką z kości i własnoręcznie uszytymi spodniami ze skóry renifera. Michaelowi przypomniawszy się kąśliwa uwaga, którą wypowiedziała jedyna kobieta w pełnym mężczyzn barze na Alasce, rozglądając się po sali: „Świetne proporcje, koszmarne propozycje”.

Zanim poszedł do stołówki - rany, nie mógł się doczekać gorącego posiłku - zajął do pokoju łączności i zadzwonił na domowy numer szefa. W tle usłyszał telewizyjną transmisję meczu koszykówki, ale gdy Gillespie upewnił się, kto dzwoni, natychmiast ściszył telewizor i spytał:

- Dobrze ci idzie? Wszystko gra?

Michael przez chwilę rozkoszował się tym, co miał do powiedzenia, po czym rzekł:

- Lepiej niż dobrze. Siedzisz?

- Nie i teraz nie zamierzam siadać. Co jest?

Wtedy Michael opowiedział mu tak spokojnie i precyzyjnie, jak to tylko możliwe - nie chciał, by Gillespie posądził go o ześwirowanie na biegunie - że znaleźli w lodowcu ciało, może nawet dwa, i co więcej, wydobyli je. Gillespie milczał przez cały czas, gdy Michael mówił. Milczał również, gdy Michael skończył. W końcu dziennikarz musiał spytać:

- Jesteś tam?

- Nie żartujesz?

- Nie żartuję.

- Serio?

Michael usłyszał dzwonek mikrofalówki.

- Absolutnie. A czy wspomniałem, że to moje odkrycie?

Rozległ się głośny stuk, jakby Gillespie upuścił słuchawkę na blat. Potem trzaski, okrzyki i przekleństwa. Wreszcie szef przemówił w miarę normalnie:

- Och, mój Boże. To fenomenalne. Masz zdjęcia?

- Tak i będę miał więcej.

- Michael, mówię ci, jeśli to serio...

- Serio - zapewnił go Michael. - Widziałem tę dziewczynę na własne oczy.

- Za to dostaniemy nagrodę krajową! Jak dobrze sprzedamy temat, liczba prenumeratorów wzrośnie trzykrotnie. Mogą cię zaprosić do Sixty Minutes. Możesz wydać książkę. Nawet sprzedać prawa do filmu.

Ciągnął w tym duchu jakąś minutę. Połączenie czasem się rwało i Michael musiał cierpliwie czekać, aż znowu zostanie nawiązane. Lecz gdy w końcu udało mu się dojść do głosu i wyjaśnił, że linia działa tylko kilka godzin dziennie, i że inni czekają w kolejce, Gillespie odpuścił. Zresztą i tak było wyraźnie słychać, że ma ochotę walnąć sobie kielicha. A Michael czuł, że osunie się na podłogę, jeśli zaraz nie dobiegnie do stołówki.

Kiedy się tam znalazł, napełnił talerz dymiącym chili con carne, wziął chleb z mąki kukurydzianej i usiadł obok Charlotte Barnes. Na widok jego porcji skinęła z aprobatą, mówiąc:

- Potem przepłucz sobie gardło gorącym koktajlem wiśniowym.

- Chętnie - powiedział Michael, zmiatając zawartość talerza.

- Cały dzień nie widziałem Darryła. Mam nadzieję, że nie dąsa się na ciebie za szlaban na nurkowanie.

- Nie, myślę, że szybko się z tym pogodził. Zaszły się w pracowni.

Michael wziął pajdę chleba, nałożył na nią wołowiny i ugryzł potężny kęs.

- Nie chciałabym ci psuć zabawy - ostrzegła go Charlotte - ale proszę, nie zmuszaj mnie do przećwiczenia manewru Heimlicha¹⁶. To naprawdę nic miłego.

Michael zwinął. Kiedy przestał żuć i przełykać, spytał nonszalancko:

- A więc jak, słyszałaś o dzisiejszym zanurzeniu?

Nie wiedział, czy Murphy już włączył learkę w krąg wtajemniczonych, a nie chciał się wygadać.

Charlotte pociągnęła łyk kawy i kiwnęła głową.

- Uznał, że jako lekarz naczelny bazy powinien wiedzieć... wszystko.

- Cieszę się, że tak myśli - odetchnął z ulgą Michael - ale nie wydaje mi się, żebyś mogła wiele zrobić dla tej pani.

- Chodziło mu nie o nią, ale o ciebie. Bał się, czy nie uznam, że sfiksowałeś, kiedy zaczniesz o niej mówić.

- Nie sfiksowałem, no nie? - spytał.

Charlotte wzruszyła ramionami.

- Za wcześnie na diagnozę. Ale wciąż myślisz, że jest ich dwoje? Jedno z przodu i drugie z tyłu?

- Nie mogę powiedzieć na pewno... to może być jej płaszcz, cień albo zmętnienie lodu. Na wszelki wypadek wycięliśmy gruby blok, więc kiedy Betty i Tina go ostrugają, w końcu się dowiemy, na czym stoimy.

W głębi stołówki, za plecami Charlotte, Michael dojrzał wymachującą gorączkowo rękę. Przechylił się i zobaczył Darryła, który z tacą W drugiej ręce szedł do nich. Opadł bez sił obok Charlotte i szepnął konspiracyjnie do Michaela:

¹⁶ Technika ratownicza stosowana w przypadku zadławień - nacisk na przeponę w celu sprężenia powietrza w drogach oddechowych i wypchnięcia pokarmu, który utknął w tchawicy (inaczej: tłocznia brzuszna).

- Gratuluję! Właśnie odwiedziłem Śpiącą Królową w składnicy rdzeni i mogę donieść, że śpi nad wyraz spokojnie.

Michaela ogarnęło jakieś dziwne zmieszanie - nie tyle z powodu żartobliwego tonu Darryla, co słów, których użył. Nie potrafił zapomnieć, że rodzice Kristin też uważali, iż ich córka najzwyczajniej zasnęła.

- Ale wiesz, Michael - kontynuował Darryl, posypując spaghetti całą miseczką parmezanu - kiedy tylko Betty i Tina oskrobia ją z lodu, najlepiej byłoby ją przenieść do laboratorium biologii morskiej.

Powiedział to niedbałym tonem, zbyt niedbałym - Michael bez trudu zgadł, że naukowiec rozważył to bardzo dokładnie.

- Dlaczego? - spytał go.

Darryl wzruszył ramionami, znów nadto niedbale.

- Powinna być rozmrażana powoli i najlepiej w miejscowej wodzie morskiej. W innym wypadku może dojść do uszkodzenia lub rozpadu ciała. Opróżniłbym największy zbiornik... te dorsze nawet nie są moje... i podniósłbym przegrody. Wtedy złożyłoby się blok, czy resztki bloku, w zimnej kąpieli. Rozpuściłby się bardzo powoli, w kontrolowanych warunkach laboratoryjnych.

Michael spojrzał na Charlotte, oczekując opinii eksperta - cokolwiek by mówić, była lekarką - ale wyglądało na to, że wie tyle co on. W końcu spytał:

- Ale tak w ogóle, czemu mnie pytasz? Czy to nie sprawa O'Connora?

- On tylko pilnuje tego interesu - odparł Darryl - i w ogóle stara się trzymać z daleka od wszystkich naukowych spraw. I czy ci się to podoba czy nie, to w tym scenariuszu ty jesteś Królewiczem Jasnolicym. Więc jak twoim zdaniem powinniśmy przywrócić ją do życia? Pocałunkiem?

Michael niezbyt się widział w roli Królewicza Jasnolicego w tym czy innym scenariuszu, ale poczuł, że jeśli ktoś ma strzec interesów Śpiącej Królowy, to równie dobrze może to być on.

- Jeśli twoim zdaniem tak będzie najlepiej - rzekł - to moim zdaniem chyba też.

Darrylowi zwisała z ust nitka spaghetti, co jednak nie psuło jego wielkiego samozadowolenia.

- Dobrze powiedziane - zakonkludował, wsysając makaron. - Zwłaszcza w kontekście tego, co zamierzam wam pokazać po kolacji.

Michael i Charlotte wymienili spojrzenia.

- Do tej pory nikomu nic nie powiedziałem - dodał - i nie jestem przekonany, czy mam ochotę mówić. Zobaczymy.

Po zasygnalizowaniu, że tajemnica jest jeszcze większa, niż mogło się wydawać, Darryl spokojnie kończył kolację, a Michaelowi i Charlotte nie pozostało nic innego, jak czekać. Michael wypełnił ten czas piciem koktajlu, Charlotte z kolei wzięła sobie jeszcze bezkofeinowe cappuccino.

- Za pół roku - powiedziała, wsypując do filiżanki całą torebkę cukru - będą musieli ściągnąć tu samolot transportowy tylko po to, żeby odstawić moją tłustą dupę do cywilizacji.

*

Darryl biegł z szybkością wiatru po pracowni biologii morskiej, organizując pokaz, podczas gdy Michael i Charlotte zdejmowali parki i rękawice. Nawet pół minuty na dworze bez odpowiedniej ochrony groziło odmrożeniami.

Darryl przyciągnął do stołu dwa stołki. Na blacie stał mikroskop z podwójnym okulem i podłączonym monitorem.

- Jedno muszę przyznać National Science Foundation - zagaił - nie ma węża w kieszeni. Na przykład ten mikroskop to światłowodowy olympus CX. Rozdzielczość monitora pięćset linii.

- Patrzył na urządzenie z autentycznym uczuciem. - Chciałoby się mieć coś takiego w kraju.

Charlotte, która z trudem stłumiła ziewnięcie, wymieniła kolejne spojrzenia z Michaelem. Darryl musiał je dostrzec. Jak prestidigitator wyjmujący królika z kapelusza, postawił na stole butelkę wina z ledwo zatkniętym korkiem.

- Doktor Barnes, czy zechciałaby pani łaskawie czynić honory pani domu?

- Mam nadzieję, że nie planujecie wypicia tego czegoś - powiedziała, wyjmując korek.

- Nie, zrozumiesz, kiedy zobaczysz to, co ja.

Kolejnym teatralnym gestem wręczył jej czystą pipetę i spytał:

- Mogę prosić o pobranie kilku kropeł płynu z tego naczynia?

Zarówno Michael, jak i Charlotte zmarszczyli nosy, czując woń z butelki, ale lekarka zrobiła to, o co ją poproszono.

- A teraz upuść kroplę na szkiełko.

Ledwo zostawiła kroplę kleistego płynu, Darryl zręcznie nakrył szkiełko drugim, tworząc ciemnopurpurową smugę, szerszą na jednym końcu. Sięgnął po zakraplacz do oczu i upuścił na próbkę kilka kropli alkoholu.

- Gdybyś się zastanawiał, co robię - wytłumaczył Michaelowi, uważnie przyglądającemu się jego pracy - to utrwałam rozmaz. - Spojrzał na Charlotte. - Przypomina się akademia medyczna?

- To było zbyt dawno - odparła.

Opisywał, co robi, susząc rozmaz i następnie dodając do niego, jak go nazwał, barwnik Giemsy.

- Bez zabarwienia - wytłumaczył - wiele cech byłoby niewidocznych.

- Cech czego? - spytała Charlotte. W jej głosie pojawiła się nuta irytacji. - Merlota? Cabernet sauvignon?

- Zobaczycie.

Nawet Michael zaczął czuć rozdrażnienie. Miał za sobą bardzo ciężki dzień, przemrożony przegub nadal sprawiał mu ból. Chciał tylko jednego, położyć się do łóżka i przykryć aż po czubek głowy. Potrzebował czasu na przetrawienie tego, co zrobił, i co zobaczył, a wiedział, że zaczyna tworzyć jakieś obłąkańcze powiązania między leżącą kilka tysięcy mil dalej w szpitalu Kristin i tą tak zwaną Śpiącą Królowną. Wiedział, że to chore myślenie, ale nie potrafił się od niego powstrzymać. Może wystarczyłby mu solidny ośmiogodzinny sen.

Ale Darryl dalej głądził o barwnikach, rozmazach i jakimś balsamie kanadyjskim¹⁷, tak że Michael w końcu miał dość i powiedział:

- Dobra, Darryl, wystarczy tego hokus-pokus. Jesteś gotowy?

- Nie do końca. Gdyby postępować zgodnie ze sztuką, najpierw zostawilibyśmy to na noc.

- Świetnie - ucieszył się Michael, wstając ze stołka - w takim razie przyjdziemy tu jutro.

- Nie, nie, zaczekaj.

Darryl umieścił szkiełko pod mikroskopem, wpierw sam się mu przyjrzał, poprawił ostrość, po czym wstał i zaprosił na stanowisko Charlotte. Podeszła ze znużeniem, pochyliła głowę i znieruchomiała.

Darryl sprawiał wrażenie zadowolonego - wyglądał jak człowiek, którego oczekiwania zaspokojono.

Charlotte zmieniła ostrość, po czym wreszcie się wyprostowała. Wyraźnie nie miała pojęcia, co myśleć.

- Gdybym sama nie widziała... - zaczęła, ale Darryl powstrzymał ją uniesieniem ręki.

- Pozwól wpierw zobaczyć Michaelowi.

¹⁷ Ekstrakt żywicy sosny kanadyjskiej, używany w mikroskopii optycznej do sporządzania preparatów.

Teraz dziennikarz zajął główne miejsce, a kiedy popatrzył przez okular, zobaczył różowe, wypełnione cząsteczkami pole; większość zajmowały swobodnie pływające krążki. Niektóre były regularne i bardzo zbliżone rozmiarami, w środku lekko wklęsłe jak poduszka, z której dopiero co ktoś wstał. Inne większe, ziarniste, trochę nieforemne. Michael nie był naukowcem, ale w tym wypadku nie musiał nim być.

- Dobra - powiedział - to krew. - Podniósł głowę znad mikroskopu. - Dolałeś do wina krwi? Po co?

- Oj! - wykrzyknął Darryl, wyrzucając w górę ręce. - Naprawdę za długo siedziałeś pod wodą. Niczego nie dolewałem. Ani nie dodawałem do próbki. Dlatego was ściągnąłem, żebyście się przekonali na własne oczy. Żebyście zobaczyli to, co ja. Ta butelka wina, jak na nią mówicie, jest wypełniona krwią. I założę się, że pozostałe, które leżą w tej skrzyni, też są pełne krwi.

Ani Michael, ani Charlotte nie wiedzieli, co powiedzieć.

- Te idealne kółeczka, które widziałeś - kontynuował Darryl - to czerwone ciała krwi, erytrocyty. Większe to leukocyty, czyli białe ciała krwi. Część drobnej materii pomiędzy to, jak je nazywamy, neutrofile.

- To rodzaj fagocytów, zgadza się? - spytała Charlotte. - Zjadają bakterie i umierają.

- Właśnie. Widzę, że jednak coś tam ci świta ze studiów.

- Nie bądź taki mądry.

- Ale tu jest o wiele więcej neutrofilów, niż powinno być - dodał Darryl. Zrobił przerwę, by przyswoili tę informację, ale gdy nie wyciągnęli z niej żadnego wniosku, powiedział: - Co oznacza, że zanim ta krew w ogóle znalazła się w butelce, była skażona.

- Jak? Przez kogo? - spytał Michael.

- Tak na poczekaniu to powiedziałbym, że pochodziła od ciężko chorych albo okaleczonych. Może z ropiejących ran.

Nagle Michael skojarzył wyjątkowo nieprzyjemny odór ulatniający się z butelki. To „wino” nie było zwykłą starą krwią, było zanieczyszczoną starą krwią. Ale dlaczego coś takiego wlano do butelek i transportowano w skrzyni jak skarb?

- Wybaczcie mi - powiedziała Charlotte - ale to był ciężki dzień. Co sugerujesz, Darrylu? Że jakiś statek Bóg wie skąd wiozł na biegun południowy ładunek skażonej krwi, starannie zabezpieczonej w kufrach?

- Nie ma mowy, żeby jakiś statek faktycznie płynął na Antarktydę - rzekł Darryl. - Zapewne został zepchnięty z kursu i osiadł na polu lodowym, które nie wiadomo jak długo dryfowało na południe. Wiecie, lody nie stoją w miejscu.

- Ale o co chodzi? - spytał Michael. - Do czego można by użyć tej skażonej krwi?

Darryl podrapał się w głowę, strosząc kosmyk na skroniach.

- Tu wymiękam. Skażona krew nie mogła się nikomu przydać, chyba że do eksperymentalnego szczepienia.

- Na statku? - spytał Michael.

- Półtora wieku temu? - wtrąciła Charlotte.

Darryl się poddał. Podniósł ręce.

- Nie patrzcie na mnie, dzieciaki! Też nie wiem. Ale trudno mi uwierzyć, że ta butelka, kufer i ciało... czy ciała, jak może się okazać... nie są ze sobą w jakiś sposób powiązane.

- Pewnie masz rację - powiedział Michael. - Inaczej to byłby najbardziej zdumiewający przypadek w historii badań morskich.

Charlotte chyba myślała podobnie.

- I uważam, że kiedy tylko będzie to możliwe - rzekł Darryl - warto by pobrać próbkę krwi Śpiącej Królowej.

- Co chcesz przez to udowodnić? - spytał Michael.

Darryl wzruszył ramionami.

- Podobieństwo?

- Czego? - zapytał z bezsilnym rozdrażnieniem Michael; nie mógł się połapać w rozumowaniu Darryla. - Krwi tej kobiety i krwi w butelce? Chcesz powiedzieć, że trzymała swoją starą krew na pamiątkę?

- A może chodzi ci o coś innego? - wtrąciła Charlotte. - Sugerujesz, że trzymała pod ręką gotowy zapas tego czegoś, mając na celu jakiś dziwaczny eksperyment medyczny?

- Czasem w nauce wiesz, czego szukasz - powiedział Darryl, patrząc to na jedno, to na drugie i próbując uspokoić rozmowę - i wiesz, gdzie to znaleźć. Kiedy indziej nie wiesz, ale mimo to nie ustajesz w obserwacjach i sprawdzasz każdy trop.

- To mi wygląda na dziwny trop - rzekł Michael, czując niejasny opór wobec całej tej sprawy.

- Trudno temu zaprzeczyć - przyznał Darryl.

Charlotte ciężko westchnęła i sięgnęła po okrycie.

- Idę spać - oznajmiła - i wam też radzę zrobić to samo.

Ale Michael nagle poczuł się zbyt zmęczony, by wstać. Pozostał przy stole, wpatrując się w tajemniczą ciemną butelkę.

- Michael - przywołała go do rzeczywistości Charlotte, zapinając zamek błyskawiczny kurtki - prześpij się. Pani doktor każe. - Odwróciła się do Darryla. - A ty zakorkuj to. - Darryl wskazał pytająco na butelkę. - Wiesz, o czym mówię.

ROZDZIAŁ 20

Początek września 1854 r.

To z powodu koni, z powodu ich straszliwego losu porucznik Copley był bliski szaleństwa.

Jego piękny Ajaks wraz z osiemdziesięcioma pięcioma innymi wierzchowcami trafił do ładowni statku Jej Królewskiej Mości „Henry Wilson” - niewielkiego, ciemnego, nieznośnie ohydneho miejsca - gdzie wcześniej prawie niczego nie przygotowano. Nie było boksów ani kantarów, tylko postronki do pętania nóg - nawet na spokojnym morzu konie napierały jeden na drugiego, następowały sobie na kopyta, rzucały łbami, chcąc zaczerpnąć powietrza. Kiedy tylko brytyjska flota wpłynęła na burzliwą Zatokę Biskajską, oszalały ze strachu. Sinclair i wielu innych oficerów kawalerii - ci, których nie zmogła gorączka lub choroba morska - przebywali w ładowni, stojąc przy koniach, desperacko starając się uspokoić i opanować zwierzęta. Ale to nie było możliwe. Za każdym położeniem się okrętu na burtę biedne, ogarnięte paniką stworzenia wpadały na żłoby, rżąc z przerażenia i próbując ustać na trzeszczących mokrych deskach. Spadająca z luków kaskadami woda chlupotała im między nogami, a gdy upadały, za diabła nie dało się ich podnieść. Kiedy zdarzyło się to Ajaksowi, który przy okazji przygniótł konia Winslowa, potrzebna była pomoc kilku żołnierzy i marynarzy, by z powrotem postawić go na nogach. Sierżant Hatch prawie nie wychodził z ładowni - Sinclair zadał sobie pytanie, czy w ogóle śpi lub wychodzi na pokład zaczerpnąć powietrza, które nie cuchnęłoby końskim gównem, krwią i zgniłym sianem - ale nawet on nie potrafił zapobiec stratom. Każdej nocy konie umierały - łamiąc nogi, ze strachu, z przegrzania (pod pokładem niemal nie było wentylacji) - i następnego dnia bezceremonialnie trafiały za burtę. Na całym szlaku do Morza Śródziemnego brytyjska flota zostawiła za sobą ślad w postaci rozdętych, unoszących się na wodzie końskich trupów.

I chociaż Sinclair zdawał sobie sprawę, że jest tylko młodym niedoświadczonym porucznikiem, to wciąż pytał się w duchu, dlaczego wojsko nie płynie parowcami. Z tego, co powiedział mu Rutheford (jego ojciec był lordem admiralicji pod księciem Wellingtonem), wynikało, że trasę, na przebycie której żaglowiec potrzebuje miesiąca, parowiec pokonuje w dziesięć do dwunastu dni. Nawet gdyby poświęcono dwa tygodnie na zebranie wystarczającej

ilości parowców, uniknięto by tych wszystkich przerażających strat, a dysponujące świeżymi, wypoczętymi końmi oddziały przybyłyby na tureckie wybrzeże gotowe do bitwy, i to znacznie wcześniej niż żaglowcami.

Ale chyba tego rodzaju myśli nie przyszły do głowy dowództwu ani tłumom, które uczestniczyły w pożegnaniu odpływającej armii. Kiedy Sinclair maszerował na pokład wraz ze wszystkimi: Lekką Brygadą, Ciężką Brygadą, LX Regimentem Strzeleckim i XI Regimentem Huzarów, jemu również udzielił się radosny nastrój panujący w porcie. Wszyscy wierzyli w szybki koniec wojny. Może konflikt się rozstrzygnie, zanim część tych wojaków będzie miała okazję użyć lancy, szabli czy karabinu? Mówiło się, że Rosjanie są do tego stopnia pozbawieni zapału do walki, że większość z nich rusza w bój dopiero pod groźbą rozstrzelania. Le Maître powiedział Sinclairowi, że karabiny rosyjskiej piechoty to drewniane atrapy, podobne do szabel używanych w trakcie ćwiczeń przez regiment. Dlatego też wielu angielskich oficerów otrzymało pozwolenie na zabranie żon - damy założyły najświetniejsze, najbardziej kolorowe stroje. Niektórym towarzyszyły pokojówki i ulubione wierzchowce. Podczas gdy Sinclair lustrował wzrokiem tłumy wypełniające port i nabrzeże, szukając bladej plamki, widział wnoszone na pokład skrzynki wina, bukiety kwiatów i wypełnione owocami z cieplarni koszyki ze słomy. Setki ludzi miało chorągiewki w barwach narodowych, inni szaleńczo machali kapeluszami, czepkami i koronkowymi chusteczkami do nosa, a wojskowa orkiestra grała marsze. Słońce pięknie świeciło i Sinclair wprost nie mógł się doczekać rozpoczęcia przygody.

- Moira mi mówiła, że niepodobna, by panna Nightingale dała im wolne - rzekł kapitan Rutheford, opierając się o reling i zgadując, kogo wypatruje jego towarzysz.

Sinclair spojrział na niego. Kapitan miał czoło błyszczące od potu.

- Na to jej powiedziałem, że w takim razie ta jej panna Nightingale to żadna patriotka - zakonkludował Rutheford, zdejmując z ramion kurtkę z futrzanym kołnierzem i przewieszając ją przez reling.

Sinclair nigdy nie mógł pojąć, jakiego rodzaju więzi łączą kapitana i pannę Mulcahy. Co prawda jego znajomość z Eleanor Ames sama w sobie była niezwykajna - i jak każdy by mu powiedział, praktycznie nie miała przyszłości - ale przywiązanie Rutheforda do piersiastej, prostolinijnej pielęgniarce wydawało się o niebo dziwniejsze. Rutheford pochodził z bardzo szanowanej rodziny z Dorset - miał odziedziczyć tytuł para - która nie posiadałaby się z oburzenia na wieść o tym związku. Tak, wszyscy wiedzieli, że oficerowie kawalerii zabawiają się z miejskimi paniami i często pozwalają sobie na lekkomyślne, nawet niemoralne romansiki, ale rozumiało się samo przez się, że te bawidamki kiedyś otrzeźwieją,

zwłaszcza w obliczu wielkiej zagranicznej ekspedycji. Był to idealny moment i doskonały sposób, aby przeciąć wszelkie kłępujące więzy. Służba w wojsku miała swoje plusy.

Jednak Sinclair odnosił wrażenie, że pod maską pyszałkowatości Rutheford jest dziwnie sentymentalny. Nie czuł się dobrze na salonach, gdzie bywał regularnie zapraszany, ani też w ogóle w damskim towarzystwie - Sinclair widział raz, jak niedźwiedziowaty Rutheford wylał wazę ponczu na przedstawianą mu młodą damę. O wiele bardziej wolał życie w koszarach, sprośne pogaduszki i męską kompanię, a panna Moira Mulcahy mimo gminnego obejścia jakoś go pociągała. Więcej, gdyby Sinclair miał zgadywać, co jest tego przyczyną, rzekłby, że to właśnie ów brak wyrafinowania tak fascynuje kapitana, wespół rzecz jasna z chętnie i hojnie eksponowanym obfitym biustem. Młody porucznik nagle pomyślał, że być może lepiej zrobiłby, wypatrując wśród portowej cizby rozległej połaci nagiego kremowego ciała niż nowej żółtej sukni, w której Eleanor mogłaby towarzyszyć Moirze.

Lord Cardigan, dowódca XI Regimentu Huzarów, z daleka rzucał się w oczy, siedząc na końskim grzbiecie ubrany w pyszny mundur. Otoczony adiutantami, grmiącym głosem wydawał rozkazy. Był próżnym, przystojnym mężczyzną o sumiastych rudych wąsach i bokobrodach. Siedział w siodle wyprostowany jak struna. Słyszał z cholerycznego temperamentu, fanatycznego przywiązania do regulaminu i głupio pojmowanych zasad honorowych; wywołał nawet w kasynie oficerskim skandal, którego reperkusje nadal odczuwał. Nakazał, by do jego stołu podawano tylko szampana, nie czarne butelki porteru, tak lubianego przez wielu żołnierzy, szczególnie tych, którzy służyli w Indiach. Adiutant generała zamówił mozelskie. Zostało podane niezdekantowane, w oryginalnym ciemnym szkle. Cardigan pomyślał, że to porter, wpadł w szal i obraził kapitana regimentu. Zanim afera ucichła, cały Londyn o niej huczał, zanosząc się od śmiechu. Lord Cardigan nie mógł pokazać się w teatrze ani nawet w parku, gdzie zwykle przychodził ze swoimi wilczarzami irlandzkimi, by nie usłyszeć szyderczych okrzyków: „Czarna flacha!”. Jego podkomendni byli szczególnie uczuleni na tego rodzaju obelżywości i często brali się za łby z prześmiewcami.

Jako że XVII Regiment Lansjerów Lekkiej Brygady formalnie podlegał lordowi Lucanowi, upartemu szwagrowi Cardigana, porucznik Copley podejrzewał, że nieszczęśni żołnierze tak naprawdę byli jedynie pionkami na szachownicy podlanych żółcią rodzinnych rozgrywek.

- Czy mogę pożyczyć? - spytał przechodzącego oficera marynarki wojennej Rutheford.

Marynarz, być może oszołomiony szamerunkami kawalerzysty, nie rozeznał faktycznej rangi śmiałka, więc natychmiast rozstał się z niesioną lunetą i poszedł dalej wypełniać obowiązki.

Rutheford uniósł lunetę i zlustrował tłum od początku High Street do ramp załadowniczych. W powietrzu rozbrzmiewał niekończący się tupot żołnierskich butów, rzenie i parskanie koni, a także grany przez wojskową kapelę hymn irlandzkiego regimentu piechoty. Zmienny wiatr porywał dźwięki na otwarte morze. Padł rozkaz, powtórzony na pokładach okrętów; marynarze zaczęli popędzać zwlekających, wymieniono ostatnie napomnienia i szybkie uściski z rodziną i przyjaciółmi; ciężkie trapy poszły w górę i zostały wciągnięte na pokład. Obsługa portowa odknagowała grube cumy i rzuciła je marynarzom. Poszukiwania Rutheforda zakończyły się fiaskiem.

- Już ja się rozmówię z tą Florence Nightingale, kiedy znów się zobaczymy - sapnął.

- Daj, niech spróbuje - powiedział Sinclair, biorąc lunetę. Podniósł ją i najpierw zobaczył koński zad - tak się złożyło, że wierzchowca Cardigana - podążający z powrotem do miasta. Jak głosiła plotka, czcigodny lord miał wyruszyć później niż żołnierze, w bardziej komfortowych warunkach, na francuskim parowcu.

Sinclair nie miał więcej szczęścia niż Rutheford. Przez chwilę wydało mu się, że widzi przyjaciółeczkę Francuzika, Dolly, ale czepek damy był tak duży, że nie dało się niczego stwierdzić z pewnością. W całym zamieszaniu nawet Francuzik został oddzielony od kolegów i zapewne zgubił się gdzieś na zatłoczonym pokładzie „Henry’ego Wilsona”. Sinclair dostrzegł małego, dzielnie uśmiechniętego chłopczyka, który trzymał się matczynej ręki. Inny malec był pochłonięty łapaniem rannej jaskółki, skaczącej między kołami wozu armijnego dostawcy.

Padły kolejne rozkazy. Kilkunastu marynarzy wdrapało się na maszty; rozkazano spuścić żagle - płótna głośno załopotwały. Okręt zaskrzypiał i zastękał jak budzący się do życia zeszytniały gigant. Koronka brudnej wody rozpostarła się między nabrzeżem i kadłubem. Sinclair lornetował port od końca do końca, to ustawiając lunetę na żółtej parasolce, to na czymś, co okazało się żółtym afiszem widowiska w Drury Lane.

- Ciekaw jestem, kiedy czeka nas pierwsza bitwa - powiedział Rutheford. - Mam nadzieję, że nie będzie to byle potyczka w ścisiku, bez szans użycia lanc jak należy. - Lanca była stosunkowo świeżą innowacją, wprowadzoną podobnie jak mundury regimentu na wzór uzbrojenia polskich lansjerów, którzy jakże dzielnie stawali pod Waterloo.

Sinclair mruknął potakująco i dalej szukał. Już miał dać za wygraną - okręt się kołysał, więc obraz w lunecie skakał i umykał - gdy zobaczył otwarty wóz pędzący boczną uliczką i

dwie postaci, jedną w żółtym, drugą w białym fartuszk. Zeskoczyły z wozu i pobiegły do portu. Porucznik jedną ręką trzymał się relingu, drugą skierował lunetę na biegnące panny. Pierwszą była Eleanor, przyciskająca do głowy pielęgniarzski czepek, a za nią ciężko przebiegała nogami Moira, unosząc wysoko suknie i halki.

„Henry Wilson” odpłynął już ponad sto jardów od nabrzeża; powiewająca na rufie flaga zasłaniała Sinclairowi widok, ale dostrzegł, że dziewczęta patrzą na inny wypływający transportowiec i kierują kroki ku niemu. Eleanor zatrzymała jakiegoś żołnierza i wymieniwszy z nim kilka pośpiesznych słów, ujęła Moirę za ramię i odwróciła ją do nabrzeża, od którego właśnie odbił okręt XVII Regimentu Lansjerów.

Flaga trzepotała w rosnącej bryzie. Sinclair krzyknął do Rutheforda:

- Tam są! Biegną do nabrzeża!

Rutheford wykręcił głowę nad relingiem, podczas gdy Sinclair wsadził lunetę pod pachę i machał szeroko ręką.

Kolejne płachty runęły z topmasztów i okręt natychmiast nabrał prędkości. Łąd pozostawał w tyle, a ludzie na brzegu zamieniali się w kropeczki.

Sinclair znów podniósł lunetę do oka i po raz ostatni odnalazł żółtą plamkę. Siłą woli przyciągał ku sobie wzrok Eleanor - nie wiedzieć czemu wpatrywała się we wzdęte żagle „Wilsona” - i gdy okręt napotkał pierwsze fale otwartego morza i wzbili fontanny chłodnej piany, które skąpały wszystkich na pokładzie, wydało mu się, że Eleanor skierowała zielone oczy ku niemu. A przynajmniej chciał, aby tak było.

*

Kolejne tygodnie należały do najbardziej żalosnych w młodym życiu porucznika. Zgłosił się do wojska, szukając sławy i prawdę mówiąc, aby paradować po mieście w świetnym mundurze kawalerzysty, nie po to, aby grzęznąć w cuchnących wątpiach zatłoczonego statku. Nie po to, aby dzień w dzień jeść zimną soloną wieprzowinę i robaczywe suchary - kiedy już wyrzuciło się całe paskudztwo, zostawała tylko kupka okruchów - a noce spędzać w ohydnej, czarnej jak piekło ładowni, walcząc o życie przerażonego do granic możliwości konia. Z tęsknotą wspominał londyńskie czasy, gry w karty, psie pojedynki i wieczory w Salonie Afrodyty. (Wyrzucenie Fitzroya przez okno weszło do żelaznego zestawu legend regimentu). Kiedy steward okrętowy wydzielił mu marną rację rumu, myślał o znakomitym klubowym porto i schłodzonym szampanie. Kiedy pierwszy mat - najzwyczajniejszy cham - zbeształ go za palenie cygara pod pokładem, myślał o pękających od tytoniowych rozkoszy koszarowych humidorach - nie wspominając o szpicrucie, której z przyjemnością popróbowalby na człowieku, który śmiał przemówić do niego tak prostackim tonem. Do tej pory wojsko

pokazywało mu przyjazną twarz, mimo że chwilami buntował się przeciwko tysiącom nakazów i zakazów... ale z każdą godziną na pokładzie tego cuchnącego, przewalającego się z boku na bok statku stopniowo zachodziła w nim jakaś zmiana. Czuł rosnącą w piersiach urazę, poczucie, że został oszukany, wyprowadzony w pole.

Widział, że duch jego przyjaciół też słabnie. Francuzik, kiedyś tak chętny do zagwizdania piosenki czy splątania figla, leżał w kołyszącym się hamaku zielony jak trawa na boisku do krykieta, ściskając się za brzuch. Rutheford, zwykle hałaśliwy i chełpliwy, odzywał się mniej pewnym tonem, jeśli w ogóle się odzywał. Inni - Winslow, Martins, Cartwright, Mills - snuli się po okręcie jak duchy, bladzi, przemoczeni, i chociaż na pokładzie niewątpliwie było świeższe powietrze, to z kolei nie dało się tam uciec od widoku padłych koni - i coraz częściej zmarłych żołnierzy, powalonych dyzenterią, kolką i innymi dolegliwościami - wleczonych do burty i wyrzucanych do falującego morza jak odpadki. Teraz, gdy Sinclair miał okazję przyjrzeć się z bliska karierze w Marynarce Wojennej Jej Królewskiej Mości, okazywała się czymś zupełnie innym, niż wcześniej sobie wyobrażał.

Jedynym, który zdawał się nieczuły na to wszystko, był sierżant Hatch, hindus, traktowany z góry przez sztabowców i oficerów. Sinclair wiedział, że fraternizowanie się z podoficerem skazuje na lekceważenie również jego, i Rutheford posunął się do tego, że ostrzegł go przed wyraźnym akcentowaniem tej zażyłości, jednak Sinclair czuł, że towarzystwo sierżanta w jakiś sposób dodaje mu sił. Hatch dawno temu zaakceptował swój los i życie w armii; wiedział, co o nim myślą inni, czego się od niego wymaga, i jaki powinien mieć do tego stosunek. I chociaż był świadomy dystansu, jaki na płaszczyźnie towarzyskiej dzielił go od Sinclaira i nie szukał jego towarzystwa, to na swój pełen umiaru sposób zawsze okazywał zadowolenie, gdy się spotkali - zwłaszcza że obaj należeli do wielkich admiratorów kapitana Lewisa Edwarda Nolana, którego szkoła układania konia ostatnio zdobyła szerokie uznanie. To co od dawien dawna uzyskiwano szpicrutą i ostrogą, Nolan osiągał łagodnym słowem, delikatnym gestem i paroma kostkami cukru. Jego metody, rozwinięte głównie w Austrii, gdzie służył pod arcyksięciem, zdobywały uznanie brytyjskiej i podobno nawet amerykańskiej kawalerii, tak że Anglia wzięła sobie za punkt honoru odzyskanie go do służby Jej Królewskiej Mości. Obecnie dołączył do XV Regimentu Huzarów i jak wszyscy płynął na Morze Czarne.

- Widziałem go na własne oczy - rzekł Hatch, podając garść jęczmienia swojemu Abdullahowi. Flota wypłynęła bez stosownej ilości paszy dla koni - jak i niemal całego zaopatrzenia - tak że na domiar męczarni zwierzęta niemal zdychały z głodu. - No, już, już -

powiedział żołnierz, gdy zwierzę wylizywało mu dłoń, rozpaczliwie szukając ziaren. Poglądził je po chrapach. - Więcej jutro.

- To najlepszy jeździec, jakiego widziałeś? - spytał Sinclair.

- Mówiono mi, że nikt nie może się z nim równać.

- Tylko przeprowadzał rekonesans z adiutantami lorda Raglana - odparł z uśmiechem Hatch - więc trudno rzec. - Jak często w towarzystwie sierżanta Sinclair poczuł, że odezwał się jak chłopiec. - Ale tak, prowadził konia wręcz od niechcenia. Nieomal nie pracował ręką ni łydka, a zwierzę i tak zawsze wiedziało, czego się od niego wymaga.

Abdullah wyciągnął szczupłą szyję, mocno trącił Hacha w ramię i ten się cofnął. Rzadko wychodził na pokład, ale tym razem zaproponował opuszczenie ładowni.

- Jak tu zostaniemy, biedne zwierzę gotowe zeżreć mi epolety - dodał. Ton jego głosu był żartobliwy, ale obaj wiedzieli, że to nie żart.

Na pokładzie musieli przestąpić kilku leżących gorączkujących żołnierzy - infirmeria miała tak niewielkie rozmiary, że już dawno nie dostawało w niej miejsca. Usłyszeli chlupot, gdy kolejny trup w płóciennym całunie trafił za burtę. Kiedy powierzano głębiom pierwsze ofiary podróży, wojskowi muzykanci odgrywali Marsz żałobny z oratorium *Saul* pana Haendla. Lecz gdy liczba zmarłych wzrosła i pogrzeby stały się codziennym rytuałem, oficerowie zakazali tej praktyki. Sinclair słyszał, jak kapitan statku wyznał jednemu z nich:

- Morale już jest wystarczająco niskie i oszaleję, jak znów usłyszę tę cholerną muzyczkę.

Hatch i Sinclair znaleźli kilka wolnych stóp kwadratowych. Usiedli, opierając się plecami o maszt. Sierżant nabił fajkę słodko pachnącym tytoniem, do którego przywykł w Indiach. Obok nich przeszedł Winslow i dziwnie łypnął na Sinclaira. Ten odpowiedział mu gniewnym spojrzeniem.

Hatch zauważył to i rzekł:

- Nie przysparzacie sobie popularności, panie poruczniku, zadając się z takimi jak ja.

- Zadaję się z tymi, z którymi mam ochotę się zadawać.

Hatch zapalił fajkę.

- Nie lubią, jak się im przypomina.

- Co?

- To, że do tej pory nie powąchaliby prochu. - Pociągnął fajeczkę i w powietrzu rozszedł się dziwny zapach. - I jak sądzę, Chillianwala¹⁸.

¹⁸ Miejsce bitwy podczas 2. wojny Anglików z Sikhami w Pendżabie (obecnie Pakistan).

Nawet Sinclair nie wiedział, że sierżant Hatch brał udział w tamtej bitwie - jednej z największych katastrof brytyjskiej kawalerii. Z krążących wtedy opowieści wynikało, że dowództwo dopuściło się skandalicznych zaniedbań, pozwalając, aby Brygada Lekkiej Kawalerii natarła na potężne zgrupowanie sikhów u podnóża Himalajów, nie wysławszy wpierw zwiadowców, którzy rozpoznaliby teren. W obliczu kontrnatarcia znakomitych sił nieprzyjacielskiej konnicy szwadrony w centrum pierwszej linii albo pierzchły, albo otrzymały rozkaz odwrotu - nigdy nie udało się ustalić, co naprawdę zaszło - zawróciły i zderzyły się z oddziałami postępującymi za nimi. Sikhowie, znani z tego, że nie brali jeńców, dobyli ostrych jak brzytwy kirpanów i rzucili się do ataku. W ogólnym zamieszaniu, które ogarnęło brytyjskie oddziały, dwa rodzime regimenty i ich bengalskie odpowiedniki podały tyły, traktując baterie dział i poświęcając obok setek dusz trzy sztandary. Choć od tamtych wydarzeń minęło pięć lat, pamięć o nich nadal sprawiała ból.

- Dlatego noszę go pod koszulą - powiedział Hatch, wyciągając łańcuszek, na którym wisiał srebrny wojskowy medal z napisem KAMPANIA W PENDŻABIE, 1848-1849. Schował go z powrotem. - Każdy żołnierz, który przeżył tamten dzień, szuka okazji, aby się zemścić.

Z bocianiego gniazda rozległ się krzyk, powtórzony przez oficerów marynarki na pokładzie. Sinclair i Hatch szybko powstali i podeszli do relingu prawej burty; żołnierze, którzy nadal potrafili ustać na nogach, tłoczyli się, wypatrując oczy, podczas gdy świetlista mgła nad wodą rozplywała się, odsłaniając wybrzeża Krymu i flotyllę przybyłych wcześniej brytyjskich okrętów stojących na kotwicy. Kiedy „Henry Wilson” zwinął bram i bombramżagle, wpływając na spokojniejsze wody, Sinclair od czasu do czasu słyszał z oddali dźwięk trąbki i widział błyski broni na plażach; wyładunek już się rozpoczął i młody porucznik poczuł, że krew płynie mu zwawiej w żyłach. Z tego co wiedział, Krym był krainą rozległych łagodnych wzgórz, pozbawionych drzew czy krzewów, a więc idealnie sprzyjającą manewrowaniu kawalerią. Zaprzagnął wyprowadzić z ładowni Ajaksa i skierować go na te, wydawało się, spokojne pastwiska, po których mógłby swobodnie gnać.

Dopiero gdy okręt podpłynął bliżej brzegu i rzucono kotwice, Sinclair zauważył coś jeszcze. Unosiło się na wodach zatoki. Początkowo uznał, że to wodne zwierzęta - foki, delfiny? - aż jeden z podskakujących jak boja kształtów podpłynął ku dziobowi „Henry Wilsona”. Z wolna podrygiwał wzdłuż kadłuba, ulegając wirom i prądom, uderzał o okręt, kręcąc się wokół własnej osi to bliżej, to dalej. I Sinclair dostrzegł głowę i ramiona żołnierza w czerwonej kurtce. Martwy czerep o wpadniętych policzkach i szklistych oczach kiwał się na boki. Potem odpłynął na dobre, wyruszając na otwarte morze.

Lecz trupów było wiele. Podskakiwały jak koszarne czerwone jabłuszka w beczce deszczówki.

Stojący obok Sinclaira marynarz przeżegnał się.

- To cholera - zamruczał. - Trupy są zbyt niebezpieczne, żeby je pochować albo spalić.

Sinclair odwrócił się do Hacha, który zacisnął zęby na fajce.

- Ale... w ten sposób? - spytał porucznik.

Hach wyjął fajkę z ust.

- Przyczepiają im balast, zanim je wrzucą do wody - wyjaśnił. - Ale czasem jest zbyt mały.

- I pęcznieją - rzekł trzeźwym głosem marynarz. - Wtedy niektórzy wracają, rozejrzeć się ostatni raz.

Sinclair spojrział na zatłoczony port, gdzie rozładowywano okręty i transportowce, gdzie białe szalupy z żołnierzami płynęły na brzeg, flagi trzepotały w morskiej bryzie, migotały bagnety... a potem wrócił wzrokiem do straszliwych śmieci unoszących się i opadających na białogrzywych falach.

- Jaka jest nazwa tego miejsca? - spytał pewien, że nigdy jej nie zapomni.

Marynarz sucho się roześmiał. Zasalutował i rzekł, zanim odszedł:

- Zatoka Kalamicka¹⁹.

¹⁹ Gra słów. Zatoka Kalamicka, ang. Calamita Bay; *calamity* - klęska

ROZDZIAŁ 21

11 grudnia, 13.00

Betty Snodgrass i Tinę Gustafson czasem brano za siostry. Obie były „grubokościstymi dziewczynami”, jak często same żartowały, o blond włosach i płaskich twarzach. Poznały się w słynnym Instytucie Nauk Arktycznych i Glacjologii na Uniwersytecie Idaho i prawdopodobnie było to pierwsze, choć na pewno nie ostatnie miejsce, w którym przyklejono im łatkę „lodowych babochłopów”. Glacjologię powszechnie uważano za najcięższą, najbardziej rygorystyczną i wymagającą największego poświęcenia specjalność nauki o Ziemi i niewątpliwie właśnie dlatego Betty i Tina się nią zainteresowały. Kichały na wszystko, co mięczakowate, delikatne i babskie; szukały tego, co wymaga żelaznej fizycznej wytrzymałości i jaj. Ostatnim marzeniem przyszłego glacjologa jest wylegiwanie się na karaibskich plażach.

Ich pragnieniom stało się zadość.

Na Cyplu Adeli prowadziły spartańskie życie w możliwie najtrudniejszych naturalnych warunkach, robiąc odwierty, gromadząc próbki lodu w podziemnej zamrażarce - w której panowała stała temperatura minus dwadzieścia stopni - lub w magazynie rdzeni, jeśli chciały, by zbity lód nieco puścił. Następnie wykonywały analizy izotopów i gazów, szukając dowodów zmian ziemskiej atmosfery na przestrzeni epok geologicznych. Przy okazji stały się ekspertami od rzeźbienia w lodzie - najlepszymi w tym interesie, jak lubiły sobie wyobrażać. Betty czasem w żartach mówiła Tinie, że jak im nie wyjdzie w glacjologii, zawsze będą mogły zarabiać na życie, robiąc lodowe rzeźby na wesela i bar micwy.

Jeśli chodzi o znalezisko Michaela, to połowę roboty miały odwaloną. Wycięty z podwodnej części lodowca blok lodu stał pionowo między stojakiem z rdzeniami a drewnianą skrzynią z napisem „OSOCZE”, w której przebywał mały wydrzyk. Przed wiatrem osłaniało go metalowe ogrodzenie wysokości sześciu stóp. Ale to była cała ochrona. Za podłogę służyła zamrożona tundra, za dach - szare niebo.

Siłą nawyku Betty i Tina nałożyły na ciepłe ubrania śnieżnobiałe sterylne kombinezony - rdzenie lodowe łatwo ulegały skażeniu - chociaż w tym wypadku nie musiały się tym przejmować: blok wycięto brudnymi piłami, a potem wyciągnięto go w zapaskudzonej

kabinie otworu nurkowego. Zresztą jeśli kogoś interesował wiek tego kawałka, dokładniejszych informacji mogło udzielić ciało wewnątrz niego, nawet jeszcze okryte kilkucalową pokrywą lodu. Betty rozpoznawała z grubsza rodzaj i krój ubioru - przypominał jej odcinki *Masterpiece Theatre*²⁰, które oglądała jako brzdąc. Odniosła wrażenie, że widzi przygaszony blask broszki z kości słoniowej na piersi kobiety.

Pracowała ręcznym świdrem, piłą i ostro zakończonym młotkiem, usiłując nie patrzeć jej w oczy. To zbyt działało na nerwy.

Tina wzięła na siebie tył lodowej bryły - używała takich samych narzędzi. Jak zwykle rozmawiały o czymś zupełnie innym - ostatnich zmianach w NFL - gdy Tina przerwała pracę i powiedziała:

- Mieli rację.
- Że...? - spytała Betty, odcinając kolejny plaster lodu.
- Że tam jeszcze ktoś jest. Teraz widzę.

Betty obeszła blok i również go zobaczyła. Głowę miał wciśniętą w tył głowy kobiety. Szyję też opasywał mu żelazny łańcuch. Twarz zdobiły mu jasne wąsy i chyba nosił mundur. Glacjolożki spojrzały na siebie; Betty powiedziała:

- Może powinniśmy przestać?
- Dlaczego?
- To chyba przerasta nasze możliwości tutaj. Niewykluczone, że należałoby to wysłać dalej, do laboratoriów NSF w Waszyngtonie. Albo nawet do Instytutu w Idaho.
- Co...? I zrezygnować z wejścia do historii?

*

Obładowany sprzętem - aparatem, trójnogiem, reflektorami - Michael nie miał wolnej ręki, którą mógłby otworzyć metalowy panel pełniący funkcję drzwi magazynu rdzeni, więc po prostu w niego kopnął. Usłyszał fragment rozmowy Betty i Tiny - jedna z nich właśnie powiedziała coś o historii. Kiedy Betty uchyliła drzwi, powiedział:

- Przepraszam, że nie zapowiedziałem się telefonicznie.
- Nic się nie stało. Uwielbiamy towarzystwo.
- Żywe towarzystwo - dodała z namaszczeniem Tina.

Ale Michael był tak przejęty swoimi obowiązkami, że nie załapał dowcipu. Rozłożył sprzęt i natychmiast podszedł do skrzyni w kącie magazynu. Ukłękł i zajrzał do środka - Ollie

²⁰ Telewizyjna seria biografii, adaptacji powieści i oryginalnych przedstawień prezentujących postaci i wydarzenia związane z historią Wielkiej Brytanii.

już tak się do niego przyzwyczaił, że się podniósł i przyczłapał bliżej. Michael podał mu kawałek boczku ze stołówki. Ollie przekrzywił puchaty łebek - z każdym dniem bardziej przypominał mewę - poprzyglądał się, po czym szybkim dziobnięciem porwał jedzenie.

- Hej, mało mi palca nie urwałeś. - Michael położył na brzegu skrzyni następne kawałki i wstał. Lecz gdy zobaczył marsowe miny Betty i Tiny, dodał: - Nie przejmujcie się tak, małe wydrzyki mogą jeść prawie wszystko.

- Nie o to chodzi - powiedziała Betty.

Podążył za wzrokiem Tiny, skierowanym na blok lodu, i podchodząc do niego, rzekł:

- Niech mnie drzwi ścisną. Miałem rację.

W lodzie tkwił też mężczyzna - jeśli ona była Śpiącą Królową, w takim razie on byłby jej Królewiczem Jasnolicym, czy nie tak? Michael od razu odniósł wrażenie, że to żołnierz; na piersiach lśnił mu złoty sznur.

Poczuł także coś przedziwnego - ulgę, że kobieta przez cały ten czas nie była sama.

- Nie tnijcie dalej - poprosił. - Muszę zrobić dokumentację zdjęciową tego etapu.

Szybko rozstawił lampy wokół bloku. Dzień był tak zimny i szary, że światła zamieniły lód w lśniącą latarnię.

- Właśnie rozmawialiśmy - podjęła temat Tina - i myślimy, że może takie niezwykle znalezisko powinno zostać nieruszone.

Michael był tak pochłonięty przygotowaniem do zdjęć - szukaniem najlepszych ustawień, by ukazać, co kryje się w lodzie - że słowa glaciolożki w ogóle do niego nie dotarły. Gra światła była wręcz masakryczna. No i te odbłaski. Ale na tym właśnie polegało jego zadanie, żeby dawać sobie radę z upierdlistwami. Zsunął gogle na czoło i zmierzył natężenie światła.

- Michael - powiedziała Betty - może powinniśmy zwolnić i to przemyśleć.

- Co zwolnić, co przemyśleć? - spytał.

- Proces wyjmowania tych ciał. Przydałyby się wysokiej klasy urządzenia laboratoryjne, powiedzmy rentgen, rezonans magnetyczny. Tu tego nie mamy.

- Darryl jest przekonany, że ma wszystko, czego trzeba, i jeszcze trochę - odparł Michael, chociaż słowa Betty trochę ostudziły jego zapał. Czy nie działają na oślep? Czy nie zniszczą tego graniczącego z cudem odkrycia?

- Nie rozumiesz - dodała Tina. - Nie zrobimy krzywdy twoim trupom. Sęk w tym, jak je potem przechować.

Czy Darryl nie wiedział, co robi? Czy cała Antarktyda w gruncie rzeczy nie była jedną wielką lodówką? Ciałom wyjętym z lodu nie groził rozkład. Mogły być przechowywane byle gdzie.

Zresztą nieważne, jakkolwiek brzmiały odpowiedzi na te pytania, w tej chwili miał robotę do wykonania. To znalezisko było nie tylko błogosławieństwem dla „Eco-Travel” - miało zapewnić magazynowi krajową nagrodę. Trzeba uważać i nie spać roboty. Kiedy wrócił z tragicznej wyprawy w Cascades, Gillespie wyraził autentyczny żal, że Michael nie udokumentował wszystkiego na zdjęciach. Czasem Michael podejrzewał, że dla Joego tak naprawdę liczyło się tylko jedno - świetny materiał.

Kiedy wreszcie dobrał aparaty i ustawił światła jak należy, zrobił serię ujęć - najpierw żołnierza, którego twarz nadal w dużej mierze pozostawała zasłonięta, potem kobiety. Uchwycenie kolorytu lodu było wyjątkowo trudne, światło w wielu miejscach odbijało się, rozszczepiało, ale sobie z tym poradził. Do najlepszych ujęć zawsze prowadziła droga przez mękę. Na jego prośbę Betty i Tina wróciły do pracy. Zrobił im kilkanaście zdjęć, gdy odcinały lód większymi czy mniejszymi płatami, i kilka Olliemu, który przyczłapał na inspekcję, zafrapowany zaśmiecającymi teren lśniącego wiórami.

Wiatr wzbierał na sile i metalowe ogrodzenie, chociaż dobrze umocowane, grzechotało tak głośno, że rozmowa była prawie niemożliwa. Michael musiał zdzierać gardło, prosząc Tinę lub Betty, by ustawiły się bardziej z lewej czy z prawej strony bloku, w cieniu lub nie, ale szybko zauważył, że średnio się czują w roli celebrytek. Nie dla lodowych babochłopów rozgłos i pozowanie.

- Jeszcze ostatnie - poprosił Betty - tylko świder sześć cali wyżej. - Zasłaniał twarz Śpiącej Królowny.

Betty usłuchała, unosząc narzędzie na odpowiednią wysokość, podczas gdy Michael pośpiesznie ustawiał poruszoną przez wiatr lampę. Lód był maksymalnie oświetlony i Michael przesunął się bliżej. Chciał zmieścić w kadrze możliwie najwięcej detali. Może była to zasługa dodatkowych luksów czy pracy, którą Betty wykonywała przez całe przedpołudnie, ale twarz kobiety uwidoczniła się lepiej niż kiedykolwiek do tej pory. Michael widział przyciśnięte zardzewiałym łańcuchem kasztanowe włosy, lśnienie białej szpilki i szmaragdowy błysk oczu. Wyraz twarzy miała taki sam, jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz drugi pod wodą, i nie mógł się nadziwić, że wydała mu się zmieniona. To zabawne, jakie figle potrafi płatać pamięć. Zrobił kilka zdjęć, ale własny cień wszedł mu w kadr, więc musiał obniżyć ramię i przesunąć się kilka cali w bok. Ustawił ostrość, zrobił kolejne zdjęcie i w tej samej chwili odniósł wrażenie, że znów coś się zmieniło. Był niezwykle wyczulony na szczegóły - jego nauczyciele fotografowania zawsze mu to przyznawali, podobnie redaktorzy - i wiedział, że coś jest inaczej, niż było. Jakiś drobiazg, coś ulotnego. Znów zmienił pozycję i wtedy dostrzegł różnicę - jej źrenice się skurczyły.

Opuścił aparat i przejrzał dopiero co zrobione zdjęcia. Raz, drugi. I chociaż zmiana była nieskończenie drobna, przysięgłby, że nastąpiła.

- Jesteś! - rozległ się krzyk Darryła, głośniejszy niż grzechot metalowego płotu. - Masz rozmowę satelitarną... od jakiejś Karen! Czeka na ciebie. - Spojrzał na efekty pracy Betty i Tiny. - Rany! Ale postęp.

Michael skinął głową i powiedział:

- Zostawcie wszystko, jak jest. Zaraz wrócę.

- Ale chyba nie powinieneś zostawiać świateł - zauważyła Betty.

Miała rację. Michael schował aparat pod kurtkę i zanim poszedł do modułu administracji, wyłączył lampy. Lodowy blok z lśniącej kolumny natychmiast przemienił się w ponury monolit.

ROZDZIAŁ 22

11 grudnia, 15.00

- Przepraszam - powiedziała Karen - czy oderwałam cię od czegoś ważnego?

- Nie, nie, dla ciebie zawsze mam czas. - Ale teraz podczas każdej ich rozmowy serce podchodziło mu do gardła. Niepodobna, by Karen miała dla niego dobre wiadomości.

Nogą zatrzasnął drzwi pokoju łączności i pochylił się na pozbawionym poręczy, obrotowym fotelu.

- Pomyślałam, że dam ci znać, że Krissy wychodzi ze szpitala. Nie będziesz musiał już tam więcej dzwonić.

Przez chwilę poczuł przyływ nadziei - Kristin szła do domu? - ale że w tonie Karen nie było żadnej radości, spytał:

- Dokąd wychodzi?

- Do domu.

To znów go zdziwiło. Przecież to dobra oznaka, prawda?

- Lekarze uważają, że jej stan na tyle się poprawił, że może leżeć w domu?

- Nie, naprawdę to nie, ale tato tak uważa.

To by się zgadzało. Pan Nelson nie należał do ludzi, którzy pozwalają na to, by profesjonaliści wchodzili im w drogę.

- Uważa, że nie robią dla niej tyle, ile powinni... chodzi o fizjoterapię, bodźce poznawcze... i postanowił, że sam zatrudni specjalistów, w domu, gdzie będzie mógł ich pilnować.

- A kto będzie sprzedawał samochody?

- O to mnie nie pytaj. To jego cudowny pomysł, który wszyscy oklaskujemy.

To też było regułą w tej rodzinie; jedna Kristin potrafiła się wyłamać spod jego dyktatury. I chociaż Michael ani przez sekundę nie wątpił w miłość pana Nelsona do córki, jednocześnie dostrzegał, że ojciec zabierając ją do domu, odzyskiwał nad nią kontrolę - ostateczną i bezwzględną.

- Kiedy ma to być?

- Jutro. Ale szykują się do tego od tygodnia. Szpitalne łóżka, respirator, całodobowy personel pielęgniarstwa, te sprawy.

- A więc zabiorą ją do jej dawnego pokoju - powiedział Michael, machinalnie masując lewy bark. - To może jej dobrze zrobić.

- Tak naprawdę jej stary pokój jest na górze... nie muszę ci tego mówić - powiedziała, śmiejąc się kwaśno - i nie da się tam wszystkiego wtaszczyć. Więc w tej sytuacji dostosowujemy pokój dzienny.

- Och, w porządku. To brzmi sensownie. - Nagle trzaski przerwały rozmowę. Próbował ułożyć sobie w głowie to wszystko. Szukał odpowiedzi na pytanie, czy to dobry pomysł czy tylko rozpaczliwy? Nawet z pomocą pielęgniarek pracujących 24 godziny na dobę, jak rodzice i siostra mieliby przywrócić Kristin zdrowie? Tego nie mogła odzyskać.

Lekarze już mu to uświadomili.

Bóg wie, że próbował uwierzyć, iż to możliwe. Przez całą długą zimną noc w Cascades i większą część następnego dnia zmuszał się, by myśleć tylko optymistycznie; kurczowo trzymał się wiary, że Kristin się ocknie i dojdzie do siebie, gdy tylko zniesie ją z gór. O brzasku wyczołgał się ze śpiwora, w którym przeleżał z nią całą noc, i rozmasował sobie nogi i ręce, przywracając jakieś takie krążenie. Na udzie miał wielki purpurowy siniak od karabińczyka, na którym leżał. Lewy bark nadal go bolał. Otworzył kolejny baton proteinowy i zjadł go łączywie. Kiedy spojrzał na jaśniejące niebo, dostrzegł buczący w górze prywatny samolocik. Machał rękami jak szalony, wrzeszczał i nawet dał w gwizdek, ale samolot nie pokiwał skrzydłami na znak, że go widzi, ani tym bardziej nie zawrócił, by jeszcze raz się rozejrzeć. Zniknął na zachodzie; towarzyszyły im jedynie krzyki ptaków i zawodzenie wiatru.

Kristin w żaden sposób nie reagowała na gwizdek i krzyki. Pochylił się nad nią, sprawdził puls i oddech. Oddychała płytko, ale równo. Miał dwie możliwości - mógł czekać, nie ruszając się z miejsca i liczyć na to, że pojawią się inni wspinacze, albo spróbować samemu przetransportować Kristin w dół. Spojrzał na horyzont. Napływały chmury i gdyby przyniosły deszcz lub mgłę, tego dnia nikt nie wyszedłby w góry. Nie, musiał zrobić to sam za pomocą skomplikowanego, skleconego naprędce zestawu lin i bloczków. Opuszczałby Kristin po dziesięć, może piętnaście jardów, schodził, przekładał liny i tak w koło Macieju. Gdyby udało mu się zejść odpowiednio nisko, może trafiłby na jakichś wspinaczy lub też dotarłby na tyle blisko Big Lake, że ktoś na jeziorze usłyszałby gwizdek alarmowy - oczywiście zakładając, że wiatr będzie wiał w dobrym kierunku.

Zebrał ekwipunek, który nie spadł ze ściany i nie wyleciał z plecaka. Zaczął się przygotowywać. Dwadzieścia pięć, trzydzieści stóp niżej była kolejna półka, nie szersza niż

deska do prasowania. Mógłby na nią opuścić Kristin. Wiedział, że powinien uważać na głowę i kark rannej, ale nie miał pojęcia, jak je unieruchomić; nie miał żadnych sztywnych elementów. Musiał zaryzykować.

Złożenie zestawu lin i umocowanie do niego bezwładnego ciała zajęło mu prawie godzinę. Kolejną godzinę trwał transport na niższą półkę. Spływał potem i dorobił się tysiąca zadrapań i rozcięć skóry. Usiadł na półce, jedną rękę położył na ciele Kristin - gdyby tylko dała jakiś znak świadomości, gdyby chociaż tylko raz się odezwała...! - a do drugiej wziął manierkę. Wypił ostatnie krople jej zawartości. Kilka kawałków skały, dopiero co poruszonych podczas zejścia, spadło w przepaść.

Ciemne chmury były coraz bliżej.

Spojrzał w dół, na szczyty sosen i wody Big Lake i zdał sobie sprawę, że tym sposobem nie dotrze do celu. Zbyt wolno posuwał się w dół, a nie mógł pozostać na górze z Kristin jeszcze jedną noc. Zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę. Pozbył się niepotrzebnego sprzętu, rozebrał się do koszulki i szortów, po czym wziął Kristin na plecy i przywiązał ją do siebie. Jej ręce zwisały mu luźno po bokach, głowa w zmiażdżonym hełmie spoczęła na ramieniu. Ruszył w dół. Albo miało mu się udać i wyniesie ją poza widoczny w dole las, albo umrą razem, spadając z nieba.

Przez całą drogę szeptał do niej:

- Teraz się trzymaj... Muszę znaleźć stopień... Nie przejmuj się, ale bark chyba mi znów wyskoczy... Co powiesz na wielki soczysty stek w Ponderosie? Ty stawiasz.

Jej głowa bezwładnie przetaczała się po jego ramieniu, czasem czuł na szyi jej ciepły oddech, ale to mu wystarczało - wiedział, że z nim jest, że żyje, że jakoś dadzą sobie radę. Późnym popołudniem burzowe chmury całkowicie wypełniły niebo, ale deszcz nie lunął. W powietrzu jedynie zawisła delikatna mgiełka - zapewniając nawet przyjemny chłód - i tylko od czasu do czasu spadło kilka kropli.

- Proszę, Boże, zrób mi tę przysługę, zatrzymaj deszcz, póki nie zejdem z tej cholernej góry.

I Bóg go wysłuchał. Michael dotarł do podnóży Mount Washington i osłony sosnowego lasu, zanim rozpętało się piekło. Trzaskały pioruny, lało jak z cebra. Michael na krótko ukląkł na mokrej ziemi, wchłaniał gęstą woń zielonych igieł, wystawiając się na gęsty prysznic. Zmył brud z twarzy Kristin, zwilżył jej wargi. Kiedy krople spadły jej na powieki, te zadrżały. Poza tym nie dała znaku życia.

Kiedy spróbował ją znów podnieść, rozdygotał się z wyczerpania i ledwo mógł się ruszyć. Nie przejął się tym. Utulił ją w ramionach, przylgnął do pnia, unosząc twarz ku

gałęziom i leżał tak, nie wiedząc jak długo. Kiedy znów się poruszył, ociekający wodą i drżący, zapadł już zmierzch. Deszcz ustał i wyszedł księżyc. Była pełnia. Michael zarzucił sobie Kristin na plecy i chwiejnym krokiem ruszył do parkingu koło jeziora, gdzie zostawił dzipa. Wyszedł spomiędzy drzew - brudny, przemoczony, krwawiący, z nieprzytomną dziewczyną na plecach - i zobaczył dwóch chłopaków w bluzach z logo Washington University. Rozładowywali pikapa. Szedł do nich, a oni patrzyli na niego, jakby zobaczyli yeti.

- Pomocy - wymamrotał. - Potrzebujemy pomocy.

I, jak potem opowiedzieli studenci, padł niczym kłoda.

*

Ledwo Darryl dojrzał w lodzie dwie postaci, już wiedział, że powinien interweniować. Odcięto wystarczającą warstwę lodu - światła Michaela też zrobiły swoje - i wystarczyło się pochylić, by zobaczyć głowicę szabli mężczyzny. Złota frędzla sterczała w górę, zaprzeczając prawu grawitacji.

- Znakomicie - Darryl kolejny raz pochwalił Betty i Tinę - ale teraz wstawiamy to do mojej pracowni i fajrant.

Betty i Tina wołały zaczekać na Michaela, by wyraził swoją opinię.

- Zaraz wróci. Wtedy się zastanowimy, co dalej.

Ale Darryl nie był głupi i wiedział, co się święci. Mignij naukowcowi przed oczami czymś naprawdę niezwykłym - nawet glaciolożkom, dlaczego miałyby być inne? - a nie wypuści tego z rąk. Praca uczonych to przede wszystkim rutynowa grzebanina w pracowni, niekończące się eksperymenty, ślepe testy, analizy statystyczne, więc gdy trafiali na coś przełomowego, coś niesłychanego - i w dodatku na coś, co mogło wylądować na czołówkach gazet całego świata - naturalnie nie chcieli się z tym rozstać.

Musiał działać szybko i zdecydowanie. Popędził do szop, w których trzymano skutery śnieżne, Spryte'y i urządzenia wiertnicze. Zmobilizował Franklina i Lawsona, którzy byli już wtajemniczeni. Ściągnął ich z wózkiem transportowym, na którym zwykle przewozili bębny z ropą, i podczas gdy Betty narzekała, że Darryl zbyt szybko przechodzi do następnego etapu, a Tina głądziła o nienaruszalności okazu naukowego, Darryl rozkazał swoim rekrutom okryć plandeką znacznie odchudzony blok lodu i włożyć go na wózek. Zaprowadzili go za róg i wciągnęli pochylnią do bezpiecznego schronienia w laboratorium biologii morskiej.

- Teraz co? - spytał Franklin, rozglądając się po ciasnym pomieszczeniu pełnym syczących węży z tlenem, przyrządów i akwariów wypełnionych pozaziemskimi stworami, skąpanymi w lawendowym blasku.

- Tu im będzie dobrze - orzekł Darryl, podchodząc do dużego zbiornika. Wcześniej usunął przegrody, spuścił starą wodę, wyszorował zbiornik od góry do dołu i napełnił go świeżą wodą morską. Zrobiła się wielka wanna. Uprzednich lokatorów, dorsze, wpuścił do przerębla w lodzie. Jeśli ktoś używał ich do eksperymentów, powinny być odpowiednio oznaczone. Przez lodową pokrywę widział, jak odpływają - a za nimi jakiś ciemniejszy, szybko zbliżający się kształt. Niewątpliwie był to lampart morski, który już wypatrzył lancz. Życie na Antarktydzie to bardzo delikatna sprawa.

Franklin przysunął wózek do zbiornika, a Lawson wszedł do niego. W chustce na głowie przypominał szukającego skarbu pirata.

- Wiesz, że poziom wody się podniesie i zaleje ci podłogę? - spytał Franklin.
- Dlatego mamy tu kratki ściekowe - uspokoił go Darryl.
- Śmiało.

Lawson chwycił blok z jednej strony, a Darryl pomógł Franklinowi łagodnie go przechylić. Kawał lodu powoli się przesunął, po czym, gdy Lawson odskoczył w tył, wpadł z chłupotem do środka i zgodnie z przewidywaniami Franklina wzbudził falę. Woda chlusnęła poza zbiornik i zalała im buty. Plandeka odpłynęła na bok. Lód najpierw kołysał się na powierzchni, po czym wolno opadł na dno. Woda się uspokoiła, blok znieruchomiał.

W końcu Darryl miał w pracowni swój skarb.

Franklin długo spoglądał na odwrócone plecami postaci i w końcu rzekł:

- Nie chciałbym sam się tym tutaj zajmować.

Mina zmoczonego Lawsons, który wyszedł ze zbiornika, mówiła to samo.

Ale to spłynęło po Darrylu jak po kacze. Chłonał wzrokiem niemal przezroczystą płytę spoczywającą horyzontalnie w zbiorniku; woda podniosła się na tyle, że zakrywała ją niemal całkowicie. Jeśli dobrze wyliczył, biorąc pod uwagę grubość lodu i temperaturę wody w zbiorniku - a zwykle nie miał kłopotów z matematyką - ciała zrzucą lodowy płaszcz już za kilka dni, nie później. Będą zimne, ale całe i dobrze zachowane.

Kiedy tylko Franklin i Lawson wyszli, zamknął interes. Nie mógł tu teraz wiele zrobić, a musiał wyjść na zewnątrz i sprawdzić podwodne sieci i pułapki, zobaczyć, czy nie ma świeżych okazów niezamarzających ryb. Nigdy nie wiadomo, czy się coś nie pojawi.

Zanim wyszedł, zgasił świetlówki, ale ze zbiorników i akwariów nadal padało światło. Bładopurpurowy blask rozkładał się na żelbetowych płaszczyznach, nie docierając jedynie do najdalszych i najmroczniejszych zakątków. Darryl nałożył kurtkę, rękawice i czapkę

- Boże, po jakimś czasie miało się serdecznie dość tego całego ubierania i rozbierania - i otworzył drzwi na powiew lodowatego wiatru. Zamknął je szczelnie za sobą i zszedł okrytą lodem rampą do wybrzeża.

*

W laboratorium liczni lokatorzy rozstawionych wzdłuż ścian i półek zbiorników, kontynuowali swoje ciche, ograniczone i nieubłagane skazane na śmierć życie. Pajaki morskie stawały na szczudłowatych tylnych odnóżach, przednimi badając szkło. Robaki jak blade koronki sunęły w wodzie, zwijając się i rozwijając. Rozgwiazdy rozpląszczały się na ścianach, przyssane do ścian więzień. Wielkogębe, perłowe ryby białokrwiste bez końca zataczały ciasne kręgi. Przewody powietrzne bulgotały, grzejniki szumiały, na zewnątrz wiał wiatr.

A lodowa płyta w akwarium topniała. Powoli, niedostrzegalnie. Krążąca w zbiorniku zimna woda stopniowo nadgryzała gruby, wiekowy lód. Od czasu do czasu znalazła drobniutką szczelinę i wypełniała ją. Lód trzeszczał. Tu i tam powstawały prawie niewidzialne pęknięcia jak rysy na starym zwierciadle. Pęcherzyki powietrza wypływały na powierzchnię i pękały. Czarne rury PCV, doprowadzające świeżą wodę morską i odsysające taką samą ilość schłodzonej topniejącym lodem wody, utrzymywały stałą temperaturę: 2,8 stopnia Celsjusza. Za dzień, dwa lód miał stać się cienki, przezroczysty, przepuszczający słabe, purpurowe światło laboratorium... na tyle cienki, że blok miał popękać na dobre i się rozpaść.

A wtedy miał uwolnić - chociaż niechętnie - to, co w sobie więził.

ROZDZIAŁ 23

13 grudnia, 12.10

Jazda w saniach ciągnionych przez psy okazała się znacznie wygodniejsza, niż Michael kiedykolwiek przypuszczał. Pojemnik bagażowy wykonano z kształtowanego twardego plastiku, tak że przypominał kajak. Siedziało się kilka cali nad podłogą, w jakby hamaku. Nawet gdy psy pokonywały nierówny teren albo trafiły na wybój, gruby zimowy strój chronił przed wstrząsami. Śnieg i lód tylko przemykały po obu stronach, gdy stojący na płozach Danzig popędzał psy. Dziennikarz dowiedział się w bazie od Murphy'ego, że to ostatnia sfera na Antarktydzie.

- Zabroniono trzymać psy na biegunie - wyjaśnił kierownik.

- Zarażały foki nosówką. To ostatni zaprzęg i tylko dlatego go nie zlikwidowali, bo nabujaliśmy, że wykorzystujemy go do długoterminowego programu badawczego. - Przewrócił oczami. - Nie masz pojęcia, ile ton papieru musiałem przemielić, ale Danzig nie odpuścił. To ostatnie psy na biegunie południowym, a Danzig to ostatni maszer.

Nawet ze swojego niezbyt wygodnego miejsca obserwacyjnego Michael widział, że zaprzęg jest idealnie zgrany, doskonale pracuje w uprzęży, biegnąc za Kodiakiem. Szybkość i siła psów naprawdę zadziwiały. Chwilami nie dało się ich rozróżnić, były jednym szarobiałym, futrzanym węzem, falującym jak karuzelowy korowód drewnianych koników, a sanie zdawały się wzbijać w powietrze. Chociaż Danzig od czasu do czasu krzychał: „Lewo!” lub: „Prawo!”, psy same doskonale wiedziały, dokąd biec. Ich celem była stara norweska stacja wielorybnicza, do której prowadził trzymilowy szlak wzdłuż wybrzeża, trasa treningowa zaprzęgu. Danzig zaproponował Michaelowi, że go zabierze - jak powiedział: „...póki ta twoja Śpiąca Królowna taje”. Mógł obfotografować stację. Michael uznał, że to kusząca propozycja. Wcześniej zajrzał do pracowni biologii morskiej, ale nie znalazł w niej niczego nowego do sfotografowania i Darryl zapewnił go, że minie jeszcze dzień czy dwa, zanim nastąpią jakieś zmiany. To długi proces.

- Lepiej dmuchać na zimne - powiedział i Michael się z nim zgodził.

Przekonał się również, że topniejący lód jest równie fascynujący jak rosnąca trawa.

Kiedy Michael ostatni raz wybrał się na wycieczkę do Stromviken, utonął w gęstej mgle, która uniemożliwiła robienie zdjęć. Dzisiaj panowały inne warunki. Było kąśliwe zimno - minus 25 stopni Celsjusza - ale powietrze pozostało przejrzyste, a światło - nieustanne, nieustępliwe światło - nadawało mu dziwną krystaliczność. Rzeczy dalekie wydawały się bliskie, a bliskie wyglądały niemal jak pod szkłem powiększającym. Powietrze i światło na Antarktydzie stawiały wielkie wymagania fotografom - robienie ostrych, wyraźnych zdjęć i ustalenie ekspozycji było prawdziwym intelektualnym wyzwaniem.

Michael krzyżował ramiona na piersiach, dodatkowo chroniąc ukryty pod kurtką aparat.

- Jak ci się podoba? - spytał Danzig, pochylając się tak nisko, że naszyjnik z kłów morsa otarł się o głowę Michaela.

- Autobus przy tym wysiada!

Danzig klepnął go w ramię i wyprostował się. Mógł się popisywać swoimi psami dzień i noc.

Michael miał ograniczoną widoczność, zwłaszcza na wprost, więc najpierw zwrócił uwagę na to, co wyrosło z jego prawej strony - rdzewiejący kadłub norweskiego parowca, osiadłego na skalistym wybrzeżu. Pomost się zawalił, zmiądzony lodem. Na skierowanym ku lądowi dziobie uwagę Michaela zwróciło działo harpunnicze - norweski wynalazek - które niegdyś wystrzeliwało sześciostopowy harpun, w późniejszych latach dodatkowo wyposażony w ładunek wybuchowy. Uciekający wieloryb trafiony między łopatki, jeśli strzelec był dobry, nurkował, szukając schronienia, ale ładunek wybuchał w ciele, rozrywając serce i płuca.

To znaczy wybuchał, jeśli zwierzę miało szczęście. Kiedy harpunnik nie trafił idealnie, walka trwała godzinami - gdy krwawiący, wypuszczający fontanny wody wieloryb wyskakiwał z wody, wystrzeliwano następne harpuny. Potężna wciągarka wybierała liny, dodatkowo pozbawiając zwierzę sił i gdy w końcu słabło przyciągano je coraz bliżej jak rekina, aż w końcu unieruchamiano ostrymi hakami i zakłuwano lancami - wpierw długopłetwce, potem wale biskajskie południowe, a w końcu trudniejsze do schwytania fałdowce, gdy tamte gatunki zaczęły zanikać.

Ta stacja wielorybnicza operowała z przerwami od końca lat dziewięćdziesiątych XIX wieku aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, kiedy ją zamknięto. Zostawiono wszystko, od lokomotyw po drewno na opał, nawet drogie zaopatrzenie. Koszty i kłopoty związane z transportem okazały się zbyt wielkie. Nie znaczy to, że Norwegowie zrezygnowali z wielorybnictwa. Jak Japończycy i Islandczycy w dalszym ciągu upierali się, że mają prawo

do polowania na wielkie morskie ssaki. Kiedy wspomniano o tym w stołówce, Charlotte odrzuciła z obrzydzeniem widelec i powiedziała:

- Dość tego... wyrzucam wszystko, co norweskie. - Darryl spytał ją, co ma na myśli, i lekarka odparła po zastanowieniu:

- Sweter w reniferki.

- Co nagle, to po diable - powiedział Michael, ze śmiechem pokazując jej metkę. - Widzisz? Made in China.

Charlotte odetchnęła z ulgą.

- Jest naprawdę ciepły!

Kiedy psy wciągnęły sanie na niewielkie lodowe wzniesienie, Michael po raz pierwszy dokładnie ogarnął wzrokiem cały teren, który, co trudne do uwierzenia, był jeszcze bardziej ponury niż Cypel Adeli. Od nabrzeża, do którego łodzie przybijały z połowem - czasem aż z dwudziestoma wielorybami naraz, często napompowanymi powietrzem, by utrzymać zewłoki na powierzchni - szerokie rampy prowadziły do szaleńczej plątaniny na wpół ukrytych w śniegu torów kolejowych; szerniała i czerwona od rdzy lokomotywa wlokła martwe lub umierające wieloryby do rozbieralni tusz. Była to rozległa przestrzeń, na której wielorybnicy ostrymi lancami cięli tłuszcz i języki na wielkie, ociekające krwią pasy. Szczególnie cenne były szerokie, umięśnione języki. Zawierały setki galonów tłuszczu.

Teraz to właśnie tam Danzig kazał psom się zatrzymać. Zręcznie zeskoczył na śnieg i sanie stanęły w miejscu. Nagle ucichł świst płóz tnących śnieg, zapanowała przedziwna cisza, dopóki Michael nie nastawił uszu i nie usłyszał polarnego wiatru grzechoczącego ścianami magazynów z blachy falistej, jęczącego w szczelinach starych budowli z pruskiego muru. Dziennikarz przy pomocy Danziga wysiadł ze swojej kołyski na saniach i wyprostował nogi na zamrożonym błocie. Wszędzie, również wyżej, sterczały rozpadające się zabudowania niewiadomego przeznaczenia, zatem nic dziwnego, że nasunęło mu się skojarzenie z wymarłym miasteczkiem na południowym zachodzie Stanów, które kiedyś fotografował.

Stacja sprawiała jednak dużo gorsze wrażenie. Michael czuł się w niej jak na miejscu kaźni, wiedział, że powierzchnię, na której stał, kiedyś pokrywały wnętrzności i krew. Szerniałe tory biegły jak szlak kolejki górskiej do zniszczonego budynku, kilkaset jardów w górę stoku; wciągane liną wagoniki wiozły wartościowe części wieloryba do przetworni, podczas gdy kręgosłupy i wnętrzności składowano w dołach z guanem bądź rozrzucono wzdłuż wybrzeża, gdzie skrzeczące z rozkoszy stada ptaków spadały na jeszcze dymiące sterty flaków.

Podczas gdy Michael męczył się, wyjmując statyw i nieprzemakalną torbę z ekwipunkiem - było tak zimno, że rękawice dało się zdjąć jedynie na kilka sekund - Danzig zabezpieczył sanie odpowiednikiem hamulca ręcznego, śnieżną kotwicą, po czym przywiązał je linką do wagonika wywrotki, leżącego na zamrożonej ziemi. Siedzący na zadzie Kodiak pilnie wlepił w maszera ślepią jak marmurowe kulki i czekał.

- Teraz dostaną przekąskę - powiedział Danzig. - To ich ulubiona część wyprawy.

Wheels, najmocniejsza ostatnia para psów, biegnąca najbliżej sań, tańczyła w miejscu, już się oblizując. Danzig zdjął z uchwytów sań sztywny od mrozu workowaty plecak.

- Dzięki, na mnie nie licz - powiedział Michael, gdy Danzig wyjął kilka warkoczy suszonej wołowiny.

Maszera się roześmiał i ostrzegł:

- Tylko nie mów potem, że nie częstowałem.

Idąc przez zardzewiałe tory po lodowatej, smaganej wichrem ziemi, słysząc tylko skowyt psów i wrzaski wydrzyków - niewątpliwie ściągniętych widokiem psów i mięsa - Michael pomyślał, że to chyba najbardziej opuszczone miejsce na Ziemi, na jakie trafił.

*

Lodowy blok z wolna roztapiał się w zbiorniku, niewielkie kawałki odpadały o wiele szybciej, niż się spodziewano... niemal tak, jakby coś rozpychało go od środka. Poszarpany fragment rozmiarów piłki do baseballu oderwał się od spodu, tuż poniżej miejsca, w którym teraz widniał nosek męskiego buta, i pływał swobodnie po powierzchni. Dotarł do rury PCV regulującej poziom wody i utknął w niej.

Tymczasem drugi przewód nadal pompował wodę. Zalała górne pęknięcia bloku, sunęła niewidzialnymi kanalikami niczym krew napełniająca głęboko ukryte w ciele mniejsze i większe naczynia krwionośne. Przytknięte do lodu ucho usłyszałoby trzaski przypominające wyładowania elektryczne, gdy lód chrzęścił i pękał... a także inne dźwięki. Skrzypienia, drapania. Jakby paznokci po szkle.

*

Michael nigdy w życiu nie widział takiej plaży jak na wybrzeżu w Stromviken. Tworzył ją rozległy cmentarz zasłany gigantycznymi czaszkami, kręgosłupami i rozdziawionymi szczękami, wybielonymi morderczymi wiatrami i słońcem południa. Były tu szczątki wielorybów zamordowanych w Stromviken i sprawionych na statkach przetwórnich. Wyrzucone do morza szkielety w końcu trafiły na brzeg. Pomiedzy kośćmi i kamieniami opalała się garstka słoń morskich, wystawiając się do zimnego słońca. Nie zwracały uwagi na człowieka w puchowej kurtce i zielonych goglach, który skierował na nie obiektyw aparatu...

Podobnie jak lata temu nie zwróciły uwagi na ludzi, którzy przybyli mordować je na taką samą, masową skalę, jak mordowali wieloryby, bez różnicy.

Ale wieloryby nie wychodziły na brzeg. Słonie morskie, stworzenia o przypominających trąby pyskach i brązowych, nabiegłych krwią ślepiach, łatwiej było dopaść i zabić. Na lądzie stawały się nieporadne i powolne. Wystarczyło podejść, uderzyć je w nos, a gdy zaskoczone zwierzęta uniosły się na płetwach, przeszyć im serce lancą. Czasem wykrwawiały się prawie godzinę, lecz gdy tylko zabito samce, łowcy mogli przejść do metodycznego wybijania samic, nadal ochraniających młode, po czym zajmowali się tymi ostatnimi, jeśli tylko nie były zbyt małe. Skórowanie to ciężka praca; żeby odpowiednio oddzielić gruby żółty tłuszcz od reszty ciała, przy jednym słoniu musiało się trudzić czterech do pięciu ludzi. Fokom w końcu zagroziło całkowite wyginięcie, gdyż były bardzo wydajne: z dorosłego osobnika po wygotowaniu uzyskiwano jedną do dwóch baryłek tłuszczu.

Chociaż Michael wiedział, że słonie morskie nie są groźne, podchodził do nich ostrożnie, nie zamierzając budzić w nich zbędnego niepokoju. Chciał je sfotografować zrelaksowane, nie zaalarmowane. Poza tym porażająco śmierdziały. Najważniejszy samiec, wyróżniający się tylko gigantycznymi rozmiarami, liniał. Włosy i skóra rozkładały się wokół niego jak brudna wykładzina. Głośno bekające samice nie były lepsze. Michael wszedł na niski, wyrzeźbiony przez wiatr kawałek skały - wyglądał prawie jak cylinder - i szukał dobrego ujęcia. Ale w nieustannym wietrze już zachowanie pozycji pionowej było trudne; utrzymanie aparatu nieruchomo w ogóle nie wchodziło w grę. Musiał rozstawić statyw i zrobić to jak należy.

Kiedy szperał w torbie, lew morski zaryczał i Michael poczuł cuchnący zdechłymi rybami oddech.

- Jezu, nigdy nie słyszałeś o płynie do płukania ust? - spytał, ustawiając statyw na stosunkowo równym kawałku kamienistej plaży.

*

Woda zaczęła się przelewać przez brzeg zbiornika, spływać na betonową podłogę i dalej do kratek. Laboratorium biologii morskiej, jak wszystkie moduły, wzniesiono na pustakach i woda po prostu ściekała stalowymi rurkami na lód.

Teraz lodowa pokrywa była w niektórych miejscach nie grubsza niż talia kart i ciała jej więźniów powoli stawały się coraz bardziej widoczne. Spód rozpląnął się pierwszy i nosek czarnego skórzanego buta wystawał z lodu, lśniąc jak onyks.

Topnienie trwało i w samym środku lodowej tafli pojawiła się szczelina; zamknięte wewnątrz ciała wyglądały jak skazy w brylancie, jak dziwne niedoskonałości gigantycznego kryształu... a gdy szczelina się poszerzyła i nagle rozwarła, wyglądało to tak, jakby lód je

odrzucił. Połówki lodowego bloku opadły na boki i woda morska jak woda podczas chrztu opłynęła ciało żołnierza i dziewczyny. Dotarło do nich powietrze, lawendowe światło laboratorium i przez kilka sekund leżeli nieruchomo, jedno obok drugiego, unosząc się na lodzie.

Jarzmo łuszczącego się łańcucha nadal ciążyło im na szyjach i ramionach, aż nadwreżone stuletnią pracą lodu i słonej wody żelazo rozpadło się i osunęło na dno zbiornika.

*

Sinclair pierwszy nabrał oddechu. Mieszanka powietrza i wody sprawiła, że się zakrztusił.

Potem też zakaszłała ona, cała drżąc bezwolnie.

Cieniutka warstwa lodu pod plecami zniknęła. Sinclair poszukał oparcia dla nóg i... znalazł je.

Chwiejnie powstał, kołysząc się jak pijany, po czym szybko ujął zimną dłoń Eleanor. Ociekając wodą, uniósł dziewczynę z kawałków pływającego lodu. Wzrok miała mętny i niewidzący; długie kasztanowe włosy przykleiły mu się do policzków i czoła.

Gdzie jesteśmy? - zadawał sobie pytanie.

Stali w kadzi wypełnionej po kolana słoną wodą, w miejscu, którego nie potrafił opisać. Poza nimi nie było tu nikogo; jedynymi żywymi istotami, które widział, były dziwne stworzenia pływające w szklanych słojach. Naczynia słały niezwykle purpurowe światło i cicho syczały.

Spojrzał na Eleanor. Powoli uniosła rękę, jakby nigdy wcześniej nie wykonywała tego gestu, i instynktownie dotknęła broszy z kości słoniowej, którą nosiła na piersiach.

Brnąc w wodzie, dotarł do brzegu zbiornika i wyszedł z niego. Pomógł jej wydostać się na podłogę. Spływały z nich strugi wody.

- Co to za miejsce? - spytała drżąc, gdy wziął ją w ramiona.

Nie wiedział. Przez wzgląd na nią miał nadzieję, że to niebo. Ale obawiał się, że są w piekle.

CZĘŚĆ III

NOWY ŚWIAT

Stęknęli, ocknęli się, wstali,
Bez stów, bez oka drgnienia;
Dziwny był widok, nawet we śnie,
Trupów tych ze snu ocknienie.

Rymy sędziwego marynarza
Samuel Taylor Coleridge, 1798

ROZDZIAŁ 24

13 grudnia, 16.20

Michael stał na dziobie zatopionego statku wielorybniczego. Podniósł pokryte lodem koło ratunkowe - mimo że kilka liter było już zatartych, odczytał nazwę statku: „Albatros” z Oslo. Teraz nie widział na niebie żadnych szybujących bez wysiłku albatrosów - tylko szukające żeru wydrzyki, petrele i pękate pochwozioby białe, zwabione przybyciem sań.

Z miejsca obserwacyjnego, tuż obok działa wielorybniczego, widział plażę, gdzie wcześniej słonie morskie współpracowały z nim podczas sesji zdjęciowej, a dalej lodowe wzgórze, magazyny, wytapialnie tłuszczu, rozbieralnię tusz i najwyższą budowlę stacji, stary drewniany kościół. Plamy białej farby nadal lgnęły do ścian i krzywo przybitego do wieżyczki krzyża. Zwiększył zoom i zrobił kilka ujęć dalekich obiektów, ale wiedział, że lepiej je sfotografować z mniejszej odległości.

Już zbadał wnętrze statku. Chociaż jednostka wyglądała na porzuconą przed laty - zardzewiałe grodzie, wyłamane iluminatory, przegniłe schody - równocześnie odniósł wrażenie, jakby opuszczono ją ledwie wczoraj. Na stole w kambuzie widelec i nóż nadal leżały schludnie skrzyżowane na cynowym talerzu. Koję zasłano wełnianym kocem w kratę, obleczonym białą pościelą i odwiniętym na poduszce. W sterówce na parapecie poniewierał się zamarznięty niedopałek cygara. Nawet działo harpunnicze, zamontowane na stalowej platformie jak wieżyczka armatki przeciwlotniczej, pozornie nadal było gotowe do morderczej roboty - gdyby tylko dało się z niego celować. Michael raz i drugi próbował je obrócić, ale całość zamarzła na kość.

- Hej, uważaj, w co celujesz! - zawołał z plaży Danzig. Stał w skamieniałych szczękach płetwala błękitnego.

- Nie jest załadowane - odpowiedział Michael.

- Zawsze się tak mówi.

Danzig z kłami morsa na szyi i unoszoną przez wiatr brodą wyszedł ze szczęk wielorybniczym jakiś nordycki bóg, który zdecydował się zawitać między ludzi.

- Masz to, po co przyjechałeś? - spytał.

- Część. Dlaczego pytasz?

- Bo muszę wracać.

To odpowiadało Michaelowi. Przez ostatnich kilka godzin nie potrafił myśleć o niczym innym jak o lodowym bloku w laboratorium Darryla. A może właśnie uciekają mu jakieś fantastyczne ujęcia?

- Spodziewam się telefonu od żony - dodał Danzig.

Facet ma żonę? Michaelowi wydało się niezwykle zabawne, że taki oryginał żyje w banalnym, zwyczajnym związku.

Danzig zapewne coś wyczuł w wahaniu Michaela, bo dorzucił:

- Wiesz, to nie jest niemożliwe.

- Ale kiedy jesteście razem? - odrzyknął Michael, zbierając ekwipunek i pakując go do torby. - Myślałem, że tu mieszkasz.

- Nie na okrągło.

- Gdzie ona jest? - spytał Michael i zaraz dodał: - Zaczekaj. Powiesz mi, jak zejść.

Kiedy dołączył do Danziga pośród kości na plaży, tamten wyjaśnił:

- W Miami Beach.

Michael nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Nie o to chodzi. Tylko się nie spodziewałem, że tam.

- A myślałeś, że gdzie? - zapytał Danzig, gdy wracali do sań i psów.

Michael odparł niemal jednym tchem:

- W Walhalli.

*

Przez pierwszych kilka minut Sinclair i Eleanor tylko przyzwyczajali się do oddychania. Potem do poruszania. A w końcu do tego, że są żywi... chociaż gdzie - i w jakiej epoce - nie mieli pojęcia.

Eleanor pierwsza odkryła źródło ciepła w pomieszczeniu, metalową kratę płonąca oranzowo na styku ściany i podłogi. Pochyliła się w przemoczonym ubraniu, starając się dojrzeć ogień, poczuć woń płonących drewn lub gazu, ale usłyszała tylko stłumiony szum i nie doleciał jej żaden zapach. Przykucnęła blisko ciepła i szeptem przywołała Sinclaira.

Oboje instynktownie ściszyli głosy.

- Jest ogień - powiedziała. - Możemy się osuszyć.

Sinclair pomógł jej zdjąć przemoczony szal i rozłożyli go na przyciągniętym stołku. Zrzuciła buty i ustawiła je przed kratą.

- Ty też - poradziła mu. - Zanim się coś stanie...

Nie potrafiła sobie wyobrazić, co też ich czeka. Nie wiedziała, czy są między swoimi czy między wrogami, w Turcji, Rosji, a może nawet na Tasmanii. Nawet teraz trudno jej było uwierzyć, że naprawdę żyją.

Ale nie mieli czasu na przedyskutowanie tego.

- Zdejmij kurtkę - powiedziała - i buty.

Szybko zrzucił z siebie kurtkę; Eleanor ją rozłożyła. Postawiła jego buty obok swoich. Odpiął szablę i położył z innymi mokrymi rzeczami, ale w zasięgu ręki.

Potem skulili się blisko żaru, patrząc sobie w oczy i pytając się w duchu, co drugie wie, rozumie lub... pamięta.

Eleanor obawiała się, że pamięta zbyt wiele. Tak długo - jak długo? - cały jej świat ograniczał się tylko do snów, dryfowania i rozpamiętywania.

W koło i w koło.

Ale teraz, kiedy ubranie schło i siedziała, mocno przyciskając do piersi kolana, myślała tylko o nocy, podczas której siedziała tak jak teraz, przed kominkiem, mając obok siebie Moirę, w zimnym pokoju na najwyższym piętrze londyńskiego pensjonaciku... o nocy, gdy panna Nightingale obwieściła, że zamierza się udać wraz z grupką chętnych pielęgniarek na front krymski.

Sinclair zakaszłał, zasłaniając usta białą dłonią i Eleanor pogładziła go po czole sztywnymi palcami. To już był odruch. Pamiętała, że gładziła tak wielu rannych żołnierzy, leżących w agonii w szpitalnych barakach Chryzopola i Bałaklawy. Sinclair spojrzał na nią oszalałymi, otoczonymi czerwonymi obwódkami oczami i spytał:

- Ale ty? Czy czujesz się... - i nie znalazłszy lepszego słowa, dokończył: - dobrze?

- Czuję się... - zaczęła, ale nie wiedziała, co rzec. Wyglądało na to, że żyła. Poza tym nic nie wiedziała na pewno. Była zagubiona tak jak on, przemarznięta do szpiku kości, mimo wspaniałego ciepła bijącego zza kraty. I słaba - ze zwykłego głodu, jak też z udręczenia niewysłowioną potrzebą.

Przemknęło jej przez myśl, że znów umrze... niebawem... i zadała sobie pytanie, czy tym razem odczuje to inaczej.

Nie mogło być gorzej.

Sinclair obiegnął wzrokiem pokój; Eleanor podążyła za jego spojrzeniem. Wyglądające jak ogromny pająk stworzenie starało się wygrzebać z kwadratowego słoja pełnego wody i podświetlonego na bladopurpurowo. Długie kontuury, jakby stoły na kozłach, dźwigały pojemniki przypominające kwiatowe donice. Czarny metalowy aparat z białą skrzynką stał

przed stołkiem, a obok znajdowała się butelka. Sinclair też ją zobaczył. Skoczył na równe nogi.

Wziął do ręki butelkę, przetarł naklejkę szerokim rękawem białej koszuli i przyjrzał się jej uważnie.

- To możliwe? - spytała.

- Nie jestem pewien - powiedział, wyciągając korek. Przyłożył nos do szyjki i odsunął się ze wstrętem.

Teraz wiedziała na pewno.

Podszedł do niej i postawił ją otwartą przed Eleanor. Czekał, aż po nią sięgnie, ale nie potrafiła tego zrobić. To było zbyt potworne. Wtrącono ją w przeraźliwie długi sen, w koszmar, a kiedy została z niego obudzona, gdy wróciła do życia, koszmar bezzwłocznie wrócił z całą mocą. Butelka stała przed nią jak ponure przypomnienie, memento mori. Była znakiem śmierci, ale równocześnie - jeśli okazałaby się na tyle zdesperowana, by zapragnąć tego, co kryło się tam w środku - życia. Czowała dolatujący z niej ohydny odór i zadała sobie pytanie: Czy to ta sama butelka, którą Sinclair przytknął do jej ust na „Coventry”? Jeśli tak, to jakim cudem się znalazła tu, teraz, w tym dziwnym miejscu? Czy po tym, jak opleciono łańcuchem ją i Sinclaira, któryś z marynarzy rzucił w rozfalowane morze także butelkę? Po tym, jak...

Jej umysł nagle przestał działać, wstrzymany niczym osadzony w miejscu koń. Nie mogła o tym myśleć; nie mogła sobie na to pozwolić. Zarządzała swoimi myślami tak długo, teraz nie mogła przestać. Musiała nimi kierować, kontrolować je, nawet strofować jak niegrzeczne dzieci, jeśli zbyt szybko się rozpierzchły. Inne zachowanie to zaproszenie do szaleństwa.

Jeśli, oczywiście, już nie oszalała.

- Musisz - powiedział Sinclair, wpychając jej butelkę.

Ale Eleanor nie dostawało jego pewności.

- Co jednak, jeśli po tak długim czasie...

- Co? - warknął, opuszczając powieki, a potem gwałtownie je podnosząc. - Co jednak, jeśli po tak długim czasie wszystko się zmieniło?

- To możliwe, czyż nie tak, że...

- Że co? Znów Bóg w niebiesiech, my jesteśmy bezpieczni jak u Niego za piecem, a Brytania rządzi morzami?

W oczach rozgorzał mu ogień. Jak dawniej. Tamten długi czas w morzu, w łodzi - ...nie, zahuczało jej w głowie, nie myśl o tym, nie dopuszczaj do siebie tych myśli... - w żadnej mierze nie stłumił jego zaciekłości, gniewu. Zły płomień rozpalony na Krymie nadal płonął.

Nie był owym porucznikiem Copleyem, który pożeglował po sławę. Był porucznikiem Copleyem, którego okrytego błotem i krwią znaleziono między umarłymi i umierającymi na polu bitwy.

- Mogę spróbować pierwszy? - spytał.

Oranżowy blask zza kraty szcerwienił mu oblicze. Kiedy nie odpowiedziała, uniósł butelkę, odchylił głowę i pociągnął łyk. Jabłko Adama skoczyło mu w górę i w dół, gdy przełykał, i zaraz wykonało po raz drugi tę samą drogę, gdy płyn cofnął mu się do ust. Splunął, łapiąc oddech, znów przyłożył butelkę do warg i wmusił w siebie następny łyk. Opuścił ją na podolek. Jasnopszeniczne wąsy zabarwiły się na sinopurpurowo.

- Masz - wycharczał - miód na serce. - Uśmiechnął się, ukazując zbrukane zęby. Podsunął jej butelkę.

- Przede wszystkim - rzekła, chociaż butelka mimo wszystko wabiła jej wzrok - musimy znaleźć pożywienie. I wodę. Czystą wodę, świeże pożywienie.

Sinclair się nachmurzył.

- Mówisz jak posłuszna córka Nightingale. Będziemy mieli jedno i drugie. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że teraz potrzebujesz czegoś innego.

W głębi serca wiedziała, że ma rację... lub przynajmniej kiedyś ją miała. Ale czy klątwa nie mogła zostać cofnięta? Czy po tym przedziwnym cudzie, uwolnieniu ich z więzów, nie mógł się wydarzyć następny? Czy stojące przed nią straszliwe wsparcie nie przestało być potrzebne?

- Nie wiemy, gdzie jesteśmy - rzekł łagodnie Sinclair. - I nie wiemy, co czeka nas na zewnątrz. - Przemawiał niesłychanie rozsądnie, lecz Eleanor przywykła do takich zmian. Dawały o sobie znać nawet w listach, które od niego dostawała.

- Jestem przekonany, że musimy wykorzystać sprzyjające okoliczności wszędzie i zawsze. Gdzie tylko i kiedy tylko uda się nam je znaleźć - rzekł, znacząco spoglądając na butelkę.

Eleanor odwróciła się drugim bokiem do grzejącej kraty, susząc suknię. Nie wiedziała, jak długo uda im się pozostać w tym miejscu, zanim zostaną odkryci. To budziło w niej niepokój.

- Czy nie moglibyśmy po prostu zabrać jej ze sobą tam, dokąd się udamy?

- Owszem - odparł. Wyczuła, że traci cierpliwość. - Ale raz ją zabrano, pamiętasz? To może się powtórzyć.

Oczywiście miał rację... sama zdawała sobie z tego sprawę. Lecz jej duch nadal się buntował.

Albo chcąc ją przekonać, albo spragniony kolejnej porcji, Sinclair porwał butelkę i znów się napił. Tym razem udało mu się przełknąć kilka łyków, zanim ze stukotem odstawił butelkę na podłogę. Cienka strużka pociekła mu z kącika ust.

Przylapała się na tym, że nie może oderwać oczu od tej ciemnoszkarłatnej linii sięgającej jego podbródka. Wiedziała, że celowo się ubrudził. Poczula, że już wcześniej spragnione gardło jest teraz suche jak zakurzony gościniec. Spazm napiął mięśnie szyi. Dopiero co otwarte dłonie zwały się potem i obawiała się, że niestety, czoło także. W żyłach na skroniach poczuła napięcie, jakby przenosiły daleki łomot bębnow.

- Po tym całym czasie - rzekł - przynajmniej możesz mnie pocałować.

Jego blond włosy, chociaż rozwichrzone i poskręcane, lśniły w mocnym świetle dziwnego kominka. Sinclair miał rozpiętą koszulę i kropelka z butelki spadła mu też na szyję. Oby Bóg jej wybaczył, ale chciała zlizać tę plamkę. Bezwiednie napięła język.

- Jak powiedziałaś twoja przyjaciółka Moira - naciskał - czy nie robiłaś tego *auld lang syne*²¹?

- Zrobię to nie dlatego - w końcu rzekła Eleanor. - Ale... z miłości.

Pochyliła się podobnie jak on i ich usta spotkały się nad butelką

- wpraw skromnie, lecz gdy rozchylił wargi, poczuła smak krwi na jego zębach.

Ujął jej głowę, wsuwając palce w długie splecione włosy, i trzymał ją tak. A ona pozwoliła mu się tak trzymać, uległa. Wiedziała, ku czemu zmierza. Pozwoliła mu ich zjednoczyć, jak byli zjednoczeni dawno temu. Pozwoliła mu na wszystko, bo od tak dawna nie czuła niczego... doprawdy, od tak dawna, że nie pamiętała w ogóle, co to znaczy cokolwiek czuć.

²¹ Dawno, dawno temu (szk.).

ROZDZIAŁ 25

13 grudnia, 18.00

Przed drogą powrotną Michael wyprosił u Danziga pozwolenie na poprowadzenie sań. Po udzieleniu kilku podstawowych wskazówek maszer wlaź do pojemnika bagażowego - było mu tam nawet ciaśniej niż Michaelowi - i spytał:

- Gotowy?

- Tak - odparł dziennikarz, poprawiając gogle i głębiej naciągając kaptur na twarz. Złapał rączki sań i upewniwszy się, że stoi na śniegu, nie na lodzie, krzyknął tak, jak na początku jazdy Danzig: - Naprzód!

Psy, być może nieprzyzwyczajone do jego głosu, początkowo ani drgnęły; Kodiak nawet odwrócił łeb i spojrzał na niego pytająco.

- Musisz wydać polecenie bardziej rozkazującym tonem - poradził Danzig. - Musisz im dać do zrozumienia, że to ty jesteś tu panem.

Michael odchrząknął - czuł się, jakby przechodził rozmowę kwalifikacyjną przed tą psią komisją - i krzyknął:

- Naprzód!

Prowadzący Kodiak okręcił się w miejscu jak fryga i skoczył przed siebie; inne psy wzięły z niego przykład i zaczęły ciągnąć. Michael pobiegł za nimi, trzymając się rączek sań.

- Wskakuj! - krzyknął ostrzegawczo Danzig i w tym samym momencie, w którym Michael postawił na płozach wysokie buty, sanie przyspieszyły i pomknęły po śniegu. Danzig wziął na siebie kierowanie saniami, tak że Michael nie musiał się skupiać na zakrętach - jednak samo prowadzenie zaprzęgu było znacznie trudniejsze, niż to sobie wyobrażał. Chociaż teren wydawał się gładki, nie brakowało na nim górerek, rozpadlin i kamieni; Michael czuł w nogach każdy wstrząs. Całą energię wkładał w utrzymanie równowagi na podskakujących płozach.

- Rozluźnij się! - krzyknął przez ramię Danzig i Michael pomyślał: Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

Starał się jednak opuścić barki, rozluźnić ramiona i ugiąć kolana.

- Jak chcesz, żeby zasuwały przed siebie - radził Danzig, chociaż Michael ledwo go słyszał, bo wiatr szarpał jego kapturem - krzycz: „Prosto!”.

Okej, to nie powinno być trudne do zapamiętania.

- A jak chcesz, żeby zwolniły, krzycz: „Spokojnie!”

Michael nie wiedział, jak szybko się poruszają, ale miał wrażenie, że z niewiarygodną prędkością. Kiedy zaciskał ręce na gumowych rączkach, lodowy krajobraz przemykał po obu stronach z szybkością błyskawicy. Tkwiąc w pojemniku bagażowym, miał zgoła odmienne odczucia; było mu ciepło, niczego się nie obawiał, obserwował wszystko, leżąc zaledwie kilka stóp nad ziemią. Ale stanie na płozach, kiedy wiatr smagał mu twarz i szarpał rękawy - trzepotały tak hałaśliwie jak flaga w bazie - było tyleż wyczerpujące co energetyzujące. Pysznic lodowych kryształków, wyrzucanych spod psich łap, kłuł go w usta i bił w okulary gogli jak deszcz. Ostrożnie uniósł rękę, otarł szkła i znów chwycił rączki.

Gdy zaczął wyczuwać rytm zaprzęgu i przywykł do kołysania sań, zaczął się rozluźniać. Uniósł wzrok ponad puszyste łby i ogony i spojrzał w dal. Baza pozostawała poza zasięgiem wzroku, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Widział tylko niekończący się kontynent śniegu, lodu i wiecznej zmarzliny - większy niż Australia, ale tak bezludny, że tamto wielkie pustkowie wydawało się przy tym zatłoczone. Sanie przesuwały się wzdłuż wybrzeża, które w porównaniu z resztą kontynentu tętniło życiem, ale wiedział, że kilka mil w głąb lądu nie baraszkują żadne foki, nie fruują ptaki i znikają nawet najmarniejsze porosty. Była to pustka tak pozbawiona życia - więcej, tak wroga życiu - jak żadne inne miejsce na Ziemi. Ludzie zdołali dotrzeć na biegun południowy; zdołali nad nim przelecieć, ale nigdy nie zdołali go ujarzmić. Nikt tak naprawdę nie mógł tu pozostać na stałe i tylko szalenie miałyby na to ochotę.

Miedziane słońce wisiało na pustym niebie jak kieszonkowy zegarek. Czas stał się dla Michaela tak płynny jak dla każdego polarnika - zużył już połowę okresu wyznaczonego mu przez NSF, ale dni płynęły jeden za drugim szybkim strumieniem. Bezustannie patrzył na zegarek, ale nawet wtedy nie potrafił ocenić, czy jest przedpołudnie czy wieczór. Już kilka razy się pogubił, a czasem musiał rozsuwać zasłonki wokół pryczy, wychodzić na korytarz i pytać pierwszą napotkaną osobę, czy jest noc czy dzień. Raz wpadł na Zjawę, botanika rzadko widywanego poza jego laboratorium - „kwiaciarnią”, jak mówiły na nie trepy - i razem doszli do wniosku, że jest popołudnie; w końcu jednak okazało się, że to środek nocy. Poszli do stołówki i ze zdumieniem stwierdzili, że nikogo w niej nie ma. Michael uważniej przyjrzał się Zjawie i zobaczył wszystkie objawy wielkich gał - szklisty wzrok, obojętny, chociaż dziwnie zdeprymowany wyraz twarzy.

Od tamtej pory zaczął regulować cykl dobowy za pomocą lunesty lub lorazepanu - czegokolwiek, co kochana doktor Barnes przepisała mu na noc.

- Jest takie stare powiedzenie - poradziła mu. - Jak jedna osoba ci powie, że wyglądasz na zmęczonego, nie przejmuj się. Ale jak dwie, to idź się położyć.

- A ty co mi powiesz?

- Połóż się i wrzuć na luz.

Michael zdawał sobie sprawę, że wymaga od siebie zbyt wiele - fotografował, co się dało, stale uzupełniał dziennik podróży, próbował opanować wszystkie polarne umiejętności, od budowy igloo po prowadzenie psiego zaprzęgu - ale był świadom, że jego czas na Cyplu Adeli się kończy, i nie chciał niczego przeoczyć. W sylwestra samolot dostawczy miał zabrać go z powrotem. Nie chciał wylądować w Tacomie i rozmyślać, dlaczego na przykład nie zrobił zdjęć starego kościółka Norwegów - już planował, że tam wróci - lub czemu nie potrafił rozwiązać tajemnicy Śpiącej Królowej i Królewicza Jasnowłosego.

Wiedział, że nawet teraz blok lodu taje. Kiedy tylko wróci do stacji, musi zrobić więcej zdjęć tego etapu transformacji. Zabawne, ale zaczął tak o tym myśleć - jako o metamorfozie. Lód był poczwarą, z której wyłoni się para kochanków. Na pewno byli kochankami. Kogo innego połączono by jarzmem łańcucha i skazano na wodny grób? Próbował ułożyć scenariusz, który wyjaśniałby to wszystko. Czy porwał ich i wrzucił do morza zazdrosny mąż? Czy też to sprawa porzuconej żony? Czy złamali zasady obowiązujące w jakichś kręgach, na przykład prawo morskie lub, biorąc pod uwagę mundur mężczyzny, regulamin wojskowy? Jaką zbrodnię popełnili, że spotkała ich za to tak potworna kara?

Zaprzęg szerokim łukiem ominął szczególnie wysokie zastrugi - utworzone przez wiatr śnieżno-lodowe grzbiety - co przypominało mu, że psy znają drogę do bazy lepiej niż ktokolwiek. Zmierzały do domu, do wygodnej budy z miskami i wyściełaną słomą podłogą. Nie musiał nimi kierować, wystarczyło, że trzymał się rączek i nie spadał z płóz. Danzig zamilkł i Michael miał wrażenie, że maszer śpi, opuściwszy głowę na piersi i zasłoniwszy kapturem twarz. Nie wiadomo, czy był to dowód zaufania do psów czy do niego, ale miał nadzieję, że doprowadzi sanie do bazy, nie budząc trepa.

Daleko po lewej ręce zobaczył powtarzające się regularnie co kilka minut czerwone błyski i zdał sobie sprawę, że to obrotowe światło na dachu kabiny otworu nurkowego. Był przy wyciąganiu pułapek. W niektórych miały się oszołomione ryby o przezroczystych łuskach i białych ślepiach, łapiące powietrze szeroko rozwartymi ustami. Darryl przełożył żywe sztuki do wiader. Dziennikarz zapytał wtedy, jak taki zadeklarowany wegetarianin i aktywista na rzecz praw zwierząt może się zajmować tego rodzaju pracą?

- Wszystko można sobie wytłumaczyć - wyjaśnił Darryl. - Mówię sobie, że badając garstkę, ratuję wiele. Pierwszy krok w kierunku ochrony dóbr naturalnych to przypomnienie światu, że są zagrożone. - Uniósł za ogon zdechłą rybę i delikatnie złożył ją w innym wiadrze, wypełnionym lodem. - Jak się nie guzdrać, to można uzyskać próbki krwi nawet z martwego osobnika.

Kiedy zaprzęg zrównał się z kabiną, psy skierowały się w głąb lądu, poszczekując, rozradowane wizją posiłku. Płozy świstały na śniegu, gdy sanie wspinały się na niskie wzgórze; Michael zobaczył stację. Moduły, szopy i magazyny wyglądały z oddali jak klocki lego, którymi się bawił jako dziecko. Porozrzucany niemal bez ładu i składu zbiór czarnych i szarych budowli. Na dachach fluorescencyjną farbą namalowano wielkie żółte koła, dzięki czemu załogi samolotów dostawczych mogły je łatwiej dostrzec podczas długiej, ciemnej, antarktycznej zimy.

Ciężko żyło się tu latem, w niegasnącym świetle, i Michael ledwo potrafił sobie wyobrazić, że ktoś potrafi wytrzymać na biegunie południowym zimą.

Danzig poruszył się i wystawił głowę na zewnątrz, mamrocząc:

- Już w domciu?

- Prawie - rzekł Michael.

Teraz dostrzegł amerykańską flagę, tak usztywnioną przez wiatr, że wydawała się zupełnie płaska.

- Jak się już obudziłeś - poprosił Michael - to może powiesz mi, jak je zatrzymać?

- Spróbuj: „Stój”.

- Spróbuj...?

- Komenda nie zawsze działa. Depnij na hamulec.

Michael spojrział na metalowy pręt biegnący do pary szczęk służącej za hamulec i postanowił, że nastąpi na niego, gdy tylko znajdą się w odległości stu jardów od budy. Nie spodziewał się natychmiastowego sukcesu.

Od strony oceanu dobiegał daleki ryk śnieżnego skutera, który miał się nijak do gładkiego, naturalnego świstu płóz. Jako fotograf - człowiek uzależniony od najnowszych rozwiązań - wiedział, że nie ma prawa wybrzydzać na technikę. Do diabła, gdyby nie samoloty, nigdy by się tu nie dostał, gdyby nic aparaty cyfrowe, biedziłyby się ze zwojami zamarzniętych, popękanych i porysowanych błon. Ale hałas silnika skutera, towarzyszący mu stale od pewnego czasu, był jednak intruzem, jak warkot kosiarki sąsiada niszczący idealny spokój sierpniowego poranka. Kiedy patrzył na skuter sunący po lodzie niczym karaluch

przebiegający po stole, zastanawiał się, czy wraca nim Darryl, wioząc świeży ładunek okazów.

Psi kojec umieszczono z tyłu stacji, za kwadratem modułów sypialnych i administracji, tam gdzie laboratoria stykały się z budynkami gospodarczymi i generatorami. Choć psy ulokowano najdalej jak się dało od sypialni, często słyszało się je nocami, zwłaszcza gdy wiał wiatr od lądu. Kiedy pewnego ranka przy śniadaniu skarżył się na wycie i szczekanie, Franklin zwrócił mu uwagę:

- Dopiero by ci się łyso zrobiło, gdybyś ich nie usłyszał.

Psy przebiegły wąską ścieżką za magazynem rdzeni i laboratorium botaniki, obok garaży, i skierowały się do budy stojącej naprzeciwko laboratorium biologii morskiej. Michael krzyknął: „Stóóój!”, co nie odniosło prawie żadnego skutku, i naskoczył obiema nogami na hamulec. Czuł, że stalowe szczęki wbijają się w zmarzlinę, zwalniając bieg sań, ale nie na tyle, by mógł liczyć na łagodne hamowanie. Krzyczał dalej i odchyłał się w tył całym ciałem, aż zobaczył, że brush bow, wygięta listwa z przodu sań, chroniąca psy, unosi się kilka cali i zwierzęta stopniowo zwalniają. Kodiak przestał napierać na uprząż i zwolnił do kłusa - pozostałe psy natychmiast zrobiły to samo. Płozy niemal bezgłośnie cięży lód, aż sanie zatrzymały się przed kojcem - otwartą budą ze stryszkim, oświetloną ostrym białym światłem. Z radosnej reakcji zwierzaków można było wnosić, że to psi Ritz.

- Dobra robota, Eskimosie - powiedział Danzig, wygrzebując się z pojemnika. - Ile na liczniku?

*

Sinclair usłyszał przyjazd sań - szczekanie psów, płozy tnące lód. Ale nie odważył się otworzyć drzwi i sprawdzić, co się tam dzieje - doświadczenie podpowiadało mu, że na zewnątrz może stać wartownik.

Izba nie miała porządných okien, tylko wąską szybę tuż pod płaskim sufitem, nad drzwiami. Cicho podstawił pod nią stołek. Wszedł na niego - mokre skarpety zapiszczały na siedzeniu - i spróbował wyrzeć na zewnątrz. Psy hałasowały gdzieś blisko, ale śnieg i lód na szybie narosły tak grubą warstwą, że nie było nic widać. Zauważył korbkę, zapewne służącą do otwierania okna.

Przekręcił ją i dół szyby się uniósł, przy okazji strącając z parapetu trochę śniegu. Zrobił kolejne pół obrotu i szpara zwiększyła się jeszcze o kilka cali, tak że mógł przez nią zerkać. Podmuch wiatru był morderczy, nawet przez wąski otwór.

Sinclair zobaczył zasłaną śniegiem dróżkę i psi zaprzęg raźnie ciągnący sanie. Te psy musiały być blisko spokrewnione z wilkami. Na saniach jechało dwóch mężczyzn - jeden stał

z tyłu i ubrany w grubą kapotę z kapturem powoził, drugi siedział w skrzyni sań. Miał naszyjnik z grubymi kłami. Sanie zatrzymały się w pozbawionej drzwi stodole - rześcicie oświetlonej, chociaż jeśli Sinclair się nie mylił, dochodziło południe - i pasażer wygramolił się ze skrzyni. Sinclair nie słyszał, co mówili. Cała jego uwaga skupiła się na tym, co stało w głębi psiarni.

Zobaczył kufer. Jego własny kufer, w którym trzymał butelki.

Mężczyźni zsunęli z głów kaptury, a z oczu grube ciemne okulary. Woźnica był młody, może w wieku Sinclaire, wysoki, o długich ciemnych włosach, a drugi przybysz - pleczysty, starszy, brodaty, o sterczących, szeroko rozstawionych jak u Słowianina kościach policzkowych. Nie mieli na sobie żadnego umundurowania ani oznak przynależności państwowej, ale to żadna pociecha. Sinclair widział żołnierzy tak znużonych i wyczerpanych dźwiganiem ekwipunku, że nim dotarli na front, bardziej przypominali bandy łotrów niż oddziały Jej Królewskiej Mości.

Brodacz wypinał psy z zaprzęgu - Sinclairowi przypomniały się konie i powozy w rodzinnej posiadłości w Nottinghamshire - i napełniał miski pokarmem z worka. Psy jeden po drugim zostały przywiązane do rozstawionych co kilka stóp palików; nie odrywały ślepi od misek. Kiedy w końcu dostały żarcie, brodacz zawiesił kapotę na kołku - pod spodem miał kolejną - obok już wiszących okryć, czap i rękawic, a także dziwnych zielonych okularów.

Sinclair zdał sobie sprawę, że musi nieco spustoszyć stodołę. Było w niej jedzenie (choćby nawet psie), ubranie i... jego kufer.

- Co widzisz? - szepnęła Eleanor.

- Nasz kolejny cel.

Zszedł ze stołka i zaczął się ubierać.

- Już wyschły? - spytała Eleanor. - Jak nie...

Wysunął z pochwy szablę - musiał się z nią chwilę mocować, zanim drgnęła - i wsunął ją z powrotem. Miał nadzieję, że nie będzie musiał jej użyć, ale lepiej sprawdzić, czy będzie zdarna do rąbania, gdyby przyszło co do czego...

- Co mam zrobić? - zapytała Eleanor. Głos miała nie tylko cichy, ale i słaby.

Sinclair wiedział, że do tej pory nie poddała swych sił prawdziwej próbie - on zresztą też - a nie miał pojęcia, czy sprostą trudom podróży, które niewątpliwie ich czekały, zwłaszcza w tych nieprzyjaznych warunkach, na które się natknęli.

- Ubierz się - rzekł, sięgając po suszący się na stołku szal - i chodź ze mną.

Wstała chwiejnie; otulił ją szalem, który zachował ciepło kraty. Włożyła buty - schylił się, aby zapiąć je na guziczki.

- Ale może powinniśmy tu poczekać? - powiedziała. - Skąd wiadomo, czy nie spotka nas jakaś krzywda?

- Pielęgniarki nikt nie skrzywdzi - rzekł pochylony. - Przynajmniej nikt mający w sobie choć odrobinę przyzwoitości. Lecz pielęgniarkę z twoją szczególną niedomogą - wyprostował się i spojrzał w jej szmaragdowe oczy - mogą potraktować zgoła inaczej. Co byś im powiedziała?

Nie było potrzeby rozwodzić się nad problemami, które spotkałyby brytyjskiego oficera dotkniętego tą samą niedomogą, gdyby wpadł w nieprzyjazne ręce. Jeśli stacjonując na Wschodzie, czegoś się nauczył, jeśli spotkał się z jedną jedyną rzeczą, co do której miał pewność, że nigdy nie przeminie, to było nią bezgraniczne okrucieństwo jednego człowieka wobec drugiego.

Od tamtej pory wiedział już, że nie należy nikomu ufać; jeśli ci życie miłe, sam przeprowadzaj rekonesans, sam podejmuj decyzje. W przeciwnym wypadku śmierć zajrzy ci w oczy... z luf rosyjskich baterii, na które każą ci szarżować.

Kiedy tylko otulił ją najcieplej, jak się dało, i znów wyjrzał na dwór, stając na stołku, przekonał się, że tamci dwaj odeszli. Uchylił drzwi na palec - wiatr przywitał go wyciem - a potem szerzej. Wyszedł na dwór.

Rozejrzał się na boki, ale nie dostrzegł ludzi - tylko niskie ciemne zabudowania wzniesione nie z drewna, ale z cyny lub innego metalu, przycupnięte wzdłuż nagiego placu. Niebo miało ten sam miedziany blask, jaki zapamiętał z pokładu „Coventry”, kiedy śnieżny albatros spłynął na nok rei i przyglądał się beznamiętnie, gdy marynarska czereda krępowała łańcuchami jego i Eleanor i wrzucała ich do lodowatego oceanu.

Eleanor ostrożnie wyszła za nim. Uniosła twarz do słońca i zamknęła oczy. Sinclairowi jej skóra wydała się gładka, biała i pozbawiona życia niczym marmur. Kosmyki długich kasztanowych włosów luźno rozłożyły się na jej policzkach, a usta rozchyliły, jakby lodowate powietrze było nie wiedzieć jakim delikatesem. I to niesione wiatrem powietrze, przebiegające po jej nagiej skórze, chłodne i nieskażone jak lodowiec, było w jakiejś mierze cudowne. Chociaż zimne - tak zimne, że paliło twarz i budziło mrowienie w palcach - niosło smak, woń i dotyk życia. Przez lata - może wieki pozostawali zamurowani w lodowej komorze, zastygli, nieosiągalni. Sinclair nie musiał się odzywać, ona też nie; stali w miejscu, u góry zaśnieżonej rampy, smakując fizyczny świat - nawet tak wrogi i dokuczliwy jak ten.

Jeden z psów po drugiej stronie placu podniósł łeb znad miski, którą wylizywał, i wydał z siebie basowy warkot. Eleanor otworzyła oczy i ogarnęła wzrokiem sferę.

- Sinclair... - zaczęła.

- Tam są i sanie - przerwał jej.

- Ale dokąd się udamy? - omiotła wzrokiem ponurą przestrzeń między domkami i uniosła oczy ku odległym góróm.

- Psy będą wiedzieć. Przecież służą tu, żeby dokądś biegać.

Wziął ją władczo za rękę i ruszył w dół rampy. Buty kawalerzysty nie trzymały się śliskiego podłoża i kilka razy się poślizgnął. Szabla zadzwoniła o metalową balustradę - zaniepokojony szybko się rozejrzał, ale wątpił, by w huczącym wietrze ktoś to usłyszał. Skuleni przebiegli otwartą przestrzeń i weszli w bezduszne światło szopy, gdzie od psów dzieliło ich tylko wysokie na kilka stóp drewniane przepierzenie.

Kiedy Eleanor oparła się o ścianę - już była wyczerpana niewielkim wysiłkiem, kolana się jej trzęsły - Sinclair skierował się prosto do wiszących na ścianie ubrań. Wybrał długi, obszerny płaszcz - gładki jak z jedwabiu, ale bez połysku - i kazał Eleanor go włożyć. Ważył znacznie mniej, niż Sinclair się spodziewał, i był tak obszerny, że mogła się nim po dwakroć owinać. Chociaż jego brzeg rozkładał się na podłodze, a kapuza osłoniła twarz Eleanor jak kaptur mnisiego habitu, niebawem uwolnił ją od dreszczy.

- Też się ubierz - powiedziała.

Sinclair zdjął ze ściany kurtę - czerwoną, z białym krzyżem na rękawach i na plecach. Sięgała mu ud. Początkowo nie wiedział, jak ją zapiąć; przodem biegły dwie koronki metalowych żeberk i wciskał je w siebie, myśląc, że jakoś się połączą, ale nie chciały. Na szczęście znalazł też metalowe zatrzaski, ukryte pod wąską listwą.

Psy skończyły żreć i były niespokojne. Kilka z nich stało przy przepierzeniu, przyglądając się Sinclairowi i Eleanor. Kiedy podszedł do worka z pokarmem, któryś z psów szczeknął, niewątpliwie licząc na dokładkę. Lecz Sinclair wziął z worka garść psiego żarcia i powąchał je. Było grudkowate i zalatywało stajnię. Włożył do ust cząstkę wielkości karabinowej kuli; zazgrzytała mu w zębach, jakby dosypano do niej pasku, ale dała się zjeść. Przełknął jedną, potem całą garść. Okazały się kruche i daleko miększe niż okrętowe suchary.

- Proszę - rzekł, częstując Eleanor. - Nic nadzwyczajnego, ale nie gorsze niż wojskowe racje.

Ale woń musiała się jej wydać odpychająca, bo odwróciła się, potrząsając głową. Napełnił psim żarciem obszerną kieszeń kurty. Nie czas na spory o pożywienie. Miał zbyt wiele do roboty.

Skierował się w głąb budy i ukląkł przy kufrze. Łańcuchy zniknęły, kłódki rozbito i wieko ledwo się trzymało. Podniósł je z wolna i znalazł przemoczony szynel, ostrogi, czako, kilka książek - cudem nadal zamrożone na kość i z pozoru nietknięte - i wreszcie trzy całe

butle z zamazanymi naklejkami. Ale wiedział, że był na nich napis: MADEIRA, SAN CRISTOBAL. Najpierw zabrał butelki. Starannie owinął je szynem i włożył do skrzyni zajmującej całą długość sań. Luki bagażowe były puste, więc mógł wrzucić do nich to, co wpadło mu w ręce - umundurowanie, ostrogi, książki.

Wreszcie przywlókł worek z psim żarciem i wszystkie zwierzęta - zapewne przekonane, że przepada ich pożywienie - powstały przy równo rozstawionych kołkach. Milczały, ale przyglądały mu się czujnie. Poruszył je widok znikającego żarcia, a może zapach nieznanego. Zauważył, że zwierzęta często wpadały w niepokój, gdy się do nich zbliżał. Od Bałaklawy...

Przewodnik sfory - potężna bestia o ślepiach jak niebieskie agaty - szczekał wściekle, napinając łańcuch.

- Spokój! - skarcił go Sinclair głosem cichym, ale rozkazującym. Modlił się, aby wyjący wiatr zagłuszył szczekanie.

Lecz gdy złożył worek na saniach, pies wyskoczył w powietrze - ograniczał go tylko krótki łańcuch.

- Nie wolno! - rozkazał mu Sinclair. Eleanor kulila się pod ścianą. Zaprowadził ją do sań i pomógł wejść do skrzyni.

- Jak je zaprzęgniesz? - spytała. Kapuza niemal całkowicie zagłuszała jej słowa.

- Tak samo, jak całe życie zaprzęgałem konie. - Odparł, jednak sam zadawał sobie to pytanie. Do tej pory nie spodziewał się rebelii. Poza tym musiał uciszyć wrzawę, i to zaraz, inaczej nici z całego planu.

Obszedł drewniane przepierzenie, podniósł kłęb rzemieni - nie tak różny od uprząży czworokonnego zaprzęgu - i potrząsnął nim. Psy obserwowały go pilnie, jednak przewodnik ani myślał się podporządkować. Rzucił się na intruza, ale opadł na ziemię, powstrzymany przez łańcuch. Natychmiast znów się zerwał, bryzgając śliną, i skoczył po raz kolejny - tyle że tym razem kołek się zgiał i wysunął z ziemi. Pies sam musiał być tym zaskoczony, gdyż przemknął obok Sinclaira i wyrznął nosem w ścianę. Zawrócił w miejscu i ciągnąc łańcuch i kołek, zaszarżował. Sinclair zdołał zejść z linii ataku i uderzył go ramieniem. Kołek szalejącego psa zahaczył o wbity w zmarzlinę łańcuch innego i gdy pies szarpał się kilka sekund, Sinclair zdążył się schronić za przepierzenie.

Eleanor wzywała go po imieniu, ale Sinclair ostrzegł ją, by pozostała w saniach. Pies znów się rzucił, ale gdy dojrzał, że Sinclair wycofuje się w głąb budy, tam gdzie drewniane schody prowadziły na strych, zmienił kierunek i obiegł przepierzenie. Sinclair był w połowie schodów, gdy poczuł kły rozrywające skórę buta. Jakże żałował, że nie ma przypiętych

ostróg...! Pokonał z trudem ostatnie stopnie, ciągnąc psa. Wbijał palce w deski podłogi, kopnięciami usiłując strącić w dół zwisające z tyłu zwierzę.

Pies nagle stracił chwyt i zleciał. Sinclair zataczając się, wpadł na strych. Reszta stada szczekała w dole. Młody porucznik odwrócił się i przygotował na atak. Na wąskich schodach zaszurały pazury i na najwyższym stopniu pojawiły się wielkie płonące ślepia i rozdziawione szczęki. Wiedział, co musi zrobić, i gdy pies rzucił się na niego, robiąc susa w powietrzu, dobył szabli. Trzymając ją nisko, równoległe do podłogi, zrobił wypad, zadając pchnięcie. Pies zawył. Całym ciężarem, z całą szybkością nadział się na ostrze. Człowiek i zwierzę upadli. Ręka trzymająca szablę zniknęła pod karkiem psa, przyszpilona do podłogi. Sinclair się odepchnął, wyciągając szablę z ciała zwierzęcia, ale broń już wykonała swoją robotę. Pies leżał, podrygując na zalegającej podłodze słomie. Krew buchała z rany, kalając białą sierść. Sinclair odepchnął się dalej, poza zasięg psich łap i czekał, łapiąc oddech. Z gardła zwierzęcia dolatywał gulgot. Mężczyzna w końcu usłyszał niespokojne krzyki Eleanor:

- Sinclair! Nic ci nie jest? Sinclair?

- Nic - odparł, starając się ściszyć głos. - Jestem cały.

Spojrzał na zaśliniony, rozerwany but. Poczł krew na łydce.

Pies wgryzł się głęboko. Sinclair wstał, obszedł zdychające zwierzę i pokuśtykał na dół. Oślepiające białe światło biło z dziwnej kuli przymocowanej do sufitu i cień wyprzedzał go na schodach. Z pewnością była to epoka cudów - żaru z bezdymnej kraty, światła ze szklanych kul, płaszczy z materiałów, których Sinclair nigdy nie miał w rękach - ale okazywała się nie tak całkiem obca. Nie, pomyślał, ścierając z ręki szkarłatną plamę, świat to rzeźnia. Kiedyś i dziś.

ROZDZIAŁ 26

13 grudnia, 19.30

Zaraz po powrocie do bazy Michael szybko udał się do pokoju, zmienił aparat fotograficzny i w te pędy ruszył na poszukiwanie Darryla. Zbliżał się do laboratorium biologii morskiej, gdy na pokrytym śniegiem przejściu wpadł na Charlotte.

- Witamy znowu - rzekła. - Zjesz ze mną kolację?

- Najpierw najważniejsze - odparł, unosząc wiszący na szyi aparat. - Sporo minęło od chwili, kiedy zrobiłem ostatnie zdjęcie tego kawałka lodu.

- Więc jeszcze jedna chwila nie robi różnicy - powiedziała, biorąc go pod ramię i ciągnąc za sobą. - Poza tym Darryl jest w stołówce.

- Na pewno? - spytał Michael, zapierając się w miejscu.

- Absolutnie - zapewniła go - a wiesz, że nie lubi, jak ktoś mu się kręci po pracowni, kiedy go nie ma.

Michael faktycznie wiedział, że Darryl pilnuje swojego królestwa jak brytan miski, ale nadal był gotów zaryzykować wtargnięcie do laboratorium - gdyby tylko Charlotte tak uparcie nie ciągnęła go za ramię, i gdyby po wyprawie saniami nie czuł takiego wilczego głodu. Powiedział sobie, że raz-dwa uwinie się z kolacją, po czym zaraz zawlecze Darryla do pracowni.

Podczas krótkiej drogi do stołówki Charlotte opowiedziała mu, że właśnie skończyła opatrywać Lawsona, który gmerając przy nartach, rozciął sobie nogę, ale Michael w dalszym ciągu nie mógł się skupić na jej słowach. Dręczyło go znane mu przeczucie, że dzieje się coś, o czym nie wie. Rosło z każdym stuknięciem aparatu fotograficznego o klatkę piersiową.

- Ale jedno muszę przyznać - paplała Charlotte, gdy szli rampą do stołówki. - W sali chorych nie ma żywego ducha. Jak ten stan utrzyma się przez pół roku, będę mogła powiedzieć, że nie wyszłam źle na tej umowie.

W stołówce pozbyli się kurtek i reszty ubrań, a potem nałożyli na talerze góry gulaszu wołowego, ryżu i bułeczek z ciasta na zakwasie. Na Antarktydzie było dość ciężko o sałatki. Zlewki i trepy przychodzili i wychodzili i nawet Ackerley - czyli Zjawa - który zwykle zgarniał karton mleka, małe opakowania płatków i wracał z tym do swojej pracowni, siedział

w towarzystwie kolegów przy jednym ze stolików. Na Cyplu nie narzucano sztywnych godzin posiłków - nie było takiego, który by się ich nie trzymał - ale kuchnia pod wodzą posiwiąłego kuka marynarki wojennej, każącego mówić do siebie „wujku Barney”, zawsze wiedziała, kiedy się spodziewać gości. Nikt, nawet Murphy O'Connor, nie miał pojęcia, jakim cudem się to udawało.

Michael zauważył Darryla pierwszy, przed Charlotte. Był niemal całkowicie zasłonięty górą ryżu i zielonej fasolki; nos wsadził w wyniki badań laboratoryjnych. Michael postawił tacę naprzeciwko niego, Charlotte usiadła obok.

Darryl podniósł wzrok, wycierając usta papierową serwetką.

- Co za piękna para - rzekł. Wskazał na kartki papieru. - To wyniki badań krwi z butelki. - Powiedział to takim tonem, jakby czekali właśnie na to.

- Przychodzisz na kolację z czymś takim? - spytała Charlotte, strzepując serwetkę.

- To fascynujący materiał - powiedział Darryl, ale gdy zaczął się rozwodzić nad źródłami procesu gnilnego, Charlotte wsadziła mu w usta bułeczkę.

- Mama cię nic nauczyła, że są rzeczy, o których się nie mówi przy stole?

Michael wybuchnął śmiechem. Gdy Darryl wyjął bułeczkę, również się roześmiał.

- No, serio, nie uwierzylibyście, jaki jest poziom czerwonych ciałek... - zaczął po raz kolejny, ale Charlotte położyła kres temu tematowi, mówiąc:

- Michael, czemu nam nie opowiesz, jak ci minął dzień?

Darryl się poddał. Rozerwał ciepłą bułeczkę i posmarował ją grubo masłem. Michael opowiedział im o norweskiej stacji i prowadzeniu zaprzęgu.

- Danzig ci pozwolił? - spytał Darryl.

Michael kiwnął głową, przełykając szczególnie twarde kawałek mięsa.

- Chyba cię widziałem, jak wracałeś z kabiny.

Darryl przyznał, że był tam.

- Ale tym razem nie znalazłem niczego sensownego. Spróbuję jutro przed południem.

Przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu - na biegunie każdy posiłek był niemal komunią, przerwą w niekończącym się dniu, sposobem powiadomienia ciała, jaka jest pora dnia. Czasem trzeba było się zastanowić, by odpowiedzieć sobie na pytanie, czy siedzi się przy lanczu czy przy kolacji, ale wujek Barney starał się ułatwić ludziom życie, dostarczając w południe stopy kanapek, a wieczorem serwując wielkie ciepłe dania, gulasz, spaghetti albo chili con carne. Betty i Tina zasugerowały świece w porze kolacji, ale trepy masowo odrzuciły ten pomysł, używając barwnych sformułowań na tablicy ogłoszeń.

Michael usiłował być cierpliwy, ale zanim Darryl dokończył ciepły placek z brzoskwiniami, spytał go:

- Potem idziesz do pracowni, no nie?

Darryl skinął głową, ścigając na talerzu nieposłuszny kawałek owocu.

- Bo zawsze mógłbym pójść pierwszy - zaproponował Michael - gdyby ci to nie przeszkadzało.

Darryl dopadł brzoskwinie, zjadł ją i powiedział:

- Nie popędzaj. Już idę. - Złożył serwetkę i rzucił ją na talerz. - Korci mnie tak samo jak ciebie, żeby zobaczyć, co się tam wyprawia.

Charlotte dopiła kawę latte i powiedziała:

- Mnie też.

Kiedy nałożyli kurtki i gogle, wyglądali niemal identycznie. Na Antarktydzie ludzie rozpoznają się po najprostszych rzeczach - szaliku, czapce, sposobie chodzenia - bo pomijając szczegóły, wszyscy przypominają wielkie kule pikowanego, wypchanego puchem materiału, gumy i wełny.

Noc była niezwykle cicha, a słońce zasłaniał cienki welon postrzępionych chmur - jednoznaczne symptomy zbliżania się złej pogody. Lód i śnieg chrzęściły pod butami, gdy dwaj mężczyźni i kobieta szli obok laboratorium glaciologii - z magazynu rdzeni lodowych dobiegł ich warkot świdra - i mijali szopę, w której trzymano sanie. Dalekie oświetlenie szklarniowe pracowni botaniki jaśniało jak latarnia. Wszystko to przypominało Michaelowi noc Bożego Narodzenia, gdy jako dziecko szedł z rodzicami na pasterkę i cały świat zdawał się wstrzymać oddech. Wtedy wiedział, że rano spotka go coś cudownego, tak jak teraz czuł, że coś zdumiewającego czeka na niego w niskim ciemnym module za rogiem.

Darryl pierwszy potruchtał w górę rampy. Zaczekał na nich, nie otwierając drzwi, by nie wpuszczać do środka lodowatego powietrza - nie zamykał drzwi na klucz, gdyż na Cyplu Adeli nikt tego nie robił; taką bezwzględną zasadę wprowadził kierownik, kierując się względami bezpieczeństwa - po czym cała trójka jednocześnie weszła do pracowni.

Zanim jeszcze Michael rozpiął kurtkę, zauważył rozlaną na podłodze wodę. Jej obecność nie mogła dziwić w laboratorium biologii morskiej - dlatego podłoga była betonowa i osadzono w niej w regularnych odstępach kratki ściekowe - ale wody było nieporównanie więcej niż zwykle. Kiedy Michael obchodził stół, na którym stał mikroskop i monitor, buty piszczały mu na mokrym podłożu. Podeszedł za Darrylem do umieszczonego centralnie zbiornika.

Woda nadal wypływała z wielkiej kadzi, rury PCV chyba ciągle pracowały, ale w zbiorniku była tylko woda morska. Nic więcej. Zniknął blok lodu. Zniknęły ciała. Tylko kawałeczki lodu, miniaturowe lodowce, żeglowały po łagodnie sfalowanej powierzchni i w całej pracowni unosiła się silna woń słonej wody. Michael był zdumiony - i szczerze mówiąc trochę wkurzony. Czy według Darryla to miał być dowcip? Bo jeśli tak, to jemu wcale nie jest do śmiechu. Jeśli ciała przeniesiono w inne miejsce, należało się z nim skonsultować.

- Dobra, co jest grane? - spytał Darryla. - Kazałeś je przenieść?

Ale widząc wyraz głębokiego zdumienia na jego twarzy, z góry znał odpowiedź na swoje pytanie.

- Gdzie oni są? - niewinnie spytała Charlotte, zdejmując z szyi długi czerwony szal.

- Nie... wiem - odparł Darryl.

- Jak to nie wiesz? - powiedziała. - Myślisz, że Betty i Tina zabrały ich z powrotem?

- Nie wiem - powtórzył Darryl.

Charlotte też zdała sobie sprawę, że jest wstrząśnięty. Spojrzała nad jego głową na Michaela.

- No cóż, niepodobna, żeby sobie wstali i gdzieś poszli - zauważyła.

Zaległo ciężkie milczenie. Michael obszedł zbiornik i wyłączył dopływ i odpływ wody. Zauważył stołek przed jednym z grzejników, kolejny przy drzwiach. Zastanowił się, dlaczego Darryl tak je rozstawił.

- Wiem, że jesteś przywiązany do swojej prywatności, ale muszę cię spytać, czy ktoś tutaj z tobą pracował? - spytał.

- Nie - odparł głuchym głosem Darryl, jakby w dalszym ciągu nie potrafił ogarnąć tej katastrofy. Tkwił bez ruchu przy zbiorniku.

- Murphy będzie wiedział, co się stało - rzekła ze sztucznym animuszem Charlotte. - Musi wiedzieć, dokąd przeniesiono ciała.

- Podeszła do wiszącego przy drzwiach interkomu. Ona również przez chwilę była zdziwiona widokiem stojącego tam stołka.

Tysiące myśli przelatywały Michaelowi przez głowę, gdy mopem zgarniał wodę do kratek. Darryl nadal wybałuszał oczy na zbiornik, jakby samym gapieniem się mógł odzyskać ciała. Charlotte rozmawiała przez telefon. Michael wyłapał kilka krótkich zdań: „Nie ma”, „Jesteś pewien?”, „Oczywiście, że szukaliśmy” - wiedział, że Murphy O'Connor jest równie oszołomiony tym, co usłyszał, jak oni tym, co zobaczyli, a raczej tym, czego nie zobaczyli.

Darryl zmarszczył brwi. Głęboko zamyślony podszedł do stołu roboczego. Opadł na stołek przed mikroskopem. Michael mopem odsunął stołek od grzejnika i zauważył, że

choć woda ze zbiornika nie dopłynęła tak daleko, jest przy nim okrągła kałuża, jakby w tym miejscu coś suszono i woda kapiała na podłogę. Spojrzał na przestawiony stołek i na drugi przy drzwiach - oparł mopa o ścianę i podszedł do tego drugiego.

Charlotte właśnie odwiesiła słuchawkę i powiedziała, że Murphy nie ma pojęcia, co się dzieje.

- Kontaktuje się z Lawsonem i Franklinem. Może oni wiedzą, co jest grane.

Michael zajrzał pod stołek. Nie znalazł wody. Nagle poczuł na ramionach zimny powiew. Popatrzył w górę. Pod sufitem było wąskie, prostopadłe okienko. Stając się na stołku, przekonał się, że jest nieznacznie uchylone. Wewnątrz już narosła warstewka śniegu i lodu. Za oknem rozciągał się placyk; dalej zobaczył jasno oświetloną psią budę, szopę. Wszędzie cisza i spokój.

- Darryl - spytał - czy kiedyś uchylałeś to okno?

- Co? - Darryl podniósł wzrok na Michaela, który balansował niepewnie na stołku. - Nie. Chyba nawet bym do niego nie sięgnął.

Michael zamknął okienko i zszedł na dół. Ktoś jednak je otworzył. Niedawno. I zrobił to, bo chciał wyjrzeć na dwór.

- Macie ochotę usłyszeć coś jeszcze? - spytał z rezygnacją Darryl.

- To dobra czy zła wiadomość? - zapytała Charlotte.

- Butelka po winie zniknęła.

- Stała na stole roboczym? - zapytał Michael i Darryl skinął głową.

- Tutaj, obok mikroskopu. - Wziął do ręki rozmaz. - Ale i tak mam dowód... tutaj... że to cholerstwo istnieje. Ale nie ma butelki i ciała przepadły.

Michael uważał, że to nie ma sensu; ten kto porwał ciała - ale dlaczego i po co? - zabrał też butelkę, ale już nie zwrócił uwagi na rozmaz. Czy naprawdę ktoś zamierzał zniszczyć wszystkie dowody odkrycia, tak aby nikt nie mógł stwierdzić, że do niego doszło? Jaki miałby w tym cel? A może ktoś zamierzał na tym zarobić? To wydało mu się jeszcze mniej sensowne. Zlewki by się na to nie porwały, było to tak potwornie głupie, ale może kilku trepów wywahało sprawę i uznało, że gdyby zdołali przemycić zamrożone trupy poza krąg polarny, zbiliby fortunę na pokazach?

A może to tylko jeden wielki, zupełnie nieśmieszny kawał? Jeśli tak, to Murphy z pewnością dorwie sprawców. Michael był tego pewien.

Równocześnie zdawał sobie sprawę, że kombinuje jak koń pod górę, że to zwariowane domysły. Powinien się uspokoić. To musi być coś prostszego. Betty i Tina pewnie zabrały

blok, żeby dalej nad nim popracować. Albo coś w tym stylu. Tajemnica się wyjaśni, zanim pójda do łóżka.

- Czy tam, w tym kufrze, nie było jeszcze innych butelek? - spytała Charlotte i Darryl się rozchmurzył.

- Tak, były. Michael, gdzie postawili kufer?

- Kiedy ostatnio go widziałem, Danzig wyładowywał go z sań. Złożył go w budzie.

- W takim razie przynajmniej one nam zostały! - powiedział.

- Ty i Charlotte rozejrzyjcie się po pracowni. Upewnijcie się, czy jeszcze coś nie zginęło. Ja przejdę się do psów.

Od kiedy wyrzął przez okienko, chciał sprawdzić najbliższy teren.

Zapiął kurtkę i wyszedł, szukając śladów kół wózka, ale znalazł tylko odciski butów. Do diabła, jak komuś udało się wywieźć stąd to cholerstwo? Przeszedł do budy i znalazł kufer dokładnie tam, gdzie go Danzig złożył. Lecz w środku pozostało tylko kilka rupieci - srebrny puchar z wygrawerowanymi literami SAC, pozółkły z wiekiem, szeroki biały pas - butelki zniknęły.

- Hej, co się dzieje, do diabła?

Michael się odwrócił i zobaczył Danziga. Rozkładał w zdumieniu ręce.

- Pewnie już wiesz od Murphy'ego.

- Co mam wiedzieć od Murphy'ego?

- Och, o ciałach, które zniknęły.

- Ja mówię o psach, na litość boską... o psach! Idzie śnieżycą jak jasna cholera i przyszedłem się upewnić, czy ułożyły się na noc.

- Rozejrzał się wkoło, jak ktoś, kto po prostu ich nie zauważył.

- Gdzie one, do diabła?

Michael był zbyt zaaferowany szukaniem butelek, by zauważyć jeszcze bardziej zdumiewające zniknięcie. Teraz dostrzegł, że po psach zostały tylko wbite w ziemię kołki i przewrócone puste miski.

- Sań też nie ma - powiedział Danzig. - Co się, kurczę, dzieje?

Michael nie mógł uwierzyć, że ktoś się ośmielił wyprowadzić psy bez wyraźnego pozwolenie Danziga.

- Ja tylko sprawdzałem, czy kufer jest w porządku - rzekł Michael, czując, że powinien wyjaśnić swoją obecność. - Nie jest.

- Gównu mnie obchodzą te ludzkie sople. Gdzie moje psy? - zahuczał Danzig, chodząc ciężkim krokiem po budzie i przeczesując wzrokiem podłogę. - Jak długo tu jesteś?

- Przyszedłem tuż przed tobą.

- Niech to szlag!

Kopnął jedną z misek, aż przeleciała przez całą budę, po czym zatrzymał się przed schodami, zerwał rękawicę i dotknął stopnia. Michael patrzył, jak Danzig podnosi rękę do nosa i ją wacha.

- To krew - rzekł. Uniósł oczy i spojrzał na strych. Pobiegl na górę tak szybko, jak pozwalały mu na to ciężkie buty i grube ubranie. - Jezu, nie! - krzyknął.

Gdy Michael do niego dobiegł, Danzig klęczał na podłodze, ściskając w potężnych ramionach zakrwawione ciało Kodiaka.

- Kto to zrobił? - mruczał mężczyzna. - Kto to zrobił?

Michael też był oszołomiony.

- Zabiję drania - powiedział Danzig i Michael mu uwierzył. - Zabiję tego drania, który to zrobił!

Michael położył Danzigowi rękę na ramieniu, nie wiedząc, co powiedzieć, gdy wtem powieki psa zadrgały i się otworzyły.

- Zaczekaj, patrz... - zaczął Michael.

Nagle husky wydal basowe, wściekle warknięcie i zanim Danzig zdążył zareagować, pies rzucił mu się do twarzy. Danzig runął na plecy. Pies był na nim. Warczał, szarpał ubranie, gryzł. Danzig obłąkańczo kopał nogami, próbując wstać, ale pies był zbyt silny i oszalały z wściekłości. Michael dojrzał krótki łańcuch z przywiązany do niego kołkiem. Złapał go. Kołek wyleciał mu z ręki. Znów po niego sięgnął. Tym razem się udało. Pociągnął z całej siły. Pse szczęki, spływające krwią i spienioną śliną, oddaliły się od gardła Danziga. Kiedy Michael włókł Kodiaka w kierunku schodów, pies wciąż kłapał zębami, wciąż próbował ugryźć swojego pana. Drapał pazurami deski podłogi, ale dopiero teraz zwrócił uwagę na Michaela. Odwrócił się jednym błyskawicznym ruchem i skoczył. Zimne, niebieskie ślepiec płonęły ogniem. Michael zrobił zręczny unik jak matador i pies poleciał w dół schodów. Rozległ się łomot, coś pękło, trzasnęło i... zapadła cisza.

Michael spojrzał w dół. Kołek utkwiał między ażurowymi stopniami. Zwierzę huśtało się na łańcuchu. Miało złamany kark. Schody skrzypiały, obciążone ponad miarę. Danzig leżał na podłodze, trzymając się za gardło i słabym głosem, gulgocząc, wzywał ratunku. Między palcami spływała mu krew. Michael zerwał z szyi szalik, mocno owinął ranę i rzucił:

- Zaraz wracam z doktor Barnes.

Gdy wstrząśnięty biegł po pomoc, ciało Kodiaka kołysało się rytmicznie pod schodami. Krew kapiała z rany na piersi, skrapiając słomę w dole. Co się stało? - zastanawiał się gorączkowo Michael.

ROZDZIAŁ 27

13 grudnia, 20.00

Sinclair prowadził sanie szerokim łukiem wokół obozowiska, tak, aby nikt ich nie dostrzegł. Po jednej stronie pokazało się morze, po drugiej dalekie pasmo gór. Eleanor spoczęła głęboko w skrzyni, szczelnie okryta obszernym, ukradzionym z szopy płaszczem.

Psy biegły równo i zdawały się dokładnie wiedzieć, dokąd zmierzają. Sinclair nie miał pojęcia, jaki jest ich cel, ale był gotów poradzić sobie z każdą ewentualnością. W pewnej chwili spostrzegł ślady na śniegu i zauważył, że psy biegną wzdłuż nich. Stał na płozach, ściskając rączki sań. Chociaż powietrze było lodowate, a słońce nie dawało ani odrobiny ciepła, unosił twarz i rozkoszował się zimnym, palącym skórę wichrem, który jak miech napelniał mu płuca. Czuć! Poruszać się! Znow żyć! Bez względu na to co go czekało, witał radośnie przyszłość, gdyż nie mogła być nieznośniejsza niż więzienie w lodzie. Czerwona kurta opatrzona białymi krzyżami łopotała mu wokół nóg. Żółty mundurowy sznur lśnił blado w zimowym powietrzu, ale w żyłach czuł wrzenie krwi i nawet włosy zdawały się stroszyć na czaszce.

Nad nim rozlegała się wrzawa, niespokojne krakanie stada ptaków - brązowych, czarnych i szarych - i chociaż miał nadzieję, że ujrzy śnieżnobiałą pierś albatrosa, który dotrzymywałby mu towarzystwa w polarnej ciszy, wiedział, że jest ona płonna. Nad głową miał padlinożerne ptactwo - poznał to po brudnych piórach, czuł, słysząc rozzwierające wrzaski - które leciało za psim zaprzęgiem, licząc jedynie na posiłek. Widywał tego rodzaju padlinożerców wcześniej, kołujących na czystym niebie Krymu. Sierżant Hatch wyjaśnił mu, że przybyły aż z Afryki, licząc na ucztę, którą brytyjska armia zgotuje im z ciał swych żołnierzy.

- Nie wątpię, że niektóre - dodał - przyleciały przez wzgląd na mnie.

Od jakiegoś czasu Sinclair widział, że ogorzały sierżant zółknie jak chory na żółtaczkę. Nawet jego oczy przybrały chorobliwe zabarwienie. Siedząc w siodle, miewał tak gwałtowne dreszcze, że Sinclair na wszelki wypadek owinał go w barkach sznurem, który przywiązał do łąku.

- To malaria - wyznał, szcękając zębami Hatch. - Przejdzie.

Płozy sań nagle się uniosły na ukrytej przeszkodzie i opadły wdzięcznie jak balerina. Sinclair nigdy nie widział, nie wyobrażał sobie takiego środka transportu; nawet korzystając z niego, nie wiedział, z czego mógł być stworzony. Skrzynia, w której leżała Eleanor, była śliska i twarda jak stal, ale oceniając po swobodzie, z jaką ciągnęły ją psy, ważyła znacznie mniej.

Ptaki trzymały się ich, śmigając w różnych kierunkach. W porównaniu z nimi krymskie sępy znacznie pewniej kontrolowały sytuację, unosiły się leniwie, zataczając wielkie kręgi i od czasu do czasu nawet przysiadły na koronach wyschniętych drzew, pod którymi maszerowały kolumny wojska. Składały skrzydła przy poznaczonych brązowymi smugami kadłubach i przyglądały się ślepiami jak czarne paciorki, czekając, aż kolejny żołnierz, oszalały z upału i umierający z pragnienia, bezwładnie runie na drogę. Nigdy nie czekały długo. Uparcie zdążający przed siebie na wycieńczonym Ajaksie Sinclair mógł tylko patrzeć, jak piechurzy porzucają czapki, kurtki, karabiny i amunicję, usiłując dotrzymać kroku kolumnie. Ci, którzy zachorowali na cholere, wili się na ziemi, zaciskając ręce na brzuchu, błagając o wodę, o morfinę, a czasem po prostu o kulę, która skończyłaby ich męczarnie. Gdy tylko przyszedł kres cierpienia żołnierzy i w końcu nieruchomieli, sępy rozkładały ohydne skrzydła i opadały na ziemię obok zmarłych. Podziobawszy na próbę, dla zwykłej pewności, zabierały się do roboty zakrzywionymi dziobami i pazurami.

Raz Sinclair nie zdołał nad sobą zapanować i strzelił do sępa - zamieniając go w kulę zakrwawionych piór - ale sierżant Hatch natychmiast przycwałował, chwiejąc się w siodle, i ostrzegł go, że nie powinien tego robić.

- To strata amunicji. Wystrzał może też zaalarmować nieprzyjaciela. Dowie się o naszych ruchach.

Sinclair wybuchnął śmiechem. Jak nieprzyjaciel mógł nie wiedzieć o ich ruchach? Kolumna marszowa liczyła sześćdziesiąt tysięcy chłopów, kurz spod nóg i kopyt zaćmiewał niebo, gdy od wyładunku wlekli się w żółtym tempie po rozległych równinach i porośniętych kolczastymi krzewami i ostami bezdrożach Krymu. Spotkali nieprzyjaciela nad brzegami rzeki Alma. Piechota zręcznie wdarła się na wzgórze i nie bacząc na miażdżący ogień Rosjan, zdobyła reduty i zmusiła obrońców do ucieczki.

Ale kawaleria - i wśród niej XVII Regiment Lansjerów - nie zrobiła nic. Zgodnie z rozkazami głównodowodzącego, lorda Raglana, miała „siedzieć w pudle na kapelusze” - te słowa obiegiły szeregi - strzeżona i pilnowana, ochraniać działa i może któregoś dnia, jeśli dotrą do sewastopolskiej fortecy, pomóc w jej zdobyciu.

Dla Sinclaira cała dotychczasowa kampania była jedną długą serią upokorzeń i opóźnień. Wieczorami, gdy biwakowali na jakiejś wcześniej opanowanej przez komary polanie, nawet nie musiał się odzywać do Rutheforda i Francuzika; każdy wiedział, co myślą inni. Poza tym zwykle byli zbyt wycieńczeni, aby zrobić coś więcej, niż wypić porcję rumu, przełknąć kawałek zimnej solonej wieprzowiny i desperacko szukać źródła czy stawu, w którym mogliby napoić konie i napełnić manierki.

Rano żołnierzy, którzy zachorowali w nocy, ładowano na wozy transportowe, a zmarłych wrzucano do pośpiesznie wykopanych, płytkich zbiorowych mogił. Trupi smród włókł się za brytyjską armią wszędzie, gdzie szła, i Sinclair zadreślał się myślą, że choćby szorował się do krwi, nie zmyje go z siebie.

- Sinclair - powiedziała teraz Eleanor, odwracając się do niego - przed nami coś jest. Też to widzisz? - Uniosła drażącą rękę i wskazała w kierunku północno-zachodnim.

Dojrzał skupisko czarnych budynków i osiadły na brzegu statek

- chyba parowiec. Ale czy to miejsce było zamieszkane? A jeśli tak, to przez kogo? Swoich czy wrogów?

Zapręg zwolnił. Lecz gdy dojeżdżali, wzrosła pewność siebie porucznika. Nie było dymu z komina, świateł lamp w oknach, brzęku patelni czy garnków. Żadnych śladów życia. Jednak psy wydawały się dobrze obznajomione z tym miejscem. Z absolutną swobodą wbiegły w labirynt zastygłych uliczek i ciemnych, porzuconych domów, i zatrzymały się pośrodku rozległego opuszczonego podwórca. Nowy przywódca sfory - wielka bestia z szerokim pasem białej sierści na szyi - odwrócił się i patrzył na Sinclaira, oczekując dalszych poleceń.

Sinclair zszedł z płóz i widząc między nimi zakończone pazurami urządzenie, mocno na nie nastąpił i poczuł, jak wbija się w lód i zamarzniętą ziemię. Zygzak bólu przebiegł w górę nogi porucznika, przypominając mu o świeżej ranie; pies przegryzł but jeździecki, odrywając kawał skóry - teraz zwisała zakrwawiona.

Eleanor wierciła się w saniach. Spytała głosem równie ponurym jak otoczenie:

- Gdzieśmy przyjechali?

Sinclair rozejrzał się po magazynach i potężnych porzuconych machinach - w jednej z szop dostrzegł ogromne żelazne kotły, tak wielkie, że można by w nich ugotować zapręg wołów, i sieć zardzewiałych łańcuchów i bloków. Rozliczne, ledwo widoczne tory przecinały podwórzec. Stały na nich żelazne taczki, jeszcze ogromniejsze niż te, które niegdyś oglądał w kopalniach węgla w Newcastle. Wszystko zbudowano celowo - wyraźnie z myślą o użytkowaniu - i tym celem był zarobek. Jedynym, co mogło go zapewnić w tak odległym i

zakazanym miejscu, był połów ryb, fok lub wielorybów. I to na wielką skalę. Czarna lokomotywa, pokryta lodem jak cienkim marcepanem, stała u końca zardzewiałych torów. Na zamrożonej równinie wzniesiono kilkadziesiąt budowli. Miały popękane okna, wiszące krzywo w zawiasach drzwi. Na szczycie nieco oddalonego wzgórza wyrastała wieżyczka z przekrzywionym krzyżem.

Na sekundę zastygł i... poczuł w sobie odruch buntu.

Zdrową nogą nastąpił na hamulec i po kilku próbach zęby wyskoczyły z lodu.

- Naprzód! - krzyknął na psy. Początkowo się zawahały, ale gdy krzyknął powtórnie, szarpnęły uprząż i ruszyły przed siebie.

- Dokąd jedziemy? - spytała Eleanor.

- Na wzgórze.

- Po co? - spytała niepewnym głosem.

Wiedział, co myśli.

- Bo tam jest wyżej - wyjaśnił - i będziemy mieli lepszą widoczność.

Wiedział, że podejrzewa, iż wybrał to miejsce z innego powodu.

Psy przebiegły obok porzuconej kuźni - były w niej kowadła i lance prawie tak długie jak te, których używał w boju - i kantyny z długimi stołami na kozłach. Na niektórych jeszcze leżały cynowe talerzyki ze świecami. Pomyślał, że warto by wrócić po te świece.

Psy spuściły łby i unosząc grzbiety, ciągnęły sanie na wzgórze. Były potężnymi, dobrze wyćwiczonymi zwierzętami i w innych okolicznościach chętnie pogratulowałyby ich właścicielowi. To co pan Nolan osiągnął z końmi, komuś innemu udało się z tymi bestiami.

Gdy sanie zbliżyły się do kościoła, psy zwolniły, klucząc między rozrzuconymi kamieniami i krzyżami wyznaczającymi cmentarz tego obozowiska. Groby wykopano bez porządku, a wiatr tak wytarł napisy na niektórych płytach, że były nieczytelne. Na jednym z nagrobków stał bezskrzydły anioł, na innym płacząca niewiasta pozbawiona ręki. Wszystkie rzeźby patrzyły ku zamrożonemu morzu.

Przed drewnianymi schodami kościoła Sinclair znów nastąpił na hamulec. Zszedł z płóz i zbliżył się do Eleanor, ale ona skuliła się i nie podała mu ręki.

- Wejdzmy - zaproponował. - Wygląda na to, że tu znajdziemy najlepsze schronienie w tym obozowisku.

Niebawem miało okazać się niezbędne. Ciemne chmury wypełniały niebo, wiatr szybko wzbierał na sile. Sinclair widział, jak tego rodzaju sztormy pojawiały się nie wiedzieć skąd i uderzały w statek, którym podróżowali, spychając go dalej i dalej na południe.

Lecz Eleanor się nie poruszyła. Jej blade oblicze wyglądało wręcz upiornie.

- Sinclair, wiesz, dlaczego ja...

- Wiem doskonale - rzekł - i nie chcę więcej słyszeć słowa na ten temat.

- Ale jest tyle innych miejsc - powiedziała. - Widziałam kantinę po naszej prawej stronie, gdy...

- Kantinę bez drzwi i z dziurą w dachu wielkości katedry Świętego Pawła.

Ta wzmianka o katedrze przypomniała im popularną piosenkę, której słowa niegdyś powtarzali jedno drugiemu, w szczęśliwych dniach... o kokosowych palmach wysokich jak katedra Świętego Pawła i piasku bielutkim jak Dover. Sinclair odsunął to wspomnienie i biorąc ją pod łokieć, wręcz wyniósł z sań.

- To przesady i bzdury.

- Wcale nie - zaprotestowała. - Pamiętasz, co się wydarzyło w... Lizbonie?

Nie było to coś, o czym szybko mógł zapomnieć. Gdy stali przed ołtarzem w Igreja de Santa Maior - w dniu, który powinien być dla nich szczęśliwy - jakby sam Bóg raczył interweniować. To cud, że tego samego wieczoru Sinclairowi udało się wykupić kajutę na „Coventry”.

- To był zbieg okoliczności - powiedział - który nie miał nic wspólnego z nami. Tamto miasto przeżyło nieskończoną ilość trzęsień ziemi.

Nie zamierzał ulegać takim wymysłom. Były rzeczy do zrobienia, plany do zrealizowania. Kiedy psy ułożyły się między grobami, chowając łby i podwijając ogony, wziął Eleanor pod ramię i z ręką na szabli wszedł po zaśnieżonych schodach. Ptaki, które cały czas im towarzyszyły, obsiadły dach i wieżyczkę - wyglądały jak gargulce. Eleanor uniosła oczy i dojrzała je. Jeden głośno zaskrzeczał, wyciągając dziób i machając skrzydłami. Zastygła.

- Cholera, to tylko ptak - rzekł pogardliwie Sinclair, ciągnąc ją przez resztę drogi w górę.

Były tam wysokie podwójne drzwi. Jedno skrzydło wisiało przekrzywione, najzwyczajniej zamarznięte w tej pozycji. Drugie udało się Sinclairowi pchnąć, chociaż musiał użyć całej siły, by ustąpiło. Tuż za progiem natknęli się na zaspę. Sinclair przekroczył ją, podał dłoń Eleanor i pomógł jej wejść do środka.

Głuche echo towarzyszyło krokom po kamiennych płytach. Rzędy drewnianych ławek stały zwrócone ku ołtarzowi. Na niektórych pleśniały modlitewniki. Sinclair sięgnął po jeden z nich, ale te kilka słów, które jeszcze dało się odczytać, nie było po angielsku. Jeśli miałby zgadywać, rzekłby, że napisano je w jakimś skandynawskim języku. Odrzucił modlitewnik na podłogę. Eleanor odruchowo go podniosła i z powrotem odłożyła na ławkę. Ściany i dziurawy dach były z drewna, które nieznużone siły natury wypolerowały do znakomitego, równego

połysku. Każdy sęk i rowek rysował się wyraźnie niczym plama po winie na lnianym obrusie. Ołtarz stanowił prosty stół na kozłach. W głębi z krokwi zwisał krzyż zbity z surowego drewna. Otulona w szeroki płaszcz Eleanor zatrzymała się, odwracając oczy, lecz Sinclair śmiało podążył nawą. Zatrzymał się przed ołtarzem, rozłożył ramiona i ogłosił swe przybycie, jakby stawał przed dziedzicem, który zaprosił go na polowanie:

- A więc jestem!

Jego głos przeleciał wzdłuż ścian, wzmocniony echami. Odpowiedział mu tylko wiatr gwizdzący w wąskich oknach, z których dawno temu wypadły szyby.

- Czy jesteśmy tu mile witani? - krzyknął wyzywająco. - Czy nie?

Nagły powiew wiatru cisnął wzdłuż nawy śniegiem nagromadzonym za progiem. Białe płatki obsypały buty Eleanor. Szybko umknęła między ławki.

Sinclair się odwrócił, nadal rozpościerając ramiona i rzekł:

- Widzisz? Słowa protestu.

Wiedział, że Eleanor się go lęka, gdy wpada w taki nastrój - ponury, pyszny i znamionujący chęć walki. Lecz od czasów Krymu kipiały w nim mroczne emocje, równie nieustępliwe i nieposkromione jak cień.

- Nie wyobrażam sobie wygodniejszej kwatery - rzekł.

Rozejrzał się i za ołtarzem dostrzegł drzwi o wielkich czarnych zawiasach. Czy to zakrystia? - zadał sobie pytanie. Jego czarne buty zastukały na kamiennych płytach, gdy obszedł ołtarz - dawno zapaskudzony szczurzymi odchodami - i otworzył drzwi. Za nimi był pokój z jednym kwadratowym oknem, zakrytym okiennicami. Stało w nim kilka mebli: stół, krzesło, prycza z kocem zwiniętym w nogach i... żelazny piecyk. Chociaż pomieszczenie wyglądało żałośnie, Sinclair poczuł się tak, jakby wpadł do wielkiego salonu Klubu Longchamps. Nie mógł się doczekać, kiedy go pokaże Eleanor.

- Chodź! - krzyknął. - Mamy apartament na noc.

Eleanor wyraźnie nie podobało się to, że ma przejść obok ołtarza, ale nie chciała się sprzeciwiać Sinclairowi. Zbliżyła się do drzwi i zajrzała do środka. Sinclair objął ją ramieniem i uściskał.

- Zabiorę rzeczy z sań i zobaczymy, co da się z tym zrobić, he?

*

Samotna Eleanor podeszła do okna, rozwarła okiennice i wyjrzała na dwór - silny wiatr pędził śnieg przez zlodowaciałą równinę poznaczoną kolejnymi tablicami nagrobków, których większość przewróciła się i popękała. Na dalekim horyzoncie wyginał się górski grzbiet jak ostry kręgosłup spoczywającej bestii. Nie dostrzegła niczego, co cieszyłoby oko,

podnosiło na duchu czy podsuwało choćby cień nadziei; krótko mówiąc, była to panorama potępienia, oświetlona zimnym, martwym słońcem.

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, gwizdząc w krokwiach kościoła i trzęsąc ścianami.

ROZDZIAŁ 28

13 grudnia, 21.30

- Trzymaj opatrunek! - rozkazała Charlotte. - Trzymaj, żeby się nie zsunął!

Michael przyciskał opatrunek do gardła Danziga - krew i tak się sączyła - podczas gdy lekarka odcięła końcówki szwów i odrzuciła nożyczki do naczynia chirurgicznego.

- I cały czas kontroluj ciśnienie!

Michael nie spuszczał oka z monitora. Ciśnienie było niskie i cały czas spadało.

Od chwili gdy wpadła do psiego kojca, Charlotte pracowała nieprzerwanie, błyskawicznie i pewnie. Pochyliła się nad rzeżącym Danzigiem i palcami zatkała pulsującą dziurę w gardle. W ambulatorium osadziła mu w gardle rurkę intubacyjną, uspiła go, zaszyła ranę i teraz podłączała go do kroplówki.

- Przeżyje? - spytał Michael, niezbyt pewien, czy chce znać odpowiedź.

- Nie wiem. Stracił dużo krwi... ma naruszoną żyłę szyjną... i tchawicę. - Zawiesiła na wieszaku worek z osoczem, sprawdziła drożność przewodów i przygotowała zastrzyk. - Powiedziałam Murphy'emu, żeby zadzwonił po pomoc. Sami niewiele tu możemy.

- Na co ten zastrzyk? Przeciwko wścieklicznie? - Opatrunek zupełnie przemókł i stał się ciemnoróżowy.

- Przeciwtężcowy - wyjaśniła, unosząc strzykawkę do światła i naciskając tłoczek. - Nawet nie mamy tu szczepionek przeciw wścieklicznie. No, ale psów też nie powinno tu być.

Zrobiła zastrzyk. Zanim wyjęła igłę, rozległy się oszalałe piski monitorów ciśnienia krwi i EKG.

- Och, jasny gwint - powiedziała, ciskając igłę do zlewu i otwierając wiszącą szafkę. - Tracimy go!

Złowróźnie jednostajny ton wypełnił pomieszczenie.

Naładowała elektrody - Michael widział to wiele razy w serialach telewizyjnych - i przyłożyła je do włochatej klatki piersiowej Danziga. Flanelową koszulę miał już rozciętą, a skórę pomarańczową od merbrominy. Jedna z elektrod wylądowała na tatuażu - głowie husky - i Michael przez moment się zastanowił, czy to Kodiak. Charlotte głośno policzyła do trzech,

krzyknęła: „Odsunąć się!” i przycisnęła elektrody do ciała Danziga. Nagłe uderzenie prądu dźwignęło jego ciało. Głowa poszła mu w tył, cały wygiął się w łuk.

Ale monitory nadal buczały równomiernie.

- Odsunąć się! - krzyknęła po raz drugi.

Gdy Michael odsunął się o stopę, ponowiła próbę. Ciało znów podskoczyło... ale linie na monitorach pozostały płaskie. Kilka szwów pękło.

Charlotte ciężko dyszała, warkoczyki zasłaniały jej twarz. Znów spróbowała - w ambulatorium rozszedł się lekki smród smażonego mięsa - ale nic się nie zmieniło. Ciało znów spoczęło w idealnym bezruchu. Krew wolno spływała z rozerwanego gardła, ale Michael nie miał niczego, czym mógłby ją zetrzeć.

Charlotte otarła czoło rękawem, popatrzyła jeszcze raz na monitory, a potem usiadła bezsilnie na stołku. Ramiona jej opadły, twarz lśniła potem. Michael czekał. Co dalej? Przecież to nie może być koniec.

- Mam mu zrobić masaż serca? - spytał, unosząc się ze stołka i kładąc ręce na klatce piersiowej Danziga.

Ale Charlotte tylko potrząsnęła głową.

- Nie powinienem przynajmniej spróbować? - powiedział, naciskając podstawą dłoni, jak się nauczył na kursie resuscytacji.

- Nie powinienem zrobić sztucznego oddychania?

- On nie żyje, skarbie.

- Tylko powiedz, co mam zrobić!

- Nic nie możesz zrobić - powiedziała, spoglądając na zegar ścienny. - Jak chcesz wiedzieć, nie żył od chwili, w której tamten cholerny pies się do niego dorwał.

Nie patrząc za siebie, sięgnęła po formularze na leżącej na blacie podkładce do pisania. Wzięła wiszący na łańcuszku długopis, wpisała czas i datę zgonu.

Danzig nadal miał rozwarłe powieki - Michael je zamknął.

Charlotte wyłączyła urządzenia i schyliła się po leżący na podłodze naszyjnik z kłów morsa. W pośpiechu go tam rzuciła.

- To był jego talizman - powiedział Michael.

- Za słaby - rzekła, podając go dziennikarzowi.

Milczeli, siedząc po obu stronach ciała, dopóki Murphy O'Connor nie wsadził głowy w szparę w drzwiach.

- Złe wieści o helikopterze... - zaczął, po czym widząc, co się stało, wymamrotał: - O, Boże słodki.

Charlotte usunęła wenflon.

- Nie ma pośpiechu - rzekła. - Mogą przylecieć, kiedy im wygodnie.

Murphy przecesał ręką posiwiałe włosy i opuścił wzrok.

- To przez sztorm. Do rana jeszcze się wzmocni. Mówią, że muszą go przeczekać.

Michael słyszał wiatr tłukący o ścianę gabinetu zabiegowego jak wiele napędzanych wściekłością pięści. Do tej pory nawet nie zwrócił na to uwagi.

- Jezu wszechmogący - mruknął Murphy. Zaczął się kierować do wyjścia, ale jeszcze pocieszył Charlotte: - Na pewno zrobiłaś wszystko, co się dało. Jesteś doskonałą lekarką.

Ta pochwała chyba nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

- Przyślę Franklina, żeby pomógł przenieść ciało. - Murphy spojrzał na Michaela. - Może zajrzysz do mojego biura? Musimy pogadać.

Murphy wyszedł i Michael nie wiedział, co robić. Nie chciał zostawiać Charlotte samej z trupem, przynajmniej dopóki Franklin, czy ktoś inny, się nie pokaże.

- Nie przejmuj się mną - powiedziała, jakby wyczuwając jego wahanie. - Jak się popracuje na oddziale ratunkowym w chińskiej dzielnicy, to się przyzwyczajają do trupów. Idź.

Michael podniósł się, wsuwając do kieszeni naszyjnik Danziga. Podeszedł do zlewu i dokładnie wyszorował ręce.

Pojawił się Franklin, Michael wyszedł na korytarz. Charlotte zawołała za nim:

- Przy okazji, dziękuję! Nadajesz się na pielęgniarkę.

W biurze Murphy'ego Michael zastał Darryla ogrzewającego ręce kawą w tekturowym kubku. Było jasne, że Murphy dopiero co powiedział mu o śmierci Danziga. Sam kierownik siedział za biurkiem i wyglądał na zupełnie załamanego. Michael oparł się o poobijaną szafkę na akta. Długą chwilę nikt nic nie mówił. Nie było potrzeby.

- Jakies pomysły? - w końcu spytał kierownik. Odpowiedziała mu kolejna długa cisza.

- Jeśli chodzi o Danziga i psy to żadne - w końcu odezwał się Darryl. - Ale jeśli pytasz o te zaginione trupy, to wydaje mi się, że jedna rzecz jest jasna jak słońce.

- Mianowicie...?

- Komuś kompletnie odbiło. Może to przypadek wielkich gał?

- Przepytałem gości - odparł Murphy - i jak do tej pory każdy dokładnie opisał, co robił, nawet Zjawa. Nikt nie bredził - przynajmniej nie bardziej niż zwykle - nikomu nie odbiło.

Darryl się zastanowił i rzekł:

- W porządku. W takim razie sprawcy, kimkolwiek są, ukryli gdzieś ciała. Na dworze jest tak zimno, że po prostu znów zamarzyły na kamień. Potem pognali z powrotem do bazy.

- A psy?

Na to pytanie Darryl nie miał natychmiastowej odpowiedzi, ale Michael wiedział, że jeśli psy nie zostały gdzieś przywiązane albo zamknięte, wróciłyby same.

- Przeżyłyby w takiej zadymce? - spytał Darryl. Murphy tylko parsknął.

- Dla nich to dzionek na plaży. Zakopią się w śniegu i spokojnie prześpią zamieć. Szkoda tylko, że wiatr zatarł wszystkie ślady.

Ale Michael przeczuwał, gdzie psy mogły się podziać.

- Mogły pobiec tam, dokąd zawsze biegały dla treningu - podsunął. - Do Stromviken.

- Niewykluczone - zgodził się z nim Murphy, rozważając tę możliwość - ale jeśli ktoś je poprowadził... a musiały mieć na to czas, co wydaje się cholernie mało prawdopodobne... to jak bez nich wrócił? Nikt, nawet ja, nie wróciłby stamtąd na nogach, tym bardziej w taką pogodę. W tej śnieżnej zupie każdy jest ugotowany.

- A jeśli pojechał skuterem? - spytał Michael. - Nie mógł go holować za saniami?

Po minie Murphy'ego widać było, że uważa to za wątpliwe.

- Czemu nie? Ale wtedy psy ciągnęłyby skuter plus te ciała w sporym kawałku lodu...

- Wcale nie sporym - wtrącił Darryl. - Niewiele mu brakowało do rozplynięcia się.

Murphy chwilę się zastanowił i mówił dalej:

- Nie przekreślam żadnej możliwości. Ale wyobraźmy to sobie. Ten ktoś zostawia gdzieś trupy i psy... Na stacji wielorybniczej, w ptasiej kolonii, w piwnicy w lodzie, o której nie wiemy, i wraca pędem skuterem, którego zniknięcia nikt nie zauważył...

- Ani jego wyjazdu, ani przyjazdu - wtrącił Michael.

- Właśnie - rzekł Murphy, znów przeczesując siwiejące włosy ręką - jeszcze to. Widzicie, że to zupełnie nie trzyma się kupy?

Michael dostrzegł sensowność jego argumentów. Tak naprawdę po raz pierwszy miał okazję złożyć wszystko do kupy - nic dziwnego, że Murphy już wyglądał na wyczerpanego i zapędzonego w kozi róg.

Z kolei po minie Darryla widać było, że jest najzwyczajniej zły. Zbezczeszczone jego laboratorium i ukradziono mu najcenniejszy okaz.

- Nie myślę, że ktoś mógłby tego dokonać w pojedynkę - stwierdził. - Wyciągnąć ciała ze zbiornika i zapakować na sanie, na dodatek w bardzo ograniczonym czasie, między moim ostatnim pobytem w pracowni i powrotem? - Potrząsnął głową i dodał: - Żeby przeprowadzić taką akcję, potrzeba było co najmniej dwóch ludzi.

- Zatem - odparł Murphy - jakie nasuwają ci się wnioski? Masz jakichś kandydatów?

Darryl pociągnął łyk kawy i odparł:

- Betty i Tina? Na pewno dokładnie opisały, gdzie były i co robiły?

- Na Boga, czemu miałyby to zrobić? - spytał Murphy.

- Nie wiem - odrzekł z irytacją Darryl. - Może same chciały wykonać całą robotę. Może uznały, że zabrałem im coś, co do nich należało. A może poszło o całkiem coś innego. - Ton jego głosu zdradzał, iż dobrze wie, że kombinuje jak koń pod górę. Z obrzydzeniem wyrzucił w górę rękę i opuścił je bezwładnie.

- Jeszcze je sprawdzę - obiecał bez przekonania Murphy.

- Na razie każ mi wstawić zamek w drzwiach laboratorium - powiedział z naciskiem Darryl. - Muszę pilnować moich ryb.

- Poważnie myślisz, że na dodatek ktoś może ci się dobrać do ryb? - spytał Murphy. - Nie panikuj, zamontuję ci ten zamek.

ROZDZIAŁ 29

13 grudnia, 22.30

Kiedy Sinclair poszedł do sań po zapasy, Eleanor zajęła się porządkowaniem zakrystii. Chciała się do czegoś przydać. Rozwinęła koc - był sztywny jak tarka do prania - znalazła w kącie starą miotłę i zamiotła szcurze odchody. Otworzyła piecyk i w palenisku, na posłaniu z drzazg i słomy, znalazła zasuszone padło szczura. Wyciągnęła je za ogon, wyrzuciła przez okno i szczelnie zamknęła okiennice. Na stole, obok ogarka i pęku zardzewiałych kluczy, leżała paczka długich zapalek i ku swojemu zaskoczeniu udało się jej jedną zapalić. Przytknęła ją do podpałki i po chwili w piecyku zapłonął wątyły płomień.

Myślała, że Sinclair będzie zadowolony, ale gdy kładł przyniesione z sań książki i butelki, spojrzał krzywo na ogień.

- Dym nas wyda - rzekł.

Komu? - pomyślała. Wiele mil wokoło nie było żywego ducha. Serce w niej upadło na myśl, że ma zgasić podnoszący na duchu płomyczek.

- Ale wichur go rozwieje - powiedział, myśląc głośno. - Dorzuć jeszcze do pieca, ukochana.

Znów wyszedł i Eleanor osunęła się na prycze, nagle pozbawiona sił. Wysilek ostatnich kilku godzin był zbyt wielki. Bała się, że zaraz zemdleje, i nadal otulona w płaszcz zlegnie na tym starym brudnym kocu. Pokój wirował wokół niej. Zamknęła oczy i zacisnęła ręce na brzegu łóżka, tak jak wiele lat temu podczas tamtej ohydnej podróży do Konstantynopola. Statek, parowiec „Vectis”, bezsilnie się ślaniał na wzburzonym morzu, a po wypłynięciu z Marsylii silniki na jakiś czas odmówiły posłuszeństwa. Moira była przekonana, że niebawem zginą, że statek na pewno się przełamie i utonie z nimi wszystkimi w środku. Eleanor musiała ją pocieszać do następnego ranka, kiedy to pogoda całkowicie się zmieniła i maszyny znów ruszyły. Wiele pielęgniarek cierpiało na chorobę morską albo na jeszcze gorsze przypadłości i marynarze musieli je wynosić na pokład, gdzie dochodziły do sił dzięki świeżemu powietrzu i słońcu. Moira padła przy burcie na kolana i wzniosła dziękczynne modły.

Panna Florence Nightingale, która również ucierpiała podczas ciężkiej przeprawy, przeszła mimo, jedynie skłaniając głowę w ich kierunku, wsparta na ramieniu przyjaciółki,

pani Seliny Bracebridge. Selina była mężatką, a Florence panną (wręcz najślawniejszą starą panną na Wyspach Brytyjskich), lecz wojskowa rada gubernatorów uznała za nieodpowiednie, by opieką nad rannymi żołnierzami poza granicami kraju zajmowały się panny i tak wszystkie kobiety w kontyngencie pielęgniarskim, poza jego przełożoną, niezależnie od ich faktycznego stanu cywilnego, na papierze stały się paniami. Również uniformy pielęgniarek rozmyślnie uszyto tak, aby całkowicie ukryć kształty ich nosicielek, przez co miały one stać się jak najmniej pociągające. Suknie były szare, obwisłe, workowate, a niedorzeczne białe czepki celowo nie dodawały uroku obliczom. Jak usłyszała Eleanor, jedna z pielęgniarek wyznała pannie Nightingale, że może znieść wszystkie trudy, ale „z temi czepkami jez tak, szan’pani, że jednym leżom jedne, jinnym inne, i szan’pani jakbym wiedziała o tych czepkach, to chocia bardzo chciałam być za pielęgniarkem w Chryzopolu, to nigdy bym w życiu nie pojechała, szan’pani”.

Pielęgniarki, które zgłosiły swój akces do kontyngentu, tworzyły zaiste wyjątkowe grono i Eleanor dobrze zdawała sobie sprawę z podejrzeń, które wzbudziły u wielu rodaków w ojczyźnie. Część opinii publicznej i prasy wychwalała je pod niebiosa, nazywając bohaterkami gotowymi podjąć się ponurej, lecz godnej szacunku pracy w najstraszliwszych warunkach. Według innych jednak były bezwstydnymi łowczyniami fortun, dziewuchami z klasy robotniczej wykorzystującymi okazję, by złapać w romansową sieć całkowicie bezbronych, rannych oficerów. Czternaście pielęgniarek zwerbowano ze szpitali publicznych, jak było w przypadku Eleanor i Moiry, ale panna Nightingale wybrała również sześć świętobliwych sióstr z Domu Świętego Jana, osiem z anglikańskiego zakonu panny Sellon i dziesięć siostrzyczek katolickich - pięć z sierocińca Norwood i pięć sióstr miłosierdzia z Bermondsey. Chociaż wielu żołnierzy było katolikami, to myśl, że papistowskie siostrzyczki zakonne mogą sprawować opiekę nad rannymi odmiennej wiary - na przykład protestantami - wstrząsnęła wieloma ludźmi w ojczyźnie. Przecież te siostrzyczki będą miały świetną okazję do pozyskiwania wiernych złowrogiemu Kościołowi rzymskiemu! I to wszystko pod przykrywką opieki!

Kiedy „Vectis” zbliżał się do Dardaneli, Eleanor przyglądała się pannie Nightingale trzymającej się relingu i wpatrzonej w mijane ziemie. Ciemne włosy rozczesala gładko, najskromniej jak to możliwe, z przedziałkiem na środku głowy. Na jej długiej, bledszej niż zwykle twarzy gościł niezwykle wyraz radosnego uniesienia. Eleanor podążyła za jej wzrokiem, ale ujrzała tylko jałowe, jasnobrazowe pola. Morska bryza przyniosła strzępy słów przełożonej - Eleanor usłyszała, że panna Nightingale zwracając się do pani Bracebridge, opiewa „sławetne równiny Troi, na których Achill walczył i Helena łkała”. Wydawała się

wniebowzięta samym widokiem. Eleanor wiedziała, że panna Nightingale pochodzi ze znakomitej rodziny, że zdobyła edukację w najświetniejszych szkołach, i zazdrościła jej tego. Sama przyjechała do Londynu w nadziei zdobycia wiedzy i ogłady, lecz ciężka, niekończąca się praca w szpitalu pozostawiała jej niewiele wolnego czasu i zapewniała równie mało pieniędzy, więc nie mogła zrealizować swoich marzeń.

Sinclair zmienił to na krótko.

Lecz jak by zareagował, wiedząc, że przybywa do tego teatru wojny? Na pewno ostrzegłby ją, aby tego nie czyniła. Myśl, że może przyjść czas, kiedy będzie jej potrzebował - a ona, odległa o tysiąc mil, nie będzie mogła mu pomóc - była jednak ponad jej siły. Gdy rozeszła się wieść, że poszukuje się ochotniczek do szpitali polowych, Eleanor skorzystała z okazji. Moira - której przywiązanie do kapitana Ruthforda miało podłoże raczej praktyczne niż romantyczne - powiedziała: „Ciagnie swój do swego” i niefrasobliwie też złożyła podanie.

Teraz Eleanor się zastanawiała, co się stało z Moirą? Oczywiście, dawno nie było jej na tym świecie.

Sinclair wpadł do zakrystii z całym naręczem modlitewników i powiedział:

- Powinny się nadać.

Pochylił się nad piecykiem, porozrywał kilka książeczek i podsycił zmiętymi kartkami rosnący żar. Eleanor nie odezwała się słowem, choć ten świętokradczy czyn przysporzył jej dodatkowego dyskomfortu.

Kiedy ogień już huczał, Sinclair zamknął drzwiczki i oświadczył, że przyniósł też inne rzeczy. Podeszedł do drzwi i przywłókł gruby płócienny wór, który uprzednio zostawił na zewnątrz; dobył z niego ogarki świec, cynowe talerze i kubki, powyginane łyżki i noże, popękaną karafkę.

- Jutro przeprowadzę staranniejsze poszukiwania, ale na teraz mamy wszystko, czego nam trzeba.

Znów był zuchem wojakiem, baczny na otoczenie, szukającym prowiantu, planującym każdy ruch. Eleanor witała to z ulgą i miała nadzieję, że takim pozostanie... bo już wiedziała, że w każdej chwili może nim zawładnąć dużo mroczniejsza strona jego natury.

Sięgnął do zabranego z psiej budy worka, teraz opartego o nogę stołu, i rzekł:

- Nie zagrzejemy czegoś na kolację?

Spytał takim tonem, jakby był ciekaw, czy nie ma ochoty na suflet czekoladowy.

- Strawa - rzekł, zanim postawił na stole jedną z ciemnych butelek na wino - i napitek.

ROZDZIAŁ 30

14 grudnia

Na Cyplu Adeli nie było kostnicy, ale to nie stanowiło żadnego problemu. Cały kontynent to jedna wielka lodówka - Murphy zdecydował, że ciało Danziga złożą w najzimniejszym i najbardziej chronionym miejscu: przechowalni pracowni glaciologicznej, wyrąbanej dziesięć stóp pod magazynem rdzeni lodowych. Trzymano tam już ciało glaciologa, który rok temu wpadł do szczeliny. Betty i Tina były dalekie od radości, ale rozumiały powagę sytuacji i zgodziły się podzielić lokalem.

- Tylko dokładnie zabezpieczcie ciało - powiedziała Betty. - Nie możemy ryzykować skażenia rdzeni.

- A ja nie chcę poczuć z tyłu głowy oczu tego biedaka - dodała Tina. - Tam na dole jest już dość strasznie.

Michael musiał się z tym zgodzić. Z własnej woli zaproponował, że pomoże Franklinowi przenieść ciało; czuł, że przynajmniej tyle jest winny Danzigowi. Kiedy Charlotte zabezpieczyła ciało, włożono je do przezroczystego worka zapinanego na zamek błyskawiczny, a potem do drugiego, z oliwkowozielonego płótna. Michael i Franklin przewieźli je wózkiem po nierównym podwórku do laboratorium glaciologii; wiatr był tak potężny, że wózek dwa razy się przewrócił i gdy Michael znów musiał dźwigać ciało, czuł ciarki na plecach. Już sztywniało, czy to na skutek *rigor mortis*, czy niskich temperatur. Michael miał wrażenie, że dźwiga statwę.

Stopnie prowadzące do przechowalni wycięto w wiecznej zmarzlinie i zamiast męczyć się z wózkiem obładowanym ciałem, Michael i Franklin po prostu przenieśli je pod ziemię, jeden trzymając za ramiona, drugi za nogi. Kiedy weszli do przechowalni, zgasło światelko bezpieczeństwa połączone z sensorem ruchu i rozlał się mdły blask. W kącie wycięto w ścianie niszę. Miała kształt sarkofagu. Franklin wskazał go ruchem głowy. Michael uniósł głowę i ramiona zmarłego, po czym rozkołysali ciało i wrzucili je do niszy. Wylądowało tam z głuchym łomotem. Po drugiej stronie przechowalni na długim laboratoryjnym stole leżał cylindryczny rdzeń lodowy, unieruchomiony w imadle. Na ścianie wisiały wiertła, świdry i piły. Na tym kontynencie zimna podziemny magazyn wydał się Michaelowi miejscem

najzimniejszym i najbardziej przerażającym, zamrożonym grobowcem, który aż się prosi, by go przytrzasnąć młyńskim kamieniem.

- Wynośmy się stąd w cholerę - warknął Franklin; Michaelowi wydawało się, że trep przeżegnał się przesadnie.

U góry schodów kuliła się w lodowatym wietrze Betty.

- Mam nadzieję, że nie będzie musiał tu długo leżeć - powiedziała do Franklina.

- Dopóki nie przyleci następny samolot - wyjaśnił, kierując się do sali klubowej.

Ale Michael zwlekał. W kieszeni miał duży płat zimnej pieczeni wołowej dla oswojonego wydryka. Kiedy wyjął mięso, Betty się uśmiechnęła i powiedziała:

- Ollie oszaleje ze szczęścia.

Michael odrzucił śnieg, który znów zebrał się przed skrzynią, ukląkł i zajrzał do środka. Był tam, rósł jak na drożdżach. Szary dzióbek sterczał ze strużyn. Na widok swojego dobroczyńcy otrząsnął się i dźwignął na nogi. Michael podsunął mu wołowinę. Ollie chwilę się jej poprzyglądał, po czym porwał ją błyskawicznie i połknął za jednym zamachem.

- Następnym razem może powinienem przynieść ci trochę rzodkiewek - stwierdził Michael. Ptak popatrzył na niego, może oczekując na kolejną porcję. Michael rzucił przez ramię: - Któregoś dnia odleci.

Betty zachichotała i spytała retorycznie:

- I zrezygnuje z tych wygód? - Kiedy Michael wstał, dodała: - Bądźmy szczerzy, ptak został oswojony i pewnie nie przeżyłby na wolności. Tam nie serwują pieczeni wołowej na zimno.

- Ale co się z nim stanie, jak będę musiał się stąd wynieść? - spytał Michael. - Nie za bardzo mogę go zabrać do Tacomy.

- Nie przejmuj się - uspokoiła go Betty. - Tina już składa papiery adopcyjne. Ollie będzie się tu miał jak pączek w maśle.

Michael odetchnął, przynajmniej o to nie musiał się martwić. Minęło tak wiele czasu, od kiedy udało mu się zrobić coś dobrego dla świata - a tym bardziej coś uratować - że był wdzięczny za ten drobny, nieprzewidziany uśmiech losu. Może klątwa, która ciążyła na nim od czasu Cascades, zostanie zdjęta, choćby częściowo.

Wlekąc się do stołówki, minął jeden z zespołów poszukiwawczych wysłanych przez Murphy'ego - składał się z Callowaya, szefa ekipy nurkowej, i innego trepa, który tak nisko naciągnął na czoło czapę z szerokim otokiem i nausznikami, że Michael nawet nie potrafił go zidentyfikować.

- Cześć, chłopie - wykrzyknął Calloway, machając latarką. Michael pozdrowił go, unosząc rękę. - Jak zobaczysz któregoś z zaginionych psów, dasz mi znać, dobra?

- Pierwszy się dowiesz.

Michael był blisko pracowni biologii morskiej. Paliły się w niej światła i mimo wiatru słyszał dobiegającą z wnętrza muzykę. Skręcił do pracowni, chciał wejść, ale drzwi ustąpiły tylko na cal. Dojrzał, że gałkę owinięto sznurem.

- Kto tam? - krzyknął ze środka Darryl.

- Ja, Michael - odkrzyknął dziennikarz.

- Czekaj.

Darryl podszedł do drzwi, zdjął sznur i wpuścił Michaela.

- To się nazywa wyrafinowany system bezpieczeństwa - stwierdził Michael, tupiąc i strząsając śnieg z butów.

- Nie mam innego, dopóki Murphy nie założy zamka.

- Ale działa tylko wtedy, kiedy jesteś. Co robisz, jak wychodzisz?

- Zostawiam tabliczkę ostrzegawczą.

- I przed czym ona ostrzega?

- Przed tuzinem amfibiotycznych jadowitych okazów, które łążą w środku luzem.

Michael się roześmiał.

- I myślisz, że to zadziała?

- Nie, naprawdę to nie - przyznał Darryl, wracając na stołek - ale myślę, że złodzieje już zwinęli tę jedyną rzecz, na której im faktycznie zależało.

Na stole przed sobą Darryl miał rybę długości około jednej stopy, rozplataną od głowy do ogona i przyszpiloną do blatu, tak by skóra się nie zwijała. Była niemal całkowicie przezroczysta. Skrzela miała białe, a krew - tyle, ile jej zostało - nie bardziej kolorową niż woda. Tylko nieruchome martwe oczy były złote. Michaelowi nasunęło się nieprzyjemne skojarzenie z lekcją biologii w liceum. Następna ofiara czekała w kolejce, pozostając niemal w bezruchu na dnie schłodzonego zbiornika o oszronionych brzegach, po drugiej stronie niewielkich słoiczków wielkości literatek, wypełnionych jakimś roztworem - w kilku pływały drobne organy wewnętrzne, zachowane do dalszych badań.

- Czy on powinien to oglądać? - spytał Michael.

- Dlatego zasłoniłem mu widok.

- Wygląda jak jakiś okoń.

- Masz dobre oko - pochwalił go Darryl. - Podrząd okoniokształtnych, nototeniowców.

- Jak, proszę?

- W ciągu ostatnich pięćdziesięciu pięciu milionów lat - zaczął Darryl, wyraźnie ekscytując się tematem - temperatura Oceanu Południowego stopniowo spadała od jakichś dwudziestu stopni Celsjusza do obecnych ekstremów, około minus jednego i ośmiu dziesiątych stopnia. Poza tym tutejsze morskie środowisko stało się bardziej izolowane. Woda się oziębiła, migracja była trudniejsza i ryby zamieszkujące pływny musiały się przystosować albo wymarły. Większość wyginęła.

- Ale nie ci goście?

- Ci goście - ciągnął Darryl z wyraźnym zachwytem - pokazali, na co ich stać. Nototeniowce warowały przy dnie, czekając na lepsze czasy. Przystosowały się, obniżyły zapotrzebowanie metaboliczne i wykształciły zdolność wyższej rozpuszczalności tlenu. Potrafią dłużej zatrzymać i wykorzystać tlen obecny w tkankach.

- Nie we krwi? - zdziwił się Michael, pamiętając niektóre uwagi Darryla na ten temat, wygłoszone przed pierwszym zanurzeniem. - Nie mają hemoglobiny?

- Zatem potrafisz słuchać - pochwalił go Darryl. - Jestem pod wrażeniem. Jako że nie mają czerwonych ciałek, ich krew jest przezroczysta, ale za to posiada naturalny czynnik przeciwdziałający zamarzaniu, glikoproteinę stworzoną z łańcucha naprzemiennie połączonych cząsteczek cukru i aminokwasów. Dzięki glikoproteinie punkt zamarzania wody znacznie się obniża.

Michael łapał tylko ogólny sens wykładu.

- Więc mają własny glikol, taki jak stosowany w samochodach?

- Nie całkiem - powiedział Darryl, delikatnie wyjmując szczypcami serce ryby i wkładając je do jednego ze słoiczków. Rozeszła się woń formaldehydu. - W przeciwieństwie do glikolu etylenowego, który wlewasz do chłodnicy, molekuly rybiego przeciwarzarzacza zachowują się inaczej; zabezpieczają ryby przed zamrożeniem nawet w bardzo zimnej wodzie, ale tylko tak długo, jak ryba się pilnuje, żeby...

Rozległo się walenie do drzwi i kiedy Michael się obejrzał, zobaczył, że założony przez Darryla sznur się napręży.

- Kto tam znowu? - spytał niezadowolony Darryl.

- To pewnie Calloway. Przetrzęsają całą bazę.

Darryl niechętnie wstał ze stołka.

- Ale czemu tu przyłazą? Przeszukać miejsce zbrodni?

- Nie szukają ciał - ostrzegł go Michael. - Murphy stara się utrzymać tę całą sprawę w tajemnicy.

Darryl przystanął i spojrzał na niego.

- Co oni, cholera, sobie myślą? Że trzymam tu psi zaprzęg?

- Kręcąc głową, otworzył drzwi.

- Hej, chłopie, czego się boisz? - spytał Calloway, pakując się do środka. Za nim wszedł trep w wielkiej czapie.

Zatrzymali się tuż przy drzwiach pracowni, strzepując śnieg z kurtek i tupiąc.

- Wolę, jak ludzie wcześniej się zapowiadają.

- Będę pamiętał następnym razem - obiecał Calloway, klepiąc go po ramieniu. Dojrzał stół i poddawany sekcji okaz. - Nototeniowiec? Wiesz co, z większych są świetne filety. - Podszedł spacerowym krokiem i dokładnie obejrzał słoiki. - Ale na resztki tej jatki byście mnie nie namówili.

Trep w czapie - Michael go rozpoznał, nazywał się Osmond i pracował w kuchni - szedł za Callowayem, zaglądając do szafek i pod stoły. Michael nie miał pojęcia, co spodziewał się znaleźć w pracowni.

- Ale ten gościu to świeżynka - ciągnął dalej Calloway, wierny wizerunkowi australijskiego wyjadacza, zaglądając do schładzanego zbiornika. - Jak widzę tę kościstą gębę, to rzekłbym, że to nototeniowiec Charcota.

- Zgadza się - potwierdził Darryl. Wydawał się ugłaskany; potrafił docenić nawet słabą znajomość biologii morskiej rozmówcy. - Z ostatniego połowu.

Michael obszedł stół, chcąc się lepiej przyjrzeć, i zobaczył długą rybę z opancerzonym łbem, spłaszczonym na końcu jak kaczy dziób. Skórę miała tak cienką, że prześwitywała przez nią skomplikowana sieć chrząstek i kości. Darryl również przeszedł na drugą stronę, być może chcąc wskazać jakieś niezwykle cechy okazu, ale wpadł na Osmonda, który właśnie zakończył pobieżną inspekcję pomieszczenia i zdecydował, że dołączy do reszty kompanii.

- Cały przezroczysty - powiedział powoli Osmond; Michael odniósł wrażenie, że ten trep nie przemęcza się pracą. - Toż to rybi braciszek duszka Kacpra.

Wszyscy się uśmiechnęli, a Osmond pochylił głowę nad pojemnikiem z wodą, chcąc dokładniej obejrzeć rybę, lecz wtem Darryl spojrział na jego czapę i krzyknął:

- Nie! Cofnij się!

Wyciągnął rękę, by zerwać Osmondowi czapkę z głowy, ale było już za późno - wielki płat śniegu i lodu, błyszczący jak brylantowa kaskada, zsunął się z czapki i z pluskiem wpadł do wody. Ryba drgnęła, zaskoczona ruchem wody. Zapewne się spodziewała, że płynie jakiś żywy posiłek. Uniosła łeb ku powierzchni. Deszcz kryształków lodu częściowo osiadł na powierzchni, częściowo opadł kilka cali niżej, dotykając nosa i skrzeli ryby.

- Cholerny świat! - zaklął Darryl i w chwilę później Michael zobaczył dlaczego. Ryba zastygła i wyprostowała się. Ku zdumieniu widzów na jej ciele rozłożyła się delikatna lodowa koronka. Ryba martwa jak kamień, wytrzeszczywszy oczy, powoli uniosła się w górę.

Michael nie wiedział, co o tym myśleć.

- Ale przecież mówiłeś, że one mają we krwi środek przeciw zamarzaniu.

- Mają - potwierdził ponurym tonem Darryl - i utrzymuje je przy życiu w najchłodniejszych, dolnych warstwach. Tyle że, pamiętaj, lód pływa na powierzchni, nie opada. Kiedy ryba się o niego otrze, kryształki lodu działają jak zarodki, jak środek rozprzewadzający i wykańczają jej barierę ochronną.

- Jezu - zamruczał Osmond. Teraz już trzymał czapkę w rękach. - Naprawdę przepraszam. Nie miałem pojęcia, że coś takiego może się stać. - Rozejrzał się, jakby oceniał, czy wpadł w poważne tarapaty.

- W porządku, chłopie - uspokoił go Calloway. - Jak nie pasuje zlewkom, spaszuj się do *bouillabaisse*.

- Nie ta - zaproponował Darryl. - Mogę ją rozmrozić i odciągnąć krew.

- Krew? - spytał z powątpiewaniem Calloway. - Na co ci krew?

- Ta krew, przyjacielu, może zawierać tajemnice, które kiedyś bardzo przydadzą się światu.

Calloway pociągnął Osmonda za rękaw, jakby chciał powiedzieć: „Zostawmy tych wariatów ich zwariowanym eksperymentom”, i razem wycofali się do drzwi.

- Na pewno masz rację, doktoru - powiedział jeszcze Calloway, zanim obaj z Osmondem przyjęli uderzenie wyjącego wiatru i śnieżnej zamieci.

Darryl sięgnął po szczypce, uniósł rybę za ogon i położył ją na stole. Tak stwardniała, że zakotłowała się na blacie.

- Teraz rozumiem, czemu nie masz wycieraczki z napisem: „Witajcie” - powiedział Michael.

- I dlaczego chcę mieć zamek w drzwiach - dodał Darryl.

Sięgnął po skalpel i natychmiast zatonął w pracy, jakby Michaela w ogóle nie było. Po chwili dziennikarz nałożył polarne ubranie i wyszedł, stawiając czoło nadlatującej burzy śnieżnej.

ROZDZIAŁ 31

15 grudnia

Śnieżna zawierucha zamiast przejść dalej, zatrzymała się przy stacji. Wprowadzony przez Murphy'ego zakaz wychodzenia poza zabudowania nadal obowiązywał, co bardzo frustrowało Michaela.

- Nie ma znaczenia, gdzie są teraz te ciała, zamrzły na kość - powiedział mu kierownik bazy - a psy same wiedzą, jak sobie dać radę.

Michael musiał mu wierzyć na słowo.

Więść o śmierci Danziga oczywiście wprowadziła ponurą atmosferę w bazie i na zorganizowaną w sali klubowej uroczystość pogrzebową przyszedł cały tłum. Stół pingpongowy złożono i wystawiono na korytarz, fotele postawiono obok sofek, ale w dalszym ciągu brakowało miejsc siedzących. Część trepów i zlewek po prostu usiadła na wytartej wykładzinie, obejmując kolana rękami. Murphy stanął przed wyłączonym telewizorem. Dla zaznaczenia charakteru zebrania włożył do dzinsowej koszuli czarny krawat.

- Wiem, że wielu z was znało Erika lepiej niż ja, więc nie będę się rozwodził. Lepiej niech każdy powie coś od siebie.

Michael prawie zapomniał, że Danzig ma imię; w studenckiej atmosferze, która panowała w bazie, niemal wszyscy zwracali się do siebie po nazwisku albo używając ksywki.

- Ale ja osobiście nie znalazłem nigdy człowieka, który zawsze i wszędzie byłby bardziej chętny do wykonania każdego zadania... może poza Lawsonem.

Rozległy się ciche śmiechy i Lawson, który siedział przy ścianie z Michaelem, Charlotte i Darrylem, uśmiechnął się wstydliwie.

- A te psy... ludzie, jak on lubił te psy. - Opuścił głowę i pokręcił nią smutno. - Nieważne co się tam stało, nieważne co się porobiło Kodiakowi, że tak wypalił... guz mózgu, gorączka... niesamowita sprawa, ale wiem, że nawet mimo tego Danzig... Erik... by mu wybaczył. Te psy kochały go tak, jak on je. - Przeciągnął ręką po włosach. - I dlatego znajdziemy te psy. Obiecuję... znajdziemy je ze względu na niego.

- Kiedy? - spytał jeden z trepów.

- Kiedy tylko będzie można bezpiecznie wyjść poza stację - odparł Murphy. - I kiedy będziemy wiedzieli, że inne psy nie są zarażone tym samym.

Michael nie pomyślał o groźbie zarazy. Czy możliwe, że pozostałe husky złapały coś od Kodiaka? Czy możliwe, że wszystkie stały się zabójcami?

Murphy spojrział na notatki, które miał w ręce.

- Nie mam pojęcia, ile wiecie o życiu Danziga tam, poza biegunem, w prawdziwym świecie, ale dla porządku powiem, że miał za żonę wspaniałą kobietę... Marię... która jest koronerem okręgowym. - Uświadomił sobie, jak ironiczną wymowę ma ten zbieg okoliczności, i na moment odebrało mu mowę. - Mieszka na Florydzie.

Michael pamiętał, że w Miami Beach.

- Rozmawiałem z nią teraz kilka razy i odpowiedziałem na wszystkie jej pytania, a Maria powiedziała, że mam przekazać jej podziękowanie wszystkim tutaj... zwłaszcza Franklinowi, Callowayowi i wujkowi Barneyowi za *grits and gravy*...²² i wam wszystkim za przyjaźń. Powiedziała, że nigdzie nie był szczęśliwszy niż tu, za saniami, w temperaturze minus trzydzieści. - Nerwowo zerknął na kartkę. - I, o tak, chciała, żebym zwłaszcza podziękował doktor Charlotte Barnes za to, że tak bardzo starała się uratować mu życie...

Oczy wszystkich skierowały się na Charlotte, która oparła podbródek na złożonych ramionach. Skinęła nieznacznie głową.

- ...i Michaelowi Wilde'owi.

To zaskoczyło dziennikarza.

- Wygląda na to, że dużo jej o tobie opowiedział, Michael, zwłaszcza o tym, jak chciałeś uczynić go sławnym.

- Dalej chcę - powiedział niezbyt głośno Michael, ale na tyle wyraźnie, by wszyscy go usłyszeli.

- Powiedział Marii, że w tym twoim magazynie, „Eco-World” - to było „Eco-Travel”, ale Michael nie zamierzał tego prostować - może zamieścicie zdjęcia jego i psów... ostatnich psów, nie muszę nikomu przypominać, jakie kiedykolwiek tu widzieliście.

- Na pewno wydrukujemy te zdjęcia - zapewnił go dziennikarz, przywłaszczając sobie prerogatywy szefa redakcji. Już wcześniej postanowił przekonać Gillespiego, by umieścił na okładce zdjęcie Danziga i psiego zaprzęgu. Tyle przynajmniej mógł dla niego zrobić.

²² Potrwa kuchni południa Stanów Zjednoczonych. Małe steki wołowe w panierce z mąki kukurydzianej, oblane gęstym pieprzowym sosem.

Podczas gdy Murphy przedstawiał kolejne szczegóły życia Danziga - wyglądało na to, że miał milion zawodów, od pszczelarza przez hycła po kierowcę w kostnicy („tak się poznali z Marią”, wyjaśnił Murphy) - Michael siedział ze zwieszoną głową i rozmyślał o tym, co jeszcze powinien zrobić. Przede wszystkim przed wyjazdem z bazy zamierzał się dowiedzieć, jaki jest adres domowy Marii; wciąż miał naszyjnik Danziga i zamierzał go przesłać na Florydę zaraz po powrocie do cywilizacji. Może ze zdjęciem męża Marii, ukazującym go w całej glorii, prowadzącego sanie podczas burzy śnieżnej.

Wiedział też, że powinien zadzwonić do państwa Nelsonów; chciał się dowiedzieć, jak udały się przenosiny, i czy Kristin dała jakikolwiek znak, że jest świadoma powrotu do rodzinnego domu. Świetnie znał odpowiedzi na te pytania - i wiedział, że to Karen mu ich udzieli - niemniej jednak czuł, że jego obowiązkiem jest trzymanie ręki na pulsie. Zastanawiał się tylko, jak długo będzie trwała ta sytuacja. Z tego co wiedział na temat śpiączki i stanu wegetatywnego, Kristin mogła leżeć bez czucia wiecznie.

Siedzący kilka stóp dalej wujek Barney zatrąbił w czerwoną chustkę do nosa. Murphy opowiadał o jakimś kolosalnym posiłku pochłoniętym przez Danziga.

Calloway wstał i przytoczył długą, zabawną anegdotę o tym, jak kiedyś próbował wbić Danziga w zwykły wymiarowy skafander nurkowy, Betty i Tina mówiły o tym, jak bardzo Danzig pomógł im pewnego dnia, gdy podczas zadymki nie mogły się uporać z wyladunkiem rdzeni. Michael słyszał szalejący wiatr, gwizdzący za wąskimi oknami i ścianami z blachy falistej modułu, w którym siedzieli. Burza mogła potrwać godzinę albo nawet tydzień. Nauczył się, że na biegunie nie da się wykluczyć żadnej możliwości.

Kiedy już każdy powiedział coś od siebie, Murphy dukając, poprowadził modlitwę za zmarłych, a gdy minęła długa chwila ciszy, Franklin zasiadł przy pianinie i rozgrzał wszystkich wersją starego hitu Boba Segera *Old Time Rock & Roll*. Był to jeden z ulubionych kawałków Danziga i Franklin zagrał go z biglem, jak należało. Wielu dołączyło do chóru, gdy przyszło do słów: „Dzisiaj w muzyce duszy za grosz, nie ma jak stary, kochany rock'n'roll!”.

Gdy muzyka ucichła, wujek Barney ogłosił, że na cześć Danziga stołówka serwuje *grits and gravy*.

Murphy wychodząc z sali, gestem odwołał na bok Michaela i Lawsona. Powiedział:

- Chłopaki, nie widzieliście gdzie Zjawy?

Nawet kiedy Ackerley przebywał w pokoju, nie rzucał się w oczy; przeważnie siedział cicho na uboczu. Michael musiał przyznać, że go nie zauważył.

- Pewnie gada do swoich roślinek - powiedział Lawson - i zupełnie stracił poczucie czasu.

Murphy zgodził się z tą opinią, kiwając głową, ale rzekł:

- Moglibyście się upewnić, że u niego wszystko gra? Dopiero co sprawdzałem przez interkom, ale nie podnosi słuchawki.

Chociaż Michael zamierzał dołączyć do Charlotte i Darryla w stołówce - cały dzień przesiedział w pokoju, robiąc notatki i zapomniał o jedzeniu - nie za bardzo mógł odmówić.

- Nie przejmuj się - uspokoił go Murphy - postaram się żeby ci zostawili kilka steków. A jak twoja noga? - spytał Lawsona. - Dasz radę chodzić?

Lawson, który załatwił sobie nogę nartą, odparł:

- Dam, dam, jasne. Albo jedziemy, albo tniemy.

W towarzystwie Lawsona Michael zawsze miał wrażenie, że słucha trenera dyrygującego z boku boiska drużyną podczas najważniejszego meczu sezonu.

- Przydadzą wam się kijki - poradził Murphy i Lawson przyznał mu rację. - Wiatr już wyciąga osiemdziesiąt mil na godzinę.

Ubrali się odpowiednio, zabrali z magazynu kijki narciarskie i podczas gdy cały tłum udał się do jasno oświetlonej stołówki, oni poszli w przeciwną stronę, na długie czarne podwórze, gdzie wicher wzbijał małe śnieżne tornada. Wirowały jak oszalałe dziecięce bąki. Czasem dmuchało tak ostro, że Michael wpadał na ścianę lub częściowo zasypane ogrodzenie, i musiał chwilę odczekać, zanim pokonał ten sam odcinek po raz drugi. Nie oznacza to, że wiatr ustawał. Są takie chwile na Antarktydzie, gdy człowiek modli się tylko o jedno, spokój, moment zawieszenia broni z siłami natury, szansę na to, by tylko przystanąć, złapać oddech i spojrzeć w niebo - potrafi być tak piękne, niebieskie, czyste jak coś najdoskonalszego na świecie, jak waza powleczona twardą błękitną emalią, a kiedy indziej, jak właśnie w tym momencie, bywa okryta smugami białą, wysyłającą mętny wszechobecny blask, powlekający niekończący się kontynent pustego lodu.

Pomysł z kijkami okazał się przedni; bez nich chyba musieliby pęłzać. Kontuzjowany Lawson na pewno by się wywrócił. Michael świadomie trzymał się kilka jardów za nim, na wypadek gdyby trep fiknął kozła i zjechał po zbitym śniegu. Kiedy tylko wiatr zbijał z nóg, człowiek leciał po lodzie jak kula do kręgli, dopóki się nie zatrzymał na jakiejś przeszkodzie. Pewnego przedpołudnia Michael widział, jak naukowiec nazwiskiem Penske, meteorolog, toczy się bezradnie przed modulem administracji, dopóki nie wrąbał się w maszt sztandarowy i mocno się go nie złapał.

Michael starł śnieg z gogli i przez chwilę rozważał, czy nie zbilby fortuny na biegunie południowym, sprzedając gogle z wycieraczkami. Chciał zawołać Lawsona, spytać go, czy noga mu nie dokucza, albo czy nie chce wracać, ale wiedział, że wiatr porwie jego słowa.

Poza tym temperatura była tak niska, że otwierając zbyt długo usta, naraziłby zęby na popękanie.

Minęli kolejne pracownie, glaciologii - Michael rozejrzył się za Olliem, ale chyba do tej pory ptak już się nauczył, że w taką noc powinien siedzieć w skrzyni - biologii morskiej i klimatologii, aż w końcu Michael zobaczył, że Lawson skręca w lewo, do wielkiej zardzewiałej przyczepy, przycupniętej na pustakach niczym wielki stary kogut. Z wąskich okien biło ostre światło.

Lawson zatrzymał się przy kratownicy z nieheblowanych deszczulek, pod rampą, i masował kostkę. Dał znak Michaelowi, by szedł pierwszy. Drzwi były pocięte, porysowane i pokryte resztką kalkomanii przedstawiającej grupę rockową Phish. Michael załomotał w stalową płytę. Po tym ostrzeżeniu pchnął drzwi i wszedł do środka.

Gogle natychmiast mu zaparowały i musiał je zsunąć na czubek głowy. Pokonał zasłony z grubego plastiku, odrzucił kaptur i przekonał się, że stoi w morzu metalowych regałów i szafek, wysokich przynajmniej na sześć stóp, pełnych próbek miejscowych mchów i porostów. Na każdej półce i szufladzie umieszczono zapisaną pajączym pismem etykietę. Z sufitu mrugało fluorescencyjne światło, a pomiędzy zwartego gąszczy półek dolatywał łomot niekończącego się jam session, emitowany przez marne głośniczki.

Michael usłyszał też coś innego - ciche siorbanie i mlaskanie. Kiedy Lawson do niego dołączył, Michael instynktownie dał mu znak, by się nie odzywał. Lawson się zdziwił, ale Michael gestem rozkazał mu pozostać bliżej wejścia, po czym nie wypuszczając kijków z rąk, ruszył labiryntem półek i szafek. Zastanawiał się, czy to nie pies. A może kilka psów? Czy nie należało się wycofać i zawiadomić kierownika, by przysłał posiłki? Ale co, jeśli Ackerley jest w poważnym niebezpieczeństwie i potrzebuje natychmiastowej pomocy?

Muzyka narastała, ale dziwne chłeptanie również. Jakby ktoś siorbał zupę. Albo płatki śniadaniowe. Czyżby to było tylko to? Obojętny na cały świat Ackerley zmiata miskę płatków kukurydzianych i rozkoszuje się muzyką? Michael znalazł się między dwoma wielgachnymi szafkami, jedną z napisem: MORENA LODOWA, KWADRAT SW i drugą: OKAZY ZE STROMVIKEN. Ale teraz usłyszał coś jeszcze. To nie były płatki. Ktoś coś żuł. Gulasz? Czemu ktoś rzucałby się na ochłapy przygrzane w kuchence mikrofalowej, kiedy wujek Barney serwował gorące steki polane wyśmienitym sosem?

Popatrzył między półki i zobaczył długi stół roboczy, identyczny jak w pracowni Darryla, kilka zlewów, mikroskop i butelki chemikaliów. Ale stołek przy stole był pusty. Spojrzał uważniej i dostrzegł, że kilka doniczek jest przewróconych, a jedna leży rozbita na podłodze. Na półce, między głośniczkami, stał iPod. Michael wyszedł pomiędzy regałów i zbliżył się

do stołu. Mlaskanie i zucie dobiegało z boku, z malej wysokości, a gdy się przesunął do stołu, zobaczył wystające spod blatu czubki gumowych rozpiętych butów. Mocniej ścisnął kijki.

Sądząc po odgłosach, zucie przeszło w rozszarpywanie, jakby ktoś rozrywał zębami mięso, i gdy Michael obszedł róg stołu, zobaczył wielką płachtę flanelowej koszuli napiętą na barkach potężnie zbudowanego człowieka. Pochylał się nad leżącym ciałem całkowicie pochłonięty jakąś czynnością. Gdyby Michael nie wiedział, że to niemożliwe, w pierwszym odruchu pomyślałby, że to Danzig.

Nieżywy Danzig.

Uniósł ostro zakończony kijek narciarski i z braku lepszego pomysłu wrzasnął:

- Hej! Ty! Przestań...

Więcej nie zdołał powiedzieć. Pochylony człowiek błyskawicznie odwrócił głowę, zaskoczony. Miał brodę. Była tak gęsto zlepiona krwią, że wyglądała jak pociągnięta jasnoczerwoną farbą. Oczy też miał czerwone i wściekle mrugał powiekami. Michael był tak oszołomiony, że się cofnął. Tamten rzucił się na niego, warcząc. Jeden z kijków pofrunął w górę, obijając się o skrzynki

- Co się tam wyprawia? - ryknął Lawson i zaczął się przeciskać przez labirynt.

Mężczyzna cuchnący krwią i zgnilizną chwycił Michaela za kołnierz, niemal jakby czegoś szukał - pomocy? - pomyślał dziennikarz. Ale najgorsze w tym wszystkim, że to naprawdę był Danzig - martwy, zamrożony Danzig z gardłem rozszarpanym przez psa - i rozrywał mu kurtkę. Dziennikarz wpadł plecami na półkę i cały ich rząd runął, a z nim on i Danzig w istnej ulewie grudek ziemi i nasion. Michael przyłożył mu w policzek rączką kijka, żałując, że nie może użyć ostrego końca. Twarz Danziga wyrosła nad nim. Zęby miał pomazane krwią, oczy czarne z wściekłości i - to Michael uświadomił sobie dopiero później - bezdenne smutku.

Kijek narciarski mignął nad ramieniem Michaela i wybił dziurę w ramieniu Danziga. Ten wpierw odskoczył, a potem się rzucił na Lawsona. Ale poślizgnął się na rozrzuconych torebkach nasiennych, upadł i zaraz się podniósł. Michael szybko przetoczył się na bok i wstał. Kontuzjowany Lawson niezbyt pewnie trzymał się na nogach, więc ledwo Danzig go odepchnął, runął na podłogę jak długi, wymachując kijkami.

Danzig zamiast kontynuować atak, potoczył się między szafki. Wymachiwał rękami jak wielka małpa, przewracając kolejne regały. Wszędzie było pełno tłustej ziemi, nasion i żwiru i zanim Michael pokonał tę przeszkodę, plastikowe zasłony i dopadł drzwi, ujrzał tylko smugę krwi na rampie i ciemny kształt wypadający poza drewnianą kratownicę i znikający w szalejącej zadymce.

- O czym wy do diabła mówicie? - spytał Murphy, gdy tylko Michael i Lawson dopadli go w kącie kuchni. Wujek Barney był poza zasięgiem głosu, smażąc na patelni smakowicie wyglądające steki. - Na miłość boską, Danzig nie żyje!

- Właśnie że żyje - powtórzył ciszej Michael, opuszczając głowę. - To właśnie próbujemy ci powiedzieć.

- Też go widziałeś? - spytał Lawsona Murphy, szukając potwierdzenia niemożliwego.

- Też go widziałem. - Lawson spojrzał na Michaela, jakby zachęcał go dalszego mówienia.

- I zabił Ackerleya - dodał Michael.

Murphy wyglądał tak, jakby połknął własny język. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Znaleźliśmy Ackerleya w pracowni - ciągnął dalej Michael - już martwego. Danzig rozszarpywał ciało. W tej chwili jest gdzieś na dworze.

Murphy oparł się o lodówkę. Wyraźnie nie mógł przetrwać tego, co usłyszał - i Michael nie miał o to do niego pretensji. Gdyby nie był naocznym świadkiem, gdyby sam nie został zaatakowany, też by nie uwierzył w to, co się stało.

- Więc nie leży w worku na ciało - głośno myślał Murphy - pod magazynem rdzeni, gdzie go wsadziliśmy.

- Nie - potwierdził Lawson - nie leży.

- I Ackerley nie żyje. Też - powtórzył Murphy, jakby starał się przyswoić tę potworną informację.

- Zgadza się - rzekł Michael. - Powinniśmy go złapać... zaraz... zanim się oddali.

- Ale jak ześwirował na maksa - Murphy mówił to wolno, jakby szukał ostatniego promienia nadziei - to po prostu zamarznie na śmierć.

Michael nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Murphy miał absolutnie rację - oszałały człowiek, na dodatek nawet bez czapki na głowie, musiał umrzeć wystawiony na działanie tego potwornego mrozu, jeśli wcześniej nie wpadł w jakąś szczelinę - ale równocześnie dziennikarz wcale nie był o tym przekonany. Teraz już nic nie miało sensu. Był przy Danzigu w gabinecie zabiegowym; był świadkiem tego, jak Charlotte wpisywała czas i datę zgonu. To co teraz biegało gdzieś po śniegu, to wcale nie musiał być Danzig. Michael nie wiedział, jak to nazwać.

- Co zrobiliście z ciałem Ackerleya? - spytał Murphy, z wielkim wysiłkiem starając się zebrać myśli.

- Zostawiliśmy je tam, gdzie było - powiedział Michael.

- Charlotte powinna je jak najszybciej zbadać. A potem trzeba je gdzieś złożyć.

- Szanowni panowie wybaczą - mruknął wujek Barney, sięgając do lodówki po masło. Odszedł, kuśtykając.

- Nie w tym samym miejscu, co Danziga - powiedział cicho Murphy. - Skorzystamy ze starej chłodni na mięso. Jest na zewnątrz. Jakby doktor Barnes znowu się pomyliła, to nie chcę mieć drugiego szalejącego świra. - Nagle się zreflektował i dodał:

- Wiecie, o co mi chodzi. Danzig był kapitalnym gościem, fakt, a Ackerley też wcale nie był taki zły, no, ale jak już tak się porobiło, jak się porobiło... - Urwał, wyraźnie przygnieciony tym wszystkim, co na niego spadło.

Ale Michael wcale nie uważał, że Charlotte się pomyliła. Chociaż to nie mieściło się w głowie, Danzig naprawdę umarł, a potem jakimś sposobem wrócił do życia - chociaż w tej chwili Michael bynajmniej nie zamierzał głośno stawiać takiej tezy.

Lawson się pochylił, masując obolałą kostkę, której wcale nie pomogła szamotanina i upadek w laboratorium. Murphy'emu nagle przybyło siwizny.

- Przy okazji moglibyśmy poszukać Śpiącej Królowy - zaproponował Michael, bardzo zainteresowany uzyskaniem pozwolenia Murphy'ego w tej sprawie. - I jej Królewicza.

- Nie wspominając o psach - dodał Lawson. - Jak NSF się dowie, że ostatnie psy, którym wolno było przebywać na Antarktydzie... biedny Danzig musiał im załatwić specjalną przepustkę... zaginęły podczas wykonywania zadania, to pierdzistolki dostaną szału.

- Danzig jeździł z nimi do Stromviken - powiedział Michael - i dla odmiany mamy dobrą prognozę pogodową. Burza śnieżna przechodzi.

- Na krótko - rzucił Murphy. - Wedle ostatniego raportu jutro wczesnym popołudniem przyjdzie nowy front.

- Tym większy powód, żeby się tym zająć.

Lawson skinął głową, popierając dziennikarza.

- A co z twoją kostką? - spytał Murphy. - Wygląda na to, że musisz na nią uważać.

- Jazda skuterem śnieżnym to nie problem. A jak znajdziemy psy czy ciała, to przynajmniej wiem, którądy wracać do bazy.

- W porządku - powiedział Murphy słabym głosem, jakby nie miał już sił dyskutować o tej sprawie. - Ale nie dziś. Wyśpijcie się solidnie i zaraz z rana, jak pogoda pozwoli, możecie jechać do Stromviken. - Sięgając po wiszące u pasa walkie-talkie, dodał. - Powiem Franklinowi, żeby przyszykował wam dwa skutery. Będą czekały o dziewiątej, przy maszcie.

ROZDZIAŁ 32

16 grudnia, 9.30

Sinclaira nie było już kilka godzin i chociaż Eleanor najbardziej lękała się tego, że może nie wrócić, to zarazem z obawą wyobrażała sobie jego nastrój, gdy wreszcie się pojawi. Wychodząc, kipiał wściekłością, winiąc niekończącą się zadymkę za uwięzienie ich w lodowatym kościele.

- Niech piekło pochłonie tę ruderę! - wykrzyknął. Jego głos odbił się echem od ścian pustej kaplicy, sięgając starych krokwi.

- Przeklęte te kamienie i belki!

Zmiotł z ołtarza lichtarz, a ten wirując, przeleciał po posadzce. Stukając obcasami o kamienne płyty posadzki, ruszył nawą, szeroko rozwarł wychodzące na cmentarz skrzypiące drzwi i cisnął przekleństwo w ołowiane niebo. Odpowiedziało mu potargane wiatrem ujadanie psów zwiniętych w kłębek między grobami.

Najbardziej bała się go w takim stanie, gdy rzucał wyzwanie niebiosom. Była przekonana, że już odpowiedziały mu w Lizbonie, i nie miała ochoty powtórnie usłyszeć tego responsu.

- Sinclair - wsparta o drzwi zakrystii spytała go, zanim wyszedł - czy nie powinniśmy przyprowadzić psów do kościoła? Umrą pozostawione na zewnątrz bez opieki.

Odwrocił gwałtownie głowę i w jego oczach dojrzała tamten gorączkowy błysk - pierwszy raz zobaczyła go w Chryzopolu.

- Już ja je rozgrzeję - warknął i ubrany w czerwoną kurtkę wypadł na dwór, zanurzając się w zadymkę. Nawet nie chciało mu się zamknąć drzwi, jakby nie zwracał uwagi na wrogie siły natury. Chmura lodowych drobin i płatków śniegu wleciała wirem do wnętrza. Psy się rozszczękały, gdy Sinclair zaprzęgał je do sań.

Szczelniej otuliła się płaszczem z cudownej tkaniny i podeszła do drzwi. Sinclair stojąc na saniach, obrzucał przekleństwami psy gnające w dół zaśnieżonego wzniesienia. Kiedy zaprzęg zniknął, całym ciężarem ciała naparła na drzwi z nieheblowanych desek i zamknęła je.

Ten wysiłek ją wyczerpał i opadła na najbliższą ławkę. Bojąc się, że zemdleje, złożyła głowę na oparciu następnej i tak odpoczywała. Drewno było zimne, nieco chropawe i tuż przed oczami dojrzała jakiś napis - imię? Ale nie był po angielsku i litery prawie całkiem się wytarły. Rozpoznała jedynie kilka cyfr, datę - 25 XII 1937. Boże Narodzenie roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Długo pozostała tak pochylona, wpatrując się w ten napis i nie mogąc przestać o nim myśleć. Był rok tysiąc osiemset pięćdziesiąty szósty, gdy u boku Sinclaira weszła na pokład „Coventry” i rozpoczęli tamtą niefortunną podróż. I jeśli ten napis i te cyfry zaiste tworzyły datę, to w takim razie wyryto je osiemdziesiąt jeden lat po tym, jak trafiła na morze.

Osiemdziesiąt jeden lat. Czas wystarczający, aby wszyscy, których znała - i wszyscy, którzy znali ją - umarli.

Przeskoczyła w myślach dalej, ponieważ to obozowisko niewątpliwie opuszczono lata, prawdopodobnie dziesiątki lat temu. Patrząc na zniszczony kościół, zastanawiała się, ile lat upłynęło od jego zbudowania? Jak długo spała w lodzie na dnie oceanu? W jakim świecie się znalazła jego nowa, niezbyt szczęśliwa mieszkanka?

Zdjęła rękawiczkę i przebiegła palcami po wyżłobionej desce, jakby dotykiem mogła odkryć zawartą w niej prawdę. Początkowo już to ją zaniepokoiło, tak potężna okazała się jej zmysłowa natura; Eleanor jeszcze nie przywykła do odbierania jakichkolwiek fizycznych bodźców. Po tak długim przebywaniu w lodzie skórę miała gładką, niemal obcą nawet jej samej. Jej obcowanie z Sinclairem było bardziej niż skromne. Oczywiście chodziło o przyzwoitość - ich sekretne i udaremnione zaślubiny w portugalskiej bożej świątyni ważyły w umyśle Eleanor tyle co nic. A w tym lodowatym, okropnym miejscu, w którym się teraz znalazła, nie było niczego, co by rozpałiło w niej jakikolwiek zapał... lub nawet życzliwą myśl.

Lecz w głębi serca wiedziała, że poza tym coś więcej stoi na zawadzie, coś, co zawsze miało pozostać, stałe przypomnienie lub stale obecna nagana - była to jedyna rzecz wiążąca ją z Sinclairem, zapewne na wieczność, i zarazem ona jedyna ich rozdzielała. Każde z nich widziało w pobielącej twarzy i desperackim spojrzeniu drugiego potężniejącą potrzebę, nieznoszące odmowy pożądanie. Zdradzały to zimne usta, palce jak sople lodu i nieprzystępną opancerzone serca.

Pod tym względem niewiele się zmieniło od czasu Krymu. Niezaspokojenia - tylko tego doświadczyła.

Gdy pielęgniarki Nightingale pojawiły się w Szpitalu Koszarowym w Chryzopolu - nazwanym tak, gdyż dawniej mieściły się tam koszary tureckiej armii Selimiye Kışlası - od

razu musiały sobie radzić z przerażającym brakiem wyposażenia. Było za mało szarp, koców, lekarstw, nawet podpórek pod kikuty. Eleanor nigdy dotąd nie widziała tak rozpaczliwej nędzy, takiego brudu. Nawet te panie, które pracowały w fabrykach i więzieniach, wyznały, że są wstrząśnięte obojętnością, z jaką brytyjska armia traktuje swoich rannych. Żołnierze, którzy stracili kończyny na polu bitwy i nie mogli się ruszać, a nawet samodzielnie jeść, nie mieli żadnej opieki i nie dostawali żadnych medykamentów. Chorzy na dyzenterię, nieuleczalną biegunkę lub tajemniczą „gorączkę krymską” na próżno błagali o kubek wody, leżąc w zatłoczonych korytarzach na cienkich, przesiąkniętych krwią siennikach. Smród z otwartej kanalizacji, biegnącej pod koszarami, był nie do zniesienia, z porozbijanych okien wiało tak straszne zimno, że żołnierze zapychali dziury słomą, co jeszcze potęgowało miazmaty w salach. Kilka delikatniejszych pań natychmiast zapadło na zdrowiu, stając się bardziej ciężarem niż pomocą.

Eleanor, Moirę i większość innych pielęgniarek skierowano wprawdzie do cerowania i prania pościeli - chociaż przecież nie po to pokonały całą długą drogę z Anglii, aby wykonywać pracę szwaczek i praczek. Przybyły pielęgnować rannych żołnierzy, pomagać lekarzom i felczerom przy operacjach, ale wrogość i podejrzliwość medyków była tak wielka, że zabroniono im wstępu na sale chorych, a gdy te zostały przed nimi otwarte, nie dopuszczono ich do współpracy.

- A cóż to oni se myślą, żeśmy przyjechały im spinki kraść? - burczała z obrzydzeniem Moira, niewpuszczona do sali pełnej rannych. - Słyszę jak te bidusie, co to leżą na pryczach, błagają o wiadro czy choćby kropelkę morfiny, a ja tu siedzę, nie dalej niż dziesięć stóp i co robię? Onuce ceruję!

Początkowo Eleanor również się dziwiła, że panna Nightingale nie podejmuje usilniejszych starań na rzecz dostępu swoich podopiecznych do chorych, lecz niebawem zrozumiała, że to jedyne rozsądne podejście. Brytyjska armia miała swoje zasady, wieki temu wyryte w kamieniu; panna Nightingale unikała jak ognia konfrontacji, która udowodniłaby wyższość jej korpusu i nieskuteczność działającej służby medycznej, za to starała się stopniowo, nie budząc sprzeciwu, zwiększyć obowiązki i poszerzyć odpowiedzialność swoich dziewcząt. Kiedy tylko dowództwo nieco przejrzało na oczy i uznało zalety czystej pościeli i świeżych bandaży, zaczęło również doceniać dobroczynne skutki podawania rannym gorącej herbaty i owsianki, rosółu wołowego i galaretek, które pielęgniarki szykowały w urządzonej naprędce kuchni. A żołnierze - okaleczeni, cierpiący, często konający na wytartych derkach, daleko od ojczyzny - zaczęli błogosławić pielęgniarki w workowatych kitlach i nedorzecznych czepkach.

Florence Nightingale szczególnie zdobyła ich serca i wieczne uwielbienie. Bez lęku wracała nawet na sale gorączkujących, gdzie sami lekarze nie chcieli wchodzić (głosili, że marne gasnące duszyczki albo jakoś same dadzą sobie radę, albo szeszna, więc skoro koniec jest z góry przesądzony, jakież to sens narażać się na zarażenie). I chociaż od niepamiętnych czasów to oficerowie mieli zapewnioną najlepszą pomoc i wsparcie, a szeregowi, szczególnie piechoty, byli skazani na najstraszliwsze męki i byle jaką opiekę, panna Nightingale tak samo opiekowała się wszystkimi żołnierzami, czy to arystokratą czy zwykłym poborowym. Łamiąc zasady, zdradziła swą kastę i zdobyła niewielką sympatię oficerów, za to nieśmiertelne oddanie prostaczków - i również Eleanor.

Czwartego dnia pobytu w Chryzopolu panna Nightingale napotkała Eleanor, gdy ta napełniała dzban wodą z ledwo cieknącej szpitalnej fontanny - wodą mętną, żółtą i niemal nienadającą się do picia - i zarządziła, by pielęgniarka towarzyszyła jej podczas wieczornego obchodu. Miała na sobie długą szarą suknię, białą chusteczkę na ciemnych włosach, a w ręku trzymała turecką lampkę z brązu.

- Zechciej wziąć ze sobą dzban.

Eleanor, do której panna Nightingale rzadko bezpośrednio zwracała się z poleceniem, napełniła dzban po brzegi, wzięła pod pachę bandaż i posłusznie ruszyła kilka stóp za przełożoną. Eleanor była wyczerpana - miała za sobą kolejny ciężki dzień - i chociaż wiedziała, że nie odpocznie przez następne kilka godzin, za nic nie zrzekłaby się tego obowiązku. W czasie cowieczornego, pełnego obchodu po rozległym szpitalu panna Nightingale i towarzysząca jej pielęgniarka pokonywały cztery mile. Gdziekolwiek się pojawiły, tam nawet najmniej życzliwie usposobieni chirurdzy i najbezczelniejsi sanitariusze wstawali i robili przejście, a cierpiący żołnierze witali je cichymi podziękowaniami i wyrazami szacunku. Niespełna siedemnastoletni chłopiec leżał, łkając na pryczy, pozbawiony nóg poniżej kolan, i panna Nightingale przystanąła przy nim, aby go pocieszyć i złożyć pocałunek na jego czole. Innemu żołnierzowi, który utracił rękę i oko, podała kubek wody. Ujął go drżącą dłonią i Eleanor zastanawiała się, czy trzęsie się dręczony fizyczną niedomogą, czy też poruszony do cna tym, że dobrze urodzona dama opiekuje się takimi jak on.

W większości sal zalegał mrok, rozjaśniany jedynie ukośnymi promieniami księżyca, wpadającymi przez dziurawe szyby i niedomknięte okiennice, tak że Eleanor musiała uważać, aby nie nastąpić na śpiącego lub martwego żołnierza. Drobna, trzymająca się prosto jak trzcina, panna Nightingale sunęła nieomylnie między posłaniami i pacjentami, a światło jej lampki kładło się jak błogosławieństwo na zabrudzonych, posiniaczonych i zakrwawionych obliczach. Eleanor nieraz widziała, jak żołnierz dźwiga się na kikucie ramienia i pochyliwszy

głowę, całuje miejsce, które właśnie minęła panna Nightingale. Ależ oni całują jej cień, pomyślała.

Kilka razy panna Nightingale zatrzymała się, oferując spragnionemu żołnierzowi łyk wody z dzbana lub zmieniając brudny bandaż, ale szpital był ogromny, a otchłań potrzeb wprost niezgłębiona, tak że często mogła przekazać tylko uśmiech lub słowo tym, których mijiała. Lecz widziało się wyraźnie, że jej odwiedziny stanowiły rodzaj przymierza, świętej umowy między nią i żołnierzami, i Eleanor czuła się uprzywilejowana, mogąc być świadkiem tego wydarzenia.

Przy tym cały czas miała serce w gardle. W każdej sali, do której weszły, w każdym mijanym łóżku szukała porucznika Sinclaira Copleya - rozpaczliwie spragniona jego widoku i przerażona myślami o tym, w jakim stanie może go zastać. Każdego dnia czytała wykazy zmarłych, ale wiedziała, że w najlepszym wypadku są fragmentaryczne i dziurawe, a Sinclair mógł być cierpiący i niezdolny się odezwać, nieprzytomny, ranny od kuli bądź szabli, czy też bredzić w gorączce zaledwie salę dalej. Przeprowadziła takie poszukiwania, jakie tylko były możliwe, i dowiedziała się, że jego XVII Regiment Lansjerów wyruszył pod lordami Lucanem i Cardiganem, aby wesprzeć oblegających Sewastopol. Lecz wieści z frontu szły powoli, a gdy docierały, nie były wiarygodniejsze niż szpitalne wykazy.

Prawie zakończyły obchód i miały ostatnie sale, gdy Eleanor się wydało, że słyszy, jak ktoś niewyraźnie woła jej nazwisko. Zatrzymała się, panna Nightingale również, usłużnie podnosząc lampkę, tak że rzuciła szerszy krąg światła. Spoczywający na żelaznych pryczach żołnierze unieśli głowy lub odwrócili oczy, ale żaden nie przemówił. Ten sam głos znów się odezwał i Eleanor dostrzegła w najdalszym kącie sali, pod oknem, którego ramy wypchano szmatami, leżącego pod złachmanionym nakryciem żołnierza. Zwracał ku nim twarz.

- Panna Ames?

Był tak brudny, że go nie rozpoznała, ale jego głos był jej znajomy.

- Porucznik Le Maître? - spytała, przysuwając się bliżej.

Oficer parsknął cichym śmiechem, który przeszedł w kaszel.

- Wystarczy: Francuzik.

- To twój znajomy? - spytała panna Nightingale, idąc za Eleanor do łóżka rannego.

- Tak, proszę pani. To żołnierz XVII Regimentu Lansjerów.

- W takim razie zostawiam cię, byś mogła z nim porozmawiać - rzekła łagodnym głosem.

- Zresztą i tak już prawie skończyłyśmy. - Sięgnęła po stojący na parapecie okna ogarek świecy, zapaliła go od lampki i podała Eleanor. - Dobrej nocy, poruczniku.

- Dobrej nocy, panno Nightingale. Niech Bóg panią błogosławi.

Panna Nightingale skromnie skinęła głową, odwróciła się i ruszyła między pryczami. Jej długa suknia zaszeleściła.

Eleanor odstawiła świeczkę na parapet i uklękła przy wąskim łóżku. Francuzik, dawniej wzór elegancji, miał na sobie białą, dziurawą i zawszoną koszulę. Był nieogolony, jego nieprzystrzyżone i nieumyte włosy spadały na rozgorączkowane czoło, a spocona skóra nawet w słabym blasku świecy miała wyraźny zielonkawy odcień.

Eleanor widziała setki podobnie wyglądających żołnierzy i wiedziała, że nie wróży to dobrze. Szybko zanurzyła w czystej wodzie resztki bandaża i otarła nimi spocone czoło Francuzika. Żałowała, że nie ma przy sobie czystej koszuli. Mógłby zdjąć ten przeпоcony, zawszony łachman klejący się do jego ciała.

- To gorączka - spytała - czy jest pan ranny?

Złożył głowę na sienniku i odsłonił nogi. Prawą miał w bliznach i krwi, ale lewa była w znacznie gorszym stanie. Pożółkła kość wystawała z ciała, czerwone prążki rozbiegły się w górę i w dół goleni.

- Postrzelono pana? - spytała ze zgrozą i... wstydem, jako że jej myśli natychmiast pomknęły ku Sinclairowi. Walczył w tej samej bitwie?

- Kule tylko zniszczyły mi fryzurę - powiedział. - Ale mój koń wpadł do jaru i przetoczył się po moich nogach.

Kiedy znów moczyła bandaż w wodzie, ranny uprzedził jej pytanie:

- Sinclaira tam nie było. Kiedy ostatni raz go widziałem, jechał z Ruthefordem i resztą towarzystwa do Bałakławy. To takie miejsce. - Zakrył kocem pokiereszowane nogi. Oblizał wargi i powiedział: - Moja manierka jest pod łóżkiem.

Chwilę szukała jej na ślepo - coś o wielu nóżkach przebiegło jej po ręce - w końcu znalazł, wyjęła i odkręciła korek. Rozeszła się woń dzinu. Przyłożyła mu manierkę do ust. Pociągnął łyk, drugi. Zamknął oczy.

- Powiniennem zgadnąć, że przybędzie pani z pielęgniarzkami - wyszeptał.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytała. - Obawiam się, że nie mam teraz niczego przy sobie...

Z wysiłkiem potrząsnął głową.

- Już dość pani zrobiła.

- Jutro przy obchodzie przyniosę panu świeżą koszulę, pościel i naostrzoną brzytwę...

Na włos uniósł rękę na kocem, wstrzymując ten potok słów.

- Chciałbym tylko napisać list do rodziny.

To była częsta prośba, więc Eleanor odparta:

- Przyniosę pióro i papier.

- Proszę przyjść najwcześniej, jak się da - rzekł.

Wiedziała, skąd ten pośpiech.

- Teraz proszę odpocząć - szepnęła, pogładziwszy go po ramieniu. Wstała. - Do zobaczenia rano.

Odetchnął głośno, nie unosząc głowy z materaca, a ona zdmuchnęła świecę i cicho wymknęła się z sali.

ROZDZIAŁ 33

16 grudnia, 10.00

Michael i Lawson pędzili po lodzie skuterami, ale nie znaleźli śladu Danziga ani psów. Michael wiedział, że powinien zwolnić; szczeliny mogły się pokazać w każdej chwili i w każdym miejscu. Ale ruch - i prędkość - zawsze były jego ulubionym remedium na problemy. Kiedy stawał w obliczu przytłaczającego zagrożenia, reagował aktywnością - czysto fizyczną aktywnością. Jak długo był w ruchu, czy to podczas wymagającej błyskawicznych decyzji wspinaczki górskiej, czy wyprawy kajakowej rzecznyymi przełomami, czy swobodnego nurkowania na rafie, czarne myśli, które go prześladowały, nie miały już do niego dostępu. Był na tyle inteligentny, aby wiedzieć, że przed nimi nie ucieknie - próbował wystarczającą ilość razy - ale na ogół wystarczał moment relaksu i łapał oddech.

Teraz na przykład starał się zakotwiczyć w bieżącej chwili, najpierw skupiwszy się na nosie śnieżnego skutera, sunącego nagim krajobrazem, a potem, gdy byli już blisko wybrzeża, na płynnie szybującym, wielkim białym albatrosie. Przez chwilę towarzyszył ludziom, opadał i wzlatywał leniwymi kołami, dotrzymując im idealnie kroku. Lawson odbił w prawo, zbliżając się do stacji wielorybniczej, podczas gdy dziennikarz sunął bliżej wybrzeża. Michael minął zarzuconą pobielałymi kośćmi plażę i ruiny fabrycznych zabudowań. Skutery spotkały się znów na rozległym podwórku, na którym sprawiano wieloryby. Kiedy silniki zgasły, zapadła cisza, jakby ktoś nakrył świat miękkim kocem. Mężczyźni potrzebowali kilku sekund, zanim dostosowali się do nowych warunków i Michael usłyszał daleki krzyk albatrosa i wiatr niosący śnieg po zamrożonym gruncie. Podniósł wzrok i zobaczył ptaka. Rozpościerając skrzydła, zataczał szerokie kręgi i nie wykazywał żadnej chęci odpoczynku.

Lawson przesunął gogle na czoło i powiedział:

- Gdyby psy tu były, usłyszałyby nasz przyjazd...

- A my usłyszelibyśmy je - zgodził się z nim Michael. - Ale mamy jeszcze trochę czasu, zanim przyjdzie zadymka, więc może byś rozejrzał się w dole, a ja podjadę na górę, co?

Lawson kiwnął głową i wspierając się na kijku narciarskim, by nie stracić równowagi - Michael zauważył, że mocno kuleje - powiedział:

- Dojadę do ciebie za godzinę.

Michael sprawdził godzinę, wsiadł na skuter i włączył silnik. Przejechał ponurą uliczką biegnącą między wytapialniami tłuszczu, a potem skierował się do kościoła z krzywą dzwonnica. Zamiast kluczyć wśród otaczających świątynię grobów, zatrzymał maszynę w połowie stoku i na piechotę pokonał pozostały odcinek drogi do schodów. Naparł barkiem na ciężkie drewniane drzwi, otworzył je i wszedł do skromnego, wyłożonego kamieniem wnętrza, zastawionego wysłużonymi drewnianymi ławkami; na końcu środkowej nawy dostrzegł pełniący funkcję ołtarza stół na kozłach. Za nim wisiał na ścianie topornie wyciosany krucyfiks. Michael tak się śpieszył, wyjeżdżając z bazy, że nawet nie zabrał pełnego zestawu sprzętu fotograficznego - mógł cyknąć kilka zdjęć tylko wiernym canonem; wiedząc, że pozwolenie na pobyt jest ważne jeszcze kilka tygodni, planował wrócić w to miejsce i zrobić profesjonalne zdjęcia - zwłaszcza że nawet teraz, sto lub więcej lat od zbudowania kościoła, panowała w nim dziwna aura oczekiwania. Chciał uchwycić wrażenie, jakie odniósł: wydawało się, że ławki już za chwilę zapełnią się zmęczonymi wielorybnikami, a za pulpitem stanie pastor, czytający przy świetle lampy naftowej Pismo Święte.

Pod ławką dojrzał porwaną okładkę modlitewnika, ale gdy chciał ją podnieść, okazało się, że jest przymarznięta do podłogi. Sfotografował ją - w duchu zadał sobie pytanie, czy ujęcie nie będzie nazbyt pretensjonalne - po czym schował aparat pod kurtkę, nałożył rękawice i podszedł do ołtarza. Wydało mu się, że słyszy drapanie - czy to możliwe, że przeżyły tu jakieś szczury? - przeleciało mu przez głowę - i zatrzymał się. Dźwięk ucichł. Na ołtarzu leżała stara skórzana księga, której tytuł wytarł czas. Michael zrobił kolejny krok i dźwięk znowu rozbrzmiał. Głośniejszy. Dobiegał zza ołtarza, zza drzwi zamkniętych na czarną zasuwę. Być może kiedyś mieszkał tam kaznodzieja. A może trzymano tam wartościowe przedmioty liturgiczne - kielichy, lichtarze, bogato oprawione Biblie.

Obszedł stół na kozłach i nagle usłyszał coś takiego, że stanął jak wryty.

Podszedł bliżej i dźwięk się powtórzył, jeszcze wyraźniej. Tak, to był głos - głos kobiety!

- Otwórz drzwi! Błagam, nie mogę tego wytrzymać! Otwórz drzwi, Sinclair!

Sinclair? Michael zerwał rękawicę, by łatwiej uporać się z zamkiem i zasuwą. Zza drewnianych drzwi słyszał ciężko dyszącą, niemal płaczącą kobietę.

- Nie mogę być sama! Nie zostawiaj mnie tu!

Odsunął zardzewiałą zasuwę i otworzył skrzypiące drzwi.

Widok, który zobaczył, sprawił go w oszołomienie. Kobieta, młoda kobieta okryta luźną damską kurtką pomarańczowego koloru, zatoczyła się w tył. Była blada ze strachu. Miała spadające na twarz, długie ciemnokasztanowe włosy i zielone oczy - ich przenikliwe spojrzenie było widoczne nawet w słabym świetle. Wycofała się między drewniany stół, na

którym stała butelka wina, i ślący mętny blask żelazny piecyk. W kącie leżały potargane modlitewniki i szczapy drewna.

Stali bez słowa, wpatrzeni w siebie. Michaelowi wirowało w głowie - znał ją. Znał! Po raz pierwszy zobaczył te oczy na dnie morza. Po raz pierwszy zobaczył tę zapinkę z kości słoniowej pod grubą mleczną warstwą lodu. Śpiąca Królowa.

Ale nie spała i nie była martwa.

Żyła - oddychała ciężko, urywanie.

Michael był w szoku. Ta kobieta stała na wprost niego, kuląc się, w odległości zaledwie kilku stóp, ale nie potrafił przyjąć do wiadomości świadectwa swoich oczu. Kobieta, którą widział zamrożoną na kość, poruszała się i czuła. Jego myśli rozbiegły się w kilkunastu kierunkach, szukając rozsądnego wytłumaczenia, ale nic nie znalazły. Co to - przypadek hibernacji? Halucynacja, z której lada chwila się otrząśnie? Nic, co przychodziło mu do głowy, nie tłumaczyło obecności tej przerażonej młodej kobiety, ledwo stojącej na nogach kilka stóp dalej.

Uniósł rękę, by ją uspokoić, i zauważył, że palce lekko mu drżą.

- Nie bój się, nie skrzywdzę cię.

Chyba jej nie przekonał. Kuliła się pod ścianą, obok okna.

Powoli, nie odrywając od niej oczu, włożył rękawicę na zeszywniałą rękę. Co jeszcze mógłby powiedzieć? Co powinien zrobić?

- Nazywam się Michael... Michael Wilde.

Na dźwięk własnego głosu nieco się uspokoił.

Ale kobieta raczej nie. Nie odpowiedziała, biegła oczami po izbie, jakby szukała drogi ucieczki.

- Przyjechałem z Cypla Adeli. - Nie, to na nic, ta nazwa raczej nic jej nie mówi. - Ze stacji badawczej. - Czy to będzie dla niej zrozumiałe? - Byłaś tam. Wcześniej. - Chociaż był przekonany, że ona mówi po angielsku, do tego bez wątplenia z brytyjskim akcentem - wcale nie był pewny, czy sens jego słów w ogóle do niej dociera. - Możesz mi powiedzieć, kim... jesteś?

Oblizła wargi i nerwowo poprawiła kosmyk włosów, który opadł jej na twarz.

- Nazywam się Eleanor - powiedziała cichym, ale podnieconym tonem. - Eleanor Ames.

Eleanor Ames. Kilka razy powtórzył to imię i nazwisko, jakby tym sposobem chciał je osadzić w rzeczywistości.

- Jesteś z... Anglii? - spytał.

- Tak.

- Ja jestem z Ameryki - oznajmił, kładąc rękę na piersi.

Wszystko to stawało się tak absurdalne, że o mało się nie roześmiał - czuł się tak, jakby czytał scenariusz marnego filmu science fiction. Teraz powinien wyciągnąć pistolet emitujący śmiertelne promieniowanie albo ona powinna zażądać, by zaprowadził ją do swojego dowódcy. Przez krótki moment się zastanawiał, czy zaraz nie zwariuje.

- Hm, miło mi cię poznać, Eleanor Ames - powiedział, znów o mało nie parszkając śmiechem z powodu absurdalności tej sytuacji.

Niech go szlag trafi, jeśli w odpowiedzi na te słowa nie skłoniła głowy i lekko nie dygnęła.

Szybko zlustrował pokój. Żelazne łóżko okryte brudnym starym kocem, pod nim butelki z zatopionego kufra.

- Gdzie twój przyjaciel?

Nie odpowiedziała, ale widział, że przeprowadza w głowie szybką kalkulację.

- Chyba mówisz na niego „Sinclair”?

- Zniknął - odparła. - Porzucił mnie.

Michael nie uwierzył w to ani przez chwilę; wiedział, że osłaniała go z jej tylko wiadomego powodu. Kimkolwiek naprawdę była, skądkolwiek się wzięła, jej twarz i głos wyraźnie zdradzały emocje; ich nie potrafiła ukryć. A co do tajemnicy otaczającej tego tam... Sinclaira... to bladła ona w porównaniu ze wszystkimi pytaniami, które wisiały w powietrzu. Jakim cudem została uwięziona w lodowcu? Kiedy? Jak uciekła z lodowego bloku w laboratorium? Jak trafiła tu, do Stromviken?

I - to było największe, niemal niepojęte pytanie, przy którym niknęły wszystkie inne - jak ożyła?

Jeśli był jakiś oględny sposób wyrażenia tych pytań, Michael za diabła go nie znał.

Wór psiej karmy stał oparty o ścianę. Michael zaczął zwyczajnie, od łatwych spraw.

- Więc ten Sinclair zabrał ze sobą zaprzęg?

Znów szybka kalkulacja, zanim zdała sobie sprawę, że nic nie zyska na dalszych kłamstwach. Zgarbiła się.

- Tak.

Zapadła niewygodna cisza. Teraz dostrzegł, że kobieta wokół oczu ma czerwone obwódki, a wargi jej popękały. Oblizwała je. Spojrzał na otwartą butelkę na stole. Wiedział, co w niej jest.

Ale czy ona wiedziała, że on wie?

Kiedy znów na nią spojrzął, przekonał się, że tak. Oczy spuściła jakby ze wstydu, a na jej policzkach pojawił się ceglasty rumieniec.

- Nie możesz tu zostać - powiedział. - Idzie burza śnieżna. Wkrótce tu dotrze.

Widział, że jest zagubiona i bezradna. Kim był dla niej Sinclair? Przecież jednak zamknął ją w tym pokoju i zniknął, Bóg wie gdzie. Był jej kochankiem? Mężem? Jediną osobą w świecie żywych, którą znała? Jediną osobą, z którą mogła żyć? Michael nawet nie wiedział, które założenie wstępnie przyjąć. Za to był pewien, że nie może jej zostawić w tym lodowatym kościele. Musiał zaraz znaleźć sposób, aby ją przekonać, by pojechała z nim do bazy.

- Po Sinclaira możemy wrócić później - zasugerował. - Nie porzucimy go. Ale czemu nie miałabyś pojechać teraz z nami?

Dostrzegł, że na to „z nami” wytrzeszczyła oczy i spojrzała w głąb pustego kościoła. Wyraźnie się zastanawiała, kto jeszcze ją nachodzi.

- Jest ze mną przyjaciel - wyjaśnił Michael. - Możemy cię zabrać do bazy.

- Nie mogę jechać - powiedziała.

Michael odgadł, co myśli - przynajmniej w części.

- Ale tam możemy się tobą zaopiekować.

- Nie, nie pojedę - powiedziała, chociaż jej głos drżał i zmienił się wyraz twarzy, jakby sam protest wyczerpał resztki jej energii. Odsunęła się od okna i usiadła na brzegu łóżka, wsparta rękami o krawędź. Wzmagający się wiatr zatrzęsł okiennicami - przeciąg dodał siły ogniowi w piecyku.

- Daję ci słowo - zapewnił ją - że nikt cię nie skrzywdzi.

- Ty nie - powiedziała - ale inni tak.

Michael nie był pewien, o co jej chodzi, ale usłyszał narastający warkot śnieżnego skutera Lawsons. Eleanor rozejrzała się spłoszona. Michael zadał sobie pytanie, z czym kojarzy ten dźwięk? Czy w ogóle z czymś go kojarzy?

Z jakiego świata - z jakiego czasu - przybyła?

- Musimy jechać - nalegał.

Eleanor siedziała, usiłując zebrać myśli, nieruchoma jak posąg, jak wtedy w lodzie.

Nieruchoma jak Kristin w szpitalnym łóżku.

Skuter się zbliżał, ryk silnika przenikał pusty kościół. Zgasł.

Eleanor Ames wpatrywała się w Michaela takim wzrokiem, jakby rozwiązywała jakąś szczególnie trudną zagadkę - podobnie jak on. Tylko mógł sobie wyobrazić wszystkie pytania, które się kłębiły w jej głowie, wszystkie rzeczy, które starała się porównać i ocenić.

- Halo? - zawołał Lawson. - Jest tam kto?

Jego kroki na kamiennej podłodze odbijały się echem.

Palce Eleanor szarpały zniszczony koc.

Michael milczał. Bał się, że może coś zepsuć.

- Hej, Michael, wiem, że gdzieś tu jesteś! - wołał Lawson, idąc w kierunku ołtarza. -
Musimy się zwiijać.

Oblicze Eleanor wypełniał niepokój i... wyczerpanie, takie wyczerpanie, jakie Michael wcześniej widział tylko raz, na twarzy mężczyzny, który całą noc, sam, próbował uratować swój dom w Cascades przed pożarem lasu. Na próżno.

Zakaszła, ale była zbyt zmęczona, by unieść rękę i zasłonić usta.

- Możesz mi coś powiedzieć? - spytała głosem pełnym rezygnacji.

- Oczywiście. Wszystko.

Lawson był tak blisko, że Michael słyszał pisk podeszew jego butów.

- Który jest rok.

ROZDZIAŁ 34

16 grudnia, 11.30

Kiedy Sinclair wychodził, wiatr był słaby, ale szybko przybierał na sile. Porucznik poprowadził zaprzęg między rozsypującymi się domami stacji wielorybniczej - obok kuźni, gdzie kilkanaście harpunów, niektóre długości lancy, której używał w bitwie, nadal stało w uchwytach przy ścianie - i skierował go na północny zachód, gdzie niski lodowy grzbiet zasłaniał dalszy krajobraz. Wątpił, aby udało mu się coś wypatrzeć po drugiej stronie, ale jaki miał wybór? Oddać siebie i Eleanor w ręce tych, od których ledwo udało im się uciec? Nie ufał nikomu... i nie zamierzał więcej ufać.

Nawet, smutno to przyznać, swojej ukochanej. Przed wyjazdem zamknął Eleanor, gdyż obudziwszy się w tym osłabionym stanie, w którym się znalazła, mogła ulec nagłemu impulsowi i targnąć się na swoje życie. Co prawda nie był pewien, jak mogłaby to zrobić. Wiedział, że ich zepsucie, mimo straszliwej ceny, zapewniło im ochronę przed chorobami, które zabiłyby każdego innego - cholera, dyzenteria, tajemniczą gorączką krymską... nawet stuletnim czy dłuższym uwięzieniem na dnie morza. Ale podejrzewał, że bez względu na to jaki diabelski mechanizm napędzał ich wieczne życie, nie potrafił uchronić ciała przed zniszczeniem. Popatrzył na tył łydki, na miejsce, w które ugryzł go pies. Pojawiła tam się łąta, blizna, narośl - coś utrzymującego w kupie chodzący, mówiący i oddychający szkielet. Wyglądało na to, że jego ciało mogło się rozerwać, ale nie mogło zmarnieć.

Pomyślał kwaśno, że jego kondycja ma się nijak do dewizy brygady. Nie była to ani śmierć, ani chwała. Raczej coś pośredniego, przypominającego mu o dniach beczynności, do których Lekka Brygada była zmuszona na Krymie.

Tygodniami nic nie robili, tylko wyczekiwali, przyglądając się z koni działaniom piechoty, zawsze trzymanej w rezerwie na decydującą chwilę, która wydawało się, miała nigdy nie nadejść. Pod dowództwem lordów Lucana i Cardigana - serdecznie nienawidzących się szwagrów - XVII Regiment Lansjerów był przenoszony z jednego odległego stanowiska na drugie, zawsze powstrzymywany, aby się zbyt wcześnie nie zaangażował. Sinclair jak wielu kolegów czuł, że stają się obiektem szyderstw innych formacji - gogusie na koniach, z piórami na czakach, w bramowanych futrem kurtkach ze złotymi sznurami, w

jaskrawowiśniowych spodniach, obżerający się jajami na twardo i biszkoptami - podczas gdy ich towarzysze broni odwalali brudną robotę, szturmując reduty wroga. Kiedy podczas jednego z krytycznych starć pozwolono rosyjskiej kawalerii uciec w całkowitej rozsypce - nie goniono jej i nie obrócono w perzynę - sierżant Hatch, który ledwo odzyskał siły po ataku malarii, ogarnięty obrzydzeniem, złamał fajkę i cisnął ją na ziemię.

- Czekają na zaproszenia na złoconym papierze? - warknął, ściągając wodze niecierpliwego wierzchowca i rzucając mroczne spojrzenie na wzniesienie terenu, które okupował uzbrojony w lunetę głównodowodzący, podstarzały, jednoręki lord Raglan, otoczony chmurą adiutantów. - Nie będą mieli lepszej okazji.

Nawet kapitan Rutheford, słynący nie tylko z bujnych bokobrodów, ale także z niesłychanego opanowania, wydawał się zniecierpliwiony - pociągnawszy długi łyk z manierki, napełnionej rumem z wodą, pochylił się na siodle i poczęstował trunkiem Sinclaira.

- Zapowiada się kolejny męczący dzień - rzekł.

Sinclair wziął manierkę i pił długo. Od kiedy XVII Regiment Lansjerów wyruszył na morze, wojna była jednym wielkim rozczarowaniem - burzliwą przeprawą przez rozhuśtane morza, która zabiła niezliczoną liczbę koni, a potem niekończącym się marszem wąskimi jarami i pustymi równinami, podczas którego pozostawiali za sobą trupy na żer dla sępów, robactwa i... dziwnych przemykających się chyłkiem stworów, mających gdzieś daleko za stanowiskami wart. Pewnego razu Sinclair zapytał jednego z tureckich przewodników, co to za istoty. Tamten wpięrw przesądnie splunął przez lewe ramię, po czym wymruczał:

- *Kara-kondjiolos.*

- Co to znaczy?

- Wampiry - odparł z obrzydzeniem przewodnik. - Żywią się trupami.

- Niczym szakale?

- Gorzej. Niczym... - szukał odpowiedniego słowa - ...przekłęci.

Jak zauważył Sinclair, gdy stworzenia się pokazywały - zawsze trzymając się cienia, skulone przy ziemi - katoliccy rekruci ostentacyjnie czynili znak krzyża, a wszyscy, niezależnie od wyznania, garnęli się do ognisk.

Ten obcy kraj w niczym nie przypominał jego ojczyzny - dobrze pamiętał flagi i proporce, orkiestry dęte i powiewające chusteczki, gdy wojsko wchodziło na okręty w Anglii - a tutaj nawet miasteczko Bałakława, niegdyś idylliczny porcik, zmieniło się w nieprzyjemne miejsce. Przed przyplłynięciem brytyjskich oddziałów słynęło jako ulubiony kurort sewastopolan z małutkimi willami o zielonych dachówkach i z wypieszczonymi ogródkami. Podobno każdy domek i płotek ozdabiały róże, powojniki, kapryfolium i

bladozielone muszkatołowe winogrona, które dojrzawszy, zwisały ciężkimi gronami z łodyg. Sady pokrywały wzgórza, a dziewiczo czyste wody migotały jak kryształ.

„Agamemnon”, najpotężniejszy okręt brytyjskiej marynarki wojennej, wpłynął do portu i armia - już tamtego dnia licząca dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy - uczyniła z tego klejnotu Morza Czarnego bazę operacyjną. Wille zajęto, ogrody zryto, zamieniając je w błotne grzęzawiska, winnice rozdeptano. Kiedy wielu żołnierzy zachorowało lub zmarło na dyzenterię, malutki śródlądowy port stał się jedną cuchnącą latryną, zalaną odchodami i odpadkami. Lord Cardigan, niegłupi człek, wołał pozostać na pokładzie prywatnego jachtu „Driada”, w odległości kilku mil od wybrzeża. Tam jadł posiłki przyrządzane przez francuskiego mistrza kuchni, podczas gdy zastępy ordynansów i adiutantów pokonywały na znużonych koniach strome wzgórza nad portem, przewożąc jego rozkazy. Kiedy w okolicy nie było oficera, żołnierze z czasem przywykli wyrażać się o Cardiganie: „Szanowny Jachtman”.

- Jakież wieści o Francuziku? - spytał Rutheford, ale Sinclair pokręcił przecząco głową. Od tygodni nie mieli żadnych listów ani wieści od przyjaciół w polowych szpitalach. Sinclair widział nogę przyjaciela po tym, jak koń ją zmiądzzył, i wiedział, że gdyby nawet kiedyś zobaczył Francuzika żywego, to nie będzie on tym samym człowiekiem, co niegdyś.

Ale czy którykolwiek z nich pozostanie taki sam?

Był piękny dzień, przejrzysty, jasny. Ajaks grzebał kopytem w ziemi, chętny do biegu. Sinclair pogładził długą kasztanową szyję i delikatnie szarpnął czarną grzywę.

- Kiedyś nadejdzie ten dzień, mój piękny, kiedyś nadejdzie... - powiedział świadom, że czeka go jeszcze wiele godzin wsłuchiwanie się w odgłosy dalekich potyczek lub odległy huk rosyjskich armat. Przez ile to już dni, tygodni kampanii czuł się jak widz unieruchomiony przed budynkiem teatru, wsłuchany w dobiegające ze środka głosy i wrzawę, ale nie mogący pokonać drzwi. Zastanawiał się, co też porabia Eleanor, czy jest bezpieczna i czy jego listy dotarły do niej do Londynu.

Rutheford odchrząknął i wskazał podbródkiem na prawo od Sinclaira. Właśnie adiutant dowódcy ruszył ze wzgórza i na łeb na szyję pędził niemal pionowym stokiem. Ścieżka była ledwo zaznaczona i koń po wielekroć był o krok od poślizgnięcia się, lecz jeździec zawsze w ostatniej sekundzie odzyskiwał nad nim panowanie i kontynuował szaleńczy zjazd.

- Znam tylko jednego chwata, którego stać na taki wyczyn - zauważył sierżant Hatch.

- A któż to taki? - spytał Rutheford.

- Oczywiście kapitan Nolan - wtrącił Sinclair. Ten sam Nolan, którego szkoła jazdy zdobywała uznanie na kontynencie.

Jeździec się zbliżał, kamienie i grudy ziemi bryzgały spod kopyt, a gdy dotarł do doliny, jeszcze bardziej popędził wierzchowca. Lord Lucan w zdobionym białą kitą kapeluszu wyjechał klusem ku pędzącej postaci i ściągnął koniowi wodze nie dalej niż dziesięć jardów przed Sinclairem, między ścieśnionymi szeregami Lekkiej i Ciężkiej Brygady, którymi dowodził.

Nolan podjechał galopem na spienionym koniu, wyjął z szabeltasa rozkaz i wcisnął go w rękę Lucana. Chociaż Sinclair dobrze zdawał sobie sprawę, jak nisko Nolan ceni jego dowódcę (podobnie jak większość kawalerzystów), był zaskoczony jego obcesowością. Lucan słynął z porywczosci i każda tego rodzaju niesubordynacja groziła paka.

Rozwścieczony Lucan przeczytał rozkaz, po czym spojrzał na Nolana, którego koń wciąż niecierpliwie drobił w miejscu, i o coś go zapytał. Sinclair nie usłyszał wszystkiego, ale wydało mu się, że dowódca rzekł:

- Co zaatakować? Które działa, sir, które?

Sinclair wymienił spojrzenia z Ruthefordem. Czy lord Lucan - ochrzczony przez swych żołnierzy Lordem Obserwatorem - kolejny raz uniemożliwi swoim oddziałom udział w walce?

Nolan z naciskiem coś powtórzył, kręcąc głową tak mocno, że podniosły mu się bujne czarne kędziory, i wskazał trzymany przez lorda papier. Następnie wyciągnął rękę w kierunku rosyjskich baterii w głębi Doliny Północnej i głosem, który nawet Sinclair usłyszał wyraźnie, krzyknął:

- Tam, milordzie, tam jest pański wróg. Tam są pańskie działa!

Sinclair spodziewał się, że lord Lucan wpadnie w szal na tę impertynencję i natychmiast rozkaże aresztować kapitana, ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego zawrócił konia i pojechał do swego arcywroga, lorda Cardigana, omówić rozkazy. Musiały być na tyle ważne, że wołał ich nie ignorować ani nie chciał podejmować żadnych decyzji bez konsultacji.

Po kilku minutach gorącej narady lord Cardigan zaszalował, nie raz, ale dwa razy, i podjechał galopem do miejsca, gdzie stał Sinclair i inni lansjerzy. Szybko rozkazał brygadzie utworzyć dwie linie, pierwszą z regimentów: XVII Lansjerów, XIII Lekkich Dragonów i XI Huzarów, a drugą z XIV Lekkich Dragonów i większości VIII Huzarów. Ciężka Brygada została przesunięta na tyły. Konna artyleria nie dostała rozkazu szykowania się do ataku, czego w normalnych warunkach należałoby się spodziewać - Sinclair uznał, że to dlatego, iż przez częściowo zaoraną dolinę ciężko byłoby przetoczyć działa.

Dolina Północna o długości około mili i podobnej szerokości, do której brygada miała wjechać, była płaska, pozbawiona wszelkich naturalnych osłon - siły rosyjskie kontrolowały

ją ze wszystkich trzech stron. Na Wzgórzach Fiedukina, po stronie północnej, Sinclair widział co najmniej kilkanaście dział, a także kilka batalionów piechoty. Wzgórza Nasypowe po stronie południowej budziły jeszcze większą grozę. Stało na nich co najmniej trzydzieści dział i bateria polowa, która wcześniej tego dnia zdobyła reduty. Lecz największe niebezpieczeństwo kryło się w głębi doliny. Jeśli Lekka Brygada miała zaatakować ten punkt, nie tylko musiała pokonać całą drogę pod krzyżowym ogniem nieprzyjaciela, ale także szarżować prosto na lufy kilkunastu dział, za którymi stały gęste linie rosyjskiej kawalerii.

Po raz pierwszy w życiu Sinclair poczuł niedający się z niczym pomylić chłód śmierci. To nie był dreszcz, nie chęć ucieczki, ale lodowata świadomość nagiego faktu. Aż do tej chwili, nawet gdy inni w drodze padali na cholere, gorączkę czy od kul ukrytych na wzgórzach snajperów, nigdy tak naprawdę nie przyszło mu do głowy, że może nadejść jego kres. Śmierć miała go zostawić w spokoju. Ale żaden żołnierz patrzący w głąb Doliny Północnej nie żywił takich nadziei.

Sinclair jechał w pierwszej linii. Po lewej ręce miał Rutheforda, po prawej młodego chłopaka nazwiskiem Owens. Sierżant Hatch był w drugiej linii.

- Pięć gwinei - zaproponował Ruthefordowi Sinclair - że będę pierwszy przy działach.
- Przyjmuję - odparł Rutheford. - Ale masz pięć gwinei?

Sinclair wybuchnął śmiechem. Również Owens słysząc tę wymianę zdań, zdobył się na słaby uśmiech. Miał słabo zarysowany podbródek, szczupłą twarz, pobladłą teraz jak płótno. Dłoń dygotała mu na lancy.

Rozległ się głos trąbki i Sinclair umilkł jak wszyscy wokół niego. Lord Cardigan wyjechał na kilka końskich długości przed linię, dobył szabli i uniósł ją. Spokojnym, niemniej jednak donośnym głosem rozkazał:

- Brygada do ataku. Przygotować się. Stępa. Kłusem.

Dźwięk trąbki ucichł i gdy kawaleria ruszyła, dzierżąc pionowo lance, Sinclair zwrócił uwagę na dziwną, niemal nienaturalną ciszę, która zdała się zawładnąć całą doliną. Nie wystrzelił żaden karabin ze wzgórz, nie zahuczało żadne działo, wiatr nie zaszeleścił krótką trawą. Słysząc było tylko skrzypienie siodła, dzwonięcie ostróg. Jakby cały świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na widowisko.

Sinclair trzymał wodze luźno, wiedząc, że niebawem będzie musiał je ściągnąć i poprowadzić Ajaksa w wir walki. Koń uniósł łeb, wciągając świeże powietrze i parskając, w końcu z rozkoszą kłusując po równym, twardo ubitym gruncie. Sinclair starał się patrzeć przed siebie, na szczupłą postać Cardigana siedzącego prosto w siodle. Wykańczanej złotą koronką kurtki nie nosił zarzuconej na ramiona, jak było w zwyczaju, lecz wsuwał ręce w

rękawy. Ani raz się nie obejrzał, by zlustrować swoich wojaków, gdyż jak wiedział każdy kawalerzysta, byłoby to oznaką niepewności, a o lordzie Cardiganie można było wiele powiedzieć, ale nie to, że nie jest pewny siebie. Chociaż Sinclair i inni żołnierze mieli na jego temat rozliczne opinie i chociaż wyśmiewali jego przywiązanie do luksusu i małostkowe trzymanie się regulaminu, tamtego dnia zaiste dawał przykład.

Nagle Sinclair dostrzegł w głębi doliny obłoczek dymu, delikatny i okrągły jak dmuchawiec, a potem kolejny. Za ledwie sekundę lub dwie potem nadleciał huk artyleryjskiego działa. Fontanna ziemi i trawy wzbijała się w powietrze. Pociski nie dosięgły jazdy, ale Sinclair wiedział, że rosyjscy celownicy na razie tylko się wstrzeliwują. Pierwsza linia pokonała nie więcej niż pięćdziesiąt, sześćdziesiąt jardów, gdy ku zdziwieniu Sinclaira kapitan Nolan wyłamał się z szeregu i popełnił rażące wykroczenie przeciwko regulaminowi. Popędził przed siebie i zajechał drogę dowódcy, wymachując przy tym szablą. Wykręcił się w siodle i krzychał coś, czego nie dało się zrozumieć w potężniejącym ryku dział. Przez chwilę Sinclair myślał, że Nolan całkiem stracił głowę i próbuje poprowadzić szarżę. Lecz zanim Cardigan mógł zareagować na to nieodpowiednie zachowanie, spadł rosyjski pocisk armatni, rozerwał się i jego odłamek z tak wściekłą siłą rozszarpał pierś kapitana, że odsłonił oczom Sinclaira bijące serce. Rozległ się krzyk, tak straszliwy, jakiego nigdy nikt nie słyszał, a ogarnięty paniką koń runął z powrotem przez nacierające linie, wioząc złane krwią ciało swego pana, nadal jakimś sposobem tkwiące prosto w siodle. Szabla wyleciała z ręki Nolana, lecz sama ręka pozostała prosta, jakby nadal usiłował prowadzić atak. Krzyk nie ustawał, aż koń wpadł w IV Regiment Lekkich Dragonów i ciało w końcu zamilkło, osunąwszy się z siodła.

- Dobry Boże - mruknął Rutheford na tyle głośno, że Sinclair go usłyszał. - Co też chłopina zamierzał?

Sinclair nie miał pojęcia, ale tak wczesna śmierć kapitana Nolana, pierwszego jeźdźca jazdy brytyjskiej, nie wróżyła dobrze. Szybkość brygady wzrosła, ale tylko nieznacznie. Cardigan, który nawet nie raczył się odwrócić, aby sprawdzić, jaki los spotkał Nolana, prowadził swoje oddziały w ciasnej formacji i w miarowym tempie, jakby tylko przeprowadzał ćwiczenia na placu, a nie wkraczał w gęstniejącą kaskadę ognia.

- Ścieśnić szyk! - rozległ się zza pleców Sinclaira głos Hacha. Jeźdźcy wypełniali wyrwy powstałe po zabitych żołnierzach i koniach. - Wyrównać do środka!

Szybkość wzrosła i Ajaks pochyliwszy kasztanowy łeb z białą strzałką, niósł Sinclaira - porucznik czuł, że jego szabla i szabeltas tłuką się o udo. Nisko nasunięte czako osłaniało mu

oczy przed ostrym słońcem. Zaciężyla lanca i zapragnął ją opuścić, poczuć przyciśniętą do ciała. I modlił się, by przeżył na tyle długo, aby mógł jej użyć.

W połowie doliny kawaleria napotkała niszczycielski ogień dział i karabinów piechoty ze Wzgórz Fiedukina i Nasypowych. Kule muszkietów i kule armatnie, pociski kartaczne i karabinowe z gwizdem i błyskiem wpadały w szeregi, rozszarpując końskie boki lub zrzucając jeźdźców z siodeł. Kawalerzyści nie potrafili już zapanować nad końmi ani nad sobą i szyk rozpadał się coraz bardziej. Konie i ludzie posuwali się w szaleńczym tempie, rozpaczliwie pragnąc uciec spod morderczego gradu. Sinclair słyszał wiwaty i wołanie do Boga, wymieszane z rozpaczliwym rżeniem rannych koni i wrzaskami umierających żołnierzy.

- Naprzód, Siedemnasty! - zawołał sierżant Hatch, gdy jego koń zrównał się z koniem Sinclaira. - Nie dajcie się wziąć Trzynastemu!

Gdzie młody Owens, gdzie jego koń? - pomyślał Sinclair. Nawet nie widział, jak tamten zginął.

Znów rozległ się głos trąbki. Sinclair obniżył lancę i trącił ostrogami mocno pracujące boki Ajaksa. Pole bitwy było tak gęsto zasłonięte dymem, kurzem i zasłane szczątkami, że Sinclair z trudnością dostrzegał baterię dział, którą miał przed sobą. Widział tylko błyski ognia i słyszał armatnie pociski miażdżące szeregi, przewracające ludzi jak kręgle. Hałas był tak ogłuszający, tak wielki i brutalny, że słyszało się tylko dzwoniący łoskot. Oczy płonęły od dymu i ognia, krew dudniła w żyłach. Szarżujący przed Sinclairem jeźdźcy byli rozrywani na kawałki, konie nadaremnie dźwigały się na potrzaskanych, krwawych kikutach. Ajaks przeskoczył rozciągniętego na bezgłowym wierzchowcu chorążego i pełen wiary w swojego pana galopował dzielnie w największy wir walki. Ziemia pomykała pod Sinclairem, gdy starał się utrzymać prosto lancę. Nie dalej niż pięćdziesiąt jardów przed sobą widział szare mundury i nisko opuszczone na oczy czapki rosyjskich artylerzystów w gorączce ładujących jeden pocisk za drugim. Pędził wprost na działo, gdy wsunęli do lufy kulę, ale nie potrafił zejść z linii strzału. Sierżant Hatch był przy jednym jego boku, a rżący ze strachu koń Rutheforda dotrzymywał mu kroku z drugiej strony, puste strzemiona pobrzękiwały - nie było śladu jeźdźcy. Sinclair nie miał wyboru; musiał przeskoczyć działo, zanim wystrzeli. Słyszał krzyki Rosjan, widział przykładaną do zapalnika trzaskającą pochodnię. Pochylił jeszcze niżej głowę, wysunął lancę w kierunku żołnierza, który trzymał pochodnię, i pędził dalej. Ajaks wzbił się w powietrze w momencie odpalenia pocisku i ostatnią rzeczą, którą Sinclair zapamiętał, był lot na oślep przez rozpaloną do czerwoności mgłę krwi, dymu, wnętrzości, prochu... a potem nic.

ROZDZIAŁ 35

16 grudnia, 11.45

Kiedy Charlotte zaczęło się wydawać, że robota na biegunie to jednak wcale nie taka zła rzecz - co prawda pogoda była wredna i ktoś dostał kataru, kichali wszyscy, ale nie zdarzyło się nic poważnego - piekło pokazało, na co je stać.

Najpierw Danzig został zaatakowany i zagryziony przez swojego husky, a teraz Murphy usiłował jej wmówić, że okaleczone ciało leżącego na podłodze laboratorium biologii to dzieło trupa.

- To nie jest możliwe - powiedziała po raz setny. - Sama stwierdziłam zgon Danziga. Zszyłam mu gardło tymi rękami, dwa razy... nie, trzy... zrobiłam mu defibrylację i widziałam jego wykres akcji serca na monitorze. Płaski wykres. - Uklękła i przyłożyła rękę do boku zimnej szyi Ackerleya. - I widziałam, jak wkładano go do worka na ciało.

- No, ale jakoś z niego wyszedł - upierał się Murphy. - Tyle mogę ci powiedzieć. Wilde i Lawson mogą przysiąc, że go widzieli.

Gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, zapytałaby go, czy niedawno pili albo czy nie nafaszerowali się czymś mocniejszym niż alkohol. Ale знаła Michaela, znała Lawsona i wiedziała, że nigdy w życiu nie zrobiliby czegoś tak okropnego jak to, co miała przed sobą. Było naprawdę straszne. Gardło i ramiona ofiary zostały głęboko rozszarpane - tryskająca krew przemoczyła nawet koszulę i spodnie. Okulary Ackerleya, chociaż również splamione krwią, jakoś utrzymały się na nosie. Sprawca tego czynu - człowiek czy zwierzę - dopuścił się czegoś, co daleko przekraczało wszystko, z czym spotkała się podczas najgorszych nocy na chicagowskim oddziale ratunkowym.

- Wiem, że chciałabyś przeprowadzić dokładniejszą sekcję - powiedział Murphy, nerwowo chodząc za jej plecami - ale biorąc pod uwagę to, co spotkało Danziga, nie zamierzam ryzykować.

- Zauważyła wiele mówiące wybrzuszenie pod jego kurtką. Założył kaburę z bronią.

- Co z nim zrobisz?

- Pokażę ci.

I pokazał. Ciało włożyli do worka, położyli na tobogan, po czym zaciągnęli je najbardziej dyskretnie, jak się tylko dało, na tyły modułów, do rzadko używanego magazynu chłodni. Była to przepastna, rozpadająca się szopa. Stały w niej skrzynki coca-coli, piwa i puszek z jedzeniem. Murphy poszedł w głąb szopy i zgarnął ramieniem z długiej i wysokiej na jakieś trzy stopy skrzyni puszkę i rupiecie. Wyżej na ścianie biegła gruba metalowa rura, z której luszczyla się czerwona farba.

- Połóżmy go tutaj - powiedział. Wziął trupa za ramiona, Charlotte - za nogi i łagodnie, z szacunkiem złożyli go w skrzyni. Kiedy Charlotte się wyprostowała, zobaczyła czarne litery PRZYPRAWY HEINZA.

- I czemu tu mam przeprowadzić autopsję a nie w gabinecie zabiegowym? - spytała.

- Bo stąd nic się nie rozniesie - wyjaśnił Murphy - przynajmniej na razie. I będzie bezpieczniej.

- Bezpieczniej?

Niezależnie od tego, jak wyjaśni się sprawa Danziga, czy kierownik stacji naprawdę myślał, że jego okaleczony trup się ocknie i powróci do świata żywych?

Murphy nie odpowiedział, ale nie podobało jej się jego spojrzenie ani kajdanki - kajdanki? - które jak teraz zobaczyła, dyndały mu z tylnej kieszeni.

- Zostaw mnie na chwilę samego, w porządku? - spytał. - Zaraz do ciebie dołączę.

Charlotte wyszła na dwór i zatrzymała się na rampie. Wiatr znacznie się wzmógł - szła kolejna śnieżna burza. Na Boga, co się tu działo? Dwaj zmarli w dwa dni? I chociaż wstrętnie się czuła, myśląc w ten sposób, to patrząc na te zgony ze swojego punktu widzenia, musiała rozważyć, czy nie będą źle wyglądać w papierach lekarza stacji.

- Wszystko załatwione - oznajmił Murphy, wynurzając się z magazynu i zamykając drzwi na łańcuch i kłódkę zabezpieczoną plastikową osłoną, chroniącą przed wilgocią. - Nie muszę dodawać, że zapowiedziałem wujkowi Barneyowi, że ten magazyn jest nieczynny do odwołania.

Charlotte tak na wszelki wypadek przysięgła sobie w duchu nigdy więcej nie używać żadnej przyprawy Heinza.

- I chyba nie trzeba też dodawać, że o całej aferze ani mru-mru. Przynajmniej dopóki się nie zorientujemy, co jest właściwie grane - zwłaszcza z Danzigiem.

16 grudnia, 14.00

Eleanor była tylko mgliście świadoma, co się dzieje. Pamiętała, że udzielono jej pomocy, niemal wyniesiono ją z kościoła, po czym usadzono na jakby siodle jakiejś dziwacznej maszyny. Kazano jej objąć ramionami mężczyznę, który przed nią usiadł - przedstawił się jako Michael Wilde i uznała, że może jest Irlandczykiem - ale za nic nie chciała się na to zgodzić.

Drugi z mężczyzn owinał ją w pasie linką uplecioną z jakiegoś cienkiego, ale mocnego włókna, i ściągnął mocno wokół głowy tasiemkę kapuzy. Maszyna z rykiem pomknęła po śniegu, pędząc jak ogier. Powiewy wiatru i tumany lodowatych igiełek były tak dokuczliwe, że bez względu na to czy się jej to podobało czy nie, musiała pochylić głowę i oprzeć policzek o plecy Michaela. I niebawem objęła mężczyznę ramionami, choćby po to, by się nie ześlizgnąć z wąskiego siodełka.

Gdyby nie kaptur, chyba ogłuchłaby od hałasu, a gdy gnali przez nagi teren, czuła się dziwnie oszołomiona. Przez cały dzień słabła coraz bardziej - oparła się syreniemu śpiewowi ciemnych butelek pozostawionych przez Sinclaira w zakrystii i teraz czuła, że opuszczają ją resztki energii. Zamknęła oczy i się rozluźniła. Ogarnęła ją bezsilność, ale to nie było nieprzyjemne. Grzechot maszyny przypomniawszy jej buczenie silników statku, który zabrał ją na Krym... pod wiecznie czujnym okiem panny Nightingale. Co rzekłaby jej zwierzchniczka na tę scenę? Eleanor doskonale wiedziała, że panna Nightingale potępiała fraternizowanie się pielęgniarek z żołnierzami i łamanie konwenansów. Należało za wszelką cenę unikać skandalu. Mimo że panna Nightingale przestając z wojskowymi, zachowywała ze wszech miar niewymuszoną naturalność, to w oczach swojego personelu robiła wrażenie osoby raczej wyzbytej poczucia humoru i sztywniej.

Tak więc nic dziwnego w tym, że Eleanor, która miała dość oleju w głowie, następnego poranka po spotkaniu z Francuzikiem zerwała się ze świtaniem i najciszej jak to możliwe wykradła się z kwater pielęgniarek. Na schodach było jeszcze ciemno i dwa razy o mało się nie potknęła, gdy schodziła z wieży, przebiegając do sali, w której leżał porucznik Le Maître. Zabrała ze sobą czystą męską koszulę, a w kieszonce fartucha niosła złożoną kartkę papieru i ogryzek ołówka.

Co prawda część żołnierzy nadal spała, ale wielu z nich, porażonych gorączką, szarpanych bólem, kolebało się na łózkach, rozwierając szkliste oczy i spierzchnięte wargi. Kilku wyciągnęło do niej rękę, gdy szybko ich mijała, ale nie zwracała uwagi na te błagalne gesty i spieszyła dalej ze swą misją. Za niecałą godzinę musiała być na stanowisku pracy.

W pobliżu sali, do której zdążała, minęła jeden z chirurgicznych wózków, już gotowy do codziennej rzeźniczej roboty. Dwaj sanitariusze - jeden z wielkimi odstającymi uszami i sterczącymi włosami, drugi ogromny dziobaty chłop - przywitali ją kolejno:

- Bry, panienko. Wcześniej panienka wstała.

- Może by panienka dołączyła do nas na filiżankę herbatki? - Dziobaty uniósł poobijany imbryk. - Wciąż gorąca.

Eleanor podziękowała i szybko podeszła do kąta w głębi sali, gdzie zastała zupełnie przytomnego Le Maître'a. Patrzył w rozbite okno, za którym zmierzch przechodził w brzask. Przykucnęła przy łóżku, ale zwrócił na nią uwagę, dopiero gdy pokazując papier i ołówek, rzekła:

- Jestem. I patrz, co mam. - Obliznął wargi i skinął głową.

- No i jeszcze to. - Pokazała mu czystą koszulę. - Zdejmujemy z ciebie tę starą, a kiedy tylko przyniosę wodę do mycia, założymy świeżą.

Patrzył na nią tak, jakby ledwo rozumiał, co mówi. Pewnie miał ciężką noc.

- Francuziku - wyznała cicho - wyznam ci ze wstydem, że nawet nie wiem, jak naprawdę masz na imię.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Mało kto wie. - Ucieszyła się, że chociaż trochę się rozjaśnił. - Alfons. - Ni to kaszlnął, ni to roześmiał się sucho i dodał:

- Teraz już wiesz, czemu.

Przysiadła na brzeжку łóżka, bacząc na pokiereszowaną nogę, i wygładziła na kolanach papier.

- To list do rodziny?

Skinął głową i podał adres w zachodnim Sussex. Zapisała go.

- *Chers Père et Mère. Je vous écris depuis l'hôpital en Turquie. Je dois vous dire que j'ai eu un accident - une chute de cheval - qui m'a blessé plutôt gravement.*

Ołówek Eleanor zawisł w powietrzu. Nigdy nie pomyślała, że rodzina Le Maître'a może faktycznie używać na co dzień francuskiego.

- O rety - jęknęła - nie umiem po francusku. - Podniosła wzrok i przekonała się, że zamknął powieki, usiłując się skupić.

- Mógłbyś powiedzieć to samo po angielsku?

Za drzwiami zagrzechotały kółka wózka, rozległy się głosy rozprawiających z ożywieniem ludzi. Szpital się budził.

- Oczywiście. - Ledwo mógł coś z siebie wykrztusić. - Ale ze mnie dureń. To dlatego że w domu... - Urwał i po chwili zaczął jeszcze raz: - Droga mamó, drogi ojczé, wysyłam wam ten list ze szpitala w Turcji. Pewna dobra dusza pisze go w moim imieniu. - Grzechot się wzmógł. - Z przykrością donoszę, że miałem wypadek... przygniótł mnie koń.

Zapisująca te słowa Eleanor uniosła wzrok i zobaczyła wielkouchego sanitariusza pchającego do ich kąta ruchomy stolik chirurga, jakby to był wózek kwiaciarki. Dziobaty sanitariusz niósł pod pachą biały parawan, wyglądający niczym zwinięty żagiel. Nie było wątpliwości co do ich zamiarów.

- Och, nie moglibyście choć trochę poczekać? - spytała Eleanor, wstając.

- Z polecenia lekarza - oznajmił pierwszy sanitariusz, a drugi szybko postawił parawan na podłodze i rozłożył go, zasłaniając łóżko Francuzika. Do przyjazdu panny Nightingale wszystkie amputacje przeprowadzano na oczach reszty pacjentów - to ona wymogła na lekarzach, by rozstawiali parawany, nie tylko chcąc zapewnić intymność ofiarom amputacji, ale także, by oszczędzić potwornego widowiska innym, którzy mogli się spodziewać, że niebawem czeka ich to samo.

- Porucznik dopiero zaczął dyktować list do rodziny. Przecież możecie wpiérw zająć się kimś innym?

- Eleanor? - rzekł Francuzik, szarpiąc ja rękaw. - Eleanor!

Odwróciła się do niego. Wyciągnął spod materaca srebrną papierośnicę.

- Weź!

Była to ta sama papierośnica, którą w dzień wyścigów zademonstrował w Klubie Longchamps. Widniały na niej ponure insygnia jego regimentu - trupia czaszka - i dewiza: „Lub Sława”.

- Postaraj się, żeby moja rodzina ją dostała... proszę!

- Ależ któregoś dnia sam będziesz mógł im to dać - powiedziała, gdy wcisnął jej w rękę srebrny drobiazg.

- Paniénko, my tu mamy robotę - powiedział barczysty sanitariusz.

Wsunęła papierośnicę do kieszeni fartucha. Siwy chirurg szybkim krokiem podszedł do łóżka.

- Co tu za zamieszanie? - huknął, rzucając mordercze spojrzenie na Eleanor. - Nie mamy całego dnia. - Zdarł okrycie ze zmiążdżonej nogi Francuzika, poświęcił nie więcej niż kilka sekund na jej obejrzenie i rozkazał: - Taylor, kloc.

Wielkouchy sanitariusz sięgnął po pokryty zaschniętą krwią kłoc, mogący równie dobrze służyć do rąbania drewna, i zaczął go wsuwać pod nogę, która miała być amputowana. Francuzik zawył z potwornego bólu.

- Smith, przywiąż go do łóżka. A co się ciebie tyczy - chirurg zwrócił się do Eleanor - to nie przypominam sobie, żebym wydał pozwolenie protegowanym panny Nightingale na kręcenie się po moich salach.

- Ale, panie doktorze, ja tylko...

- Masz się do mnie zwracać: wielbny doktorze Gaines, jak już w ogóle musisz zawracać mi głowę.

Duchowny i z a r a z e m lekarz? Wystarczył krótki czas służby w Szpitalu Koszarowym i fanatycznie oddani Bogu lekarze zaczęli napawać Eleanor głębokim przerażeniem i zgrozą. Niewątpliwie brakowało chloroformu, ale do amputacji zwykle można było się go doprosić. Jednak najpobożniejsi chirurdzy często sprzeciwiali się znieczulaniu pacjentów. Dla nich była to gorsząca nowinka, świeży wynalazek służący tylko i wyłącznie złagodzeniu szlachetnego i oczyszczającego bólu zesłanego przez Pana Zastępów. Odwróciła się do Francuzika. Twarz nabiegła mu krwią. Ramiona miał przywiązane linami obiegającymi żelazne łóżko. Taylor podsunął mu do ust szklanekę whisky, ale większa jej część spłynęła na drżący podbródek porucznika.

- Knebel - rozkazał lekarz, zawiązując za plecami tasiemki niegdyś białego fartucha.

Taylor sięgnął po coś, co wyglądało jak skórzane kielzno, naznaczony wieloma odciskami zębów wałeczek, i wcisnął go między szczęki Francuzika.

- Gryź mocno - doradził - bo inaczej język se załatwisz.

Przyjacielskim gestem klepnął po ramieniu operowanego i stanął beczynnie u wezłowania.

- Dobra, Smith - rzekł lekarz, przyciskając uniesioną nogę - bądź łaskaw przytrzymać drugą.

Smith całym ciężarem ciała napał na prawą nogę, trzymając jedną rękę na udzie, drugą na goleniu, podczas gdy lewa noga sterczała na kłocu jak indycza szyja. Eleanor stała w nogach łóżka. Groza odebrała jej mowę, gdy doktor Gaines wziął z ruchomego stolika piłę do kości. Miała drewnianą rączkę. Spoglądając na Eleanor, rzekł:

- Zostań, jak chcesz, potem możesz sprzątnąć.

Ale Eleanor już zdecydowała, że nie odejdzie. Francuzik patrzył na nią tak, jakby jego życie zawisło na włosku, i nie mogła go opuścić w takiej chwili. Gaines ułożył nogę, upewniając się, że środek kłoca znalazł się tuż za kolanem, i przytrzymując ją wielką łapą,

przyłożył ząbkowane ostrze do zielonej i spurpurowiałej skóry. Ten gest dziwnie skojarzył się Eleanor z przyłożeniem smyczka do strun skrzypiec. Zrobił głęboki wdech. Pociągnął piłę ku sobie i w odwrotnym kierunku.

Fontanna krwi trysnęła w powietrze i Francuzik krzyknął, wypluwając knebel. Rzucił się całym ciałem, ale lekarz przycisnął narzędzie i zanim ucichł pierwszy krzyk, kolejny raz pociągnął piłę, napierając na nią całą siłą. Kość zatrzeszczała i pękła. Francuzik znów otworzył usta do krzyku, ale cierpiał tak straszliwie, że nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Odcinany fragment był już prawie luźny, trzymał się tylko na kawałku ciała, i doktor Gaines szybko się z nim uporał. Kolejne dwa ruchy piłą - tym razem towarzyszył im świst i chlupot - po czym noga nagle stoczyła się na zakrwawiony fartuch, a potem na buty. Nie zwrócił na to uwagi. Cisnął piłę na łóżko i opaską uciskową mocno owinął sikający krwią kikut. Francuzik zemdłał. Doktor oderwał poszarpane kawałki skóry, wyjął z klapy fartucha igłę i grubą, czarną nicią zaszył ranę. Skończywszy zabieg, zlał szczerze wódką szaleńczo podrygujący kikut i zwrócił się do Eleanor:

- Widzę, że jeszcze stoisz.

Nogi jej drżały, ale tak, nadal się na nich trzymała - choćby tylko po to, aby nie dać mu satysfakcji, że doprowadził ją do omdlenia.

- No, to teraz jest twój, możesz się nim zająć - powiedział lekarz, wycierając ręce o fartuch. - I pozbadź się tego - polecił, kopiąc odciętą nogę noskiem buta. Odwrócił się i wyszedł z sali. Wszystko to nie trwało dziesięciu minut.

Taylor i Smith zostali, pozbierali narzędzia i złożyli parawan, po czym przyłożyli ręce do czoła na znak pożegnania i ruszyli ze stolikiem.

- Zaraz następny - usłyszała słowa Taylora.

- To będzie krótka robótka - dodał Smith.

Prycza tonęła we krwi, podłoga zrobiła się od niej śliska, ale najpierw Eleanor musiała się pozbyć odciętego kawałka kończyny. Zdjęła prześcieradło, już do połowy zsunięte z łóżka, i owinęła nim nogę. Wrzuciła ten pakunek do kosza na odpadki, poszła po wiadro wody i szmatę, wróciła i zmyła podłogę. Słońce było wysoko i padające przez okno światło miało bladożółtą barwę. Zapowiadał się ładny dzień. Kiedy skończyła z podłogą, przypomniała sobie o przyniesionym odzieniu i chociaż za skarby świata nie chciała budzić Francuzika, bardzo zależało jej na tym, aby zdjąć z niego zawieszoną koszulę, umyć go i położyć w czystej pościeli. Przeszedł straszliwą mękę, nie powinien się ocknąć w koszmarnym brudzie. Najłagodniej, jak mogła, uniosła jego ramiona z materaca. Głowa bezwładnie opadła mu w tył. Miał zimną skórę. Sine wargi.

- Panienska wybaczy... - zagadnął ją żołnierz z sąsiedniego łóżka. Spojrzała na niego, nie wypuszczając Francuzika. - Coś mi się mocno zdaje, że on już trup.

Położyła Le Maître'a i przyłożyła rękę do jego serca. Niczego nie poczuła. Przyłożyła ucho do piersi i nie usłyszała niczego. Oparła się o ścianę. Ptaszek przysiadł na parapecie za jej głową. Wesóło śpiewał. Dzwon na wieży wybił godzinę i Eleanor wiedziała, że panna Nightingale niebawem zacznie jej szukać.

ROZDZIAŁ 36

16 grudnia, 17.00

Michael zdawał sobie sprawę, że skoro drzwi do pokoju Charlotte są o tej porze zamknięte na klucz, to biedna kobieta bardzo potrzebuje snu i pewnie usiłuje w dzień nadrobić zaległości, ale naprawdę nie miał wyboru.

Zapukał, a gdy nie usłyszał odpowiedzi, ponowił pukanie, tym razem głośniej.

- Zaczekaj, zaczekaj - odparła w końcu.

Rozległo się szuranie kapci. Otworzyła drzwi. Miała na sobie sweter w reniferki i obwisłe purpurowe spodnie od dresu z logo Northwestern University. Kiedy zobaczyła, że to on, powiedziała:

- Ostrzegam, właśnie walnęłam xanax.

Była tak zaspana, że jej uwierzył.

- Jesteś nam potrzebna. Musisz kogoś przebadać.

- Kogo?

Jak miał jej to powiedzieć, by nie wzięła tego za głupi dowcip?

- Pamiętasz tamtą kobietę? Tę zamrożoną w lodzie?

- Tak - potwierdziła, tłumiąc ziewnięcie. - Znalazłeś ją?

- Razem ją znaleźliśmy - powiedział Michael. - I rzecz w tym, że wróciła.

- Do bazy?

- Do życia.

Charlotte stała, bezmyślnie drapiąc paznokciami policzek.

- Coś powiedział?

- Ona żyje. Śpiąca Królowna się obudziła. Żyje.

Z wyrazu twarzy lekarki Michael zgadywał, że jednak wzięła jego słowa za żart, na dodatek głupi.

- Po to mnie obudziłeś? - spytała. - Dlatego że miałam przez cały dzień urwanie głowy i...

- Mówię prawdę. Nie zalewam. - Patrzył jej prosto w oczy, tak by nie tylko mogła się przekonać, że mówi szczerze, ale również, że wcale nie ma syndromu wielkich gał. Że mówi najszczerszą prawdę.

- Nic nie rozumiem - wyznała, stopniowo dochodząc do siebie - ale teraz już mnie obudziłeś. Gdzie to niezwykle zjawisko?

- Obok... w gabinecie zabiegowym.

Michael usunął się jej z drogi, gdy ruszyła do drzwi obok, chwiejąc się z boku na bok, nadal trochę nieprzytomna. Gdy Charlotte i podążający za nią Michael weszli do gabinetu, Lawson, który przestępował z nogi na nogę w poczekalni jak szczęśliwy tatuś oczekujący na porodówce, nic nie powiedział.

Eleanor spoczywała na stole operacyjno-zabiegowym jak trup na katafalku. Ręce skrzyżowała na piersiach. Pomarańczowa kurtka była przewieszona przez oparcie krzesła. Kobieta miała na sobie granatową staromodną suknię, z białą broszką na gorsie. Oczy zamknęła, ale nie spała. Płytko oddychała przez rozchylone usta.

I Michael zobaczył, że Charlotte w tym momencie całkiem oprzytomniała.

*

Pierwszą myślą Charlotte było: Weź się w garść.

Ta młoda kobieta - kimkolwiek była - wygląda identycznie jak tamta w lodzie.

- Zemdlała godzinę temu - poinformował ją Michael - kiedy staraliśmy się ją namówić, żeby wyszła ze starego kościoła przy stacji wielorybniczej.

Ze stacji wielorybniczej? Tamtej starej, porzuconej stacji wielorybniczej? Tę dziewczynę - ile mogła mieć, dziewiętnaście, dwadzieścia lat? - leżącą teraz tu w ciuchach sprzed z górą stu lat? To wszystko nie miało cienia sensu. Charlotte przysięgła sobie w duchu, że dwa razy się zastanowi, zanim znów zażyje ten cholerny xanax. Wzięła kobietę za przegub i sprawdziła puls. Był równy, ale słaby; jej palce przypominały zamrożone paluszki rybne.

- Tak przy okazji, nazywa się Eleanor Ames.

Charlotte spojrzała na jej twarz - piękną twarz kojarzącą się z dziewiętnastowiecznymi portretami, które oglądała w Art Institute of Chicago. Rysy miała delikatne i wyrafinowane, brwi cienkie i sklepione - sprawiała wrażenie eterycznej, nierealnej, jakby w istocie wyszła z obrazu, jakby była stworzoną z miłością woskową figurą. Czymś, co nie jest całkiem rzeczywiste.

Skup się, powtórzyła sobie Charlotte. Skup się tylko na tym, co masz zrobić. Nie daj się rozproszyć rzeczom, których nie kapujesz. To była nauka, taka sama jak na oddziale ratunkowym.

- Eleanor - rzekła, pochylając się - słyszysz mnie?

Powieki kobiety zatrzepotały.

- Jestem doktor Barnes. Charlotte Barnes. - Obejrzała się na Michaela. - Mówi po angielsku?

Michael energicznie pokiwał głową.

- Jest Angielką!

Po krótkiej chwili Charlotte przyswoiła sobie tę informację.

- Mogę cię prosić, żebyś otworzyła oczy?

Głowa Eleanor lekko odwróciła się na podpórce, otworzyła oczy. Patrzyła na Charlotte z wyrazem dezorientacji i zmieszania, mrugając powiekami i biegając wzrokiem od reniferków do szerokiej twarzy i z powrotem.

- Dobrze - powiedziała zachęcająco Charlotte. - Bardzo dobrze.

Poklepała Eleanor po ręce.

Ale jeśli to nie tamta kobieta z lodu, nie Śpiąca Królowna, to kim jest? pytała się w duchu. I jak się tu dostała... na biegun?

Odpędziła te myśli. Skup się, powtórzyła sobie nie wiadomo który raz.

- Zmierzymy ci temperaturę i raz-dwa poczujesz się lepiej.

Stetoskopem osłuchiwała serce i płuca. Wiktoriańska suknia zalatywała wonią wodorostów i chłodem.

Jakby długo pływała pod wodą, pomyślała Charlotte.

Kończąc pobieżne badanie, poprosiła Michaela, by poszedł do stołówki po „coś fajnego i ciepłego, może gorącą czekoladę”. Zachowywała ostrożność i unikała wszystkiego, co mogłoby wstrząsnąć pacjentką o wrażliwości z minionej epoki. Bez względu na to kim naprawdę była i skąd się pojawiła, tkwiła w innych czasach, choćby nawet tylko myślami. Charlotte miała kiedyś pacjenta, który się uważał za papieża, i zawsze pamiętała, by zwracać się do niego „Wasza Świątobliwość”. Jak należało oczekiwać, Eleanor wydawała się nadzwyczaj zdumiona, gdy Charlotte założyła jej mankiet ciśnieniomierza i potem, gdy zaświeciła jej w oczy latarką. Przyglądała się lekarce z coraz większą świadomością i rosnącym niepokojem. Charlotte zastanawiała się, co też sobie o niej myśli - wielkiej Murzynce w dziwnym wzorzystym swetrze, purpurowych spodniach, noszącej na głowie rozwichrzoną kitę warkoczyków?

- Jesteś... pielęgniarką? - w końcu szepnęła.

No proszę, mogło być gorzej, pomyślała Charlotte. Faktycznie ma angielski akcent.

- Nie, jestem lekarką.

- Ja jestem pielęgniarką - oświadczyła Eleanor, kładąc na piersi bladą rękę.

- Ach, tak? - powiedziała Charlotte, szykując się do pobrania krwi. Była zadowolona, że dziewczyna się odezwała.

- Moją przełożoną jest panna Nightingale.

- Co ty powiesz? - spytała mechanicznie Charlotte, zanim te słowa naprawdę do niej dotarły. Eleanor wygłosiła je takim tonem, jakby chciała zrobić wrażenie. I rzeczywiście zrobiła.

Charlotte uniosła igłę do światła i powiedziała:

- Czekaj... Co? Florence Nightingale?

- Tak - odparła Eleanor, najwyraźniej uradowana, że to nazwisko jest nadal znane. - W szpitalu przy Harley Street... a potem na Krymie.

Florence Nightingale? Pani z lampką? Z... którego to? Historia nigdy nie była ulubionym przedmiotem Charlotte. To musiało być... ależ... sto lat temu? Mniej więcej?

Skup się, znów zgromiła samą siebie Charlotte. Skup. I nie rób niczego, co może zaniepokoić pacjentkę, zbić ją z tropu i wyprowadzić z równowagi.

- W takim razie, panno Ames, przebyła pani bardzo długą drogę, żeby się tu dostać. - Charlotte podwinęła rękaw sukni kobiety - materiał był szorstki i sztywny jak teatralny kostium. - Nawet w dzisiejszych czasach niełatwo tu dotrzeć. - Przetarła miejsce nakłucia spirytusem salicylowym. - A teraz naprawdę proszę się nie ruszać... poczuje pani lekkie ukłucie... i po kilku sekundach będzie już dobrze.

Wzrok Eleanor powędrował do igły. Przyglądała się pobieraniu krwi, jakby nigdy wcześniej nie widziała tej czynności. Naprawdę nie widziała? - zastanawiała się Charlotte. Czy to możliwe? Z czystej ciekawości zaplanowała, że gdy tylko skończy badania, sprawdzi wiadomości na temat Florence Nightingale. Z czystej naukowej ciekawości, rzecz jasna.

Dokładnie w chwili kiedy wyjmowała igłę, nadszedł Michael z kubkiem kakao na tacy i słodką bułeczką z borówkami oraz jajecznicą na szczelnie okrytym folią talerzyku. Gdy szukał miejsca, w którym mógłby położyć tackę, Charlotte otworzyła minilodówkę. Trzymano w niej wrażliwe na temperaturę medykamenty i torebki z osoczem. Złożyła w lodówce próbkę krwi. Zauważyła, że Eleanor śledzi każdy jej ruch. Jak na kogoś, kto utrzymywał, że liczy sobie kilkaset lat, niewątpliwie stawała się coraz bardziej żywotna.

Ale zamrożona przez wieki w lodowcu? Charlotte trudno było już w to uwierzyć, a tu pozostawała jeszcze jedna rzecz, nawet trudniejsza do pojęcia - jak i towarzyszące jej wyjaśnienie, każde wyjaśnienie - mianowicie kim była ta kobieta i jak przybyła na Cypel Adeli, jedno z najodleglejszych i najbardziej niedostępnych miejsc na świecie.

- Jesteś głodna? - spytał Michael, w końcu znajdując miejsce na tackę, stolik przejezdny, na którym podczas zabiegów trzymano narzędzia chirurgiczne. Przetoczył go do stołu i zapytał: - Dasz radę usiąść?

Obejmując wąż ramiona Eleanor, z pomocą Charlotte pomógł jej się podnieść. Kobieta spojrzała z uprzejmą obojętnością na buteczkę i kakao jak na coś, co już kiedyś widziała, ale nie potrafiła sobie przypomnieć gdzie.

- Spróbuj kakao - zaproponował. - Jest gorące.

Kiedy podniosła kubek do ust, Michael zawiadomił Charlotte:

- Murphy jest na korytarzu, chce z tobą pogadać.

- To dobrze, bo ja też chcę z nim pogadać.

Charlotte wzięła wyniki badania i pozostawiła tajemniczą Eleanor Ames Michaelowi. Prawdę mówiąc, wyszła z ulgą. Od wejścia do gabinetu zabiegowego miała dreszcze i podejrzewała, że nie była to tylko reakcja na lodowatą, kleistą skórę pacjentki ani na jej przemrożone ubranie. Po wielu latach nauki i praktyki w końcu spotkała się z czymś, co zupełnie przekraczało zasięg jej pojmowania i doświadczenia.

*

W pokoju zabiegowym panowała cisza, słychać było tylko gwizdzący za oknem wiatr. Eleanor odstawiła kubek - na górnej wardze pozostały jej wąsy po pianie - i spuściwszy oczy, powiedziała do Michaela:

- Przepraszam, jeśli w kościele sprawiłam ci ból.

- Zdarzyło mi się bardziej oberwać - odparł ze śmiechem.

Kiedy ten Michael i drugi mężczyzna - Lawson? - próbowali wyprowadzić ją z małej zakrystii, odmówiła i nawet, jak pamiętała, zasypała Michaela gradem uderzeń, które nie skrzywdziłyby muchy, tłukła go po torsie i ramionach. Zaraz potem, straciwszy w tym ataku wszystkie siły, łkając, osunęła się bezwładnie na podłogę. Michael i Lawson zanieśli ją protestującą, ale niezdolną do dalszego oporu na dwór i umieścili na siodle maszyny Michaela. Następnie wyruszyli z powrotem do tego obozowiska. Burza śnieżna następowała im na pięty.

- Wiem, że tylko chciałeś mi pomóc.

- Wciąż tylko o to mi chodzi.

Minimalnie skinęła głową i uniosła wzrok. Napotkała jego spojrzenie. Jak kiedykolwiek zdołałby pojąć, czy choćby wyobrazić sobie to, przez co przeszła? Odłamała kawałek bułeczki i rozejrzała się po pokoju.

- Gdzie jestem?

- W gabinecie lekarskim. W amerykańskiej stacji badawczej, o której ci mówiłem.
- Tak, tak... - zamruczała, w końcu zaczynając jeść bułkę.
- A to część Ameryki?
- Raczej nie. To... Cypel Adeli... część bieguna południowego.

Biegun południowy. Mogła sama na to wpaść. A zatem „Constellation” został tak bardzo zepchnięty z kursu, że dotarł do samego bieguna, najbardziej niezbadanego miejsca na Ziemi. Ciekawe, czy statek przetrwał podróż, a jeśli tak, to czy członkowie załogi się uratowali i opowiedzieli swoje przeżycia? Jednak czy w takim wypadku mieli na tyle śmiałości, aby opowiedzieć wszystko? Czy na przykład zabawiali swoich kompanów w tawernie historią o tym, jak to obwiązali dzielnego żołnierza i złożoną niemocą pielęgniarkę długim żelaznym łańcuchem i cisnęli ich do oceanu?

- Jajecznicza jest z żółtym serem - powiedział Michael. - Wujek Barney... nasz kucharz... tak zwykle ją podaje.

Starał się być miły. I był miły. Ale tak wielu rzeczy nigdy nie potrafiłby pojąć rozumem, a ona nie potrafiłaby ich przekazać - nikomu. Jak mogliby uwierzyć w tę odrobinę, którą już im powiedziała? Gdyby sama jej nie przeżyła, uznałaby ją za zbyt fantastyczną, aby była prawdziwa. Sięgnęła po widelec i spróbowała jajeczniczy. Była smaczna. Słonawa, nadal ciepła. Ten... Michael Wilde przyglądał się z zadowoleniem, jak je. Był wysoki, nieogolony, miał czarne włosy, rozwichrzone i niesforne jak czupryna jej młodszego brata, który uwielbiał puszczać latawce na kredowych wzgórzach.

Ale jej młodszy brat już od ponad stu lat spoczywał w grobie.

Umarł. Oni wszyscy umarli. Czuli się tak, jakby w jej głowie bił dzwon za zmarłych. Nie dało się przy tym myśleć. Wzięła do ust kolejną porcję jajeczniczy.

*

Chociaż Michael nadal miał tysiąc pytań na języku, nie chciał przerywać jej posiłku. Kto wie, jak wiele czasu minęło, od kiedy po raz ostatni jadła coś ciepłego? Lata? Dziesiątki lat? Więcej? Wszystko, co się z nią wiązało, od stroju po sposób zachowania, wskazywało na osobę z całkiem innej epoki.

Czy kiedykolwiek uda mu się to pojąć?

Tak więc to Eleanor przerwała milczenie, pytając:

- A co ludzie robią w takim obozowisku?

- Badają florę, faunę i zmiany klimatyczne. - Globalne ocieplenie? To może poczekać. Coś mu mówiło, że już miała dość nowych, trudnych do zrozumienia wiadomości. - Ja jestem fotografikiem. - Czy to będzie dla niej choć trochę zrozumiałe? - Robię takie jakby

dagerotypy. I piszę, do czasopisma. W Tacomie... to takie miasto w północno-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. W pobliżu Seattle. Ludzie w Seattle lubią się nabijać z Tacomy.

Czuł, że plecie trzy po trzy. Ale tak długo jak mówił, jadła i był szczęśliwy. Może nie pałaszowała, raczej robiła to mechanicznie... jakby sam proces jedzenia był czymś, co usiłowała sobie przypomnieć.

- A ta czarnoskóra? Jest lekarką? - spytała z nutą niewiary.

Dobra, pomyślał Michael, bez względu na to kim i skąd jest, naukę trzeba zacząć od rzeczy prostych.

- Tak. Doktor Barnes... Charlotte Barnes jest bardzo szanowaną lekarką.

- Panna Nightingale nie uważa, że kobiety powinny być lekarzami.

- Która panna Nightingale?

- Ależ oczywiście Florence Nightingale. - Powiedziała to tak, jakby przedstawiała swoje referencje, które w jakiś sposób miałyby uwierzytelnić jej słowa.

Michaelowi zebrało się na śmiech. To wszystko z każdą chwilą stawało się coraz dziwniejsze. Był ciekaw, czy Eleanor przedstawiłaby swoje świadectwo pracy Charlotte.

- Potrafi dzielnie stawać w obronie nas, pielęgniarek, ale podobnie jak ja żywi przekonanie, że nie każde męskie zajęcie przystoi kobiecie.

Zapowiadał się dłuugi proces nauczania.

Skubała bułeczkę podczas rozmowy. Choć wielokrotnie utknęli, to jednak poruszyli takie tematy, jak pogoda, nadciągająca burza śnieżna czy zadania wykonywane przez pracowników stacji. Od czasu do czasu Michael musiał się otrząsać, przypominać sobie, że rozmawia z osobą, która utrzymuje - fakt, że w sposób absolutnie wiarygodny - że urodziła się w dziewiętnastym wieku, z osobą, która niewątpliwie utonęła - bo jak inaczej zamarzłaby w podwodnym lodowcu? Pomyślał, że kiedyś musi zapytać ją o to wszystko wprost, ale tak się złożyło, że dopiero co się poznali, i nie potrafił znaleźć właściwych słów, chociaż był dziennikarzem i umiał zadawać trudne pytania.

Poza tym obawiał się jej reakcji, nie chciał sprowokować żadnego załamania nerwowego.

Eleanor pociągnęła łyżeczek kakao.

- Myśleliśmy, że na razie mogłabyś zostać tu, w gabinecie lekarskim - zaproponował. - Będziesz miała zapewnioną całkowitą intymność, a gdybyś potrzebowała doktor Barnes, będzie tuż obok.

- To dowód wielkiej troskliwości ze strony panów - odparła, delikatnie wycierając usta papierową serwetką, po czym obejrzała ją z ciekawością, szczególnie szlaczek.

- Moglibyśmy nawet znaleźć ci jakieś ubrania - zaproponował - chociaż nie mogę obiecać, że będą pasowały. - Była szczupła i drobna, więc wszystko pożyczone od Betty, Tiny czy Charlotte wyglądałoby na niej jak namiot.

- Wystarczy mi to, co mam na sobie - odparła - chociaż chętnie bym to wyprała i... - zarumieniła się - może się wykąpała?

Michael, Murphy i Lawson zdecydowali się umieścić Eleanor w gabinecie lekarskim, dokładnie odseparowaną, nie tylko ze względu na jej zdrowie i bezpieczeństwo, ale także z obawy, że gdyby inne trepy i zlewki zwietrzyły, kto przebywa pod dachem bazy, groziłby jej los celebrytki Antarktydy. Stałaby się obiektem natrętnej obserwacji. Michael wiedział, że przyszłe życie Eleanor nie będzie takie jak kogokolwiek innego. Kiedy tylko samolot dostawczy odwiezie ją z powrotem do cywilizacji - do „Dateline NBS”, „People” i wywiadów z Larrym Kingiem i Barbarą Walters - nawet się nie obejrzy, a padnie ofiarą mediów. Tak więc postanowił jej tego oszczędzić, najdłużej jak się da. Teraz tylko tyle mógł dla niej zrobić.

Nawet gdy zniósł Kristin z gór, ich nieszczęście stało się sensacją na lokalną skalę. To wystarczyło. Nie życzył nikomu, by media wdarły się w jego życie.

Eleanor skończyła kakao i schludnie złożyła serwetkę, wyraźnie zamierzając ją zachować. Wróciła Charlotte, niosąc świeżą szpitalną piżamę i frotowy szlafrok; zerknęła na Michaela, informując go bez słów, że Murphy wtajemniczył ją w plan gry, i od tej pory przejmuje Eleanor.

- W takim razie w porządku, widzimy się wszyscy jutro - powiedział Michael, zabierając tackę.

Eleanor wydawała się nieco zaniepokojona jego odejściem - pomyślał, że to nic zaskakującego, skoro został jej pierwszym znajomym w tym świecie. Uśmiechnął się i powiedział:

- Jutro rano znów będą świeże bułeczki. Obiecuję.

Wyraz zagubienia na jej twarzy zdradzał, że to niewielkie pocieszenie.

ROZDZIAŁ 37

26 października 1854 r., po północy

Sinclair nigdy się nie dowiedział, jak długo leżał na polu bitwy. Nie był też pewien, co go obudziło. Wiedział tylko, że księżyc świeci, jest pełnia, a gwiazdy okupują niebo. Wiał zimny wiatr, trzepotał porwanymi proporczykami i niósł ciche jęki żołnierzy i wierzchowców, wciąż nie chcących lub nie mogących umrzeć.

Jak on.

Nadal trzymał lancę, a gdy uniósł głowę, dojrzał, że drzewce zostało złamane w połowie, jednak dopiero po tym jak przeszło rosyjskiego kanoniera. Musiał opuścić głowę, by złapać oddech - mimo wiatru powietrze cuchnęło dymem i zgnilizną. Kurtkę i spodnie miał sztywne od krwi, ale wyczuwał, że to nie jego krew.

Kiedy znów dźwignął głowę, kilka stóp dalej zobaczył martwego Ajaksa. Gwiazdka na pysku była poplamiona krwią i ziemią. Sinclair z jakiegoś nieznanego mu powodu uznał, że koniecznie musi ją oczyścić. Darzył to stworzenie miłością, dzielnie mu służyło. Nie powinno pozostać w takim haniebnym stanie.

Ale nie wstał, nie mógł. Leżał, wsłuchując się w noc i rozważając, co się wydarzyło, jaki był koniec tego wszystkiego i czy jeśli zawoła, to przybędzie mu z pomocą przyjaciel czy też wróg, który go dobije. Oczy mu płonęły, gardło miał wyschnięte na wiór, więc obmacał pas, mając nadzieję, że natrafi na manierkę. Przeszukał ziemię wokół siebie i znalazł ostrogę, a potem wysoki but, do którego była przypięta. Przewrócił się na bok i zobaczył, że obmacywał trupa. Uchwycił jak linę tę obutą nogę i przyciągnął zabitego. Każda kość go bolała i ledwo się ruszał, ale przeszukał kurtkę - brytyjską mundurową kurtkę - i znalazł manierkę. Udało mu się ją odkręcić i pociągnął z niej długi łyk. To był dzin.

Ulubiony napitek sierżanta Hacha.

Przetarł oczy wierzchem dłoni i pochylił się nad trupem, ale armatnia kula zmiażdżyła mu twarz. Obmacał szyję, znalazł na niej łańcuszek z metalowym krążkiem i chociaż księżyc nie świecił dość jasno, aby dało się odczytać napis na medalu, wiedział, że to odznaczenie dla weteranów Kampanii Pendzabskiej. Wypuścił z ręki medal, opróżnił manierkę i znów się położył.

Zastanawiał się, ilu żołnierzy przeżyło szarżę.

Napływała zimna mgła, rozkładając się na ziemi. Z oddali od czasu do czasu dobiegał trzask pistoletowego wystrzału. Może byli to tylko pomocnicy kowali, skracający mękę okaleczonych koni. Lub ranni żołnierze, kończący własne życie. Wstrząsnął nim niekontrolowany dreszcz, choć mimo bijącego od ziemi zimna był rozgrzany i spocony.

Zanim usłyszał jakikolwiek dźwięk zdradzający zbliżanie się tamtej istoty, poczuł nieznaczną wibrację gruntu i znieruchomiał. Potrzebował sporo siły woli, aby opanować drżenie członków. To coś zbliżało się ukradkiem, pod osłoną upartej mgły. Miał wrażenie, że posuwa się na czworakach, z łbem przy ziemi... węsząc. Czy był to zdziczały pies? Wilk? Wziął płytki wdech i nie wypuszczał powietrza z płuc. A może to było jedno z tych niewidzialnych stworzeń, które w środku nocy krążyły wokół obozowych ognisk? Turcy nazywali je *Kara-kondjiolos*. Krwiopijcy.

Coś zatrzymało się teraz nad ścierwem Ajaksa, ale Sinclair widział jedynie uniesioną głowę i ostre obojczyki wiszące nad już gnijącym ciałem. Szablę miał przy boku, w pochwie, ale wiedział, że nawet nie ma co marzyć o dźwignięciu jej z ziemi, co dopiero że zdoła nią władać. Pomacał kaburę, ale okazała się pusta; pistolet zapewne wyleciał podczas upadku. Tak więc sprawdził trupa Hacha, jego pas, kaburę, aż znalazł pistolet. Na szczęście był, gdzie trzeba. Wyciągnął go najciszej, jak mógł.

Stwór wydawał ciche zawodzenie, ni to skrzek sępa, ni to jęk.

Sinclair odciągnął kurek pistoletu. Stwór zamarł. Sinclair widział gładką czaszkę unoszącą się znad ziemi, ciemne lśniąco ślepia.

Stwór ostrożnie przelazł przez zabitego konia... i zatrzymał się, uważnie patrząc na pooraną wybuchem twarz Hacha.

Ruszył dalej i Sinclair wyczuł rękę - a może łapę - w każdym razie coś o ostrych pazurach dotykające jego nogi. Leżał bez ruchu jak trup i poczuł pysk chciwie chlepcący krew, która pokrywała jego mundur. Wiedział, że może uda mu się oddać tylko jeden strzał, i musiał być pewien jego skuteczności. Zwierzę sunęło śladem krwi ku jego piersiom, poczuł cuchnący zdechłą rybą oddech, zobaczył spiczaste uszy. Gorący jezior przesunął się po ubraniu - Sinclair wytrzymał nawet i to - lecz gdy kły nagle roztargały mu ciało, wciągając krew, a wilgotny pysk przylgnął do rany i zaczął ją ssać, drgnął.

Stwór cofnął gwałtownie łeb i Sinclair po raz pierwszy zobaczył jego oblicze, chociaż nigdy nie potrafiłby go wiernie opisać. Najpierw pomyślał, że to człowiek - oczy wyrażały inteligencję, usta były wygięte, czoło okrągłe - lecz czaszka okazała się dziwnie wydłużona, a cienka skóra napinała się mocno na wychudłych, skrzywionych grymasem rysach.

Sinclair wycelował drżącą ręką i strzelił.

Stwór zaskrzeczał piskliwie i wstrząśnięty poderwał rękę do rozerwanego ucha. Spojrzał z oburzeniem i wzdargą na swego krzywdziciela, ale się wycofał.

Sinclair zdołał się podnieść. Stwór nadal się cofał, skulony, ale Sinclair przysięgłby, że miał na ramionach bramowaną futrem kurtkę jak lansjer czy huzar.

Co to było?

Sinclair przetoczył się na bok i chciał zawołać, ale z jego gardła wydobył się jedynie ledwo słyszalny dźwięk. Mgła wirowała wokół znikającego rabusia, który wydarł płamę w bielejących oparach. Sinclair mocno ścisnął pistolet i strzelił w jej kierunku.

Dosłyszał ostrożne stąpanie, zbliżające się z innej strony.

- Kto tam strzela? - spytał jakiś głos z akcentem londyńskiego ulicznika. Lampa zatoczyła łuk nad ziemią. - Anglik?

Żółte światło lampy padło na twarz Sinclaira - udało mu się wymamrotać popękkanymi, zakrwawionymi ustami:

- Porucznik Copley. Z Siedemnastego Lansjerów.

16 grudnia, 18.00

Teraz Sinclair pomyślał, że jeśli przeżył tamto - nieszczęsną szarżę Lekkiej Brygady, noc na polu bitwy - to czy było jeszcze coś, czego by nie przeżył? Zwłaszcza z Eleanor u boku.

Prowadząc sanie, polegał całkowicie na nieomyłnej psiej orientacji w terenie, która pozwalała zwierzętom znaleźć drogę do stacji wielorybniczej. Jemu pozostało tylko kulić się na płozach, kryć twarz w kapturze i trzymać się uchwytów. Psy szerokim łukiem dwukrotnie ominęły świeżo otwarte szczeliny - sam raczej by ich nie spostrzegł, ale zwierzęta zdawały się być świadome ich istnienia. Zamierzał wynagrodzić je szczerze pasami tłuszczu i mięsa wiezionej na saniach ubitej fokii.

Uprzednio skierował się tak daleko na północ, jak uznał za bezpieczne i rozsądne, szukając śladu ludzkiej obecności, lecz obawiał się, że zaiste trafili na koniec świata. Pamiętał, że dawno temu „Constellation” żeglował na południe, popychany nieubłaganymi wiatrami, mając za towarzystwo jedynie krążącego nad rejami samotnego albatrosa, i z tego wszystkiego co teraz zoczył, wnioskował, że trafił z Eleanor w miejsce tak dalekie, tak mroźne i tak niegościnne, że mógł to być jedynie sam biegun... najbardziej znieawidzone, budzące największy lęk miejsce na Ziemi.

Ale ta foka mogła go uratować. Widział, że Eleanor traci siły, i wiedział, że zawartość butelek jest stara, nadpsuta i daleko jej do mocy, którą niegdyś miała. Biorąc pod uwagę jej pochodzenie i tak dziwne, że w ogóle miała jakąkolwiek skuteczność; w trakcie podróży przez Europę mógł wysysać krew jedynie z trupów, które znalazł na polach bitewnych i w kryptach. Wybrał się na poszukiwanie świeżego mięsa, świeżej krwi, choćby tylko juchy, i znalazł ją między wyblakłymi szkieletami i smaganymi wiatrem skałami nabrzeża. Tam foki z przyjemnością wylegiwały się w zimnym blasku słońca, rozłożone pośród niezliczonej ilości połamanych kości jak tłumy plażowiczów w Brighton pośród koszy i leżaków. Ominął wielkie sztuki, niewątpliwie samce, z których jeden trąbiąc i kołysząc się na boki, ruszył ku niemu, i wybrał samicę o brązowej sierści i długich czarnych wąsach. Leżała samotnie pod rozległym łukiem wielorybiego kręgosłupa i gdy się do niej zbliżył, nie okazała lęku. Przeciwnie, w ogóle nie zareagowała, patrzyła obojętnie, gdy dobywał szablę z pochwy. Stał nad nią, obejmując ją nogami jak leżącego konia. Patrzyła na niego wylupiastymi szklistymi ślepiami, gdy próbował ustalić, gdzie ma serce. Chciał, aby rana była mała, a cios dokładny, tak by krew nie wylała się na zewnątrz, lecz pozostała w ciele. Dotknął sztychem wybranego miejsca - dopiero wtedy nieco zaintrygowana foka obejrzała się na lśniące ostrze - po czym wbił go, napierając na szablę całym ciężarem. Ostrze weszło i osiadło w zmarzlinie. Przyszpilone zwierzę tylko rzucało łbem i ogonem. Nie wyciągnął szabli, wstrzymywał krwotok i po chwili foka przestała się miotać. Zległa nieruchomo.

Podczas gdy inne stworzenia przyglądały się temu, nadal nie okazując żadnych obaw - i zupełnie nieprzejęte tym, co tuż przed chwilą spotkało ich towarzyszkę - wytarł szablę o śnieg i zaciągnął ubite zwierzę do sań. Mieli zapasy na jakiś czas... chociaż przyszłość jego i Eleanor malowała się w niewiele weselszych barwach niż do tej pory.

Nie był marynarzem, ale że po Bałakławie ukrywał się ponad dwa lata, nauczył się znakomicie rozpoznawać pogodę. Wyczuwał, że temperatura, już bezlitosna od jakiegoś czasu, spada jeszcze niżej, a niebo na dalekim horyzoncie z każdą chwilą ciemnieje, staje się coraz groźniejsze. W normalnych warunkach dobrze się orientował w terenie - nieraz doradził dowódcy regimentu obrać właściwy kierunek - ale w tym przeklętym zakątku świata ta umiejętność całkowicie go zawodziła. Nie było nocy, nie było gwiazd i nie było dnia - takiego dnia, jaki znał; jak miał ocenić pozycję słońca, skoro nieprzerwanie wisiało w jednym punkcie nieba; co dawało śledzenie ruchu cieni, skoro ledwo się przemieszczały? Zaś co się tyczy charakterystycznych punktów terenu, to czasem dostrzegał czarny górski grzbiet - w głębi łądu, zbyt odległy, aby dało się do niego dotrzeć - wijący się przez rozległą równinę jak blizna na gładkim, białym policzku. Ale to było wszystko.

Kiedy ruszył z powrotem, zmiany pogody nabrały jeszcze gwałtowniejszego tempa niż do tej pory, burzowe powiewy miały saniami i psy często musiały biec prosto pod wiatr. Na szczęście oprócz kurtki mundurowej miał na sobie nową czerwoną kurtę, tę z białymi krzyżami na rękawach i plecach, którą zabrał z psiej zagrody, i skulony mógł się ukryć za skrzynią sań. Kolana rozbolały go wściekle, ale prostując się, ryzykował, że huragan zdmuchnie go z płóz. Poza tym martwił się o Eleanor; nie wiedział, w jakim stanie ją znajdzie. Niechętnie ją zamknął, ale bał się, że zrobi sobie krzywdę. Nie potrafił zgadnąć, czy jest przy zdrowych zmysłach, czy chwilowo nie.

Z doświadczenia wiedział, że gorączka przychodzi i odchodzi jak ataki malarii, na które cierpiał Hatch, lecz wiedział również, że straszliwe pragnienie nigdy nie ustaje. Nie dawało spokoju, czasem drążąc duszę niczym podziemny strumień skałę, czasem wynurzając się jak gejzer i bezwzględnie żądając zaspokojenia. To doprawdy niezwykle, że Eleanor - wątła jak źdźbło trawy nawet w najlepszych czasach i jakże młoda - potrafiła wytrzymać jego nieznużony napór. Ich nieszczęście było zarazem ich zbawieniem, tarczą przed setkami cielesnych dolegliwości, a także przekleństwem trzymającym na wieczność w szponach ponurej władzy, wyzwolicielem i ciemńycielem. Czasem powątpiewał, czy aby Eleanor jest chętna, a choćby tylko gotowa wieść taką egzystencję. Lecz był pewien, że potęga jego własnej woli wystarczy im obojgu. Bez względu na to czy takie było jej życzenie czy też nie, nie potrafiła się obejść bez tego, co jej przynosił - a przede wszystkim nie potrafiła się obejść bez niego. Pokrzykiwał na psy, poganiał je, lecz wichura porywała słowa i ciskała je z powrotem w jego dzwoniące zęby.

ROZDZIAŁ 38

16 grudnia, 20.15

Michael wyszedł z gabinetu lekarskiego, mając kompletny mętlik w głowie. To wszystko było niewiarygodne i zdumiewające. Nie do pojęcia. Czy naprawdę rozmawiał z kimś, kto od ponad stu lat tkwił zamrożony w lodzie, kto żył, zanim on sam w ogóle przyszedł na świat?

Powiedział sobie, że musi się uspokoić. Musi podejść do tego logicznie. Krok po kroku. I pierwsze kroki, które zrobił, trzymając się mocno liny rozciągniętej między modułami, zaprowadziły go za pracownię glaciologiczną. Wiedział, że Danzig gdzieś tam jest, ale czemu się nie upewnić, że trup spoczywa właśnie tam, gdzie go złożono? Niewątpliwie Murphy już to sprawdził, ale Michael musiał się przekonać na własne oczy, że jest tak a nie inaczej. Przynajmniej będzie pewien jednego, bez żadnych wątpliwości, a jeśli w tej chwili było na tym świecie coś, czego potrzebował bardziej niż wszystkiego innego, to pewności. Co do czegoś. Czegokolwiek.

Im bardziej rzeczywistość stawała dęba, tym bardziej był zdecydowany chwycić ją za uzdę.

Z ulgą stwierdził, że w pobliżu nie ma Betty ani Tiny. Ostrożnie zszedł po lodowych stopniach do piwnicy, w której złożono ciało Danziga. Plastikowy wór na ciało był rozdarty i leżał w strzępach na lodowym postumencie. Ten obraz nieuchronnie skojarzył mu się z jakąś upiorną wersją zmartwychwstania, Jezusem wstającym z grobu i zostawiającym za sobą tylko całuny.

Kiedy się wdrapał z powrotem na powierzchnię, odkrył, że skrzynia po osoczu jest pusta. Gniazdo ze strużyn pozostało nietknięte, lecz dojrzał w nim tylko kilka szarych piórek. Ptak zniknął. Michael wyjął z kieszeni parę kawałków kotletów - zdobył je, zabierając kolację dla Eleanor - i wrzucił je do skrzyni na wypadek, gdyby ptak wrócił. To był tylko wydrzyk, hołota Antarktydy, jak mówiono, ale Michael wiedział, że zatęskni za maluchem.

Z opuszczoną głową pokonał drogę powrotną. Mijając salę klubową, usłyszał wesołe głosy i dźwięki pianina. Normalnie poszedłby tam i dołączył do reszty, ale nie teraz. W tej chwili chciał tylko usiąść w samotności i pomyśleć.

Na szczęście Darryla nie było w pokoju. Michael zaciągnął zasłony okna i włączył stolikową lampkę z rzadko tu spotykaną zwykłą żarówką, „wyswobodzoną” z małego saloniku na końcu korytarza. Zrzucił buty i przepocone skarpety, postawił stopy na gęstej wykładzinie. Do roboty. Musiał poświęcić jej trochę czasu; ostatnio zbyt się obijał. Wziął z półki w szafie butelkę szkockiej i nalał sobie na trzy palce. Postawił na stole laptopa i zaczął kopiować liczne zdjęcia zrobione po przybyciu na Cypel. Były to fotografie fok Weddella, rodzących podczas pierwszych dni jego pobytu tutaj, i ptaków - śnieżnych petreli, a także innych drapieżców - odwiedzających stację. Na chwilę zawiesił palce nad klawiaturą, zastanawiając się, jak ułoży się los Olliego.

Obejrzał zdjęcia z kabiny otworu nurkowego, w tym kilka Darryla, wyglądającego w pełnym skafandrze płetwonurka, z którego wystawała tylko lśniąca czupryna, jak jeden z elfów Świętego Mikołaja. Na jednym ramieniu trzymał harpun jak oszczep. Potem była cała seria zdjęć Danziga i psów, niektóre pozowane, inne zrobione podczas przejazdu. A na jednym z nich Kodiak zlizywał z brody maszera kryształki lodu. Wybrał najlepsze i przerzucił je do osobnego folderu. Skopiował następne i nagle spojrzał prosto w twarz Śpiącej Królownie.

Lub Eleanor Ames, jak teraz wiedział.

Miała otwarte oczy i patrzyła zza grubej warstwy lodu. Powiększył zdjęcie i jej zielone tęczęwki nabrały jeszcze większego wyrazu.

Miał wrażenie, że spoglądają dokładnie na niego, a on nie patrzy na zdjęcie, ale na żywą Eleanor. Jakby spoglądał przez otchłań czasu i zatokę między życiem a śmiercią. Pociągnął kolejny łyżeczek whisky. Czy to możliwe?

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej i zatrzęsł ścianami modułu. Zasłony się poruszyły; powinien szczelniej zamknąć okno.

Michael rozsiadł się wygodniej i ślęczał nad zdjęciem, rozważając, co teraz porabia Eleanor. Śpi czy nie może zasnąć, przerażona tym nowym więzieniem, w którym się znalazła?

Wydało mu się, że coś słyszy - jakby wyjący wiatr przyniósł ludzki krzyk. Wstał, rozsunał zasłony, osłonił ręką oczy i wyrzwał na dwór, ale w wirującym śniegu nie dało się niczego dojrzeć. Za to akurat był wdzięczny pogodzie. Co zrobiłby, gdyby się pokazał Danzig...

Mocniej dokręcił korbkę okna.

I znów usłyszał krzyk. Tym razem przysięgłby, że to jakiś chrapliwy głos wywrzaskiwał niezrozumiałe słowa. Ale nawet gdy zgasił lampę i znów wyjrzał na dwór, nie dojrzał niczego.

No, niech mnie, pomyślał, zasuwając szczelnie zasłony, ta szkocka ma więcej procentów, niż się zdaje.

Opadł z powrotem na krzesło i jeszcze raz spojrzawszy na Eleanor, otworzył ujęcia porzuconej stacji wielorybniczej. Zardzewiały wrak „Albatrosa” rozkładał się na plaży, stopy pobielających kości leżały porozrzucane między skałami nabrzeża, płyty nagrobkowe sterczały pod dziwnymi kątami na cmentarzu. Zasłony kolejny raz zafalowały, ale Michael wiedział, że to nie sprawa nieszczęlnego okna. Ktoś musiał otworzyć drzwi na końcu korytarza i jak zwykle przeciąg sięgnął aż do łazienek i sauny. To pewnie był Darryl i Michael z góry układał sobie, co powie - a jeśli chodziło o znalezienie Eleanor, to czego nie powie - wsłuchując się w odgłos mokrych butów na podłodze korytarza. Zamknął folder w komputerze w tej samej chwili, w której kroki zatrzymały się pod drzwiami. Spodziewał się usłyszeć szcęk przekręcanego w zamku klucza Darryla - Murphy zarządził szczelnie zamykanie drzwi sypialni - ale w zamku nic nie zazgrzytało. Tylko gałka się poruszyła. Niewiele, bo zablokował ją zamek.

Widział pod drzwiami cień i słyszał dobiegający z korytarza oddech - ciężkie dyszenie. Nagle włosy zjeżyły mu się na karku. Powoli wstał i bosy podszedł na palcach do drzwi. Dotknął gałki w tej samej chwili, w której znów ktoś nią szarpnął; przytrzymał ją mocno i przyłożył ucho do drzwi. Były z cienkiej sklejki i z całego serca pożałował, że to nie solidne dębowe dechy. Strumyczek zimnej wody przeciekł pod drzwiami i dotknął jego palców u nóg.

Gałka znów się przekręciła, tym razem w drugą stronę, ale drzwi nadal nie ustępowały. Michael starał się wstrzymać oddech.

Usłyszał głęboki wydech i szelest zaszronionego ubrania. Przycisnął mocniej ucho do drzwi i oparł się o nie barkiem.

- Oddajcie... - wymamrotał głos - od-dajcie.

Michaelowi krew zastygła w żyłach; czekał, gotów zrobić wszystko, by zablokować drzwi, gdy z drugiego końca modułu - z łazienek - dobiegł go śmiech, a potem trzask ręcznika.

- Dorośnij! - krzyknął ktoś.

Zgrzyt gałki nagle ucichł, a cień pod drzwiami zniknął. Rozległa się seria szybko po sobie następujących odgłosów, jakie mogły wydawać mokre buty na suchej wykładzinie i po kilku

sekundach drzwi frontowe z drugiej strony modułu zatrzęsły się z hałasem. Drzwi sypialni drgnęły. Michael nadal trzymał gałkę. Rozległo się mruczenie Darryla:

- Cholerny klucz...

Michael puścił gałkę. Wykonała pełny obrót. Wszedł Darryl w szlafroku i klapkach, z ręcznikiem na szyi. Był zaskoczony widokiem Michaela stojącego tuż za drzwiami.

- Coś ty, robisz za portiera?

Michael obszedł Darryla i wystawił głowę na korytarz.

- Widziałeś tam kogoś?

- Co? - spytał Darryl, energicznie wycierając włosy. - Uhm, chyba ktoś wychodził. - Rzucił klucz na komodę. - Czemu pytasz?

Michael zamknął drzwi i zablokował gałkę. Lodowaty strumyczek na wykładzinie już wysychał.

Widząc otwarty laptop, Darryl spytał:

- Pracowałeś?

- No - potwierdził Michael, wyłączając komputer. - Pracowałem.

- Było coś ciekawego w Stromviken?

- Nie, nic nowego. - Michael się odwrócił, kryjąc twarz.

Darryl zauważył szklanę ze szkocką i poprosił:

- Też bym się napił.

Podczas gdy Michael napełniał drugą szklanę, Darryl rzucił ręcznik na komodę. Spadł, ściągając na podłogę szczotkę do włosów i jeszcze coś.

- Przepraszam - wymamrotał - zawsze byłem słaby w rzutach za trzy.

Pochylił się i pozbierał zrzucone rzeczy, ale z namysłem zważył w dłoni ostatnią z nich. Kiedy Michael podał mu szklanę, Darryl wręczył mu podniesiony przedmiot - naszyjnik z kłów morsa rozwinął się jak wąż w dłoni Michaela.

- Kiedy wrócisz do cywilizacji - powiedział Darryl - mógłbyś bez problemu odesłać to wdowie. Pewnie by się ucieszyła.

16 grudnia, 20.20

Kiedy Michael ją opuścił, lekarka zaprowadziła Eleanor do łazienki, pokazała, jak działa prysznic, i zostawiła wszystko, co potrzebne, na przykład wąski, miękki w dotyku cylinderek, z którego wypływała pasta do zębów, a także szczoteczkę o bardzo delikatnych, jasnych włoskach. Eleanor przez moment się zastanawiała, jakie też zwierzę może mieć taką sierść.

- Gdyby coś jeszcze było ci niezbędne, jestem tuż obok - powiedziała lekarka.

Potem Eleanor została sama - sama w łazience, która nie przypominała niczego, co kiedykolwiek widziała, pierwszy raz od 150 lat mając świeże odzienie do przebrania i nie wiedząc, co ją jeszcze spotka. Albo Sinclaira. Nie miała pojęcia, gdzie przebywa. Czy nadal rozpoznawał teren? Polował? A może zadymka przyłapała go z dala od kościoła i usidliła w nieznanym otoczeniu?

A może wrócił i zastał odsuniętą zasuwę, pustą zakrystię? Wtedy z pewnością się domyślił, że ktoś musiał ją najść. Wczuła się w jego sytuację, wyobraziła sobie, co by przeżyła, wiedząc, że został jej odebrany, i poczuła ostre ukłucie w sercu. Od dnia, w którym przyniesiono go z pola bitwy, a ona zobaczyła jego nazwisko na liście świeżo przyjętych, byli połączeni więzami, których nie potrafiłaby opisać nikomu i nigdy.

Jak ktoś obcy mógłby ją zrozumieć?

Znalazła go w jednej z większych sal dla gorączkujących. Poplamione muślinowe zasłony zwisały z wygiętych prętów, a ponieważ niewielu lekarzy, czy nawet sanitariuszy, było gotowych narazić się na ryzyko zakażenia, nie znalazła nikogo, kto wskazałby jej, gdzie on leży. Ignorując żałosne wołania o wodę czy pomoc, brnęła przez salę, rozglądając się na wszystkie strony, aż... dostrzegła jasnówłosą czuprynę na słomianym zagłówku.

- Sinclair! - wykrzyknęła, biegnąc do jego boku.

Popatrzył na nią, ale nic nie powiedział... po czym się uśmiechnął. Ale to był senny uśmiech, mówiący, że Sinclair nie wierzy, że to naprawdę ona, uśmiech człowieka świadomie rozkoszującego się wizją.

- Sinclair, to ja - powiedziała, padając na kolana przy marnej przyczynie i ujmując jego bezwładną rękę. - To ja. Naprawdę.

Jego uśmiech przygasł, jakby dotyk nie umocnił, lecz osłabił jego kruche marzenie.

Przytuliła jego rękę do swego policzka, mówiąc:

- Jestem tu, a ty żyjesz. Nic więcej się nie liczy.

Wyrwał rękę, rozzłoszczony tym dalszym nagabywaniem.

Łzy stanęły jej w oczach, ale przeszukała salę, aż znalazła dzban mętnej wody - lepszej nie było - i wróciła, by przemyć mu czoło i twarz. Na wąsach miał zaschniętą krew i je też przemyła.

Leżący obok żołnierz, szkocki piechur, sądząc po resztkach munduru, złapał ją za rąbek sukni i poprosił błagalnie o łyk wody. Odwróciła się i ulała trochę z dzbana na popękane wargi Szkota. Nie był już młody, z pewnością dźwigał na karku czwarty krzyżyk. Miał połamane zęby i kredowego koloru skórę. Wiedziała, że niedługo pozostanie na tym świecie.

- Dziękuję, paniusiu - zamruczał. - Ale niech paniusia trzyma się z dala od onego. - Miał na myśli Sinclaira. - Złe się go ima.

- Odwrócił pobiełałą twarz, wstrząsany nagłym napadem kaszlu.

Delirium, pomyślała i odwróciła się do Sinclaira. Ale w ciągu tej niedługiej chwili, która minęła, od kiedy go znów ujrzała, jakby przetrzeźwiał na umyśle; teraz patrzył na nią świadomie.

- Mój Boże - uleciało mu z ust. - To naprawdę ty.

Łzy napłynęły jej do oczu. Pochyliła się i wzięła go w objęcia. Czowała skórę i kości przez cienką nocną koszulę, wyfasowaną ze szpitalnego magazynu, i już myślała o tym, jak wynieść mu z kuchni gorącą owsiankę i gdzie znaleźć pryczę jak się patrzy.

Był słaby i kruchy, ale nawet gdy mówił urywanymi zdaniami, potrafiła uzupełnić resztę. Nie chciała doprowadzić go do wyczerpania - a przy tym wiedziała, że czekają ją obowiązki - lecz zdawał się czerpać siły z jej obecności, tak więc myślała, że ma go zostawić samego, nawet na chwilę, napawała ją grozą. Kiedy w końcu musiała odejść, obiecała wrócić przy pierwszej sposobności; odprowadzał ją wzrokiem, aż rozdzieliły ich zwiewne niczym całun zasłony.

Nawet teraz, gdy przyglądała się sobie w nienagannie czystym zwierciadle łazienki, doskonale pamiętała wyraz jego twarzy, widziała go równie dokładnie jak swoje oblicze. Przekręciła kurki prysznic zgodnie z instrukcjami lekarki i włożywszy bieliznę do wiklinowego kosza, ostrożnie weszła pod gorący tusz. Woda wydostawała się z okrągłego urządzenia i zdawała się pulsować na jej ciele. Kostka mydła - zielonego, przedziwne! - leżała w płytkim zagłębieniu w ścianie. Pasta, której użyła do mycia zębów, miała posmak cytryny, a mydło woniało sosną. Czy w tym dziwnym nowym świecie nie było niczego wyzbytego smaku lub aromatu? Eleanor poddała się gorącym strumieniom opływającym ramiona, barki. Nie wiedząc, jak długo może bryzgać ta cudowna kaskada, włożyła pod nią głowę. Wszystko było tak niezmiernie obce, tak nieoczekiwane, jakby kolejny raz wylądowała na Krymie.

Woda niczym tysiąc drobnych kropelek deszczu bębniła po jej powiekach, przebiegając w dół szyi i piersi. Powoli weszła cała pod ciekącą strugę, aż poczuła ją na ciemieniu, drapującą długie kasztanowe włosy po obu stronach twarzy. To było jedno z najcudowniejszych doznań, jakiego kiedykolwiek zaznała, i stała tak długo, oparłszy rozpostarte dłonie o białe płytki, wchłaniając wodę jak herbaciany liść, a wokół jej stóp gromadziła się płytka kałuża. Po raz pierwszy od wieków czowała ciepło całego ciała i zadała sobie pytanie, czy jeśli stałaby wystarczająco długo i woda spływałaby nieskończenie, to ten wilgotny żar w końcu sięgnąłby jej serca i ukoił nieustający ból, towarzyszący jej od jakże dawna.

ROZDZIAŁ 39

17 grudnia, północ

Gdy Sinclair w końcu powrócił do kościoła, bił dzwon. Choć to tylko wiatr szarpał jego spiżowym sercem, dźwięk pomógł Sinclairowi i psom odnaleźć drogę w zadymce. Chwiejąc się na nogach, wszedł do środka, dźwigając na ramionach ubitą fokę. Uwolnione z uprzęży psy szalały wokół. Błyskawicznie dostrzegł otwarte drzwi zakrystii. Cisnął fokę na ołtarz, przeszedł do drzwi i zajrzał do środka.

Ogień w piecyku zgasł, a Eleanor zniknęła.

Stał jak wmurowany, oparty o ościeżnicę, ciężko dysząc. Możliwe, choć nieprawdopodobne, że znalazła jakiś sposób, aby odsunąć zasuwę i uciec. Ale dokąd?

I dlaczego?

- Eleanor...! - Wzywał ją raz za razem, ale odpowiadał mu tylko chór psich głosów. Zwierzęta weszły do nawy. Wbiegł na dzwonnice, łomocząc butami na schodach, i wyęzając wzrok patrzył w śnieżno-lodowy cyklon, ale ledwo dojrzał magazyny i szopy w dole. Nawet gdyby teraz wyruszył, to z powodu zamieci nie potrafiłby się zorientować, dokąd idzie i pewnie tylko kręciłby się w kółko. Jeśli wyszła na dwór przy tej pogodzie, nie miał co marzyć, że ją odnajdzie... ani że sam trafi z powrotem.

Wiedział, że nie pozostaje mu nic innego, jak czekać. Czekać, aż zamieć zelży. Chociaż skóra mu cierpła na samą myśl o tym, że zrobiła tak porywczy i niewybaczalny krok... że z własnej woli porzuciła ich wspólną drogę... było to prawdopodobne. Przy tym zdawał sobie sprawę z głębi desperacji Eleanor, sam jej posmakował... lecz w głębi serca nie mógł się pogodzić z jej odejściem. Przeszukał ich ubożuchną kwaterę, szukając znaku pożegnania, byle wiadomości, może wyrwanej z modlitewnika kartki. Ale nie znalazł niczego, a wiedział, że bez względu na to jak bardzo poddałaby się żalom i zgryzotom, nigdy nie rzuciłaby go ot tak, bez słowa. Znał ją zbyt dobrze, aby w to uwierzyć.

To pozostawiało jedyną możliwość... Porwano ją.

Wbrew woli.

Czy ludzie z obozowiska przybyli pod jego nieobecność i odjechali wraz z nią? Wszelkie ślady płóz już zniknęły, a ociekające wodą psy zatarły w kościele wszystkie ślady butów. Ale kto inny mógłby to być? I dokąd by trafiła jak nie do obozowiska?

A wreszcie - i ku temu zmierzały wszystkie jego myśli - jaki był najskuteczniejszy sposób ratunku?

Przeszkody, które się przed nim piętrzyły, były gigantyczne, zwłaszcza że nie potrafił przewidzieć końcowej rozgrywki. Nawet gdyby mu się udało odnaleźć i wyratować Eleanor, dokąd mogliby się udać na tym skutym lodem kontynencie? Miał wrażenie, że spoziera w głąb ciasnego wąwozu na nieuchronnie czekający go koniec, tak jak owego rzeźkiego październikowego przedpołudnia w Bałakławie. Lecz przypomniał sobie, że przeżył tamtą rzeź, a nawet gorsze wydarzenia. Niezależnie od tego jak ciemne chmury zgromadził nad nim los, zawsze udawało mu się przetrwać nawałnicę i unieść głowę.

I uznał złowrogo, acz trzeźwo, że zaiste dysponuje pewną przewagą. Kubek świeżej krwi jak kielich mszalny stał przy jego ramieniu, obok tomiku poezji, który przebył z nim całą drogę z Anglii na Krym, a teraz do tego posępnego miejsca. Otworzył go na chybił trafił. Opuścił wzrok na pozółkę, sztywne niczym pergamin stroniczki i przeczytał:

*Sam, sam, och, sam, na zawsze sam,
Sam na bezmiernym mórz wybiegu!
I nigdy ból mych dusznych ran
Żadnego nie wzruszył świętego.
Iluż to mężów, w chwata chwata!
Co trupim zwałem legło;
A śliskich płazów rój tysięczny
Żywię i żyłem ja, daremno.*

Chociaż większość ludzi znalazłaby w tych słowach boleśnie skąpe ukojenie, on czytając je, poczuł się pokrzepiony na duchu. Tylko poeta zdawał się rozumieć straszliwą prawdę jego sytuacji. Psy hałasowały, więc Sinclair wyciął kilka kolejnych pasków tłuszczu z leżącej na ołtarzu foki i cisnął je na podłogę. Zwierzęta rzuciły się na nie, ryjąc pazurami podłogę i szczekając zajadle.

Z tego wysokiego stanowiska za zbezczeszczonym ołtarzem Sinclair ogarnął wzrokiem swoje królestwo. Wyobraził sobie wielorybników, którzy niegdyś zajmowali te ławki, oblicza usmarowane tłuszczem i sadzą, nieznośnie brudne odzienia pokryte zeschlą krwią.

Wpatrywali się w ten właśnie ołtarz; odsłoniwszy głowy, słuchali kaznodziei sławiącego cnoty pośmiertnego żywota, nieogarnionych skarbów, które niebiosy szykują im w zamian za przeżywane dzień po dniu męki. Siedzieli tu, w tym opuszczonym kościele - w którym nawet prostacki krucyfiks był zbity byle jak - na zamarznętym bezludziu, otoczeni rozbieralniami tusz i szopami, w których wytapiano tłuszcz, stosami wielorybich flaków i górami kości, słuchając opowieści o białych chmurach, złotym blasku, nieogarnionym szczęściu i życiu wiecznym. O świecie, który nie cuchnie jatką... Jakże ich oszukano, pomyślał.

Tak jak on kiedyś został oszukany opowieściami o sławie i chwale. Leżąc na pryczy w Szpitalu Koszarowym, męczony rosnącym i niewytłumaczalnym pragnieniem, został popchnięty do czynu, którego od dawien dawna żałował, lecz którego nie dało się cofnąć. Żądza krwi zaszczerpiona przez piekielne stworzenie na polu bitwy pod Bałakławą okazała się nieodparta. Upatrzył sobie na ofiarę bezbronnego Szkota, zbyt słabego, aby zdołał się obronić.

Turcy powiedzieliby, że dołączył do przeklętych. Nie wadziłby się z tym potępiającym wyrokiem.

Jednakże następnego wieczoru, gdy Eleanor zjawiła się u jego boku, poczuł dziwny przypływ sił. Ochotę do życia. Oddychał swobodniej i widział wyraźniej. Nawet myśli miał bardziej poukładane.

Czyżby to tak objawiała się przynależność do gromady potępionych?

Lecz spoglądając na oblicze Eleanor, wyśledził niepokojące objawy; pierwsze zapowiedzi tajemniczej gorączki krymskiej, aż nazbyt dobrze mu znane oznaki; widział je niezliczoną ilość razy u wielu innych. Jego lęki się potwierdziły, gdy zakołysała się na nogach, rozlewając zupę, i sanitariusze musieli wyprowadzić ją z sali. Kiedy następnego wieczoru przybyła do jego boku Moira, nie Eleanor, wiedział, że stało się najgorsze.

- Gdzie Eleanor? - zapytał rozkazująco, unosząc się na łokciu. Nawet tak drobny ruch przyprawił go o ból; podejrzewał, że spadając z konia, złamał żebro czy dwa, jednak na to nie było medykamentu, a nie wątpił, że interwencja chirurga tylko by go zabiła.

- Dziś odpoczywa - odparła Moira. Unikała jego wzroku, stawiając przy pryczy talerz jeszcze ciepłej zupy i kubek mętnej wody.

- Mów prawdę - rzekł, łapiąc ją za rękaw.

- Panna Nightingale poleciła jej nabrać sił.

- Jest chora, dobrze mówię?

Widział jej niespokojny wzrok, gdy wycierała łyżkę o fartuch i wkładała ją do miski z zupą.

- Czy gorączkuje? Bardzo z nią źle?

Moira stłumiła łkanie i szybko odwróciła głowę.

- Jedz zupę, póki ciepła.

- Do cholery z zupą. Bardzo z nią źle? - Serce stanęło mu w piersiach, kiedy pomyślał o najgorszym. - Powiedz, że wciąż żyję.

Moira kiwnęła głową i wytarła łzy żalonym gałgankiem udającym chusteczkę do nosa.

- Gdzie ona jest? Muszę ją zobaczyć.

Moira potrząsnęła głową i powiedziała:

- Niby jak? Jest w kwaterach pielęgniarek i nie można jej ruszać.

- W takim razie ja do niej pójdę.

- Wolaliby, żebyś jej nie oglądał... w takim stanie. Nie pomożesz jej, bo jak.

- Mnie to sądzić.

Odrzucił dziurawy koc i chwiejnie dźwignął się na nogi. Świat wokół niego się zakołysał: brudne ściany, popstrzone przez muchy muślinowe zasłony, żalose postacie leżące nierównymi szeregami na całej podłodze. Moira objęła go w pasie i pomogła mu utrzymać równowagę.

- Nie dasz rady tam dojść - zaprotestowała. - Nie dasz!

Ale Sinclair wiedział, że da radę, i że Moira mu w tym pomoże. Rozrzucił słomę, z której zrobił był sobie poduszkę i wyciągnął spod niej kurtkę mundurową, wymiętą i brudną. Przy niechętniej pomocy Moiry jako tako się odział i chwiejnie ruszył do drzwi. Dwa niekończące się korytarze, jednakowo ciemne i zatłoczone, wiodły w przeciwnych kierunkach.

- Którędy?

Moira mocno ujęła go pod ramię i skierowała w lewo. Mijali sale pełne chorych i umierających - przeważnie milczących, czasem mamrocących do siebie pod nosem. Krzyżący w bólu lub delirium dostawali błogosławione dawki opium, ci, którzy im je dawali, mieli nadzieję, że umęczeni nieszczęśnicy już się nie ockną. Czasem mijani sanitariusze lub medycy spoglądali pytającym wzrokiem na przechodzącego oficera, wspieranego przez pielęgniarkę, lecz szpital był tak wielki, a jego pracownicy tak przeciążeni obowiązkami i odpowiedzialnością, że ich ciekawość nie wykraczała poza jedno spojrzenie.

Jako że szpital pierwotnie pełnił funkcję koszar, zbudowano go na planie niebywale rozległego kwadratu: na zamkniętym dziedzińcu mogły ćwiczyć wielotysięczne oddziały, a we wszystkich rogach stały wieże - kwatery pielęgniarek urządzono w północno-zachodniej. Sinclair musiał się mocno wspierać na pełnym ramieniu Moiry, gdy szli w górę wąskich kręconych schodów. Gdy dotarli na pierwszy podest, dostrzegli ruchomą plamę światła, coraz

bardziej się zniżającą. Moira szybko ukryła Sinclaira w płytkiej niszy. Gdy światło było już blisko, wyszła z niej, mówiąc:

- Bry wieczór, pani przyłożona.

Schowany w cieniu Sinclair dostrzegł, że to sama panna Nightingale z lampką oliwną w dłoni i czarną koronkową chusteczką na białym czepku.

- Dobry wieczór, panno Mulcahy - odparła. W świetle lampki wyraźnie odznaczały się białe mankiety, kołnierzyk i fartuszek.

- Spodziewam się, że wraca pani do boku przyjaciółki.

- No, wracam, pani przyłożona.

- Jak ona się miewa? Czy gorączka choć trochę ustąpiła?

- Nie widzi mi się, pani przyłożona.

- Przykro mi to słyszeć. Odwiedzę ją, kiedy skończę obchód.

- Dziękuję, pani przyłożona. Wiem, że byłaby wdzięczna.

Podczas gdy panna Nightingale poprawiała knot lampki, Sinclair wstrzymał oddech w ciemnym kącie.

- O ile dobrze pamiętam, zgłosiliście się razem do tej misji, czyż nie tak?

- Zgadza się, pani przyłożona.

- I we dwie z niej wróćcie. Tylko pamiętaj, aby więzy przyjaźni, choćby najsilniejsze, nie odciągnęły cię od ogólniejszego celu, który tutaj masz. Jak wiesz, jesteśmy... wszystkie... pod szkłem powiększającym.

- Jakżeby nie, pani przyłożona.

- Dobrej nocy, panno Mulcahy.

Szeleszcząc czarnymi jedwabiami, panna Nightingale podjęła drogę w dół, a gdy światło jej lampki zgasło, Sinclair wyszedł z cienia. Moira nie odezwała się słowem, lecz dała mu znak, by szedł za nią. Na następnym podeście usłyszał głosy kilku pielęgniarek, ze znużeniem plotkujących o minionym dniu - jedna opowiedziała o nadętym oficerze, który nakazał jej zaprzestać opatrywać rannego piechura, a w zamian przynieść sobie filiżankę herbaty - podczas gdy inne się myły. Moira przyłożyła palec do ust i poprowadziła go kolejne pół piętra wyżej, na sam szczyt wieży, do niewielkiego pomieszczenia z wysokim, wychodzącym na granatowe wody Bosforu oknem.

Moira unosząc suknię, podbiegła do łóżka i szepnęła:

- Patrz, kogom ci sprowadziła, Ellie.

Zanim Eleanor zdążyła odwrócić głowę na poduszce, Sinclair ukląkł przy łóżku i wziął ją za rękę - bezwładną, gorącą i spoconą.

Eleanor patrzyła gdzieś daleko i była dziwnie rozdrażniona; pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy, że przyszedł. Jak dobrze wiedział, gorączka zacierała granicę między zwidami i rzeczywistością.

- Skoro instrument jest niestrojny - powiedziała - nie należy na nim grać.

Moira spojrzała na Sinclaira, jakby potwierdzając, że Eleanor okresami traci przytomność.

- I odłóż nuty do skrzyni. Tu jeszcze zginą.

Powróciła do Anglii - może do rodzinnego domu, a może na plebanię, gdzie jak to mu kiedyś wyznała, chodziła uczyć się gry na fortepianie. Przycisnął jej dłoń do ust, ale wyrwała ją i pomachała nad kocem, jakby chciała przegonić rój much. Były w każdej sali szpitalnej, ale jak zauważył, nie tu, wysoko w nadmorskiej wieży.

Nie bardzo wiedział, jak się pozbyć Moiry. Nie mógł zrobić tego, co konieczne - co musiał zrobić, aby uratować Eleanor przed śmiercią - na oczach kogoś innego. Tymczasem Moira zanurzyła w wiadrze z wodą kawałek prześcieradła, wyjęła go i przetarła nim twarz Eleanor.

- Moiro, jak myślisz, znalazłabyś kieliszek portu?

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - odparła - ale spróbuję.

Nie była głupia, podała mu szmatkę i wycofała się z pomieszczenia.

W blasku księżyca Sinclair przyjrzał się dokładnie rozpalonej twarzy Eleanor. Jej zielone oczy błyszczały szaleńczym zachwytem. Nie była świadoma własnych cierpień; zapewne nawet nie przebywała duchem w tym miejscu. Opuścił jej ciało i wędrował drózkami Yorkshire. Sinclair obawiał się, że jej ciało niebawem również przepadnie. Widział setki żołnierzy bredzących, mrużących do siebie i śmiejących się tak jak ta oto istota, którzy nagle odwracali głowę do ściany i wydawali ostatnie tchnienie.

- Możesz mi coś zagrać - rzekł - na fortepianie?

Eleanor westchnęła i uśmiechnęła się.

- Co byś chciał usłyszeć?

Łagodnie zsunął z niej okrycie, uwalniając wezbrany pod welną żar rozgorączkowanego ciała.

- Sama wybierz.

- Lubię stare piosenki. Mogę ci zagrać *Balladę o Barbarze Allen*, jeśli chcesz.

- Bardzo chcę - rzekł, zsuwając koszulę z jej ramion. Zadrżała w powiewie z otwartego okna.

Sinclair pochylił nad nią głowę.

Palce Eleanor drgały, jakby pieściły klawiaturę, i rwącym oddechem nuciła pierwsze takty melodii.

Chociaż jej ciało było gorące, już pojawiła się na nim gęsia skórka. Położył dłoń nad jej piersią, nie dopuszczając nocnego powiewu. Nawet teraz, choć w powietrzu wisiały wonie kamfory i wełny, pachniała mu tak słodko jak łąka w letni poranek. A gdy zagryzł zęby na jej skórze, poczuł smak świeżego, jeszcze spienionego mleka.

Śpiewała prawie niesłyszalnym głosem:

- Och, matko, matko, złóż mi posłanie...

Czuł z lękiem, że to co zamierza uczynić, nigdy nie będzie mogło zostać cofnięte.

- Złóż mi je miękkie i skromne...

Ale jaki miał wybór?

- Miły mój życie swe złożył dziś dla mnie...

O świecie pożegnałaby się z tym światem. Objął ją ramieniem, czując dławienie w gardle.

- Ja dlań jutro poświęcę swoje...

A gdy przekazał jej To - przyssawszy się do mlecznobiałej skóry, mieszając swoją zatrutą ślinę z jej krwią - zadrzała, jakby nagle ukąszona przez osę i nagle urwała. Zesztywniała.

W chwilę potem, gdy uniósł głowę i usta wilgotne od straszliwego pocałunku, rozluźniła się i spojrzała na niego sennym wzrokiem, mówiąc:

- Ale to taka smutna piosnka. - Pogładziła czubkami palców jego złany łzami policzek. -
Może teraz zaśpiewam ci coś radosnego?

CZĘŚĆ IV

PODRÓŻ POWROTNA

Ku niebu wzrok. Jak się modlić, jak?!
Lecz wysechł źródł stów świętych,
Pokraczny jenom zrodził skrzek,
Serce popiołem nappełnił.

Zawarłem powiekę i zawartą miał,
Choć puls gałkami werblił,
Gdy niebo i morze, i morze, i niebo
Ciężarem na oku zległo
I pokład pokot trupi wypełniał.

Rymy sędziwego marynarza
Samuel Taylor Coleridge, 1798

ROZDZIAŁ 40

18 grudnia, 9.00

Kiedy Michael stanął przed gabinetem lekarskim, tupiąc butami i strzepując z nich śnieg, wyszła z niego Charlotte, przykładając palec do ust. Wzięła go pod ramię i zaprowadziła z powrotem do drzwi wejściowych.

- Nie teraz.

- U niej wszystko dobrze?

Z trudem ściągnęła gumowe rękawiczki.

- Wciąż jest niespokojna i ma lekką gorączkę. Podałam jej środki uspokajające i kroplówkę z glukozą. Najlepiej zostawić ją w spokoju.

Niespodziewanie dla siebie samego Michael poczuł wielki zawód. Odkąd uratował Eleanor, zabierając ją ze stacji wielorybniczej, wciąż miał przed oczami jej twarz, słyszał jej głos, pragnął poznać dalszą część jej przygód.

- Murphy zajrzał do mnie i przypomniał, że mam nie rozgłaszać, że ona tu jest.

- Też dostałem ten okólnik - powiedział Michael.

- Chodź - dodała Charlotte, narzucając na głowę kaptur.

- W tej chwili przyda mi się wielki kubek mocnej kawy wujka Barneya.

Podtrzymując się nawzajem, w silnych powiewach wiatru przeszli powoli rampą, a potem skierowali się do stołówki. Sztuczna choinka, obwieszona podniszczonymi ozdóbkami, stała zapomniana w kącie.

Darryl rządził przy stoliku w głębi, zając górną smażonego tofu (wujek Barney już ogłosił, że zamówił drogą radiową następny samolot z dostawą) i mieszanki warzywnej. Charlotte usiadła na ławce obok niego, Michael z tacą po przeciwnej stronie. Lekarka zebrała warkoczyki do góry - wyglądała, jakby miała na głowie ananasa.

Bez słowa hojnie posłodziła kawę i pociągnęła długi łyk.

- Wstałaś? - spytał Darryl. - Bo wybac, że ci to powiem, ale wyglądasz, jakbyś powinna zostać w łóżku.

- Dzięki za miłe słowa - odparła, odstawiając kubek. - Jak to się stało, że żona cię nie zastrzeliła?

Darryl wzruszył ramionami.

- Nasz związek jest zbudowany na szczerości.

Michael nie mógł się nie roześmiać.

- Co za świr - westchnęła Charlotte - kiedy pracowałam i mieszkałam w Chicago, alarmy samochodowe włączały się w środku nocy, sąsiedzi balangowali do czwartej nad ranem, a ja spałam jak niemowlę. Tu jest cicho i pusto jak w grobie, najbliższy parking jest tysiąc mil dalej, a ja nie śpię połowę nocy.

- Zaciągasz zasłonki przy łóżku? - spytał Darryl.

- W życiu - powiedziała, krusząc grzanekę do rzadkiej jajecznicy. - Żebym się czuła jak w trumnie?

- No, to w takim razie zaciągaj zasłony w oknach.

Zastanowiła się, wolno żując.

- Uhm, ostatniej nocy wstałam i zrobiłam, jak mówisz.

- Rzecz w tym - poradził jej Darryl - żeby zasunąć je, z a n i m pójdiesz do łóżka.

- Zasunęłam, daję słowo... - urwała. - Ale przysięgłabym, że podczas burzy słyszałam coś na dworze.

Michael się nie odezwał. Coś w głosie Charlotte mówiło mu, że to nie koniec.

- Co słyszałaś? - spytał Darryl.

- Głos. Krzyk.

- Może to był upiór - stwierdził Darryl, pustosząc swój talerz.

- Co krzyczał? - spytał Michael tak obojętnie, jak potrafił.

- To było coś w rodzaju... strasznie wiało... coś jakby „Oddajcie”. - Pokręciła głową i wróciła do jajecznicy. - Zaczyna mi brakować tych alarmów samochodowych.

Michael ledwo mógł przełknąć kolejny kęs, ale zdecydował, że nie będzie się wyrywał z opisem swoich niedawnych przeżyć.

- Coś mi się przypomniało - powiedziała Charlotte, grzebiąc w kieszeni kurtki i wyjmując z niej próbkę krwi w plastikowej fiolce.

- Muszę mieć pełną analizę tej próbki.

Darryl nie wyglądał na rozradowanego.

- Czemu spotyka mnie ten zaszczyt?

- Bo masz te wszystkie wymyślne urzędzonka w swojej pracowni.

- Czyja to?

- O, jednego z trepów - rzuciła niedbale. - Nic ważnego.

- Cóż, tak się składa - oznajmił, ocierając usta serwetką - że mam wam do przekazania naprawdę niesłychane wieści z mojej działki.

Dziennikarz nie był pewien, czy naukowiec nie żartuje.

- Siedzicie, moi przyjaciele, w towarzystwie nie byle kogo. Kiedy ostatnio sprawdzałem pułapki, znalazłem nowy gatunek ryby.

Michael i Charlotte nagle nastawili uszu.

- Serio? - zapytał Michael.

Darryl skinął głową, szeroko się uśmiechając.

- Chociaż jest blisko spokrewniony z *Cryotheria amphitreta*, którą odkryto dopiero w dwa tysiące szóstym, ten gatunek nie został do tej pory sklasyfikowany.

- Skąd masz pewność? - zapytała Charlotte.

- Sprawdziłem w pewnym źródle, niewielkim dziełku pod tytułem *Ryby Oceanu Południowego*, i nie mam jej tam. Nigdy do tej pory nie widziałem łba o takiej budowie. Ma podwójne, wyraźnie zarysowane łuki brwiowe i purpurowe zwieńczenie.

- Fantastyczne - powiedział Michael. - Jak zamierzasz ją nazwać?

- Na razie nazywam ją *Cryotheria* - to znaczy „z zimna” - *hirschii*.

- Co za skromność - roześmiała się Charlotte.

- O co ci chodzi? - odparował Darryl. - Naukowcy zawsze chrzcili gatunki swoimi nazwiskami to raz, a dwa, ta nazwa naprawdę wkurzy jednego gościa, niejakiego Edgara Montgomery'ego z Woods Hole.

- No to się nie szczyp - rzekł Michael.

- Na razie bardzo zależy mi na tym - kontynuował Darryl - żeby złowić jeszcze parę okazów; w pobliżu może pływać cała ławica. Tej będę musiał zrobić sekcję, więc byłoby dobrze mieć jeszcze kilka całych ryb na zapas.

- Może ci się uda - powiedział Michael.

- Murphy zakazał wychodzić komukolwiek poza bazę, dopóki burza nie przejdzie, ale dał mi pozwolenie na wypad do kabiny. Chcę zastawić sieci i pułapki. Zapraszam was oboje. Będziecie mogli opowiadać wnukom, że uczestniczyliście w historycznym wydarzeniu.

Charlotte uporała się z jajecznicą i powiedziała:

- Strasznie bym chciała odmrozić sobie tyłek, tkwiąc nad przerębem, ale chyba jednak uwalę się do łóżka i utnę sobie rozkosznie długą drzemkę.

Ale Michael, który chętnie wykorzystywał każdą okazję, żeby wyrwać się z bazy - zwłaszcza że Eleanor była niedostępna - powiedział:

- Ja chętnie się wybiorę. Kiedy chcesz jechać?

*

Godzinę później pędzili po lodzie śnieżnym skuterem. Michael prowadził, Darryl siedział z tyłu. Michael od lat jeździł skuterami i zwykle sprawiało mu to nie lada uciechę, ale nie na Antarktydzie. Powietrze było tak przeraźliwie zimne, że każdy odsłonięty cal kwadratowy skóry palił żywym ogniem, a po kilku minutach całkowicie drętwiał. Prowadząc, Michael musiał trzymać nisko głowę. Na twarzy miał kominiarę, na oczach gogle, a na głowie mocno zawiązany wokół twarzy futrzany kaptur.

Na szczęście przejazdka do stojącej na pustakach kabiny otworu nurkowego była krótka i Michael zakończył ją powolnym ślizgiem do rampy, która prowadziła do drzwi. Kiedy motor przestał hałasować, zastąpiło go wycie wiatru, który mało nie przewrócił Darryla. Michael uratował kolegę, łapiąc go za ramię, po czym pomógł wnieść sprzęt. Zamykanie drzwi skończyło się pojedynkiem z szalonym wiatrem, chcącym je wyrwać z zawiasów.

- Jezu - wysapał Michael, opadając na drewnianą ławkę i ściągając z głowy kaptur.

Kabina z wielkim otworem pośrodku podłogi nie była dużo cieplejsza niż otoczenie, ale przynajmniej chroniła przed wiatrem. Darryl włączył wszystkie nagrzewnice i zanim zabrali się do czegokolwiek, siedzieli kilka minut bez ruchu. Pod wpływem ciepła z wody uniosła się delikatna mgła i zawisła nad otworem.

- Sporo lodu w tym przeręblu - zauważył Michael. - Musimy go rozbić, zanim coś tam spuścimy.

- Jak myślisz, po co cię zapraszałem? - spytał retorycznie Darryl. Nie zdejmując grubych rękawic, usiłował przymocować do długich lin sieci i pułapki.

- Powiniennem na to wpaść.

Michael rozejrzał się po uchwytach i wieszakach, na których spoczywał sprzęt i narzędzia. Na deskach podłogi złożono piły do lodu, stalowe kable, harpuny. Do rozbijania lodu najbardziej nadawał się ostro zakończony szpadel, ale aby nim pracować, trzeba było zdjąć rękawice; niechętnie ściągnął je z rąk, zostawiając cienkie rękawiczki.

Rozbijanie świeżego lodu szło z trudem. Michael pracował schylony. Przypomniał sobie wydarzenie z dzieciństwa, kiedy to oczyszczał podjazd po obfitych opadach śniegu. Ojciec zawsze nakazywał mu zająć się tym od razu, bo „wcale nie będzie ci łatwiej, jak zrobi się z tego lód” - i Michael pamiętał ten wyjątkowy ból, gdy uderzał łopata w pozornie sypki śnieg, a trafiał na zbitą warstwę. Czuł wstrząs nawet w kręgosłupie, aż zęby bolały. Teraz raz za razem kosztował tej samej przyjemności i zwichnięty bark zaczął dawać o sobie znać.

W końcu lód w przeręblu zamienił się w płynną masę, ale nie na długo.

- Gotów? - spytał Michael, czując spływającą po plecach strużkę potu.

- Prawie... prawie - odparł Darryl, sprawdzając zacisk na pułapce w kształcie klepsydry. Rozłożona na podłodze lina przypominała gigantyczną bransoletkę z wisiorkami, nieregularnie umieszczonymi sieciami i pułapkami. Darryl przysunął się na klęczkach do otworu i zanurzył obciążony koniec liny.

- Oczyszczisz? - spytał i Michael szpadlem przesunął na bok lodową breję. Darryl spuszczał coraz głębiej linę z ołowianym obciążnikiem. Wciągarka szumiała, podczas gdy lina zabierała ze sobą w głębię polarnego morza urządzenia naukowca.

Michael rozgarniał szpadlem niewielkie odłamki kry. Wtem poczuł szarpnięcie. Nie wiedzieć jakim sposobem szpadel został wyrwany z jego ręki i grzechocząc, zniknął w przeręblu jak sunące wąskim kanałem polano.

- Ki diabeł?

Darryl się roześmiał i unosząc głowę, powiedział:

- Murphy ci za to policzy.

Michael też się roześmiał, ale w tym samym momencie Darryl runął do dziury głową w dół. Michael myśląc, że zaczepił o linę, instynktownie na nią nadepnął, licząc, że ją zahamuje, ale lina tylko się ugięła pod gumowym butem i dalej się rozwijała.

Poza tym to nie była sprawa liny.

Wielka jak bochen łapa, tak zsiniała, że już kobaltowa, wyskoczyła spod podłogi i porwała Darryla za kołnierz kurtki. Darryl młócił rozpaczliwie nogami. Jedną rękę miał w wodzie, drugą na oślep okładał napastnika.

Teraz między deskami i lodem pojawiła się również głowa. Wielka głowa z zamrzniętą brodą i oszalałymi, błyskającymi białkami oczami.

Danzig.

Utkwił wzrok w Michaelu i niczym lew, który porzuca jedną ofiarę, widząc drugą, bardziej nęcącą, puścił Darryla i dźwignął się w górę.

Michael kopnął go w podbródek - chociaż równie dobrze mógłby kopać granitową skałę - i znów pociągnął Darryla. Naukowiec zdołał się wydostać z przerębla. Kryształki lodu rozbryzgnęły się po kabinie. Darryl darł się jak opętany, wzywając pomocy.

Michael nic nie mógł zrobić. Pokryty srebrną warstwą lodu Danzig wsparł się obiema rękami o podłogę i niczym Posejdon uniósł się z głębin.

- Oddajcie - warknął resztkami rozszarpanego gardła. Michael kopnął go po raz drugi. Danzig złapał go za but, ale ten był mokry, więc wyślizgnął się z wielkich palców.

Darryl wycofał się i przetoczył pod ławkę, gdzie ogarnięty paniką ścierał z głowy zamarzającą wodę. Chyba nadal nie miał pojęcia, co się stało, nie wiedział, kto go chciał porwać.

Ale Michael widział, że Danzig jest już na czworakach i dźwiga się coraz wyżej, wstaje. Lodowata woda spływała z przemoczonej flanelowej koszuli i dżinsów. Michael odwrócił się w miejscu - jego wzrok padł na podwodną kuszę używaną do obrony przed lampartami morskimi. Przeskoczył ławkę i zerwał kuszę ze ściany. Danzig potknął się o linę i prawie upadł. Michael zdążył naciągnąć kuszę i wycelować w ogromną, nacierającą na niego postać. Miejsca ledwo wystarczyło na uniesienie broni. Pociągnął za spust i najeżony potrójnym zadziorem belt uderzył w pierś napastnika. Siła uderzenia była tak wielka, że Danzig zatoczył się w tył, przebijając nogami na mokrej podłodze. Zdołał wyhamować na samej krawędzi otworu. Palce zaciskał na sterzącym z piersi drzewcu. Rozdziawił usta, zszokowany podniósł wzrok i w tym momencie Michael uniósł nogę i pchnął go do lodowego otworu. Rozległ się plusk, gulgot, trzask lodu i... zapadła cisza zakłócana tylko szumem nagrzewnic.

Darryl pojękiwał i strzepywał z głowy lodowatą wodę, podczas gdy Michael dopadł przerębla i nie wypuszczając kuszy, patrzył w głąb.

Nie widział nic poza naprężoną stalową liną, utrzymującą pułapki, i lśniąca pajęczyną na niebiesko-białym lodzie, który znów się formował na wodnym grobie Danziga.

ROZDZIAŁ 41

18 grudnia, 13.00

Sinclair stał w otwartych drzwiach kościoła i wpatrywał się w oślepiające tumany śniegu, tak gęste, że nie przenikał wzrokiem dalej niż do podnóża schodów. W tych warunkach nawet psy nigdzie by nie trafiły.

Naparł ramieniem na drzwi, zamknął je i odwrócił się, ogarniając wzrokiem swoje królestwo... ponurą kaplicę, w której psy z zaprzęgu zległy na kamiennych płytach podłogi lub zwinęły się w ciasne kule między wiekowymi ławkami. W której nieustanny wiatr bił o okna i gwizdał przez szpary w drewnianych ścianach i okiennicach. To była jedna wielka klatka... a on był uwięzionym w niej zwierzęciem.

Jego myśli powędrowały do pewnego dnia - pewnego niedzielnego popołudnia - gdy zabrał Eleanor do zoo. Miał nadzieję, że dostarczy jej rozrywki, ale nie poszło tak dobrze, jak się spodziewał. Z każdym oglądanym w klatce stworzeniem czuła się nieszczęśliwsza i chociaż wcześniej nigdy nie myślał o nich w ten sposób, to teraz zaczął patrzeć na uwięzione zwierzęta jej oczami. Jak wiele z nich było samotnych, skazanych na ciasną przestrzeń wyzbytą naturalnych warunków - nie miały żadnych krzewów, drzew, skał, piasku ani chłodnego mułu - które zapewniałyby im to, co znały, lub czego instynktownie pragnęły. Eleanor trzymała go pod ramię i wlekli się krętą ścieżką, mijając rzędy grubych żelaznych krat, aż dotarli do najpopularniejszego okazu.

Był to tygrys bengalski.

Okryty eleganckim futrem w czarne, pomarańczowe i białe pasy drapieznik krążył tam i z powrotem w klatce, w której ledwo mógł się odwrócić. Zaledwie kilka stóp dalej tłum gapiów wytrzeszczał oczy, a banda dzieciaków wykrzywiała się, gdy tylko zwierzę skierowało na nią groźny wzrok. Jedno z nich cisnęło w niego żołądkiem - odbił się od jego pyska. Tygrys zaryczał, na co urwisy roześmiały się na całe gardło i ze złośliwą radością klepały jeden drugiego po ramieniu.

- Przestańcie w tej chwili! - powiedziała Eleanor, podchodząc do chłopca, który zamierzał powtórzyć swój wyczyn. Trzepnęła go w ramię. Tamten się odwrócił, głęboko zaskoczony, a jego obdarci koledzy stłoczyli się za nim.

Sinclair podszedł bliżej, mówiąc cichym, ale zdecydowanym tonem:

- Wynocha stąd albo wrzucę cię do klatki.

Chłopak nie bardzo wiedział, co zrobić, czy olśnić kumpli czy ratować skórę, ale gdy Sinclair wyciągnął rękę, chcąc złapać go za rękaw, niedoszły bohater czym prędzej podał tyły. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, przystanął, by cisnąć w Sinclaira żołądkiem i posłać mu kilka obelg.

Sinclair odwrócił się do Eleanor, która znieruchomiała patrząc na tygrysa. Ten zaprzestał niekończącej się wędrówki i odpowiadał jej takim samym spojrzeniem. Porucznik nie śmiał się odezwać - wyglądało to tak, jakby Eleanor i zwierzę porozumiewali się bez słów. Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie - pewien starszy widz o siwych bokobrodach skomentował to słowami: „Ależ ta dama jest zahipnotyzowana...!” - lecz gdy znów ujęła Sinclaira pod rękę, odchodząc, miała łzę w oku.

*

Michael miał wrażenie, że uczestniczy w kolejnej odsłonie tej samej sceny. Znow próbował przekonać Murphy'ego, że niemożliwe jest możliwe, że wydarzyła się rzecz nie do pomyślenia - znaleziono kobietę zamrożoną w lodzie, Danzig został zagryziony przez jednego ze swoich psów, Danzig zamordował Ackerleya i wrócił jeszcze raz, wyskoczył z otworu nurkowego i rzucił się na Darryla.

Była jednak zmiana na lepsze. Murphy tak się oswoił z tymi dziwnymi naradami, że przestał kwestionować prawdomówność lub zdrowie psychiczne rozmówcy. Siedząc za biurkiem, tylko przeczesywał ręką siwiejące włosy - z każdym dniem coraz bardziej, zauważył Michael - i zadawał pytania zrezygnowanym, niemal obojętnym tonem.

- Ale jesteś pewien, że tym razem go załatwiłeś na dobre, dowaliłeś mu z kuszy? - spytał.

- Tak - potwierdził dziennikarz. - Poszedł na dno, załatwiony na dobre. - Ale czy naprawdę był tak pewny, jak dawał do zrozumienia?

- Tak czy siak nikt nie idzie do kabiny, dopóki na to nie pozwolę. Postaraj się, żeby pan Hirsch wyraźnie to usłyszał, i potwierdził, że zrozumiał.

Z radia za fotelem kierownika rozległy się trzaski wyładowań.

- Prędkość wiatru sto dwadzieścia, kierunek północno-wschodni - mówił niewyraźny głos. - Temperatura od czterech do piętnastu stopni poniżej zera w skali Celsjusza. Spodziewany wzrost do... - kolejne zakłócenia i głos powrócił - ...front wysokiego ciśnienia, idący na południowy zachód od półwyspu chilijskiego do Morza Rossa.

- Wygląda na to, że jutro może zelżeć - powiedział Murphy, obracając się wraz z fotelem i wyłączając radio. - Cholera, najwyższy czas. - Odwrócił się do Michaela. W ręce miał kartkę

z wydrukiem. - Raport doktor Barnes - powiedział, wsadzając na nos okulary i głośno czytając: - Pacjentka, pani Eleanor Ames, jak sama twierdzi, obywatelka Wielkiej Brytanii, wiek około dwudziestu lat... - przerwał, spoglądając znad okularów na Michaela.

- ...stan zdrowia stabilny, wszystkie funkcje życiowe w normie. Powracające oznaki niedociśnienia i arytmii serca, połączone z ekstremalną anemią, którą będziemy agresywnie zwalczać, gdy tylko poznamy wyniki badania krwi. - Opuścił kartkę i spytał: - Masz jakieś pojęcie, kiedy Hirsch się za to weźmie?

- Żadnego.

- Nie mów mu za wiele, ale przyciśnij go.

- Nie lepiej byłoby, żebyś sam to zrobił?

- Już może coś podejrzewać, więc lepiej nie dolewać oliwy do ognia - rzekł Murphy. - Uzna, że to zwykła próbka krwi, i niech dalej tak myśli. Gdybyś przypadkiem tego nie zauważył, to się dowiedz, że gość nie lubi, kiedy się mu rozkazuje. - Rozsiadł się wygodnie, nadal trzymając kartkę papieru. - Więc ten świstek to pierwszy oficjalny dokument z datą i godziną, potwierdzający istnienie Śpiącej Królowny.

- Eleanor Ames - poprawił go Michael.

- No, masz rację. To już nie królowna z bajki. - Ostentacyjnie włożył kartkę od niebieskiej plastikowej teczki. - I dlatego od tej pory wszystko ma się toczyć jak Pan Bóg przykazał albo czasowo musi pozostać nieudokumentowane i poufne. Innymi słowy, żadnych papiórków, żadnego pytlowania. Chwytasz?

Michael skinął głową.

- Ostatnia rzecz, której nam tu trzeba... ostatnia rzecz na całym pieprzonym świecie... to ściślejszy niż do tej pory nadzór ze strony NSF i każdej innej agencji, którą nam tu nasylają. Zostały mi jeszcze dwa lata do pełnej emerytury. Nie chcę ich spędzić na pisaniu oświadczeń i składaniu zeznań. - Wskazał grożący upadkiem stos urzędowych pism i formularzy na tackach na korespondencję. - Widzisz to? A to tylko zwykłe codzienne gówno, które mnie zalewa. Wyobraź sobie, co się stanie, jak wyciekną ostatnie sensacje.

Michael sobie wyobrażał. Już się zastanawiał, co powie - albo czego nie powie - Gillespiemu podczas następnej rozmowy.

- Więc dlatego na razie proszę cię, żebyś zatrzymał dla siebie tyle, ile się da. A jak już o tym mowa, to wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy.

- Chcę, żebyś był łącznikiem, czy jak się to nazywa, pani Ames. Pomagaj Charlotte i informuj mnie o tym, co się dzieje... jak się ma pacjentka, co robi, do kogo twoim zdaniem

powinniśmy się zwrócić. Nie muszę ci mówić, że nic takiego do tej pory nigdy się nie wydarzyło - nigdy i nigdzie - i nieszczególnie zależy mi na tym, żeby rozgłaszać fakt jej istnienia w naszej bazie. Niech sprawa toczy się pomalutku, po cichutku.

- Planujesz trzymać ją stale w gabinecie lekarskim? - spytał Michael. - Dostanie fioła od siedzenia w zamknięciu. Wiem, że ja bym dostał.

- To ustalimy sobie z czasem, kiedy tylko otrzymam zwrotne informacje od Darryla i Charlotte.

- A co z jej towarzyszem - naciskał Michael - tym Sinclairem? Jeśli prognoza się sprawdzi, moglibyśmy wrócić do Stromviken i go poszukać.

- Jutro, jak pogoda faktycznie się poprawi. Może wtedy dałoby się zmontować ekipę poszukiwawczą. - Ton kierownika wyraźnie zdradzał, że wcale się do tego nie pali; pewnie liczył po cichu na to, że kolejny wielki problem sam się rozwiąże wraz ze zniknięciem Sinclaira. - Zaraz, nie wszystko naraz, w tym rzecz - podsumował Murphy. - Zakładając, że ona jest tym, kim jest, i to co mówi, jest...

- Ciężko mi - wtrącił Michael - znaleźć inne wytłumaczenie tego wszystkiego. A wierz mi, próbowałem.

- No trudno, ale próbuj dalej - odparł kierownik. - Ale zakładając tak czysto teoretycznie, że masz rację, to co by było, gdyby złapała tutaj coś od kogoś, coś na co nie jest uodporniona?

Michael nie pomyślał o tym wcześniej i teraz tylko wystękał:

- Hm.

- Widzisz? - powiedział Murphy, wyrzucając w górę rękę.

- To są właśnie rzeczy, które muszę brać pod uwagę. Chociaż nie twierdzę, że jestem lekarzem. Do diabła, gdybym nim był, wiedziałbym, co zrobić z Ackerleyem.

Michael również się nad tym zastanawiał. Do tej pory nie podano do wiadomości ogółu jego zgonu i było tylko kwestią czasu, aż ktoś zauważy, że rzadko widziana Zjawa stała się wręcz niewidzialna.

- Gdzie jest ciało? - spytał Michael.

- W zamrażarce - odparł Murphy. - Powiadomiłem jego matkę... mieszkała z nią w Wilmington... ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby coś do niej dotarło. Nie złożyłem jeszcze oficjalnego raportu, bo będę mógł mówić o dużym szczęściu, jeśli w sekundę po tym jak to zrobię, nie zjedzie tu cała delegacja cholernego FBI i nie zaczną dochodzenia, zwłaszcza po tym co spotkało Danziga. - Nagły powiew wiatru potrząsnął modulem. - Poprosiłem Lawsona, żeby poszedł posprzątać w laboratorium botanicznym. Może uda mu się uratować jakieś okazy, które wyhodowała Zjawa.

To wyglądało na słuszną i godną pochwały decyzję, ale Michael wątpił, by ktokolwiek wiedział, jak utrzymać przy życiu wszystkie rośliny Zjawy, zwłaszcza orchidee o długich, delikatnych łodygach. Wszystko na Antarktydzie zdawało się spiskować przeciwko przetrwaniu, przeciwko życiu, lecz gdy wstał, myślał o jedynej istocie, którą wieczny chłód ochronił i przytulił do piersi.

- I nie zapomnij, co mówiłem o tej Ames - zawołał Murphy. - Traktuj ją w rękawiczkach.

Licząc na to, że zostanie Eleanor obudzona, Michael zajrzał do gabinetu lekarskiego. Nie chciał wyjść na nachalnego zalotnika, ale bardzo mu zależało na spisaniu jej historii. W plecaku miał notatniki, długopisy i miniaturowy magnetofon; rozważał przyniesienie aparatu fotograficznego, ale uznał, że robienie zdjęć byłoby zbytnim natręctwem. Nie chciał narażać Eleanor na dyskomfort. Fotki mogły poczekać.

Ale nie pojawił się w najlepszym momencie. Kiedy zapukał do zamkniętych na klucz drzwi - zwykle były szeroko otwarte - usłyszał kroki Charlotte.

- Tak? - spytała. - Kto tam?

Przedstawił się i drzwi uchyliły się na tyle, że mógł wślizgnąć się do środka. Charlotte w zielonym szpitalnym uniformie wyglądała na zmęczoną. Eleanor przebywała na sali chorych.

- Obudziła się?

Charlotte westchnęła, ale kiwnęła głową.

- Wszystko w porządku?

Charlotte przechyliła głowę i powiedziała cicho:

- Mamy, jeśli można to tak nazwać, pewne problemy techniczne.

- To znaczy jakie?

- Psychologiczne. Emocjonalne. Z dostosowaniem się.

Usłyszał łkanie.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, nie jest to może szok - powiedziała Charlotte. - Dałam jej kolejną dawkę łagodnego środka uspokajającego. Powinien zadziałać.

- Myślisz, że mógłbym tam wejść i porozmawiać z nią, zanim ten środek zacznie działać?

- szepnął Michael.

Charlotte wzruszyła ramionami.

- Kto wie... może jak się oderwie od tego, co ją gnębi, poczuje się lepiej. - Ale kiedy ruszyła do sali chorych, ostrzegła: - Tylko nie porusz jakiegoś tematu, który mógłby ją zdenerwować.

A w ogóle jest taki temat? - pomyślał Michael.

Kiedy wszedł na salę, Eleanor stała w puszystym białym szlafroku wpatrzona w wąskie okno, którego większą część pokrywał nawiany śnieg. Do pomieszczenia wpadała tylko blada namiastka słonecznego światła. Szybko odwróciła głowę - wystraszona, onieśmielona i wyraźnie zawstydzona intymnym strojem. Szybko zakryła gors klapami szlafroka i uciekła wzrokiem do okna.

- Dzisiaj niewiele się zobaczy - powiedział Michael.

- On tam jest.

Michael nie musiał pytać, o kim mówi.

- Jest zupełnie sam. - Prawie nietknięty posiłek stał na stoliku przy łóżku. - I nie wie, że zostawiłam go wbrew swojej woli.

Przeszła po pokoju, szurając białymi kapciami, pełne łez oczy nadal kierowała w okno. Zaszła w niej dziwna przemiana; gdy Michael ujrzał ją po raz pierwszy, w lodzie, i potem w kościele, wydawała się zupełnie nie z tego świata, niepasująca do tej epoki i tego miejsca. Nigdy nie miał wątpliwości, że rozmawia z kimś, od kogo dzieli go niezmierna przepaść czasu i doświadczenia.

Lecz teraz, kiedy kołnierz szlafroka otulał jej twarz, gdy miała świeżo umyte, rozpuszczone włosy, a na nogach kapcie, wyglądała jak normalna, śliczna młoda kobieta, która dopiero co wyszła z gabinetu zabiegowego drogiego, modnego spa.

- Przetrwiał tak wiele - powiedział Michael, starannie dobierając słowa. - Jestem pewien, że przetrwa również tę zadymkę.

- To było wcześniej.

- Wcześniej przed czym?

- Zanim go porzuciłam. - Ocierała łzy zmiętą papierową chusteczką.

- Nie miałaś wyboru - powiedział Michael. - Jak długo mogłabyś tak wytrzymać? Jedząc psią karmę i ogrzewając piec modlitewnikami.

Nie przesadził? Starał się ją pocieszyć, ale tylko doprowadził do tego, że jej zielone oczy zabłyśły ostrzegawczo.

- Byliśmy w większych opałach. Razem. Większych, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić.

Odwróciła się; zobaczył, że kuli się pod puszystym materiałem.

Michael postawił plecak na podłodze i usiadł na plastikowym krześle w kącie. Mówił sobie, że postąpiłby rozsądnie, wychodząc i wracając dopiero wtedy, kiedy ona się uspokoi, ale inny głos - a może to tylko były pobożne życzenia? - podszeptował mu, że chociaż jest

smutna i rozbita, wcale nie chce, by wychodził... i mimo wszystko czerpie pocieszenie z jego obecności. Był znajomym elementem w sztucznym środowisku, w którym ją umieszczono.

- Lekarka mówi, że nie wolno mi wychodzić - powiedziała spokojniejszym tonem.

- Z pewnością nie podczas burzy śnieżnej - zażartował Michael.

- Z tego pokoju.

Wiedział, co miała na myśli.

- Jedynie tymczasowo - zapewnił ją. - Nie chcemy narażać cię na zarazki czy bakterie, na które możesz nie być uodporniona.

Eleanor roześmiała się gorzko.

- Opiekowałam się żołnierzami chorymi na malarię, dyzenterię i gorączkę krymską. Sama się zaraziłam. - Westchnęła głęboko.

- Jak widzisz, wytrzymałam wszystko. - Odwróciła się do niego i rzekła pogodniejszym tonem: - Ale oczywiście, panna Nightingale doprowadziła do wielkich postępów w tej dziedzinie. Zaczęliśmy wietrzyć sale, usuwałyśmy trujące miazmaty, które się gromadziły. Robiliśmy to nawet nocami. Wierzę, że wraz z poprawą higieny i wyżywienia można uratować nieskończoną ilość istnień ludzkich. To tylko kwestia przekonania odpowiednich czynników.

Była to jej najdłuższa wypowiedź jak do tej pory i chyba sama też poczuła się zaskoczona swoją elokwencją, bo nagle urwała i lekko się zaczerwieniła. Michael zgadłby i bez tej tyrady, że traktowała swoje obowiązki pielęgniarki bardzo poważnie.

- Co ja mówię - wymamrotała. - Panna Nightingale dawno umarła. Pewnie wszystko, co powiedziałam, brzmi śmiesznie. Świat poszedł dalej, a ja tu opowiadam rzeczy, które zostały uznane za słuszne albo niesłuszne lata temu. Sam dobrze o tym wiesz. Przepraszam... zapomniałam się.

- Florence Nightingale miała rację - powiedział Michael. - Ty też. - Urwał na chwilę. - Nie będziesz długo skazana na pozostawanie w tym pomieszczeniu. Zobaczę, co się da zrobić.

Pomyślał, że już przebywała w jego obecności, wystawiona na działanie wszelkich bakterii, które nosił. Na co jeszcze mógłby ją narażać? Spotkania z innymi osobami w bazie - zarówno trepami, jak i zlewkami - pewnie dałoby się ograniczyć. Cypel Adeli to nie dworzec główny w Nowym Jorku.

Eleanor usiadła na brzegu łóżka, przed Michaeliem. Środek uspokajający chyba zaczął działać, bo przestała płakać i nie załamywała już rąk.

- Gorączką zaraziłam się po bitwie - wyznała. - Po bitwie.

Michaela aż ręce świerzbiły, by wyjąć magnetofon, ale wołał unikać wszelkich posunięć, które wprawiłyby ją w zakłopotanie lub zburzyły jej kruchy spokój ducha.

- Sinclair... porucznik Sinclair Copley z Siedemnastego Regimentu Lansjerów... został ranny podczas szarży kawaleryjskiej. Zaraziłam się, kiedy się nim opiekowałam.

Jej wzrok skupił się na jakimś odległym punkcie i Michael zdał sobie sprawę, że nawet najłagodniejszy środek uspokajający może wywołać nieprzewidziane skutki u kogoś, kto nigdy wcześniej nie zażywał niczego podobnego.

- Ale miał prawdziwe szczęście. Prawie wszyscy jego towarzysze, w tym najdroższy z nich, kapitan Rutheford, zginęli. - Westchnęła, opuszczając oczy. - Z tego, co słyszałam, Lekka Brygada została kompletnie unicestwiona²³.

Michael mało nie spadł z krzesła. Lekka Brygada? Czy wspominała jej sławną szarżę, nieśmiertelnioną w wierszu Alfreda Tennysona? I na dodatek mówiła o tym z pozycji niemal naocznego świadka?

Czy chciała powiedzieć, że jej towarzysz z lodu - porucznik Copley - był jednym z żołnierzy, którzy przeżyli szarżę? Nieważne, z czym miał do czynienia - czy z podtrzymywanym latami wyobrażeniem, czy z historycznym opisem niewyobrażalnej tragedii, czy też autentycznym świadectwem z pierwszej ręki. Musiał to uwiecznić.

Wsunął rękę do plecaka i zręcznie wyjął magnetofon.

- Jeśli ci to nie przeszkadza - rzekł - to chciałbym za pomocą tego urządzenia zapisać przebieg naszej rozmowy. - Wcisnął klawisz „NAGRYWANIE”.

Spojrzała z namysłem na czerwone światełko sygnalizujące pracę urządzenia, ale chyba nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Michael nie był pewien, czy pojęła to, co powiedział, czy rozumie, do czego faktycznie służy ten sprzęt. Miał wrażenie, że tak wiele z tego, co widzi, było dla niej nowe - od lekarki Murzynki po elektryczne światła - że starała się zrozumieć i przyswoić tylko jedną rzecz na raz.

- Rozkazano im atakować rosyjskie działa - rzekła - i zostali wybici do nogi. Na wzgórzach po obu stronach doliny stały artyleryjskie baterie. Straty było przytłaczające. Pracowałam dzień i noc, tak jak moja koleżanka Moira i wszystkie pozostałe pielęgniarki, ale nie mogłyśmy nadażyć. Było zbyt wiele starć i zbyt wielu rannych i umierających żołnierzy. Obowiązki nas przerastały.

Wróciła w przeszłość; przeżywała ją znów; widział to po jej oczach.

- Jestem pewien, że zrobiłaś wszystko co w twojej mocy, żeby pomóc.

²³ Rzeczywiste straty wyniosły ok. 20 proc. stanu.

Wyraz smutku pojawił się na jej obliczu.

- Robiłam rzeczy, które przekraczały moje możliwości - rzekła bez owijania w bawełnę. Jej oczy zamglily się na wspomnienie wydarzeń, które najwyraźniej nadal ją prześladowały. - Wszyscy byliśmy zmuszeni do robienia rzeczy, do których nie byliśmy przygotowani.

Michael zobaczył, że zagarnia ją fala wspomnień.

*

Był to wieczór po tym dniu, w którym znalazła Sinclaira - pamiętała to dobrze - i w którym po kryjomu przywłaszczyła sobie kilka przedmiotów, w tym fiolkę morfiny. Była cenniejsza niż złoto i stąd też panna Nightingale pilnowała jej zapasu jak oka w głowie. Dopiero gdy przełożona skończyła obchód, Eleanor, która powinna przebywać w kwaterach pielęgniarek i spać snem sprawiedliwego, wykradła się na dół i trzymając w ręce turecką lampkę, pobiegła do sal, gdzie przebywali chorzy na gorączkę. Kilku żołnierzy mylnie wzięło ją za samą pannę Nightingale i wyszeptalo błogosławieństwa, gdy ich mijała.

- To było po jakiej bitwie? - delikatnie zapytał Michael. Jego głos wyrwał ją z zadumy.

- Pod Bałakławą.

- Który to był rok?

- Tysiąc osiemset pięćdziesiąty czwarty. Koniec października. A Szpital Koszarowy był tak przepełniony, że żołnierze leżeli pokotem na podłodze, ramię przy ramieniu.

Szkot, którego pamiętała - ten, który w delirium ostrzegł ją przed Sinclairem - został umieszczony tuż obok. Postanowiła, że gdyby i on cierpiał zbyt wiele, podzieli zawartość fiolki między nich obu. Ale kiedy weszła na salę, okazało się zupełnie niepotrzebne. Dwaj sanitariusze osłaniający usta i nos chustkami pochylali się nad ciałem Szkota, okrywając go z obu stron brudnym kocem... ale Eleanor zdążyła jeszcze zobaczyć twarz zmarłego. Była biała jak wapno na płocie i pobrużdżona bardziej niż owoc, z którego wyssano cały sok i miąższ.

- Bry wieczór, paniusiu - rzekł jeden z sanitariuszy. - To ja, Taylor. - Poznała go po odstających uszach. Asystował przy fatalnej amputacji nogi Francuzika. - I Smith też tu jest - dodał, wskazując barczystego chłopca, który pośpiesznie zszywał koc.

Eleanor wiedziała, że brudne okrycie posłuży za całun i za trumnę, a trup spocznie we wspólnym grobie wykopanym na niedalekich wzgórzach.

Na trzy dźwignęli ciało z podłogi. Taylor roześmiał się pod chustką:

- Ten to lekuchny jak piórko.

Szurając butami, wyszli z sali. Ciało kołysało się między nimi. Uklękła na opróżnionym miejscu i zajęła się Sinclairem, który ku jej uldze i zaskoczeniu sprawiał wrażenie zdrowszego.

- Ile was, pielęgniarek, pracowało pod zwierzchnictwem panny Nightingale? - spytał Michael.

- Niewiele... najwyżej kilka tuzinów - odparła ze znużeniem. - Wiele zachorowało i odpłynęło. Ale Moira i ja zostałyśmy. Znalazłam Sinclairowi świeżą koszulę i brzytwę. Brzytwą obciąłam mu włosy... wszy się w nich roily... a potem pomogłam mu się ogolić.

- Musiał być bardzo wdzięczny.

- W kieszeni miałam fiolkę morfiny.

- Też mu ją dałaś?

Miała niepewną minę.

- Nie. Myślałam, że wygląda tak dobrze, że powinnam ją zachować... Bałam się, że będzie miał nawrót choroby i morfina wtedy się przyda. - Podniosła wzrok. - Było o nią bardzo trudno.

- Nadal jest - powiedział Michael. - To jedno się nie zmieniło. Ale najwyraźniej wyzdrowiał na dobre. Musiałaś być bardzo szczęśliwa i... dumna. - Dumna? - Z czego dumna? Nigdy nie użyłaby tego słowa. Kiedy tylko poznała jego straszliwe potrzeby - i co więcej, gdy pomogła mu je zaspokoić - nigdy więcej nie doznała poczucia dumy.

A po tym jak zaczęła dzielić te potrzeby, nie czuła niczego poza wieczną hańbą.

- Co zrobiliście, kiedy wydobrzeł i wojna się skończyła? Wróciliście do Anglii?

- Nie - powiedziała, przez chwilę zagubiona w myślach.

- Nigdy więcej nie wróciliśmy do domu.

- Czemu?

Jak mogli, skoro stali się tym, kim się stali? Kiedy Sinclair wyzdrowiał, ona zaniemogła. Sala chorych na gorączkę zrobiła swoje i następnego ranka Eleanor poczuła pierwsze symptomy. Lekkie zawroty głowy, kleisty pot. Robiła, co mogła, by to ukryć, bo wiedziała, że gdy tylko zostanie zwolniona z obowiązków, nie będzie mogła się spotykać z Sinclairem, ale gdy przyszła do niego z zupą, potknęła się, wylewając ją i mała się na niego nie przewróciła. Sinclair złapał ją pod ramię i wezwał ratunek.

W końcu niespiesznie przyczłapał sanitariusz z chusteczką na głowie i niedopałkiem cygara za uchem, ale gdy się zorientował, że chodzi o Eleanor, a nie kolejnego umierającego żołnierza, zaczął się uwijać.

Sinclair wyglądał na załamanego - mimo swego ciężkiego stanu usiłowała go zapewnić, że wydobrzeje. Odprowadzono ją z powrotem do kwatery w wieży i Moira natychmiast wlała w nią kieliszek porto - gdzie udało jej się zdobyć taki specjał, pozostanie tajemnicą - i położyła ją do łóżka. Niewiele zapamiętała z wydarzeń następnego tygodnia... poza obrazem

zmartwionego oblicza Moiry, pochylającej się nad nią i... twarzy Sinclaira w tamtą niezapomnianą noc.

Z urządzenia Michaela dobiegał cichy syk, na który zwróciła uwagę dopiero wtedy, gdy zamilkła. Prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, że to ona mówiła.

- Dlaczego - spytał znów Michael - nigdy nie wróciliście do Anglii?

- Nie przywitano by nas serdecznie - rzekła w końcu, odchylając się i opierając na rękach.

- Nie, kiedy staliśmy się... tym, czym się staliśmy. Staliśmy się... jak się to mówi? - Czuła rosnący zamęt w głowie, oszołomienie; zapewne substancja, którą dała jej lekarka, wcale nie była tak niewinna. - Ludźmi wygnanymi z własnego kraju.

- Uchodźcami?

- Tak - zamruczała. - Tak się chyba mówi. Uchodźcy.

Rozległ się cichy metaliczny stuk i gdy spojrzała na małe syczące urządzenie, dostrzegła, że pulsujące światełko zgasło.

- Ach. Twoja latarenka zgasła.

- Włączymy ją innym razem - powiedział Michael, łagodnie unosząc z podłogi nogi Eleanor i kładąc je na łóżku. - Wydaje mi się, że w tej chwili powinnaś się przespać.

- Ale muszę zrobić obchód... - zaprotestowała, bez powodzenia usiłując dźwignąć głowę opadającą na poduszkę. Czuła rosnące poczucie powinności. Dlaczego leżała, kiedy powinna zrobić obchód? Dlaczego gadała jak najęta, kiedy żołnierze umierali?

Poczuła, że ktoś zdejmuje jej z nóg kaptcie.

- Mam tyle zaległych obowiązków...

*

Gdy zamknęła oczy, Michael przykrył ją kołdrą. Znów szybko zasnęła. Schował magnetofon i notatnik, ściągnął zasłony i wyłączył światło.

Potem po prostu stał jak wartownik, przyglądając się jej w tej odrobinie światła, która nadal przenikała do pokoju. Pomyślał, że już wcześniej tak czuwał. Kołdra ledwo się poruszała wraz z jej oddechem. Odwróciła głowę na poduszce. Gdzie teraz była? I jaki zbieg okoliczności doprowadził ją do strasznego zniknięcia? Jak do tego doszło, że owinięta w łańcuchy trafiła do morza? Nigdy się nie dowie, jak i kiedy ma ją o to zapytać? Ale zdawał sobie sprawę, że jego czas się kurczy; przepustka NSF kończyła się za niecałe dwa tygodnie. Jak zareagowałaby, powtórnie przeżywając tamtą traumę? Jedwabiste kosmyki włosów leżały na jej policzku i poczuł, że chce je odgarnąć, ale rozum zabronił mu tego. Była gdzieś daleko... na wygnaniu, w miejscu i czasie, które dawno temu przestały istnieć.

ROZDZIAŁ 42

19 grudnia, 14.30

Dopóki próbka krwi, którą dała mu Charlotte, nie odciągnęła go od głównej roboty, Darryl uważał, że sprawy układają się kapitalnie.

Pracował jak koń nad próbkami krwi i tkanek *Cryotheria hirschii* - odkryciem, które miało mu przysporzyć naukowej sławy - i wstępne wyniki były niezwykle: krew ryby nie tylko okazała się całkowicie pozbawiona hemoglobiny, lecz również tajemniczym zrządzeniem ewolucji miała niezwykle niski poziom glikoprotein. Innymi słowy ten gatunek mógł się rozwijać w lodowatych wodach antarktycznego morza, lecz tylko tak długo, jak zachowywał wyjątkową ostrożność. Inaczej niż w przypadku innych gatunków, wszelki kontakt z lodem był dla niego śmiertelny - wystarczyło, że ryba otarła się o kawałek kry i w jednej sekundzie zamarzała. Może to dlatego natrafił na ten okaz - i dwa inne, umieszczone teraz w zbiorniku - bo pływały stosunkowo blisko brzegu, nieopodal ciepłego prądu, zasilanego jedną z rur odpływowych bazy. A może po prostu lubiły promienie słońca, nawet tak słabe jak te, które przenikały przez zakryte kabiną otwory nurkowe. Tak czy siak, niezmiernie się cieszył, że na nie trafił.

Rozkoszował się przeglądaniem nowych danych, dzięki którym jego odkrycie stało się tym cenniejsze i godne uwagi, gdy przypomniał sobie, że obiecał Charlotte przysługę. Wyjął z lodówki próbkę i zauważył, że jest opisana tylko inicjałami - E.A. Szybko przebiegł w myślach imiona i nazwiska wszystkich zlewek, ale żadna nie miała takich inicjałów. Tak więc próbka musiała pochodzić od któregoś z trepów; nie za dobrze ich kojarzył, gdyż często funkcjonowali tylko pod ksywkami w rodzaju Łoś czy Schaboszczak. Poza tym Charlotte nie powiedziała mu, jakie testy ma przeprowadzić. To było trochę bardziej niż irytujące. Czy ta kobieta nie wie, że w tej pracowni dzieją się rzeczy wielkie, a jej szef ma własną robotę do odwalenia?

Na szczęście laboratorium biologii morskiej było zaopatrzone we wszystko, co tylko hematolog mógł sobie wymarzyć, od supernowoczesnych wirówek do preparowania krwi do wysoko wydajnego analizatora, który za jednym zamachem mógł robić analizę monoklonalną, wybarwienia fluorescencyjne i zaawansowane odczyty optyczne płytek krwi.

Darryl zrobił co się tylko dało, włącznie z określeniem poziomu aminotransferazy alaninowej i trójglicerydów. Miał zamiar po prostu przekazać wyniki Charlotte, ale wstrzymał się, gdy przejrzał wydruki. Nic się nie zgadzało, a w pewnych przypadkach wyglądało identycznie jak wyniki badań jego rybek. Podczas gdy milimetr sześciennej ludzkiej krwi zawiera przeciętnie około 5 milionów czerwonych ciałek krwi i siedem tysięcy białych, w tej próbce było niemal na odwrót. Jeśli nic nie pomylił, to w porównaniu z pacjentem Charlotte odkryta właśnie przez niego ryba jest wręcz okazem zdrowia.

To go przekonało, że wyniki nie mogą być prawidłowe, i że niechcący pomylił próbki. Jezu, pomyślał, może już mam wielkie gały, tylko nie jestem na bieżąco. Będę musiał poprosić Michaela, żeby sprawdził, czy prawidłowo kontaktuję. Przeprowadził test urządzenia, zrobił sobie badanie krwi. Wynik okazał się w porządku. (Z przyjemnością stwierdził, że cholesterol ma nawet niższy niż zwykle). Wziął resztki próbki krwi tego E.A., znów zrobił testy... i otrzymał identyczne wyniki.

Jeśli to była ludzka krew, poziom zatrucia był tak wielki, że pacjent powinien paść trupem na miejscu.

Zastanowił się, czy na chwilę nie wyjść z pracowni i się nie przewietrzyć. Od czasu ostatniej wizyty w kabinie - kiedy Danzig mało go nie utopił - nie wychylał nosa poza pokój i pracownię. Skóra głowy i uszy nadal go szczypały po przemarznięciu. Na wszelki wypadek brał środki na rozrzedzenie krwi i antybiotyki. Na biegunie południowym zlekceważenie najdrobniejszych objawów - zsinienia palców u nóg, pieczenia czubków palców u rąk - mogło kosztować utratę kończyny albo nawet... życia. Zła pogoda nie ułatwiała prac na dworze; kiedy pakował wydruki do kieszeni kurtki, zastanawiał się, jak zimujący tu personel potrafi przetrwać. Pół roku fatalnej pogody to już nie lada wyzwanie, ale pół roku bez słońca to wprost niewyobrażalne.

Wiatr wiał z taką siłą, że Darryl musiał się skulić, by nie polecieć w tył. Brnął przed siebie, czepiając się lin rozciągniętych między pracowniami i pomieszczeniami mieszkalnymi. Po lewej ręce miał jasno świeczące lampy laboratorium botanicznego Ackerleya. Ostatnio go nie widywał i pomyślał, że byłoby miło wpaść do pracowni i pozdrowić botanika. Może nawet zerwać świeżą truskawkę. Albo dwie.

Kiedy dotarł do drewnianej kraty przy ramie, musiał się jej złapać i poczekać, aż przejdzie wyjątkowo potężny powiew wiatru, dopiero potem wdrapał się wyżej i wszedł do pracowni. Ackerley rozwiesił podwójną grubą plastikową kurtynę chroniącą przed przeciągami i gdy tylko Darryl ją rozsunął, poczuł znajome ciepło, wilgoć i jasne światło laboratorium. Trzeba tu częściej wpadać, pomyślał, to jak wakacje na wyspach Pacyfiku.

- Hej, Ackerley - zawołał, tupiąc na gumowych wycieraczkach. - Potrzebuję owoców do sałatki!

Ale odpowiedział mu nie głos Ackerleya, tylko Lawsona. Dobiegał zza metalowych półek. Darryl zdjął kurtkę, czapkę, rękawice i gogle, zawiesił to wszystko na chybottliwym wieszaku z kości wieloryba i udał się na poszukiwanie Lawsona.

Znalazł go na drabince, przy dojrzałych czerwonych truskawkach, rozpiętych na kratownicy nawilżającej powietrze. Wysoko wisały skupiska lśniących, wilgotnych owoców, a na stołach w przezroczystych pojemnikach wegetowały inne rośliny: pomidory, rzodkiewki, sałata, róże i co najcudowniejsze, orchidee - w różnych kolorach, od bieli, przez intensywny fiolet i czerwień, po złotą żółć. Wspinały się na dziwnie pochylonych łądygach jak wysięgniki żurawia dźwigowego.

- Co tu robisz? - spytał Darryl. - To nie robota Ackerleya?

- Tylko pomagam - odparł wymijająco Lawson.

- Tu jest jak na Hawajach - stwierdził Darryl, podnosząc głowę ku ostrym źródłom światła i ciepła, zamontowanym w suficie nad kratownicami. - Nic dziwnego, że Ackerley nie cierpi się stąd ruszać. - Łakomie zmierzył wzrokiem szczególnie soczystą truskawkę i spytał: - Myślisz, że by się rzucił, gdybym sobie coś zerwał?

Lawson spojrzał w dół i odparł:

- Nie. Śmiało.

Darryl zerwał najniższą truskawkę i wsadził ją sobie do ust. Wujek Barney był świetnym kucharzem, ale nic nie dorównywało świeżej truskaweczce prosto z krzaka.

- A tak przy okazji, gdzie on jest?

Lawson wzruszył ramionami.

- Spytaj Murphy'ego.

To wydało się Darryłowi dziwne. Czemu Murphy miałby wiedzieć takie rzeczy? Dziwne było też, że ktoś buszuje w królestwie Ackerleya pod nieobecność gospodarza; w dodatku Darryl wiedział, że botanik ma na ten temat takie same poglądy jak on.

Kiedy się dobrze rozejrzał, stwierdził, że pracownia też nie wyglądała jak trzeba. Zwykle panował w niej wzorowy porządek. Ale w jednej z bocznych alejek spostrzegł przewrócone szafki, a na podłodze torf, zarzucony sadzonkami mchów i porostów. Przy jednym z regałów stała miotła i szufelka, a nieopodal czarny plastikowy wór pełen odpadków. Co się tu dzieje? zachodził w głowę. Lawson dostał awans na pomocnika ogrodnika?

Spróbował jeszcze kilku podejść, licząc na to, że Lawson w końcu się rozgada, ale jedynie odniósł wrażenie, że tamten tylko marzy o tym, by się wyniósł. Normalnie gość był

dość otwarty - czasami wręcz towarzyski - ale nie dzisiaj. Może nowe obowiązki nie wprawiały go w zachwyt i po prostu chciał mieć je jak najszybciej z głowy.

Darryl podziękował mu za truskawkę i z powrotem nałożył na siebie całe polarne oporządzenie. Czasem odnosił wrażenie, że połowę czasu, jaki spędza na biegunie, zajmuje wkładanie i zdejmowanie warstw odzieży. Wszedł z pracowni i brnąc w śniegu, ruszył do głównego modułu, chwytając się liny. Padał tak gęsty śnieg, że miejscami widział tylko na odległość kilku jardów, lecz gdy się zbliżył do modułu administracji, zobaczył, jak nisko pochyleni Murphy i Michael człapią przez podwórze w kierunku magazynów. Zawołałby do nich, ale wiedział, że wiatr go zagłuszy. Tak więc pozostało mu tylko iść za nimi. Doszli do jednej z szop, otworzyli kłódkę na drzwiach z blachy falistej i zniknęli w środku.

To zaciekało Darryla. Nigdy nie podsuwaj naukowcowi pod nos tajemnicy, pomyślał. Nie spocznie, póki jej nie rozwiąże.

Ostrożnie wszedł do szopy, stał śnieg z gogli i się rozejrzał. Stał w czymś w rodzaju przedsionka, ale nawet to miejsce zastawiono skrzyniami z żywnością i sprzętem. Kawalek dalej była druga para stalowych drzwi, również otwarta, prowadząca do dużego magazynu pełnego lodówek na mięso.

Wszedł tam i zamarł. Murphy błyskawicznie się odwrócił i celował do niego z rewolweru. Michael również był uzbrojony. Trzymał kuszę do polowań podwodnych.

- Matko Boska, co ty tu do cholery robisz? - spytał szeptem kierownik.

Darryl nadal był tak zszokowany, że nie potrafił wydusić z siebie słowa.

- Dobra, co się stało, to się nie odstanie - powiedział Michael, opuszczając kuszę. - Trzymaj się z tyłu i bądź cicho.

- Dlaczego?

- Zaraz się dowiesz.

Murphy pierwszy szedł ostrożnie przejściem pomiędzy wysokimi na dziesięć stóp rzędami pudeł i skrzyń. Dotarli do rogu alejki. Pokazała się długa drewniana skrzynia z napisem PRZYPRAWY HEINZA. Nad nią, na grubej rurze, nie wiadomo po co wisiały zakrwawione kajdanki.

- Cholera - zaklął półgłosem Murphy. - Cholera, cholera.

Czego do diabła szukają? zapytał się w duchu Darryl. Czego się spodziewają? Przez sekundę pomyślał, że może Danzig wrócił. Ale czy nie dostał w pierś bełtem z kuszy i nie wylądował na wieczność na dnie morza?

- Ackerley! - zawołał lekko podniesionym głosem Murphy.

- Jesteś tam?

Ackerley? To jego szukali? Akurat tutaj? Jeśli tak, to czego się do diabła bali? Facet był tak nieszkodliwy jak jeden z jego ogórków.

Odpowiedziało im ciche skrzywienie, jakby odgłos ołówka sunącego po papierze. Przekradli się do następnej alejki. Też była pusta, ale skrzywienie stało się wyraźniejsze. Murphy przeszedł do następnej alejki, trzymając broń przed sobą, i tam zobaczył Ackerleya - a przynajmniej kogoś podobnego do niego. Był jeszcze bardziej wychudły niż zwykle. Koński ogon opadał mu luźno na plecy jak zdechła wiewiórka. Na ramionach miał podarty plastikowy wór. Siedział na skrzyni z coca-colą. Przy nogach miał puste puszki i porozrzucane kartki - zapisane ołówkiem faktury, zapewne wyjęte ze skrzyń. Na kolanach trzymał podkładkę do notowania. Zapełniał wolną stronę kolejnej faktury, gryzmołąc ze skupieniem fizyka rozwiązującego szczególnie skomplikowane równanie.

- Ackerley! - zawołał Murphy.

- Nie teraz - odparł tamten, nie podnosząc głowy. Okrągłe okulary zjechały mu prawie na czubek nosa.

Murphy i Michael wymienili spojrzenia, jakby chcieli zapytać „Co teraz?”. Wstrząśnięty Darryl tylko wytrzeszczał oczy. Co się stało Ackerleyowi? Częściowo otulone plastikiem gardło miał rozszarpane. Nadgarstek lewej ręki, ledwo podtrzymujący podkładkę, wyglądał na złamany i posiniaczony. Płatki zaschniętej krwi pokrywały skórę.

- Co robisz? - spytał z wystudiowaną obojętnością Michael.

- Piszę.

- O czym?

Ackerley nie przestawał pisać.

- O czym piszesz? - powtórzył pytanie Murphy.

- O umieraniu.

- Nie wyglądasz mi na umarłego - powiedział Darryl, chociaż nie była to całkiem prawda.

Ackerley skończył zdanie i powoli uniósł oczy. Miały czerwone obwódki. Nawet białka były lekko różowe.

- Och, umarłem - powiedział. - Tylko jeszcze nie zacząłem gnić. - Kiedy mówił, rozległ się cichy gulgot. Pociągnął łyk z otwartej puszki i wypuścił ją z ręki.

Murphy bezwiednie zniżył rewolwer - Ackerley wskazał broń.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego.

Murphy szybko uniósł rewolwer, podczas gdy Ackerley upuścił na podłogę ostatnią kartkę, gdzie dołączyła do innych.

- Ponumerowałem je - powiedział - żebyście mogli się połapać.

- Połapać w czym? - spytał Michael.

- W tym - odparł Ackerley - co się dzieje potem.

Zapadła cisza. Nagle Ackerley zdarł z gardła plastikowy worek; ciało miał w tym miejscu tak poszarpane, że Darryl był zdziwiony, że w ogóle może mówić. Widać było pulsujące struny głosowe.

- Teraz - rzekł Ackerley, ruchem głowy wskazując broń - lepiej zrób z niego użytek.

- O czym ty mówisz? - powiedział Murphy. - Ani myślę cię zastrzelić. Coś wykombinujemy.

- Zgadza się - wtrącił Michael. - Porozmawiamy z doktor Barnes. Musi być jakiś sposób, żeby ci pomóc.

- Zrób z niego użytek - powtórzył upiornie chrapliwym głosem Ackerley - a potem na wszelki wypadek skremujcie szczątki. - Powoli uniósł stopę, robiąc niepewny krok w ich kierunku.

- W innym wypadku możecie skończyć jak ja. - Wszyscy trzej pośpiesznie się cofnęli. - To łatwo przechodzi z jednego nosiciela na drugiego.

- Co przechodzi? - spytał Darryl, wpadając na półkę z naczyniami, które zagrzechotały w skrzynkach.

- Infekcja. Albo przez krew, albo przez ślinę. Wygląda na to, że do pewnego stopnia skaża wszystkie płyny ciała. Jak AIDS. - Zbliżył się do nich chwiejnie i wlepiając oczy w broń, wybełkotał:

- Zrób to albo was pozabijam. Nie miejcie złudzeń. Wątpię, żebym miał jakiś wybór. - Zamrugał powoli. Kopnął jedną z puszek w ich kierunku - leniwie zatoczyła łuk na betonie.

Michael chciał go powstrzymać, przykładając mu do piersi kuszę, lecz Ackerley odepchnął ją na bok.

- Zróbcie użytek z rewolweru - powiedział. - Nie wolno wam chybić.

Nadal szedł przed siebie i trzej mężczyźni mieli coraz mniej miejsca za plecami. Darryl wycofał się w alejkę ze sprzętem kuchennym, ale z małej odległości dojrzał, że chociaż Ackerley ma w oczach szaleństwo, to jest tam również krańcowa determinacja. Mówił poważnie.

- Strzelaj! - krzyknął Ackerley. Z rozerwanego gardła wyskoczył pęcherzyk krwi. - Zastrzel mnie!

Wyciągnął ręce do Murphy'ego, jakby chciał go złapać za ramię.

Broń wypaliła z hałasem. W zimnych zakamarkach magazynu przez chwilę niosły się echa wystrzału. Głowa Ackerleya odskoczyła w tył, okulary poleciały w powietrze i spadły na betonową podłogę.

Ale oczy miał nadal otwarte i jeszcze raz powtórzył bezdźwięcznie „strzelaj”, zanim nagle znieruchomiał. Ostatnia krwawa bańka urosła i pękła mu w gardle.

Ręka Murphy’ego dygotała, opuścił ją do boku.

Darryl chciał uklęknąć przy ciele, ale Michael ostrzegł go:

- Zaczekaj.

Darryl się wyprostował.

- No - powiedział drżącym głosem Murphy - niech ma trochę miejsca.

- Myślę - rzekł z powagą Michael - że po prostu musimy chwilę poczekać.

Tak więc usiedli na drewnianych skrzyniach, jeden obok drugiego w nierównym kręgu. Opuścili głowy, ale nie spuszczaali oczu z trupa. Jak długo czekali, tego Darryl nie był pewien. Ale Michael w końcu ukląkł, sprawdził puls i nasłuchiwał bicia serca. Potrząsnął głową na znak, że ani jedno, ani drugie nie jest wyczuwalne.

- Pewnie masz rację, ale w najmniejszym stopniu nie zamierzam ryzykować - powiedział Murphy.

Darryl miał dość oleju w głowie, by siedzieć cicho. Murphy miał zrobić to, co chciał zrobić, i lepiej było nie drażnić sprawy.

ROZDZIAŁ 43

20 grudnia, 23.00

Michael od miesięcy zbierał siły na tę rozmowę, ale kiedy do niej doszło, jednak doznał wstrząsu.

- To było błogosławieństwo - powtórzyła co najmniej trzeci raz Karen. - Oboje znaleźliśmy Krissy i wiemy, że nie chciałyby, żeby to się tak ciągnęło.

Nastąpił kres czuwania. Siedział w ciasnym pokoju łączności, skulony jak po ciosie w żołądek - bo to był cios. Poprzedni rozmówca zostawił obok urządzeń do łączności satelitarnej niedokończoną krzyżówkę.

- Kiedy dokładnie to się stało?

- Koło północy, w czwartek. Nie zadzwoniłam od razu, bo mieliśmy tu istny dom wariatów. Domyślasz się.

Próbował sobie przypomnieć, co porabiał w czwartek wieczorem, ale mimo że minęło tak niewiele czasu, miał z tym problem. Na Antarktydzie wszystko było takie płynne; nie zawsze udawało się ustalić, jaki jest dzień tygodnia, co dopiero przebieg zdarzeń kilka dni wstecz. Gdzie był, co wtedy robił? Chociaż niby taki praktyczny i realista, uważał, że powinien był wiedzieć, co się dzieje. Powinien mieć jakieś nadmysłowe przeczucie, że Kristin odchodzi. Że odeszła na zawsze.

- Oczywiście, matka po cichu wini ojca. Według niej gdyby zostawił Krissy w szpitalu, nadal by żyła, jeśli można to tak nazwać.

- Ja nigdy bym tego tak nie nazwał.

Karen westchnęła.

- I Krissy też nie.

- A co z pogrzebem?

- Jutro. Bardzo skromny. I... pozwoliłam sobie zamówić słoneczniki w twoim imieniu.

To był dobry wybór. Słoneczniki - wielkie, odważne w rysunku i jasnożółte - były ulubionymi roślinami Kristin. „To żadne kwiaciarziane dziadostwo - powiedziała mu kiedyś, gdy szli polem słoneczników w Idaho. - One mówią, hej, patrzcie na nas, jesteśmy wielkie, jesteśmy żółte i nie zamierzamy się zmieniać!”.

- Dzięki - rzekł Michael. - Mam wobec ciebie dług.
- Całe dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. Daj sobie z tym spokój.
- Wiesz, że chodzi mi o wszystko... i o tę rozmowę też.
- No, to kiedy wrócisz do Tacomy, możesz mi postawić danie dnia w twoim ulubionym greckim barze.

- Olympic.

Zapadła cisza przerywana cichymi trzaskami elektrostatycznych wyładowań.

- Zatem - przerwała ją Karen - kiedy wracasz?
- Przepustka NSF jest ważna do końca miesiąca.
- A potem gdzie? Po prostu wyrzucą cię na biegunie?
- Wsadzą mnie do samolotu, który przyleci z żywnością.
- Znalazłeś to, po co przyleciałeś? Masz dobry materiał?

Gdyby Michael był w nastroju do śmiechu, roześmiałby się. Od czego miał zacząć opis tego, co mu się przydarzyło? Mruknął tylko:

- No, powiedzmy, nie wydaje mi się, żeby zabrakło mi materiału.

Kiedy się rozłączyli, utknął przy biurku, wpatrując się w krzyżówkę. Zawadził wzrokiem o hasło: „Fotografka ludzi z marginesu”. Pięć liter. Sięgnął po zostawiony niebieski długopis i napisał: „Arbus”. A potem tylko siedział, obracając długopis w palcach, zagubiony w myślach, ogarniając to, czego się dowiedział.

- Hej, skończyłeś? - spytał jeden z trepów, wsadzając głowę przez drzwi.

- Uhm - odpowiedział Michael, odrzucając długopis na biurko - jak najbardziej skończyłem.

Wrócił do pokoju, Darryl już tam był. Michael wiedział, że za żadne skarby nie zaśnie - chyba że dzięki pigułce nasennej, ale z tym chciał przyhamować, szykując się do powrotu do prawdziwego świata. Spakował do plecaka laptop, stos zapisanych kartek i zarzuciwszy plecak na ramiona, mężnie pokonał ostatnie podmuchy zadymki, idąc do sali klubowej, gdzie rozłożył cały swój majdan. Zgodnie z cytowaną przez Murphy'ego prognozą miała nastąpić krótka poprawa pogody. Mógłby pojechać do Stromviken i poszukać nieuchwytnego porucznika Copleya.

Tyle o nim usłyszał od Eleanor, że bardzo chętnie by go poznał.

Wziął kawę z automatu i wyłączył telewizor. Jako że leciał *Notting Hill* z DVD, odgadł, iż ostatnimi gośćmi były Betty i Tina. Lecz teraz sala była rozkosznie pusta. Zegar ścienny wskazywał kilka minut po północy. Michael włączył odtwarzacz CD i rozległy się ogłuszające dźwięki Beethovena - nawet on rozpoznał początek V Symfonii. Była to

składanka, niewątpliwie należąca do jednej ze zlewek. Ściszył muzykę, usiadł w głębi, przy stoliku do gry w karty, i rozłożył zgromadzone materiały.

Nie myśl o Kristin, powiedział sobie, gdy dotarło do niego, że siedzi co najmniej przez całą jedną część utworu zajęty wyłącznie myślami o niej. Skup się na czymś innym.

Jego wzrok padł na przyniesioną pracę - a dokładnie na luźne kartki, które Ackerley zapisał w starym magazynie mięsa - i mało się nie roześmiał. Biegun południowy sływał z braku rozrywek.

Trudne do odcyfrowania zawijasy przypomniały Michaelowi o naklejkach, które botanik starannie umieszczał na szufladach z mchami i porostami w swojej pracowni. Lecz te zapiski były wyjątkowo nieczytelne, pomazane krwią i sporządzone na tylnych stronach faktur i zestawień magazynowych.

Na pierwszych dwóch - zgodnie z zapowiedzią Ackerley starannie ponumerował je w górnym prawym rogu - był opis ataku. Ackerley odwróciwszy się, zobaczył Danziga toczącego się do stołu laboratoryjnego. „Pamiętam, że zostałem przewrócony na podłogę - zniszczyłem wyhodowaną orchideę (rodzaj *Cybidium*) - i napadnięty z wielką agresją, chociaż bez żadnej prowokacji z mojej strony. Ten napad mimo że pozornie przypadkowy i bezsensowny, okazał się celowym zamierzeniem”.

Oszołomiony Michael odsunął się od stolika. Jedno musiał przyznać Akcerleyowi; nawet po tym jak został bestialsko okaleczony - i na dodatek po śmierci przywrócony do świata żywych - zdołał zachować opanowanie, spokój ducha i styl człowieka nauki. Te sporządzone w ponurej szopie, przez człowieka cierpiącego katusze notatki czytało się jak artykuł do naukowego czasopisma, wysłany z prośbą o recenzję.

„Oceniając z dystansu wysiłki pana Danziga - pana Danziga? - chociaż pozornie szaleńcze i niezborne, miały na celu jedno: rozdarcie skóry i dotarcie do krwi. Co leżało u podłoża tego zachowania i których komponentów krwi najbardziej pożądał, nie było jasne w czasie zdarzenia i nadal takim pozostaje. Jednakże w sposób nieunikniony przypomniła mi się *Nepenthes ventricosa*²⁴ i jej potrzeba spożywania krwi innych organizmów”.

Opanowanie Ackerleya było niewiarygodne.

„Śmierć - w każdym dotychczas znanym znaczeniu tego słowa - nastąpiła nie później niż minutę lub dwie po początku zdarzenia. Czas między tamtym momentem a tym, co od tamtej pory będę nazywał Odzyciem, nie jest mi znany, chociaż jak się upewniłem, jeśli nawet rozpoczął się jakikolwiek proces gnilny, nie przybrał poważnego charakteru (zapoznać się z

²⁴ Dzbanecznik rozdęty, roślina owadożerna.

wykresami danych chorobowych i rozkładu). Wygląda na to, że szybkie zamrożenie moich szczątków okazało się w tym względzie pomocne”.

Następnych kilka wersów było beznadziejnie zatarte i Michael musiał poszukać kolejnych stron. Leżały przed nim na stole jak rozrzucone puzzle.

„Odżycie było stopniowe - kontynuował Ackerley na marginesach zamówienia - niezwykle przypominało obudzenie się z głębokiego, jak sobie wyobrażam, hipnotycznego snu. Nie zdając sobie sprawy z tego, kiedy się to stało, przeszedłem granicę między snem i rzeczywistością, prawie natychmiast poczułem się zdezorientowany i wpadłem w panikę. Byłem w całkowitej ciemności, skazany na pobyt w nie wiedzieć jakim zamknięciu i, oczywiście, ogarnął mnie straszliwy lęk, że zostałem pogrzebany żywcem. Mówiąc wprost, wrzeszczałem i tłukłem rękami o granice mojego więzienia. Ku mojej wielkiej uldze okazało się, że ograniczają mnie tylko plastikowe płachty, które z łatwością przebiłem i poszarpałem na strzępy”.

Mój Boże, pomyślał Michael. Męki Ackerleya były jak z Edgara Allana Poeego - a fakt, że sam przyłożył do nich rękę, sprawił, że poczuł ukłucie winy.

„Lecz lewa ręka nie wiedzieć czemu była zakuta w kajdanki i przyczepiona do biegnącej wysoko rury. To wzbudziło we mnie przekonanie, że ktoś - pan O'Connor? - miał powód przypuszczać, że (a) ktoś z zewnątrz może porwać moje ciało (w jakim celu?) lub (b) nie należy wykluczyć czegoś w rodzaju Odżycia. Dopiero po kilku godzinach szarpaniny - podczas których doszło do obrażeń skóry i jak mniemam, zwichnięcia trzech palców - wyswobodziłem się.

Wolny, muszę odnotować, że najsilniej odczuwałem pragnienie. Obezwładniające pragnienie. Nie pomogły napoje znalezione w magazynie. Do tego miałem zakłócenia widzenia. Jestem naukowcem - lub dokładniej biorąc, byłem naukowcem, jako że mój obecny i bardzo nienaturalny stan na pewno niebawem dobiegnie końca - i uważam, że dopóki władam pamięcią, winieniem opisać możliwie najlepiej jak potrafię wrażenia, których doznałem”.

Michael musiał poszukać następnej kartki. Znalazł ją pod kubkiem na kawę. Ta część zapisków była na odwrocie ulotki reklamowej piwa Samuel Adams.

„Wszystko w polu widzenia wydawało się wypłowiałe. Jakby oświetlone słabymi jarzeniówkami. Ciemnawe. Ale że mrugałem - i to raz za razem - następowało jakby odświeżenie obrazu, który potem znów jakby przygasał. Mrugam nawet teraz, by móc pisać. Możliwe, że to oftalmologiczne zjawisko jest oznaką słabnięcia Odżycia. Na wszelki

wypadek będę pisał szybciej. PS. Proszę przekazać wyrazy miłości i moje rzeczy osobiste mojej matce, pani Grace Ackerley, French Street 505, Wilmington, stan Delaware”.

W tym miejscu Michael musiał przerwać lekturę. Jezu, szepnął w myślach. Sięgnął po kubek z kawą i czytał dalej.

„Pojawiły się też pewne kłopoty z oddychaniem, jakby niedotlenienie, co prowadziło do zawrotów głowy, chociaż płuca i drogi oddechowe nie były w najmniejszym stopniu zajęte”.

Michael poczuł, że jest obserwowany, zanim nawet się przekonał, iż tak jest w istocie. Uniósł oczy znad kubka i w szerokim łukowatym wejściu do sali klubowej dostrzegł szczupłą postać w wielkiej pomarańczowej kurtce.

Mimo że kaptur zasłaniał niemal całą twarz, a kurtka sięgała do podłogi, wiedział, że to Eleanor.

Odstawił kubek i spytał:

- Czemu nie w łóżku?

Jednak tak naprawdę na końcu języka miał: „Dlaczego opuściłaś gabinet? Powinnaś przejść kwarantannę i na pewno nie wolno ci paradować po korytarzach”.

- Nie mogę spać.

- Doktor Barnes może dać ci coś, co pomoże ci zasnąć.

- Dość się naspałam. - Kaptur odwrócił się w lewo, w prawo, kiedy niespokojnie rozejrzała się po sali. - Słyszałam muzykę.

- Tak - powiedział. - Beethoven. Ale może go rozpoznałaś.

- Tak, znam niektóre kompozycje *Herr* Beethovena. Ale...

- To kompakt - rzekł, wskazując odtwarzacz na szafce.

- Gra muzykę. - Wstał, podszedł do odtwarzacza CD, nacisnął przycisk STOP, potem START. Rozległy się pierwsze dźwięki *Sonaty księżycowej*.

Zauroczona Eleanor weszła do sali i zsunęła z głowy kaptur. Ruszyła prosto do urządzenia i stanęła kilka kroków przed głośnikami, niemal tak, jakby się bała ich dotknąć. Kiedy Michael, chcąc zrobić na niej wrażenie, nacisnął klawisz przewijania, przechodząc do V Koncertu fortepianowego - i znów rozległo się pełne brzmienie orkiestry - otworzyła szeroko oczy, jeszcze bardziej urzeczona. Spojrzała na niego z... uśmiechem na ustach. Pierwszym uśmiechem wyrażającym szczery zachwyt, jaki u niej zobaczył. Oczy jej błyszczały i o mało nie roześmiała się głośno.

- Jak to potrafi tak robić? To jak w Covent Garden!

Michael nie był zbyt dobrze przygotowany do wykładu z historii elektronicznych urządzeń audio - tym bardziej że kompletnie nie miał pojęcia, od czego zacząć. Ale ucieszył się z jej wyraźnego zachwytu.

- To skomplikowane - rzekł zwyczajnie. - Ale obsługa jest prosta. Jak chcesz, mogę ci pokazać.

- Dziękuję, bardzo bym chciała.

Nie miał nic przeciwko temu, ale że w powietrzu rozchodził się silny aromat kawy, spytał ją, czy nie miałyby na nią ochoty.

- Tak, z przyjemnością - odparła. - Już piłam turecką kawę. W Warnie i Chryzopolu.

- No, tę odmianę nazywamy Folgers. To ten sam gatunek.

Napełniając kubek, cały czas patrzył na drzwi. O tej porze raczej nie należało się nikogo spodziewać, ale gdyby jednak ktoś wpadł, Michael nie miał zielonego pojęcia, jak wytłumaczyćby jej obecność. Na Cyplu Adeli nowe twarze nie pojawiały się znikąd.

- Cukier? - spytał.

- Jeśli łaska.

Potrząsnął torebką cukru, rozerwał ją i wsypał zawartość do kubka. Przypatrywała się z ciekawością nawet temu i kolejny raz sobie uświadomił, że każda, ale to każda rzecz w tym świecie - w dzisiejszym świecie - pewnie wydaje się dziwna, obca i czasem nawet niepokojąca komuś, kto się w nim nie urodził.

- Zaproponowałbym ci mleko, ale chyba go zabrakło.

- Wyobrażam sobie, że jest bardzo trudno o mleko w tak odległym miejscu. Przecież nie hodujecie tu krów, prawda?

- Nie, nie hodujemy - potwierdził jej przypuszczenie Michael. - Masz rację. - Podał jej kubek i zapytał, czy nie chciałaby usiąść.

- Nie, dziękuję.

Z kubkiem w ręku obeszła salę klubową, przypatrując się wszystkim sprzętom, począwszy od stołu do tenisa stołowego - zatrzymała się przy nim, odbijając kilka razy piłeczkę - do plazmowego telewizora - który obejrzała, nie pytając, co to na Boga jest; na szczęście nie był włączony. Michael nie czuł się na siłach zagłębiać w to wszystko. Na ścianach wisiały oprawione postery - niewątpliwie dostarczone przez jakąś agencję rządową - upamiętniające narodowe triumfy. Na jednym widniała olimpijska drużyna hokeja na lodzie, fetująca zdobycie mistrzostwa w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, na drugim Chuck

Yeager²⁵ z hełmem w rękę obok samolotu testowego X-1, a ostatni, przed którym Eleanor się zatrzymała, pokazywał Neila Armstronga w skafandrze kosmicznym wbijającego amerykańską flagę na Księżycu. Błagam, nie, jęknął w myślach Michael. Nigdy w to nie uwierzy.

- Czy on jest na pustyni - spytała zaciekawiona - nocą?
- Coś w tym rodzaju. Jak najbardziej.
- Jest ubrany prawie tak samo jak my tutaj.

Odstawiła kubek na telewizor. Zdjęła kurtkę i odłożyła ją na krytą plastikiem, zniszczoną kanapę. Znow miała na sobie swoje rzeczy, świeżo wyprane i wyprasowane. Wyglądała w nich tak, jakby zeszła z obrazu. Suknia granatowa, z białymi mankietami, kołnierzykiem, szerokimi rękawami; na piersi broszka z kości słoniowej. Buciki z czarnej skóry zapinane na guziki, cholewka sięgająca dobrze nad kostkę. Włosy szesane do tyłu, chwyczone bursztynowym grzebieniem, którego wcześniej Michael nawet nie zauważył.

Zerknęła na stolik, przy którym wcześniej siedział, i spytała:

- Nie przerwałam ci pracy?
- Nie, bynajmniej. - Zapiski Ackerleya były ostatnią rzeczą, którą chciałby jej pokazać, więc się cofnął i szybko je pozbierał. Na górze wylądowała reklama piwa.

- Jesteś niespokojny - stwierdziła.

- Tak?

- Wciąż patrzysz na drzwi. Naprawdę się tak boisz, że moja obecność zostanie odkryta?

Wszystko zauważy, pomyślał.

- Nie chodzi o moje dobro - powiedział. - Chodzi o twoje.

- Ludzie stale coś robią przez wzgląd na moje dobro - westchnęła zamyślona. - Tylko, dziwna rzecz, ja na tym cierpię.

Podeszła do pianina i musnęła klawisze.

- Możesz zagrać, jeśli masz ochotę.

- Nie, kiedy orkiestra... - powiedziała, wskazując odtwarzacz grający nastrojową muzykę.

Miała słodki głos i akcent bohaterki powieści Jane Austen.

Wyłączył odtwarzacz - spojrzała na niego jak na magika, który właśnie się popisał - i podsunął jej ławę przed pianinem.

²⁵ Charles Elwood Yeager - amerykański as lotnictwa z II wojny światowej i pierwszy pilot oblatywacz, który przekroczył barierę dźwięku.

- Proszę bardzo - zaprosił ją. Nie usiadła, ale zgadywał, że aż ją świerzbią palce. - Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

Był pewien, że zrozumie to powiedzenie.

Uśmiechnęła się i zamrugła. Powoli. Jej powieki poruszyły się z gracją migawki przesłony staromodnego aparatu fotograficznego. Wstrząśnięty Michael stał jak wmurowany. Czy tak jak to opisał Ackerley, wszystko wydawało się jej „spłowiełe”? I czy „odświeżyła obraz”?

Impulsywnie zagarnęła suknię i usiadła na ławce. Nie dotykając klawiszy, rozłożyła szcuple blade palce. Michael znów się obejrzał na drzwi i w tym momencie usłyszał starą tradycyjną piosenkę *Barbara Allen*, znaną mu z biało-czarnej wersji *Opowieści wigilijnej*. Spojrzał na Eleanor. Pochyliła głowę nad pianinem, ale znów zamknęła oczy. Kilka razy pomyliła klawisze, przerwała i podjęła melodię na nowo. Była... wniebowzięta. Jakby po bardzo długim okresie w końcu znalazła się w miejscu i czasie, o którym marzyła.

Michael stał za nią, łypiąc co chwilę na drzwi - w końcu zrezygnował z obowiązków wartownika i tylko słuchał muzyki. Grała dobrze, mimo że od czasu do czasu jeszcze się myliła. Miała w sobie bogactwo uczucia i wyrazu. Tak jak się Michael domyślał, przez długi czas to wszystko było w niej szczelnie zapieczętowane.

Skończywszy utwór, siedziała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. A gdy je znów otworzyła - Michael nie mógł nie zauważyć, ile w nich było życia i szmaragdowego blasku - powiedziała:

- Obawiam się, że troszeczkę wyszłam z wprawy.

- Jesteś jak najbardziej usprawiedliwiona.

Skinęła głową i uśmiechnęła się, pogrążona we wspomnieniach.

- Umiesz grać? - spytała.

- Tylko *Chopsticks*²⁶.

- Co to?

- To niezwykle skomplikowany utwór, zarezerwowany wyłącznie dla wybitnych solistów fortepianu.

- Naprawdę? Z przyjemnością go posłucham - wyznała, podnosząc się.

- Nie wstawaj - powiedział. - To tylko chwilka.

Usiadł obok niej na ławie i gdy nieco się odsunęła, położył na klawiaturze palce wskazujące i zaczął tłuc w pianino. Będąc tak blisko niej, poczuł mocny zapach mydła; gdy

²⁶ „Sławny rąbany walc” prosty, niezwykle popularny walczyk z 2. połowy XIX w.

skończył i podniósł wzrok, ciekaw, czy ją rozbawił, zdał sobie sprawę, że popełnił okropną pomyłkę. Policzki Eleanor płonęły żywym ogniem, oczy wbijała w podłogę. Grając ocierał się o nią ramieniem, dotykał stopą jej buta. Była wstrząśnięta tym nagłym fizycznym kontaktem. Była wstrząśnięta, ale jednocześnie tak bardzo nie chciała go urazić, że się nie zerwała, nie odsunęła, tylko czekała grzecznie, aż skończy.

- Przepraszam - wybąkał Michael, wstając. - Bynajmniej nie było moim zamiarem cię obrazić. Zapomniałem...

O czym? spytał się w duchu. O tym, że sto pięćdziesiąt lat temu moje zachowanie uznano by za nadzwyczaj śmiałe?

- Chodzi tylko o to, że w dzisiejszych czasach to nic poważnego...

- Nie obraziłeś mnie - powiedziała. Miała napięty głos. - To... to bardzo interesujący utwór. - Wygładziła suknię. - Dziękuję ci za to, że mi go zagrałeś.

- A, tu jesteś! - rozległo się od drzwi i Michael zobaczył Charlotte w narzuconej na dres rozpiętej kurtce i gumowych butach. Odetchnęła z wielką ulgą. - Zrobiłam kontrolę łóżek i kiedy zobaczyłam, że cię nie ma, wyobraziłam sobie wszystkie możliwe katastrofy.

- Czuję się znakomicie - zapewniła ją Eleanor.

- Nie wiem, czy wystawiłabym ci tak dobrą ocenę - odparła Charlotte - ale na pewno masz się lepiej. To widać.

- Na pewno zdajesz sobie sprawę, że nie mogę wiecznie siedzieć w zamknięciu.

Charlotte miała taką minę, jakby nie bardzo chciała zagłębiać się w ten temat.

- Nie wykradłeś jej, co? - spytała Michaela.

Uniósł ręce na znak niewinności, a Eleanor przyszła mu z odsieczą.

- Nie, nie wykradł - po czym dodała: - Bardzo długo byłam pozbawiona wielu rzeczy, również wolności, ale jest coś, co mimo wszystko zachowałam. - Michael i Charlotte czekali, by skończyła. - Nadal mam wolną wolę.

Te słowa były jak przebłysk nadziei.

ROZDZIAŁ 44

21 grudnia, 15.15

- Wampiry.

To słowo zawisło w zatłoczonym biurze Murphy'ego jak zgniły owoc i nikt nie miał ochoty pierwszy spróbować, jak smakuje. Rzucił je Darryl. W pomieszczeniu siedzieli też Michael, Charlotte i Lawson - oszołomieni, czekając, aż ktoś inny coś wybąka. W końcu kierownik był zmuszony przerwać milczenie.

- Wampiry - powtórzył. - Mówisz, że to z nimi mamy przyjemność?

- To tylko kwestia nazewnictwa - powiedział Darryl. - Wziąłem parę próbek krwi Ackerleya, zrobiłem analizę i okazało się, że ma te same niesamowite właściwości co krew Danziga. - Odwracając się do Charlotte, dodał: - Tak przy okazji, jest identyczna jak ta z próbki, którą mi podrzuciłaś. Tej oznaczonej E.A.

- Eleanor Ames - powiedziała Charlotte i gdy Murphy rzucił jej spojrzenie mówiące „to miała być tajemnica”, wypaliła: - Póki będziemy siedzieć z gębami na kłódkę, póty do niczego nie dojdziemy. Czy nie moglibyśmy po prostu podzielić się informacjami?

Michael musiał się z tym zgodzić.

- Eleanor Ames to imię i nazwisko tej kobiety z lodu - wyjaśnił Darrylowi.

- Śpiącej Królowy?

- Znaleźliśmy ją w Stromviken.

- Jak się tam dostała?

- Psim zaprzęgiem.

- No ale kto ją zabrał? I dlaczego?

- Pojechała z własnej woli. Z Sinclairem, tym facetem, którego zamrozili razem z nią.

- Nie rozumiesz, o co pytam. Kto prowadził zaprzęg?

- Oni są żywi - powiedział Michael. - Pojechali sami. Zrozum, że właśnie to chcę ci powiedzieć.

Darryl wybuchnął śmiechem i nawet się klepnął w kolano.

- No pewnie, jak najbardziej. Myślałem, że to spotkanie na serio.

- Jest na serio - powiedział Michael.

Darryl się rozejrzył, patrząc kolejno na Lawsona, Charlotte i Murphy'ego, i przekonał się, że nikt się nie śmieje. Uśmiech zniknął również z jego twarzy.

- Ja cię kręcę - rzekł z powagą.

- Zgadza się, ja cię kręcę - powtórzył za nim Murphy.

- Przechodziła kwarantannę w sali chorych - dodał Michael. Nie widział powodu, by wspominać o niewinnej wycieczce do sali klubowej.

Darryl znów się rozejrzył, aby się upewnić, że nikt nie stroi sobie z niego żartów, ale wyraz twarzy wszystkich przekonał go, że sprawa jest poważna. Jego pierwszą reakcją było oburzenie.

- I nie powiedzieliście mi? Wszyscy wiedzieli i nikt nie pomyślał, że ja też powinienem wiedzieć? Zwłaszcza że to ja musiałem wykonać całą brudną robotę w laboratorium?

- Ja o tym zdecydowałem - przyznał się Murphy. - Nie chciałem, żeby to się rozeszło. Dość cyrku było do tej pory.

Darryl jeszcze trochę pobulgotał ze złości, ale po paru protestach dał się ugłaskać i ogłosił wyniki swoich badań.

- No więc ich krew... w tym waszej panny Ames, którą naprawdę chciałbym kiedyś poznać, skoro w końcu dopuściliście mnie do kręgu wtajemniczonych... nie przypomina krwi żadnego żyjącego człowieka, którą widziałem.

- Pod jakim względem? - spytała Charlotte.

Michael miał wrażenie, że lekarka coś ukrywa. Jak mieli się z tym wszystkim uporać, skoro każdy coś trzymał w tajemnicy?

- Nie chodzi tylko o małą ilość czerwonych ciałek - rzekł Darryl. - Rzecz w tym, że ta krew je wręcz zżera. Jakby pochodziła od zimnokrwistych stworzeń, które chcą stać się gorącokrwiste. Powiedzmy, jakby gad albo któryś z tych okazów ryb, które wyciągnąłem z dna, próbował naśladować ssaki, wchłaniając hemoglobinę - ale że raz za razem mu się to nie udaje, musi uzupełniać jej zapas.

- No ale tu mamy krew ludzką. Więc jej posiadacz uzupełniałby swój zapas tylko krwią innych ludzi? - zasugerował Michael.

- Nie jestem tego pewien. Fakt, jest coś takiego jak bariera międzygatunkowa, więc niby masz rację, ale ta choroba jest tak dziwna, że za nic nie ręczę. Sądzę, że ten, kto by na nią cierpiał, nie wybierałby między ofiarami. Miałby tak potworną anemię, że nie byłby wybredny. Narkoman na głodzie też jest gotów wziąć byle świństwo.

- Ale jak tego rodzaju istoty mogłyby w ogóle przetrwać - zapytała go Charlotte, siedząca na brzegu składanego krzesła - pozbawione czerwonych ciałek krwi? Skąd brałyby tlen? Ich

organy przestałyby funkcjonować, mięśnie i inne tkanki uległyby rozkładowi. Czy po prostu nie zabrakłoby im energii?

- To samo napisał Ackerley w swoich pośmiertnych notatkach - wtrącił Michael.

Teraz z kolei Charlotte wyglądała na zdziwioną - jakie notatki? - ale Michael dał jej znać, że wyjaśni wszystko potem. Wciąż było za w i e l e tajemnic.

- Przyznał, że brakowało mu tlenu - ciągnął dalej Michael - że bez względu na to jak głęboko oddycha, wciąż ma puste płuca. I do tego musiał wciąż mrugać, żeby wyraźnie widzieć.

- Tak, to się trzyma kupy - powiedział Darryl. - Zmysł wzroku też byłby uszkodzony. Ale muszę powiedzieć o jednym pozytywie. Ta krew ma zdumiewające, wręcz oszałamiające zdolności regeneracyjne. W jednym mililitrze jest więcej fagocytów niż...

- Zrozumiałym językiem, jeśli łaska - przerwał mu Murphy i Lawson gorliwie pokiwał głową, popierając kierownika.

- Fagocyty to komórki, które pochłaniają obce lub wrogie cząsteczki - wyjaśnił Darryl. - Jakby brygada sprzątaczy. Więc jeśli połączycie zdolność regeneracji z umiejętnością pozyskiwania wszystkiego, co tylko potrzebne, z zewnętrznego źródła, otrzymacie fantastyczny, samoregenerujący się układ. Teoretycznie dopóty, dopóki biorca tego rodzaju ma regularny dostęp do świeżej krwi...

- Tak długo może żyć - zakonkludowała Charlotte.

Darryl wzruszył ramionami na znak, że to oczywiste; Michael z kolei miał wrażenie, jakby pod koszulą dotknęła go zimna dłoń. Rzucano tu słowem „biorca”, jakby chodziło o świnki morskie służące jakiemuś medycznemu eksperymentowi, ale przecież chodziło o Erika Danziga, Neila Ackerleya i - co najważniejsze - o Eleanor Ames. O kobiecie, którą odkrył w bloku lodu i przywrócił do życia, kobiecie, z którą grał na pianinie i przeprowadził wywiad, mówiono jak o jakimś stworze z durnego horroru.

Znów zapadła cisza. Wszyscy przyswajali to, co usłyszeli i rozważali, co z tego może wyniknąć. Michael doznał dziwnej satysfakcji. Jeśli wcześniej ktoś powątpiewał w prawdziwość biografii Eleanor, jeśli nadal zadawał sobie pytanie, jak mogła przeżyć tyle lat zamrożona pod powierzchnią morza...

Ale to z kolei prowadziło do następnego pytania bez odpowiedzi. Jakie jest remedium na jej chorobę? Jeśli w ogóle istnieje. Michael wiedział, że ta właśnie myśl dręczy zebranych w pokoju Murphy'ego.

W końcu milczenie przerwał kierownik. Złączył dłonie w daszek, położył je na biurku i zapytał:

- Czemu nie można byłoby jej uśpić? Czemu nie wsadzić jej pod klucz, nafaszerować lekami i środkami uspokajającymi... przecież, wy, ludzie, macie ich tyle, że nie wiecie, co z nimi robić... aż ta żądza krwi przestanie ją dręczyć?

Darryl zasnurował usta i sceptycznie się skrzywił.

- Wybacz porównanie, ale to byłoby tak, jakby pozbawić cukrzyka insuliny. Jego też dręczy swoista żądza. Niezaspokojony po prostu doznaje wstrząsu, zapada w śpiączkę i umiera.

- No to co mamy zrobić, żeby nie wykorkowała? - spytał Lawson, wyrażając głośno ogólny niepokój. - Akcję krwiodawstwa?

Murphy parsknął i powiedział:

- Z góry wam mówię, że trepy się na to nie piszą.

- Ale mamy zapas krwi i transfuzje mogłyby czasowo rozwiązać problem - zasugerował Darryl. Rozejrzał się po twarzach pozostałych. - Dopóki nie wymyślimy jakiegoś sposobu, zakładając, że takowy istnieje... nie widzę innego wyjścia.

- Myślę, że już sama o siebie zadbała - powiedziała Charlotte i Michael zgadł, że tę wiadomość trzymała w zanadrzu. - Zniknęła torebka z osoczem. Myślałam, że ją gdzieś upchałam, chociaż nie pojmuję, jakim cudem. Ale teraz chyba wiem, co się z nią stało.

Chociaż Michaelowi bardzo trudno było w to uwierzyć, w głębi serca wiedział, że Charlotte się nie myli.

- No, pięknie - stęknął sfrustrowany Murphy. - Po prostu cudownie.

Michael wiedział, co wyobraża sobie kierownik stacji - sporządzanie raportów i przeprowadzanie wewnętrznych dochodzeń, w celu wytłumaczenia swoim panom i władcom wszystkiego, co tu zaszło. Tylko jakim cudem? Zwolniliby go raz-dwa.

- I nie zapominajmy, że gdzieś tam jest jeszcze jeden - dodał Murphy. - I robi, co mu się żywnie podoba.

Młody porucznik, pomyślał Michael. Sinclair Copley.

- Tam jest niebezpiecznie jak cholera - skomentował to Lawson. - Pewnie już leży na dnie jakiejś szczeliny, jeśli nie wrócił na stację wielorybniczą.

- Obyś trafnie wywróżył - powiedział Murphy.

Ale Michael nie zamierzał się tak łatwo poddawać, nie uważał też, aby Sinclair zasłużył na taki koniec. Biorąc pod uwagę, co przeszedł, jak można było mu tego życzyć? Patrząc przez okna na czyste niebo i unoszony wiatrem rzadki śnieg, powiedział:

- Pogoda się poprawiła. Moglibyśmy to wykorzystać i zorganizować poszukiwania. Wiemy jedno o tym gościu: ma potężną wolę życia.

- I jeszcze coś - wtrąciła Charlotte. - Dysponujemy czymś, a raczej kimś, kto jest dla niego najważniejszy na świecie. Kimś, kogo będzie chciał odzyskać... za wszelką cenę.

Zimną dłoń, którą Michael poczuł wcześniej, znów dała o sobie znać. Tym razem bardziej zdecydowanie. Zaciśnęła się jak imadło.

- Charlotte mówi z sensem - rzekł Darryl. - Mamy przynętę, której żadna inna nie dorówna.

ROZDZIAŁ 45

21 grudnia, 23.00

Eleanor czuła się jak więzień, który wrócił do celi. Doktor Barnes zostawiła jej następną niebieską pigułkę i szklankę wody, ale Eleanor nie wzięła jej. Nie chciała już więcej spać ani dłużej ukrywać się w gabinecie lekarskim... zwłaszcza że pokusa w białej skrzyni była zbyt wielka. (Jak na nią mówili? usiłowała sobie przypomnieć. Lodówka? Tak?)

Mniejsza o nazwę, widziała w niej tę torebkę - przezroczystą jak jagnięcy żołądek, ale pełną po brzegi krwi. I znów odezwała się jej straszliwa potrzeba. Nawet ściany zdawały się wyprane z barw i często musiała zamykać i otwierać powieki, choćby tylko po to, by widzieć otoczenie w jego naturalnej postaci. Oddychała urywanie, płytko. Pewnie doktor Barnes zauważyła tę zmianę, ale zupełnie nie wiedziała, jak miałaby jej to wytłumaczyć - a tym bardziej jak opisać konieczne i jedyne remedium.

I znów była całkiem sama lub też jak opisywał to Sinclair słowami wziętymi z jego książeczki: „Sama, sama, samotna, całkiem sama, a w krąg - bezmierne morze!” Gdzie on teraz? pytała się w duchu. W kościele, ukryty przed zadymką? Czy szuka mnie zagubiony w śniegach i lodzie?

Chodziła po pokoju jak tygrys, którego widziała w londyńskim zoo, tam i z powrotem, tam i z powrotem; dobrze pamiętała współczucie, jakie w niej wzbudziły zamknięcie i niewola zwierzęcia. Starła się nie patrzeć na „lodówkę” i nie ulegać przygnębiającym myślom. Ale jak? Dawne życie zostało jej zabrane - rodzina, przyjaciele, dom - a nowe ograniczało się tylko do tej izby chorych na biegunie... i gnębiącej ją żądzę krwi, chociaż sama myśl o jej zaspokojeniu budziła w niej odrazę.

Tamtej brzemiennie w wydarzenia nocy w Szpitalu Koszarowym po odwiedzinach Sinclaira jej stan wielce się poprawił. Do następnego dnia gorączka ustąpiła. Moira nie posiadała się z radości, a panna Nightingale sama przyniosła jej owsiankę i herbatę. Przysunęła krzesło do łóżka rekonwalescentki.

- Brakowało nam ciebie na salach - wyznała. - Żołnierzom będzie miło, gdy znów cię zobaczą.

- Mnie też będzie miło.

- Szczególnie jednemu, sędzę - dodała panna Nightingale i Eleanor mocno się zarumieniła.

- Czy to ten sam żołnierz, który tak nieoględnie wdarł się do naszego szpitala w Londynie - ciągnęła dalej panna Nightingale, unosząc łyżkę z owsianką - i któremu trzeba było zszyć ranę?

- Tak, psze pani, ten.

Panna Nightingale skinęła głową. Kiedy Eleanor przełknęła kolejną łyżkę owsianki, przełożona zapytała:

- I od tamtej pory powstała między wami więź?

- Tak - przyznała Eleanor.

- Kiedy rekrutowałam pielęgniarki, najbardziej obawiałam się tego, że niektóre z nich przywiążą się do powierzonych im opiece żołnierzy. To rzuciłoby na nie złe światło i co więcej, podważyłoby sens naszej misji. Oczywiście wiesz, że mamy wielu nieprzyjaciół zarówno tutaj, jak i w ojczyźnie?

- Wiem.

- Ludzi ciasnych umysłów, którzy uważają, że pielęgniarki chcą jedynie wykorzystać sytuację, i są gotowe się posunąć do czegoś jeszcze gorszego.

Panna Nightingale podsunęła jej kolejną łyżkę owsianki i chociaż Eleanor nie odzyskała apetytu, nie śmiała odmówić.

- Dlatego też muszę cię prosić, abyś nie uczyniła niczego, co przyniosłoby hańbę naszej tutejszej służbie. Nie znajduję wręcz słów, które wyraziłyby powagę mej prośby.

Eleanor bez słowa skłoniła głowę, podporządkowując się temu zaleceniu.

- Dobrze - rzekła panna Nightingale. - W takim razie myślę, że rozumiemy się nawzajem.

- Wstała, ostrożnie stawiając na krześle miskę. - Ufam twojej ocenie i trzymam cię za słowo. - Podeszła do drzwi, gdzie czekała Moira. - Obawiam się, że doszło do kolejnego rozlewu krwi przy Drodze Woroncowa. Będziecie mi potrzebne na stanowiskach jutro o świcie.

Potem wyszła. Eleanor opuściła głowę na poduszkę i nie podniosła jej, aż przyszła noc i wraz nią... Sinclair.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy w świetle świecy, jakby szukał jasnych oznak jej stanu, lecz to co ujrzał, chyba nappełniło go radością.

- Masz się lepiej - orzekł, kładąc rękę na jej czole. - Gorączka zniknęła.

- Tak - potwierdziła, składając policzek na jego dłoni.

- Jutro możemy opuścić to przeklęte miejsce.

Eleanor nie rozumiała, o czym mówi.

- Opuścić?

Sinclair był na służbie, a ona rano miała na nowo podjąć swoje obowiązki.

- Nie możemy tu ot, tak pozostać, prawda? Nie teraz.

Eleanor była skonfundowana. Dlaczego nie? Co się zmieniło poza tym, że wrócili do zdrowia?

- Postaram się znaleźć jakieś konie - mówił dalej - chociaż być może będzie musiał nam wystarczyć jeden.

- Sinclair - powiedziała Eleanor, obawiając się, że jednak wróciła mu gorączka - co ty mówisz? Gdzie mielibyśmy się udać? - Bredził?

- Gdziekolwiek. Cały ten przeklęty kraj to pole bitwy. Gdziekolwiek się udamy, powinniśmy bez kłopotu znaleźć to, co nam potrzebne.

- Co jest nam potrzebne?

Wtedy spojrzał na nią z mocą, ujmując jej twarz w dłonie, zanim przemówił. Ukląkł przy łóżku i cichym głosem przedłożył jej relację, relację tak straszliwą, że mu nie uwierzyła - w ani jedno słowo.

Była to opowieść o stworach, które nocami nawiedzają Krym i pożerają umarłych („Każdej nocy widzę je w snach - powiedział - i nadal nie potrafię rzec, co to jest”). O przekleństwie czy o błogosławieństwie, które oparło się nawet śmierci. O żądzy, która nigdy nie dawała spokoju... i której niewolnikiem była teraz ona, podobnie jak on. Nie mogła w to uwierzyć i nie chciała w to uwierzyć!

Ale czuła ranę powyżej piersi - pozostawiła wiele mówiącą bliznę - która wedle Sinclaira dowodziła prawdziwości jego słów.

Skruszony pocałował teraz to miejsce; poczuła w oczach piekące łzy. Odwróciła twarz do ściany, łapiąc oddech. Mimo że pokój miał wychodzące na morze wysokie okno, nagle wydał się jej nieznośnie mały i przytłaczający.

Sinclair ścisnął jej rękę, ale ją cofnęła. Co jej uczynił? Co uczynił im obojgu? Jeśli kłamał, w takim razie oszalał. Jeśli mówił prawdę, oboje byli skazani na los gorszy od śmierci. Eleanor wychowano w wierze chrześcijańskiej - należała do Kościoła anglikańskiego - i choć nigdy nie była szczególnie pobożna, zostawiała to matce i siostrze, to czyn, o którym mówił Sinclair, był tak wielkim świętokradztwem, że ledwo mogła go objąć rozumem... a tym bardziej wyobrazić sobie życie, na które została skazana.

- Tylko tak mogłem cię uratować - rzekł. - Wybacz mi, Eleanor. Proszę, powiedz, że możesz mi wybaczyć.

Ale w tamtym momencie nie mogła. W tamtym momencie jedynie chciwie wciągała wilgotne powietrze Bosforu, rozważając, co też jej pozostaje...

Nawet teraz czuła, że stoi przed problemem, który nie ma żadnego łatwego rozwiązania.

Kiedy chodziła po gabinecie, walczyła z myślami krążącymi wokół białej metalowej skrzyni - z krwią w środku - która przed nią stała. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, otworzyć skrzynię i wyjąć to, czego potrzebowała, co tam było i co ją wzywało.

Siłą woli odwróciła wzrok i podeszła do okna.

Nieustannie obecne matowe światło słońca kojarzyło się jej z blaskiem nieba podczas feralnej podróży na „Coventry”. Wedle zegara dochodziła północ, ale wiedziała, że nie czeka jej noc jak się patrzy. Tu noce niepostrzeżenie przenikały w dzień, bez przerw, a Eleanor zdawała sobie sprawę, że w oczach Boga zakosztowała go więcej, niż powinna.

Michael. Michael Wilde. Kiedy o nim pomyślała, poczuła się lepiej. Był dla niej taki miły, a gdy pozwolił sobie zasiać obok niej przy pianinie, ciężko się przeraził swoją śmiałością. Chociaż w jego obejściu może było coś z zuchwałej natarczywości, to Eleanor dobrze rozumiała, że w tym nowym świecie obowiązują inne obyczaje. Miała tyle do nauki. Orkiestra symfoniczna grająca z czarnego pudełeczka! Światła płonące równym blaskiem i gasnące za naciśnięciem guzika w ścianie! Kobiety - i do tego Afrykanki - pracujące jako lekarki!

Przypomniała sobie, jak wstrząśnięta była jej matka na myśl, że Eleanor ma się udać w podróż do Londynu - samotna kobieta bez opiekunki - aby zostać pielęgniarką. Może wszystko co było wstrząsające, teraz stało się codziennością. Może straszliwy rachunek strat, który wystawiła wojna krymska, poraził sumienie ludzkości i zakończył bezmyślne rzezie. Może ten świat był bardziej oświecony. Tu nawet najzwyczajniejsze rzeczy wydawały słodkie wonie, a narody łagodziły dzielące je różnice, unosząc głos, nigdy miecze.

Pozwoliła sobie na nietypowy dla siebie przyływ nadziei.

Jakże dobrze - jakże n o r m a l n i e - się czuła, siedząc znów przy pianinie. Rozkoszowała się dotykiem klawiszy. Przypomniała sobie lekcje u żony pastora, grę przy szeroko otwartych oknach we frontowym saloniku, gdy ulubieniec rodziny, cocker spaniel, gonił króliki po rozległym trawniku. Pani Musgrove miała otwarty rachunek w sklepie muzycznym w Sheffield, z którego dwa razy w roku przysyłano jej wybór popularnych utworów. Dzięki temu Eleanor pokochała wiele tradycyjnych ballad i pieśni takich jak *The Banks of the River Tweed* i *Barbara Allen*.

Ta ostatnia chyba się podobała i Michaelowi. Miał wrażliwą twarz, lecz nosił w sobie jakieś nieszczęście, jakąś tragedię i może to dlatego wybrał się w to samotne miejsce. Kto

zdecydowałyby się na tę stację, gdyby nie była mu z góry wybrana? Zastanawiała się, co też go spotkało... lub też przed jakimi wspomnieniami uciekał. Nie pamiętała, by widziała obrączkę na jego palcu, a podczas wspólnie spędzonych chwil nigdy nie wspomniał o żonie. Chociaż nie potrafiłaby wytłumaczyć, skąd to wrażenie, wydawało się jej, że jest kawalerem.

Och, jakże tęskniła za światłem słońca - p r a w d z i w y m, nie jego imitacją. Światłem słońca ciepłym i złotym, opływającym ją jak syrop. Wiecznie żyła w cieniach, uciekając z Sinclairem z miasta do miasta, aby zbyt długi pobyt w jednym miejscu nie doprowadził do odkrycia ich tajemnicy. Wyruszyli z Chryzopola przez Karpaty do Włoch, gdzie Eleanor wystawiała twarz przez okno powozu, łowiąc każdy promień ciepłego śródziemnomorskiego słońca. Często prosiła, aby się gdzieś zatrzymali i pozostali tam na dłużej, ale gdy tylko Sinclair poczuł, że mieszkańcy zaczynają się zbytnio interesować tajemniczą angielską parą, naciskał na natychmiastowy wyjazd. Żył w potwornym lęku, że jego dezercja zostanie wykryta, i często wyrażał nadzieję, że jego ojciec uwierzył w śmierć syna na polu bitwy pod Bałakławą.

Z kolei Eleanor nie wiedziała, co budzi w niej większą trwogę - myśl, że nigdy więcej nie ujrzy bliskich, czy wizja, że napotkani rozpoznają zaszłą w niej nieuchwytną zmianę.

W Marsylii Sinclair spostrzegł spacerującego wzdłuż nabrzeża starego przyjaciela rodziny i wciągnął ją do sklepiku z rzemieślniczymi wyrobami, uciekając przed rozpoznaniem. Kiedy sprzedawca zapytał, co mógłby im zaprezentować, Sinclair odparł idealną francuszczyznę, na ile Eleanor mogła to ocenić, że jest zainteresowany pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę - leżącą na ladzie oprawioną w złoto broszką z kości słoniowej.

Sprzedawca podniósł broszkę do światła padającego z witryny i Eleanor zachwyciła się niezwykłą robotą rzemieślnika. Była to klasyczna kamea - Wenus wynurzająca się z fal.

- Czy moglibyśmy wybrać trafniejszy temat? - spytał z emfazą Sinclair, przypinając broszkę do jej sukni. - Oto bogini miłości.

- Urocza - powiedziała cicho - ale czy nie powinniśmy oszczędzać tej resztki pieniędzy, która nam pozostała?

- *Combien?*²⁷ - zapytał sprzedawcę Sinclair i nie targując się, zapłacił wymaganą cenę.

Eleanor nigdy się nie dowiedziała, skąd pochodzą ich fundusze, ale zawsze było ich tyle, że wystarczały na podróż w kolejne miejsce. Podejrzewała, że Sinclair podając zmyślane imię

²⁷ Ile się należy? (fr.).

i nazwisko, nawiązywał znajomości z podróżującymi Anglikami i pożyczal od nich pieniądze, które potem pomnażał w kasynach.

W Lizbonie wynajęli pokój na ostatnim piętrze hoteliku, skąd mieli widok na fasadę katedry Santa Maria Maior i jej zwieńczone blankami wieże. Głośne dźwięki dzwonów świątyni były jak niekończąca się nagana i pewnego przedpołudnia Sinclair rzekł, być może zgadując jej myśli:

- Weźmiemy tu ślub?

Eleanor nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała się wielokrotnie potępiona i chociaż pragnęła być poślubiona jak należy, to sama myśl, że w tym stanie miałyby przekroczyć próg kościoła i złożyć święte śluby, działała na nią obezwładniająco. Lecz Sinclair nie przestawał nalegać, mówiąc:

- Przynajmniej wejdźmy i popatrzmy. Z tego co się słyszy, to bardzo piękny kościół.

- Ale nie możemy prosić księdza o udzielenie nam ślubu. Zbyt wiele musielibyśmy nakłamać.

- Kto mówił coś o księdzu? - nachmurzył się Sinclair. - Poza tym i tak szwargocą po portugalsku. Jeśli chcesz, możemy stanąć przed ołtarzem i złożyć sobie przysięgę. Bóg jej wysłucha bez pomocy papistowskiego pośrednika... oczywiście zakładając, że jest jakiś Bóg, który w ogóle będzie słuchać.

W jego ustach zabrzmiało to jak bardzo wątpliwe założenie.

Tak więc włożyła najlepszą suknię, Sinclair mundur, i ramię w ramię przecięli plac przed katedrą. Byli ładną parą i widziała, że robią wrażenie na przechodniach. Kościół zbudowano w dwunastym wieku i chociaż trzęsienia ziemi w latach 1344 i 1755 bardzo go zniszczyły, został naprawiony i odbudowany w zadowalającym stopniu; bliźniacze dzwonnice wyrastały jak białe fortece po obu stronach szlachetnie sklepionego wejścia. Między łukami widniała rozeta i światło słońca wpadało przez barwne szybki, dodając blasku wiekowym złoceniom i masywnym kolumnom. Opatrzone herbami marmurowe sarkofagi kryły się za żelaznymi ogrodzeniami prywatnych kaplic. Na jednym z grobów Eleanor ujrzała rycerza spoczywającego w zbroi, z obnażonym mieczem i pilnowanego przez psa; na innym kobietę w dawnym stroju, czytającą *Księgę godzin*. Katedra była rozległa i chociaż w ławkach siedzieli wierni, a nawami przechadzali się zwiedzający, panowała w niej cisza, w której Eleanor słyszała jedynie echo własnych kroków.

Starszy ksiądz w czarnym habicie, przewiązany w pasie białym sznurem, rozmawiał w głębi transeptu z grupką wytwornie ubranych panów i pań. Eleanor instynktownie ruszyła w innym kierunku. Sinclair poczuł na ramieniu jej szarpnięcie i uśmiechnął się.

- Boisz się, że wyczują naszą woń?

- Nie żartuj tak.

- Myślisz, że nas wypędzą?

Na to wcale mu nie odpowiedziała.

- Nie musimy przez to przechodzić - rzekł. - Robię to tylko dla ciebie.

- To niezbyt stosowna postawa - odparła. Oddalając się, rozważała, co też w ogóle ją napadło, aby tu przychodzić.

Sinclair ruszył za nią, chwytając ją za rękaw.

- Wybacz. Wiesz, że tak nie myślę.

Eleanor poczuła, że są obserwowani - zrobili scenę, choć zwykle pilnie się wystrzegała zwracania na siebie uwagi - i znalazła azyl za kolumnami najbliższymi ołtarza. Uniosła chusteczkę, zakrywając twarz.

- Zawrę z tobą ślub wszędzie - rzekł cicho, ale z naciskiem. - Musisz to wiedzieć. W opactwie westminsterskim czy w środku lasu, gdzie tylko ptaki na drzewach będą naszymi świadkami.

Eleanor wiedziała o tym, ale to było za mało. Sinclair utracił wiarę i głęboko wstrząsnął jej wiarą. Co tak naprawdę robili w tym kościele? Na co liczyła? To była straszliwa pomyłka i wiedziała o tym w chwili, w której przekroczyła próg świątyni.

- Chodź - rzekł z przekonaniem, biorąc ją pod ramię. - Nie będziemy się tu chować.

Próbowała stawiać opór, ale wyciągnął ją z cienia - obawiając się jeszcze większego zamieszania, dała sobą pokierować.

- Nie mamy nic do ukrycia - powiedział.

Zaprowadził ją najpierw do nawy głównej, a potem przed sam bogaty, lśniący ołtarz. Witrażowe okno jarzące się błękitem, czerwienią i żółcią jaśniało niczym kalejdoskop, który Eleanor widziała kiedyś w londyńskim sklepie optycznym. Było tak piękne, że prawie nie mogła od niego oderwać oczu.

Sinclair ujął jej dłonie w swoje i rzekł cicho i łagodnie:

- Ja, Sinclair Copley, biorę sobie ciebie, Eleanor... - Przerwał. - Czy to nie dziwne? Nie znam twojego drugiego imienia... Nadano ci je?

- Jane.

- Biorę ciebie, Eleanor Jane Ames - kontynuował - za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Eleanor czuła, że są aż nazbyt na widoku, i próbowała opuścić rękę.

Ale Sinclair nie ustąpił.

- Mam nadzieję, że dobrze to zapamiętałem. Jak coś ominąłem, proszę, powiedz mi.

- Nie, myślę, że się zgadza.

- Dobrze, więc kiedy tylko wypowiesz przysięgę, możemy iść i wznieść toast w tym hałaśliwym barze na placu.

- Sinclair - powiedziała błagalnie - nie mogę.

- Nie możesz? - powtórzył. W jego głosie pojawił się ostry ton. - Czy nie chcesz?

Eleanor była pewna, że ksiądz zwrócił na nich uwagę. Miał długą białą brodę i ciemne, przenikliwe oczy pod gęstymi brwiami.

- Sinclair, myślę, że powinniśmy natychmiast wyjść.

- Nie. Dopóki nie zapytamy zgromadzonych...

- Jakich zgromadzonych? - Ten inny Sinclair, ten, który budził w niej przeraźliwą trwogę, brał w nim górę.

- Dopóki nie zapytamy zgromadzonych, czy komuś z nich nie jest znana jakaś przeszkoda uniemożliwiająca nasz związek.

- To powinno nastąpić przed przysięgą - przypomniała mu.

- Nie rób z tego obrządku większego pośmiewiska, niż zrobiliśmy do tej pory.

Wiedziała, że muszą iść. Kątem oka dostrzegła, że ksiądz żegna się z portugalskimi arystokratami.

- Robimy z siebie widowisko - szepnęła - a to niebezpieczne. Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Zmierzył ją tępym spojrzeniem, jakby się zastanawiał, jak daleko może się posunąć. Widziała wcześniej to spojrzenie, zapowiedź, że jej ukochany może w mgnieniu oka przeskoczyć od radości do furii, od uprzejmości do bezduszości.

Otworzył usta, by przemówić, gdy spod kamiennych płyt podłogi dobył się głuchy łoskot, a wiszący na wiekowej ścianie za ołtarzem krucyfiks przechylił się na bok i zakołysał. Ksiądz, który zbliżał się ku nim szybkim krokiem, przystanął i uniósł ze zgrozą wzrok. Na gipsowych tynkach wyrosła pajęczyna rys. Wszędzie wokół podniósł się krzyk wiernych, niektórzy padli na podłogę, składając ręce do modlitwy.

Sinclair i Eleanor cofnęli się, gdy krzyż runął na podłogę, wrywając ze ściany cegły i wzbijając tuman białego pyłu. Sinclair zaciągnął ją za kolumnę i skulili się tam pewni, że trzęsienie ziemi zmiecie kościół do fundamentów. Wielki witraż rozpekł się jak lód na stawie. Posypały się tysiące lśniących odłamków szkła. Chmura kurzu i drobnych kawałków murów wypełniła nawę. Eleanor zasłoniła usta i nos chusteczką, Sinclair - rękawem mundurowej

kurtki. W kłębach kurzu Eleanor widziała, jak ksiądz robi znak krzyża, ale... nadal zmierza ku nim.

- Sinclair - wykaszała. - Ten ksiądz jest coraz bliżej.

Odwrócił się i zobaczył, że duchowny macha rękami, rozpędzając gęsty gipsowy kurz wiszący w powietrzu.

- Tędy - powiedział Sinclair, prowadząc ją w kierunku bocznej kaplicy. Ale stało tam kilku oszołomionych, zastygłych panów w wytwornych aksamitnych frakach, więc musiał zmienić kierunek. Zanim mu się to udało, ksiądz się z nimi zrównał. Złapał Sinclaira za złoty sznur przy kurtce i wykrzykiwał z gniewem coś, czego nie rozumieli. Wymachiwał rękami, jakby chciał dać do zrozumienia, że ten chaos jest spowodowany jakimś straszliwym świętokradztwem, którego Sinclair się dopuścił.

Czyżby? zadała sobie w duchu pytanie Eleanor.

Sinclair opędał się od kapłana, a gdy to nie pomogło, zacisnął rękę w pięść i uderzył go mocno w brzuch. Stary ksiądz upadł na kolana, łapiąc ustami powietrze, po czym runął na twarz. Ciągnąc Eleanor za rękę, Sinclair pobiegł nawą do bocznych drzwi przy kaplicy, w której spoczywał kamienny rycerz w zbroi. Jasne słońce oślepiło ich na chwilę. Ziemia zadrżała po raz drugi. Ludzie uciekali z warsztatów i domów, szczekały psy, kwiczały śwynie. Zbiegli krętymi schodkami do wyłożonego kocimi łbami zaułka. Z dachów spadały dachówki, roztrzaskując się pod nogami uciekających. Po chwili zagubili się na ogarniętym chaosem placu targowym.

Nie był to dzień ślubu, o jakim marzyła Eleanor, kiedy była młodą dziewczyną i leżała na łące w Yorkshire.

A teraz? Stała przed przysadzistą białą skrzynią, lodówką. Brakowało jej tchu, gabinet rozpływał się przed oczyma. Poszukała dłonią oparcia, ale kolana i tak się pod nią ugięły. Opadła bezwładnie na podłogę i zastygła, oparłszy głowę o chłodne drzwi. Wiedziała, że za nimi jest to, czego potrzebuje, i jej palce bezwiednie, jakby same poszukały klamki. Otworzyła skrzynię i wyjęła jedną z torebek, w których ciężko przelewała się krew. Był na niej napis „0 RH-”. Zastanawiała się, co znaczy, ale niedługo. Rozerwała ją zębami; ubrana w biały miękki szlafrok, który rozkładał się wokół niej, siedziała na podłodze i ssała torebkę jak świeżo narodzone niemowlę pierś matki.

ROZDZIAŁ 46

22 grudnia, 10.00

Sinclair nie był pewien, co go obudziło. Siedział bezwładnie na wysokim stolku, złożywszy głowę na ołtarzu, z jedną ręką wspartą na tomiku poezji, drugą - na prawie pustym kielichu mszalnym. Świeca słała w powietrze cienki warkocz dymu.

Siedzący w przejściu między ławkami pies zawył z głodu.

Sinclair śnił o Eleanor - czy w ogóle miał inne sny? - ale nie był to radosny sen. Trudno w ogóle było go nazwać snem. Wspominał ich kłótnię tuż przed tym, jak wyruszył na polowanie. Wcześniej rozejrzał się z dzwonnicy i doszedł do wniosku, że wybrzeże wybrzusza się na północny zachód, być może obiecując jakąś drogę ucieczki.

- Może jednak nie jesteśmy odcięci od świata.

- Sinclair - odparła, łagodnie i z wielką starannością dobierając słowa - nie było dwojga ludzi bardziej odciętych od reszty ludzkości niż my.

- W żadnym wypadku - rzekł na to, rwąc na strzępy kolejny modlitewnik i ciskając go do ognia. - Mamy takie same prawo do życia jak inni.

- Ale my nie jesteśmy jak inni. Nie wiemy, kim jesteśmy, ani jaką rolę wyznaczył nam Pan, lecz to... to nie może być jego plan.

- W takim razie to mój plan - warknął - i na razie musi wystarczyć. - Czuł, że brakuje mu oddechu, świat ciemniał mu coraz bardziej przed oczami, gdy wpatrywał się w gorejący żar. - Widziałem, co wynika z boskich planów i powiem ci jedno... diabeł lepiej by nie wykombinował. Ten świat to rzeźnia i odegrałem w nim swoją przeklętą rolę. Jeśli w ogóle czegoś się nauczyłem, to tego, że sami musimy wykuwać swój los, od początku, każdego dnia. - Rozerwał na pół kolejny modlitewnik i dorzucił go do ognia. - Jeśli w ogóle chcemy przeżyć, musimy walczyć o każdy oddech, którego nabieramy, każdy kęs, który jemy, i każdą kroplę, którą pijemy. - Rozglądając się za najbliższą butelką, zakonkludował: - Bóg nie pomaga nikomu.

Teraz spoglądając na wyjącego w nawie psa, też nie dostrzegł żadnego śladu Boga... może poza dziwną ciszą na dworze. Burza śnieżna minęła. Wiatr opadł do szeptu.

Niewykluczone, że obudziła go właśnie przerwa w nieustannym łomocie wichury... dając w końcu szansę na poszukanie Eleanor.

Bóg nie pomaga nikomu, ale jeśli Sinclair znajdzie dość sił, by zaprząć psy i pokierować saniami, pomoże sam sobie. Weźmie sprawy we własne ręce. Stać go na to. Uniósł kielich i wysączył ostatnie krople.

*

Michael, jak można się było spodziewać, pierwszy stawiał się pod masztem flagowym, w miejscu zbiórki ekipy poszukiwawczej. Stojąc przy śnieżnym skuterze przytupywał, pobudzając krążenie. Ktoś obwiązał maszt długim czerwono-zielonym łańcuchem, który tak przywarł do metalu, że pewnie już nikt nie da rady go zedrzeć. Na Cyplu Adeli zapowiadało się wieczne Boże Narodzenie.

Michael spojrział w niebo; nawet przez szkła przeciwsłonecznych okularów widział rozżarzony błękit jak na wielkanocnych jajkach, które malował jako dziecko. Przed jego oczami frunął ptak - brudnoszary osobnik - zakręcił wysoko i powrócił, pikując w kierunku jego głowy. Michael szybko przykucnął. Ptak popiskując, szykował się do następnego przelotu. Dziennikarz uniósł rękę, pamiętając, że ptaki zawsze celują w najwyższy punkt, ale dopiero gdy skrzydlaty zuchwalec śmignął nad nim jeszcze raz, Michael zdał sobie sprawę, że w pobliżu nie ma żadnego gniazda - przynajmniej widocznego gniazda - ani też ściery, do którego ptak rościłby sobie prawo. Szybko stał z okularów kryształki lodu. Chciał mieć lepszą widoczność. Czy to przypadkiem nie Ollie?

Wydrzyk zrobił szeroki krąg wokół szczytu masztu, na którym amerykańska flaga unosiła się apatycznie w zimnym powiewie, po czym wylądował na module administracji. Michael pogrzebał w kieszeniach i znalazł twardy jak kamień baton granoli. Słyszał, że wydrzyki nie są szczególnie wybredne. Nie zdejmując rękawic, rozdarł opakowanie. Ptak uważnie się mu przypatrywał. Michael podniósł demonstracyjnie baton i rzucił go kilka stóp od siebie. Wiedział, że drapieżne ptaki są zbyt mądre, by przepuścić okazję; wydrzyk w sekundzie sfrunął z dachu, już otwierając dziób, i dopadł smakołyku. Kilkoma szybkimi dziobnięciami pokawałkował baton, zmiatając kilka okruchów. Michael przyglądał mu się, licząc na to, że rozpozna Olliego. Ptak połknął resztki, a Michael przykucnął jeszcze bliżej.

- Ollie? - spytał. - To ty?

Paciorkowate czarne ślepka patrzyły beznamiętnie, ale ptak nie odfrunął. Kiedy Michael wyciągnął rękę w rękawicy - wiedział, że to nie najmądrzejsze zachowanie w obecności tego wszystkożercy - ptak podskoczył bliżej, dziobnął ją łagodnie i czekał.

- Niech mnie drzwi ścisną - szepnął Michael. I zupełnie nie wiedzieć czemu, poczuł w gardle kluczę. Może miało to jakiś związek z faktem, że mały urwis jednak przeżył... lub też z tym, że był jednym z niewielu stworzeń, o które się otarł, a które nie zginęły. Dziwnym zbiegiem okoliczności pomyślał o leżącej w szpitalnym łóżku Kristin... a potem o pogrzebie, w którym nie udało mu się uczestniczyć. Oczami wyobraźni ujrzał bukiet słoneczników - wielkich, żółtych - leżący na trumnie. Ptak znów skubnął go w rękę i Michael pożałował, że nie ma w kieszeni niczego, czym mógłby go uraczyć.

- Wszystko wyszło - powiedział, wstając i wyciągając puste dłonie.

Wydrzyk pochodził w kółko, rozglądając się bacznie, po czym zrezygnował z dalszego polowania i jak rakietę wystrzelił w powietrze.

Michael się przyglądał, jak mija podwórze, i leci w kierunku kabiny. Kilka innych ptaków zebrało się na niebie i dołączyło do niego, a Michael nieco głupawo poczuł się jak ojciec, którego synek został zaakceptowany przez kolegów na szkolnym boisku.

Zza modułu administracji rozległ się ryk silników, po czym pojawili się Murphy, Lawson i Franklin, jadący na skuterach śnieżnych. Wyglądali jak zmontowany przez szeryfa niewielkiego miasteczka ochotniczy oddział pościgowy, zwłaszcza że byli uzbrojeni. Murphy miał rewolwer w kaburze u pasa, a strzelba Franklina wystawała z bagażowego pojemnika skutera.

- Myślałem, że to będzie oddział poszukiwawczy - powiedział Michael - a nie antyterrorystyczny.

Kierownik spojrzał na niego z miną, która mówiła „dorośnij!”.

- Nie byłeś nigdy w harcerstwie? Czuwaj. - Wyjął z bagażnika harpun i rzucił go Michaelowi. Ten zauważył, że Lawson też ma harpun. - Kiedy dojedziemy do Stromviken - oświadczył Murphy, przekrzykując dudniące na jałowym biegu silniki - Franklin i ja weźmiemy się za pas nadbrzeżny, ty i Bill pojedziecie prosto do stacji. - Zanim opuścił szybkę kasku, dodał: - I patrzcie, gdzie jedziecie. W zeszłym roku straciłem zlewkę w szczelinie i nie mam ochoty stracić nikogo więcej. - Po czym ruszył z ogłuszającym hukiem silnika.

Franklin siadł na swojego artic cata i rzekł:

- Najlepiej, jak pojedziemy jeden za drugim. Wtedy w nic nie wpadniemy.

Drugi ruszył Lawson. Skutery śnieżne były potężnymi maszynami, ważącymi dobrze ponad 250 kilogramów i miały wysokie kierownice. Michael opuścił dużą, nieulegającą zaparowaniu szybkę kasku i umościł się na siodełku. Przekręcił przepustnicę dalej niż powinien i czterosuw zawarczał. Łańcuchy wbiły się w śnieg, przednie płozy wyskoczyły w

górze i Michael wystrzelił przed siebie, śladem Lawsona. Ta maszyna w niczym nie przypominała skuterka, na którym jeździł w młodości, jednego z pierwszych Ski-Doo. Na cacie czuł potęgę wielu koni mechanicznych, nie wspominając o profesjonalnym zawieszaniu; dawniej podskakiwał na każdym zgrubieniu lodowej pokrywy, każdej nierówności terenu; teraz miał wrażenie, że fruwa na latającym dywanie.

Jednak nawet najlepsza maszyna nie strzegła przed niebezpieczeństwem. Murphy, Franklin i Lawson pędzili jeden za drugim rozległą białą równiną, ale szczelina mogła się pojawić z niczego, w każdej chwili, i połknąć każdego z nich. W śnieżnej szkole Michael zaliczył również przedmiot: szczeliny i chociaż nie pamiętał dokładnie różnic między nimi - coś chodziło mu po głowie, że są podłużne, poprzeczne i brzeżne - to zapamiętał, że przeważnie ukrywają się pod starymi zwałami śniegu. Tworzyły się na nich kruche mosty, mogące utrzymać ciężar jednego człowieka, ale potrafiące nagle się załamać pod innym, odsłaniając nierówny, lodowy kanion o błękitnych ścianach, głęboki na kilkadziesiąt metrów. Na dnie, gdzie temperatura powietrza dochodziła do minus czterdziestu stopni Celsjusza, było koryto zmrożonej słonej wody. Bardzo niewielu ludzi, którzy wpadli do szczeliny, wyszło z niej żywych... czy w ogóle wyszło.

Michael starał się jechać po śladach pozostawionych przez innych, ale niełatwo było je dostrzec. Światło odbijało się od śniegu, od czasu do czasu spotęgowane lśnieniem wypolerowanej przez wiatr lodowej płyty. Michael kulił się za owiewką, unikając lodowatego powiewu. Kask również spełniał swoją rolę, miał wypełnienia na policzkach i podbródku, kołnierz chroniący przed hałasem, a także otwory wentylacyjne odprowadzające ciepło i wilgoć gromadzącą się na wizjerze. Przypominał skafander do głębokich zanurzeń, który Michael miał na sobie, gdy uwalniał Eleanor z lodowca.

Eleanor... Śpiąca Królowna... która w wyobrażeniu jego towarzyszy stała się narzeczoną Drakuli. Nie wiedział, jak długo jej obecność pozostanie tajemnicą... a jeszcze większym problemem było to, jak długo w ogóle będzie mogła tu być. Jemu pozostało na biegunie jeszcze tylko dziewięć dni i wiedział, że gdy tylko wylądaje samolot dostawczy - zgodnie z terminarzem miało to nastąpić w sylwestra - będzie musiał się nim zabrać. Co wtedy się stanie z Eleanor? Kto się nią zaopiekuje? Komu opowie swoją historię? Przede wszystkim komu będzie mogła zaufać? Michael bez zastrzeżeń wierzył Charlotte, ale lekarka miała swoje obowiązki - musiała dbać o zdrowie wszystkich mieszkańców bazy, więc nie mógł oczekiwać, że zamieni się w pielęgniarkę. Z kolei Darryl... no cóż, Darryl nie był facetem, który mógłby mieć bzika na punkcie Eleanor, zwłaszcza gdyby wyrosła jakaś konkurencja w postaci ryby, którą należy pokroić, lub której krew trzeba natychmiast zbadać.

Co więc czekało Eleanor, gdyby Sinclair Copley się nie pojawił, co według Lawsona było bardzo prawdopodobne. Michael coraz bardziej się obawiał, że Eleanor znów będzie porzucona, izolowana i samotna w więzieniu nie większym niż tamten blok lodu.

Chyba że...

Skuter trafił na muldę, wyskoczył w powietrze i opadł, wpadając w poślizg.

Skup się, pomyślał Michael, bo skrećisz kark i nie będziesz już się nad niczym zastanawiać. Potrząsnął głową, strącając śnieg z szybki kasku i mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Jego myśli wróciły do tego samego punktu... do szybko zbliżającego się dnia, w którym będzie musiał się rozstać z Cyplem Adeli i... Eleanor.

Ale gdyby tak - i zdumiał się, że wcześniej nie wpadł na ten zamysł (a może wpadł?) - poleciała razem z nim? Gdyby również weszła na pokład samolotu transportowego? To był tak zwariowany pomysł, że prawie nie mieścił mu się w głowie. Ale gdyby go zrealizować, Murphy byłby uradowany. Pozbyłby się Eleanor. Równocześnie jako kierownik bazy mógłby wykorzystać swój wpływ na tych niewielu ludzi, którzy wiedzieli o jej istnieniu, i zapewniłby sobie ich milczenie. To on rozdzielał tu kary i nagrody. Chociaż z drugiej strony... jak to zrobić? Jak przewieźć kogoś takiego jak Eleanor - i czy kiedykolwiek był już ktoś taki jak Eleanor? - aż do Stanów? Kogoś, kto nigdy nie widział samolotu, samochodu czy choćby odtwarzacza CD? Kogoś, kto nie miał obywatelstwa - chyba że królowa Wiktoria byłaby w pobliżu i potwierdziłaby, że to jej poddana - ani paszportu, ani żadnego innego dokumentu tożsamości?

Ale wszystkie trudności związane z ewentualną podróżą Eleanor Ames byłyby zaledwie początkiem wyboistej drogi. Jak miały się opiekować taką osobą? Gdzie w Tacomie znajdował się bank krwi?

Pół mili dalej pokazały się czarne zarysy kominów, magazynów i szop, a wysoko na wzgórzu dostrzegli dzwonnice kościoła. Michael był zadowolony, że Murphy i Franklin zgodnie z wcześniejszym planem odbili w prawo, na plażę z wybielałymi kośćmi i wrakiem „Albatrosa”. Jeśli Sinclair przebywa na stacji wielorybniczej - co go czeka, jeśli znajdą go żywego? Też trafi pod klucz, do gabinetu lekarskiego? - prawdopodobnie zabarykadował się w zakrystii i Michael chciał go znaleźć pierwszy. Zamierzał go uspokoić i rozsądnie z nim porozmawiać. Jeśli żył, pewnie był niespokojny, pełen podejrzeń, a nawet wrogości; oceniając sytuację z jego perspektywy, Michael doszedł do wniosku, że ma on do tego prawo.

Lawson zatrzymał się w rozbieralni tusz wielorybów, gdzie gaśienice skuterów nie mogły pokonać torów. Michael stanął obok niego i wyłączył silnik. Nagła cisza robiła niesłychane

wrażenie. Michael uniósł szybką kasku. Powiew zimnego powietrza był jak uderzenie w policzek.

- Co teraz? - spytał Lawson.

Michael chciał się go pozbyć, więc zaproponował:

- Może zaczniesz stąd, od przybudówek? Ja ruszę ze szczytu wzgórza w dół.

Lawson sięgnął po kuszę i skinął głową. Powiesił kask na kierownicy i odszedł. Michael schował swój kask do pojemnika i skierował się do kościoła. Parkując, zauważył, że dwuskrzydłowe drzwi są zamknięte. Interesujące, jako że zostawili je otwarte. Ktoś mógł tam przebywać.

Kiedy wchodził po schodach, jego krótki cień - słońce wisiało dokładnie nad głową - padł na deski. Ze środka usłyszał tupot, a potem szczekanie. Pchnął ciężkie drzwi - przywitała go szalejąca sfora psów pociagowych. Ukłękł i pozwolił im lizać twarz i rękawice, gdy okręwały go w dzikim tańcu. Rozejrzał się po kościele. Przy drzwiach leżały zgromadzone sprzęty, jakby ktoś szykował się do opuszczenia tego miejsca.

Na ołtarzu stały świece i butelka z czarnego szkła.

Nie wiedział, czy powinien głośno zasygnalizować swoje przybycie czy wejść po kryjomu, z nadzieją, że zaskoczy tego, kogo szukał.

Ale też nie wiedział, czy przyjechał tu ratować Sinclaira... czy go aresztować?

Ostrożnie ruszył między starymi ławkami, obszedł ołtarz i zajrzał do zakrystii. Drzwi były uchylone, a gdy je mocno pchnął, przekonał się, że ktoś korzystał z łóżka. Ogień w piecyku już wygasł. W powietrzu unosiła się woń zimnych popiołów i mokrej wełny, a przez szeroko otwarte okno - okiennice tłukły się o ściany - zobaczył skuloną postać przemykającą między nagrobkami za kościołem.

I to nie był nikt z ekipy poszukiwawczej.

Miał na sobie rozpiętą czerwoną kurtkę z białym krzyżem na plecach - podobne wisiały w psiej budzie. Michael dostrzegł jeszcze gołą głowę - ciemnoblonde włosy i wąsy.

Tak więc był to Sinclair... ukochany Eleanor. Jednak żywy.

Michael poczuł dziwne ukłucie w sercu, które zniknęło, zanim zdążył się nad nim zastanowić.

Wybiegł z zakrystii, głośno tupiąc i ślizgając się na kamiennej podłodze. Psy pchały się do niego, podskakując i wpadając mu pod nogi.

- Nie teraz! - krzyknął, odpychając puszyste łby.

Zanim dotarł do drzwi, Sinclair był już daleko w dole, czasem biegnąc, czasem ślizgając się z rozłożonymi ramionami. Pod otwartą czerwoną kurtką Michael dojrzał błysk złotego

sznura na mundurze i szablę objającą się o biodro mężczyzny; biegł do drzwi fabryk wielorybnych. Zniknął w wąskim przejściu między dwoma rozległymi, na wpół zrujnowanymi budowlami. Michael z kuszą w ręku ruszył w dół pokrytego lodem i śniegiem wzgórza - musiał zachować ostrożność. Poza tym nie wiedział, dokąd tamten zmierza. Czy usłyszał silniki skuterów czy zupełnie go to zaskoczyło? Zapasy zgromadzone przy drzwiach sugerowały, że szykował się do wyprawy. Lecz gdyby tylko chciał się ukryć, dlaczego tego nie zrobił? Z tego wynikało, że na terenie fabryk było coś, na czym mu zależało.

To mogła być tylko jedna rzecz - broń.

Między szopami, spory kawałek dalej, błysnęło coś czerwonego i Michael ruszył w tym kierunku. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Lawson przebywał gdzie indziej - ostatnią rzeczą, na której Michaelowi zależało, było towarzystwo podczas rozmowy z Sinclairem - a silniki skuterów Murphy'ego i Franklina dudniły daleko nad brzegiem. Gdyby dopadł Sinclair, miałby go tylko dla siebie, przynajmniej przez jakiś czas.

Nagle przypomniał sobie kuźnię i wieszak z zardzewiałymi harpunami. Tylko gdzie jest ta kuźnia? Zatrzymał się na chwilę, łapiąc oddech i ustalając swoje położenie. Wcześniej obejrzał osadę. Kuźnia stała na wprost i w lewo, niewątpliwie łatwo było ją odnaleźć. Przy jej drzwiach leżała ogromna zardzewiała kotwica.

Michael biegł truchcikiem, opuściwszy w dół kuszę. Wolał nie ryzykować. Gdyby się potknął i upadł, cholera mogła wystrzelić. Mijając kolejne puste budynki, szybko je sprawdzał. Widział zwisające łańcuchy, zamrożone bloki, długie, poblížnione stoły robocze, piły do metalu i ogromne kotły na grubych żelaznych nogach. Teraz spostrzegł, że konstrukcji wcale nie postawiono na chybił trafił, budowniczości wyraźnie trzymali się planu. Wskazywała na to siatka torów, po których poruszały się wagoniki; wszystko zorganizowano jak prymitywną linię montażową - ściślej: demontażową - do dzielenia i przetwarzania ciał wielorybów, od skór po chrząstki. Kości i zęby, nawet zamrożone gałki oczne wielkości piłek lekarskich, leżały bez ładu i składu w stosach pod ścianami.

Zbliżył się do skrzyżowania, skąd różnej szerokości alejki rozbiegały się w wielu kierunkach. Musiał sobie przypomnieć, którądy wędrował podczas pierwszej wizyty. Przyjechał z południowego zachodu, a więc prawdopodobnie szedł smaganym wiatrem placem, skręcającym w prawo. Ruszył w tamtym kierunku. Z ulgą dostrzegł niskie ciemne wejście i kotwicę obok.

Zwolnił, ale nie dostrzegł ani nie usłyszał nic wewnątrz budynku. Może mu się wydawało? Schyliwszy głowę, zajrzał jeszcze raz do środka - w głębi zobaczył kolejne drzwi, po części zasłonięte beczkami w metalowych obręczach. Nagle coś ze świstem przeleciało

koło jego policzka i wbiło się głęboko w drewnianą ścianę, stopę dalej. Był to harpun. Drzewce nadal wibrowało koło ucha Michaela.

- Ani kroku dalej - usłyszał. W ciemnej, zagraconej przestrzeni nadal nie widział przeciwnika. - I rzuć broń.

Michael opuścił kuszę na ceglana podłogę.

Wewnątrz dominował wielki komin z czerwonych cegieł; przed nim stało czarne kowadło. Sinclair wyłonił się zza komina. Zrzucił kurtkę, odsłaniając szkarłatny uniform kawalerzysty. Szabla zwisała mu u boku, w dłoni trzymał drugi harpun, przygotowany do rzutu.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Michael. Michael Wilde.

- Co tu robisz?

- Przyjechałem cię odnaleźć.

Zapadła pełna napięcia cisza, wypełniona tylko jękami wiatru wpadającego przez komin do zimnej kuźni. W powietrzu wisiał zapach dawno wygasłego węgla.

- Ty musisz być porucznikiem Copleyem - powiedział Michael.

Żołnierz wyglądał na zaskoczonego, ale szybko się opanował.

- Jeśli to wiesz, musisz mieć Eleanor.

- Tak. Jest z nami. Bezpieczna - zapewnił go Michael. - Dobrze się nią opiekujemy.

Iskra gniewu rozjarzyła się w oku Sinclaira - Michael natychmiast pożałował swych słów. Anglik z pewnością uważał, że to jego wyłączne prawo i obowiązek.

- Jest w obozie - ciągnął dziennikarz - na Cyplu Adeli.

- Tak to nazywacie?

Sinclair wyglądał i niewątpliwie wysławiał się jak angielski arystokrata, niczym filmowa postać. Równocześnie był wściekły jak wszyscy diabli i absolutnie nieprzewidywalny - nic w tym dziwnego. Michael przyznał w duchu, że nie ma zielonego pojęcia, czym mógłby go na tyle udobruchać, by opuścił harpun.

- Nie przyjechaliśmy tu, aby cię skrzywdzić - zapewnił Anglika. - Bynajmniej. Więcej, możemy ci pomóc. - Na dodatek nie wiedział również, czy ma dalej mówić, czy lepiej będzie, jak się zamknie.

- Ilu was tu jest? - urywany oddech Sinclaira zamieniał się w parę. Dopiero teraz Michael dostrzegł, że bieg wiele go kosztował; miał butną minę, ale chwiał się na nogach.

- Czterech. Tylko czterech.

Ostrze harpuna się zakołysało. Powieki mężczyzny opadły, po czym gwałtownie się otworzyły.

Czy „odświeżał obraz”, jak nazwał to Ackerley? To przypomniało Michaelowi - choć w zasadzie i tak cały czas o tym pamiętał - z jak niebezpiecznym przeciwnikiem ma do czynienia.

- Pracujemy tu, na biegunie - oświadczył niepytany. - Jesteśmy Amerykanami.

Harpun opadł jeszcze niżej i Michael przysiągłby, że dostrzegł cień uśmiechu na twarzy porucznika.

- Dawno temu miałem kaprys, aby płynąć do Ameryki - wyznał Sinclair, odkaszlnąwszy kilka razy. - To wydawało mi się idealnym pomysłem. Nie znałem tam nikogo i nikt nie znał mnie.

Michael kątem oka dostrzegł ruch w tylnych drzwiach - Sinclair podążył w tamtym kierunku wzrokiem. Odwrócił się błyskawicznie, unosząc harpun. Zanim Michael zdążył wrzasnąć: „Stać!”, Franklin runął między beczki, celując do Anglika ze strzelby.

Sinclair wahał się tylko sekundę, lecz gdy lufa broni poszła w górę, cisnął harpun. Jednocześnie rozległ się ogłuszający huk wystrzału i kilka czerwonych cegieł komina rozleciało się na wszystkie strony. Odłamek niczym szerszeń ukłuł policzek Michaela, drobniejsze wpadły mu w oczy. Opuścił głowę, ścierając z twarzy pył unoszący się w powietrzu. Kiedy nieco zdezorientowany znów się rozejrzył, zobaczył, że harpun drga wbity w beczkę, a Franklin nadal trzyma uniesioną broń i patrzy na Sinclaira, który upadł na kowadło. Opuścił ręce, palce mu drżały.

Murphy wpadł do środka, unosząc rewolwer.

- Coś ty zrobił? - wykrzyknął Michael. - Coś ty zrobił?

- Rzucił we mnie harpunem! - odkrzyknął Franklin. Jednak on też był wstrząśnięty. - Ale i tak nie dostał. Trafiłem w komin.

Michael ukląkł obok Sinclaira. Krew sączyła się z głowy porucznika, klejąc jasne włosy na ciemieniu.

- Więc co to?

- Rykoszet. Załadowałem broń gumowymi kulami. Dostał rykoszetem.

Murphy ukląkł po drugiej stronie kowadła. Razem ostrożnie dźwignęli z podłogi Sinclaira i położyli go na plecach. Oczy miał wpadnięte, usta sine. Michael myślał tylko o tym, jak to wszystko wpłynie na Eleanor.

- Zawieźmy go do bazy - powiedział. - Niech Charlotte się nim zajmie, i to szybko.

Murphy skinął głową i wstał.

- Wpierw musimy go związać...
- Jest nieprzytomny - sprzeciwił się Michael.
- Na razie - odparł Murphy. - A co będzie, jak się ocknie?

- Spojrzał na Franklina. - Wrzucimy go na tył mojego skutera. Na Cyplu od razu poddamy go kwarantannie. Wystrzelcie rakiety, żeby Lawson wiedział, że tu jesteśmy i przygotował się do drogi.

Kiedy Franklin wyszedł wystrzelić racę, Michael przypomniał sobie kwarantannę Ackerleya na skrzyni w magazynie mięsa... i jak się to skończyło.

- Znasz zasady - powiedział mu Murphy. - Do czasu wydania dalszych rozkazów nikt poza nami nie może się dowiedzieć, co się tu stało. Jasne?

- Jasne.
- I dotyczy to także Śpiącej Królowny.

Michael całym sercem chciał dotrzymać tajemnicy. Jedna więcej nie robiła różnicy. Miał już wprawę. Problem tylko w tym, jak długo się uda utrzymać wszystko w sekrecie. Może trepy i zlewki nie dowiedzą się o Sinclairze, ale Eleanor to inna bajka. Tę parę niewątpliwie łączyła jakaś nadmysłowa więź. Więż tak mocna, że nie byłby zaskoczony, gdyby Eleanor już wiedziała, że Sinclair został odnaleziony... że jest ranny... i że niebawem do niej powróci.

ROZDZIAŁ 47

22 grudnia, 19.30

Kiedy Darryl przynosił rybę do dużego akwarium, tak wiła mu się w dłoni, że mało brakowało, a upadłaby na podłogę.

- Spokojnie, spokojnie - zamruczał, po czym wrzucił ją z powrotem do części zbiornika, w której trzymał wcześniejsze okazy. Trochę popływała, rozpoznając środowisko, i wolno opadła na dno; leżała tam - praktycznie nieruchoma i całkowicie przezroczysta - jak jej towarzyszki. Nawet gdyby miało się okazać, że ten okaz należy do nowego gatunku - czego Darryl był niemal całkowicie pewien - zwykły obserwator nie dojrzałby w nim niczego ekscytującego. Nie przyciągał oka. Lecz na społeczności naukowców, najważniejszej z punktu widzenia Darryla, tego rodzaju odkrycie musiało zrobić wrażenie.

Niezależnie od ogólnej budowy ciała sama krew tych ryb wymagała tysięcy testów laboratoryjnych. Glikoproteiny *Cryothernia hirschii* nieco różniły się od przeciwzamrażaczy innych antarktycznych ryb, które badał. Pewnego dnia zapewne zostaną z pożytkiem wykorzystane, na przykład wejdą w skład odmrażaczy skrzydeł samolotów lub izolatorów sond głębinowych... Kto wie, do czego jeszcze mogą posłużyć.

Przy tym eksperymencie Darryla miały jeszcze jeden, zupełnie niesamowity cel. Od momentu, w którym Charlotte Barnes wspomniała, że torebka z osoczem zniknęła z gabinetu lekarskiego, nikt ani przez chwilę nie miał najmniejszych wątpliwości, co się z nią stało. Zabrała ją Eleanor Ames. Lecz gdyby Eleanor miała kiedyś opuścić Cypel Adeli i zamieszkać w normalnym świecie, najpierw musiała pokonać swój straszliwy nałóg. Darryl nie był durniem - wiedział, że Eleanor trafi w sam środek wielkiego cyrku, media skupią na niej całą uwagę, tak że nie będzie mowy, aby zaspokoila, a tym bardziej ukryła swoje nienasycone pragnienie krwi.

Sięgnął po dodatkowe próbki krwi Eleanor i natychmiast rozpoczął analizy i badania, popychany przecuciem równie wariackim jak cały problem. Jej krew, podobnie jak krew Ackerleya, miała tak wysoki wskaźnik fagocytozy, że nie mieścił się w jakichkolwiek normach, lecz fagocyty Eleanor zamiast eliminować tylko bakterie, obce cząsteczki i odpady komórkowe w obiegu krwi, pożerały też czerwone ciała krwi - najpierw własnej, potem

każdej dostarczonej z zewnątrz. Darryl pomyślał: A gdyby tak udało się utrzymać indeks fagocytozy Eleanor na dotychczasowym poziomie - co niewątpliwie byłoby wielkim wsparciem dla organizmu w najbardziej nieprzyjaznych warunkach - a jednocześnie wprowadzić taki element, który zniwelowałby głód obcych erytrocytów? Krótko mówiąc, co by było, gdyby Eleanor zapożyczyła sztuczkę czy dwie od zimnokrwistych bezhemoglobinowych ryb wypełniających tutejsze akwaria i zbiorniki?

Sporządził kilkanaście mieszanek krwi. Umieścił je w starannie opisanych próbkach włożonych do tej samej minilodówki, która służyła mu do przechowywania napojów gazowanych. Regularnie zaglądał do próbek, sprawdzając, co się wykluło. Właśnie miał to zrobić po raz kolejny, gdy rozległo się głośnie walenie do drzwi.

Otworzył je - wszedł Michael. Buty gościa zapiszczały na gumowej macie.

- Coś zimnego do picia? - zaproponował gospodarz.

- Strasznie śmieszne - odparł Michael, odrzucając z głowy kaptur.

- Nie zartuję. - Darryl podszedł do lodówki, sięgnął po puszkę z piwem imbirowym, otworzył ją i przysiadł na stołku. - Gdzie byłeś?

- W Stromviken.

Darryl wiedział, że był tylko jeden powód, by się tam wybrać.

- Znalazłeś go?

Michael się zawahał, ale tym już zdradził Darrylowi to, co tamten chciał wiedzieć.

- Żyje?

Michael kolejny raz zachował milczenie. Rozpiął kurtkę i opadł na sąsiedni stółek.

- Daj sobie spokój z rozkazami Murphy'ego - poradził mu Darryl. - Wiesz, że i tak w końcu wszystkiego się dowiem. Kto oprócz mnie mógłby tu zrobić badania krwi?

- Tak - powiedział w końcu Michael. - Ale nie rzucił się nam na szyje. Raczej do gardła. Został ranny i teraz jest pod opieką Charlotte.

- Mocno dostał?

- Charlotte uważa, że to tylko drobny wstrząs mózgu i powierzchowna rana skóry głowy.

- Więc jest w gabinecie lekarskim? - spytał Darryl, gotów biec i pobrać świeże próbki krwi.

- Nie, w starym magazynie na mięso.

- Znowu tam?

- Murphy nie chce narażać całej stacji.

Niechętnie bo niechętnie, ale Darryl musiał przyznać rację kierownikowi. Widział Ackerleya w akcji. Poza tym kto mógł przewidzieć, co wyniknie z kontaktu Eleanor z tą

drugą zagubioną duszą, zapewne skażoną tak samo jak ona. Mogłoby dojść do iście piekielnego przymierza.

- A więc - spytał nieco zbyt niedbale Michael - jak ci leci?

- Jak mi leci z czym?

- Ze znalezieniem remedium. Wiesz już, jak pomóc Eleanor?

- Jeśli mnie pytasz, czy w ciągu... powiedzmy... paru dni udało mi się rozwiązać czy też nie jedną z najbardziej zdumiewających zagadek hematologicznych w historii wszechświata, to odpowiedź brzmi: „nie”. Pasteur też się nie spieszył.

- Przepraszam - powiedział Michael i Darrylowi zrobiło się trochę głupio, że tak go zbeształ.

- Ale robię pewne postępy - dodał. - Mam pewne pomysły.

- To dobrze. - Michael wyraźnie się ucieszył. - Wspaniale. Wierzę w ciebie. Chyba łyknę jakiejś oranżadki.

- Częstuj się.

Michael podszedł do lodówki, wyjął butelkę i popijał z niej, przyglądając się akwariom z *Cryothernia hirschii*.

- Bo wiesz, wpadł mi do głowy jeden taki szurnięty pomysł - wyznał w końcu, nie odwracając się do Darryla.

- Jestem otwarty na wszelkie sugestie - odparł Darryl, korkując i opisując następną próbkę - chociaż nie wiedziałem, że to twoja działka.

- Żadna moja działka. Tylko pomyślałem sobie, że Eleanor powinna wrócić transportowcem razem ze mną.

- Co?

- Jeśli znalazłbyś dla niej to remedium albo przynajmniej pomógł osiągnąć stabilny stan - powiedział Michael, odwracając się - to mógłbym zaopiekować się nią podczas jej powrotu do cywilizacji.

- Jej miejsce nie jest na pokładzie samolotu - rzekł Darryl - tylko tu, w sali chorych. Albo na zakaźnym jakiegoś szpitala. Wciąż cierpi na chorobę krwi, która ma... nazwijmy to... groźne skutki uboczne. - Ale w spojrzeniu Michaela było coś, co nie podobało się biologowi.

- Ta kobieta odbiega od normy. I to sporo. Chyba to rozumiesz, co?

- Jezu, pewnie że tak - powiedział Michael takim tonem, jakby czuł się urażony samą sugestią, że może być inaczej.

- I gdybyś zapomniał, to przypominam ci, że mamy teraz drugiego pacjenta z tym samym problemem. Jego też zamierzałeś ze sobą zabrać?

- Gdyby udało się nam rozwiązać ich problem, to tak - potwierdził Michael, chociaż ze znacznie mniejszym entuzjazmem. Pociągnął duży łyk oranżady. - Musiałbym.

- To wariactwo - orzekł Darryl. - Samolot ma przylecieć za ile? Dziewięć dni? Szczerze wątpię, by ktokolwiek miał nim wrócić oprócz ciebie.

Michael oklapł, ale nie protestował, jakby wiedział, że wypuszcza bardzo dziurawy balon próbny.

- Za to możesz poprosić Charlotte - zaproponował Darryl, chcąc dodać ducha koledze - żeby pobrała krew od... jak on się nazywa?

- Sinclair Copley.

- Pana Copleya. Najszybciej jak się da. A teraz zamiast zawracać mi głowę swoimi poronionymi pomysłami, idź do sypialni i walnij się do łóżka. Może jutro zbudzisz się z jeszcze wspanialszym projektem.

- Dzięki. Niewykluczone.

- Nie mogę się doczekać.

Z tymi słowami Darryl wrócił do pracy.

*

Michael przed pójściem spać miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia; odkładał to od kilku dni - Joe Gillespie zostawił mu już trzy wiadomości, każdą bardziej ponaglącą od poprzedniej. Wiele się na to złożyło, że odkładał rozmowę. Co miał powiedzieć szefowi? Że ciała znalezione w lodzie udało się odmrozić - i że potem wyparowały? Więcej, że teraz żyją i są pod kluczem? O tak, Gillespie łyknąłby to bez zmruczenia oka. Czy też powinien zagłębić się w przypadkach Danziga i Ackerleya - miałby opowiedzieć, jak umarli powrócili do życia, szaleni i tknięci jakąś nieznaną chorobą, która zrobiła z nich polarne zombie? Ile udałoby mu się powiedzieć, zanim Gillespie zacząłby się zastanawiać, jak bardzo jego reporter oszalał? I co by wtedy zrobił? Czy powiadomiłby kwaterę główną NSF w Waszyngtonie, że konieczna jest natychmiastowa ewakuacja cierpiącego na halucynacje dziennikarza? Czy tylko skontaktowałby się z kierownikiem, Murphym O'Connorem? Tym samym Murphym O'Connorem, którego ostatnie polecenie brzmiało: „Co się wydarzyło na Cyplu Adeli, zostaje na Cyplu Adeli”.

Michael zadzwonił do Gillespiego na numer domowy, licząc, że włączy się automatyczna sekretarka, ale gospodarz podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem? - powiedział Michael przy wtórze cichych trzasków.

- Michael? - Gillespie prawie krzyczał. - Niełatwo cię złapać!

- No, mhm, mamy tu jakby małe zamieszanie.

- Zaczekaj, ściszę muzykę.

Michael wpatrywał się w notatnik na blacie; ktoś narysował sianie ze świętym Mikołajem. Nawet całkiem udatnie. Michaelowi przypomniało się zeszłoroczne Boże Narodzenie - Kristin dała mu jednoosobowy namiot, a on jej gitarę... na której nie zdążyła się nauczyć grać.

- Więc powiedz mi - rzekł Gillespie, kontynuując rozmowę - na czym stoimy? Chcę, żeby graficy jak najszybciej wzięli się za okładkę i makietę. Jak tylko będziesz miał wersję roboczą - może być niedopracowana, nieważne - masz mi ją przesłać. - Mówił tak szybko, że połykał wyrazy. - Więc co nowego z tymi ciałami z lodu? Rozmrożone? Coś wiesz? Kim mogli być ci ludzie?

Michael zachodził w głowę, co powiedzieć. Że nie tylko „coś wie”, ale nawet zna ich imiona i nazwiska? Bo mu się przedstawili?

- Szczególnie interesuje mnie ta dziewczyna - wyznał Gillespie. - Jak wygląda? Ciało całkiem się rozłożyło? A może dałoby się zrobić takie ujęcie na całą stronę, żeby nie wystraszyć naszych młodych czytelników?

Michael był kompletnie zagubiony. Nie chciał zaczynać od kłamstwa, ale na pewno też nie zamierzał wyjawiać prawdy. Na samą myśl, że ma opisać Eleanor, potraktować ją jako temat sesji zdjęciowej...

- Mam nadzieję, że dobrze się zachowała, i że będzie można ją gdzieś wystawić - terkotał dalej Gillespie. - NSF na pewno będzie chciała ją pokazać i nie zdziwiłbym się, gdyby wybrano Smithsonian²⁸.

Michael, który już podupał na duchu, poczuł się jeszcze gorzej. Przeklinał się za pośpiech, z jakim poinformował Gillespiego o pierwszym odkryciu, a przede wszystkim żałował, że nie da się cofnąć czasu i zacząć wszystkiego od nowa. Że nie można wrócić do przeszłości. Ale zaświtał mu pewien pomysł.

- Wiesz - zaczął - wygląda na to, że troszkę za bardzo się pośpieszyłem w tej sprawie.

- Pośpieszyłeś się? - powtórzył Gillespie, tym razem bardzo powoli. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Hm, co tak naprawdę chciał powiedzieć? Wyobrażał sobie, że zdumienie na twarzy Gillespiego rośnie z każdą chwilą.

- No cóż, okazało się, że te ciała to nie to, co myślimy.

²⁸ Instytut Smithsona - największy na świecie zespół muzeów i ośrodków edukacyjno-badawczych, większość z nich jest zlokalizowana w Waszyngtonie.

- Co ty, do diabła, mówisz? Albo to są ciała, albo nie są. Nie rób mi tego, Michael. Chcesz powiedzieć...

Mówił dalej, podczas gdy Michael odsunął słuchawkę od ucha, potrząsnął nią i po chwili powiedział:

- Przepraszam, łączność siadła na chwilę. Mógłbyś powtórzyć to, co mówiłeś na końcu, Joe?

- Pytałem, czy to temat serio czy nie? Bo jeśli tylko robiłeś sobie ze mnie jaja, to wcale mnie to nie rozbawiło.

- Żadnych jaj sobie nie robiłem - odparł Michael, dla większego efektu odsuwając daleko od ust słuchawkę. - Chyba sam się zrobiłem na szaro. Wygląda na to... no więc wygląda na to, że to żadne ciało. To tylko rzeźba kobiety, galion.

- Wy-wyrzeźbiona... kobieta?

- Taka na bukszprycie. - Michael poczuł przyływ dumy z własnej pomysłowości. - Sprzed wielu lat i bardzo, bardzo piękna, ale to nie ciało. No, a ten facet za nią to też tylko rzeźba. Tak się okazało. Ładnie pomalowana, ale rzeźba. Pewnie kawałek z jakiegoś wraku. - Mógł to dalej upiększać, ale nie chciał, by Gillespie się napalił na zdjęcia galionu. Musiałby je stworzyć. - Nie masz pojęcia, Joe, jak mi głupio.

- Głupio ci? - Głos szefa był niewyraźny. - To wszystko? Jest ci głupio? Chciałem stworzyć z ciebie twarz „Eco-Travel Magazine”! Chciałem wyłożyć ciężką kasę na firmę reklamową, żebyś był we wszystkich mediach!

Michael wiedział, że z każdą sylabą szefa jego szanse na pojawienie się w wiadomościach telewizyjnych - na zdobycie nagród, sławy, może nawet bogactwa - nikną i rozplywają się w powietrzu.

- Ale mam inny fantastyczny materiał: porzucona stacja wielorybnicza, ostatni psi zaprzęg na Antarktydzie, huragan przy Przylądku Horn. Tony zdjęć.

- To wspaniale, Michael, wspaniale. Pomówimy o tym więcej, kiedy tylko wrócisz, po Nowym Roku. Wtedy będziesz mi mógł pokazać, co masz.

- Oczywiście - powiedział Michael, równocześnie oceniając w duchu, jakie konsekwencje dla jego kariery będzie miało to, co zrobił. W jednym momencie zburzył całą swoją zawodową przyszłość.

- A dobrze się czujesz?

- Jak najbardziej - odparł Michael.

- A jak sytuacja z Kristin? Coś się w ogóle zmieniło?

Michael się domyślił, co chodzi po głowie Gillespiemu - podejrzewał, że jego pracownik nie wytrzymał naporu tragedii i zaczął fiksować. I chociaż świadomość tego, co robi, przenikała go wstrętem, Michael wykorzystał możliwość, jaka została mu podsunięta.

- Kristin odeszła - rzekł.

- O Jezu. Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałeś?

- No wiesz, może z tego powodu, może z powodu tych tutejszych warunków faktycznie trochę się ze mną porobiło. - Powiedział to takim tonem, by Gillespie nie miał żadnych wątpliwości, że to są prawdziwe przyczyny jego zachowania.

- Słuchaj, naprawdę ci współczuję z powodu Kristin.

- Dzięki.

- Ale przynajmniej to koniec jej mąk. I twoich też.

- Chyba tak.

- Tylko teraz nie przesadz... nie wymagaj za dużo od siebie... za parę dni znów pogadamy.

- Pewnie.

- I... Michael... może tymczasem zajrzyłbyś do lekarza w bazie. Niech się upewni...

- Do lekarki. To kobieta.

- Niech będzie... do lekarki, niech cię zbada. To nie zaszkodzi.

- Zrobi się.

Michael pomachał słuchawką, potem potarł ją o rękaw, imitując trzaski. Nie wiedział, jakie kolejne banalne pocieszenia wygłosił Gillespie, nie usłyszał ich. Wymamrotał słowa pożegnania i odłożył słuchawkę, po czym siedział bez ruchu, zwiesiwszy ręce między kolanami. Nie był pewien, czy jego podejrzenia są słuszne, ale miał wrażenie, że właśnie zrobił najgłupszą rzecz w życiu. Zawsze zdawał się na instynkt - wybierając szlak na skale, odgałęzienie rzeki na przełomach, jaskinię do zwiedzenia - i teraz znowu go posłuchał. Nawet nie był pewien dlaczego. Wiedział tylko, że coś w nim się buntowało - nawet wzdrygało się z obrzydzeniem - na myśl, że ma sprzedać Eleanor. Joemu Gillespiemu. Światu. Jasne, skłamał, ale każde inne posunięcie byłoby zdradą.

Michael, powiedział sobie w duchu, zrobiłeś z siebie capa, że inaczej się nie dało.

Powlókł się do stołówki, zjadł kanapkę i popił ją kilkoma piwami Sam Adams - od razu przypomniał sobie o ulotkach, na których Ackerley sporządził ostatnie notatki. Wujek Barney przygotował tacę świątecznych łakoci - lukrowanych ludzików z imbirowego ciasta - więc Michael skosztował i ich. Ale nie czuł ducha świąt Bożego Narodzenia, chociaż w tym zaśnieżonym, podbiegunowym otoczeniu nie powinno to być trudne. Co prawda podczas

poświęconych Danzigowi wspominków śpiewano jego ulubione piosenki, ale od tamtej pory nikt już nie śpiewał. Głucha cisza objęła w posiadanie wszystko i wszystkich na Cyplu.

Rozważał, czy po drodze do sypialni nie wpaść do sali chorych, ale zrezygnował z tego pomysłu; nie miał serca, by w tej chwili pokazać się Eleanor, a tym bardziej kłamać na temat Sinclaira, jak mu nakazano. Musiał się głęboko zastanowić - zwłaszcza że pogrzebał swoje szanse u Gillespiego. Po prostu potrzebował chwili sam na sam z własnymi myślami.

Od jakiegoś czasu to był stały refren w jego życiu.

Coś, co zaczęło funkcjonować jako przelotne, niemal podświadome pytanie, teraz stało się czymś dużo ważniejszym, czymś, do czego stale powracał. Co czekało Eleanor? Nie mogła pozostać na Cyplu Adeli, to pewne. Ale jak i kiedy miałyby się stąd wydostać? Czy Murphy miał własny tajny plan? Bez względu na wszystko Eleanor był potrzebny przyjaciel, ktoś znany i zaufany, kto wprowadziłby ją w nowoczesny świat. I zdał sobie sprawę, że choć nad tym się nie zastanawiał, to obsadził siebie w tej roli.

We wspólnej łazience spojrzął uważnie w lustro i postanowił się ogolić. Czemu się nie ogolić przed pójściem spać? Na biegunie południowym wszystko było na opak.

Ale nie chodziło tylko o Eleanor - należało wziąć pod uwagę również Sinclaira. Tych dwoje chciało być razem. I w jakiej roli miałyby się im przysłużyć? Jako ktoś w rodzaju przyzwoitki troszczącej się o parę kochanków w nowym, wspaniałym i oszałamiającym świecie.

Zarost miał tak twardy, że nożyk maszynki do golenia wciąż w nim utykał i krople krwi pojawiały się na policzkach i podbródku.

Tak szczerze mówiąc, jaki inny scenariusz sobie wyobrażał? Wiedział, że dojrzewa w nim uczucie, które nie zniosłoby dokładniejszej analizy. Na litość boską, był dziennikarzem, miał zadanie do wykonania - i tyle. Na tym powinien się skupić, a nie robić sobie mętlik w głowie.

Przetarł lustro. Oczy miał szeroko otwarte, ale tępo patrzące - czy przypadkiem nie groził mu syndrom wielkich gał? - i przydałby mu się również fryzjer. Jego czarne włosy były gęste, rozwichrzone i kręciły się nad uszami. Kilku facetów korzystało z sauny tuż za jego plecami. Sądząc po głosach - Lawson i Franklin. Obmył zimną wodą zacięcia, wziął szybki prysznic i wrócił do pokoju.

Zaciągnął szczelnie zasłony - wcześniej nigdy by nie pomyślał, że słońce kiedyś będzie go drażnić, ale teraz budziło w nim odrazę - włożył czysty podkoszulek i świeże bokserki. Położył się i usiłował doprowadzić do porządku poślanie; zauważył, że Darryl ścieli swoje codziennie, ale sam nie widział powodu, by na Cyplu Adeli robić coś, na co w domu nigdy

nie tracił czasu. Poprawił poszwę, by szorstki koc nie drapał go w nogi, po czym pozaciągał wszystkie zasłonki wokół łóżka. Leżąc w ciasnocie, z wypełnioną pianką poduszką pod głową, wpatrywał się w czerń.

Włosy z tyłu nadal miał mokre, więc podniósł głowę i rozczesał je ręką. Zamknął oczy, odetchnął głęboko i się rozluźnił. Potem odetchnął jeszcze raz, powoli, ze skupieniem. Ale jego myśli nadal nie chciały się uspokoić. Wyobraził sobie Sinclaira na posłaniu w starym magazynie na mięso - paczki z przyprawami usunięto, by zrobić miejsce - otoczonego całą baterią nagrzewnic i opatrywanego przez Charlotte. Musiała założyć sześć szwów. Franklin i Lawson na zmianę trzymali ośmiogodzinne warty. Michael zgłosił się na ochotnika do tego zadania, ale Murphy orzekł:

- Formalnie biorąc, jesteś tu gościem. I niech tak zostanie.

Materac był w środku wygnieciony i Michael przysunął się do ściany. Niezależnie od tego co myślał Murphy, ktoś w końcu będzie musiał powiedzieć Eleanor o Sinclairze. Ale jak ona na to zareaguje? Odpowiedź na to pytanie tylko wydawała się prosta. Oczywiście, dozna ulgi. Opanuje ją zachwyt? Może. Przeżyje przyływ namiętności? Czy będzie chciała od razu się z nim zobaczyć? Nie wiedział, czy to pobożne życzenia czy też głębsze przeczucie, ale podejrzewał, że jakaś część Eleanor lęka się Sinclaira. Z jej opowieści - najbardziej fantastycznej, jaką kiedykolwiek usłyszał

- wynikało, że Sinclair zabrał ją na szaloną i niebezpieczną wyprawę... której końca nie było widać.

Ale jeśli nawet nadal kochała porucznika, to czy ciągle godziła się z jego pomysłami, tak jak na początku?

Przypomniał sobie broszkę, którą nosiła. Wenus wynurzająca się z morskiej piany. Pasowała do niej, no nie? Eleanor wynurzyła się z morza. I była piękna. Ale takie myśli świadczyły o jego nielojalności - grób Kristin jeszcze był świeży.

Tyle że nie potrafił ich odpędzić. Tak jak nie potrafił im zaprzeczyć.

Wciąż widział w myślach jej twarz. Szmaragdowe oczy przysłonięte długimi ciemnymi rzęsami. Gęste kasztanowe włosy. Nawet upiornie bladą cerę. Wydawała się przybyszem z innego świata - nawet nim była - i bał się tego, jak zniesie przybycie do jego świata. Chciał ją ochronić, poprowadzić, uratować.

Otoczenie łóżka było ciche i ciemne jak grób.

Przypominał sobie swoje pierwsze spotkanie z nią, pogrzebaną w lodzie.

A potem kolejne w porzuconym kościele, gdy była przestraszona i samotna. Ale nie stchórzyła. Nigdy się nie poddała pomimo tego wszystkiego, czego doświadczyła.

Co to zagrała w sali klubowej? Ach tak, tamtą smutną starą balladę, *Barbara Allen*.
Tęskna melodia wypełniła jego głowę.

Zasłonki w nogach łóżka zafalowały.

Przypomniawszy sobie jej rumieniec, gdy usiadł obok niej na ławce przy pianinie. Szelest jej sukni z szerokimi rękawami. Ostre noski czarnych bucików, naciskające pedały.

Materac się wygiął... jakby pod kolejnym ciężarem.

Michael wspominał jej zapach, mydlany, ale delikatny... i ta woń jakby znów go opłynęła.

Wspominał jej głos... delikatny, wyrafinowany, wyrazisty...

I usłyszał go z głębokiej czerni.

- Michael...

Wyobraził go sobie? Wiatr kwilił na dworze.

Ale poczuł na policzku ciepły oddech, rękę na piersi, dotyk tak delikatny jak ciężar ptaka na gałązce.

- Nie zniosę tego dłużej - powiedziała.

Ani drgnął.

- Nie zniosę dłużej tej samotności.

Leżała na kocu, czuł zarys jej ciała, jego ciężar. Jak, na Boga...

- Michael... wypowiedz moje imię.

Przesunął językiem po wargach i szepnął:

- Eleanor.

- Jeszcze raz.

Gdy je powtórzył, zaszlochała. Na ten płacz mało mu serce nie pękło.

Odwrócił się ku niej i uniósł rękę do jej niewidocznej twarzy. Poczucił strumyczek łez... i pocałował go. Jej skóra była zimna, ale łązy gorące.

Przyłgnęła doń mocniej i poczuł jej oddech na szyi - płytki i pośpieszny.

- Chciałeś, żebym przysłała do ciebie... prawda?

- Tak - zamruczał - chciałem, bo...

Znalazł jej usta. Były miękkie i uległe... ale zimne. Chciał je ogrzać. Pocałował ją mocniej i przycisnął do siebie. Ale oddzielał ich od siebie szorstki koc.

Zrzucił go z łóżka i na oślep wyciągnął ku niej ręce. Była szczupła jak młode drzewko i miała na sobie tylko coś wiotkiego... delikatnego jak muślin, co zaraz z niej opadło.

Boże, jak cudowny był dotyk jej ciała. Przesunął rękę wzdłuż jej boku, a ona zadrżała. Nadal była zimna, ale skórę miała niezwykle gładką. Poczucił wypukłość jej biodra, płaski

brzuch - który zadygotał pod jego dotknięciem - i łagodne wzniesienie piersi. Pod jego palcami jej sutek stwardniał.

- Michael... - szepnęła z ustami na jego gardle.

- Eleanor...

Jej zęby skubnęły jego skórę.

- Wybacz mi - szepnęła.

Zanim zdążył ją zapytać, co ma jej wybaczyć, poczuł jej zęby wbijające się w jego gardło niczym lodowate szczypce. Gorący strumień - jego krwi? - spłynął w dół szyi. Otworzył usta... ale krzyk uwiązł mu w gardle. Kopnął mocno nogami, usiłując uwolnić się z pościeli. Odepchnął Eleanor, raz, drugi...

Zasłonki przy łóżku zazgrzytały, rozsuwane.

Zobaczył ją, jak się odchyła, naga, z jego krwią na ustach, płonącymi oczami...

Jasne światło lśniło na jej twarzy.

Znów ją odepchnął, usiłując zrzucić z łóżka...

Ktoś krzyczał:

- Michael! Na miłość boską, Michael, obudź się! Obudź się.

Nadal odpychał się rękami, ale ktoś je złapał.

- To ja! Darryl!

Leżał na swojej górnej pryczy i wytrzeszczał oczy.

Światła się paliły. Darryl kurczowo trzymał go za ręce.

- Miałeś koszmar.

Serce waliło Michaelowi jak młotem, ale przestał wymachiwać rękami.

- Matkę wszystkich cholernych koszmarów, rzekłbym - dodał Darryl i Michael zaczął się uspokajać.

Oddychał wolniej. Rozejrzał się. Poszwa leżała zwinięta wokół nóg, koc podobnie. Poduszka spadła na podłogę. Pomacał szyję. Była mokra, ale gdy obejrzał palce, zobaczył tylko pot.

- Masz szczęście, że wróciłem - powiedział Darryl. - Mogłeś dostać zawału.

- Koszmar senny - rzekł ochryplym głosem Michael. - To chyba był koszmar.

- Nie żartuj. - Darryl odetchnął z ulgą, zdjął zegarek i położył go na szafce. - Co ci się śniło?

- Nie pamiętam - odparł Michael, chociaż zachował w pamięci każdy szczegół.

- Już nie pamiętasz?

Michael opuścił głowę na materac i leżał, patrząc tępo w sufit.

- Nie.

- Dla porządku informuję cię, że mówiłaś „Eleanor”.

- Uhm.

- Ale nie pisnę słówka nikomu. - Zdjął ręcznik z wieszaka na drzwiach i rzekł: - Wracam za minutkę. Bez względu na wszystko nie zasypiaj.

Michael leżał, znów samotny, czekając, aż serce przestanie mu walić, panika ustąpi... i widząc w wyobraźni długie kasztanowe włosy Eleanor opadające na blade piersi i jej wilgotne czerwone usta, nadal otwarte i spragnione jeszcze, i jeszcze...

ROZDZIAŁ 48

23 grudnia, 22.30

- Chce mi się pić - powiedział głośno Sinclair, na co Franklin wstał ze skrzyni, na której siedział, sięgnął po kartonowy kubeczek i podał mu go.

Sinclair, który miał ręce w kajdankach, ssał chciwie przez słomkę. Gardło mu wyschło na wiór, ale wiedział, że żadna ilość wody nie ugasi jego pragnienia. Siedział na brzegu pryczy. Wokół w magazynie stały mechaniczne urządzenia wielkości skrzynek czyścicieli butów, z których od czasu do czasu płynęły fale gorąca, chociaż nie widział, aby dokładano do nich węgla ani zaopatrywano je w gaz.

Doprawdy była to epoka cudów.

Z miejsca na potylicy, które musnęła kula, promieniował tępy ból, ale poza tym czuł się dobrze. Na lewej kostce nogi miał zaimprovizowane kajdany - do rury na ścianie przypięto je łańcuchem z kłódką. W izbie stało wiele skrzyń, a na podłodze dostrzegł rozległą rdzawą plamę. To mogła być tylko krew. Czy w tym miejscu przesłuchiowano więźniów, czy też służyło ono do jakichś gorszych celów?

Starał się wciągnąć strażnika w rozmowę, ale poza nazwiskiem - Franklin - nic nie udało mu się z niego wyciągnąć; strażnik nosił w uszach połączone sznurkiem zatyczki i chował się za szmatławiec z półnągą dziewczką na okładce. Sinclair miał wrażenie, że tamten się go boi - zresztą całkiem słusznie - i że zabroniono mu udzielać jakichkolwiek informacji. Gdyby trafiła się okazja, Sinclair z ochotą odpłaciłby mu za ranę na głowie.

Czas pełził. Z Sinclaira zdjęto ubranie - leżało ułożone w kostkę na skrzyni należącej do jakiegoś doktora Peppera - za to wydano mu żenującą flanelową piżamę i stos wełnianych koców. Chciał wstać z pryczy, odzyskać ubranie i udać się na poszukiwanie Eleanor. Musiała przebywać w tym obozowisku i był zdecydowany ją odnaleźć.

A potem... co? Kiedy wyobrażał sobie dalsze kroki, miał wrażenie, że tłucze głową o ścianę. Jakie mieli perspektywy na tym krańcu świata? Dokąd mieli uciekać? I jak długo?

Przypomniał sobie łodzie na stacji wielorybniczej - wielkiego „Albatrosa”, którego sam nigdy nie zdołałby zepchnąć na wodę, i mniejszą jednostkę, szalupę wielorybniczą, która połatana nadałaby się do wypłynięcia na morze, ale Sinclair nie był żeglarzem. Tymczasem

otaczał ich najniebezpieczniejszy z oceanów. Mógł liczyć tylko na to, że uda mu się wypłynąć podczas przyzwoitej pogody i uratuje ich jakiś napotkany statek. Na tych wodach na pewno żeglowały liczne jednostki - gdyby zdobyli współczesny przyrodziewek i przedstawili jakieś sensowne wytłumaczenie, dostaliby się na pokład i wrócili do cywilizacji. Tam mogliby się ukryć wśród ludzi, którzy nie znali, i nigdy nie poznaliby ich straszliwej tajemnicy.

Osiągnąwszy ten cel, zdałby się na wrodzony spryt, który poprowadziłby ich przez życie. Przekonał się, że w razie konieczności umie doskonale improwizować.

Drzwi na dwór otworzyły się z szuraniem metalu o lód i do środka wpadło lodowate powietrze, nareszcie niwelując zaduch i gorąco wytworzone przez piecyki. Kiedy z przybysza opadła kurtka, rękawice i okulary, Sinclair go rozpoznał - był to Michael Wilde. Po raz pierwszy spotkał go w kuźni na stacji wielorybniczej. Zrobił na nim wrażenie całkiem rozsądnego człowieka, chociaż i tak nie zamierzał ani jemu, ani nikomu innemu ufać.

Michael przyniósł książkę oprawioną w czarną skórę ze złoconym brzegiem.

- Pomyślałem sobie, że chciałbyś ją odzyskać - powiedział, podając Sinclairowi książkę. Franklin błyskawicznie zerwał się na równe nogi i stanął między dziennikarzem i więźniem.

- Kierownik powiedział, żeby nic mu nie dawać. Nie wiadomo, co z tym zrobi.

- To tylko książka - wyjaśnił Michael, podając ją Franklinowi do obejrzenia. - Poezje.

Trep się zdziwił.

- Wygląda na bardzo starą - rzekł, przerzucając strony.

- Pewnie pierwsze wydanie - dodał Michael, patrząc na Sinclaira i wręczając mu tomik.

- Napisał ją Samuel Taylor Coleridge - wyjaśnił Sinclair, trzymając książkę skutymi rękami. - I o ile wiem, nie zrobiła nikomu żadnej krzywdy.

Michael zdawał sobie sprawę z konieczności zachowania środków bezpieczeństwa, niemniej jednak był zażenowany.

- Mnie też się tak zdaje - powiedział, po czym wyrecytował kilka linijek, które wyniósł ze szkoły: - „Raz w Xanadu chan Kubiłaj / Nakazał wzniesć rozkoszy chram / Tam, gdzie Alf święty płynie w dal / Głębiną, co bezmierna jest, / Do morza bezsłonecznych bram”. Obawiam się, że to cała poezja, którą udało mi się zapamiętać - powiedział, jednakże Sinclair i tak był kompletnie zaskoczony.

- Znasz jego dzieło? Nawet teraz?

- O, tak - z przyjemnością poinformował go Michael. - Poeci romantyczni są w programach liceów i college'ów. Wordsworth, Coleridge, Keats. Ale i tak nie mam pojęcia, co znaczy tytuł tej książki, *Liście Sybilli*.

Sinclair pogłodził okładkę, jakby pieścił łeb charta.

- Greckie wieszczki, Sybille, zapisywały swoje wróżby na liściach palmowych.

Michael skinął głową. Był pod wrażeniem, widząc, że to książka najbliższa sercu Sinclaira. Leżała przy drzwiach kościoła, na stosie rzeczy przygotowanych do wyjazdu.

- Widziałem, że są tu *Rymy sędziwego marynarza* - powiedział. - To bardzo sławny poemat. Nadal figuruje w wielu spisach lektur obowiązkowych.

Sinclair spojrział na książkę i nie otwierając jej, wyrecytował:

- „Jak ten, co pustych dróg labirynt / Przemierza w lęku, trwodze /I odwróciwszy głowę raz / Odwrócić jej nie może”.

Franklin gapił się z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczami.

- „Bo wie, że tam czatuje czart - zakończył Sinclair - Wróg przeraźliwy srodze”.

Te ostatnie słowa spowodowały, że w magazynie zapanowała absolutna cisza... i chłód, który przeniknął Michaela do kości. Zastanowił się, czy tak Sinclair widział swoją epopeję? Jako podróż samotnika, cały czas prześladowanego przez demony? Wyraz udręczenia na twarzy, podbite oczy, spękane usta i włosy klejące się do czaszki jak u topielca - wszystko to potwierdzało, że tak.

Franklin najwyraźniej się wystraszył, że recytacje się na tym nie skończą i spytał Michaela:

- Nie masz nic przeciwko, żebym zrobił sobie przerwę?

- Śmiało - odparł zapytany, na co Franklin rzucił czasopismo na skrzynię i wyszedł.

Kiedy zniknął za drzwiami, Sinclair odłożył książkę i oparł się o ścianę. Michael odsunął wymięty egzemplarz „Maxima” i usiadł na skrzyni.

- Nie masz przypadkiem czegoś do palenia? - spytał niedbale Sinclair jak jeden dżentelmen zwracający się do drugiego w klubowym salonie.

- Nie bardzo.

Sinclair westchnął i ciągnął dalej:

- Wartownik też nie ma. Czy odmawia mi się tytoniu z jakiegoś konkretnego powodu, czy też ludzie przestali palić?

Michael nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Pewnie Murphy zakazał podawania ci czegokolwiek, co może wywołać pożar. Chyba się bał, że będziesz próbował puścić z dymem tę szopę.

- Z sobą w środku?

- To nie byłoby mądre - przyznał Michael. - Ludzie nadal palą, tyle że nie tak dużo. Okazuje się, że to powoduje raka.

Sinclair spojrział na niego takim wzrokiem, jakby w życiu nie słyszał większej niedorzeczności.

- No, a w takim razie - spytał - czy piją?

- Jak najbardziej. Zwłaszcza tu.

Sinclair czekał z nadzieją, podczas gdy Michael rozważał, co zrobić. Wiedział, że Murphy zabronił podawania więźniowi alkoholu. Złamanie tego zakazu byłoby poważnym wykroczeniem. Charlotte pewnie też stwierdziłaby, że to bardzo zły pomysł. Do diabła, sam wiedział, że to nierozsądne. Ale facet robił wrażenie bardzo spokojnego i rozsądnie myślącego. Czy był jakiś lepszy sposób, by zdobyć jego zaufanie i zachęcić do opowiedzenia o długiej i pełnej wydarzeń podróży, którą miał za sobą? Michael nadal nie potrafił sobie wyobrazić, jak Sinclair i Eleanor wylądowali na dnie morza owinięci łańcuchem.

- W klubie zawsze trzymaliśmy pod ręką karafkę wyborczego porto dla naszych gości.

- Tego na pewno nie mamy, mogę ci zagwarantować. Prędeż piwo.

Sinclair uprzejmie wzruszył ramionami.

- Nie mam nic przeciwko piwu.

Michael rozejrzał się po magazynie. Większość kartonów zawierała puszki z jedzeniem lub naczynia stołowe, ale gdzieś musiały być skrzynie z Samem Adamsem.

- Nigdzie nie odchodź - powiedział, wstając i ruszając do następnej alejki, w której Ackerley zostawił plamę krwi na betonowej podłodze. Obchodząc ją - i usiłując o niej nie myśleć - znalazł skrzynkę Sama Adamsa i otworzył ją. Wyjął dwie butelki i za pomocą szwajcarskiego scyzoryka zdjął kapsle. Wrócił i poczęstował Sinclaira. Stuknęli się butelkami i Michael usiadł tam, gdzie poprzednio.

Sinclair pociągnął duży łyk, odchylając do tyłu głowę, po czym uważnie obejrzał nalepkę na ciemnej butelce, przedstawiającą mężczyznę w peruce.

- Wiesz, kiedyś podobna butelka wywołała wielki skandal.

- Czyżby?

- Poszło o mozelskie serwowane w ciemnym szkle mniej więcej tych rozmiarów. Podczas bankietu trafiło na stół lorda Cardigana.

- Czemu wzbudziło takie emocje?

- Lord Cardigan - tytuł i nazwisko arystokraty Sinclair wymówił wyjątkowo pompatycznym tonem - był przewrażliwiony na punkcie tych spraw i jednoznacznie rozkazał, aby na jego stół podawano tylko szampana.

- Kiedy to było?

- Jeśli mnie pamięć nie zwodzi, to w czterdziestym czwartym. Podczas kolacji regimentu.

Michael miał wrażenie, że ta rozmowa staje się coraz bardziej surrealistyczna. Podczas gdy Sinclair kończył anegdotę - „rozumiesz, o tym dowiedziałem się z plotek, gdy byłem w Eton” - Michael powtarzał sobie, że Sinclair i Eleanor żyli w minionej epoce, świecie, który dawno przepadł. To co on traktował jak historię, dla Sinclaira było wiadomościami dnia.

Sinclair pociągnął następny łyk. Zamknął przy tym oczy, po czym wolno - bardzo wolno - znów je otworzył.

Czy właśnie poprawiał swoje widzenie?

- Cienkie piwko - stwierdził.

- Czyżby? - odparł Michael. - Beczkowe, do którego przywykłeś, pewnie było bardziej treściwe.

Sinclair nie odpowiedział, wpatrywał się nieruchomo w Michaela. Zastanawiał się. Opróżnił butelkę i postawił ją na podłodze, przy łańcuchu oplatającym jego nogę.

- I tak dziękuję - powiedział.

- Ależ proszę. - Michael rozważał, jak sprowadzić rozmowę na interesującą go sprawę, gdy Sinclair sam przejął ster konwersacji.

- A więc co zrobiliście z Eleanor? - spytał.

To z pewnością nie był temat, który Michael chciałby poruszyć. Ale odparł, że Eleanor ma się dobrze i odpoczywa, co zabrzmiało ze wszech miar niewinnie.

- Nie o to pytałem.

Ton porucznika uległ nagłej zmianie.

- Gdzie ona jest? - pytał dalej. - Chcę się z nią spotkać.

Wzrok Michaela bezwiednie padł na łańcuch przykuwający więźnia do ściany.

- Czemu nie pozwalacie się nam widywać?

- Po prostu tak zdecydował kierownik stacji.

Sinclair prychnął.

- Mówisz jak jakiś szeregowy, który musi się trzymać rozkazów. - Odetchnął głęboko. - Życie mnie nauczyło, czym się to kończy.

- Zobaczę, co mogę zrobić - obiecał Michael.

- Jesteśmy tylko najzwyczajnym małżeństwem, mężem i żoną - powiedział bardziej pojednawczym tonem Sinclair, próbując innego podejścia - którzy razem przebyli szmat drogi. Cóż złego mogłoby wyniknąć z naszego spotkania?

Sinclair i Eleanor mężem i żoną? Tego Michael nie wiedział, a na pewno zapamiętałby, gdyby Eleanor o tym wspomniała. Sinclair znów powoli zamrugał i Michael zauważył, że chyba brakuje mu powietrza.

- Czy cię to zaskakuje - spytał porucznik - że jesteście małżeństwem? A może o tym nie wspomniała?

- Nie wydaje mi się, by o tym mówiła.

- Nie mówiła? - Odkasznął i pokręcił z niewiarą głową. - A może nie chciałeś wiedzieć?

- O czym ty mówisz?

- Nie jestem durniem, więc nie traktuj mnie jak durnia.

- Nie traktuję cię...

- Jestem oficerem armii Jej Królewskiej Mości, Siedemnastego Regimentu Lansjerów - rzekł. W jego głosie zadźwięczała stalowa nuta. Uniósł skute ręce i zadzwonił biegnącym do ściany łańcuchem, dodając: - I gdybym nie był w tak niekorzystnej sytuacji, niebawem pożałowałbyś kpin ze mnie.

Michael wstał, znów zaskoczony nagłą zmianą tonu tamtego. Czy to piwo tak na niego podziało? Czy alkohol miał taki nieprzewidziany wpływ, spowodowany stanem porucznika? A może zmienny humor stał się częścią jego natury? Mimo że łańcuch ograniczał ruchy Sinclaira, Michael cofnął się o kilka stóp.

- Chcesz przywołać strażnika? - spytał szyderczo więzień.

- Myślę, że lepiej zrobię, wołając lekarkę - powiedział Michael.

- Co? Znowu ta czarnucha?

- Doktor Barnes.

- Ta suka zajęła się moją głową, jakby to była beczka, którą trzeba zaszpunktować.

Co tu się stało? Co poszło nie tak, jak powinno? W ciągu paru minut Sinclair przeszedł od spokoju do furii. W nabiegłych krwią oczach był błysk szaleństwa.

Franklin wrócił rażnym krokiem. Szron osiadł na jego sumiastych wąsach.

- Wciąż czytacie sobie wierszyki? - spytał.

Ale zauważył minę Michaela i to, że trzyma się on z dala od więźnia. Domyślił się, że stało się coś niedobrego.

- Wszystko gra? - zapytał Michaela, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, dodał: - Co mam zrobić?

- Chyba idź po Charlotte. I może też po Murphy'ego i Lawsons.

Franklin spojrział z obawą na Sinclaira i zaraz wyszedł.

Michael nie odrywał oczu od więźnia. Sinclair przysiadł na brzegu pryczy, nie spuszczać z niego oczu w czerwonych obwódkach. Po czym takim samym tonem jak wtedy, gdy recytował wersy z Coleridge'a, powiedział:

- „Sieroca klątwa w Czeluść ściągnie / Ducha, co wzlatał wysoko, / Lecz potworniejszą klątwa zionie / Zimnego trupa oko!”

- W jego oczach była wyraźna żądza mordu. - Znasz te strofy? - zapytał.

- Nie. Nie znam.

Sinclair stuknął knykциями o okładkę starej książki.

- Teraz znasz - rzekł z ponurym półśmiechem. - Więc nie mów, że nie ostrzegałem.

ROZDZIAŁ 49

24 grudnia, 20.15

Chociaż bardzo się starała ukryć straszliwe dowody, Eleanor wkrótce się przekonała, że odkryto jej tajemnicę. Obyło się bez słów, ale wszystkie pozostałe torebki z krwią zniknęły z sali chorych. A w oczach doktor Barnes pojawiła się czujność.

Eleanor była zawstydzona - więcej, głęboko zawstydzona z racji dręczącej ją straszliwej potrzeby - ale również przestraszona. Co zrobi, kiedy ta chęć, to potworne pragnienie znów się odezwie? A odezwie się - wiedziała, że się odezwie. Czasem zostawiało ją w spokoju przez kilka dni, może nawet tydzień... ale im później ją nachodziło, tym było bardziej palące i tym większą czuła potrzebę, nawet wbrew swej woli, by je zaspokoić.

Jak miałyby kiedykolwiek przyznać się do takiego pożądanego? Komu?

Patrzyła przez okno swojego pokoiku na zastygły placyk z masztem flagowym pośrodku. Stał tam wysoki mężczyzna w grubej kurtce z kapturem, wpatrzony w grafitowe niebo. Trzymał coś w ręce w rękawicy. Chyba paski bekonu.

I chociaż trudno było dojrzeć, kto się kryje pod tymi wszystkimi warstwami polarnego okrycia, instynktownie wiedziała, że to Michael.

Mimo stałego zawodzenia wiatru usłyszała, że mężczyzna głośno gwizdze, nadal wpatrując się w niebo. Po chwili pojawił się ptak. Może siedział na dachu nad jej głową. Był brudnoszary, miał zakrzywiony dziób i poszybował niemal prosto na Michaela. Ten przykucnął i ptak tylko musnął kaptur. Eleanor usłyszała śmiech mężczyzny i zdała sobie sprawę, jak dawno nie słyszała nikogo śmiejącego się od serca. Ten dźwięk był jednocześnie obcy i miły. Minęły wieki, od kiedy słyszała go ostatni raz. Zapragnęła wybiec na dwór, na śnieg i lód, i przyłączyć się do tego, co się tam działo. Chciała się śmiać z szalejącego ptaka i wystawić twarz do słońca - choćby nawet takiego jak to - i poczuć jego promienie na powiekach.

Tymczasem Michael znów się wyprostował i pomachał w powietrzu plasterkiem bekonu. Kiedy ptak zawrócił, Michael wyrzucił plaster wysoko w powietrze, a wydrzyk zanurkował, złapał w dziób cząstkę, która się oderwała, i odleciał trochę dalej. Pozostałe kawałki wylądowały na twardo ubitym śniegu. Michael czekał bez ruchu - chyba słusznie - na powrót

ptaka. Ten przysiadł niezbyt elegancko na śniegu i kołysząc się na boki, maszerował od kawałka do kawałka, pozerając je natychmiast. Drugi ptak, większy, brązowy, zaciekawiony usiadł na śniegu, ale pierwszy rzucił się na niego, skrzecząc, a Michael nawet cisnął grudką śniegu, odpędzając natręta. Ach, brudas to jego ulubieniec, oswojony, pomyślała Eleanor.

Kucał, wyciągając rękę w rękawicy, a ptak podszedł do niego. Skubnął rękawicę - chociaż nie mogła tego dojrzeć, podejrzewała, że zostały na niej resztki bekonu - i pozostali tak razem, jak starzy przyjaciele, którzy dawno się nie widzieli i mają sobie wiele do opowiedzenia. Wiatr mierzwił ptasi puch i marszczył rękawy kurtki Michaela, ale człowiekowi i ptakowi to nie przeszkadzało. Eleanor nagle ogarnęło takie wzruszenie, że nie miała siły dłużej się temu przyglądać.

Całe życie wydało się jej więzieniem. Skuliła się na brzegu łóżka jak skazaniec.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, poczuła w sercu upiorny lęk. Czy to doktor Barnes przyszła zapytać ją o jej zbrodnię? Początkowo nie odpowiedziała, ale gdy pukanie rozległo się po raz drugi, rzekła:

- Można wejść.

Drzwi uchyliły się tylko do połowy; Michael wsadził do środka głowę. Wcześniej zdjął kaptur.

- Dostanę pozwolenie na odwiedzinę? - spytał.

- Pozwolenie udzielone, szanowny panie - odparła Eleanor. Teraz poczuła się jak skazaniec, który uciekł spod stryczka. - Ale obawiam się, że nie mogę wiele zaoferować poza tym krzesłem.

- Zupełnie mi wystarczy - rzekł Michael, odwracając je i siadając okrakiem. Wielka niezgrabna kurtka zwisała po obu stronach krzesła, a ponieważ pokój naprawdę był niewielki, mężczyzna znalazł się zaledwie kilka stóp od niej - tak blisko, że czuła lodowate powietrze jeszcze bijące od ubrania i butów. Och, jak bardzo chciała być wolna.

*

Michael odczekał kilka sekund - rozpiął kurtkę i zebrał myśli. Rozmowa w tych okolicznościach była niewygodna, a tym bardziej nie ułatwiało mu jej wspomnienie dręczącego, erotycznego snu. Nawet teraz z trudnością patrzył Eleanor w oczy; tamten koszmar wydawał się aż nadto rzeczywisty.

Obawiał się też, że wzajemna bliskość - sala chorych była niezwykle ciasna - wprawia Eleanor w zażenowanie.

Widział żyłę pulsującą nad sztywnym kołnierzykiem jej niebieskiej sukni. Eleanor wbijała wzrok w skrzyżowane na podołku dłonie. Spojrzał na nie ukradkiem, ale nie zobaczył obrączki ślubnej.

- Widziałam cię na dworze - powiedziała - z ptakiem.

- To Ollie - wyjaśnił. - Ma imię po innej sierocie, Olivierze Twiście.

- Znasz książki pana Dickensa? - spytała zdziwiona.

- Prawdę mówiąc, żadnej nie czytałem - wyznał. - Ale widziałem film.

Jej twarz znów wyrażała całkowity brak zrozumienia. I nic dziwnego, pomyślał, „film”...

- Mój ojciec miał niezwykle radykalne poglądy - kontynuowała. - Zezwolił mi chodzić do szkoły tak często, jak to tylko było możliwe, a nawet odwiedzać plebanię, gdzie była biblioteka.

Oczy miała zielone i lśniące jak sosnowe igły po deszczu.

- Musiało w niej być ze dwieście książek - rzekła dumnie.

Jak byś się poczuła w dużej sieciowej księgarni? zastanowił się w duchu.

- Tak bardzo chciałam być tam razem z tobą - wyznała z odrobiną smutku.

- Gdzie?

- Tam, gdzie karmiłeś Olliego.

Już miał zapytać, dlaczego nie przyszła, kiedy przypominał sobie, że tak naprawdę czuje się więźniem. Zdradzała to jej nerwowość. Rozejrzał się po pokoju. Nie było w nim nawet książki czy gazety.

- Może później udałoby się nam przemycić cię do sali klubowej - zaproponował - na jeszcze jeden recital przy pianinie.

- O, świetnie - powiedziała, ale z mniejszym entuzjazmem, niż się tego spodziewał.

- Na co jeszcze miałabyś ochotę? - spytał. - Na pewno mógłbym ci zorganizować coś porządnego do czytania.

Zawahała się i pochyliwszy się nieznacznie, wyznała:

- Mam ci powiedzieć, co naprawdę sprawiłoby mi przyjemność? Za co oddałabym wszystko?

Czekał... przestraszony, ku swojemu zaskoczeniu, że to coś mogłoby się wiązać z osobą Sinclaira. Jak długo uda mu się utrzymać tajemnicę?

- Chciałabym wyjść na dwór... choćby było tam nie wiedzieć jak zimno... i wystawić twarz do słońca. Posmakowałam go jedynie raz, i to przez chwilę, kiedy byliśmy w tamtej stacji wielorybniczej. Chciałabym zobaczyć słońce i znów poczuć je na twarzy. Na niczym innym mi tak nie zależy.

- Słońce to nie problem - przyznał Michael - ale ciepłe to ono nie jest.

- Wiem. Czy to nie dziwne? Jesteśmy w miejscu, w którym słońce nigdy nie zachodzi, ale daje tak mało ciepła.

Michael siedział nieruchomo, rozważając to, co powiedziała, i obracał w głowie kompletnie zwariowaną propozycję, która właśnie się tam zrodziła. Gdyby go przyłapano, groziły mu surowe konsekwencje: Murphy obdarłby go żywcem ze skóry. Ale myśl, na którą dopiero co wpadł, tak go podniecała - był też ciekaw, jak Eleanor na nią zareaguje - że nie mógł się jej oprzeć.

- Gdybym ci powiedział, że mogę spełnić twoją prośbę - zaczął ostrożnie - obiecałabyś trzymać się moich instrukcji co do joty?

Była zdumiona.

- Mógłbyś mnie przesz muglować na dwór?

- To najmniejszy problem.

- I sprawić, że słońce byłoby gorące, nawet w tym miejscu?

Michael skinął głową.

- A wiesz co? To dałoby się zrobić.

Wcześniej się zastanawiał, jaki prezent gwiazdkowy jej podarować... teraz wiedział.

*

- No i co z tego? - spytała Charlotte, patrząc na podzielony przegrodami zbiornik, w którym unosiły się śnięte ryby. - Masz tu zdechłe ryby.

- Nieważne - rzekł Darryl. - Wypadek przy pracy. Patrz na *Cryothernia hirschii* i inne niezamarzające okazy. Widzisz, jak pływają przy dnie i niczym się nie przejmują?

Charlotte wyciągnęła szyję i dojrzała blade, niemal przezroczyste ryby, niektóre dochodzące do trzech stóp długości, wolno pracujące skrzelami w słonej wodzie.

- No dobra, widzę - powiedziała. - I co z tego?

- Te ryby to może być zbawienie dla Eleanor Ames.

Charlotte w końcu okazała zaciekawienie.

- Zmieszałem ich krew z próbkami jej krwi i teraz niektóre osobniki w zbiorniku mają w żyłach hybrydę. - Darryl wyszczerzył zęby do Charlotte. Jego stercząca ruda czupryna jakby na znak triumfu jeżyła się jeszcze bardziej niż zwykle. - Jak sama widzisz, czują się świetnie.

- Ale Eleanor to nie ryba - stwierdziła Charlotte.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale co sprawdziło się raz, sprawdzi się i drugi... - powiedział, zapraszając gestem Charlotte do stołu, gdzie już stał przygotowany mikroskop i

próbki. Na monitorze widać było duże powiększenie płytek i ciałek krwi. Ten obraz przypomniiał Charlotte zajęcia na uczelni.

- Patrzysz na próbkę bogatego w hemoglobinę koncentratu osocza - oświadczył, sprawnie nakładając lateksowe rękawiczki.

- Mojego, dokładnie mówiąc.

Charlotte widziała czerwone ciała krwi, faktycznie blad różowej barwy, z małymi białymi plamkami w centrum każdego kółeczka.

- Teraz patrz, co się będzie działo.

Darryl pochylił się nad mikroskopem, cofnął obiektyw i zdjął szkiełko. Obraz na monitorze zniknął. Za pomocą strzykawki umieścił drobną kropelkę na szkiełku, delikatnie ją roztarł i umieścił całość na stoliku mikroskopu.

- Normalnie zmieszałbym próbkę jak należy, ale nie mamy czasu. - Poprawił ostrość i obraz na monitorze powrócił.

Poza większą ilością leukocytów - wspomaganych przez fagocyty białych ciałek odpowiedzialnych za obronę organizmu przed chorobami i infekcjami - wszystko wyglądało tak samo jak przed chwilą. Większe, niesymetryczne białe ciała zgodnie z tym, czego należało od nich oczekiwać, poruszały się nadzwyczaj żwawo, szukając bakterii i obcych komórek.

- W porządku - powiedziała Charlotte - teraz mamy bardziej wyrównaną mieszanę. Co dodałeś?

- Kroplę krwi Eleanor z pierwszej próbki. Patrz, co się będzie działo dalej.

Przez kilka sekund nic. A potem wybuchło piekło. Białe ciała krwi nie mając bakterii, które mogłyby niszczyć, zaczęły otaczać i atakować przenoszące tlen czerwone ciała krwi. Pożerały je, aż nie pozostało ani jedno. To była bezlitosna rzeź. Charlotte zdawała sobie sprawę, że żaden ciepłokrwisty organizm nie przeżyłby długo, mając tylko tyle krwi. Obejrzała się na Darryla, a ten rzekł po prostu:

- Wiem. Ale spójrz na to.

Znów przesunął w bok stół mikroskopu i używając innej strzykawki, wziął próbkę z jednej z wielu probówek na stole - Charlotte zauważyła, że była oznaczone AFGP-5 - i dodał ją do pierwotnego rozmazu.

Obraz na ekranie, jeszcze przed chwilą ukazujący szalejące białe ciała krwi i uganiające się za kolejnymi ofiarami fagocyty, stopniowo się uspokoił jak morze po przejściu sztormu. Po wprowadzeniu kolejnego elementu te cząsteczki poruszały się niczym statki po gładkich wodach.

Nieatakowane.

- To glikoproteiny - wyjaśnił Darryl, nie czekając na pytania Charlotte - pobrane z *Cryothermii*. Glikoproteiny zapobiegające zamarzaniu, w skrócie AFGP. Naturalne proteiny, które wiążą się w krwiobiegu z kryształkami lodu, natychmiast hamując ich wzrost. U ryb poruszają się jak tlen, w osoczu. To znakomita sztuczka ewolucji i może uratować życie Eleanor.

- Jak?

- Jeśli zniosłaby okresową nadaktywność AFGP - a z badań jej krwi wynika, że potrafi znieść niemal wszystko prócz strychniny - mogłaby prowadzić całkiem normalne życie.

- Gdzie? - spytała Charlotte. - Na dnie oceanu?

- Nie - odparł cierpliwie Darryl - tu. Wszędzie. Nie potrzebowałyby czerwonych ciałek krwi i hemoglobiny w większym stopniu, niż potrzebują ich ryby. Ale to rozwiązanie ma kilka minusów - dodał, bezsilnie wzruszając ramionami. - Po pierwsze, byłaby zasadniczo stworzeniem zimnokrwistym, pobierającym ciepło tylko z zewnątrz, tak, powiedzmy, jak wygrzewające się na słońcu węże.

Charlotte zadrżała na te słowa.

- Druga sprawa wiąże się z bezpośrednim zagrożeniem.

- Jakim? To coś gorszego?

- Sama oceń.

Darryl sięgnął po czyste szkiełko, potarł je mocno o grzbiet dłoni Charlotte i umieścił pod mikroskopem. Na monitorze pojawiły się żywe i martwe bakterie. Dodał kroplę AFGP-5. Nic się nie wydarzyło. Był to obraz pokojowej koegzystencji.

- To dobry znak? - spytała Charlotte, spoglądając na Darryla.

Trzymał w palcach kostkę lodu, nieco odstawiając mały palec. Delikatnie dotknął nią szkiełka i powiedział:

- Nie spuszczaaj wzroku z magicznego monitora.

Na ekranie nawet rożek kostki wyglądał jak góra lodowa i zasłaniał połowę pola widzenia. Darryl natychmiast ją cofnął, ale już się stało. Na powierzchni szkiełka, które zmarszczyło się jak poruszony wiatrem staw, pojawiła się fala drobnych pęknięć. Dotykała każdej komórki, rozbiegając się we wszystkich kierunkach, aż w końcu zastygła. To co jeszcze przed sekundą poruszało się i krążyło, teraz całkowicie znieruchomiło. Zamarzło. Umarło.

- Jak widzisz, kiedy tylko dopuści się do bezpośredniego kontaktu lodu z tkanką, jest po wszystkim.

- Myślałam, że AFGP-5 temu zapobiegnie.

- Zapobiega powstawaniu kryształów lodu w krwiobiegu, ale nie chroni komórek skóry - powiedział Darryl. - To dlatego niezamarzające ryby trzymają się tak daleko od pokrywy lodowej.

- Eleanor nie powinna mieć z tym problemu - powiedziała Charlotte.

- Ale czy może być pewna - absolutnie pewna - że nigdy nie dotknie lodu w żadnej postaci? Że nigdy nie sięgnie po zimny napój, nie muśnie ustami kostki lodu? Że nigdy się nie poślizgnie na chodniku i nie oprze gołą ręką o zamrożoną ziemię? Że nigdy machinalnie nie sięgnie do lodówki po torebkę zamrożonych jarzyn?

- A jeśli to zrobi?

- Zamarznie i roztrzaska się jak szkło.

ROZDZIAŁ 50

25 grudnia, 13.15

Michael owinął Eleanor w tyle warstw odzieży, że rodzona matka by jej nie poznała. Kiedy szła przez zamrznięty podwórzec, wyglądała jak wolno tocząca się kula. Michael rozglądał się na wszystkie strony, ale nie dojrzał nikogo. O Antarktydzie jedno da się powiedzieć - nawet w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia nie spotyka się tam wielu spacerowiczów. Kiedy mijali stary magazyn mięsa, postarał się, by przyspieszyła nieco kroku, podobnie gdy zbliżyli się do laboratorium glaciologii, królestwa Betty i Tiny; z magazynu rdzeni lodowych dobiegał warkot piły. Eleanor spojrzała na niego z ciekawością, ale potrząsnęła głową i pociągnął ją dalej. Kilku lokatorów kojca stanęło na tylnych łapach, machając ogonami i licząc na przebieżkę, ale na szczęście nie wydając głosu. W pracowni biologii morza świeciło się światło, dobry znak. Michael miał nadzieję, że Darryl ciężko pracuje, doskonaląc remedium, które uratuje Eleanor i Sinclaira.

Nieco dalej zobaczył cel ich wyprawy - ruszyli ku niemu. Przeszli pod drewnianą kratownicą i wspięli się rampą. Eleanor dygotała mimo wielu warstw odzieży.

Michael otworzył drzwi, rozsunął kurtyny z twardego plastiku i wprowadził ją do laboratorium botaniki. Nagle ogarnęło ich gorące, wilgotne powietrze i zaskoczony Eleanor zaparło dech w piersiach. Michael pociągnął ją dalej. Pomógł rozpiąć kurtkę, zdjąć czapkę i rękawice. Włosy opadły jej luźno na ramiona, a na policzkach pojawiły się sympatyczne rumieńce. Zielone oczy nabrały blasku.

Zrzucając wierzchnie okrycie, dziennikarz powiedział:

- Tu badają najprzeróżniejsze rośliny, miejscowe i sprowadzone. Antarktyda ma najczystsze środowisko, które jak żadne inne nadaje się do badań laboratoryjnych. - Odgarnął długie włosy, które przykleiły mu się do czoła. - Ale w obecnym stanie rzeczy to nie potrwa długo.

Eleanor tymczasem już poszła dalej, przyciągnięta zapachem wielkich truskawek dojrzewających na pędach, które zwisały z krzyżujących się pod sufitem przewodów hydroponicznych. Między zielonymi liśćmi o strzępiastych brzegach rosła masa kwiatów o białych i żółtych pąkach, a stale zraszane owoce lśniły w sztucznym oświetleniu. Ackerley

sam zbudował całe laboratorium; zainstalował w nim najnowsze osiągnięcia techniki i urządzenia wykonane metodą chałupniczą z wykorzystaniem aluminiowych rurek i gumowych przewodów, plastikowych wiader i silnych świetlówek. Te ostatnie na razie świeciły słabo - gdy Eleanor zamknęła oczy i ukryła twarz w kwitnących pędach, Michael zwiększył natężenie światła do maksimum.

Cała pracownia natychmiast stanęła w blasku, dodatkowo wzmocnionym rzędami reflektorów, które Ackerley zbudował z wieszaków na ubrania i cynfolii. Truskawki błyszczały jak rubiny, białe płatki lśniły, a krople wody na zielonych liściach skrzyły się jak brylanty. Eleanor nagle rozwarła powieki i śmiejąc się, osłoniła oczy dłonią.

Michael nie słyszał jej tak szczęśliwej, od kiedy zapoznał ją z cudem odtwarzania muzyki.

- Nie mówiłem ci? - spytał.

Uśmiechnięta pokiwała głową i powiedziała:

- Mówiłeś, mówiłeś, chociaż wciąż nie rozumiem, jak to działa. - Szybko się rozejrzała po świecących lampach i srebrnych reflektorach, po czym znów osłoniła oczy.

- Skosztuj truskawkę - zaproponował. - Nasz kucharz robi z nimi tortoletki.

- Naprawdę? - spytała. - Mogę?

Michael zerwał owoc i podsunął go do jej ust. Zawahała się, mocno się rumieniąc, po czym schyliła głowę i odgryzła równą połówkę.

Gorące promienie odbiły się na jej włosach, gdy rozkoszowała się miąższem owocu. Zaśnił złoty owal broszki.

- Dokończ - powiedział Michael, podsuwając jej resztę.

Zastygła. Jej wargi lśniły sokiem owocu, a wzrok spotkał się z jego wzrokiem. W sercu miał taką nawalę uczuć - czułości, niepewności, pożądania - że ledwo potrafił wytrzymać jej spojrzenie.

Ale ona bez drgnienia powieką spoglądała mu w oczy, po czym się pochyliła i wzięła do ust resztę owocu. Jej zęby musnęły czubki jego palców, zanim się wyprostowała, delikatnie odrywając od ust koronę zielonych listków. Stał jak skamieniały.

- Dziękuję ci, Michael - powiedziała.

Czy po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu - w realnym świecie, nie tylko we śnie?

- To było pyszne.

- Prezent bożonarodzeniowy.

- Tak? - zapytała zaskoczona. - Dziś jest Boże Narodzenie?

Skinął głową. Ramiona wręcz go bolały, tak bardzo chciał ją objąć. Ale nie śmiał. Nie po to ją tu przyprowadził. Nie o to mu chodziło. I nie było w tym przyszłości.

Tylko dlaczego musiał stale sobie o tym przypominać?

- Na święta ozdabialiśmy dom jemiolą, bluszczem i jedliną - powiedziała zamyślona. - Mama robiła pudding, wsadzała w niego gałązkę ostrokrzewu i skrapiała ją brandy. Kiedy ojciec podpalał gałązkę, cały pokój jaśniał jak od ogniska.

Po chwili się odwróciła i wyszła poza krąg blasku lamp.

- To światło jest bardzo gorące.

Ruszyła jedną z alejek. Długa suknia z bufiastymi rękawami i białym kołnierzykiem podkreślała jej szczupłą sylwetkę. Muskała palcami rzędy krzaczków pomidorów wspinające się na podpórkach, sałatę, cebulę i rzodkiewki, rośliny rosnące na stołach w płytkich misach z przezroczystym płynem.

- Nie ma ziemi - rzekła przez ramię. - Jak to w ogóle rośnie?

- To się nazywa uprawa hydroponiczna - wyjaśnił, idąc za nią. - Wszystkie minerały i odżywki są podawane wraz z wodą. Dodaj do tego światło i powietrze, i gotowe.

- To cud, zupełnie jak oranżerie na Wystawie Światowej. Mój ojciec zabrał tam mnie i moją siostrę, Abigail.

- Kiedy to było?

- W tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku - rzekła takim tonem, jakby stwierdzała ogólnie wiadomą rzecz - w Crystal Palace w Hyde Parku.

Za każdym razem był to dla niego wstrząs.

W głębi pojawił się następny rząd świateł, rozjaśniający ogródek róż, lilii i ukochanych przez Ackerleya orchidei.

- Och, jakie śliczne - powiedziała Eleanor, wchodząc w wąskie przejście, otoczone jarzącymi się czerwono różami i wielobarwnymi orchideami na długich powyginanych łodygach. Nawet mimo braku gleby czuło się gorący, wilgotny zapach dżungli. Eleanor rozpięła guzik kołnierzyka, ale tylko jeden, i odetchnęła głęboko.

- Nie potrafiłabym wyobrazić sobie takiego miejsca - stwierdziła, ogarniając wzrokiem szaleństwo kolorów i zapachów - w tak odległym i zimnym kraju. Kto się opiekuje tymi wszystkimi roślinami? Czy to ty?

- Och, nie - odrzekł Michael - uschłyby w tydzień, gdybym to ja się nimi zajmował. - Ale jak miałby jej wytłumaczyć, co się przydarzyło Ackerleyowi? A gdyby nawet to zrobił, co by na to powiedziała? Czy wyjawiałaby mu swoją największą, ukrytą potrzebę?

Jednego był pewien. Nie chciał, by kiedykolwiek to zrobiła.

- Wszyscy się tu przykładamy - powiedział, aby nie pozostawiać jej pytania bez odpowiedzi. - Ale większość zadań wykonują urządzenia obsługiwane przez zaprogramowany komputer.

Zdał sobie sprawę, że jego wytłumaczenie zupełnie przekracza jej zdolność pojmowania.

- To maszyny - dodał po prostu i wydawała się usatysfakcjonowana... ale i zamyślona. Nawet gdy pochyliła twarz nad różami i wciągnęła ich aromat, widział dobrze, że jej myśli zgłębiały mroczne obszary. Zmarszczyła brwi i zastygła.

- Michael... - rzekła wreszcie, nie kończąc.

- Tak?

Po chwili namysłu ciągnęła dalej:

- Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że czegoś mi nie mówisz.

Miała rację, ale było tak wiele rzeczy, których jej nie mówił, że nie wiedział, od czego zacząć.

- Czy to ma związek z porucznikiem Copleyem?

Michael się zawahał; nie chciał kłamać, ale zabroniono mu mówić prawdę.

- Szukaliśmy go.

- Wiesz, że on zjawi się po mnie. Jeśli już tego nie zrobił, niebawem przystąpi do poszukiwań.

- Tego bym oczekiwał po twoim małżonku.

Spojrzała na niego bacznie, jakby jej podejrzenia - przynajmniej niektóre z nich - się potwierdziły.

- Czemu tak mówisz?

- Wybacz, tylko założyłem...

- W oczach Sinclaira może tak jest. Ale w oczach Boga na pewno nie. Z przyczyn, których nie potrafię wyłuszczyć, nigdy do tego nie dojdzie.

Nie chciał się zastanawiać, dlaczego jej kategoryczny sprzeciw sprawia mu przyjemność. Ale skoro ten temat został poruszony, Michael uznał, że nie powinien pozwolić umknąć okazji. Mógł się dowiedzieć więcej.

- Ale czy nie chciałabyś, żebyście znów się połączyli... zakładając oczywiście, że żyje i pozostaje w dobrym zdrowiu?

Wpatrywała się w żółte orchidee, trąc w palcach woskowe listki.

Był zaskoczony, że w ogóle się waha.

- Sinclair był i zawsze będzie wielką miłością mojego życia.

Ujęła w palce złotożółty płatek.

- Ale nie możemy dalej wieść życia, które byliśmy zmuszeni prowadzić... ani nie powinniśmy.

Michael oczywiście wiedział, co ma na myśli, ale zachował milczenie.

- I obawiam się, że przez lata oładnęła nim miłość do czegoś innego... czegoś daleko potężniejszego ode mnie.

Nagle włączyły się zraszacze, roztaczając nad ich głowami delikatną chłodną mgłę, ale Eleanor się nie poruszyła.

- Co to jest? - spytał.

- Śmierć - odparła.

Zraszacze przestały pracować. Eleanor odwróciła się w bok, jakby zawstydzona swoim wyznaniem.

- Przebywał w jej cieniu tak długo, że nauczył się z nią żyć za pan brat. Tyle że tak naprawdę to ona trzyma go przy swoim boku jak wiernego brytana. Nie zawsze był taki - dodała pośpiesznie, jakby żałując popełnionej zdrady. - Zwłaszcza gdy się poznaliśmy w Londynie. Był miły, opiekuńczy i zawsze szukał sposobów, aby mnie zabawiać. - Ostatnie słowa wzbudziły jej uśmiech.

- Czemu się uśmiechasz?

- Och, tylko wspominam. Pewien dzień w Ascot, kolację w jego klubie. Biedny Sinclair, myślę, że zawsze był o krok przed swoimi wierzycielami.

- Nie mówiłaś mi kiedyś, że pochodzi z arystokratycznej rodziny?

- Jego ojciec był earlem - i Sinclair któregoś dnia przejąłby ten tytuł - ale zbyt nadwerżył rodzinną fortunę. Sądzę, że jego ojciec gorzko się na nim zawiódł.

Mgła jak delikatny welon okryła jej włosy.

- A jego spojrzenie na świat... zmieniło się na Krymie. Każdy kto tam był, się zmienił, każdy kto przeżył, wyszedł z tego poturbowany. Nie mogło być inaczej. - Grzbietem dłoni otarła z włosów mgłę. - Nie możesz każdego dnia kąpać się we krwi i następnego ranka budzić się nieskażony.

Michael bezwiednie pomyślał o wszystkich wojnach, które przetoczyły się od jej czasów, o wszystkich żołnierzach, którzy równie nadaremnie usiłowali zapomnieć przeżyta grozę. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Nie patrząc na niego, nagle zapytała:

- Jak długo według ciebie będę tu trzymana?

Chcąc uciec od odpowiedzi, rzekł:

- Dokąd chciałabyś się udać?

- Och, to całkiem proste. Chcę wrócić do domu, do Yorkshire. Wiem, że nie zastanę tam nikogo z rodziny i że bardzo wiele się zmieniło... ale nie wszystko, prawda? To niemożliwe. Wzgórza, drzewa i strumienie pozostały. Stare sklepy w miasteczku przepadły, ale ich miejsce zajęły nowe. Miejski placyk, kościółek, stacja kolei żelaznej z bufetem i zapachem gorących babeczek z masłem...

Kiedy mówiła, Michael się zastanawiał, czy cokolwiek z tego pozostało, czy wzgórz nie zniwelowano pod osiedla mieszkaniowe, a stacja kolejowa nie została zamknięta wiele lat temu.

- Po prostu nie chcę umrzeć w takim miejscu jak to, nie pośród lodów. - Skłoniła głowę i zadygotała na tę myśl.

Michael wyciągnął rękę i łagodnie odwrócił Eleanor ku sobie.

- To się nie zdarzy - rzekł. - Obiecuję.

Łzy wezbrały jej w oczach. Patrzyła na niego, rozpaczliwie pragnąc mu uwierzyć.

- Ale jak możesz mi to obiecać?

- Mogę i dotrzymam obietnicy. Nie odjadę stąd bez ciebie.

- Odjeżdżasz? - spytała. W jej głosie zabrzmiała nuta niepokoju. - Dokąd?

- Do domu, do Stanów Zjednoczonych.

- Kiedy?

Wiedział, czego się boi - nie tylko tego, że może tu umrzeć, ale również tego, że znów ulegnie swojej potrzebie, zanim ujrzy ojczyste strony. Zgadywał, że nawet teraz walczy każdą cząstką woli, odsuwając od siebie przemożną żądzę.

- Wkrótce - rzekł - wkrótce. - Wziął ją w ramiona. Kropelki wilgoci przylgnęły do jej włosów.

Nie stawiała oporu, przyłożyła policzek do jego piersi.

- Nie rozumiesz - powiedziała cicho - a gdybyś rozumiał, nigdy nie złożyłbyś tak pochopnej obietnicy.

Ale Michael wiedział, że byłoby inaczej.

Przypominał sobie obietnicę, którą złożył na ścianie Cascades. I jak wtedy zamierzał dotrzymać słowa. Na przekór wszystkiemu.

- Nie zostawię cię samej - przysiągł.

ROZDZIAŁ 51

26 grudnia, 9.30

Zanim Sinclair zdecydował, z którym strażnikiem będzie mu łatwiej się rozprawić, głęboko się zastanowił.

Człeczyna, na którego mówiono Franklin, co prawda był mniej inteligentny, jednakże równocześnie zachowywał większą ostrożność. Niczym szeregowy żołnierz traktował poważnie rozkazy i nie lubił się nad nimi zastanawiać. Kazano mu trzymać się z dala od więźnia, to trzymał się z dala. Nawet nie dał się wciągnąć w rozmowę i całą wartę siedział z nosem w jednym ze swoich szmatławych piśmideł.

Drugi, ten, na którego mówiono Lawson, był inteligentniejszy, bardziej towarzyski i ciekawski. Sinclair zauważył jego fascynację niespodziewanym gościem z innej epoki. Mimo że niewątpliwie dostał te same rozkazy co Franklin, łamał je bez skrpułów. Kiedy Franklin zaczynał wartę, nie mógł się doczekać zmiennika, tymczasem Lawson jakby chciał jak najdłużej siedzieć w starym magazynie, wyciągał nogi i oparty plecami o skrzynię rozkoszował się wizją miłych pogaduszek. Sinclair zauważył, że ma świetne, wytrzymałe buty z grubymi podeszwami i mocnymi sznurówkami. Były w o wiele lepszym stanie niż jego buty do konnej jazdy, zniszczone przez psa.

Dzisiaj Lawson przyniósł ze sobą dużą księgę z wieloma kolorowymi ilustracjami. Sinclair nie widział co to za dzieło, ale się spodziewał, że dowie się tego w swoim czasie. Lawson wprost się palił do rozmowy. Sinclair kilka minut przetrzymał go bez słowa, aż strażnik w końcu nie wytrzymał i zapytał:

- U ciebie wszystko gra? - Sinclair spojrzał na niego zdziwionym, ale pełnym niewinności wzrokiem. - Ach, przepraszam. To znaczy: wszystko w porządku? Może chcesz, żebym wezwał lekarzkę czy coś?

Lekarka? Była ostatnią osobą, którą Sinclair miał ochotę oglądać.

- Nie, nie, bynajmniej nie trzeba. - Uśmiechnął się smutno. - To tylko ta przymusowa beczynność. Z naszego przyjaciela Franklina jest marny kompan.

Czemu nie pochlebić temu durniowi?

- Och, Franklin jest w porzo - odparł Lawson. - Tylko trzyma się rozkazów.

Sinclair parsknął śmiechem.

- Ciekawym, czy jest krótsza droga do potępienia, niż trzymanie się rozkazów. Jak ją znajdziesz, daj mi znać.

Wiedział, że takie frazesy tylko podsycają ciekawość Lawsona. Zauważył, że bębni palcami o okładkę wielkiej księgi.

Z wyrazem znużenia na twarzy, jakby jedynie czynił zadość konwenansom, zapytał o Eleanor i jej zdrowie - nikt nigdy nie przekazał mu żadnej konkretnej informacji na jej temat, niemniej jednak pytał o nią - i otrzymał tę samą ogólnikową odpowiedź co zwykle; nawet Lawson miał dość rozumu w głowie, aby wiedzieć, że w tej sprawie należy trzymać język za zębami. Sinclair zastanowił się w duchu, co tak naprawdę ukrywają? Czy Eleanor rzeczywiście ma się dobrze? Wszak było to wręcz niemożliwe. Jak mogła zaspokoić swą niezwykle potrzebę, ten sekret sekretów ich obojga? Sam nie wiedział, jak długo jeszcze wytrwa. A przecież wcale nie tak dawno zakosztował juchy ubitej foki.

Zgodnie z jego przewidywaniami Lawson w końcu skierował rozmowę na pasjonujący go temat. Podczas ich ostatnich pogaduszek stało się jasne, że jest zafascynowany odyseją rozmówcy, więc szybko wyjawiał co to za księga, którą przyniósł. Był to atlas. Do niektórych kart doklejono kolorowe papierki. Lawson otworzył go w jednym z tak zaznaczonych miejsc.

- Próbowałem wykreślić szlak waszej podróży - rzekł jak uczeń zakuwający do egzaminu - z Bałakławy do Lizbony i chyba mi się udało.

Ten człowieczek był urodzonym kartografem.

- Ale trochę się pogubiłem po Genui. Czy pożeglowaliście Morzem Liguryjskim do Marsylii, czy wybraliście drogę lądową?

Sinclair nawet po tych wszystkich latach pamiętał każdy etap podróży, ale udawał zagubionego. Od Genui podróżowali dyliżansem - blisko francuskiej granicy zatrzymali się w karczmie w San Remo. Wygrał tam znaczną sumę w telesinę, miejscową odmianę pokera. Inny gracz oskarżył go o oszustwo i Sinclair oczywiście zażądał satysfakcji. Tamten uznał, że chodzi o pojedynek, i chociaż ten odbył się jeszcze tej samej nocy - Sinclair przebił potwarce szablą - to prawdziwa satysfakcja trwała nieco dłużej. Kiedy Sinclair skończył, otarł krew z twarzy, zanim powrócił z pachnącego gaju cytrynowego do karczmy, gdzie oczekiwała go Eleanor.

- Nie jestem pewien, czy zdołam sobie przypomnieć nazwę tamtego miasta - rzekł teraz, jakby szukając w pamięci - ale to było w Italii... może San Remo? Mógłbyś je tu znaleźć?

Lawson opuścił głowę i przesuwając palcem po mapie, usiłował odnaleźć drogę; na głowie miał jedną ze swoich głupich chust, jak byłe majtek. Sinclair wiedział, że tylko kwestia czasu - w końcu go nakłoni, by się zbliżył i pokazał mu mapę.

A wtedy... zrzuci kajdany i odzyska skradzioną narzeczoną.

*

- Jutro - powtórzył Murphy, rozkładając się na fotelu przy biurku. - Samolot transportowy przylatuje jutro o ósmej rano.

- Nerwowo przeciągnął ręką po włosach. Drugą ścisnął czerwony pisak, którym zakreślił tę datę na wielkim kalendarzu wiszącym na ścianie za jego plecami. - A ty wracasz razem z nim - powiedział Michaelowi.

- O czym ty mówisz? - zaprotestował dziennikarz. - Moja przepustka jest ważna do końca miesiąca.

- Szykuje się potężny niski front i zanim minie, szczeliny powyrastają tu jak grzyby po deszczu. Samolot nie będzie mógł wylądować.

- To polecę następnym.

- Cholera, jak myślisz, gdzie jesteś? - huknął Murphy. - Nie będzie następnego. Może nawet do lutego.

Michael miał wrażenie, że oszaleje od myśli tłoczących się pod czaszką. Jak mógłby jutro odlecieć? Złożył Eleanor obietnicę i nie zamierzał jej złamać. Obejrzał się na Darryla siedzącego obok niego, ale ten tylko posłał mu współczujące spojrzenie.

- Co zamierzasz zrobić z Eleanor... i Sinclairem? - spytał Michael. - To przecież ja ich znalazłem.

- I niczego bardziej nie żałuję. Żałuję, że nie pozbyłem się ich obojga.

- Nikomu nie ufają tak jak mnie.

- Och, naprawdę? Zdaje mi się, że podczas ostatniej wizyty u Sinclaira wzywałeś posiłki. Co to było? Kryzys zaufania?

Michael nadal żałował tego, co się wydarzyło, ale gdy Darryl się zerwał i zaczął opowiadać o obiecujących wynikach uzyskanych podczas badań krwi w laboratorium, nie przestawał gorączkowo myśleć. Czy to dobra okazja na przedstawienie swojego pomysłu? Czy będzie miał inną szansę? Przerwał Darrylowi, wyrzucając z siebie jednym tchem:

- Powinni lecieć ze mną.

Darryl urwał i odwrócił się do niego. Zniecierpliwiony i rozdrażniony Murphy potrząsnął głową.

- Jak według ciebie mielibyśmy to zrobić? - Wyrzucił w górę ręce. - Nie jesteś na przystanku autobusowym w Zadupiu Średnim. Samolot nie ląduje... na biegunie, na litość boską... żeby zabrać trzech pasażerów, kiedy na liście przewozowym ma tylko jednego.

- Wiem o tym - powiedział Michael - ale posłuchaj. - Siedząc w biurze kierownika, dopasował w głowie ostatnie elementy układanki. - Żona Danziga wie, że umarł, ale nie ma pojęcia, kiedy powinna się spodziewać ciała. Zgadza się?

- Zgadza. Jakoś nigdy nie potrafiłem się na tyle zebrać, żeby jej powiedzieć, że się zamienił w zombie, i pływa sobie tu gdzieś pod lodem. Nie wydaje ci się, że to niezbyt łatwe?

- A co z Ackerleyem? - dopytywał się uparcie Michael. - Czy jego matka wie, że jego ciało ma zostać przewiezione do Stanów?

- Nie wydaje mi się - powiedział Murphy. Trochę go to zaintrygowało. - Mówiłem ci, że w ogóle nie za bardzo kojarzy, co się dzieje.

- Daj mi pomyśleć - rzekł Michael. Opuścił głowę i skupił się na tyle, ile się dało. - Daj mi pomyśleć. - Pomysł był niesamowity, ale wykonalny. Przynajmniej teoretycznie. - Żona Danziga...

- Maria - wtrącił Murphy. - Maria Ramirez.

- Pracuje dla koronera powiatowego w Miami Beach.

- No, tam poznała Erika. W tamtych dniach prowadził karawan. Kiedyś opowiadał mi...

- Powiedz Marii, że będę transportował zwłoki jej męża i Ackerleya do Miami Beach.

- Ale to bzdura - przerwał mu zdenerwowany Darryl. - Danzig nigdy więcej się nie pokaże, może tylko w moich koszmarach.

- I szczerze mówiąc, ona nie chce, żeby się pokazał - dodał Michael. - Pamiętacie, jak powiedziała, że nigdzie nie był tak szczęśliwy jak tu? I że gdyby mógł o tym zdecydować, to chciałby być tu pochowany?

- No, ale mówiłem ci, że pochówki na Antarktydzie są zabronione prawnie - rzekł Murphy.

- Ale co z Ackerleyem? Zamierzałeś pochować jego resztki tutaj, no nie? - naciskał kierownika Michael. - A może planowałaś odesłać trupa z kulą w głowie? - Murphy aż się zwinął w fotelu i Michael wiedział, że go ma. - Na dodatek z kulą z twojego rewolweru.

Darryl zmarszczył pytająco brwi i spytał Murphy'ego:

- Jak już przy tym jesteśmy, to co zrobiłeś ze szczątkami Ackerleya? Wiem, że chciał być skremowany, ale to byłoby sprzeczne z tutejszymi zasadami.

- Zgadza się, byłoby sprzeczne - odparł Murphy, bez drgnienia powieką patrząc w oczy Darrylowi. - Oficjalnie Ackerley wpadł do szczeliny podczas badań terenowych.

Michael przyjął z ulgą tę wersję.

- To idealnie.

- Dalej nie kojarzę - powiedział Murphy.

- Nie? Moglibyśmy załadować do samolotu dwa dokładnie opisane worki z ciałami. Z tym że co innego byłoby w środku, a co innego na tabliczce identyfikacyjnej.

Michael niemal widział, jak w głowie Murphy'ego zapala się żarówka. Pozostało tylko nie odpuszczać i użyć przekonujących argumentów.

- Eleanor i Sinclair ponoć nie mogą opuścić Cypla jako p a s a ż e r o w i e, ale niewykluczone, że mogliby odlecieć jako ł a d u n e k. Użyj wpływów, jakie masz u urzędasów, i wyślij mnie - i naszą parę - do Santiago, a stamtąd na Florydę.

W pokoju zaległa cisza, podkreślana tykaniem zegara. W końcu Murphy ją przerwał, mówiąc:

- Ale z Santiago do Miami jest dziewięć godzin lotu. Umrą podczas transportu.

- Czemu mieliby umrzeć? - spytał Michael. - Znieśli dużo gorsze rzeczy. Choćby sto lat w lodzie. Jak to wytrzymali, cała reszta to bułka z masłem.

- Teraz to co innego - odparł Murphy. - Są aż nadto żywotni i do tego mają ten swój cholerny problem. Pomijasz go przypadkiem czy celowo?

- Właśnie chciałem o tym powiedzieć - powiedział Darryl - zanim mi tak chamsko przerwano.

Michael rozluźnił się na krześle, z całego serca zadowolony, że ktoś inny zajmie się dalszym przekonywaniem kierownika. Szybko zdał sobie sprawę, że Darryl nie zamierza nikomu mydląć oczu, proponował zmianę, która kompletnie odmieniłaby los Eleanor i Sinclaira. Z dumą opisał przełomowe odkrycie dokonane w laboratorium podczas badań krwi *Cryothernia hirschii*, mocno podkreślając, że być może wynalazł lekarstwo - „najlepsze, jakie dało się znaleźć” - na tajemniczą dolegliwość Eleanor i Sinclaira. Jeśli Michael dobrze zrozumiał, to Darryl sugerował, że z krwi znalezionych przez siebie okazów ryb może pozyskać zapobiegające zamarzaniu glikoproteiny i wstrzyknąć je do krwiobiegu człowieka. Dzięki temu krew Eleanor i Sinclaira znów spełniałaby swoją rolę, przenosiłaby tlen i pożywienie, a równocześnie nie musiałaby być uzupełniana. Pomysł wydawał się irracjonalny, szalony i nawet niewykonalny - lecz równocześnie stwarzał pierwszą i jedyną, choć wątplą, nadzieję na realizację planów Michaela. I ten zamierzał z niego skorzystać.

- To wszystko brzmi jak jakieś czary-mary - rzekł Murphy - ale nie ja tu jestem naukowcem. Skąd wiesz, że to zadziała?

- Nie wiem - przyznał Darryl. - Jak do tej pory ta hybryda krwi jest tolerowana przez ryby. Jak zareagują na nią Eleanor i Sinclair, to inne pytanie.

Michael zdał sobie sprawę, że nie ma czasu na żadne próby.

- Ale musicie pamiętać - powtórzył z namaszczeniem Darryl - że nasza parka będzie w tym samym położeniu co moje ryby. Raz dotknie lodu i po ptakach.

Przez następne pół godziny omawiali poszczególne elementy planu. Murphy niepytany przyznał, że nie zapisywał wszystkich wydarzeń w dzienniku stacji - „no bo jak miałem napisać, że trupy ożyły” - i szczególnie niepokoił się tym, co Michael już przekazał swojemu szefowi. Dziennikarz z kolei zapewnił go, że się uporał z tym problemem - „choć to oznacza, że do śmierci nie dostanę żadnego przyzwoitego zlecenia” - i przerwali naradę dopiero wtedy, gdy ze Stacji McMurdo przyszła wiadomość o nadchodzącej burzy śnieżnej. Murphy machając rękami, wyrzucił ich z biura, równocześnie recytując do mikrofonu stany ciśnienia na Cyplu Adeli w ciągu ostatniej doby.

Michael i Darryl zatrzymali się na korytarzu. Wzięli oddech i ocenili wszystko, co zostało powiedziane. Michael był podminowany jak nigdy. Miał wrażenie, że w żyłach zamiast krwi płynie mu prąd elektryczny.

- Więc jak z tym zastrzykiem? - spytał. - Kiedy go możesz zrobić?

- Muszę jeszcze posiedzieć godzinę, dwie w pracowni. Nie mam jeszcze serum.

- Ale wszędzie wokół jest lód - powiedział Michael. Strach go nie opuszczał.

- Którego oni nigdy nie dotkną. Każde trafi prosto do worka na ciało. Jedno z izby chorych, drugie z magazynu. Jakie masz inne wyjście? Planujesz sam wszystkiego dopilnować, jak będziecie w Miami?

Michael wiedział, że to niemożliwe.

- Jeśli ma dojść do odrzucenia serum i wstrząsu organizmu, lepiej dowiedzmy się tego teraz, zanim ich zapakujemy do worków i wsadzimy do ładowni.

- Eleanor pierwsza?

- Jasne - rzekł Darryl. - Z tego co wiem o Sinclairze, możemy potrzebować więcej czasu na perswazje.

Już się odwracał, gdy Michael go zatrzymał, łapiąc za łokieć.

- Myślisz, że to wypali? - spytał. - Myślisz, że Eleanor wyzdrowieje?

Darryl się zawahał, ważąc staranie słowa, po czym rzekł:

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to myślę, że Eleanor - i Sinclair - będą mogli prowadzić całkiem normalne życie. - Spojrzał prosto w oczy Michaelowi, jak wcześniej Murphy, i dodał:
- Ale w ich wypadku będzie to życie węża, który potrzebuje słońca, żeby się poczuć

normalnie. Podpierając się od czasu do czasu zastrzykami, Eleanor pozbędzie się tego pragnienia, które nie daje jej spokoju. Ale do końca życia będzie nosić w sobie ukąszenie zarazy.

Te słowa zaciążyły jak kamień na sercu Michaela.

- Sinclair też - dodał Darryl, jakby to miało poprawić sytuację. - Nie będą dla siebie zagrożeniem.

Michael bez słowa kiwnął głową, jakby i on dojrzał w tym symetrię i sprawiedliwość losu. Lecz kamień, który czuł na sercu, nie stracił nic na wadze.

ROZDZIAŁ 52

26 grudnia, 11.20

- Pod przybranymi nazwiskami - mówił Sinclair. - Zawsze podróżowaliśmy pod przybranymi nazwiskami i regularnie je zmienialiśmy. To był rodzaj zabawy, wybieraliśmy, jak będziemy się nazywać w San Remo, w Marsylii, czy gdzie tam się zatrzymywaliśmy.

Lawson z uwagą słuchał. Sinclair starał się barwnie opisać dramatyczne epizody podróży - nocne przeprawy górskimi przełęczami, ucieczki sprzed nosa podejrzliwych władz, karciane gry o wysokie stawki, z których przeważnie czerpali środki na podróże. Lecz starannie pomijał drastyczniejsze wydarzenia - szczególnie stałe poszukiwanie świeżej krwi. Nie było potrzeby się w to wgłębiać. Poza tym czas gonił. Za kilka godzin miała się zmienić warta, ostrożniejszy Franklin wracał na służbę. Jeśli chciał wykonać swoje posunięcie i zyskać maksimum czasu, zanim ktoś odkryje ucieczkę, musiał działać teraz.

- Z Marsylii udaliśmy się na zachód. W Sewilli Eleanor zachorowała i pomyślałem, że morskie powietrze mogłoby dodać jej wigoru, więc wybraliśmy się do pewnej miejsciny nad Zatoką Kadyksu. Nie pomnę jej nazwy, ale gdybym ją znów usłyszał...

- Czy to było Ayamonte? - spytał Lawson, zaglądając do atlasu.

- Nie, nie to - odparł Sinclair. - To było coś dłuższego i w górę wybrzeża, w kierunku Lizbony.

- Isla Cristina?

- Nie - powiedział Sinclair, skłaniając na bok głowę, jakby usiłował sobie przypomnieć. - Ale mniemam, że gdybym to zobaczył...

Trzymając otwarty atlas na właściwej stronie, Lawson wstał ze skrzyni i podszedł do Sinclaira - ten już był przygotowany.

Strażnik położył książkę na kolanach więźnia, lecz zanim zdążył się cofnąć, usłyszał pytanie zadane niewinnym tonem:

- Gdzie dokładnie jesteśmy?

- Dokładnie tutaj - rzekł Lawson, wskazując żółtą linię, którą wyznaczył na mapie.

Jego wzrok spoczywał na atlasie. Sinclair uniósł ukrytą butelkę po piwie i dzielił go w głowę.

Lawson padł na czworaki, ale jeśli Sinclair miał nadzieję, że zupełnie go ogłuszy, to się zawiódł. Pewnie za sprawą cholernej chustki. Zdzielił go jeszcze raz i butelka się rozprysła, orząc skórę i zabarwiając ją krwią, ale Lawson nadal był przytomny i próbował się odczołgać. Sinclair musiał działać szybko; przymocowany do rury na ścianie łańcuch miał tylko kilka stóp luzu. Zarzucił go na szyję Lawsonowi i zawlókł go na pryczę - na szczęście ten był już na tyle oszołomiony, że nie stawiał wielkiego oporu. Sinclair zacisnął mu łańcuch na szyi i poderwał ręce w górę. Lawson rozpaczliwie usiłował zedrzeć łańcuch, ale Sinclair jeszcze bardziej odchylił się w tył, dusząc go, aż jego nogi - w butach, które wcześniej wpadły więźniowi w oko - przestały walić o podłogę, a ręce opadły bezwładnie do boków. Nawet wtedy Sinclair na wszelki wypadek nie zwalniał uścisku; uczynił to dopiero po chwili. Głowa Lawsons opadła bezwładnie na piersi.

Dziwne, ale podczas całej walki atlas pozostał na kolanach Sinclaira.

Dopiero gdy strażnik osunął się na podłogę, Sinclair odsunął księgę i ukląkł. Przyłożył ucho do piersi Lawsons i przekonał się, że jego serce nadal pracuje. Nie pierwszy to raz znalazł się z głową przy ciele ofiary i przez chwilę targła nim straszliwa żądza, by wykorzystać tę okazję. Czuł szaleńcze bicie pulsu. Ale nie miał czasu ani chęci zabić tego człowieka. Przyłożył usta do ust Lawsons i wdmuchnął mu powietrze do płuc, jak robili to żeglarze, ratując żołnierzy topiących się podczas nieudanego lądowania w Zatoce Kalamickiej. Potem łagodnie naciskał mu brzuch, aż zobaczył, że rytmicznie unosi się i opada. Zanim Lawson zdążył się ocknąć, Sinclair przeszukał mu kieszenie i wyjął klucz do kłódki przy łańcuchu. Otwieranie jej szło opornie, zwłaszcza że serce biło mu szybciej na myśl o wolności, nowych butach i... odnalezieniu Eleanor.

26 grudnia, 11.30

- Chcesz mnie zniechęcić? - spytała Eleanor, patrząc Michaelowi w oczy.

- Nie, oczywiście, że nie - zaprzeczył, przysuwając krzesło do łóżka, na którym siedziała, i mocniej ściskając jej rękę. - Chodzi tylko o ryzyko, które się z tym wiąże - wielkie ryzyko - i boję się o ciebie.

Jego troska poruszyła ją do głębi, ale przez tak długi czas bezustannie żyła w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, że nie było to nic nowego. Uwolniła rękę z jego uścisku i położyła ją na jego policzku.

- Wybór należy do mnie i zgadzam się na to. Jeśli mam dalej żyć, nie chcę więcej się kryć w cieniu. Chcę żyć, nie wstydząc się. Czy potrafisz to zrozumieć?

Widziała, że ją rozumie, ale wyczuwała w nim więcej obaw, niż znajdowała ich w sobie. Po tym co przeszła w ciągu tak długiego czasu, nawet śmierć nie napawała jej wielkim lękiem. Kiedy wszyscy, których знаła - rodzina, przyjaciele - już odeszli, czy jej życie mogło stać się jeszcze bardziej samotne?

A co się tyczyło Sinclaira... nawet gdyby znów się połączyli, co ich czekało? Czuła całym jestestwem, że pozostawała im jedynie głęboka samotność i izolacja od reszty ludzkości.

- Czy w takim razie mam iść po Darryla i Charlotte? - spytał Michael, a ona skinęła głową.

Kiedy Michael wyszedł i Eleanor została sama w pokoju, usiłowała dojść do ładu ze swoimi emocjami. Chociaż się przed tym broniła, czuła, że rodzi się w niej nadzieja, gotowość do odkupienia win. I chociaż odpychała od siebie tę myśl, wiedziała, że te nowe emocje mają jakiś związek z tym, jak traktował ją Michael Wilde.

I tym, jak ona go traktowała.

Po chwili drzwi do sali chorych znów się otworzyły i pojawił się w nich Michael w towarzystwie innych. Darryl, którego rude włosy sterczały jak grzebień na łbie koguta, niósł torebkę przezroczystego płynu, a Charlotte tackę z kilkoma przedmiotami. Dojrzała bawełniane waciki, igły, silny alkohol i rodzaj szarpi, które sprawnie przywierały do skóry. Już kilka razy widziała tę tackę i dobrze wiedziała, co ją czeka.

Charlotte usiadła na krześle, które zwolnił Michael, i postawiła tackę na łóżku. Eleanor podwinęła obszerny rękaw sukni i przyglądała się, gdy lekarka zawiązywała gumową opaskę uciskową.

- Michael mówił ci, że nie będziesz mogła dotykać lodu? - spytał Darryl, gdy Charlotte napełniała niezwykle dużą strzykawkę, którą wyjęła z torby.

- Kilka razy.

- Dobrze. Świetnie - powiedział nerwowo. - Na początku poczujesz jakby uderzenie gorąca - roztwór jest bardzo gęsty - ale myślę, że to wrażenie szybko minie.

Charlotte spojrzała na niego i przetarła skórę na przedramieniu Eleanor.

- Jestem gotowa na wszystko - powiedziała Eleanor. - I darzę całkowitym zaufaniem moją lekarkę.

To była prawda. Po pierwszym wstrząsie nabrała szacunku do doktor Barnes za jej przyjacielską postawę i umiejętność pokrzepienia pacjenta. To było coś, co miała również Florence Nightingale - kontakt z pacjentem, umiejętność uspokojenia go i wpojenia mu poczucia, że jest w dobrych rękach. Oczywiście w jej czasach żadna niewiasta pokroju Charlotte nie mogłaby nawet marzyć o zostaniu lekarką - nawet gdyby płeć nie była barierą,

kolor skóry z pewnością tak - ale w tym nowoczesnym świecie, do którego Eleanor miała niebawem dołączyć, najwyraźniej wiele niewyobrażalnych rzeczy stało się możliwe.

Uklucie igły było ledwo wyczuwalne, ale natychmiast zauważyła efekt. Nie było mowy o uderzeniu gorąca, wręcz przeciwnie, poczuła dziwny chłód, jakby górski potoczek przepływał tuż pod jej skórą. Zadygotała. Charlotte spojrzała na nią i spytała:

- Dobrze się czujesz?

- Tak - rzekła Eleanor. - Chyba. - Ale czy naprawdę? Co się stanie, gdy chłód, który pełził w górę ramienia, dosięgnie serca?

- Co czujesz? - spytał Darryl.

Michael bez słowa przykląkł przy brzegu łóżka, wpatrując się w jej twarz.

- Coś absolutnie nieporównywalnego - odparła Eleanor.

- Może trochę jak wejście do zimnej kąpieli.

Krople potu - zimnego potu - pojawiły się na jej czole. Charlotte wyjęła igłę i szybko przetrła drobną ranekę.

- Może powinnaś się położyć - powiedziała, kładąc strzykawkę na tacce i pomagając Eleanor złożyć głowę na poduszce.

Pokój pływał wokół niej, ale gdy spróbowała zamknąć oczy, poczuła się gorzej. Otworzyła je i zobaczyła nad sobą twarz Michaela. Skupiła na niej wzrok. Wziął ją za rękę i poczuła, że jest spocony ze zdenerwowania.

Charlotte i Darryl stali za nim, równie przejęci. Eleanor wzruszyła się na myśl, że już udało się jej znaleźć troje przyjaciół w tym dziwnym, obcym miejscu. To dodało jej nadziei i sił. Może jednak samotność, której doświadczała od czasu ucieczki z Sinclairem ze Szpitala Koszarowego w Turcji, nie miała trwać wiecznie. Może jednak istniała jakaś alternatywa. Wewnętrzny chłód przenikał jej ramiona i piersi, jakby jakiś nocny kwiat rozłożył tam płatki. Znow zadygotała i Michael szybko wziął z półki koc i otulił nim ją. Nie mogła nie przypomnieć sobie podróży na „Coventry”, feralnej wyprawy zakończonej na biegunie południowym, nocy, w którą Sinclair otulił ją wszystkim, co mógł znaleźć, każdą derką i każdym okryciem... zanim załoga rzuciła się na niego.

Zanim wywleczono ją z koi i owinięto ich łańcuchem na rozkołysanym pokładzie.

Teraz dostała ciepły kompres na oczy i leżała tak, zastanawiając się, w jakich okolicznościach się ocknie, jeśli w ogóle się ocknie po tym szalonym eksperymencie.

- Co się z nią dzieje? - spytał szeptem Michael, zaciągnąwszy Darryla do drzwi. - Możemy coś jeszcze zrobić?

- Nie jestem pewien, czy w tym momencie jesteśmy w stanie zrobić cokolwiek - odparł Darryl. - Zastryk przyniesie efekt dopiero po jakimś czasie, półgodzinie, może godzinie, serum musi się rozprzestrzenić w krwiobiegu i zrobić swoje. Wtedy będziemy coś wiedzieć.

Charlotte podeszła do łóżka i sprawdziła puls.

- Trochę szybki - powiadomiła Michaela i Darryla - ale mocny.

Założyła Eleanor opaskę ciśnieniomierza, napompowała ją i patrzyła na wskaźnik. Sto osiemdziesiąt pięć na sto dwadzieścia. Nawet Michael wiedział, że to za dużo.

- Będziemy musieli zbić jej ciśnienie - powiedziała lekarka, przykładając stetoskop do piersi Eleanor i nasłuchując pracy serca. Spytała: - Jak się czujesz?

- Trochę kręci mi się w głowie - odparła Eleanor.

Charlotte skinęła głową, zaciskając usta.

- Postaraj się rozluźnić, nic więcej - poleciła, zdejmując opaskę ciśnieniomierza. - I odpocznij.

- Tak, doktor Barnes - odpowiedziała cichnącym głosem.

- Mów mi Charlotte. Myślę, że już jesteśmy na ty, skarbie.

- Wsunęła jej pod rękę przycisk przywoływania. - Jak będziesz mnie potrzebowała, po prostu naciśnij ten guzik. Będę tuż obok.

Zabrała tackę i pierwsza wyszła z pokoju. Michael popatrzył na biały kompres zasłaniający oczy Eleanor i długie kasztanowe włosy dotykające broszki.

- Chodź - mruknęła Charlotte. - Myślę, że wszystko będzie w porządku.

Ale Michael wyczuł w jej głosie brak pewności.

- Może powinienem jej przypilnować - zasugerował.

- Musisz się spakować. Do roboty.

ROZDZIAŁ 53

26 grudnia, 12.45

Dla Michaela pakowanie nie było żadnym problemem. Wszystkie ubrania prosto z szuflady trafiły do brezentowej torby, upchane najciaśniej jak się dało. Więcej czasu potrzebował na zabezpieczenie i odpowiednie ułożenie sprzętu fotograficznego. Wcześniejsze przykre doświadczenia nauczyły go, że jeśli nie włoży każdego obiektywu i filtra do właściwego futerału, może nie zdążyć go wyjąć, gdy pojawi się jakiś ciekawy obiekt do sfotografowania. Tekst to efekt przemyśleń, ale dobre zdjęcie najczęściej powstaje dzięki szczęśliwemu trafowi.

Musiał zapakować jeszcze tylko jeden statyw i starego wiernego canona S80. Nie chciał odlecieć, nie zrobiwszy wpierw ostatnich zdjęć Olliego pałaszującego jakiś przysmak ze świątecznego stołu. A pogoda jak raz była idealna - słoneczna, bez śladu mgły. Michael wiedział, że to cisza przed jutrzejszą burzą śnieżną.

Opróżniając szufladę, znalazł naszyjnik z kłów morsa, kiedyś własność Danziga, i zawiesił go sobie na szyi. Planował zdjąć go dopiero przed przekazaniem osobiście żonie Erika.

W Miami.

Jeśli szczęście się do niego uśmiechnie, będzie na Florydzie za parę dni.

Nagle zastygł przy łóżku, porażony niebywałą skalą wszystkiego, co go czekało. Wszystkiego, czego musiał dokonać. Należało zaszczepić Sinclaira i przekonać jego i Eleanor, że z Antarktydy mogą się wydostać tylko w workach na ciała wpakowanych do samolotu - latającej maszyny! W ciągu kilku godzin mieli pokonać tysiące mil i dotrzeć do celu. I to dokąd? Do kraju, w którym żadne z nich nigdy nie postawiło stopy, w epoce, którą ledwo znali. W tym planie było tak wiele niepewnych elementów, że nawet nie wiedział, od czego zacząć - sam z trudem to wszystko akceptował: czy naprawdę ma wprowadzić tę parę w nowoczesny świat? Czuł, jak ogarnia go groźny, umysłowy paraliż. „Tysiącmilowa podróż zaczyna się od jednego kroku”²⁹, przypomniał sobie. Przy takiej masie zmiennych mógł się zająć tylko drobiazgami, a i to po kolei.

²⁹ Chińskie przysłowie, cytowane w *Daodejing*u.

Kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Darryl, Michael wpychał aparat do pękatej torby.

- Coś wiadomo o stanie Eleanor? - spytał biolog, opadając na krzesło.

- Od czasu jak wyszliśmy, nic.

Darryl jadł gigantycznego eklera.

- Powinieneś zajrzeć do stołówki. Zostały stopy świątecznych ciast i ciastek. No i gorący poncz.

- No, może zajrzę, zanim pójdziemy do magazynu.

Darryl skinął głową, oblizując z palców żółtą masę.

- Powiedziałaś Eleanor, jak wygląda reszta planu?

Michael potrząsnął głową.

- Wciąż szukam lepszej nazwy niż „worek na ciało”.

- Jak ci to nie może przejść przez gardło, spróbuj „samolot”.

- Przerobiłem to dużo wcześniej.

- Charlotte ma w szafce spory zapasik środków uspokajających. Na pewno mogłaby im coś dać.

Michael uważał, że to niegłupi pomysł. Miał tylko nadzieję, że wojowniczość Sinclaira ustąpi, gdy zrozumie, że to jedyny sposób na uratowanie siebie i Eleanor.

Czy zaufa mu na tyle, by się zgodzić?

Darryl zrzucił buty, wstał i położył się na łóżku.

- Po jedzeniu chce mi spać - powiedział, prostując nogi. - Obudź mnie, kiedy tylko będziesz miał ochotę wpaść do Królewicza Jasnolicego.

- Jasne.

Darryl znów się przeciągnął.

- A przy okazji - dodał - wiesz, że to co robisz, to szaleństwo, hę?

Michael skinął głową, zaciągając zamek torby do połowy.

- Cieszę się. Bo gdybyś nie wiedział, zacząłbym się o ciebie martwić.

*

Eleanor obudziła się ze wzdrygnięciem. Nadal miała przed oczami zachmurzoną twarz panny Nightingale. Nigdy nie potrafiła uwolnić się od przekonania, że uciekając z Sinclairem, zdradziła tę wspaniałą damę - oraz swoją profesję - i często śniła o tym, że płaci za poczynione zło.

Nawet pod kocami czuła chłód i sztywność kończyn. Energicznie rozmasowała ramiona, by pobudzić krążenie. Usiadła, przez chwilę uświadamiając sobie, gdzie jest, po czym odrzuciła przykrycia i stanęła przy łóżku. Już chciała potupać, by rozgrzać nogi, ale się

rozmyśliła. Ten hałas mógłby natychmiast ściągnąć z pokoju obok doktor Barnes, a nie miała ochoty na towarzystwo, zwłaszcza lekarki.

Czy została wyleczona? A jeśli tak, czy zawsze miała się tak czuć - lekko zeszywniała, nieco zziębnięta? Czy taka była cena w miarę normalnego życia?

Otuliła się kocem jak szalem, podeszła do okna i rozsunęła czarne zasłony. Na dworze panował nienaturalny spokój i uświadomiła sobie, że to cisza przed burzą. Śnieg błyszczał w ostrych, zimnych promieniach słońca. Musiała się cofnąć i osłonić oczy przed blaskiem.

Ktoś tam mignął, ubrany w coś czerwonego. Pochyliła się do okna.

Ten ktoś znów się pojawił, poruszał się szybko, chyłkiem przemykał po zaśnieżonym placu. Rozglądał się na boki. Niemal przytknęła nos do szyby i patrzyła... a tamta postać się zatrzymała, też osłoniła ręką oczy i spojrzała prosto na nią.

To był Sinclair. Na mundur kawalerzysty wdział czerwoną kurtkę z białym krzyżem.

Zanim zdążyła unieść rękę i dać mu sygnał, pobiegł przez śnieg, ślizgając się po kilkakroć i niemal przewracając. Usłyszała, że drzwi na dwór otwierają się gwałtownie. Szybko podeszła na palcach do drzwi na korytarz, a gdy go ujrzała, przyłożyła palec do ust i dała mu znak, by wszedł za nią do pokoju.

Kiedy to uczynił, zamknęła drzwi. Nawet nie zdążyła się odwrócić, gdy porwał ją w ramiona.

- Wiedziałem, że cię znajdę! - wyszeptał. Szybko się rozejrzał, zauważył szafki z lekarskimi i spytał: - To szpital połowy?

- Tak - odrzekła.

- I to tu cię trzymali? Nic ci nie jest?

- Nic, nic - powiedziała, uwalniając się łagodnie z jego nieco zbyt energicznych uścisków. - Ale jak ty się tu dostałeś?

Nie odpowiadając na pytanie, rzekł:

- Musimy iść.

- Dokąd, Sinclair? Dokąd mamy iść? - Złapała go za ręce i spojrzała w nabiegłe krwią, na wpół szalone oczy. - Oni już mi pomogli i mogą pomóc tobie.

- Pomogli ci? Jak?

- Mają lekarstwo - powiedziała - które może nam pomóc... się zmienić.

Jego oddech stał się krótki, urywany. Wiedziała, że targa nim przeraźliwe, straszliwe pragnienie. Rozejrzała się nerwowo po pokoju i jej wzrok spoczął na lodówce, z której wcześniej wyjęła torebkę z krwią. Była pewna, że teraz spoczywa tam inna torebka, z lekarstwem.

- Zaczekaj - powiedziała, przechodząc do lodówki i otwierając ją szeroko. Na półce, jakby metalowym ruszcie, leżała identyczna torebka jak ta, z której Charlotte nabrała strzykawką lekarstwo. Była oznaczona AFGP-5. Eleanor pomodliła się w duchu, aby to była właściwa torebka.

- Chodź - ponaglił ją Sinclair. - Nieważne, co zamierzasz, nie mamy na to czasu.

Ale Eleanor zignorowała go. Jeśli mogła go uratować, była gotowa to uczynić, a zabieg ze strzykawką widziała wystarczającą ilość razy, by przeprowadzić go samodzielnie.

- Zdejmuj kurtkę... szybko!

- Co ty mówisz? Straciłaś rozum?

- Rób, co mówię. Nie ruszę się o cal, dopóki tego nie zrobisz.

Zerwał z siebie kurtkę, równie zniecierpliwiony co bezradny.

Wyjęła torebkę i znalazła świeżą igłę w szafce.

- Podwiń rękaw! - powiedziała, napełniając strzykawkę.

- Eleanor, błagam, dla nas nie ma nadziei, nie ma pomocy. Nie zmienimy się.

- Zamilcz - szepnęła Eleanor. - Doktorka może cię usłyszeć.

Przetarła mu skórę alkoholem, klepnęła kilka razy w przedramię, aż żyła nabrzmiała, a potem wzorując się na Charlotte, nacisnęła tłoczek, pozbywając się powietrza ze strzykawki.

- Nie ruszaj się - rozkazała, wbijając igłę i powoli naciskając tłoczek. Wiedziała, co czuje Sinclair - rozkwitający w żyłach chłód, lekką dezorientację. Kiedy wyjęła igłę, początkowo wyglądało na to, że zastrzyk nie wywołał żadnego skutku i ogarnął ją strach. Czy użyła nieodpowiedniego lekarstwa, czy niewłaściwie je podała?

- Nie mam pojęcia, na jakie czary-mary cię wzięło, ale czy teraz możemy już iść? - spytał, spuszczając rękaw i nakładając kurtkę na mundur. Luźne złote sznury zatańczyły jak frędzle abażuru.

- Gdzie twoja kurta?

Śmiało wkroczył do sąsiedniego pokoju, znalazł tam jej kurtkę i rękawiczki. Wróciwszy, od razu zaczął ją ubierać.

- Mam plan - rzekł. - Spuścimy na wodę szalupę ze stacji wielorybniczej. Zabiorą nas z morza...

Wtem zadygotał od czubka głowy do podeszew butów - innych, niż dotychczas nosił, zauważyła. Zatoczył się w tył i usiadł na łóżku.

To było właściwe lekarstwo. Eleanor odetchnęła z ulgą. Teraz pozostanie unieruchomiony - przynajmniej na tyle długo, że zdoła mu wszystko wytłumaczyć. Ukłękła przy łóżku, zamiatając podłogę długimi połami kurtki i trzymając jego zimne dłonie.

- Sinclair, musisz mnie wysłuchać. Musisz zrozumieć.

Patrzył na nią, przewracając oczami.

- To lekarstwo potrzebuje czasu, aby odniosło pełny skutek. Lecz gdy to nastąpi, potrzeba, którą teraz czujesz, zniknie na zawsze. - Nawet w najgorszych czasach, gdy spali w piwnicach i poganiając konie, pokonywali w lodowatym deszczu górskie przełęcze, starali się mówić o ich nieszczęsnej dolegliwości, używając możliwie najbardziej zawołowanych terminów. - Ale lekarka twierdzi...

Odchrząknął i wychrypiął:

- Ta lekarka... - Ale nie zdołał wykrztusić nic więcej.

- Lekarka i inni mówią też, że nie wolno nam dotykać lodu. Rozumiesz? Nie wolno dotykać lodu! Jeśli to zrobimy, umrzemy.

Patrzył na nią, jakby zupełnie straciła zmysły. Roześmiał się gorzko.

- Bajki, a ty w nie wierzysz.

- Och, Sinclair, wierzę. Doprawdy wierzę.

- Tutaj nie ma nic okrom lodu. Czy jest jakiś lepszy sposób, żebyś z własnej woli została ich więźniem?

Zrozpaczona opuściła głowę.

- Nie jesteśmy ich więźniami. Oni nie są naszymi panami. To nie wojna.

Ale gdy podniosła wzrok, ujrzała, że dla Sinclaira to jest i zawsze będzie wojna. Nawet gdyby ich fizyczna potrzeba zniknęła, to dolegliwość, którą sprowadziła, tak głęboko zapuściła korzenie w jego duszy, że nigdy ich nie wyrwie. I teraz, chociaż czoło miał zroszone potem i klejącą się skórę, wstał chwiejnie, karnie jak na dźwięk wojskowej trąbki, i nałożył kurtkę i rękawice. Czekwała, modląc się, by lekarstwo go osłabiło, lecz wyglądało na to, że Sinclair swą wolą zwalcza jego działanie.

- Sinclair! Słyszałeś moje słowa? Nie możemy tam wyjść bez ochrony.

- No to się zapnij, na miłość boską! - rzekł, łapiąc ją za rękaw kurtki. Zdażyła tylko sprawdzić, czy ma broszkę, zanim wyciągnął ją z izby chorych. - Mamy piękny dzień.

Ciężkim krokiem pokonał korytarz i otworzył drzwi na rampę. Światło słońca migotało na śniegu i lodzie. Eleanor instynktownie wyjęła z kieszeni okulary i włożyła je na nos.

- Psy już zaprzężone - rzekł z satysfakcją. - Postarałem się o to najpierw.

Tak? Jak długo buszował po obozowisku?

Schodził w dół, ciągnąc Eleanor, gdy nagle się zatrzymał i rzekł:

- Że też żadna inna cholerna zawada nie mogła się napatoczyć...

Eleanor wcześniej szczelnie otuliła się kapturem, lecz teraz wysunęła z niego twarz i zobaczyła Michaela stojącego kilka jardów dalej. Trzymał pod pachą jakieś czarne metalowe urządzenie. Kompletnie zbaraniał, minę miał taką, jakby nadaremnie próbował ogarnąć rozumem to, co widzi.

- Na twoim miejscu - rzekł Sinclair - skuliłbym pod siebie ogon i czmychnął.

Michael spojrział prosto w oczy Eleanor, szukając w nich odpowiedzi.

Sinclair odsunął połę kurtki, odsłaniając wiszącą u boku szablę, ale gdy spróbował ruszyć dalej, Michael bezzwłocznie zablokował mu drogę.

- Dobry Boże, śpieszę się! - wybuchnął Sinclair, jakby beształ nierozgarniętego stajennego. Puścił ramię Eleanor i wysunął z pochwy szablę. - Zabieraj się z drogi - rzekł, potrząsając klingą w blasku polarnego słońca - albo zostaniesz tu na zawsze.

- Michael - wtrąciła się Eleanor - rób, co ci mówi!

- Eleanor, nie możesz zostać na dworze! Musisz wrócić do środka!

Na tę wymianę zdań oczy Sinclaira zabłyśły jeszcze mocniej. Kiedy się odwrócił do Michaela, płonęły zimną furją.

- Możem być ślepy - rzekł, zbliżając się do Michaela z uniesioną szablą.

Ku przerażeniu Eleanor Michael się nie cofnął, ale uniósł metalowe urządzenie - miało trzy nogi jak malarska sztaluga - i trzymał je niczym broń.

To szaleństwo, kompletne szaleństwo, pomyślała.

- Możesz iść - powiedział Michael, dotrzymując pola porucznikowi. - Nie będę cię zatrzymywał. Ale Eleanor zostaje.

- A więc o to tu chodzi - rzekł szyderczo Sinclair. - Jesteś większym głupcem, niż myślałem.

- Może masz rację - odparł Michael, robiąc krok - ale takie są moje warunki.

Sinclair zastygł, jakby je rozważał, po czym nagle runął na Michaela. Szabla ze świstem rozcięła powietrze. Ostrze trafiło w trójnóg i niebieskie iskry pofrunęły w powietrze. Michael cofnął się, starając wytrzymać napór przeciwnika.

Sinclair nacierał, grożąc Michaelowi szablą, którą zataczał w powietrzu ciasne kółka. Eleanor dostrzegła, że porucznik ma rozciętą skórę na ciemieniu - blond włosy w tym miejscu były krótko przystrzyżone, jakby ktoś opatrywał ranę.

Michael zamarkował atak statywem, starając się powstrzymać Sinclaira, ale tamten zbił cios na bok i nie przerywał natarcia.

- Czas mnie goni - rzekł - więc będę się streszczał.

Ciął raz, drugi, trzeci. Ostatnie uderzenie wyrwało statyw z rąk Michaela. Z brzękiem upadł na twardy grunt. Michael rzucił się po niego - nie miał innej broni. Jednak gdy Sinclair zamachnął się szablą, szykując się do morderczego cięcia, rozległ się mrożący krew w żyłach krzyk. Charlotte - w zielonym jedwabnym szlafroku, z luźnymi warkoczykami fruującymi wokół głowy - zbiegła po rampie i pchnęła Sinclaira, pozbawiając go równowagi. Poleciał przed siebie, ledwo utrzymując szablę w ręce, po czym błyskawicznie się odwrócił i zadał cios nowemu przeciwnikowi. Ostrze rozorało nogę lekarki. Upadła, krew trysnęła na śnieg.

Teraz z kolei Eleanor krzyknęła przeraźliwie, lecz zanim zdążyła przybiec z pomocą Charlotte, Sinclair znów chwycił ją za rękaw długiej kurty.

- Zniesiesz ból rozstania? - rzekł, kipiąc gniewem i ciągnąc ją w kierunku psiego kojca. Poszła chętnie. Dzięki temu Michael i Charlotte mieli czas na ucieczkę.

ROZDZIAŁ 54

26 grudnia, 15.00

Kłęcząc na śniegu obok Charlotte, Michael próbował ocenić głębokość rany.

- To nic poważnego - powiedziała Charlotte, siadając i krzywiąc się. - Tylko rozcięcie.

- Pomogę ci dojść do gabinetu.

- Sama dojdę - odparła. - Leć po Eleanor!

Ale gdy spróbowała stanąć, kolana się pod nią ugięły i Michael musiał ją podtrzymać, obejmując w pasie. Razem podeszli w górę rampy i skierowali się do gabinetu. Kiedy usadził ją na krzesło i kierowany jej wskazówkami przyniósł antyseptyk, antybiotyk i bandaż, usłyszał dzwonienie psiego zaprzęgu, który przejeżdżał za oknem. Wyrzął na dwór i zobaczył Sinclaira w czerwono-złotym mundurze, stojącego na płozach. Nałożył kominiarkę, gogle; najwyraźniej szybko się uczył, jak należy się ubierać na Antarktydzie. Eleanor skuliła się w jasnopomarańczowym pojemniku na bagaż, głowę trzymała nisko, mocno zacisnęła tasiemki kaptura. Sanie śmignęły w dal.

- Powiedz mi, że to Święty Mikołaj wraca do domu - rzekła Charlotte, mocząc bawełniany wacik w antyseptyku.

- Pojedzie do stacji wielorybniczej - powiedział Michael. - Tylko to mu zostało, zwłaszcza że nadchodzi burza śnieżna.

- Zwijaj się - znów popędziła go Charlotte. - Ale wpierw weź broń od Murphy'ego. - Skrzywiła się, przemywając ranę. - I nie zapomnij o wsparciu.

Michael klepnął ją pocieszająco w ramię i rzekł:

- Nikt ci nie mówił, żeby nie podskakiwać przy facecie z szablą?

- Nigdy nie miałeś nocnej zmiany na oddziale ratunkowym.

Michael wybiegł do korytarza, ale zamiast wszcząć alarm, pobiegł prosto do garaży ze skuterami śnieżnymi. Zebranie ekipy pościgowej tylko zajęłoby czas, a broń zawsze mogła trafić nie tego, kogo trzeba. Poza tym wiedział, że skuterem dogoni psi zaprzęg - pozostawało jedynie pytanie, czy zdąży to zrobić, zanim dojdzie do fatalnego kontaktu Eleanor z lodem.

W pierwszym rzędzie stał zielono-żółty arctic cat. Wskoczył na siodełko, sprawdził poziom paliwa i włączył silnik. Pojazd wyskoczył z garażu, ślizgając się szaleńczo na

wyjeżdżonym śniegu i Michael o mało nie spadł na ziemię. Musiał zwolnić, przynajmniej w pobliżu stacji. Gdy objechał róg modułu administracji, prawie wpadł na Franklina, ale ten w ostatniej sekundzie uskoczył mu z drogi.

- Biegnij do magazynu! - polecił mu Michael, przekrzykując ryk silnika. - Sprawdź, co z Lawsonem!

Michael wolał nie myśleć, co się stało. Ale skoro Sinclair się uwolnił, nie mogło to być nic dobrego.

Kiedy tylko wydostał się poza obszar stacji, mocniej zacisnął dłonie na kierownicy i podniósł obroty silnika. Musiał ściągnąć tasiemki kaptura, by ten nie spadł mu z głowy. Daleko przed sobą widział czerwien munduru Sinclaira i płomień pomarańczowych sań - psy gnały przez śnieg i lód. Błagam, Eleanor, zasłoń się, prosił w myślach.

Sinclair zamiast ustawić psy wachlarzem, spał je parami. W tych warunkach było to szczególnie niebezpieczne. Mógł trafić na most lodowy rozciągający się nad szczeliną i doprowadzić do jego zawalenia. Psy, a potem sanie, wpadłyby w bezdenną czeluść.

Zresztą to samo groziło również jemu. To dlatego trzymał się śladów pozostawionych przez sanie. Nie było to łatwe. Ostry srebrzysty odbłask padający od śniegu raził oczy, a zamrożone drobiny pryskające spod płóz cata oklejały owiewkę i gogle.

Kiedy odległość dzieląca go od psiego zaprzęgu coraz bardziej malała, zaczął się zastanawiać, co robi, kiedy dogoni Sinclaira.

Przeszukiwał pamięć, usiłując sobie przypomnieć, co też było w torbach przy skuterze. Apteczka pierwszej pomocy? Nylonowe liny? Odbiornik GPS? Latarka?

Ale nagle przypomniał sobie ostatni ważny element ekwipunku, który na pewno tam znajdzie - rakielnica!

Sinclair nie potrafił jej odróżnić od zwykłej broni palnej.

Sanie lekko skręcały w kierunku wybrzeża i Michael dostrzegł, że Sinclair odwraca głowę - wiedział, że jest ścigany. Chociaż słońce odbijało się od jego gogli i złotych epoletów, a szkarłatne poły kurtki fruwały jak lisi ogon, w czarnej kominiarce wyglądał nie jak żołnierz, lecz jak uciekający włamywacz.

Sanie okręwały czarny jak węgiel *nunatak*³⁰. Tam niebezpieczeństwo było jeszcze większe, a na dodatek Sinclair nie miał o nim pojęcia. Wokół skalistych wzniesień często tworzyły się szczeliny, tym liczniejsze i głębsze, im bliżej było morza. Sinclair w dalszym ciągu zbliżał się do wybrzeża, niewątpliwie licząc na to, że tym sposobem utrzyma kierunek.

³⁰ Wzgórze, szczyt nad lądolodem.

Na Antarktydzie było to równie trudne jak ocena odległości - jak okiem sięgnąć, czasem przez setki mil rozciągał się identyczny krajobraz, a świecące o tej porze roku niemal prosto nad głową słońce nie stanowiło punktu odniesienia. Cień lgnął do pięt jak posłuszny pies.

Chociaż Michael chciał jak najszybciej dogonić sanie, wolał nie ryzykować konfrontacji na niepewnym lodzie i wolał odczekać, aż znajdą się na twardym podłożu, na jakim zbudowano Stromviken. Ale to był teren Sinclaira i kto wie, jakie niespodzianki tam przyszykował?

Sanie musiały nieco zwolnić. Michael zobaczył grube iglice pola seraków. Unosiły się z ziemi jak zęby gigantycznego widelca. Psy wyszukiwały drogę wśród tego labiryntu, a pochylony Sinclair zachęcał je do szybszego biegu.

Michael otarł śnieg i lód z gogli i schylił głowę poniżej krawędzi owiewki. Rzadkie jak muślin białe chmury rozłożyły się na niebie, tłumiąc światło słońca i jeszcze bardziej obniżając temperaturę; Michael uznał, że jest około minus trzydziestu stopni Celsjusza.

Skuter szybko zbliżał się do sań. Był tak blisko, że Michael rozróżniał już kształt szabli podskakującej u boku Sinclaira i głowę Eleanor, szczelnie owiniętą kapturem, wystającą z pojemnika na bagaż.

Usłyszawszy ryk artic cata, Sinclair się odwrócił i krzyknął coś, czego Michael nie mógł usłyszeć, chociaż wątpił, aby była to propozycja poddania się. Jedno wiedział na pewno: Sinclair był nieugięty.

Wtem zobaczył, że śnieg pod saniami nagle się zapada. Psy zaskowytały z przerażenia. Michael ze zgrozą zobaczył, że runął śnieżny most. Prowadząca para psów zniknęła w wyrwie. Kolejna obłąkańczo szczekająca dwójka, połączona jedną uprzężą, była ściągana w coraz szerszą przepaść. Sanie podskakiwały jak kajak na przelomach. Sunęły do szczeliny bokiem, z ostrym piskiem płóz.

Michael objechał serakowe pole. Nacisnął hamulce i zatrzymał się poślizgiem. Kiedy zeskoczył ze skutera i zerwał z twarzy gogle, zobaczył, że sanie chybcą się na brzegu szczeliny. Sinclair z całych sił wbijał hamulec w lód. Ledwo utrzymywał się na płozach. Michael wiedział, że pęknięcie może się rozszerzyć w każdym kierunku - mogło już być nawet pod jego stopami - ale nie miał kijków, którymi mógłby sondować śnieg. Pozostało mu tylko obejść łukiem szczelinę i modlić się o szczęście. Otworzył pojemnik bagażowy, wyciągnął z niego linę i wielokrążek, ale nie pokonał nawet dziesięciu jardów, a tył sań uniosł się jak rufa tonącego okrętu i po sekundzie lub dwóch zniknął z widoku, zabierając ze sobą Sinclaira.

- Eleanor! - krzyknął Michael i już na nic nie zważając, pobiegł po nierównym gruncie, ślizgając się i potykając. Blisko krawędzi opadł na czworaki i podpełzł do niej przerażony wizją tego, co zobaczy.

Błękitna szczelina sięgała głęboko w głąb lądolodu, ale sanie opadły tylko dziesięć, piętnaście stóp, utykając w wąskim otworze. Niżej zwisały psy, jak upiorne ozdoby. Te, które jeszcze żyły, wiły się w obrozach i uprzęży. Były ciężkie i rozpaczliwie się miotaly. Sanie lada chwila mogły się osunąć poza granicę ratunku.

- Uprząż! - krzyknął Michael. - Tnij!

Stojący z tyłu Sinclair uniósł niepewny wzrok, ale dobył szabli i zabrał się do odcinania lin, które miał w zasięgu ręki.

Eleanor nadal kuliła się w pojemniku bagażowym, całkowicie zakrywając twarz kapturem.

Najpierw jeden pies, a potem następne oderwały się od sań i odbijając się od lodowatych ścian, runęły z hukiem i pluskiem na niewidoczne dno szczeliny. Rozpaczliwe wycia odbiły się echem od brzegów błękitnego kanionu, ale niebawem ucichły.

Michael pośpiesznie owinał się liną, zrobił na jej końcu pętlę i opuszczył ją w przepaść.

- Eleanor - krzyknął, leżąc na brzuchu i wystawiając poza krawędź tylko głowę i ramiona
- załóż tę pętlę.

Końcówka liny wisiała nad jej głową jak sznur szubienicy. Eleanor zdołała jej dosięgnąć.

- Jak to zrobisz - poinstruował ją dalej Michael - wyjdź z sań, najostrożniej jak się da.

Sinclair odciął kolejny fragment uprzęży i następna para psów opadła w purpurowe głębie. Mimo tego skierowany w dół przód sań osunął się kolejne kilka stóp.

- Założyłam linę - powiedziała Eleanor. Kaptur tłumiał jej głos.

- Dobrze. Teraz trzymaj się jej mocno.

Dałby wszystko za coś, wokół czego mógłby owinać linę - skałę, skuter, cokolwiek. Usiadł, wbił obcasy w twardy śnieg i napiął linę. Kontuzjowany bark od razu zaprotestował.

- Zaprzyj się nogami o ścianę, odchyl do tyłu i wchodź po ścianie.

Wysunęła się z sań i natychmiast całym ciałem uderzyła o lód. Zajęczała, a potem musiała zrobić to, co jej kazał, bo usłyszał trzask lodu pod podeszwami butów. Owinał linę wokół ramienia i pociągnął mocniej. Czuł napięte ścięgna ramienia; w głowie miał tylko jedną, powtarzającą się myśl: Nie teraz, tylko się teraz nie zerwij.

Posunęła się nieco w górę, ale nagle poślizgnęła się na ścianie i zawisła w powietrzu.

- Michael! - krzyknęła, wisząc nad saniami i otwierającą się niżej przepaścią. Michael wbił głębiej obcasy w zbity śnieg, ale to nie wystarczyło, sam ślizgał się ku szczelinie.

Ramiona drżały mu spazmatycznie. W tej samej chwili, w której uznał, że nie utrzyma Eleanor ani sekundy dłużej, zobaczył, że Sinclair odrywa ręce od sań, wyciąga je w górę, chwyta buty Eleanor i pcha ją wyżej. Choć twarz porucznika była niewidoczna pod kominiarką i goglami, Michael wyobrażał sobie jego lęk i niepokój. Eleanor uniosła się na tyle, że Michael mógł złapać pętlę, którą na siebie nałożyła, i wyciągnąć kobietę ze szczeliny.

Przezołgala się po śniegu, łapiąc otwartymi ustami powietrze. Pod ciasno ściągniętym kapturem widać było tylko szmaragdowe, szeroko otwarte z przerażenia oczy.

- Wstań! - powiedział Michael. - Lód!

Miała śnieg na kurtce, na rękawiczkach, na wysokich butach. Grzbietem ręki strzepnął tyle, ile się dało, po czym szybko postawił ją na nogi.

- Lina - powiedział. - Potrzebna mi lina.

Ale ta zacisnęła się na niej tak mocno, że nie dało się jej rozluźnić.

Michael wystawił głowę nad brzeg przepaści - sanie znów się osunęły i wisały pod jeszcze bardziej niebezpiecznym kątem - i wyciągnął zdrową rękę najdalej, jak mógł.

- Stań na saniach - powiedział - i złap moją rękę.

Sinclair ledwo mógł się ruszyć, nie spychając sań. Płózy zazgrzytały na lodzie. Zerwał z twarzy kominiarkę i gogle, ostrożnie odpiął pas szabli, wysunął rękę i upuścił broń.

- Szybko - ponaglił go Michael - zanim opadną niżej!

Sinclair ostrożnie zszedł z płóz i stanął na twardej pomarańczowej skrzyni bagażowej. Prostując ramiona jak akrobata, cal po calu zbliżał się do ściany szczeliny. Buty popiskiwały na śliskiej powierzchni. Wyciągnął rękę i podał ją Michaelowi. Ich oczy się spotkały.

- Trzymaj się! - powiedział Michael, ale pod ciężarem Sinclaira przód sań zaczął z trzaskiem opadać.

Delikatny biały puch sfrunął do szczeliny.

- Trzymam cię! - rzekł przez zaciśnięte zęby Michael, ale gdy patrzył w oczy Sinclairowi, kilka płatków lodu miękko osiadło na wąsach, a potem policzkach młodego porucznika. Na jego twarzy pojawił się wyraz oszołomienia. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale biały szron rozbiegł się spękanymi liniami po wargach, wysysając z nich wszelką barwę. Język mu zeszywniał. Na szczękach pojawił się szklisty blask, zbiegł błyskawicznie w dół szyi. Całe ciało skamieniało, palce wyprostowały się bezwładnie.

Spod sań rozległ się zgrzyt i znów opadły stopę, dwie.

- Sinclair! - krzyknął Michael, ale życie pozostało tylko w oczach porucznika, po czym i one zlodowaciały i przemieniły się w marmur. Jeszcze chwilę stał prosto, potem sanie nagle runęły w dół, na dno niebieskiej szczeliny. Rozległ się straszliwy zgrzyt, łoskot, a potem

wielki trzask, jakby upadł wielki kryształowy żyrandol. Echa wzbily się w górę ostro porysowanych ścian. Przepaść była zbyt głęboka, by Michael zdołał dojrzeć ślad człowieka lub sań.

Kiedy pogłos ucichł, Michael zawołał porucznika. Kilka razy. Lecz odpowiedział mu tylko szept wiatru penetrującego zamrażnięty kanion.

Uniósł z dziury w lodzie sztywne, obolałe ramię i przewrócił się na plecy. Miał wrażenie, że płuca mu pękają. Eleanor stała tam, gdzie ją zostawił, plecami do wiatru, obejmując się ramionami. Głowę opuściła, twarz nadal szczerze otulała kapturem - najmniejszy skrawek jej ciała nie był wystawiony na działanie żywiołów.

- Zginął? - spytała ledwo słyszalnym głosem.

- Tak - powiedział. - Zginął.

Skinęła z powagą głową.

- A mnie nie wolno nawet płakać.

Michael z trudem wstał.

- Moje łzy mogłyby się zamienić w lód.

Podszedł do niej i objął ją w pasie ramieniem. Nagle tak osłabła, że odniósł wrażenie, iż zaraz upadnie na śnieg. Może chciała upaść. Kiedy ostrożnie podprowadził ją do krawędzi szczeliny - teraz i na wieczność nieoznaczonego grobu - zatrzymała się i powiedziała coś szeptem, czego nie zrozumiał. Nie spytał, co to było - nie było przeznaczone dla niego - nie dojrzał też, co takiego przycisnęła do ust, a potem opuściła w niebieską czeluść. Ale gdy przedmiot wirując, sfrunął w dół, lśniąc złotem i kością słoniową, rozpoznał go.

Polarne, martwe słońce wisiało nad nimi, gdy wracali przez najeżone pole zamrażniętych seraków.

ROZDZIAŁ 55

29 grudnia, 2.45

Kiedy światła kabiny pasażerskiej zamrugały, budząc się do życia, i pilot ogłosił, że pasażerowie są proszeni o przygotowanie się do lądowania, Michael dopił resztkę whisky i wyrztał przez okno.

Nawet o tej porze Miami jaśniało rozległą, migotliwą kratownicą świateł ulicznych, gasnącą dopiero nad czarnym brzegiem oceanu.

Stewardesa odebrała od niego plastikowy kubeczek i pustą butelkę. Facet śpiący w fotelu od strony przejścia obudził się i złożył laptopa, którego ekran wygasł kilka dobrych godzin temu. Michael wiedział, że jego sąsiad jest „specjalistą od zasobów”, chociaż nie bardzo się orientował, co to oznacza. Pracował dla bliżej nieokreślonej amerykańskiej firmy telekomunikacyjnej budującej sieć w Chile.

Michael od kilku dni nie zmrużył oka. Nawet teraz myślał tylko o tym, co leżało w ładowni samolotu.

Facet obok powiedział:

- Ile spóźnienia? Tylko kilka godzin?

Michael skinął głową. Każda dodatkowa godzina, każda zwłoka była męczarnią.

Przynajmniej odprawa celna w środku nocy przebiegła szybciej niż zwykle - dopóki Michael nie oświadczył, że wiezie ciało, i nie wie, gdzie ma je odebrać.

- Współczuję panu z powodu pańskiej straty - powiedział celnik. - Proszę wyjść, skrócić w lewo i zgłosić się do odprawy ładunków międzynarodowych. Oni będą mogli panu pomóc.

Przy stanowisku odprawy międzynarodowej urzędował ubrany w niebieski uniform dzieciak, który raczej nie powinien pracować w środku nocy. Grzebał w formularzach NSF dostarczonych przez Murphy'ego i dokumentach lekarskich wypisanych przez Charlotte, podczas gdy Michael walczył z rosnącym zniecierpliwieniem. Wiedział, że musi zachować zimną krew i nie wyskoczyć z czymś, co zwróciłoby uwagę. Małolat wezwał zwierzchnika. Ten miał na grubej szyi laminowany identyfikator z napisem „Kurt Curtis”. Znow przejrzał dokumenty, znow sprawdził tożsamość Michaela i rzekł:

- Współczuję panu z powodu pańskiej straty.

Michael się zastanawiał, ile jeszcze razy usłyszy tę formułkę.

Curtis sięgnął po telefon, wcisnął guzik i wymruczał kilka słów, odwróciwszy się tyłem do Michaela. Burknął trzy razy „aha”, po czym się odwrócił i powiedział:

- Proszę iść za mną, odwiozę pana do punktu odbioru ładunków międzynarodowych. - Wskazując torbę Michaela, powiedział jeszcze: - Proszę tego nie zapomnieć.

Na dworze nocny żar oblepił twarz Michaela jak ciepły parujący ręcznik. Przyzwyczaj się do tego, powiedział sobie. Eleanor nie przeżyłaby w zaśniewanej, zaszronionej Tacomie. Curtis wcisnął się na fotel kierowcy elektrycznego wózka. Michael rzucił torbę na platformę i usiadł obok niego. Niedawno musiało padać - nawierzchnia lotniska była mokra i pełna płytkich kałuż. Kołujący odrzutowiec cisnął w nich tornado cuchnącego, jeszcze gorętszego powietrza. Silniki huczały ogłuszająco. Curtis nie zwrócił na to uwagi. Minąwszy terminale wjechali do rozległego, otwartego hangaru, gdzie parkował van z napisem MIAMI KORONER HRABSTWA DADE. Drobna kobieta w czarnych spodniach i białej bluzce opierała się o drzwi, paląc papierosa. Spojrzała na Michaela, gdy zabrał torbę i zsiadał z wózka. Curtis zrobił kółko i odjechał.

- Michael Wilde? - spytała, rzucając papierosa na beton. - Jestem Maria Ramirez. Żona Erika Danziga.

Michael uściskał rękę kobiety. O mały włos powiedziałby, że współczuje jej z powodu jej straty.

Przyjrzała mu się uważnie ciemnymi oczami i spytała:

- Ciężka podróż, co?

Czuł, że marnie wygląda. Kobieta tylko to potwierdziła.

- Tak, bardzo.

Nie potrafił się powstrzymać, by się nie rozejrzeć. Gdzie worek z ciałem? Czy został dostarczony, czy wciąż jeszcze gdzieś się błąka po lotnisku?

- Jeśli szuka pan worka, to jest już w vanie.

- Tak?

Serce mało nie wyskoczyło mu z piersi i ta reakcja nie umknęła uwadze Marii.

- No dobra - powiedziała, czubkiem buta przydeptując żarzącego się papierosa - zanim będziemy musieli ściągnąć policję, FBI, INS czy kogo tam jeszcze, może chce mi pan coś powiedzieć?

Szykował się na tę chwilę od kilku dni, zastanawiając się, jak przedstawi Marii swoją opowieść, ale teraz, kiedy miał to zrobić, pragnął tylko jednego: otworzyć drzwi vana i ratować Eleanor.

- Przede wszystkim - mówiła dalej - nie wiem, kto jest w tym worku, nie otwierałam go, ale wiem, że to nie Erik. Był o jakąś stopę wyższy i sto funtów cięższy niż ten ktoś.

- Ma pani rację - potwierdził Michael. - To nie Erik.

Maria wyglądała na zaskoczoną jego natychmiastową kapitulacją.

- W takim razie gdzie on jest?

Michael spuścił głowę i rzekł:

- Muszę panią prosić o chwilę cierpliwości, bo to co teraz pani powiem, jest całkowicie sprzeczne z regulacjami NSF.

Przystąpił do opowieści, przypominając Marii jej własne słowa, że Danzig - Erik - nie był nigdzie szczęśliwszy niż na biegunie, i że bardzo chciał być tam pochowany. Michael wyznał, że tak się stało.

- Ale za to oberwalibyśmy po uszach, więc nie mogłem tego pani powiedzieć, dopiero teraz, osobiście.

Sięgnął pod koszulę i wyjął naszyjnik z kłów morsa. Zdjął go przez głowę. Kiedy Maria go zobaczyła, łzy wezbrały jej w oczach.

- Wiem, że chciałby, żeby go pani dostała - powiedział Michael. - Zawsze go nosił.

Ściskając naszyjnik w ręce, odwróciła się i odeszła kilka kroków. Opuściła głowę, ramiona jej drżały.

Michael czekał, czując klejącą się do ciała koszulę i włosy przylegające do karku. Powstrzymywał się całą siłą woli, by nie skoczyć do vana i nie otworzyć drzwi ładowni. Niedaleko byli inni ludzie - mechanicy, wózkowi - więc wiedział, że musi jeszcze chwilę wytrzymać.

Maria się opanowała. Zabrała dokumenty leżące na tablicy rozdzielczej samochodu. Kiedy się odwróciła, na szyi miała naszyjnik.

- W porządku, dziękuję panu. Erik dostał to, na czym mu zależało. Mam wobec pana dług. - Podając mu dokumenty, rzekła:

- Proszę podpisać wszędzie, gdzie zaznaczyłam. - Michael musiał złożyć kilkanaście autografów. Gdy skończył, oderwała kopie i podała mu je. - Teraz Erik oficjalnie wrócił.

- Dzięki.

- Ale wciąż nie wiem, kto jest w worku.

Michael zdawał sobie sprawę, że teraz czeka go najtrudniejsza przeszkoda do pokonania. Kto by mu uwierzył?

- Moja przyjaciółka - rzekł. - Nazywa się Eleanor.

- Chce pan powiedzieć: n a z y w a ł a s i ę.

- Nie, ona żyje.

Maria zastygła na moment, po czym przyjrzała mu się uważnie, jakby rozważała, czy nie powinna jeszcze raz się zastanowić nad wszystkim, co do tej pory od niego usłyszała.

- Nie, w tym worku nie mogła przeżyć. To niemożliwe, jeśli się podróżuje w nieogrzewanej ładowni samolotu lecącego z bieguna południowego.

- Ona żyje - powiedział Michael. Wziął Marię za rękę i po prostu zaciągnął ją do tylnych drzwi vana. - Proszę pozwolić mi wejść i ją wyprowadzić.

Jeden z wózkowych spojrział na nich z ciekawością.

- Matko Boska - powiedziała Maria - coś pan, zwariował? Do diabła, co się z wami wszystkimi tam dzieje na końcu świata?

Ale nie powstrzymała go, gdy otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął je za sobą.

Worek leżał na metalowej półce, zabezpieczony bawełnianymi pasami. Michael szybko je rozpiął, szepcząc przez cały czas:

- Jestem tu, jestem tu.

Ale ze środka nie dobiegał żaden dźwięk.

Otworzył zamek błyskawiczny - wcześniej pamiętał o tym, by nie zamykać go do końca - i rozłożył klapy worka.

Eleanor leżała sztywno jak martwa, z rękami po bokach.

- Eleanor - powiedział dotykając jej twarzy czubkami palców. - Eleanor, proszę, obudź się.

Pochylił głowę, tak że czuł jej oddech na policzku. Zimny oddech, nie ciepły. Jej skóra też była zimna.

- Eleanor - powtórzył i tym razem ujrzał, że jej powieki zadrgały. - Eleanor, obudź się. To ja. Michael.

Na twarzy Eleanor pojawił się grymas, jakby była niezadowolona, że ktoś ją niepokoi.

- Proszę... - powiedział, kładąc ręce na jej dłoniach. - Proszę.

Nie potrafił się dłużej powstrzymać. Pochylił się, chcąc ją pocałować w usta. Ale przypomniał sobie ostrzeżenie Darryla, więc tylko dotknął wargami jej powiek, najpierw jednej, potem drugiej. To nie był wymarzony sposób budzenia Śpiącej Królowej... ale okazał się wystarczający.

Otworzyła oczy, spojrziała na dach samochodu, po czym skierowała wzrok na Michaela. Przez chwilę obawiał się, że go nie rozpozna.

- Tak się bałam - powiedziała. - Bałam się, że otworzę oczy i znów będę w lodzie.

- Nigdy więcej - rzekł.

Wysunęła dłoń z jego uścisku i pogładziła go po policzku.

*

Maria Ramirez kazała mu przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nikomu nie zdradzi, jak ta „dziwna kobieta” nielegalnie dostała się do Stanów Zjednoczonych, a Michael w zamian wymógł na niej obietnicę, że nie zdradzi, gdzie spoczywają szczątki jej małżonka.

Potem Maria podrzuciła ich do znanego jej hoteliku przy Collins Avenue, przecznicy od South Beach. Była parna noc.

- Kiedy potrzebujemy anatomopatologa z zewnątrz - wyjaśniła - tu go lokujemy. Do tej pory żaden nie narzekał.

Michael zaprowadził Eleanor do pokoiku, włączył wszystkie światła i puścił wodę do wanny. Kiedy drzwi łazienki się zamknęły, wydało mu się, że słyszy ciche łkanie. Stał rozdarty, nie wiedząc, czy zapukać i spróbować ją pocieszyć, czy po prostu pozwolić, by dała ujście emocjom. Czy ktoś inny potrafiłby przeżyć to wszystko, co ona przeżyła - nieważne, czy w ostatnich dwóch dniach czy ostatnich dwóch wiekach - i nie załamałby się w którymś momencie? Jak miałby teraz jej pomóc?

Więc tylko szedł na dół i przekonał starszą panią w recepcji, by otworzyła niewielki sklepik i sprzedała mu lekką, letnią sukienkę - najskromniejszą, jaką znalazł, z przejrzystego jedwabiu i z krótkimi rękawami - i sandaalki. Kobieta, która wcześniej patrzyła na Eleanor, jakby ta wybierała się na halloweenową imprezę, zrozumiała, o co mu chodzi, i dorzuciła do tego jeszcze kilka drobiazków, dodając lakonicznie:

- Reform pod to nie da się włożyć.

Kiedy wrócił do pokoju, zastukał do drzwi łazienki, uchylił je i wrzucił do środka reklamówkę z nowymi ubraniami. Z łazienki buchnęła para.

- Pomyślałem sobie, że wolałabyś ubrać się stosownie do tutejszych temperatur - powiedział, zanim zamknął drzwi. - Jeśli jesteś głodna, mogę pójść po jakieś jedzenie.

- Nie - odparła. Jej głos dobiegał jak z grobowca. - Nie w tej chwili.

Podszedł do okna i rozsunął firanki w jasne kwiatowe wzory. W sąsiednich domach paliło się kilka świateł. Z hukiem przejechał samochód sprzątający ulice. Jak miał opowiedzieć resztę tego, co powinna wiedzieć? Nie tylko lodu powinna unikać... ale także kontaktów z ludźmi. Osobistych kontaktów.

Jak miał jej powiedzieć, że chociaż zlikwidowano jej pragnienie, to nadal była skażona? Że stanowiła zagrożenie dla każdego, kogo zapragnęłaby pocałować?

I jeśli już rozważał te sprawy, czy sam nie powinien mieć tego na uwadze?

Kiedy tylko hałasująca zamiatarka drogowa odjechała, podszedł do drzwi łazienki i następne pół godziny poświęcił na uspokajanie Eleanor. Była tak wstrząśnięta krótkością i ażurowym materiałem sukienki, że nie chciała wyjść, dopóki nie przysiągł - kilkakrotnie - że to najnowszy fason i że teraz wszystkie kobiety tak się ubierają.

- Często wkładają na siebie jeszcze mniej - powiedział. Nie wyobrażał sobie, co Eleanor pomyśli, mijając pierwszą dziewczynę w bikini, jadącą na wrotkach. Kiedy w końcu dała się przekonać i zaczerwieniona po korzonki włosów weszła do pokoju, zaparło mu dech.

Nawet o tak wczesnej porze na Ocean Drive panował spory ruch i Eleanor kuliła się na widok autobusów, jakby to były zionące ogniem smoki. Samochody, hałas, światła uliczne. Eleanor trzymała się jego ramienia jak koła ratunkowego. Lecz wszelkie ciepło, jakie wchłonęła podczas kąpieli, szybko zniknęło; zauważył, że rękę ma chłodną.

Na Cyplu Adeli wyznała, że najbardziej tęskni za ciepłem słońca na twarzy i bardzo chciał jej pokazać wschód słońca nad oceanem. Zatrzymali się przed przejściem dla pieszych. Obok przystanął lodziarz z wózkiem włoskich lodów, a że o tej porze byli niemal jedynymi przechodniami, spojrzał na nich z nadzieją. Równie dobrze mógłby sprzedawać dynamit - Michael odciągnął Eleanor na bok. Sprzedawca popatrzył na niego jak na wariata. Ale Michael znał zasady i wiedział również, że nigdy nie będzie mógł sobie pozwolić na nieostrożność. Był skazany na wieczną czujność i do czasu, kiedy będzie mógł wyznać jej resztę tajemnicy, był również skazany na milczenie. Po co ona ma dźwigać ten ciężar - teraz, w tym rzadkim momencie, w którym znów mogła zaznać szczęścia.

Kiedy szli przez ulicę, a potem zarośniętymi krzewami wydmami, niebo przeszło od ciemnej purpury do różu. Michael poprowadził ją obok wysokich palm kołyszących się w powiewie, aż doszli do plaży, o którą rozbijały się fale. Kiedy słońce pojawiło się nad horyzontem, usiedli na białym piasku i tylko patrzyli bez słowa, jak wspina się na nieboskłon, zamieniając ocean w srebrzyste zwierciadło i zabarwiając chmury rubinowym blaskiem. Zielone oczy Eleanor lśniły w świetle poranka. Gdy szaro-biały rybołów opadł nad wodę, śledziła go wzrokiem. Wtedy Michael dostrzegł jej smutny uśmiech.

- Tak? - spytał.

- Tylko o czymś myślałam - wyznała. Jej długie kasztanowe włosy, nadal wilgotne po kąpieli, układały się luźno na ramionach.

- O music-hallowej piosence z innej epoki.

- Jak to idzie? - Poczul, że splótła palce z jego palcami; w porannym słońcu wyraźnie się rozgrzały. Rybołów przemknął między grzbietami fal.

- „I, och, czyż tam, na morza brzegu - zacytowała śpiewnie - nie będzie palm wysokich jak Święty Paweł i piasku białutkiego jak Dover”.

Ogarnęła wzrokiem jasny horyzont, szeroką białą plażę - Michael dostrzegł w jej oczach coś na kształt iskierki radości.

- I są - powiedziała, nadal ściskając jego rękę. - Są.

PODZIĘKOWANIA

Pisząc każdą książkę, a szczególnie taką jak ta, dotyczącą różnorodnych zagadnień, często trzeba korzystać z wiedzy przyjaciół i ekspertów. Chciałbym podziękować François Sauzay, Carol Weston, prof. Robertowi Véguezowi, Susan Williams i Jamesowi Donlanowi, a także Brooks Peel ze State Climate Office of North Carolina i kapitanowi w stanie spoczynku George'owi Galdorisiemu (US Navy). Mam także dług wdzięczności wobec takich wybitnych historyków jak Cecil Woodham-Smith, którego przełomowe dzieło *The Reason Why* ogromnie mi pomogło podczas pisania o wojnie krymskiej, i Gillian Gill, autorka *Nightingales*, pozycji, która dostarczyła mi nieocenionych wiadomości na temat Florence Nightingale i jej pielęgniarek. Słowa pielęgniarki o jej nakryciu głowy (w rozdziale 22) zaczerpnałem z książki Gillian, cytującej z kolei pierwotne źródło: *Letters from the Crimea*.

Wszystkie błędy, jakie się pojawiły w treści, są wyłącznie moją winą.

Ogromnie wdzięczny jestem także redaktorce tej książki, wspaniałej Ann Groell oraz mojej niezrównanej agentce Cynthii Manson - gdy traciłem wiarę w siebie, nieodmiennie dodawała mi odwagi. Dziękuję, Cynthio.